

Steven Pressfield

Fale wojny

(Tides of war)

Przełożył Zbigniew Gieniewski

Dla Christy

NOTA HISTORYCZNA

Odnosząc epokowe zwycięstwa nad Persami w 490 i 480/479 r. p.n.e., Sparta i Ateny utrwaliły swoje pozycje czołowych potęg Grecji i regionu Morza Egejskiego – Sparta na lądzie, Ateny zaś na morzu.

Przez półwiecze pomiędzy obu państwami utrzymywała się niepokojąca równowaga. Dla Aten lata te oznaczały początek Złotego Wieku peryklejskiej demokracji. Zbudowano Partenon, zaczęto wystawiać sceniczne dzieła Ajschylosa, Sofoklesa i Eurypidesa; zaczął również nauczać Sokrates.

Jednakowoż w 431 roku potęga Aten stała się aż tak wielka, że nie mogły jej dłużej znosić wolne państwa greckie. Doszło do wojny; zmagania, które Tukidydes nazwał „największymi w historii”, trwały – zgodnie z przepowiednią – po trzykroć dziewięć lat i zakończyły się kapitulacją Aten w roku 404.

Na wszystkim, zarówno na tym, co było dobre, jak i na tym, co było złe, najznaczniesze piętno odcisnął pierwszy pośród Ateńczyków: Alkibiades.

Krewny Peryklesa, zaufany uczeń Sokratesa, był on, jak świadczą starożytne źródła, najprzystojniejszym i najblyskotliwszym, a zarazem

najbardziej lekceważącym prawo człowiekiem swej epoki. Jako wódz nigdy nie doznał porażki.

PIĄTY WIEK PRZED NASZĄ ERĄ

490 Ateńczycy pokonują Persów pod Maratonem

480 Trzystu Spartan staje do walki w Wąwozie Termopilskim.

Ateńczycy wraz ze swymi sojusznikami zwyciężają perską flotę w bitwie pod Salaminą

479 Spartanie i ich sojusznicy zadają Persom klęskę pod Platejami

454 Perykles ustanawia ateńskie imperium

431 Rozpoczyna się wojna peloponeska

429 Wielka zaraza; śmierć Peryklesa

415-413 Wyprawa sycylijska

410-407 Zwycięstwa Alkibiadesa w Hellesponcie

405 Zwycięstwo Lizandra pod Ajgospotamoj

404 Kapitulacja Aten

399 Śmierć Sokratesa

...najgorszymi wrogami Aten nie ci są, którzy, jak wy, w wojnie im tylko przyczynili szkody, ale owi, którzy zmusili ich przyjaciół, aby się obrócili przeciwko Atenom. Ateny, które kocham, nie tymi są, od których teraz krzywda mnie spotyka, lecz tymi, w których niegdyś cieszyłem się pełnią mych praw obywatelskich. Kraj, który teraz atakuję, już mi się moim nie zdaje; raczej próbuję odzyskać kraj, który moim być przestał. Albowiem nie ten prawdziwie swoją ojczyznę kocha, kto niesprawiedliwie z niej wypędzony nie chce jej zaatakować, a ten, kto aż tak gorąco jej pragnie, że od niczego się nie uchyli, byle z powrotem w niej się znaleźć.

Z przemowy Alkibiadesa do zgromadzenia Spartan
wedle *Historii wojny peloponeskiej* TUKIDYDESA

One (Ateny) kochają go i nienawidzą, i nie mogą się go z powrotem doczekać...

ARYSTOFANES – w *Żabach* – o Alkibiadesie

Księga pierwsza

PRZECIW POLEMIDESOWI

1. MÓJ DZIADEK JAZON

Mój dziadek, Jazon, syn Aleksiklesa z okręgu Alopeke, zmarł rok temu, tuż przed zachodem słońca czternastego dnia boedromionu, dwa miesiące przed swymi dziewięćdziesiątymi drugimi urodzinami. Był on ostatnim z nieformalnego, lecz głęboko z sobą związanego kręgu znajomych i przyjaciół, którzy bywali u filozofa Sokratesa.

Życiowa droga mego dziadka przebiegała przez imperialne dni Peryklesa, budowę Partenonu i Erechtejonu, wielką zarazę, wyniesienie i upadek Alkibiadesa, oraz przez ów nieszczęsny okres dwudziestosiedmioletnich wojennych zmagania, które w naszym mieście zwano wojną spartańską, w Grecji zaś całej, jak to zanotował dziejopis Tukidydes, wojną peloponeską.

W młodości swej dziad mój służył w stopniu porucznika na wojennych żaglowcach w Sybocie, Potidei i Skionie, potem zaś na Wschodzie jako trierarcha i dowódca eskadry w bitwach pod Suczym Grobowcem i Abydos (gdzie odznaczony został za męstwo, ale też stracił oko i władzę w prawej nodze), a także na Wyspach Arginuzyjskich. Jako obywatel Aten wyróżnił się tym, że był jedynym oprócz

Euryptolemosa i Aksiochosa, który przemawiał przeciwko żądaniom tłuszczy, stając w obronie dziesięciu strategów. Podczas swego długiego żywota pochował był dwie żony i jedenaścioro dzieci. Służył swemu miastu od okresu jego świetności, gdy panowało nad dwustoma wasalnymi państwami, aż po chwilę klęski, którą poniosło z rąk swych najzawziętszych wrogów. Krótko mówiąc, był on nie tylko świadkiem, ale i uczestnikiem większości najważniejszych wydarzeń współczesnej epoki, przy czym wielu spośród ich aktorów znał osobiście.

W schyłkowych latach jego żywota, kiedy zaczął opadać z sił i niezdolny już był się poruszać bez pomocnego ramienia, zwykłem go codziennie odwiedzać. Jak zaświadczają medycy, w każdej rodzinie zawsze znajdzie się jeden taki, którego wewnętrzne cechy sprawiają, że to na niego właśnie spada obowiązek otaczania opieką starszych i niedołącznych jej członków.

Dla mnie wszelako nigdy nie był to obowiązek, nie tylko bowiem darzyłem mego dziadka najgłębszym szacunkiem, ale i czerpałem z jego towarzystwa przyjemność tak wielką, że częstokroć niemal graniczącą z ekstazą. Mogłem go słuchać całymi godzinami, i zresztą obawiam się, że nieporównanie

mniej mu się przysłużyłem, niż udreńczyłem go swoim natrętnym dopytywaniem się.

Był on w moich oczach niczym jedna z naszych attyckich winnic, które pomimo corocznych szkód doznawanych od ognia i toporów najeźdźcy, letniej spiekoty i zimowego szronu z niezłomnym uporem trwały przy życiu, czerpiąc siły z głębi macierzystej gleby, i wbrew wszelkim przeciwnościom, a może właśnie dzięki nim, wydając z siebie najśłodsze i najbardziej miodopłynne z win. Miałem dotkliwe poczucie, że z jego odejściem nastąpi koniec pewnej epoki; nie tylko ery wspaniałej świetności Aten, ale i ludzi takiego formatu, którzy nam, przedstawicielom współczesności, są już nieznani, jak również takiej szlachetności cnót, o jakiej my możemy jedynie marzyć.

Wcześniej tegoż samego roku, utraciwszy skutkiem tyfusu mego drogiego, dwuipółletniego synka, stałem się pod każdym względem innym człowiekiem. W niczym nie umiałem znaleźć żadnej pociechy z wyjątkiem towarzystwa mego dziadka. Duszy mej ciążyła świadomość kruchości naszej ziemskiej egzystencji oraz ulotnej natury naszego bytowania pod niebieską kopułą; tylko w jego obecności udawało mi się odnaleźć jakiś solidniejszy, choć daleki od

komfortu, duchowy grunt.

W owym czasie regularnie wstawałem jeszcze przed świtem, przywoływałem mego psa Wartownika (a ściślej mówiąc, raczej stawiałem się na jego wezwanie) i jechałem konno Drogą Przewozową do portu, udając się następnie podnóżami wzgórz do naszej rodowej siedziby na Wzgórzu Skalnego Dębu. Te poranne godziny wywierały na mnie kojący wpływ. Z wysoko biegnącej drogi widać było zatokę, na której już ćwiczyły załogi wojennych okrętów. Mijaliśmy się z innymi szlachtetnymi obywatelami, którzy udawali się do swoich włości, pozdrawialiśmy się z trenującymi na drodze atletami i salutowaliśmy młodemu żołnierzom konnicy, ćwiczącym na zboczach wzgórz. Po dokonaniu porannego przeglądu spraw na moich włościach zostawiałem wierzchowca w stajni, by pieszo, tylko w towarzystwie Wartownika, podążać w górę upstrzonego oliwnymi drzewkami zbocza do chaty mego dziadka.

Przynosiłem mu południowy posiłek; rozmawialiśmy potem na ganku w cieniu rozłożystego dachu, a czasem po prostu siedzieliśmy ramię w ramię w milczeniu, podczas gdy Wartownik wylegiwał się u naszych stóp na chłodnych kamieniach.

– Pamięć to taka dziwna bogini, której zdolności w

miarę upływu lat ulegają zmianom – odezwał się dziadek podczas jednego z takich naszych wspólnych popołudni. – Bywa, że człowiek nie może sobie przypomnieć, co się zdarzyło przed godziną, a odtwarza w myślach wypadki sprzed siedmiu dziesięcioleci tak wyraziście, jak gdyby właśnie działa się przed jego oczyma.

Toteż wypytywałem go, i to zapewne zgoła bezlitośnie, o owe ślady odległej przeszłości, które utrwaliły się w jego duszy, on zaś, jak się zdaje, chętnie zaspokajał moją młodzieńczą ciekawość, gdyż raz zabrawszy się do jakiejś opowieści, niestrudzenie, jak przystało na wojennego weterana, podążał jej tropem aż do zakończenia. Za jego czasów nie królowała jeszcze sztuka pisarska; zdolność zapamiętywania była w pełnym rozkwicie. Ówczesni mężowie potrafili recytować długie fragmenty *Iliady* i *Odysei*, przytaczać strofy setek hymnów i odgrywać z pamięci kwestie z obejrzanych niegdyś w amfiteatrze tragedii.

Jeszcze wyraziściej malowali się we wspomnieniach mojego dziada ludzie, zwierzęta i różne miejsca. Pamiętał nie tylko imiona swych przyjaciół i bohaterów, lecz także niewolników, koni i psów, a nawet nazwy drzew i winnic, które jakimś

piętnem odcisnęły się w jego duszy. Potrafił przywołać z głębi pamięci postać kochanej przed siedemdziesięcioma pięcioma laty dziewczyny i tak żywo odmalować jej obraz, że mogło się zdać słuchaczowi, iż oto stoi przed nim jak żywa w całej krasie swej młodości i uroku.

Zapytałem go pewnego razu, którego spośród wszystkich znanych sobie ludzi uważa za najbardziej wyjątkowego.

– Najszlachetniejszy – odparł bez wahania – był Sokrates.

Najrezolutniejszy i najbłyskotliwszy – Alkibiades. Najmężniejszy – Trazybulos. Najprzebieglejszy – Anitos. Wiedziony odruchem, wypytywałem dalej:

– Czy któryś z nich szczególnie głęboko wrył się w twoją pamięć? Czy jest taki, do którego wciąż powracasz myślami?

Pytanie to poruszyło mego dziadka. Nader to dziwne, że o to zapytałem, odrzekł, ale w samej rzeczy jest pewien mąż, który z jakiejś niewiadomej przyczyny często przychodzi mu ostatnio na pamięć. Człowiek ów, wyjaśnił mi następnie starzec, nie należał do grona osób czczonych ani powszechnie znanych; nie był dowódcą floty ni archontem, ani też imię jego nie zostało utrwalone w archiwach, chyba że

w postaci jakiegoś marginalnego i skazanego na niepamięć przypisku.

– Z tego, co było mi wiadomym, męża owego nie można uznać za szczególnie prześladowanego. Był to arystokrata z Acharnii. Bronilem go w procesie, w którym groził mu wyrok śmierci.

Zaciekawiony, poprosiłem dziadka o rozwinięcie tego tematu. Z uśmiechem przestrzegł mnie, iż opowieść ta mogłaby się okazać przedsięwzięciem, które pochłonie wiele godzin, jako że dzieje owego człowieka rozpięły się na całe dziesięciolecia oraz na większość znanych nam lądów i mórz. Przestroga ta wszakże nie tylko mnie nie odstraszyła, ale wręcz wzmogła jeszcze mą ciekawość. Prosiłem dziadka, nalegałem, żeby zechciał przynajmniej rozpocząć tę opowieść, mimo że dzień miał się już ku końcowi.

– Wielce nienasycone z ciebie szczenię, prawda?

– Gdy chodzi o twoje opowieści, dziadku, to nigdy nie będę ich syty.

Uśmiechnął się na to.

– Zacznijmy tedy, a zobaczymy, dokąd nas ta opowieść doprowadzi – zgodził się. – W owych czasach nie wykształciła się jeszcze kategoria zawodowych retorów i znawców zagadnień sądowniczych. Postawiony przed trybunałem, każdy

sam przemawiał we własnej obronie. Jeśli jednakowoż miał takie życzenie, to wolno mu było wybrać sobie jakąś osobę – ojca lub stryja, a może po prostu przyjaciela czy też wpływowego obywatela – do pomocy w przygotowaniu swej obrony. I otóż człowiek ów wysłał do mnie z więzienia list z taką właśnie prośbą. Dziwne to było, jako że nie łączyła nas nawet zwyczajna znajomość, a tylko to, że obaj uczestniczyliśmy w tych samych wojennych kampaniach, będąc dowódcami podległymi Peryklesowi młodszemu, synowi wielkiego Peryklesa i Aspazji, którego obaj mieliśmy zaszczyt zwać swoim przyjacielem; była to wszakże w owych czasach okoliczność w żadnej mierze nienadzwyczajna i nie stanowiła jakiegokolwiek podstawy do domniemywania bliższych osobistych więzów. Co więcej, oskarżony cieszył się, oględnie mówiąc, złą sławą. Wprawdzie jako oficer odznaczył się powszechnie uznanym męstwem, miał również liczne i wybitne zasługi w wieloletniej służbie dla państwa, lecz w godzinie kapitulacji Aten wkroczył był do miasta nie tylko pod sztandarem spartańskiego wroga, ale i z jego szkarłatną opończą na ramionach. W moim przekonaniu, co mu zresztą bez ogródek powiedziałem, ktoś, kto dopuścił się tak haniebnego uczynku, musi ponieść najsurowszą

karę, przeto nie mogłem przystać na to, bym miał w jakikolwiek sposób usprawiedliwiać w oczach sądu takiego przestępcę. On jednakowoż nie zaniechał swych nalegań, aż w końcu – choć w tym samym czasie osądzony został i skazany na śmierć sam Sokrates, który zresztą zamknięty był w murach tego samego więzienia i czekał na egzekucję, jemu więc przede wszystkim winienem był przyjść z pomocą, nie wspominając już o obowiązkach, jakie miałem wobec swojej rodziny – zgodziłem się pomóc mu w przygotowaniu obrony. Nie dlatego, bym wierzył, iż mógłby zostać uniewinniony, ani też, bym uważał, że na to zasługuje (on sam zresztą bez ociągania przyznał rację oskarżeniu), ale z poczucia niezbędności upublicznienia jego historii, choćby tylko przed sądem, aby się ona odbiła w zwierciadle demokracji, która – skazując na śmierć najszlachetniejszego ze swych obywateli, Sokratesa – dowiodła, że w jej oczach haniebne uczynki zasługują na złożenie ofiary wyjętej z własnej społeczności.

Przez kilka długich chwil dziad mój milczał. Czulem wręcz jak swym wewnętrznym wzrokiem zapada w głąb samego siebie, jego dusza zaś przyzywa wspomnienie owego człowieka, a zarazem atmosferę i ducha tamtych czasów.

– Jak zwał się ten oskarżony, dziadku?

– Polemides, syn Nikolaosa.

Coś mi przypominało to imię, jednakże nie potrafiłem go umiejscowić w żadnym czasowym kontekście.

– Człowiek – dodał mój dziad – który zamordował Alkibiadesa.

2. MORDERSTWO W MELISSIE

– Na czele skrytobójczego spisku stali dwaj szlachetnego rodu Persowie – opowiadał dalej dziadek – działający z rozkazu gubernatora Frygii mianowanego przez Wielkiego Króla. Przyłączyli oni statkiem z Abydos w Hellesponcie do trackiej warowni, w której osiadł na ostatecznym wygnaniu Alkibiades; tam wszakże przekonawszy się, że wskazana im ofiara jest nieobecna, podążyli jej śladem poprzez cieśninę do Azji. Persom towarzyszyli trzej Spartanie, których przywódca, Endiusz, był od dzieciństwa serdecznym przyjacielem i powiernikiem Alkibiadesa. Wyznaczyli ich do tego zadania władcy Sparty, nie po to jednak, by współuczestniczyli w morderstwie, lecz jako naocznych jego świadków, mogących potem zaświadczyć o unicestwieniu męża, którego jako ostatniego z żywych wciąż się Sparta lękała. Taką bowiem cieszył się Alkibiades sławą człowieka zdolnego do ucieczek i ponownego się pojawiania, że wielu wierzyło, jakoby potrafił wyprowadzić w pole nawet ostatecznego sędziego – śmierć.

Towarzyszył owym trzem Spartanom płatny zabójca, Telamon z Arkadii, wraz z kilkoma

mordercami, których sam sobie dobrał; jego zadaniem było opracowanie i wykonanie planu tego przedsięwzięcia. Miał on za współnika właśnie Ateńczyka Polemidesa.

Polemides był przyjacielem Alkibiadesa. Przez cały ciąg znakomitych zwycięstw, odniesionych pod wodzą Alkibiadesa w wojnie peloponeskiej, służył on pod nim w randze kapitana piechoty morskiej, a kiedy wódz triumfalnie powrócił do Aten, został dowódcą jego straży przybocznej i zajmował miejsce po jego prawicy, gdy Alkibiades przywrócił tradycję przemarszu przez ateńskie ziemie dla uczczenia misteriów eleuzyńskich. Wciąż mam przed oczyma jego pojawienie się na Samos, dokąd przywołano Alkibiadesa z wygnania, aby stanął na czele floty. Chwila owa brzemenna była w groźbę wybuchu, jako że wokół przystani zwanej Małą Choma kłębiło się dwadzieścia tysięcy rozgoryczonych swym losem żeglarzy, żołnierzy piechoty morskiej i ciężkiej, gdy oto przybił okręt i na pomost zstąpił Polemides, osłaniając swego dowódcę przed tłumem, który równie dobrze mógł go obrzucić kamieniami, jak i oddać mu cześć. Wpatrując się w oblicze Alkibiadesa, bez wątpienia widziałem, że maluje się na nim wyraz absolutnego zaufania do stojącego u jego boku

żołnierza, w którego rękach spoczywało jego życie.

Tegoż samego Polemidesa obowiązkiem było teraz, po upływie siedmiolecia, wywabić ofiarę z ukrycia, aby zabójca Telamon mógł ją wraz ze swą kohortą uśmiercić. Otrzymał miał za to ze skarbcza Persji jeden talent srebra.

Wszystko to mąż ten, niczego przede mną nie skrywając, wyznał już w pierwszych minutach naszej wstępnej rozmowy, a to w tym, jak stwierdził, celu, abym ja – którego rodzina związana była przez ' małżeństwo z Alkmeonidami, krewnymi Alkibiadesa ze strony matki, i który sam pozostawałem z nim w pewnym związku poprzez swoje oddanie Sokratesowi (tego zaś łączyła z nim powszechnie znana zażyłość) – od początku znał całą prawdę i mógł się, gdyby takie było moje życzenie, wycofać.

Trzeba przy tym zaznaczyć, że w oskarżeniu, jakie przeciw niemu sporządzono, nie było żadnego odniesienia do osoby Alkibiadesa.

Oficjalnie obciążano Polemidesa odpowiedzialnością za śmierć bosmana floty imieniem Filemon, który parę lat wcześniej zamordowany został w trakcie bójki, do jakiej doszło w pewnym burdelu na Samos. Najpoważniejsze było drugie sformułowane przeciw niemu oskarżenie, a mianowicie o zdradę.

Jasne było, że tę właśnie zbrodnię sędziowie umieszczą w ramach zarzutu zabójstwa, które pociągało za sobą surowszy wyrok. Tego rodzaju dwulicowość bynajmniej nie była w tamtych czasach rzadkością, wszelako owa pośredniość zarzutu wymuszona została przez przepis prawny, którym posłużyli się oskarżyciele, wytaczając Polemidesowi proces.

Otóż nie oparli oni swego oskarżenia ani na *eisangelii*, czyli zwyczajowym przepisie odnoszącym się do zdrady, ani na *dike phonou*, czyli bezpośrednim zarzucie zdrady, gdyż oba te oskarżenia dałyby mu możliwość wygnania z własnego wyboru, a zatem uniknięcia śmierci. Zamiast tego zadenuncjowali go dwaj bracia (pospolici łotrzykowie i donosiciele, dobrze wszystkim znani z usług świadczonych wrogom demokracji) na podstawie *endeixis kakourgias*, o wiele ogólniejszego prawa o „złoczyństwie”. Na pierwszy rzut oka mogło się to zdawać niedorzecznością, która wzięła się z faktu, że oskarżyciele nie znali prawa, wszelako po zastanowieniu łatwo było się domyślić, na czym polegał kruczek: ten bowiem zarzut nie tylko pozwalał na więzienie oskarżonego przed procesem i w jego trakcie bez pozostawienia mu szansy udania się na

dobrowolne wygnanie, ale zarazem wykluczał możliwość wyjścia na wolność za kaucją. Za „złoczyństwo” groziła kara śmierci, nadto zaś oskarżonemu nie przysługiwał proces przed Radą Pięciuset lub areopagiem, lecz przed sądem ludowym, w którym na dźwięk epitetów w rodzaju „zdrajca” czy „przyjaciół Sparty” niechybnie rozpaliby się płomień gniewu. Oczywiście było, że jeśli nie takim, to innym sposobem oskarżyciele pragnęli doprowadzić do śmierci Polemidesa i, na ile można było to przepowiedzieć, miało się stać zgodnie z ich życzeniem. Jakkolwiek bardzo wielu obywateli nienawidziło Alkibiadesa, obwiniając go o narodową klęskę, to wielu było takich, którzy wciąż go kochali, toteż nie sprzeciwiliby się egzekucji człowieka, który zdradził i zamordował ich bohatera. Jednakże, jak zauważył sam Polemides, jego oskarżyciele bez wątpienia występowali w interesie przeciwnej grupy – tych mianowicie, którzy spiskowali z wrogami kraju, próbując tym sposobem kupić sobie własne swe ocalenie za cenę zrujnowania ojczyzny.

Jako człowiek Polemides był uderzającej i nieprzeciętnej powierzchowności: czarnooki, nieco poniżej przeciętnego wzrostu, nadzwyczaj mocno umięśniony, a jednocześnie, choć dobrze już po

czterdziestce, smukły i wąski w pasie niczym chłopiec. Jego broda miała barwę żelaza, skóra zaś, pomimo że przebywał w więzieniu, zachowała miedziany połysk, właściwy tym wszystkim, którzy sporą część życia spędzili na morzu. Na jego rękach, nogach i plecach krzyżowały się blizny po oparzeniach i ranach od włóczni i mieczów. Na ogorzałym od działania żywiołów czole wciąż widoczne było niewolnicze piętno w formie *kopy*, którym znaczyli swych jeńców Syrakuzanie; dowód niewoli przeżytej po sycylijskiej katastrofie i zarazem symbol nieopisanych cierpień, jakich mu w niej nie oszczędzono.

Czy napawał mnie odrazą? Przygotowany byłem na to, że takie właśnie wzbudzi we mnie uczucie, jednakże cechująca go jasność myślenia i wysławiania się, szczerłość i w najmniejszym stopniu nie udawany brak jakiegokolwiek dla siebie pobłażliwości – już w pierwszej chwili stępiły ostrze mojego doń uprzedzenia. Pomimo przestępstw, których się dopuścił, człowiek ten przypominał mi postać Odyseusza takiego, jaki jawił się on w pieśniach Homera. Zwłaszcza że jego zachowanie w niczym nie kojarzyło się z brutalnymi lub butnymi manierami najemnego żołnierza; przeciwnie, postawa jego i sposób bycia właściwe były osobom szlachetnego

urodzenia. Choćby niewiele pozostało mu wina, to natychmiast nim częstował, nalegając równocześnie, aby gość zasiadł na jedynym stołku, jakim rozporządzał w swej celi, moszcząc go dla większej wygody wełnianą tkaniną, którą zwykł przykrywać pojedynczą nagą matę, służącą mu za posłanie.

Podczas naszej wstępnej rozmowy Polemides nie zaprzestawał rytmicznego zaciskania rozmaitych mięśni, które miało pomimo zamknięcia w ciasnej przestrzeni zapewnić jego ciału normalną sprawność. Opierał na przykład stopę na murze powyżej swej głowy, po czym, stojąc na jednej nodze, pochylał się, bez wysiłku dotykając czołem wzniesionej goleni. Kiedy pewnego razu przyniosłem mu parę jaj, zamknął jedno z nich w dłoni i wyciągnąwszy przed siebie rękę, zaproponował mi, bym albo rozwarł jego zaciśnięte palce, albo spróbował zgnieść chronione przez nie jajo. I w samej rzeczy ze wszystkich sił bezskutecznie próbowałem to uczynić, podczas gdy on przyglądał się moim wysiłkom z kpiącym uśmiechem.

Przebywając z rym człowiekiem, nigdy nie odczułem jakiejś obawy lub zgoła lęku przed nim. Co więcej, w miarę upływu dni zacząłem odczuwać szczerą sympatię dla tego nieszczęśnika, pomimo jego tak licznych przestępstw, które w dodatku nie budziły

w nim wyrzutów sumienia. Imię jego, jak ci zapewne wiadomo, znaczy „dziecko wojny”. On sam jednakowoż nie był dzieckiem jakiejś tam zwyczajnej wojny, lecz takiej, która pod względem rozmiarów i długotrwałości nie miała równej sobie w dziejach, a nadto wyróżniła się spośród wszystkich innych pogardą dla poczucia honoru i sprawiedliwych praw oraz odstępniem od umiarkowania w czynach, którą to zasadą kierowali się przedtem na wojnach wszyscy Hellenowie. Ta właśnie wojna, pierwsza, którą zwać należy nowoczesną, wytyczyła przed Polemidesem drogę przeznaczenia i nakazała mu ją przebyć aż do samego końca. Zaczął jako żołnierz, a kończył jako zabójca.

Czymże się od niego różniłem? Któż mógłby zaręczyć, że również na mnie lub na kimkolwiek innym nie kładł się skrywany w tajni duszy cień takich samych, nakazanych nam lub dozwolonych sobie postępów, które złożyłyby się na taką samą mroczną historię, jaka stała się w świetle dnia udziałem naszego krajana Polemidesa? Był on wszak, podobnie jak ja, wytworem naszej epoki. A jak kilka jest zawsze wyżej i niżej biegnących wzdłuż wybrzeża dróg, które prowadzą do tej samej zatoki, tak jego ścieżka szła równolegle do mojej i do tej, którą kroczyła większość

nam współczesnych, tyle tylko, że przez inne powiodła go krainy.

3. W CELI POLEMIDESA

„Pytasz, Jazonie – tak rzecze do mnie więzień Polemides – jaki jest najwstrętniejszy aspekt sztuki mordowania. Wiedząc, żeś wzorem uczciwości, domyślał się, iż spodziewasz się odpowiedzi, w której wymieniłbym poczucie winy za przelaną krew bądź świadomość rytualnego zbrukania, albo też jakiegoś rodzaju fizyczną trudność, jaką sprawia zabijanie. Otóż nic podobnego. Najohydniejsza ze wszystkiego jest konieczność przyniesienia zlecniodawcy głowy ofiary.

Musisz to zrobić, jeśli chcesz, by ci zapłacono.

Arkadyjczyk Telamon, który był moim mentorem w morderczym rzemiośle, nauczył mnie zanurzania jej w wypełnionym oliwą dzbanie, który się następnie niesie w powrotnej drodze. W pierwszych dniach wojny nie domagano się przedstawienia takiego dowodu; wystarczał wówczas pierścień lub jakiś amulet, jak mi potem opowiadał mój mistrz, jako że ja sam jeszcze wtedy nie zacząłem praktykować owej »cichej sztuki«, pełniąc wraz z innymi zwykłą żołnierską służbę. Jednakże w miarę jak przedłużała się wojna, rosły wymagania stawiane mordercom; ofiary, którym los dał taką szansę, nieodmiennie

błagały, i czasem wielce wymownie, o darowanie im życia. Wszelako jeśli o mnie chodzi, to uważałem okazanie łaski za niehonorowy postępek, a przy tym za marny interes, toteż nie ulegałem takim pokornym błaganiom, dotrzymując podjętych przez siebie zobowiązań.

Widzę, że się uśmiechasz, Jazonie. Musisz jednak pamiętać, że nie zawsze byłem łotrem. Wśród antenatów mego rodu był heros Filejos, syn Ajaksa i przodek Miltiadesa i Kimona, tego, który otrzymał prawa do miasta wraz z bratem swym Euryzakesem, a za którego potomka uważał się wszak sam Alkibiades. Ojciec mój był rycerzem Meleagera i hodował rumaki wyścigowe, w tym sporą liczbę takich, które odznaczały się najświetniejszym pochodzeniem, a pomiędzy nimi klacz Briareję, prowadzącego konia w zaprzęgu Alkibiadesa, z którym zdobył on laur olimpijski w roku swego wspaniałego potrójnego triumfu, kiedy to sam Eurypides odśpiewał odę na cześć zwycięzcy. Ród nasz wydawał dobrych i godnych poważania ludzi.

Co rzekłszy, bynajmniej nie zamierzam mienić się niewinnym zabójstwa Alkibiadesa ni jakiegokolwiek innego przestępstwa, o które zostałem oskarżony. Ale przecież nie za to chcę mnie skazać te kanalie, gdyż

nie? Wszak wciąż jeszcze nie posiadają się z radości, że mąż ten jest martwy. Ludzie niczego bardziej nie nienawidzą niż konieczności spojrzenia w postawione przed sobą zwierciadło, w którym przyszloby im ujrzeć odbicie niemożności dowiedzenia samym sobie, iż warci są własnego o sobie wyobrażenia. A tej właśnie zbrodni dopuścił się twój mistrz, filozof Sokrates. I za to dadzą mu do wypicia cykutę. Obawiam się, że moje przestępstwa nie okażą się godne aż takiego uhonorowania.

Powiadam wszakże, że zarzut morderstwa, tego, którego ofiarą padł ten nieszczęsny Filemon, niesłusznie został mi postawiony. To był wypadek! Każdy ci to powie, kto był tego świadkiem.

Lecz oto – proszę! Słyszysz? Ja błagam o życie! Tak samo jak każdy inny kłamliwy wieprz, którego tu posadzą. – Śmieje się. – Gdybym miał zakopane na podwórku złoto, wykopałbym je, żeby się wykupić. Tak! I rób sobie wtedy, co chcesz, z moją połowicą i córkami. – Znowu się śmieje. – Lecz posłuchaj, Jazonie. Doceniam to, że do mnie przyszedłeś. Wiem przecie, ile masz własnych spraw na głowie, i wdzięczny ci jestem za poświęcony mi czas. Świadom też jestem, jak bardzo pogardzasz, jeśli nie mną samym, to występnyymi czynami, których się

dopuszciliem. Co się tyczy mych szans na uniewinnienie, to ktoś, kto lubi się zakładać, w moim przypadku raczej od razu kupi łopatę, żeby nią wykopać mój grób. Lecz upraszam cię, zostań przy mnie. Pójdź ze mną tropem tego męża, o którym mówią, że go zamordowałem, a z którego losem tak bardzo splotły się i nasze losy – twój, mój i całego narodu.

Jeśli jestem winny jego śmierci, to winne są także Ateny. Bo czegoż innego się dopuszcziliem niż tego tylko, czego one pragnęły? Kiedy go miasto nasze kochało, kochałem go i ja. Kiedy go znienawidziło, i ja go nienawidziłem. Spraw, byśmy mogli opowiedzieć naszą historię. Historię uroku, który rzucił ów mąż na nasze państwo, i tego, jak jego zły czar doprowadził nas do ruiny, bo przecież wszystko zmieszane jest w tym samym koszyku. Skoro żebrzę o życie niczym nędzny pies, którym w istocie jestem, to może jednak uda się nam wykopać trochę złota na podwórku; wydobyć skarb, jakim byłaby wnikliwość i olśnienie. Co ty na to, Jazonie? Wspomożesz mnie? Wesprzesz łotra w poszukiwaniu źródeł jego własnego łotrostwa?".

4. CIERPIENIE I OBOWIĄZEK

„Kiedy ukończyłem dziesięć lat – kontynuował Polemides – ojciec posłał mnie na szkolenie do Sparty. W latach poprzedzających wojnę nie była to rzecz ani trochę niezwykła, gdyż pomiędzy obu naszymi potężnymi państwami panował jeszcze wówczas duch przyjaźni, dzięki któremu wspólnie chroniły one Grecję przed perskim jarzmem. Jeśli pominąć przejściowe starcia i konflikty, to Sparta budziła w obywatelach Aten przede wszystkim uczucie szacunku. Wiele spośród starszych ziemiańskich rodów, nie tylko w naszym mieście, ale i w całej Grecji, łączyły ze spartańskimi familiami więzy wzajemnej gościnności i przyjaźni; bywało, że tacy dobrze urodzeni obywatele bliżsi się czuli równym sobie po drugiej stronie granicy niż pospólstwu własnego kraju, którego narastająca krzykliwość i zadufanie groziły nie tylko zanikiem dawnej grzeczności w stosunkach międzyludzkich, ale wręcz spospoliceniem i moralnym zepsuciem dorastającej młodzieży. Jakimże lepszym sposobem temu zapobiec, myśleli sobie ojcowie, niż posyłając synów na rok lub dwa do spartańskiej *agoge*, czyli na wychowanie, podczas którego chłopcy przesiąkną starodawnymi cnotami milczenia, powściągliwości i

posłuszeństwa?

Pośród przodków mego ojca znajdowali się ateńscy herosi, Miltiades i Kimon, przy czym ten drugi cieszył się wśród Spartan niemal równie wielkim poważaniem jak ich własni królowie, które to uczucie Kimon zawiązką im odwzajemniał, najstarszemu synowi nadając imię Lacedemoniusza i posyłając go do Sparty na wychowanie, aczkolwiek tylko do szesnastego roku życia. Dzięki swym osobistym powiązaniom ze spartańskimi rodami, a także korzystając z własnych wpływów, ojciec mój zdołał umieścić swego pierworodnego pośród garstki cudzoziemców, którym pozwolono »cierpieć, kraść i głodować« w gronie synów Lacedemonu. Dwudziestu lub trzydziestu takich jak my *anepsioi*, czyli »kuzynów«, ściągало tam każdego roku z całej Grecji, by zająć miejsce u boku siedmiuset małych Spartan. Także i Alkibiades, choć nie przeszedł lacedemońskiej szkoły, był traktowany przez spartańskiego rycerza Endiusza (który potem miał w Azji nadzorować wykonanie wyroku śmierci na swym druhu) jako *xenos*, czyli gość – przyjaciel. Ojciec Endiusza nosił imię Alkibiades, będące lacedemońskim mianem, które jednak nadawano chłopcom w obu rodzinach. Imię mego ojca, Nikolaos, wywodziło się z lakońskiego, podobnie zresztą jak i

moje, które brzmiało Polemidas, tyle że wstępując do armii, zmieniłem jego zapis na attycki.

Wybuch wojny zastał mnie w Sparcie; miałem dziewiętnaście lat i jeden tylko kurs ćwiczebny brakował mi do inicjacji do grona wychowanków, które zwano Cierpienie i Obowiązek, najwyższego w spartańskiej hierarchii stopnia przyznawanego cudzoziemcom, a równoważnego przyjęciu obywatela Sparty do Korpusu Równych, czyli kasty spartiatów oraz ich »przyrodnich braci«, jak zwano *metojków*.

Tylko nieliczni domyślali się wówczas, że wojna potrwa dłużej niż jedną kampanię. Prawda, że zaangażowali się w nią Ateńczycy, których oddziały przystąpiły do oblężenia Potidei, wszelako uważano to za wewnętrzną sprawę pomiędzy Atenami a jednym z podległych im państw, jakkolwiek nie było wcale pewne, czy wyraziło ono jakiś głośny sprzeciw i czy pogwałciło pokój; wszak to nie spartański wół ugodzony został czyimś rogiem, nieprawdaż? Wprawdzie w rzeczy samej pod naciskiem sojuszników wojska Sparty najechały w odwecie Attykę, ale tak lekko do tego podchodząc, że bez żadnego sprzeciwu także i mnie pozwolono na udział w przygotowaniach do wymarszu dwóch liniowych dywizji; miało do nich dołączyć dwadzieścia tysięcy

ciężkiej piechoty, wystawionej przez peloponeskich sojuszników Sparty, w której składzie znalazły się dwie brygady inwazyjne. Wszyscy zresztą cudzoziemscy chłopcy pomagali przy owym wymarszu i nie przykładaliśmy do tego żadnej wagi. Ot, armia wkroczy, zrobi piekło i wróci do koszar, zostawiając pole do negocjacji, w wyniku których jesienią lub zimą dojdzie do ugody. Żadnemu ze Spartan nie przemknęła nawet przez głowę myśl, aby wykluczyć nasze młodzieńcze grono ze szkolenia i rozesłać nas do domów.

W przeddzień Gymnopajdii, Święta Nagich Chłopców, dotarła do mnie wiadomość, że posiadłość mego ojca padła ofiarą pożaru. Wybrany już wówczas byłem na *eirenosą*, dowódcę młodych adeptów, i tego właśnie wieczoru dostałem pod swoją komendę własny pluton. Gotowaliśmy się akurat do próby chóru, gdy jeden z chłopców, wybitnie skądinąd uzdolniony Filoteles, skrupulatnie przestrzegając ściśle określonych prawem przepisów, wystąpił przed szereg ze spuszczonej oczyma i rękoma schowanymi pod pelerynką, prosząc o pozwolenie zwrócenia się do mnie. Ojciec jego, Leander, wysłany został z armią do Attyki i właśnie przesłał był do domu wiadomość. Nasza posiadłość była mu dobrze znana, gdyż nieraz

bywał w niej gościem.

»Przekaż, proszę, Polemidasowi wyrazy mego najgłębszego żalu« – pisał Leander w swoim liście, posłużyw się mym lakońskim imieniem. »Użyłem wszelkich moich wpływów, by zapobiec tej akcji, jednakże powodowany wróżebnymi znakami Archidamos ten właśnie wybrał okręg. Niemożliwością było uchronić jedną posiadłość, podczas gdy wszystkie inne padłyby ofiarą pożogi«.

Niezwłocznie zgłosiłem się na rozmowę do mojego dowódcy, Febidas, brata Gilipposa, tego, który kilkaset tysięcy poległych później miał dowieść na Sycylii swych dowódczych zdolności w walce, która tak katastrofalne spowodowała skutki w szeregach naszych wojsk. Jak winienem teraz postąpić? Wracać do domu, czy też do końca kontynuować szkolenie? Febidas był wzorem szlachetności; swoistym reliktem dawnych czasów, w których cnoty były jeszcze w cenie. Po długich deliberacjach, wspartych wróżebnymi snami w Ojum, postanowione zostało, że obowiązek, jaki mam wobec bogów domowego ogniska i ojczyzny, przeważa nad wszystkimi innymi zobowiązaniami, muszę przeto wracać do domu.

Wędrowałem do Achamy, sto czterdzieści mil w ciągu czterech dni, nie mając nawet psa, który by mi

towarzyszył, i nie przeczuwając, że to dopiero pierwszy z całej serii czekających mnie bolesnych ciosów. Czego się spodziewałem, to winnic i gajów oliwnych poczerniałych od ognia, zburzonych ogrodzeń i zniszczonych zasiewów. To jednakowoż, jak wiesz, Jazonie, żadna katastrofa; winorośle i drzewka oliwne odżyją, a ziemi nic nie zdoła zabić.

Do posiadłości mego ojca, zwanej Zakrętem Drogi, dotarłem o zmierzchu. Mamy zastałem widok, ale mimo to nie byłem przygotowany na rozmiar zniszczeń, jakie zobaczyłem w świetle poranka. Ludzie Archidamosa nie poprzestali na spaleniu winnicy i gaju oliwnego, lecz poobdzierali rośliny do żywej nagiej tkanki, a następnie spryskali te kikuty lasowanym wapnem, zalewając nim całutkie pole. Dom obrócił się w zgliszcza, podobnie jak chaty robotników i budynki gospodarcze. Wyrżnięte zostały wszystkie zwierzęta. Nawet koty.

Cóż to była za wojna? Jakimże królem był Archidamos, skoro do takiego zachęcał łupiestwa? Ogarnął mnie straszliwy gniew; jeszcze większa wściekłość buchała z mego młodszego brata Demadesa, zwanego w rodzinie Małym Lwem, którego w końcu odszukałem w mieście. W tajemnicy przed ojcem, który nakazał mu kontynuowanie studiów

muzycznych i matematycznych, wstąpił on pod fałszywym imieniem do pułku w Egidzie, poza naszym ojczystym regionem. Obaj młodsi bracia ojca i cała szóstka mych kuzynów – wszyscy zgłosili się do swoich kompanii; także i ja wstąpiłem do wojska.

Zaczęła się więc wojna. Daleko na północy, ośmieleni wkroczeniem Spartan do Attyki Potidejanie na dobre zbuntowali się przeciwko naszemu imperium, toteż ich miasto zostało obleżone przez setki okrętów oraz przez dziewięć i pół tysiąca ateńskich i macedońskich żołnierzy. Także i Alkibiades, najświetniejszy przedstawiciel młodego pokolenia, wstąpił do służby. Nadto niecierpliwy, by czekać na swoje dwudzieste urodziny i procedurę przyjęcia do konnicy, zaokrętował się jako szeregowy piechociarz z euryzacką kompanią, którą dostał pod komendę jego opiekun Perykles. Ponieważ zła pogoda i zbliżający się koniec żeglownego sezonu groziły pozostaniem na brzegu tym naszym acharneńskim kompaniom, które jeszcze nie znalazły miejsca na okrętach, dociśnięto nas do tego właśnie oddziału. Ósmego dnia pyanopsionu, w dzień Tezeusza, wypłynęliśmy, borykając się z wyjąłym północnym wichrem.

Miałem w przyszłości przeżyć jeszcze wiele morskich podróży, ta jednak była ze wszystkich

najokropniejsza. Żaden maszt naszej pięćdziesiątki nie został nawet ożaglowany; płótna posłużyły jedynie jako nader marna ochrona przed wichrem i strumieniami wody, przelewającej się wściekle przez burty okrętu i jak dzień długi zalewającej nasze głowy i plecy, jako że staliśmy się nie tylko żołnierzami, ale i wioślarzami, którym nie przysługiwało prawo schronienia się pod pokładem. Żegluga do Torony zajęła nam osiemnaście dni; tam dopłynąwszy, nasze acharneńskie kompanie zostały pod komendą ateńskiego wodza Pachesa połączone ze skambonidyjskimi, po czym – wzmocnieni dwoma oddziałami macedońskiej jazdy – wysłani zostaliśmy tą samą drogą przez morze z rozkazem zdobycia i okupowania twierdz w Kolydonie i Madrecie.

Warownie owe, tak samo zresztą jak i cały ten region, były mi nieznane; poczułem się jak ktoś miotany morskimi falami na samych krańcach ziemi, bo też w rzeczy samej podobna pogoda mogła chyba panować tylko u wejścia do Tartaru. Płynęliśmy w dwadzieścia dwa okręty na południe – przy czym na jednym z nich znajdował się teraz mój brat, który przeniósł się do nas ze swojej kompanii – stłoczeni niczym sardynki w tłumie jeszcze bardziej niż my niedoświadczonych, rzygających żółtodziobów,

podczas gdy nieprzyjacielska konnica posuwała się wzdłuż brzegu w miarę postępu naszej flotylli, uniemożliwiając nam wszelkie próby lądowania.

Alkibiades trafił na pokład naszej »Hygei«, z miejsca zyskując sobie złą opinię, gdyż uchylał się od pracy przy wiosłach, każąc to za siebie robić swojemu giermkowi (na taką ekstrawagancję nie poważylałyby się nawet w myślach żaden inny młodzieniec, który jeszcze nie ukończył dwudziestu pięciu lat), sam zaś kontentował się obserwacją konwoju, zachowując się bardziej jak dowódca flotylli niż jak podobny reszcie nowicjusz, którym wszak w istocie był. Okrywał się czarną wełnianą opończę, ozdobioną wyhaftowanym srebrną nicią orłem tak misternej roboty, że kosztować musiała nie mniej, niż wynosiły roczne pobory dowódcy pułku. Każdy zresztą element jego wyposażenia był najwspanialszego wyrobu, on sam zaś... Cóż, równie dobrze jak ja pamiętasz jego ówczesną urodę. Patrząc na niego, było się rozdartym pomiędzy zazdrością – wszyscy bowiem wiedzieli o jego zamożności i kochankach – a zadziwieniem, że oto jakiś śmiertelnik tak wspaniale został obdarowany przez bogów.

Przez trzy dni nasza eskadra na przemian to wysuwała się przed wichurę, to znowu się w nią

wbijają, podczas gdy ci, którzy znali te wody, określali ów żywioł, niczym dla mnie nie różny od wycia piekieł, jako „umiarkowany” wiatr. Aż dopiero za trzecim wschodem słońca na dobre rozszalał się sztorm tak zabójczy, że chorągiewki sygnalizacyjne nakazały wszystkim okrętom kierować się ku brzegowi, nie przejmując się już nawet czyhającym tam wrogiem.

Czy znany ci jest, Jazonie, ów przyczółek, który zwą Kowalskimi Miechami? Dźwięków, które tam się usłyszeli, nie sposób kiedykolwiek zapomnieć. Co śmielejszym okrętom udało się w miarę gładko schronić za ich osłoną od wiatru, jednakże podobne naszej łajbie nieruchawe skorupy omal nie zostały ciśnięte o brzeg i zatopione. Jedynym nadającym się do lądowania miejscem była pokryta żwirem szczelina, z trzech stron zamknięta wysokimi na dwieście stóp klifami, ale dostępu do niej broniły wyrastające ponad powierzchnię głazy i skałki, które wybuchwały białymi pióropuszcami roztrzaskującej się o nie wody, i smagane wichrem, wydawały z siebie głuche wycie, które towarzyszyło łoskotowi pędzonych wichrem fal. Żeby się precyzyjnie przeczisnąć przez tak niebezpieczny kanał, trzeba było tytanicznej walki, dodatkowo utrudnianej przez przerażająco nieprzeniknione ciemności; udało się to w końcu tylko grupce sześciu mocno

poturbowanych okrętów, które zdołały osiąść na brzegu w miejscu zwanym Kotłami – na plaży tak płytkiej, że dzioby lądujących jednostek (w takim sztormie o lądowaniu rufami do brzegu nie było nawet mowy) nieomal stykały się z podnóżem skał. Wyższe od człowieka fale zalewały rufy, próbując z powrotem wessać je do morza. Tymczasem na domiar takiej gościnności, usytuowawszy się na krawędziach zbyt stromych do sforsowania klifów, nieprzyjaciel począł nas obrzucać gradem głazów i prowokować kamienne lawiny. Już na samym początku dwa okręty zostały przedziurawione, ogarnięta zaś paniką młodzież żadnymi rozkazami nie dała się nakłonić do starań o uratowanie pozostałych; przemoczeni i śmiertelnie przerażeni, przycupnęli wszyscy w skalnych szczelinach.

Rozproszyło się dowództwo. Paches i ateńscy oficerowie zostali zepchnięci przez fale poza przyładek; całą wieczność zabrało nam ustalenie, że najstarszym wśród resztek naszej eskadry oficerem jest pewien kapitan macedońskiej piechoty, który jednak kompletnie się załamał w tych straszliwych warunkach i schronił się w jaskini u podnóża klifu, skąd nie udawało się nam go wywabić.

Na plażę wciąż spadał grad głazów. Z każdym

kolejnym okrętem, który został przedziurawiony, rosła pewność, że jesteśmy zgubieni; wrogom wystarczy otoczyć nas z góry i wykończyć kamieniami i włóczniami. W pobliżu naszej »Hygei« osiadł transportowiec z ładunkiem koni. Część z nich miotała się w przybrzeżnym kotłowisku i tonęła; ich rozpaczliwe rżenia jeszcze bardziej rozstrajały nerwy niedoświadczonych żołnierzy. Sam okręt podrygiwał pomiędzy skałkami, utrzymywany w pobliżu brzegu tylko dzięki dziobowym i rufowym linom, z których każdą ciągnęło dwudziestu na wpół oszalałych ludzi, po piersi zanurzonych w spienionych falach. Rzucił się im na pomoc Alkibiades wraz ze swym kuzynem Euryptolemosem. Ja odszukałem jakoś mego brata i także pospieszyliśmy do lin. Po nieopisanych wysiłkach udało się w końcu przyciągnąć transportowiec do brzegu. Bez zbędnych słów Alkibiades objął komendę: odszedł od okrętu i zaczął szukać jakiegoś starszego ranga, któremu mógłby się zameldować, nam polecając dołączyć do siebie, gdy tylko sprowadzimy wszystkie konie na ląd.

Wichura nie przestawała szaleć. Z góry wciąż sypały się na nas głązy, raz za razem z głuchym łoskotem wbijając się w ziemię. Wydostaliśmy się wreszcie z bratem na plażę i rozejrzeliśmy się za

stanowiskiem dowódczym; zobaczyliśmy przed sobą Alkibiadesa, który przemawiał do macedońskiego kapitana. Ten, nie wiadomo czemu, w pewnej chwili nagle uderzył go swoją laską. Podbiegliśmy do nich i pomimo ogłuszającej kakofonii wichru i łoskotu wzburzonego morza zaraz pojeśliśmy, w czym rzecz: Alkibiades domagał się jakichś rozkazów, których roztrzęsiony kapitan nie potrafił wydać. Rzucił się ku młodszemu od siebie o dwadzieścia lat młodzieńcowi, którego ród i reputacja równie dobrze były mu znane, jak nam wszystkim, wrzeszcząc:

– Nie ma tu twojego kuzyna Peryklesa, młody człowieku, nie masz więc co się szarogęsić w jego imieniu!

– Przemawiam do ciebie w swoim imieniu i w imieniu tych wszystkich, którzy zginą, jeśli nimi nie pokierujesz! – odkrzyknął mu na to Alkibiades i potoczył ręką po okrętach, po rozszalałych falach i po spadającym z krawędzi klifu deszczu kamieni. – Zaczynj dowodzić, kapitanie, bo jeśli nie, to, na Heraklesa, ja to uczynię!

Jeszcze tylko dwie pięćdziesiątki nie doznały poważniejszych uszkodzeń; Alkibiades podążył w ich stronę. Macedończyk wrzeszczał za nim, nakazując mu się zatrzymać i grożąc piekielnymi karami za

nieposłuszeństwo, on wszakże, więcej się już z nim nie wyklócając, po prostu oddalał się; ja, mój brat i jeszcze grupka innych zgoła jak urzeczeni poszliśmy za nim. Dotarłszy do linii skał, Alkibiades wydał jakieś rozkazy, z których jednak nikt nie zdołał ani słowa wyłowić. Ale przecież, wiedzeni zgodnym odruchem, wspięliśmy się na oba pokłady i usadowiwszy się po dziesięciu, zabraliśmy się do wiosłowania, nie próbując nawet uruchomić sterowych wiosł, które przy takim stanie morza byłyby zupełnie bezużyteczne. Do dziś nie pojmuję, jakim cudem udało się nam odpłynąć od brzegu, nie tracąc życia. Poza życzliwością bogów naszą grupę ocaliła zapewne wytrzymałość wiązań samych okrętów oraz ilość nabranej przez nie wody, która stała się niezamierzonym, acz korzystnym balastem. Na cztery pociągnięcia tylko raz pióra wiosł rozgarniały wodę. Pchane wichrem bałwany waliły w kadłub niczym tarany obleźnicze, lecz równocześnie dwakroć dłuższe od okrętów odpływające fale z błyskawiczną prędkością pociągały je za sobą ku otwartemu morzu. Dzioby wpadały w otchłanie otwierające się przed nimi pomiędzy jednym a drugim natarciem wody, a wówczas wlewały się do wnętrza masy wody; gdy zaś z kolei następna fala wynosiła je w górę, wichura

uderzała w kil, stawiając okręt w niemal pionowej pozycji. My, którzyśmy zasiadali przy wiosłach, w takich chwilach dosłownie stawaliśmy na krawędziach ław współtowarzyszy, których mieliśmy za plecami.

Jakoś się nam w końcu udało wyprowadzić oba okręty jakieś pięć stadionów w morze. Porozumiewaliśmy się ze sobą na podobieństwo psów, wyszczekując pojedyncze słowa, które i tak natychmiast zagłuszała wichura; każdy jednak wiedział, jakie stoi przed nami zadanie: dokonać desantu od północy, wspiąć się na szczyt klifu i dotrzeć na tyły nieprzyjaciela.

Teraz już i Alkibiades wiosłował, i to tak zawzięcie, jak gdyby chciał w nas obudzić ducha współzawodnictwa; jego przekazywane z ucha do ucha rozkazy sprowadzały się do tego, by jakimkolwiek sposobem wprowadzić okręty na brzeg, nie przejmując się możliwymi uszkodzeniami, a myśląc jedynie o tym, aby nam samym nic się nie stało. Fala, która wyniosła nas z morza, uczyniła to z takim rozpędem, że wszyscy zostaliśmy wyrzuceni z ław i przelecieliśmy ponad burtami. Wpadłem do wody z takim impetem, że straciłem przytomność; ocknąłem się pośród przybrzeżnych skał, obciążony wypełnioną wodą misą tarczy, która z nieprzepartą siłą ciągnęła mnie w głąb.

Moje prawe przedramię, unieruchomione aż do łokcia w rękawie uchwytu, jakby znalazło się w okowach; to, że udało mi się w końcu wypłynąć na powierzchnię, zawdzięczam tylko temu, że siła uderzenia o wodę i napór wodnego wiru obluzowały nity, które mocowały obręcz uchwytu, mogłem więc uwolnić rękę. Na moich oczach utonął jednak chłopak, któremu przytrafiło się to samo, co mnie. Ocaleni z żywiołu żołnierze zgromadzili się na brzegu; wszyscyśmy byli do cna wyczerpani i wszyscy pozbawieni tarcz i broni. Oba nasze okręty rozpadły się w drzazgi. Przygnębieni chłopcy trzęśli się niczym paralitycy.

Obróciliśmy się ku Alkibiadesowi. Tak samo przemoczony i bezbronny i tak samo jak my wstrząsany konwulsyjnymi drgawkami, zdawał się jednak zachwycony tą sytuacją. Właśnie tak. Żadnym innym słowem nie da się opisać jego ówczesnego stanu ducha. Zdenerwowanym rozbiciem okrętów żołnierzom powiedział, że gdyby się same nie rozpadły, to rozkazałby je teraz podziurawić i potrzaskać.

– Zaniechajcie wszelkiej myśli o powrocie, bracia. Nie ma już dla nas żadnej innej drogi jak tylko ta, która prowadzi naprzód, i żadnego innego wyboru niż zwycięstwo lub śmierć.

Następnie zarządził odliczanie i kiedy okazało się, że trzech brakuje, gdyż utonęli, zaapelował do pozostałych, aby nadali sens ich śmierci. W jego mniemaniu niczego nam nie brakowało prócz niezbędnej do ataku śmiałości.

– Brak broni w takich ciemnościach w żadnej mierze nas nie osłabia. Wystarczająco groźnym orężem będzie nasze nagłe pojawienie się na tyłach wroga, który pierzchnie w następstwie samego szoku, o jaki przyprawi go nasz atak.

Po czym powiódł nas w górę stromizny. Będąc samemu konnym wojownikiem, domyślał się, że wobec takiej nawałnicy pierwszą myślą nieprzyjacielskiej jazdy będzie znalezienie schronienia dla wierzchowców. Nie jesteśmy bynajmniej na straconej pozycji, powtarzał, niech sztorm skryje nas, jaką tylko zechce ciemnością, a nam wystarczy podążać skrajem urwiska i wypatrywać w świetle błyskawic nieprzyjacielskiej kryjówki.

I oczywiście miał rację. Rozbłysła na chwilę turnia i zobaczyliśmy ich u jej stóp. Wpadliśmy na koniuszych z kamieniami, kijami • ułomkami wiosel. W parę chwil nasz młodociany dowódca miał już pod komendą konny oddział i dalej prowadził nas w grobowych ciemnościach skrajem urwiska. Kiedyśmy

dotarli do grzbietu, zgodnie z przewidywaniami Alkibiadesa nieprzyjacielscy żołnierze w panice rozpierchnęli się. Pognaliśmy za uciekającą w dół zbocza kilkunastoosobową grupką; zaparłem się, żeby któremuś odebrać tarczę, jako że dla wychowanka spartańskiej szkoły godniejszą rzeczą jest zginąć, niż powrócić ze zwycięskiego nawet boju z pustymi rękoma.

I oto pierwszy człowiek padł pod moim ciosem. Skoczyłem na niego pośród głazów; w ciemności rozległ się trzask pękającej czaszki od uderzenia w kamień. Brat odciągnął mnie od trupa, gdy oprócz tarczy próbowałem ściągnąć z niego napierśnik. Szalałem z radości, że udało mi się przeżyć, i nagle poczułem się niezwyczężony, jak to się zdarza wielu młodym wojownikom, którzy w podobnym do mojego uniesieniu dopuszczają się rozmaitych barbarzyńskich postępków.

Lew zawlókł mnie z powrotem na skraj klifu. Zebrali się tam już uczestnicy pościgu, biorąc w posiadanie nieprzyjacielskie stanowisko. Zwyciężyliśmy! Pod nami wiwatowała reszta naszego oddziału. Spostrzegłem, że ściana klifu była już olinowana; kilku spośród pozostałych na brzegu towarzyszy wspięło się na szczyt i stanęło przed nami.

Rozpoznałem pomiędzy nimi macedońskiego kapitana, który natychmiast zaczął gwałtownie i nienawistnie besztać Alkibiadesa.

Oskarżył go o lekkomyślność i niesubordynację, a jego postępek nazwał haniebnym. Oto trzech ludzi zginęło w wyniku jego brawury, a dwa okręty uległy zniszczeniu na skutek tego, że uzurpował sobie dowództwo! Gdzie broń i tarcze? Czy wiedzą, jaka kara grozi za ich utratę?

Oczy kapitana płonęły wściekłością. Już on dopilnuje, żeby Alkibiades odpowiedział za bunt, jeśli wręcz nie za zdradę, a wówczas – na Zeusa – on zatańczy na jego grobie!

Podeszli trzej podlegający mu oficerowie, a zarazem rodacy, i ujęli go za ramiona. Alkibiades słuchał oskarżeń Macedończyka z kamienną twarzą, czekając, aż się wygada, a potem oświadczył:

– Nie należy wygłaszać tego rodzaju mów, kiedy się stoi plecami do przepaści.

Oprę się pokusie zbytniego przedramatyzowania sytuacji; powiem tylko, że trójka rodaków kapitana wzięła na siebie rolę katów i obezwładniwszy dowódcę, zepchnęła go z klifu.

My wszyscy, szeregowi młodzi żołnierze, którzyśmy właśnie przeszli tak przejmująco grozą

chrzest bojowy – i to w dodatku rozciągnięty na tak niewyobrażalnie dla nas długi czas – teraz stanęliśmy przed jeszcze bardziej przerażającą perspektywą. Co nas w tej sytuacji czeka? Przecież nie ulega wątpliwości, że ci na dole zmuszeni będą zameldować dowództwu o postępku Alkibiadesa. Możemy zostać uznani za współsprawców tego czynu. Czy nie zostaniemy oskarżeni o morderstwo? Czy nie zostaną splamione nasze imiona, a rodziny nasze nie okryją się wstydem, odarte z honoru? Czy nie pognają nas skutych łańcuchami do Aten, gdzie czekać nas będzie egzekucja?

Tymczasem Alkibiades przystąpił do owych trzech oficerów i kładąc im dłonie na ramionach, zaraz zapewnił, że nie ma wobec nich żadnych złowrogich intencji, chciałby tylko, jeśli mogą to uczynić, żeby podali mu imię i ród ich kapitana, który spadł w przepaść.

– Przygotujcie następującą depezę – rozkazał im, po czym podyktował tekst wyróżnienia za okazane męstwo. Każdy poszczególny akt odwagi, którym sam się wykazał w tej akcji, przypisał w owym wyróżnieniu nieszczęsnemu Macedończykowi. Wyliczył jego męstwo w obliczu groźby całkowitej zagłady; opisał, jak to lekceważąc własne bezpieczeństwo, wkroczył on

w burzę, wspiał się po nagiej ścianie urwiska na szczyt, aby otoczyć i przegnać wroga, czynem swoim ratując okręty i pozostałych na brzegu żołnierzy podlegającej mu kompanii. Niestety, w kulminacyjnym momencie tego triumfu, gdy właśnie ostrze jego miecza pozbawiło życia nieprzyjacielskiego dowódcę, wyrokiem okrutnego losu stracił równowagę i runął w przepaść.

– Sława tego czynu – zakończył Alkibiades – będzie trwała wiecznie.

Oświadczył następnie, że raport zostanie dostarczony ojcu kapitana i że sam osobiście przedstawi go po powrocie eskadry Pachesowi i macedońskim wyższym dowódcom.

Co rzekłszy, obrócił się ku gromadce, w której staliśmy obaj z Lwem.

– Który z was, bracia, złoży swój własnoręczny podpis pod moim na niniejszym wniosku o odznaczenie?

Nie muszę chyba dodawać, że nikt się od tego zaszczytu nie uchylił.

Co się zaś tyczy naszej nieformalnej kompanii piechoty, to zdolawszy się ponownie połączyć z brygadą Pachesa, z powodzeniem wypełniła zleconą jej misję w rezultacie ponadmiesięcznych walk, w trakcie

których wszyscy dowódcy okazywali dziewiętnastoletniemu zaledwie Alkibiadesowi taki szacunek i taką mu zostawiali swobodę działania i podejmowania decyzji, że istotnie uczynili go dowódcą naszej kompanii.

Którą, gdy w końcu zgodnie z rozkazem dotarła do Potidei i dołączyła do oblegających ją liniowych oddziałów, rozwiązano równie bezceremonialnie, jak przedtem sformowano, co do Alkibiadesa zaś, to – wprawdzie nie odznaczony, ale też i nie ukarany – powrócił do swego macierzystego pułku.

Jak trafnie zauważył kiedyś mój brat, choć i on, i ja służyliśmy w następnych latach u boku licznych młodych żołnierzy, którzy tamtej nocy znaleźli się na klifie – było zatem wiele okazji do rozmów, zarówno oficjalnych, jak i prywatnych, na każdy dowolny temat – to nikt z tego grona nie nawiązał do owego wydarzenia, czy choćby tylko słówkiem lub jakąś aluzją potwierdził, że w samej rzeczy miało ono miejsce".

5. CZŁOWIEK NIEZASTĄPIONY

„Podczas oblężenia Potidei – mówił dalej Polemides – dwóch młodzieńców zyskało sobie opinię niezastąpionych: Alkibiades oraz mój brat. Postawa, jaką się wykazał ten pierwszy zarówno w boju, jak i przy podejmowaniu decyzji, pozwoliła go niezaprzeczalnie uznać za najjaśniejszy z bohaterskich płomieni, bez równego sobie pomiędzy mnogimi.

We wszystkich korpusach, w których służył, uznawany był za najbłyskotliwszego i najśmielszego; za niezrówanego wojennego geniusza. W Atenach zakres jego działalności był z racji młodego wieku ograniczony do sportu i miłosnych podbojów; pierwsza kampania wojenna pozwoliła mu uwolnić się od tych barier, otwierając przed nim perspektywy współmierne z jego rozlicznymi talentami. Z dnia na dzień zyskał swobodę działania. Wielu przepowiadało, że choć jeszcze nie doszedł do dwudziestu lat, to mógłby być zostać mianowany naczelnym wodzem, i nie tylko z większą rzutkością i mądrzej dowodziłby oblężeniem, ale i zdobyłby twierdzę o wiele mniejszym kosztem ludzkiego życia.

Co się tyczy mego brata, to zyskał on sobie mir w kołach najtwardszych i najbitniej szych żołnierzy

korpusu. Doświadczenie uczy, że bez względu na to jak liczna jest brygada czy armia, rzeczywista wojenna praca jest zawsze dziełem małych oddziałów, z których każdy, aby być skutecznym, musi mieć w swoim składzie kogoś takiego jak Lew: kto nie zna lęku, nie odczuwa trudów wojny, każdego ranka tryska humorem, zawsze gotów jest ze śmiechem pomóc komuś w dźwiganiu przydzielonego mu ciężaru i przyłożyć rękę do każdej, choćby najniewdzięczniejszej czy z pogardą przez wszystkich traktowanej pracy. Oddział, który takiego żołnierza nie ma, nie przetrwa wojny, podczas gdy ten, który może się kimś takim pochwalić, nawet jeśli zostanie pokonany, nie pójdzie w rozsypkę.

Pod Potideją dotarły do nas listy od ojca. Zostaliśmy z Lwem wezwani do namiotu adiutanta Pachesa, kapitana z Eksonu, którego imienia nie mogę sobie teraz przypomnieć. Odczytał on nam dwa ojcowskie oświadczenia, które stwierdzały, że brat mój ma zaledwie szesnaście lat i trzy miesiące, winien więc natychmiast zostać zwolniony ze służby, przy czym ojciec zobowiązywał się pokryć wszystkie związane z tym grzywny oraz koszty odstawienia go do domu.

– Co na to powiesz, młodzieńcze? – spytał go kapitan.

Na co Lew wyprostował się na całą swą wysokość i zaprzysiągł na wody Styksu, że wiek jego wynosi nie tylko dwadzieścia, ale nawet dwadzieścia trzy lata. Wyjaśnił następnie, że ojciec nasz, choć działał w najlepszej wierze, to skutkiem zniszczeń dokonanych przez wroga w naszym okręgu doznał niejakiego rozstroju umysłu i zaczął się – co skądinąd było całkiem zrozumiałe – lękać, iż utraci synów; czego właśnie skutkiem było to jego pismo z Aten, sformułowane w tak poruszający i przekonywający zarazem sposób. Wysłuchawszy tej deklaracji, kapitan zawezwał ziomków z naszego okręgu, którzy zaświadczyli, że zapewnienia ojca były jak najbardziej prawdziwe. Lew nie poddawał się: to nie wiek świadczy o żołnierzu, lecz jego zapal i serce!... Nasz kapitan jednakowoż nie chciał go już słuchać.

Nigdy przedtem nie zdarzyło mi się widzieć kogoś aż tak niepokieszonego jak mój braciszek w chwili, gdy wprowadzono go na pokład galery, którą miał popłynąć do domu; przytłoczony nieszczęściem wyglądał niemal komicznie.

Konsekwencje oszustwa, którego dopuścił się Lew, poniosłem oczywiście ja jako starszy brat. Ukarano mnie grzywną w wysokości trzymiesięcznego żołdu, odsunięto od służby liniowej i zlecono dowództwo nad

chłopięcym plutonem leśnym. Zamiast w broń zostaliśmy wyposażeni w siekiery i wysłani do lasu z mułami i saniami do zwózki drewna.

Ty też byłeś pod Potideją, Jazonie. Pamiętam cię stamtąd. Przyłączyłeś się do oblężenia ostatniej wiosny, u boku Eurymedona. Eskadry okrętów przywoziły wówczas posiłki konnicy oraz oddziały hoplitów, które miały zastąpić w natarciu na twierdzę żołnierzy zmarłych podczas zarazy. Dopisało ci szczęście. Uniknąłeś tamtej zimy.

Za czasów naszych ojców zimą w ogóle nie prowadziło się kampanii wojennych. Komu by przez myśl przeszło walczyć w śniegu i na lodzie? Okresem wojennym było lato; Spartanie nie mieli nawet słowa oznaczającego tę porę roku, która zwała się u nich po prostu *strateiorion*, co znaczyło »czas kampanii«. Wszelako oblężenia nie sposób prowadzić tylko podczas słonecznej pogody, przeto na potrzeby wojny nowego typu stworzono nowy kalendarz.

Niezbyt szczelne było to oblężenie. Żołnierze z pierwszej linii częściej miewali kontakty z nieprzyjaciółmi niż z własnymi rodakami. My sprzedawaliśmy oblężonym żywność i drewno na opał; Potidejanie handlowali kosztownościami. Najpierw sprzedawali złoto, potem biżuterię i tkaniny. Z kolei

pozbywali się zbroi i mieczy. Od połowy zimy zaczęli kupczyć swoimi córkami.

Na bogów, zimno było okropnie. Szczyny parowały w powietrzu i na ziemię spadały już jako lód. Kiedy się nakładało zbroję, skóra całymi płatami oddzierała się od mięśni w miejscach, w których zetknęła się ze zmarzniętym brązem. Jeśli żołnierska śmierć kiedykolwiek miała w sobie coś z chwały, gdyż oddawało się życie za ojczyznę, to pod Potideją utraciła ona wszelki swój blask, zwłaszcza gdy jej przyczyną była zaraza lub złośliwość nieobliczalnego losu w rodzaju trafienia strzałą, która przeleciała ponad polem walki, by zabić kogoś na tyłach; a wszystko po to, żeby wiosną zawrzeć układ, nagle na nowo czyniący z wrogów sojuszników. Zmarznięci i nieszczęśliwi, obozowaliśmy pod murami, podczas gdy za nimi snuli się tak samo zmarznięci i nieszczęśliwi Potidejanie.

Trzy miejskie bramy, te, które wychodziły na lądową stronę, zawierano jedynie na czas dnia. Z zapadnięciem nocy stawały się przepustami dla przeszukiwaczy odpadków, obdzieraczy trupów i wszelkiego rodzaju szumowin. Widoczne były szerokie szlaki wydeptane w śniegu ich stopami.

Naszą kompanią dowodził pewien kapitan

imieniem Gnossos, o którym wiadomo było, że stopień oficerski zdobył dzięki łapówce. Oto więc, cośmy robili jako leśny pluton. Z każdych ośmiu zwalonych drzew cztery dawaliśmy armii, a cztery – wrogom, którzy płacili naszemu kapitanowi kobietami. Nie były to bynajmniej dziewczki, lecz szacowne małżonki i córki obywateli Potidei. Puszczaly się z naszymi żołnierzami w zamian za drewno na opał. Nie zgodziłem się, aby moi chłopcy brali udział w orgiach, które organizowano za ich przybyciem, a podczas których nierzadko zdarzało się, że jedna taka przed powrotem za miejskie mury zdążyła obsłużyć tuzin żołnierzy z naszej kompanii. Tego rodzaju ohydna rozpusta mogłaby moim młodzieniaszkom odebrać resztki żołnierskiego ducha, jakie jeszcze zdołali w sobie zachować. Nadto zaś – co w ustach kogoś, kto później miał się dopuścić znanych ci występków, zabrzmieć może wręcz obłudnie – nie mogłem znieść świadomości tego, jak wielkie spustoszenie czyni to kupczenie ciałem w duszach samych tych niewiast.

Zemściło się to na mnie. Moje młodziaki zaczęły mnie za plecami przezywać »Spartaninem«, a nadto puszczono plotkę, że w głębi duszy jestem po stronie wroga, moja zaś bezkompromisowa postawa względem Potidejanek nie tylko osłabia morale

młodych żołnierzy, lecz – jako wyraz nieposłuszeństwa wobec rozporządzenia przełożonego – w najlepszym razie stanowi akt niesubordynacji, w najgorszym zdradę. A że w dodatku w pewnej sprzeczce z moim kapitanem wymknęło mi się słowo »rajfur«, zostałem zdegradowany.

Zwróciłem się z prośbą o obronę do Alkibiadesa. Tej jesieni armia z pełną siłą wystąpiła przeciwko wrogowi, który podjął próbę przerwania okrążenia, co pociągnęło za sobą konieczność mobilizacji całego naszego korpusu. Alkibiades tak wyróżnił się w tej akcji, że przyznano mu nagrodę za męstwo, uznawszy go za najdzielniejszego spośród sześciu tysięcy ludzi, którzy wzięli udział w walce. Dostarczenie na miejsce owej nagrody w postaci wieńca oraz zbroi zabrało kilka miesięcy, i tak się złożyło, że Alkibiades odebrał je tego właśnie wieczoru, którego się przed nim stawilem. Trafiłem na chwilę, gdy świętował swoje wyróżnienie w gronie współmieszkańców jego namiotu.

Każdy obóz rozbity na długi czas przed jakimś obiektem ataku staje się w pewnym momencie, jak sam to wiesz, Jazonie, swego rodzaju miastem. Miejsce wyznaczone na targ przekształca się w agorę, a plac musztry zaczyna grać rolę gimnazjonu. Aby zwalczyć

nudę, takie *polis* funduje sobie różnorakie rozrywki i zabawy, rodzi ekscentryczne postacie i własnych trefnisiów. Potem dzieli się owo miasto na dwie części: tę dobrą, i tę złą. Do złej wkracza się z narażeniem zdrowia i życia, w dobrej rządzą przywileje i sława, której blask promieniuje na całą dzielnicę. Nieodmiennie jeden z namiotów, zamieszkiwany przez najświetniejszych żołnierzy, staje się epicentrum całego obozu.

Takim właśnie centralnym ośrodkiem życia stała się kwatery Alkibiadesa, Aspazja Trzy (główne ulice każdego z siedmiu ufortyfikowanych obozów, które otaczały pierścieniem miasto, nazwane zostały imieniem jakiejś słynnej ateńskiej hetery). Był to rezultat nie tylko sławy wodza, lecz także dowcipu i umiejętności prowadzenia rozmowy, cechujących szesnastu jego współmieszkańców, wśród których znajdował się również twój mistrz, Sokrates (w owym czasie czterdziestoletni i mniej znany jako filozof niż jako dzielny i wytrwały wojownik), a ponadto uwielbiany aktor Alkajos, olimpijski pięściarz Mantiteusz i medyk Akumenos. Ci właśnie mężowie byli najbardziej zajmujący i każdy pragnął znaleźć się w ich towarzystwie. Zaproszenie na ucztę w Aspazji Trzy w większej było cenie niż odznaczenie za

dzielność, i to właśnie było przyczyną, dla której unikałem dotychczas kontaktów z Alkibiadesem, nie chcąc mu się narzucać; tym bardziej, że zarazem uważałem, iż nie upoważniał mnie do tego stopień naszej zażyłości, jakkolwiek była ona serdeczna.

Teraz jednak powaga mojego położenia zmusiła mnie do uczynienia tego kroku. Począłem do chwili, gdy wieczorny posiłek powinien już być dobiec końca, po czym przejechałem okazją jakieś osiem stadionów dzielących mnie od obozu Aspazja Trzy, z tą jedynie myślą, aby zająć Alkibiadesowi za ledwie parę minut, może nawet tylko zamienić z nim kilka słów przed wejściem do namiotu, prosząc, by choć jakimś słówkiem wstawił się za mną u mojej zwierzchności. Zdawało mi się po prostu, że ot, zastukam w maszt namiotu i wnet będzie po wszystkim.

Ku memu zaskoczeniu zobaczyłem, że w przeciwieństwie do byle jak wyłożonych pniakami uliczek pozostałych obozów, ciemnych i pustych z wyjątkiem pojedynczych wojaków, którzy tu i tam przemykali spieszenie, żeby jak najszybciej znowu schronić się przed mrozem, plac przed namiotem Alkibiadesa był jasno rozświetlony płomieniami pochodni i żarem koszy z węglem drzewnym, a na skrzyżowaniu alejek zgromadzony był pogodny tłum

wolnych od służby oficerów i szeregowych żołnierzy, sprzedawców wina, zonglerów i cukierników, przed którymi występowała właśnie na drewnianym podwyższeniu grupa akrobatów w towarzystwie zawodowego błazna, że już o bezzębnych acz wielce zalotnych fladrach z kwatery kurew nie wspomnę. Pogodną atmosferę tego zgromadzenia dodatkowo wzbogacał zapach opiekanego na rożnach mięsiwa i płomień ognisk rozpalonych na ziemi, która tajała od ich gorąca i pod naciskiem deptających ją mnogich stóp. Kiedy przepchnąłem się przez tę ciżbę, właśnie rozchyliły się płachty namiotu i oczom moim ukazała się wychodząca z niego najpiękniejsza przedstawicielka niewieściego rodu, jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć.

Włosy jej miały barwę rdzy; fiołkowe oczy zdawały się w blasku pochodni skrzyć niczym diademy. Od czubka głowy aż po stopy okryta była sobolą opończą, a eskortowało ją dwóch niezwykle wysokich oficerów jazdy, odzianych w oblamowane gronostajem płaszcze, jakie nosili nasi wrogowie. Żaden z oblegających nie ośmielił się podnieść na nich ręki, a co więcej – to nasi żołnierze podprowadzili całą trójcę wierzchowce i pomogli ich dosiąść. Piękna dama odjechała nie w stronę miasta, lecz w górę

zbocza, które prowadziło do nadbrzeżnego urwiska zwanego Asklepionem, gdzie – jak się później dowiedziałem – wzniesiono na jej i chroniących ją strażników użytek chatę ze świerkowych bali.

– To Kleonis – objaśnił stojący obok sprzedawca pieczonej cebuli. – Kobieta Alkibiadesa.

Zapewne przyszedłoby mi sterczeć przed wejściem do namiotu przez całą noc, gdyby szczęśliwie nie pojawił się kuzyn młodego wodza, Euryptolemos, który poznawszy mnie, pociągnął za sobą do środka, wyjaśniając mi po drodze lekkim tonem, że czcigodna Kleonis była małżonką Machaona, najbogatszego obywatela Potidei. Alkibiades nawiązał z nią kontakt, by za jej pośrednictwem nakłonić Machaona do zdradzieckiego poddania miasta.

– Ona tymczasem zakochała się w nim i teraz nie chce wracać do męża, a nawet twierdzi, że zaszła z Alkibiadesem w ciążę. Co mu w tej sytuacji pozostaje?

Po czym polecił mi Euryptolemos, przez przyjaciół zwany Euro, bym zaczekał, a sam wszedł do namiotu. Po paru chwilach dobiegł mych uszu śmiech Alkibiadesa, zaczynam rozwarły się płachty i wyciągnięto mnie z tłumu, wprowadzając do ciepłego wnętrza.

– Pommo, przyjacielu mój, gdzie się podziewałeś?

Chyba nie w lesie, z gromadką tych niewinnych chłopców, co?

Objaśniono mi, że na ten wieczór Alkibiades mianował się panem biesiady. Z zarumienionymi od wina policzkami zasiadał na honorowej ławie, a przed nim spoczywał przyznany mu wieniec. Został ranny w walce; pod jego tuniką widać było zwój bandaży owijających żebra. Przedstawił mnie jako swego kamrata z Kotłów, wskazał mi miejsce przy stole i zarządził, by postawiono przede mną puchar wina. Doszła już do niego wieść o moich kłopotach.

– Prawda to, że nazwałeś swojego dowódcę rajfurem?

Moje przybycie przerwało jakiś dyskurs; zaproponowałem, by nie zwracając uwagi na moją obecność, kontynuowano rozmowę, oni jednak ani myśleli mnie posłuchać. Olimpijczyk Mantiteusz poprosił, abym przedstawił swoje obiekcje wobec tak błahej rozrywki, jak zabawianie się z kobietkami. Odparłem na to, że proceder ten nie tylko wcale nie był taki niewinny, ale i osłabiał morale podległych mi chłopców.

– Ja sam mam młodszą siostrę, Meri – dodałem zapalczywie. – I wypatroszyłbym każdego, kto by choć tylko dotknął jej szaty bez pozwolenia mego ojca.

Jakże więc mógłbym obojętnie się przyglądać poniewieraniu innymi niewiastami, choćby nawet były córkami nieprzyjaciół?

Słowa te wywołały wśród zebranych ironiczne okrzyki:

– Patrzcie, patrzcie!

Ku memu wielkiemu zdziwieniu tym, który stanął w mej obronie, był Alkibiades, co skądinąd przyjęte zostało z niejakim rozbawieniem. Bez urazy je przeczekawszy, obrońca mój rzekł:

– Możecie się śmiać, słysząc, że oto ja, którego reputacja jako uwodziciela nie jest bynajmniej bezpodstawna, zamierzam kruszyć kopie w imię czci niewieściej, wszelako chyba ja właśnie mam pełne prawo twierdzić, iż dobrze wiem, jak to jest być kobietą..

Po czym zwrócił się ku mnie i zapewnił, że mogę być spokojny, jeśli chodzi o wnoszone przeciwko mnie oskarżenia, gdyż pociągnie on za odpowiednie sznurki; mam natomiast pić, i to nie ze spartańskim umiarkowaniem, ale do dna, w ateńskim stylu, żeby dogonić pozostałych biesiadników, którzy zaczęli przede mną. Jeśli tego nie uczynię, przestrzegł mnie następnie, to żarty zdawać mi się będą nie dość zabawne, przemowy zaś nadto powierzchowne. Co

rzekłszy, podjął swe obrończe wystąpienie:

– Zważcie, przyjaciele, że urodziwy chłopiec bardzo jest podobny do niewiasty. Jemu także okazuje się szczególne względy, komplementuje się go i wychwala jego cnoty, których jeszcze nie posiadał, oraz ogólnie wynosi się go pod niebiosą za walory, które nie jego są wszak zasługą, lecz dane mu zostały przez naturę. I nie uśmiechaj się ironicznie, Sokratesie, gdyż to, co mówię, bardzo wiele ma wspólnego z tym, o czym ty sam przed chwilą mówiłeś. Mam na myśli kwestię rozbieżności pomiędzy prawdziwą osobowością polityka a *mythos*, który musi on wokół siebie roztaczać, by uczestniczyć w życiu publicznym. Ja w dyspucie naszej twierdziłem, że – czego prawdziwości bynajmniej nie podważałem – wkraczając w dziedzinę polityki, muszę być dwoma naraz ludźmi: Alkibiadesem, którego znają moi przyjaciele, oraz »Alkibiadesem«, czyli jakąś fikcyjną postacią, która niewiele ma ze mną wspólnego, ja jednak zmuszony jestem wysławiać ją i kształtować jej wizerunek, jeśli pragnę zyskać decydujący wpływ na arenie politycznej. I otóż piękna niewiasta znajduje się w tym samym położeniu. Zmuszona jest widzieć siebie jako dwie równocześnie istoty: tę, w której duszę mają wgląd jej najbliżsi, i ową zewnętrzną swoją postać,

jaką przedstawia w oczach świata jej cielesna piękność. Adoracja, z jaką się spotyka, może łechtać jej próżność, lecz w głębi serca wie ona przecież, że to jedynie puste słowa i gesty. Upodobnia się taka niewiasta do chłopaczków, którzy podczas świąt ku czci Tezeusza toczą przed sobą kolorowe beczułki ozdobione byczymi rogami; świadoma jest tego, że zachwyceni widzowie nie ją samą kochają, lecz ową kolorową zabawkę, którą przed sobą toczy. Oto sama istota degradacji. Oto przyczyna, towarzysze moi, dla której już jako bardzo młody chłopiec zacząłem pogardzać swoimi wielbicielami. Dzieckiem zaledwie będąc, potrafiłem zdać sobie sprawę z tego, że to nie we mnie jako takim byli zakochani, a tylko dla zaspokojenia własnej próżności zabiegali o to, co we mnie powierzchnie.

– A jednak – wtrącił pięściarz Mantiteusz – nie odrzucasz zalotów Sokratesa, naszego towarzysza, ani też nie odrzucasz przyjaźni wszystkich tu obecnych.

– To dlatego, Mantiteuszu, że jesteście wszyscy moimi prawdziwymi przyjaciółmi i gdybym nawet miał gębę równie szpetnie poobijaną jak twoja, to i tak byście mnie kochali.

Po czym Alkibiades zwrócił się do Sokratesa, aby zachęcić go do podjęcia wątku, który przerwało moje

wejście, lecz ubiegł go aktor Alkajos, który wrócił do kwestii ponizania potidejańskich niewiast.

– Nie posługujmy się tak ochoczo słowem »degradacja«, przyjaciele. To wojna degraduje. Jej głównym celem jest wszak ostateczna forma degradacji – śmierć. Tymczasem tych Potidejaniek nikt nie morduje, a co do obrażeń, jakich doznają ich ciała, to przecież z czasem się zagoją.

– Zdziwiasz mnie, mój wspaniały drużu – odparł na to Alkibiades. – Wszak to ty właśnie, będąc aktorem, najlepiej ze wszystkich powinieneś wiedzieć, że śmierć przybiera wiele, i to nieporównanie okrutniejszych, postaci niż ta fizyczna. Czyż nie o tym w istocie mówią wszystkie tragedie? Weźmy choćby Edypa, Klitajmestrę czy Medeę. Także ich rany się zagoją, ale czy dusze ich nie zostały bezpowrotnie unicestwione?

Przemówił Mantiteusz:

– Jeśli chcecie poznać moje zdanie, to nie same te niewiasty największe cierpią poniżenie, a ich ojcowie i bracia, którym przyszło zgadzać się, by tak upodlający czyniono z nich użytek. Albowiem mężowie ci mają możliwość wyboru. Mogliby głodować. Mogliby stanąć do walki i zginąć. Tak naprawdę te młode kobiety są bohaterkami. Kiedy mężczyzna kładzie na szalę wszystko, co posiada, z życiem włącznie,

dzielnie walcząc w obronie swego kraju, to odznaczony zostaje za męstwo. A czyż nie to samo czynią te dziewczęta? Czyż nie poświęcają tego, co dla nich najcenniejsze – swego dziewictwa i uznania dla swych cnót – aby przyjść w sukurs oblężonym rodakom? Co będzie, jeśli z nadejściem wiosny spartańscy sojusznicy nareszcie ruszą tyłki i przyjdą im na pomoc? A co, jeśli my sami zmuszeni będziemy odstąpić od Potidei? Na bogów, obywatele tego miasta powinni wówczas postawić tym dzielnym dziewczętom pomniki! Jeśli spojrzeć na tę sprawę w takim właśnie świetle, ten tu oto młodzieniec (wskazał na mnie) bynajmniej nie chroni tych szlachetnych dziewczic przed hańbą, ale wręcz nie pozwala im dostąpić nieśmiertelnej chwały!

Konkluzję tę powitał śmiech, okrzyki: »Otóż to, otóż to!« i towarzyszące im stukanie odwróconych do góry dnem pucharów o drewniane skrzynie i kufry, z których zestawiono biesiadny stół.

– Chwileczkę – odezwał się na to Alkibiades. – Uśmiech na obliczu naszego przyjaciela Sokratesa każe mi się domyślać, że zamierza on zabrać głos. Uczciwość nakazuje mi z góry przygotować na to naszego towarzysza broni Polemidesa, aby mógł pójść za przykładem Odyseusza, który dopływając do

Syreniej Wyspy, zatkał sobie uszy woskiem. Albowiem jeśli już raz wystawi się na miodopłynny dyskurs tego męża, to poniewczasie zda sobie sprawę z tego, iż został jego dożywotnim niewolnikiem, jak to się przydarzyło nam wszystkim.

– Jak zwykle pokpiwasz sobie ze mnie, Alkibiadesie – zaprotestował żartobliwie Sokrates. – Czy naprawdę, przyjaciele, muszę znosić podobne przycinki od kogoś, kto jako jedyny ze wszystkich lekceważy sobie moje rady, mając za wyłączny cel własną popularność?

Sokrates, syn Sofroniskosa, siedział naprzeciw mnie. Spośród wszystkich zgromadzonych wyróżniał go zdecydowanie najmniej ujmujący wygląd. Był przysadzistej budowy, miał grube wargi i perkaty nos, w czterdziestym roku żywota całkiem był już łysy, a jego opończa, wciąż poplamiona krwią przelaną w potyczce, która miała miejsce przed kilkunastoma dniami, utkana była z równie pospolitego i surowego materiału jak spartańskie.

Towarzysze zaczęli sobie z niego pokpiwać w związku z pewnym wydarzeniem sprzed paru dni. Wyszedłszy przed południem na dotkliwy mróz, miał jakoby Sokrates zachować się w dość przedziwny sposób, jak gdyby umysł jego bez reszty zajęło jakieś

arcyważne zagadnienie. Stał w sandałach na zamarzniętym śniegu w głębokim zamyśleniu, budząc swym widokiem zdumienie przechodniów, którzy nawet we wnętrzach namiotów trzęśli się z zimna, choć stopy mieli owinięte owczym runem. Godzina mijała za godziną; co jakiś czas któryś z jego towarzyszy wyglądał na zewnątrz, żeby go zastać wciąż w tej samej pozie. Dopiero o zmierzchu udało mu się zapewne rozstrzygnąć postawiony samemu sobie problem, gdyż wrócił do namiotu i zasiadł przy ogniu, na którym warzyła się wieczerza. Teraz więc biesiadnicy, pod przewodem Alkibiadesa, domagali się, żeby im zdradził, jakie to zagadnienie tak uporczywie prześladowało owego dnia jego umysł.

– Była tu mowa o degradacji – zaczął Sokrates swój dyskurs. – Na czym ona polega? Czy nie na postrzeganiu danej osoby z perspektywy jakiejś pojedynczej cechy lub zalety, przy wykluczeniu wszystkich innych najrozmaitszych aspektów jej duszy i istoty samej, by następnie w takim właśnie charakterze się nią posługiwać? W przypadku tych nieszczęsnych niewiast ową pojedynczą cechą jest urok ich ciał oraz fizyczna użyteczność w zaspokajaniu najniższych żądz. Odrzucone wówczas zostaje wszystko inne, co czyni je istotami ludzkimi, które

wszak pochodzą od bogów. Zważcie z kolei, przyjaciele, że owa pojedyncza zaleta, która sprawia, iż osądzamy te niewiasty, pozbawiając je człowieczeństwa, w żadnej mierze od nich samych nie zależy, dana im bowiem została przez przypadek poczęcia. Jest to antyteza wolności, czyż nie? Wszak stawia się je w sytuacji niewolnika. Nawet psy i konie traktujemy lepiej, przyjmując do wiadomości ich szczególne cechy i przywary charakteru.

Tu Sokrates przerwał i zapytał swych słuchaczy, czy nie dostrzegli do tej pory w jego rozumowaniu jakiegoś błędu; wszyscy go jednogłośnie zachęcili do rozwijania toku tego myślenia.

– A jednak, samych siebie uważając za ludzi wolnych, często postępujemy w ten niegodny sposób nie tylko wobec innych, ale i wobec siebie. Własne osoby oceniamy i określamy wedle cech, które zostały nam dane lub których jesteśmy pozbawieni od urodzenia, nie biorąc pod uwagę tych, któreśmy sami w sobie potem wyrobili albo nabyli je, dorastając, a to dzięki własnym wysiłkom i woli. Jest to w moim mniemaniu większe zło, aniżeli stanie się ofiarą degradacji. Jest to samodegradacja.

Rzucił subtelnie znaczące spojrzenie ku Alkibiadesowi. Pan naszej biesiady najwyraźniej

odczytał to przesłanie, gdyż odwzajemnił mu owo spojrzenie z wyrazem pewnego rozbawienia i zaciekawienia, acz nie bez niejakej ironii.

– Zastanawianie się nad istotą owego samozniewolenia – kontynuował Sokrates – doprowadziło mnie do kolejnego pytania: jakie to mianowicie cechy czynią człowieka wolnym?

– Nasza wola, jak to sam powiedziałaś – rzucił medyk Akumenos.

– I siła, która pozwala nam wcielić ją w czyn – dodał Mantiteusz.

– Dokładnie to miałem na myśli, przyjaciele. Widzę, że nie tylko za mną nadążacie, ale nawet wyprzedzacie moje błahe dywagacje. Lecz czymże jest wolna wola? Z pewnością zgodzimy się co do tego, że niczego nie można nazwać wolnym, co nie posiada wolnej woli. A także co do tego, że co nie jest wolne, jest zdegradowane, czyli pomniejszone do wymiaru, który nie dorównuje intencji bogów.

– Zdaje mi się, że wiem już, ku czemu to zmierza – wtrącił z uśmiechem Alkibiades. – Czuję przez skórę, towarzysze moi, że zaraz i ja, i wy poddani zostaniemy słownej chłości.

– Mam zamilknąć? – zapytał Sokrates. – Być może pan biesiady poczuł się zmęczony. Zanadto go

wyczerpało jego bohaterstwo oraz uwielbienie okazywane mu przez równych sobie.

Wszyscy zachęcili go do kontynuowania dyskursu.

– Przyglądałem się młodym żołnierzom z naszego obozu. W postępowaniu swym kierują się obowiązującymi normami, nieprawdaż? Bez niczyjego nalegania każdy strzyże się na powszechną modłę, podciąga okrycie na taką samą wysokość jak inni, a także tak samo chodzi i nawet taką samą przyjmuje postawę. Zachowanie swojego miejsca w hierarchii to ich główna troska; największy lęk – to obawa przed wykluczeniem.

– Nie bardzo to przypomina wolność – zauważył Akumenos.

– Wygląda na demokrację! – zaśmiał się Euryptolemos.

– A zatem zgodzicie się ze mną, jeśli powiem, że młodzieńcy ci, tyranizowani przez chęć przypodobania się równym sobie towarzyszom, pozbawieni są wolności?

Słuchacze jednogłośnie mu przytaknęli.

– Są przeto w istocie niewolnikami, czyż nie? Działają nie w zgodzie z tym, co im dyktują serca, lecz z myślą o zadowoleniu innych. Istnieją dwa słowa na określenie takiej postawy: demagogia i moda.

Stwierdzenie to przyjęte zostało pokrzykiwaniami i gwizdami.

– Co się ciebie tyczy, Sokratesie, to oczywiście dzięki bogom odporny jesteś na takie dyktaty, nieprawdaż? – zakpił Alkibiades.

– Nie ulega wątpliwości, że z moją marną opończą i brodą strzyżoną ostrzem miecza jestem dla całego obozu obiektem żartów. Co jednakowoż w najmniejszej mierze nie przeszkadza mi twierdzić, że nie ulegając żadnej modzie, jestem najbardziej ze wszystkich wolnym człowiekiem.

Zaczym Sokrates rozwinął swą myśl, przykładając ją do ateńskiego zgromadzenia.

– Czyż zdarza się gdzieś na tym świecie podleysze widowisko niż publiczne wystąpienie demagoga? Każde jego słowo zionie bezwstydem. A dlaczego? Ponieważ słuchając, jak taki odrażający nieszczęśnik zachwala się przed licznie zebraną publicznością, domyślamy się, iż jego oracja nie ma za źródło prawdziwego wewnętrznego przekonania, lecz tylko tak jest zręcznie skrojona, żeby pasowała do chwilowego kaprysu tłumu. Skoro jego pozycja zależy od przychylności słuchaczy, to gotów jest powiedzieć im wszystko, choćby najpodleysze i najbardziej niegodne rzeczy, byle tylko uświetnić w ich oczach

swój wizerunek. Inaczej mówiąc, polityk to najwyższa forma niewolnika.

Widać było, że Alkibiades szczerze jest uradowany tą wymianą myśli.

– Jeszcze inaczej mówiąc, przyjacielu, powiedziałbyś o mnie, że zajmując się polityką, postępuję jak rajfur, gdyż staram się wyrobić sobie mocniejszą pozycję wśród mych współobywateli, a tak czyniąc, zaniecham swego szlachetniejszego ja na rzecz podlejszego?

– Doprawdy tak bym twoim zdaniem powiedział?

– Mam cię, Sokratesie! Co ma czynić mąż, który pragnie nie tylko podążać wraz z innymi, ale im przewodzić? Co, jeśli jego słowa nie są tylko fałszywym gładkosłowiem i podlizywaniem się, lecz płyną z samej najprawdziwszej głębi jego serca? Czyż nie taka jest sama definicja człowieka *polis*, czyli polityka? Jako tego, który działa nie dla siebie, lecz dla pożytku swego miasta?

I tak przez cały prawie wieczór ciągnęła się ta ożywiona dysputa. Wyznaję, iż nie śledziłem jej całej dokładnie, jako że nie mogłem nadążyć za wszystkimi jej nagłymi zwrotami; w każdym jednakowoż razie rozmowa zdawała się krążyć wokół problemu, nad którym biesiadnicy zaczęli się zastanawiać jeszcze

przed moim przybyciem: czy mianowicie można kogoś w ramach demokracji uznać za »niezastąpionego«, a jeśli tak, to czy mąż ów zasługuje na większą wyrozumiałość dla jego postępów niż mniej od niego wybitni obywatele?

Sokrates opowiadał się po stronie praw, które – choć przyznał, że niedoskonałe – do wszystkich się odnoszą w równym stopniu. Alkibiades uznał tę opinię za nedorzeczną i ze śmiechem oświadczył, że jego przyjaciel sam w to nie wierzy, gdyż w istocie wierzyć by nie mógł.

– Ja w każdym razie, mistrzu, uznaję cię za niezastąpionego. Gotów byłbym poświęcić całe bataliony dla uratowania twego życia, tak samo zresztą, jak wszyscy obecni przy tym stole.

– Otóż to! Otóż to! – poparł go zgodny chór głosów.

– I nie przemawia przeze mnie samo tylko uczucie, jakim cię darzę – ciągnął młody wódz – lecz także myśl o pożytku państwa. Ono cię bowiem potrzebuje, Sokratesie, jako swego rodzaju medyka, który leczy jego duszę. Co by się z nim stało bez ciebie?

Sokrates nie zdołał powstrzymać się od śmiechu.

– Rozczarowałeś mnie, przyjacielu, albowiem miałem nadzieję, że za twoim oddaniem mej osobie,

które tak gorąco deklarujesz, kryje się raczej miłość niż polityka. Nie bagatelizujmy jednakowoż tej kwestii, przyjaciele, gdyż jej sedno sprowadza się do zagadnienia, które musimy rozpatrzyć z największą powagą: co w naszym przekonaniu na pierwszym jest miejscu – człowiek czy prawo? Jeśli stawimy człowieka ponad prawem, to w istocie unicestwiamy wszelkie prawo, gdyby bowiem poszczególne jego przepisy nie do każdego tak samo miały się odnosić, to w istocie nie odnosiłyby się do nikogo. Jeśli aż tak wysoko wyniesiemy pojedynczą osobę, to jakbyśmy równocześnie zbudowali schody, którymi po jakimś czasie zacznie się wspinać ktoś inny. Czy nie podejrzewacie wraz ze mną, bracia, że gdy nasz towarzysz uznaje mnie za niezastąpionego, to w gruncie rzeczy pragnie ustanowić precedens, który pozwoli mu samego siebie mianować pomazańcem?

Alkibiades oświadczył na to ze śmiechem, że w samej rzeczy uważa się za niezastąpionego.

– Czyż nie byli tak samo niezastąpieni Temistokles, Miltiades czy Perykles? Bez nich państwo nasze ległoby w gruzach. Nie zapominajmy też o Solonie, gdyż to on dał nam te prawa, w których obronie tak tu stanowczo staje nasz przyjaciel Sokrates. Lecz nie zrozumcie mnie źle. Ja bynajmniej nie dążę do

zniesienia praw; przeciwnie: chcę być z nimi w zgodzie. Przyznanie wszystkim równości byłoby jednak niedorzecznością, jeśli zgoła nie zbrodnią. W gruncie rzeczy bowiem ów argument, który zarzuca pojedynczemu mężowi, że wstawia się ponad prawem«, jest oczywiście fałszywy, gdyż mąż ten, czy będzie to Temistokles, czy Kimon, w istocie dostosowuje swe czyny do wyższego prawa, któremu na imię Konieczność. Stawać na przeszkodzie człowiekowi niezastąpionemu, czyniąc tak w imię »równości«, to szaleńcza idea kogoś, komu nieznane są dzieła tego boga, który poprzedził Zeusa, Kronosa i Reę samą, i na wiek wieków pozostał zarówno ich, jak i naszym praprzodkiem i prawodawcą.

Znowu śmiechy i postukiwanie pucharami. Sokrates zbierał się do repliki, lecz w tym momencie na zewnątrz namiotu nastąpiło zamieszanie. Od przewróconego przez kogoś kosza z żarem zapalił się sąsiedni namiot i wszyscy się zbiegli, żeby pomóc w gaszeniu pożaru. Biesiadnicy także się rozproszyli. Ja znalazłem się u boku Alkibiadesa, który dał znak swemu stajennemu, żeby przyprowadził konie.

– Trzymaj się mnie, Pommo. Odprowadzę cię do twojego obozu. Dowiedziałem się o hasło, ustalone na najbliższą zmianę warty, i ruszyliśmy w mroźną drogę.

– No i co? – spytał mnie Alkibiades, kiedyśmy przejechali przez pierwszą linię pikiet. – Jak ci się podoba nasz Profesor Łysol?

Odpowiedziałem mu na to, że nie bardzo potrafię dociec, jaki to człowiek. Wiadomo mi było, że sofiści całkiem nieźle się dorabiali na swoich naukach, jednakże Sokrates w tym swoim zgrzebnym odzieniu wyglądał wręcz jak...

– Jak żebrak? – zaśmiał się Alkibiades. – To dlatego, że z zasady odmawia czerpania zysków z tego, co czyni z zamiłowania. On sam by za to płacił, gdyby go na to było stać; uważa siebie nie za nauczyciela, lecz za ucznia. A powiem ci coś jeszcze. Ten mój wieniec za męstwo... Zwróciłeś uwagę na fakt, że ani razu tego wieczoru nie założyłem go na głowę, jak to powinien uczynić odznaczony? To dlatego, że nie mnie, ale jemu się on należał, temu naszemu niechlujnemu mistrzowi dyskursu.

Po czym opowiedział mi, jak to w kulminacyjnej fazie bitwy, za którą został odznaczony, ranny i pokaleczony, padł pod naporem nacierającego nań ze wszystkich stron wroga.

– Jedyne Sokrates przybiegł mi z pomocą. Wskoczywszy z bezpiecznego schronienia, osłaniał mnie swoją tarczą, dopóki nasi towarzysze ponownie

się nie zgrupowali i nie przybyli z odsieczą. Z całą stanowczością obstawałem przy tym, aby to jemu przyznano wieniec, lecz udało mu się przekonać strategów, żeby to mnie odznaczyli. Bez wątpienia szło mu o to, by moje serce zwróciło się ku innym formom zyskiwania sobie chwały niż polityka.

Aż do ostatniej linii pikiet jechaliśmy w milczeniu. Spoza murów oblężonego miasta widać było dymy unoszące się znad palenisk, na których przyrządzano wieczorne posiłki.

– Rozpoznajesz ten zapach, Pommo?

Była to konina.

– Pięką własną jazdę – skonstatował Alkibiades. – Wiosna oznaczać będzie ich koniec, i są tego świadomi.

W obozie leśników nasz naczelny wódz ostentacyjnie zwrócił uwagę wszystkich na swoje przybycie, bez zbędnych słów dając jasno do zrozumienia, że cieszę się jego szacunkiem, i każdy, kto ze mną zadrze, będzie miał do czynienia z nim. Toteż i nie minęło dziesięć dni, a mój dowódca dostał rozkaz odwołujący go do Aten, jego następcą zaś przybył z poleceniem, aby mi dać wolną rękę w dowodzeniu moim plutonem.

Tamtego wszakże wieczoru zsiadłem z konia i

oddałem memu przyjacielowi wodze.

– Jakie masz jeszcze plany przed snem? – spytał.

Zamierzałem napisać list do siostry.

– A ty? Będziesz po powrocie kontynuował waszą filozoficzną dysputę?

Alkibiades zaśmiał się.

– A cóż mógłbym zrobić innego?

Patrzyłem, jak odjeżdża, wiodąc z sobą luzaka. Uświadomiłem sobie jednak, że ślady oddalających się końskich kopyt nie prowadziły z powrotem ku linii pikiet i do Aspazji Trzy, lecz w stronę wzgórza zwanego Asklepionem, na którym w chacie ze świerkowych bali czekała nań dama o fiołkowych oczach".

Księga druga

DŁUGIE MURY

6. SPORT MŁODYCH LUDZI

– Tak zakończyła się moja wstępna rozmowa z mordercą Polemidesem – podjął swą opowieść mój dziadek. – Wyszędłszy od niego, pospieszyłem do Sokratesa. Przechodząc przez Żelazny Dziedziniec, który rozdzielał dwa skrzydła więzienia, pomyślałem sobie, że wzmianka o tamtym wieczorze sprzed trzydziestu lat wywoła być może uśmiech na twarzy naszego przyjaciela. Poza tym byłem zaintrygowany, czy Sokrates przypomni sobie młodego żołnierza zwanego Pommo. Ostatecznie jednakowoż postanowiłem nie poruszać tego wątku, by nie obarczać zbytnim ciężarem umysłu, który i bez tego wielce był zajęty, nadto zaś doszedłem do wniosku, że tłum przyjaciół i zwolenników naszego mistrza uniemożliwi mi pozostanie z nim na chwilę sam na sam.

Kiedy jednakowoż przybyłem do celi filozofa, okazało się, że nikogo przy nim nie ma. Tego właśnie dnia ustalono, w jaki sposób Sokrates pozbawiony zostanie życia: będzie musiał wypić cykutę. Choć ta forma egzekucji oszczędzała ciało okaleczeń, to jej oficjalne ogłoszenie z całą jaskrawością uświadomiło wszystkim nieuchronność śmierci mistrza i wprawiło

jego przyjaciół w taki stan ducha, że on sam zmuszony był zabronić im widzenia z sobą, aby na jakiś czas zapewnić sobie spokój.

Poinformował mnie o tym za moim przybyciem strażnik, toteż spodziewałem się, że i mnie starzec odprawi, z ulgą więc ujrzałem, iż na mój widok wstaje i serdecznym gestem zaprasza do siebie.

„A zatem przybywasz, Jazonie, od swojego drugiego klienta?”.

Okazało się, że wiedział o Polemidesie wszystko i w samej rzeczy go pamiętał, a przy tym nie tylko jako młodzieńca z tamtego wieczoru, lecz i z późniejszej jego służby w piechocie, a także z relacji o dniach triumfu Alkibiadesa na Wschodzie, gdy Polemides był kapitanem piechoty morskiej. Zastanowił się nasz mistrz nad takim zbiegiem losów dwóch więźniów: filozofa, skazanego za to, że uczył Alkibiadesa, i mordercy, czekającego na osądzenie za to, że go zabił.

„W tej sytuacji – stwierdził – jeśli sędziowie chcieliby być konsekwentni, to skazawszy jednego, drugiego powinni uwolnić. Dobrze to wróży twojemu klientowi”.

Sokrates był już wówczas w swoich siedemdziesiątych latach, lecz – pominąwszy brodę, która posiwiiała, oraz szlachetną powłóczystość stroju –

w dużej mierze zachował ten sam wygląd, jaki zapamiętał Polemides z czasu oblężenia Potidei. Jego członki były krzepkie, a ruchy żywe i pewne; nie trzeba było wysilać wyobraźni, by go sobie odmalować w postaci weterana wojennego, który chwyta za tarczę i zbroję, żeby raz jeszcze ruszyć w bój.

Nie zdziwiło mnie wcale, że filozof objawił zaciekawienie losem swego współwięźnia, a nawet udzielił mi paru rad względem jak najskuteczniejszej jego obrony.

„Już za późno na to, byś wystąpił z kontroskarzeniem, przywołując paragraf, który określiłby oskarżenie Polemidesa jako bezprawne, choć takim oczywiście jest. Mógłbyś być może wykorzystać *dike pseudomartyriou*, oskarżenie o fałszywe świadectwo, z którym można wystąpić, zanim ława przysięgłych przystąpi do głosowania”.

Tu zaśmiał się.

„Jak widzisz, dzięki własnemu procesowi stałem się kimś w rodzaju więziennego prawnika”.

Rozważyliśmy następnie kwestię amnestii, która obowiązywała od momentu przywrócenia demokracji, uwalniając od kary wszystkich obywateli, którzy popełnili przestępstwa przed jej ogłoszeniem.

„Jednakże wrogowie Polemidesa bardzo sprytnie

obeszli tę furtkę, Sokratesie, oskarżając go o »złoczyństwo«. Pograżyli go tak, że w jego własnej opinii nikt nie zdoła go oczyścić ze wszystkich zarzutów".

Zaczynam streszczać mu z grubsza to, co mi do tej pory opowiedział Polemides.

„Znałem kilkoro członków jego rodu – rzekł Sokrates, gdy skończyłem tę relację. – Ojciec jego, Nikolaos, był mężem o wyjątkowej solidności charakteru; zmarł, opiekując się chorymi podczas zarazy. Łączyły mnie też serdeczne, choć całkiem niewinne stosunki z jego ciotką, Dafne, która za pośrednictwem swoich dwóch, drugiego i trzeciego z kolei, małżonków w zasadzie rządziła dowództwem floty. Jako wdowa była pierwszą spośród arystokratycznych dam, która osobiście zarządzała wszystkimi swoimi sprawami; nie pomagał jej żaden *kyrios*, prawny opiekun, a nawet w domostwie swoim nie trzymała męskiej służby".

Następnie mistrz wyraził z troską warunki, w jakich więziony był Polemides.

„Z tego, co słyszę, po jego stronie dziedzińca panuje nieznośny upał. Zanieś mu, proszę, ten owoc i weź dla niego moje wino; więcej go już chyba nie wypiję, gdyż powiadają, że wino psuje smak cykuty".

Gdy pod wieczór powrócili doń pozostali, było nawet trochę śmiechu z wyroku ślepego losu, który do tego samego więzienia wtrącił mordercę oraz filozofa. Między innymi przemawiał Krito, najzamożniejszy i najzagorzalszy zwolennik Sokratesa. W dniach poprzedzających proces naszego mistrza wynajął on detektywów, którym zlecił zbieranie informacji o oskarżycielach filozofa, starając się wykryć ich własne przestępstwa, by ujawniając je, zdyskredytować ich samych, a w konsekwencji także i wysunięte przez nich zarzuty. Podsunęło mi to myśl, by tak samo postąpić w sprawie Polemidesa.

Zatrudniałem w owym czasie pewne małżeństwo w średnim wieku, Myrona i Lado. Odznaczeni się oboje niepohamowanym wścibstwem i nic nie sprawiało im większej przyjemności niż grzebanie w brudach osób wysoko postawionych i wielce wpływowych. Postanowiłem puścić tę parę ogarów na polowanie za informacjami. Co się stało z rodziną Polemidesa? Czym powodowali się jego oskarżyciele? Zostali może przez kogoś do tego nakłonieni, a jeśli tak, to przez kogo? Jaki był tajemny cel, który chciano dzięki temu procesowi osiągnąć?

Tymczasem, wnuku mój, wyczułem, że coraz ci trudniej z pełnym zrozumieniem śledzić tę opowieść.

Trzeba ci więcej wiedzy o tle, na jakim się to wszystko odbywało. Ja i Polemides należeliśmy do tego samego pokolenia; rozmawiając z sobą, obaj wiedzieliśmy, że ten drugi rozumie czasy, których nasza rozmowa dotyczy, i nie potrzebuje dodatkowych wyjaśnień, aby odczuć ich smak. Tobie, który jesteś znacznie młodszy, może się jednak przydać parę historycznych dygresji.

Otóż w latach poprzedzających wojnę, a zatem w okresie mojego i mego narratora chłopięctwa, Ateny nie żywiły się już tylko gorącym blaskiem minionej chwały, jak to jest obecnie. Dni ich największej świetności bynajmniej nie minęły, lecz stanowiły namacalną terażniejszość, oszałamiającą i olśniewającą. Ich flota pokonała azjatyckie imperium i przepędziła z mórz perskie okręty. Nieprzerwanym strumieniem płynęły do miasta kontrybucje z dwustu państw. Ateny były wielkim zdobywcą, potężnym imperium, kulturalną i handlową stolicą świata.

Wojna spartańska miała rozgorzeć dopiero po latach, jednakże Perykles już przeczuwał w swej wizji, że trzeba się do niej przygotowywać. Ufortyfikował porty Munchii i Zei, wzmocnił całość Długich Murów oraz zbudował Mur Południowy, ową „Trzecią Nogę”, która w przypadku rozbicia Północnego lub Faleriańskiego Muru mogłaby dalej zapewniać miastu

szczelną osłonę.

Ty, mój wnuku, który przez całe swe życie mogłeś podziwiać wspaniałość tej odrestaurowanej twierdzy, istnienie jej uważasz za oczywiste; wtedy jednak budowa tych murów stanowiła niesłychane osiągnięcie sztuki inżynierskiej, o jakim żadne inne miasto Grecji nigdy nawet nie śniło, a już mowy nie było o tym, żeby się mogło o coś podobnego pokusić. Przedłużyć fortyfikacje o prawie czterdzieści stadionów w jedną i niemal o tyle samo w drugą stronę, wiążąc tym sposobem górne miasto z portami Pireusu, zamykając je ze wszystkich z wyjątkiem morza stron i czyniąc tym sposobem z Aten niezdobytą wyspę... taki zamysł większość ludzi uznała za fanaberię, a wielu wręcz za szaleństwo.

Także mój ojciec, podobnie jak trzon ateńskiej klasy posiadaczy ziemskich, gwałtownie sprzeciwiał się temu przedsięwzięciu, najpierw pozostając w opozycji do Temistoklesa, który ideę tę sformułował, a potem do Peryklesa, który wcielał ją w życie. Albowiem ziemscy potentaci w Attyce trafnie odczytali intencje Olimpijczyka, jak zwany był Perykles: w przypadku wybuchu wojny nie zamierzał on bronić ich własności, a rzeczywiście zdecydowany był zostawić na pastwę wroga ziemie uprawne,

posiadłości i winnice, w tym i to miejsce, w którym my się teraz znajdujemy. Jego strategia miała polegać na ewakuowaniu wszystkich obywateli za zasłonę Długich Murów, pozwalając najeźdźcy bez przeszkód niszczyć ich majątności i tym sposobem doprowadzić do wyczerpania bojowego ducha nieprzyjacielskich żołnierzy, zmuszonych do godnej tylko niewolników pracy przy wycinaniu winnic i paleniu zbiorów. Kiedy się nią znudzą, powrócą do siebie, podczas gdy Ateny – które dzięki panowaniu na morzu nie miałyby żadnych trudności z odbieraniem przez cały ten czas dostarczanych przez podległe im państwa dóbr i produktów – będą się pogardliwie przyglądać wrogowi z wysokości swych niezdobytych murów.

Przyczyną powszechnego wrzenia była sprawa floty.

Wielkie domy Aten, starożytne rody Kekropidów, Alkmeonidów i Peisistratydów, Lykomidzi, Eumolpidzi i Filaidzi – cała ta kategoria obywateli dawała państwu rycerzy i hoplitów, i z tego właśnie czerpała swą dumę. Zarówno ich przodkowie, jak i oni sami bronili kraju jako żołnierze konnicy lub wojownicy ciężkiej piechoty. Lecz oto Ateny przekształciły się w naród wiosłarzy. Flota przyciągała pospólstwo, zarazem przydając mu śmiałości, dzięki

której zapełniało teraz zgromadzenie. Arystokracji było to wielce nienawistne, wszelako nie mogła postawić tamy fali zmian. A poza tym – flota przynosiła bogactwo. Zainicjowane przez Peryklesa i innych reformy sprawiły, że państwo zaczęło płacić za służbę publiczną, choć trzeba powiedzieć, iż urzędników zatrudniano raczej na chybił trafił niż w następstwie świadomie dokonywanego wyboru, przeto w urzędach magistrackich i sądach zaroilo się od *hoi polloi*, czyli ludzi niższego urodzenia. Tym członkom kasty „Dobra i Prawdy”, którzy wyrażali swoje oburzenie na widok czołowych obywateli miasta podążających do portu z wiosłami i poduszkami, Perykles odpowiadał, że to nie jego polityka sprawiła, iż Ateny stały się morską potęgą i wielkim imperium. Stało się tak z wyroku historii. Wszak to właśnie ateńska flota, której załogi składały się z obywateli miasta, pokonała Kserksesa pod Salaminą; ta sama flota przegnała Persów z morza, przywróciła wolność wyspom i greckim miastom w Azji, i to ona zwozi z całego świata wszelkie dobra, wszystkich wzbogacając.

Budowa Długich Murów nie była bezmyślnym wyzwaniem, beztrosko rzuconym historii – dowodził Perykles – lecz po prostu wyrazem trzeźwej oceny

wymogów, jakie stawia przed Atenami rzeczywistość nowych czasów. Nigdy nie uda się Ateńczykom pokonać Spartan na lądzie. Ich armia jest niezwyciężona i taka pozostanie.

Przeznaczenie Aten spełni się na morzu, jak to zresztą zapowiedział sam Apollo, mówiąc:

tylko drewniany mur was nie zawiedzie, a prawdziwości tej przepowiedni dowiódł pod Salaminą Temistokles, w następnych zaś pokoleniach to samo uczynili Kimon i wszyscy inni zwycięscy wodzowie, nie wyłączając samego Peryklesa.

Byli i tacy, którzy strategię „murów i okrętów” potępiali za to, że może ona w przyszłości podżegać do mocarstwowego ekspansjonizmu, a w Spartanach już rozbudziła nieufność. Dopóki zostawimy ich w spokoju, to i oni pozwolą nam spokojnie żyć. Lecz jeśli tylko spróbujemy ich przyprzeć do muru i zranimy ich dumę, to będą musieli nam odpowiedzieć tym samym.

Słuszna to była opinia, toteż Perykles nigdy nie próbował jej podważyć. Taki jednak panował w owym czasie klimat czelności, zadufania i arogancji, Ateńczycy zaś z taką pogardą odrzucali myśl o traktowaniu innych jako równorzędnych partnerów, że nawet ulicznice już nie ustępowały drogi dobrze urodzonym obywatelom. Bo niby dlaczego? Z jakiej

racji Ateny, które pokonały największą morską i lądową potęgę świata i które Morze Egejskie uczyniły swym wewnętrznym stawem, miałyby teraz wystawić się na niebezpieczeństwo, rezygnując z części swej potęgi w obawie przed zadrażnieniem dumy Spartan? Czyż nie jest tak, że każdy gospodarz otacza swój sad kamiennym ogrodzeniem? Czyż sami Spartanie nie zabezpieczają swych obozów pierścieniami pikiet i zbrojnych straży? Niech się zatem pogodzą z istnieniem naszej floty i Długich Murów, a jeśli tego nie zniosą, to niech się stanie, co ma się stać.

No i stało się. Wybuchła wojna. Podczas pierwszych kampanii służyłem jako porucznik na okręcie wojennym, lecz drugiej zimy przydzielono mnie do wsparcia oblężenia na północy; tego samego, które opisał twój klient: pod Potideją. To, z czym trzeba się tam było zmagać, w istocie przerastało nawet swą okropnością jego opis. Rozszalała się zaraza, która zabrała aż ćwierć naszej piechoty. Przewoziliśmy morzem prochy zmarłych w glinianych dzbankach, układając je pod ławami wioślarzy, podczas gdy tarcze i broje, przykryte od deszczu płachtami, zalegały pokłady.

Trzeciej wiosny Potideja padła. Tymczasem już od dwóch lat wojna rozszerzała się i jasne było, że szybko

się nie zakończy. Greckie państwa rozdarte były pomiędzy Atenami a Spartą, zmuszane do opowiedzenia się po jednej lub drugiej stronie.

Korkira ze swoją flotą ugięła się i przystąpiła do Aten. Argos jeszcze się opierało. Z wyjątkiem Platei, Akarnanii, Tesalii i Mesenii, wszystkie kraje ze stałego lądu stanęły po stronie Sparty: Korynt ze swym bogactwem i flotą; Sykion i miasta Argolidy; Elida i Mantineja, dwa wielkie państwa Peloponezu; na północ od Istmu Ambrakia, Leukida i Anaktoria; Megara, Teby i cała Beocja z jej potężnymi armiami, a wreszcie Fokida i Lokryda z ich niezrównaną konnicą.

Wyspy Morza Egejskiego i cała Jonia pozostały pod władzą Aten; nasze okręty wciąż przecież panowały na morzu. Ale już w Tracji i w Chalkidyce, które były dla Aten bezcenne ze względu na drewno, miedź i bydło, a także w Hellesponcie, niezastąpionym źródle życia miasta, dostarczającym jęczmienia i pszenicy – rozpały się ogniska buntu.

Attyka stała się dla Spartan wydeptanym boiskiem: przetoczyli się przez granicę w Eleusis, po raz drugi już pustosząc triasiańskie równiny, potem dwukrotnie sforsowali górę Egalejos, staczając się z jej zboczy na okręgi Achamy, Kefizji, Leukonoi i Kolonosu, aby je puścić z dymem. Zdewastowali aż tak odległe regiony,

jak Laurion, najpierw pustosząc je od strony Peloponezu, a następnie od Eubei i Andros. Spoglądając z wysokości Długiego Muru, obywatele Aten patrzyli ku zarysom Parnasu i Brilessusu, zza których wznosiły się ku niebu słupy dymu z ostatnich już naszych posiadłości ziemskich, które padły ofiarą ognia. Także u samego progu miasta najeźdźcy obracali w perzynę sklepiki i podmiejskie rezydencje, a nawet wyrwali kamienie z bruku przed Akademią.

Polemides, którego naczelnym dowódcą był Formio, służył w Zatoce Korynckiej; najpierw pod Naupaktos, a następnie pod Argos. W Etolii odniósł kilka ran, w tym jedną głowy; jej skutkiem na jakiś czas zaniewidział, co wymagało ponad półrocznej kuracji, który to czas spędził w domu. Doniosła mi o tym para moich ogarów, która jednak nie potrafiła zdobyć informacji o miejscu pobytu któregośkolwiek z członków rodziny więźnia. Dwie dorosłe już córki jego brata Lwa wyszły za mąż i zniknęły w trakcie rekwizycji posiadłości ich małżonków. Polemides także miał dwoje dzieci, syna i córkę, lecz moi wywiadowcy zdołali jedynie poznać ich imiona, z których wprawdzie wynikało, że byli oboje owocem jego drugiego związku, a mianowicie z niejaką Eunikę z Samotraki, jednakże w oficjalnych rejestrach nie

udało się odkryć żadnych śladów takiego małżeństwa.

Z całą wszakże pewnością Polemides raz się ożenił, właśnie w czasie, gdy przebywał na kuracji. Za małżonkę pojął córkę jednego ze znajomych swego ojca, o imieniu Phoebe, które znaczyło „Świetlana”. Jak wielu uczestników tej wojny, ożenił się młodo, bo mając zaledwie dwadzieścia dwa lata; jego wybranka ukończyła lat piętnaście.

Kiedy podczas następnego z nim widzenia próbowałem go o to wypytać, spotkałem się z uprzejmą, lecz stanowczą odmową, którą uszanowałem, więcej już nie wracając do tego tematu. Tak się jednak złożyło, że moja niewczesna ciekawość obudziła w mym kliencie wspomnienie matrony, która wówczas stała na czele jego rodu i była inicjatorką tego związku. Polemides najwyraźniej darzył ją głębokim uczuciem. Przyszła mu między innymi na pamięć rozmowa, jaką z nią odbył, gdy poraniony wrócił do domu.

„Jakie to dziwne – zauważył przy tym. – Od dwudziestu lat ani razu nie wspomniałem tamtego dnia. Tymczasem przebieg owej rozmowy być może bardzo zaważył na dalszym ciągu mej historii, a więc i na tym, żeśmy się tu z sobą spotkali”.

Powstrzymałem się od pytania; po paru chwilach

Polemides sam zaczął swoją opowieść:

lbg.-g.-ii „Po obleżeniu Potidei aż przez dwa i pół roku nie odwiedziłem Aten, służąc to w tej, to w innej kampanii. Wiesz, jak to wtedy było. Rany, z powodu której posłano mnie do domu, nawet nie odniosłem w walce; po prostu spadłem z rusztowania i rozbiłem sobie czaszkę. Przez pewien czas byłem niewidomy. Moi drodzy towarzysze szpitalnej niedoli rozkradli całe moje żołnierskie mienie z wyjątkiem trzech srebrnych tetradrachm, które przechowywałem w tyłku; pozbawiliby mnie także tarczy i napierśnika, gdyby nie to, że w nocy na jednym wspierałem głowę, a drugie obejmowałem ramieniem. Listy do siostry Meri, które pisał za mnie pewien bliski kamrat, nigdy nie dotarły do Aten, kiedy więc schodziłem ze statku na nabrzeże portu w Munchii, nikt tam nie czekał, żeby mnie powitać, a ja nie miałem w kieszeni nawet tyle, żeby zapłacić za przejazd do miasta. Dowlokłem się tam jakoś na piechotę, dźwigając na grzbiecie tarczę i zbroję, choć każdy krok groził omdleniem, gdyż przez cały czas przewiercał mi czaszkę okropny ból.

Zaczęła się już zaraza. Nie mogłem wręcz uwierzyć własnym oczom, kiedy zobaczyłem, jak wielkie spowodowała ona zmiany. Okrężna Droga, tak przed dwudziestoma sześcioma miesiącami, gdy wyjeżdżałem, szeroka, że nocami gorąco krwista

młodzież zwykła sobie na niej urządzać konne wyścigi, teraz zwięzła się do rozmiarów furgonu: po obu jej brzegach ściśnięte były zajmujące całą przestrzeń aż do Długich Murów budki i szałas, w których gnieździli się uchodźcy z całego kraju. W samym mieście ulice i aleje zapchane były bezdomnymi, którzy stracili całe swoje mienie. Znikła wszelka uprzejmość i zwyczajne ludzkie uczucia. Nawet na widok kogoś takiego jak ja, młodego i na pół ślepego żołnierza, nie padło ani jedno słowo współczucia, ani jedna ręka nie wyciągnęła się, żeby mi pomóc przestąpić krawężnik. Na znajomych uliczkach widziało się wyłącznie obcych ludzi, obracających w palcach parę nędznych oboli, całych zaślinionych, gdyż pieniędzy nie przechowywano już w sakiewkach, lecz – wzorem smarkatych dzieciaków – w ustach.

Dotarłszy na miejsce, przez cały dzień wypoczywałem, niańczony przez moją słodką siostrzyczkę. Meri zachowała dla mnie garść zebranych ubiegłego roku czereśni; miały one zapewnić mój powrót do domu, o który w głębi serca bardzo się obawiała. Jej miłość była dla mnie jak promienie słońca, w których chciałem się pławić od rana do wieczora. Nie dość jej było po prostu patrzeć na odzyskanego brata; musiała bezustannie dotykać mej twarzy i włosów, i całe godziny spędzała, tuląc się do mego boku.

– Muszę się wciąż upewniać, że to naprawdę ty.
Oboje z ojcem nalegali, abym odzyskawszy trochę sił,

natychmiast udał się w odwiedziny do ciotki Dafne, pod której opieką spędziłem pierwsze lata mego żywota, a która teraz, w sześćdziesiątej swojej zimie, marniała, samotna i pokonana przez życie. Meri posłała przede mną chłopca z wiadomością, po czym trzeciego południa i ja udałem się w ślad za nim. Ciotka była w rzeczywistości dla mnie i dla Meri cioteczną babką. W rozkwicie młodości była powszechnie podziwianą pięknoscią. Jako młodzianka panienka prowadziła podczas Wielkich Panatenajów orszak dziewcząt z koszykami, a także składała przed Wężem Akropolu świętą misę mleka. Teraz, po pięciu dekadach, w dalszym ciągu poświęcała miastu wszystko, co miała w swym posiadaniu. Przez nikogo nie przymuszana, oddała niższe piętra swej rezydencji do dyspozycji pewnej rodzinie uciekinierów z prowincji. Ci z kolei otworzyli drzwi innej familii, która znalazła się w takiej samej sytuacji, ta znów zaprosiła następnych, toteż gdy wkroczyłem na dziedziniec, doznałem wstrząsu na widok tłumu lokatorów oraz szkód będących następstwem ich ubóstwa. Na górnych jednakowoż piętrach, gdzie królowała moja ciotka, wszystko zostało po staremu; nawet mój chłopięcy pokój wyglądał tak samo, jak go zostawiłem. Ostała się także uroda starszej pani, która zapraszając mnie do komnaty stanowiącej niegdyś salon jej czwartego małżonka, a teraz przekształconej w kuchnię połączoną ze spiżarnią, wciąż emanowała

pewnością siebie osoby, która ściągała uwagę innych i przywykła do dyrygowania nimi.

Czy widziałem te rudery na ulicach?

– Na bogów, Polemidesie, gdybym tylko była mężczyzną, to Lacedemończycy gorzko by pożałowali swojego zuchwalstwa!

Ciotka miała zwyczaj zwracać się do mnie bez spieszczania mego imienia, i zawsze tonem niejakiego niezadowolenia z faktu, że tak mnie właśnie nazwano.

– Cóż to za pomysł, żeby pierworodnemu nadać takie imię? «Dziecko Wojny». Coś podobnego! Co, na litość bogów, naszło twojego ojca i jak mogła twoja matka zgodzić się na taką fanaberię?!

Wciąż nie potrafiła też przeboleć przedwczesnej śmierci mej matki.

– Twój ojciec nie ożeniłby się ponownie, gdyby nie to, że nie mógł sobie poradzić z waszą trójką i do tego z całym majątkiem, który pozostawał na jego głowie. To dlatego posłał cię na naukę do Sparty. Ale też i z obawy, że ja mogłabym cię zanadto rozpieścić.

Ujęła w dłonie moje stwardniałe od odcisków pięści.

– Jako dziecko miałeś rączki pulchne jak gęsia pierś, a kędzioriki tak śliczne i delikatne jak sam Ganimedes.

Stanowczo postanowiła własnoręcznie przyrządzić obiad, mnie pozostawiając tylko zadanie zdjęcia naczyń z wysoko umieszczonych półek i zadbanie o węgiel drzewny. Przez cały czas czułem na sobie jej uważne spojrzenie.

– A więc doznałeś pęknięcia czaszki?

– To drobnostka, ciociu.

– Na Świętych Bliźniaków! Czy tobie się zdaje, że ja przez wszystkie te lata niczego się nie dowiedziałam?

Okazało się, że z uwagą śledziła kampanie, w których brałem udział, i teraz skarciła mnie surowo za to, że przed półtora rokiem na ochotnika zgłosiłem się do wojska, chociaż już wtedy mogłem być wsiąść na okręt i wrócić do domu. Dowiadywała się nazwisk wszystkich moich dowódców i po kolei brała ich na spytki, jeśli nie bezpośrednio, to w osobach ich adiutantów, a kiedy i z nimi się nie udało, to wypytywała ich matki i siostry.

– Co cię napadło, Polemidesie, żeby bez wezwania rwać się na wojnę? Przecież nie stanąłeś przed kamieniem!

Miała na myśli to, że nie będąc żołnierzem z poboru, nie zostałem wezwany do stawienia się pod plemiennym kamieniem na obrządek wcielenia.

– Czy zgłosiliście się na ochotnika tylko po to, żeby złamać serce twojej siostrze i mnie?

Liczba mnoga postawiła mnie w jednym szeregu z narzeczonym Meri, porucznikiem piechoty morskiej, który stracił życie pod Metymną. Siedemnastoletnia w owej chwili Meri pozostała w dziewiczym stanie i, w następstwie tego, co się stało z majątkiem ojca, z nader nikłym posagiem. Ile jeszcze innych dziewcząt tak samo marniało, skoro wszystkich młodych mężczyzn wezwała do siebie wojna?

Ciotka nie życzyła sobie, żebym igrał z losem, stanowczo się domagając, bym się okazał żołnierzem ostrożnym i przewidującym.

– Celem twojego wychowania w Sparcie było przyuczenie cię do cnoty i panowania nad sobą, a nie do żołnierskiego rzemiosła. Czyż nie jesteś ziemianinem? Na bogów, nie czujesz żadnego powołania do rolnictwa?!

Skrecałem się w sobie.

– Twój brat okazuje jeszcze większą trzpiotowatość niż ty. A z kolei wasi kuzyni mają głowę tylko do aktorów, koni i własnej urody. Kto zadba o naszą przyszłość, Polemidesie? Kto zajmie się ziemią?

– Nie uważasz, ciociu, że to na razie tylko czcze gadanie? Spartańscy żołnierze w najlepsze gotują sobie

strawę nad ogniskami z naszych łóżek i ław!

– Tylko mi się nie próbuj odszczekiwać, chłopcze. Ciągle jeszcze mogę cię wziąć na kolano i sprać na kwaśne jabłko.

Odmówiła modlitwę i postawiła garnek na ruszcie.

Potem poinformowała mnie, że dwaj moi kuzyni, a jej wnuki, Szymon i Aristeusz, którzy dorastali na końskich grzbietach, wyróżnili się w oddziałach konnicy oraz zyskali pewną, jej zdaniem niezbyt chlubną, sławę. Czy wiadomo mi, że notorycznie kręcą się po mieście w towarzystwie rozpustników i dandysów, którzy starają się dorównać temu fanfaronowi, Alkibiadesowi?

– Widziałam to na własne oczy – oświadczyła. – Twoi kuzyni biesiadują z autorami tragedii i z dziewczkami!

– Jestem pewien, że ich przyjaciele piszą najlepsze tragedie.

– Owszem. A dziewczki świadczą najlepsze usługi.

Opowiedziała mi następnie, jak to pewnego dnia o świcie jako uczestniczka odbywającej się naprzeciw Palladionu procesji z okazji ateńskich Dionizji czekała na dźwięk trąbki, gdy nagle spostrzegła tę wstrętną bandę.

– Nadcignęli całą gromadą, pijani po całonocnej

libacji, z wieńcami na głowach, fikając koziołki niczym stado bezwstydných satyrów. A pomiędzy nimi kto? Moi wnukowie! Znasz targowisko piekarzy na rogu przy Ławie Strategów? Otóż kiedy ukazali się postulanci ze świętą ofiarą, ci szaleńcy dopadli ich i porwali ofiarę sobie na obiad! Tak! I nie dość tego: jeszcze się naśmiewali z procesji! Wszyscy, nie wyłączając twoich kuzynów, zabawiali się sprośnym przedrzeźnianiem niebios!

Ciotka Dafne oburzała się na rozwiązłość całego tego towarzystwa, najbardziej jednak na jego przywódcę, Alkibiadesa. Opowiedziała mi, jak to przywiózł on do domu z wyprawy na północ dwójkę bękartów, chłopców, których spłodził z tą cudzoziemską nierządnicą Kleonis, a następnie całą trójkę umieścił w apartamentach wynajętych nie tylko w tej samej dzielnicy, ale i przy uliczce, którą codziennie musiały przechodzić jego prawowite córki z żony Hipparety, ponieważ tamtędy właśnie prowadziła je na spacer ich niania. »Popatrz! To bękartu naszego tatusia! Prawda, że urodziwi?«.

Coś na to powiedziałem bagatelizującego, na co usłyszałem zaraz:

– Doprawdy, nie ma już nic świętego dla ciebie i całego twego Pokolenia!

Popatrzyła na mnie z rezygnacją i politowaniem zarazem.

– Kto wie, czy ojciec nie wybrał ci jednak trafnego imienia? Przyznaj się: ty kochasz wojnę, prawda? Lubisz ten smród, który bije z żołnierskiego kotła ze strawą, i tych obdartusów, którzy z tobą wokół niego zasiadają. Twój dziad był taki sam. Podziwiam cię oczywiście; takie to przecież męskie. Tylko że wojna, Polemidesie, to sport dla ludzi młodych. A nikomu, nawet tobie, nie uda się na zawsze zachować młodości.

Pobłogosławiła jadło i nałożyła mi moją porcję.

– Musimy ci znaleźć żonę.

Zaśmiałem się.

– Bo inaczej jeszcze coś złapiesz od tych dziewczek.

Po raz pierwszy jej ładne oblicze rozjaśnił uśmiech. Przytuliłem do siebie tę szlachetną damę, która zawsze była mi dobrodziejką i przewodnikiem, ale gdy w końcu rozluźniłem uścisk, ujrzałem na jej twarzy już nie wesołość, lecz smutek.

– Co się z nami stanie, Pommo?

To dramatyczne pytanie wyrwało się wprost z jej zboląłego serca, tak samo niespodziewanie zdrobniła moje imię.

– Co stanie się z naszą rodziną? I co z tobą się stanie?

Po czym ciotka Dafne rozplakała się.

– Ta wojna położy kres wszystkiemu, co było czyste i szlachetne. I nagle, jak gdyby wiedziona jakimś nakazem niebios, zwróciła się ku mnie, ujęła obie moje dłonie, zaciskając je w swoich z zadziwiającą jak na tak delikatną istotę siłą.

– Musisz przeżyć tę wojnę, mój chłopcze. Przysięgnij mi to na Demeter i Korę. Któreś z nas musi z tego wyjść cało!

Spod okien dobiegły nas wulgarne ryki jakiegoś prostaka; kiedyś byłby to pewnie okrzyk roznosiciela piwa lub przypadkowego woźnicy, teraz jednak wrzeszczał jakiś pospolity gbur, który rozkraczył się pośrodku tej niegdyś wykwintnej ulicy i wrzaskiem swoim obwieszczał, że bierze ją w posiadanie.

– Obiecaj mi to, dziecko moje. Przysięgnij!

Złożyłem tę przysięgę, lecz tak, jak się coś przyrzeka lekko zbzikowanej starszej pani, by zaraz na zawsze zapomnieć o danej obietnicy".

7. WYMOWNA CISZA

– To ta właśnie stara dama, Dafne – kontynuował mój dziadek – wyswatała Polemidesowi młodziutką Phoebe. Dziwne może ci się zdać, mój wnuku, jeśli ci powiem, że podczas żadnej z naszych więziennych rozmów o kolejach jego życia klient mój ani razu nie wymienił imienia swej małżonki. Co więcej, jeśli nie liczyć odosobnionego wyznania, na które zdobył się dopiero pod koniec swej opowieści, to w ogóle wspomniał o jej istnieniu zaledwie trzykrotnie, a i to nie wprost. Czy miałyby to dowodzić braku uczucia? Otóż uważam, że wcale nie; owe przemilczenia są nader wymowne i wskazują na coś wręcz przeciwnego. Spróbuję ci to wyjaśnić.

W tamtych czasach, bardziej nawet niż dziś, mężczyźni starali się jak najrzadziej wspominać o swoich połowicach. Największej chwały przysparzała niewieście skromność i dyskrecja; im mniej się o niej mówiło zarówno dobrego, jak i złego, tym było to dla niej korzystniejsze. Jej rola polegała na zajmowaniu się domostwem i wychowywaniu dzieci.

Chłopiec wychowany w tej epoce, zwłaszcza taki jak Polemides, który szkolił się pod surowym nadzorem Spartan, miał przede wszystkim nauczyć się

odporności i wytrzymałości. Cnoty, jakie mu wpajano, były cnotami mężczyzn; wzorem piękności miała dlań być męska uroda. Zwróć uwagę na ówczesne rzeźby. Dopiero od paru lat uwiecznia się w brązie i kamieniu postacie kobiece – a i to wyłącznie boginie – którym wolno rywalizować z mężczyznami. Wtedy jednak chłopcy uczyli się idealizowania cielesnej formy innych mężczyzn, nie w jej zmysłowym czy też lubieżnym aspekcie, lecz jako wzorca do naśladowania. Kontemplowanie oddanej w marmurze niezrównanej piękności Achillesa czy Leonidasa, a następnie podziwianie podobnej doskonałości w ciałach towarzyszy lub dorosłych mężów, budziło w młodzieńcach pragnienie ukształtowania własnych ciał na podobieństwo ideału; starali się niejako ucieleśnić w samych sobie cnoty, które zawierały się w fizycznej doskonałości.

Czar, jaki rzucał na swych współczesnych Alkibiades, brał się, jak sądzę, w niemałej mierze z takiego właśnie rozumienia piękności i doskonałości. Umysły, które odznaczały się subtelnością, dostrzegały w jego urodzie zewnętrzne odbicie jego wznioslejszego, wewnętrznego piękna. Bo jeśli nie, to czemużby bogowie zechcieli obdarzyć go taką pięknnością?

Jednym z uczniów Sokratesa był poeta Arystokles, zwany Platonem. Jego teoria form oparta jest na takiej samej interpretacji. Jak fizyczność jakiegoś pojedynczego rumaka odzwierciedla to, co w nim szczególne i przemijające, twierdził Platon, tak musi istnieć w jakiejś wyższej rzeczywistości swego rodzaju idealna, uniwersalna i niezmienna forma konia, z której wszystkie cielesne konie „czerpią”, czy w której „uczestniczą”. Postrzegana wedle takich założeń wspaniała uroda Alkibiadesa zdawała się bliska boskości, jako że doskonałość jego ciała niemal zgodna była z ideałem, który istniał jedynie w owej wznioślejszej rzeczywistości. Oto dlaczego, moim zdaniem, mężczyźni grupowali się wokół niego, czyniąc to niejako odruchowo.

Tak tedy w pojęciu Polemidesa, a także i całego naszego pokolenia oraz mnie samego, tylko w męskim ciele mogły się odzwierciedlić zarazem doskonałość, *arete*, i cnota – *andreia*. Co zatem czuł Polemides, kiedy ojciec wyjawiał mu tożsamość jego przyszłej małżonki? Jeśli podobny był do mnie, to wątpię, by kiedykolwiek w swym życiu uznał kształt niewieściego ciała za prawdziwie piękny, a gdyby nawet, to tylko w czysto fizycznym sensie, gdyż w tym idealnym piękno reprezentować mógł jedynie mężczyzna. W takim

rozumieniu dziewczyna z sąsiedztwa, którą zapewne znał od smarkacza, musiała mu się zdać mało pociągająca.

Jednakże jest w jego opowieści pewna wymowna wzmianka na jej temat. Rzekł mianowicie któregoś razu, że jego małżonka Phoebe, w wieku siedemnastu lat i już będąc matką, zażądała wprowadzenia jej w eleuzyńskie misteria. W innej zaś wypowiedzi z niesmakiem wyraził się o tym obrzędku, który był jego zdaniem przesadą, i to w dodatku mającym znamię zniewieściałości. Mimo to nie tylko przyzwolił swej połowicy na ową inicjację, lecz sam jej w tym przedsięwzięciu towarzyszył, uczestnicząc wraz z nią w pielgrzymce przez morze i samemu przechodząc pełne wtajemniczenie.

Dlaczego tak postąpił? Czym mógł się kierować, jeśli nie chęcią uhonorowania małżonki i ściślejszego się z nią związania?

Pozwólmy sobie w tym momencie zdać się na wyobraźnię. Wyobraźmy więc sobie Polemidesa w wieku dwudziestu dwóch czy trzech lat, mającego za sobą aż dwanaście lat spartańskiej twardej szkoły, a do tego dwa i pół roku wojny. Oto ranny, wraca do domu; dochodzi do zdrowia, z czego korzystają jego ojciec i cioteczna babka, aby mu znaleźć żonę. Być może jest

to okres, w którym myśli jego zwracają się ku zagadnieniu człowieczej śmiertelności; być może też zapragnął mieć dzieci, choćby tylko po to, by rozpogodzić życie podeszłego już wiekiem ojca.

Rozszalała się zaraza. Z nieznaných przyczyn przepadają jego krajanie; nie ma nadziei na poprawę losu, ani nawet nie znajduje w swym pobliżu mężczyzn, do których obecności tak przywykł, gdyż wszyscy są na wojnie. Zamknięty jest niczym w klatce, w mieście i w domu, który dzieli z ojcem i siostrą, a być może także z kuzynami, ciotkami i stryjami.

Młody żołnierz akceptuje wybrankę. Pochodzi ona z dobrej rodziny, jest przyjaciółką jego siostry Meropy i bez wątpienia jest bystra, wykształcona muzycznie i biegła we wszelkich niewieścich umiejętnościach, koniecznych do prowadzenia domu. Zachowuje się z należytą skromnością i dyskrecją, właściwą wszystkim dziewczętom z dobrych rodzin; wolno nam przypuszczać, że nie jest też pozbawiona czysto fizycznych walorów. Z racji niepełnej sprawności, będącej skutkiem odniesionych ran, młody żonkoś zdany jest na swą połowicę, która mu dotrzymuje towarzystwa, rozmawia z nim, a może nawet z konieczności usługuje, przynosząc mu posiłki, czytając na głos i pomagając w pokonywaniu schodów.

Młodzieniec przekonuje się, że jego małżonka jest dla niego dobra, okazuje mu cierpliwość, a nadto potrafi się dostosować do trudnych warunków życia. Jest od niego młodsza i w sercu jej panuje pogoda; umie go skłonić do śmiechu. Oto więc widzimy męża, który, wspomnijmy to raz jeszcze, przez całe swe dotychczasowe życie ćwiczyć się musiał w znoszeniu wszelkiego rodzaju trudów i niedostatków, a także w umiejętności godzenia się z wyrzeczeniami i ograniczania własnych potrzeb; żołnierza, dla którego najwyższą cnotą jest poświęcenie życia w walce o ojczyznę. W nagłym olśnieniu i z wielkim zdumieniem odkrywa on teraz, że istnieje również inna strona egzystencji. Nie doskwiera mu samotność. Być może po raz pierwszy w życiu jego zahartowane jak stal serce zaczyna łagodnieć, a do tego osłabiły go cielesne obrażenia, toteż w niejakim oszołomieniu panicznie próbuje odzyskać psychiczną i fizyczną równowagę, i oto ku swemu zdumieniu odkrywa, że ma przy sobie kogoś, kto go z niewieścią delikatnością podtrzymuje i wspiera. Bo przecież bez trudu możemy sobie wyobrazić, jak jego małżonka przynosi mu do łóżka ulubioną potrawę, ustawia kwiaty na parapecie okna sypialni lub śpiewa mu wieczorami piosenki.

Spostrzega także nasz żołnierz, że darzy ona

uczuciem jego ojca, który tę miłość odwzajemnia. Słyszy, jak jego młoda żona chichocze w kuchni, rozmawiając ze swoją szwagierką. Czy przywołuje to na jego wargi uśmiech? Bo przecież pomimo dziejących się wokół okropności cała rodzina spędza w jego domostwie wspólne, spokojne i pogodne wieczory.

Co się tyczy sfery cielesnych popędów, to dotychczas młody Polemides czynił im zadość jedynie, zadając się z fladrami z kurewskich obozów i nawiązując ukradkowe kontakty z ulicznicami, podczas gdy teraz ma do dyspozycji małżeńskie łóżce i spoczywającą u jego boku połowicę. Z pewnością jest niewinna. Jej młodość i kruchość budzą w nim nie gwałtowną żołdacką żądzę, lecz czułą mężowską namiętność. Jak przebiega pomiędzy tym dwojgiem proces budzenia się i narastania cielesnych pragnień? Zapewne nie tak od razu gładko; obojgu brak odpowiedniego doświadczenia, ale przecież są razem, choć po raz pierwszy – z sobą.

Jak przystoi każdemu szlachetnego rodu mężczyźnie, Polemides nigdy o tym nie mówi. Jednakże w jego sercu coraz więcej jest uczucia dla małżonki. Z wyjątkiem najbliższej rodziny nikt jeszcze nie traktował go z taką czułością, stale dbając o jego

wygodę i o to, by zaspokojone były wszystkie jego potrzeby. Nietrudno sobie w tej sytuacji wyobrazić, że serce żołnierza łagodnieje, a i to, że w jakiejś chwili zastanowienia uświadamia on sobie, iż po raz pierwszy w życiu jest szczęśliwy.

Pomyślmy teraz o niej, o młodziutkiej Phoebe. Jak się jej spodobał małżonek? Z pewnością żaden rzeźbiarz nie uczyniłby go swoim modelem, ale przecież jest zarazem atletą i żołnierzem; jest pełnym sił żywotnych, a przy tym zrównoważonym i zamożnym młodzieńcem, u którego boku nigdy niczego nie będzie się musiała lękać. Wydaje się nie do pomyślenia, by miał ją kiedykolwiek porzucić. Gdyby zagroziło jej coś strasznego, gotów będzie oddać życie w obronie jej i dzieci. Czyż nasza Świetlana, pomijając ukształtowane w niej poprzez wychowanie posłuszeństwo dla małżonka, nie odpowie na to wszystko chętnym i serdecznym do niego przywiązaniem?

Tym bardziej że nie jest on z kamienia. Doznał ran, wie, co to lęk. Potrzebuje jej. Choć na zewnątrz fundamenty* niebios zdaje się pękać i kruszeć, to wewnątrz domostwa począł się i rośnie inny, intymny kosmos. W jej łonie porusza się oczekujące przyjścia na świat dziecię. A z jaką radością oni, którzy wszak

świadomi są własnej śmiertelności, muszą czekać na jego powitanie! Już samo to wystarcza, by wyobrazić sobie tych dwoje, jak w czułej ciemności sypialni umacniają łączące ich więzy, których młody małżonek, przyuczony do milczenia i zamknięcia w sobie, nie potrafiłby nigdy określić słowami.

Być może popuściłem wodze wyobraźni, mój wnuku. Może doczytuję się w duszy i umyśle Polemidesa za wiele siebie samego. Ale takim właśnie maluje mi tego człowieka moje serce.

Tacy bowiem byliśmy wszyscy, młodzieńcy z mojego pokolenia. My także, jak Polemides, braliśmy sobie żony. My także wychowywaliśmy dzieci, przygotowując je do samodzielnego życia. Powinniśmy byli tamtej wiosny wybiegać z domów, aby powitać jej przybycie; powinniśmy otwierać szeroko podwoje naszych domostw, by u boku naszych małżonek podziwiać zieleniejące zbocza wzgórz. Lecz nasze drzwi i okiennice pozostały wtedy zatrzaśnięte. Zamknięci zostaliśmy w czterech ścianach i otoczeni przez zbrojne armie naszych wrogów. Domagaliśmy się wojny i na nasze zawołanie przyszła; czegośmy jednakowoż nie mogli przewidzieć, to tego, że u jej boku kroczyć będzie widmowy morderca: zaraza.

Oto więc nadciągnął najeźdźca bardziej jeszcze

nieubłagany niż miriady Persów, bardziej bezlitosny niż lacedemońskie falangi.

Wróg, z którym nie sposób się było układać ani z którego rąk nie można się było wykupić złotem, nikogo nie oszczędził i nie dał się zadowolić żadnym gestem uległości czy poddania. Nacierał za dnia i nocą. Nie powstrzymywały go żadne kamienne mury. Nie słuchał żadnych bogów i gardził wszelkimi ofiarami. Nie przystawał dla odpoczynku i nie przerywał walki w świąteczne dni. Nie potrzebował snu ani pożywienia, a zarazem niczym nie można było zaspokoić jego potwornego apetytu.

Mór nie miał swoich ulubieńców. Ostrze jego bezszelestnego sierpa ścinało zarówno wielkich, jak i małych, zarówno prawych, jak i występnych. Z dnia na dzień ogromniała wokół nas liczba jego ofiar. Oto gimnazjom w przebieralni twego towarzysza ćwiczeń niczyja ręka nie wiesza już na haku odzienia. Oto kramik na targowisku: nikt nie otworzył okiennic i nikt nie zasiadł na stołku sprzedawcy. Za dnia wdychasz smrodliwy dym ze spopielanych zwłok, a nocą przetaczają się pod twoimi oknami furgony załadowane trupami. Śpiąc, wciąż słyszysz turkot ich kół; ten przerażający odgłos rozpanoszył się nawet w twoich snach.

Same siebie uwięziwszy w swych murach, Ateny zataczały się pod smagnieniami niewidzialnego i niesłyszalnego bicza, na które nikt nie był odporny i przed którymi nikt nie mógł się uchylić.

8. ROKOWANIE: ŚMIERĆ

„Jak wiesz, Jazonie – mówił dalej Polemides – w tamtych czasach niewiele było miejsc, w których uczono medycyny; każdy mógł się po prostu nazwać doktorem i pobierać zapłatę za medyczne usługi. Częściej wszelako zdarzało się, iż jakaś osoba została wciągnięta, że tak powiem, przez tę profesję, gdyż okazało się, że ma szczególne zdolności do leczenia. Tak właśnie było z moim ojcem. Miał medyczny dar. Dotknięci chorobą przyjaciele przywoływali go do siebie, on zaś skutecznie im pomagał.

Podczas wszystkich tych lat, kiedy zajmował się uprawą ziemi, poznał tajniki zielarstwa i kataplazmów, mikstur przeczyszczających, zakładania łupków i opatrunków, a nawet trochę chirurgii, czyli całą tę tradycyjną weterynarię, której musi się nauczyć gospodarz, żeby zachować w zdrowiu i dobrej kondycji swoje stada. Szczególnie jednakowoż przydatny okazał się jego wpływ na samopoczucie chorego czy rannego. Ot, w jego obecności każdy zaraz czuł się lepiej. Ojciec dziękował niebiosom za ten dar w stary, dobry sposób, właściwy jego epoce: po prostu wierzył w bogów; jego pacjenci z kolei wierzyli w niego, i to wystarczało.

Dzięki tym leczniczym zdolnościom Nikolaos z Achamy, kiedy nie mógł już czerpać dochodów ze swojego majątku, okazał się zdolnym do utrzymywania swej rodziny w mieście. Zzuł swoje buty rolnika i wywiesił nad drzwiami szyld medyka.

Z wybuchem zarazy zapotrzebowanie na jego usługi znacznie wzrosło. Meri podjęła się obowiązków pielęgniarki, towarzysząc mu w jego lekarskich obchodach. Ja także byłem już wówczas w mieście; ożeniłem się i miałem małego synka. Zdarzało się często, że Wybierałem się z nimi na wizyty; bardziej po to, by zapewnić im zbrojną ochronę, gdy wezwani zostali do jakiejś oddalonej dzielnicy, niż dla udzielenia fachowej pomocy.

Nie znosiłem chorych. Odczuwałem przed nimi obawę. Nie mogłem się pozbyć przekonania, iż sami ściągali na siebie swoje przypadłości niegodnym postępowaniem, które ukrywali przed ludźmi, nie mogąc jednak przecież zataić go przed bogami. Ponadto lękałem się zarażenia ich chorobami. Pełen byłem podziwu dla ojca i siostry, którzy wstępowali w progi powalonych niemocą. Pamiętam, jak pewnego razu w środku nocy wezwani zostali do dzielnicy nędzy – skupiska byle jak skleconych i nigdy nie przewietrzanych namiotów i trzciniowych szałasów, z

których bił w niebo odór zatrutych wydzielin umierających ludzi.

Był to okres, gdy właśnie sięgał szczytów iście obłędny, zrodzony na ulicach kult Tezeusza. Uliczka, na którą przybyliśmy, cała była udekorowana pomalowanymi na purpurowo byczymi rogami, a na każdej ścianie widniały słowa Prozelity: »On nadchodzi«. Barak, do którego ojciec został wezwany, zamieszkiwała gromada cudzoziemców – także starców i niemowląt – którzy przybyli do miasta w czasach jego rozkwitu, by teraz, kiedy podupadło, egzystować w straszliwej nędzy i umierać jedno po drugim. Za całe złoto Persji nie zgodziłbym się przestąpić progu tej nory, do której jednak oni, ojciec mój i siostra, wkroczyli bez wahania, zbrojni jedynie w woreczki z ziołami i parę żałośnie prymitywnych medycznych instrumentów, jak rurka do osłuchiwania, lancet i wziernik.

Coś ci pokażę, Jazonie. To notatnik, w którym mój ojciec zapisywał leczone przez siebie przypadki; udało mi się go zachować przez wszystkie te lata:

Niewiasta, 30, gorączka, brzuszne konwulsje. Zastosowane: naparstnica i waleriana, wino ze strychniną na przeczyszczenie. Rokowanie: marne.

Niemowlę, 6 miesięcy, gorączka, brzuszne

konwulsje. Zastosowane: napar z kory wierzbowej, żywokost na wstrzymanie i czopek z ciemiernika w pszczelim wosku. Rokowanie: marne.

Na marginesach notował ojciec wysokość należnych mu wynagrodzeń. Kółkami otaczał te, które rzeczywiście otrzymał. Można przebiec wzrokiem dwadzieścia lub trzydzieści pozycji i nie natrafić na takie kółko.

Ale popatrzmy dalej. Mijają miesiące. Notatki przybierają nader lakoniczną formę.

Mężczyzna, 50. Zaraza. Zmarł.

Dziecko, 2. Zaraza. Zmarło.

Miałem wówczas dwadzieścia trzy lata. Nie chciałem ani umierać, ani też bezradnie patrzeć, jak umierają ci, których kocham. Cóż jednak mogłem uczynić? Świadomość zupełnej niemocy skręcała mi wnętrzności. Ojciec mej matki odebrał sobie życie, choć plaga go nie dotknęła; patriarcha rodu po prostu nie mógł znieść myśli, że przeżyje jeszcze jedno pokolenie ukochanych potomków. Powieźliśmy z ojcem jego szczątki w dziecięcym wózku przez miejską bramę – wówczas zwaną Wrotami Lwiego Serca, dzisiaj zaś Bramą Łez – do rodzinnego grobowca na wsi. Pół setki innych rodzin odbywało tę samą drogę; żałobny korowód rozciągał się aż do

Anakionu. Spartańscy najeźdźcy, zakończywszy dzieło zniszczenia, wycofali się, pozostawiając jedynie rzadkie konne patrole. Jeden z nich zatrzymał nas na Achamajskiej Drodze. Jego dowódca przekonywał nas, że powinniśmy zacząć myśleć rozsądnie i zabiegać o pokój.

– To już nie wojna! – krzyczał, jako że jego szlachetne rycerskie serce burzyło się na widok potworności, których ofiarą padały niewiasty i dzieci. – To istne piekło!

Co się mnie samego tyczy, to niewiele doświadczyłem tej szlachetności wojowania, o której tak wymownie zapewniali mnie pobratymcy owego oficera, u których pobierałem nauki. W Etolii puszczaaliśmy z dymem całe wsie i zatruwaliśmy studnie. W Akamanii użyliśmy naszych mieczów do mordowania stad owiec, nie zadając sobie nawet trudu zdjęcia z nich skóry lub ostrzyżenia runa, lecz po prostu zrzucając ich ścierwa do morza. Smaku prawdziwej wojny zaznałem tylko raz, w bitwie pod Mityleną, służąc pod komendą Lachesa, najlepszego wodza floty obok Spartanina Brasidasa i Alkibiadesa.

Jeśli chodzi o Alkibiadesa, to przyznano mu drugie już odznaczenie za męstwo, jakim się wykazał podczas ataku na spartański port Gythejon, a miał jeszcze

otrzymać trzecie, za bitwę pod Delionem, gdzie uratował życie swemu mistrzowi Sokratesowi, tym razem jako wojownik konnicy; wywalczył więc sobie »triple« – na lądzie, na morzu i na końskim grzbiecie. W tym samym okresie wziął po raz pierwszy udział w zawodach rydwanów w Olimpii, jednakowoż jego woźnica wypadł z rydwanu i nie ukończył rywalizacji. Przez cały ten czas ani razu się z Alkibiadesem nie spotkałem.

Zaraza ciężko dotknęła jego rodzinę: po Peryklesie stracił matkę, Deinomache, potem spłodzoną z małżonką Hipparete córeczkę, która była jeszcze niemowlęciem, a wreszcie i obu synków, których mu urodziła Kleonis, także zresztą wkrótce potem uśmiercona przez mór. Kuzyni jego, synowie Peryklesa, Parałós i Ksantyp, padli w boju, Amyklaja zaś, lojalna spartańska piastunka, zmarła w jego domostwie, choć jej rodacy nakłaniali ją do powrotu na łono ojczyzny.

Za murami czyhała wojna; wewnątrz nich – mór. Lecz oto narodziła się trzecia plaga: własni nasi rodacy, których tamte dwie doprowadziły do desperacji. Pierwsi ulegli jej biedacy. Pod naciskiem gnębiącego ich niedostatku zaczęli plądrować domy tych, którym się jeszcze nie najgorzej powodziło, a

sami niejako wystawili się na to niebezpieczeństwo, pozbywszy się prawie wszystkich swoich dozorców i zarządców. Zatrzymywali jedynie najbardziej zaufanych, którzy jednakowoż także poczęli posuwać się do grabieży, kiedy przyszło im zapłacić medykowi lub grzebalnemu; a stały się te dwie profesje w istocie jedną i tą samą.

Cóż po pieniądzach, skoro prędzej sześniesz, niż je wydasz? Umiera właściciel ziemski, pozostawiając swoje bogactwo synom, a ci, pewni swego rychłego końca, czerpią z tego spadku pełnymi garściami, zaraz wszystko tracąc na rzecz wszelkiego rodzaju pasożytów i naciągaczy, ochoczo podstawiających ręce pod każdą przepełnioną kieszeń. Widziałeś to wszak, Jazonie. Oto choroba zabiera komuś żonę i dzieci; ogarnięty rozpaczą, w poczuciu beznadziei podpala on własne domostwo, po czym popada w odrętwienie, *katalepsis*, nie wypierając się nawet swego postępuku przed strażakami, którzy przybiegli do pożaru dopiero wtedy, kiedy już ogień trawił domy jego sąsiadów. Sam widziałem w pobliżu Leokorionu mężczyznę, którego poćwiartowano za taki występki. A byli też i tacy, którzy dopuszczali się podpaleń z czystej złościwości, toteż po zmierzchu wypatrywanie nowych zarzewi pożarów stało się nader popularnym sportem.

Brat mój służył wówczas w piechocie pod komendą Nikiasza i stacjonował w Megarze; zarówno jego, jak i innych regularnie wysyłano do Aten z meldunkami. Za każdą swoją bytnością Lew namawiał mnie do opuszczenia miasta. Wstąp do piechoty morskiej, mówił, zasiądź do wioseł na frachtowcu czy zrób cokolwiek innego, byłeś się wyrwał z tego przedsiönka piekiel, którym stało się obleżone miasto. On sam wysłał swoją małżonkę Teonję i dziatki do jej kuzynów na północy, podczas gdy moja połowica pozostawała z naszym dziecięciem w Atenach.

– Oni jakby już byli martwi – przemawiał do mnie z pasją Lew. – Ich groby są już wykopane. Nic innego nie czeka również ojca i Meri, a i nas, jeśli okażemy się aż tak szaleni, żeby tu zostać.

Rozmowa ta odbyła się pewnego wieczoru, kiedyśmy się wspólnie upijali; nie dla przyjemności jednak, lecz po to, żeby bezwstydnie doprowadzić się do stanu znieczulenia na wszystko.

– Posłuchaj mnie, braciszku. Nie jesteś jednym z tych pobożnych gamoniów, którzy zarazę uważają za karę bogów. Jesteś żołnierzem. Wiesz, że nie stawia się obozu na bagnach ani nie czerpie się wody ze strumienia poniżej latryny. Rozejrzyj się wokół siebie, człowieku! Żyjemy tu stłoczeni niczym szczury, po

dziesięcioro w miejscu przeznaczonym dla dwojga, więc oddychamy powietrzem równie zatrutym jak w szpitalnym oddziale dla umierających.

Tak się wtedy mówiło. Sam pamiętasz, Jazonie. Rzuciło się sobie w twarz prawdę ze szczerością skazańca, który nic już nie ma do stracenia. Wszelka ogłada niczym maź spłynęła z nas do rynsztoka, bo po cóż przestrzegać jakichkolwiek zasad, kiedy zostało się skazanym na śmierć? Po co oddawać cześć bogom, skoro wszystko najgorsze, co mogło nas z ich strony spotkać, niczym by było w porównaniu z tym, co już przecierpieliśmy? Przyszłość? Myśleć o niej z nadzieją było szaleństwem; lękać się jej to by tylko znaczyło jeszcze nieznośniejszymi czynić obecne cierpienia. Czemu miałyby służyć jakakolwiek cnota? Przymuszać się do cierpliwości i przezorności to idiotyzm; zdrowy rozsądek podpowiadał raczej beztroskę i uganianie się za przyjemnościami życia. Hamować żądzę byłoby absurdem; nieść pomoc dotkniętym chorobą znaczyłoby przyspieszyć własny koniec.

Rozpacz zaowocowała śmiałością, a perspektywa powolnej agonii – kuszeniem nagłej śmierci. Na ulicach grasowały bandy uzbrojone w brukowce i kłonicę; tego rodzaju broń – gdyby się wpadło w ręce służb porządkowych, co w zasadzie nigdy się nie

zdarzało – łatwo było odrzucić od siebie lub tłumaczyć im, że to całkiem niewinne, użytkowe przedmioty. Członkowie tych band gryzmolili bezbożne napisy na ścianach publicznych budynków, a nawet bezczęścili sanktuaria zmarłych, i nikt nie potrafił się im przeciwstawić. Napadali na obcokrajowców, wybierając zwłaszcza najslabszych, i tłukli ich z nieznanym dotychczas okrucieństwem. Wiele razy ojciec mój i siostra, spiesząc do jakiegoś chorego, musieli po drodze zająć się takim bliskim śmierci nieszczęśnikiem, którego bandyci porzucili w rynsztoku. Białe suknie miały zapewniać siostrom miłosierdzia bezpieczeństwo podczas wypełniania ich misji, jednakowoż znalazły się i takie niewiasty, które przywdziewały ów strój tylko po to, by je wpuszczano do domów, gdzie następnie dokonywały grabieży, nie przejmując się umierającymi i błagającymi je o litość mieszkańcami. Na własne oczy widziałem, jak tłum ukamienował jedną taką przestępczynię w chwili, gdy wychodziła z obrabowanego domu, po czym zabójcy rozbiegli się, rozszarpawszy pomiędzy siebie jej łup, zanim jeszcze zaczęła krzepnąć leżąca się z niej krew. Wydany został zakaz noszenia broni i wszelkiego źródła ognia, w tym nawet pochodni do oświetlenia sobie drogi do domu. Karą dla tych, którzy zostali

schwytani z hubką i krzesiwem, była śmierć.

Świadomość, że tak łatwo i tak przypadkowo można utracić życie, wyzwalała w ludziach zarówno to, co najgorsze, jak i to, co było w nich najlepsze. Meri udostępniała nasze mieszkanie rajcom miejskim, którzy zbierali się na narady, a także organizowała punkty zaopatrzeniowe, w których pielęgniarki i doktorzy mogli znaleźć niezbędne do pomocy chorym dietetyczne pożywienie i medykamenty.

Choroba objawiała się w takich formach, że nic już nikogo nie dziwiło. Trawiąca jej ofiary gorączka sprawiała im takie cierpienie, że nie mogły znieść dotyku choćby najłżejszej i najdelikatniejszej materii. Wchodziło się do jakiegoś domu i oto wszyscy jego mieszkańcy byli nadzy. Udręczeni gorączką nieszczęśnicy rzucali się do publicznych wodotrysków, a potem z kolei inni, których doprowadziło do szaleństwa pragnienie, pili skażoną przez tamtych wodę. Nawet nocny chłód nie przynosił ulgi, gdyż samo zetknięcie się skóry chorego z pościelą łóżka sprawiało ból, który doprowadzał go do obłędu. Medycy zalecali kąpiele i środki moczopędne; u jednych powodowały one krwawienia, innych przeczyszczały, lecz nic nie skutkowało.

A przy tym doktorzy wyglądali gorzej od

umierających. Moja połowica karmiła naszą parę strachów na wróble, sama zresztą z dnia na dzień coraz bardziej marniejąc. Po niedługim czasie potrzebniejsze od lekarstw stały się środki przeciwbólowe, a w końcu, jak poszeptywano, litościwe ułatwienie chorym śmierci. Byli i tacy, którzy z własnej woli wypijali byczą krew lub połykali kamienie.

Także i ja zostałem zmobilizowany do poszukiwania tych tragicznie potrzebnych środków. Chodziłem po targowiskach żeglarzy, skupując morfinę i tojad, cykutę i belladone. Meri nauczyła mnie, jak przyrządzać z nich mikstury, które pomagały umierającym opuścić ten padół; jednakże niebawem zakupy te okazały się zbyt kosztowne.

Wkrótce zachorował także mój synek. Jego płacz całymi dniami i nocami rozdzierał nam serca. Moja żona kołysała go w ramionach, nucąc mu do ucha piosenki, lecz i ona sama zaczęła słabnąć. Gdy już oboje nie mogli dłużej znieść cierpienia, Meri dała im do wypicia zachowaną resztkę śmiertelnego wywaru z wilczej jagody.

Sprowadził się do nas mój kuzyn Szymon, wtedy już kapitan jazdy, wraz z żoną Klimeną i dwójką bliźniaczych niemowląt. W pewnym momencie zaczęła go trawić gorączka. Uciekł którejs nocy,

zabierając tylko swego konia. Po paru dniach zaczęła niedomagać Klimeną, która z płaczem nawoływała go do siebie; przepatrywałem wszystkie jego kryjówki, włącznie z tymi, które obaj dzieliliśmy w dzieciństwie, aż pewnej nocy, w ostatecznej będąc desperacji, postanowiłem zwrócić się do Alkibiadesa, który przebywał w swej miejskiej rezydencji na Rycerskim Wzgórzu.

W owych dniach ulice, nawet te, które zamieszkiwali ludzie zamożni, przeobraziły się w koszmarne tunele zagłady. Część mieszkańców zmarła, pozostawiając na pastwę losu swoje ulubione zwierzęta; pozostali, niezdolni do ich wykarmienia lub zbyt chorzy, by zadbać nawet o własne, również się ich pozbywali. I oto teraz wszędzie grasowały sfory zdziczałych psów. Instynkt powstrzymywał je przed zżeraniem trupów, przeto polowały na żywych ludzi, wdzierając się nawet do ich domów: rozszarpywały kłami okiennice i wpadały do środka z piekielnym wyciem i szczekaniem, które niosło się po opustoszałych ulicach. Zdawało mi się, że całymi godzinami przedzierałem się przez to krwiożercze oblężenie, by w końcu stanąć przed bramą siedziby Alkibiadesa.

Przed wejściem paliły się lampy, lecz nie było

żadnego dozorca. Z wnętrza domu dobiegała pogodna muzyka. Przechodząc przez podwórzec, zobaczyłem nieznanego mi mężczyznę, który figlował w suchej fontannie z prostytutką, pieszcząc od tyłu jej odsłonięte piersi. Potem dojrzałem w cieniu następnego; ten ułożył się wygodnie na plecach, a inna *porne* klęczała przed nim.

Wszedłem do oświetlonego pochodniami domostwa. Odbywała się tam w najlepsze hulanka: biły bębny, a wokół dziedzińca krążył rozśpiewany i roztańczony korowód. Na podium stała gromadka przebranych za akolitów mężczyzn i niewiast z wierzbowymi różgami w rękach; odgrywali burleskę, której tematem był obrządek ku czci trackiej Kotyttos, patronki orgii.

Przewodził temu przedstawieniu sam Alkibiades, parodiujący głównego kapłana, a raczej kapłankę, jako że miał na sobie żeńskie szaty, uszminkował sobie usta, a włosy przykrył czymś, co stanowiło karykaturę świętego nakrycia głowy. Był bosy i pijany w sztok. Podeszedłem doń i spytałem, czy wie, gdzie znajdę mojego kuzyna.

Alkibiades wpatrywał się we mnie tępym wzrokiem, nie mając pojęcia, kim jestem. Tancerki i tancerze pływali wokół nas w lubieżnych wygibasach,

okrzykując:

– Kimże jest ten intruz, który ośmielił się wtargnąć do świętego miejsca? Klęknij, niegodny człeku, i okaż cześć bogini!

Ponownie zapytałem o Szymona.

Alkibiades nareszcie mnie poznał. Zdjął błazeńską czapkę, która okazała się chochlą do mieszania zupy w kotle.

– Złóż mi pokłon, natręcie, i okaż szacunek niebiosom, jeśli nie chcesz, abym mocą powierzonej mi władzy ogłuszył twe zmysły!

U jego kolan wiły się dwie dziewczki. Popchnął jedną w moją stronę; przyczołgała się do mnie na czworakach i chwyciła za poły mej opończy, spod której wychynał pendent mojego krótkiego spartańskiego mieczyka, zwanego *xiphos*.

– Ośmieliłeś się do tego wtargnąć tu uzbrojonym? Świętokradco! Jakaż należy ci się za to kara?

Z udanym wzburzeniem odrzucił trzymany w dłoni puchar wina.

– Zajmijcie się, nowicjuszki moje, tym podglądaczem świętych orgii, albowiem jak powiada Menecjusz:

nikt, kto śmiertelny, bezkarnie ujrzeć nie może ich i odejść.

W tym momencie dojrzałem mojego kuzyna.

– Odejdź stąd, Pommo – rozkazał mi, występując z kręgu tancerzy.

– Bez ciebie nie odejdę – odparłem na to.

– Pommo, ty wstrętny wieprzu!

Ten okrzyk wydał już Alkibiades, który zstąpił z podwyższenia i z pijacką serdecznością objąwszy mnie ramieniem, ciągnął:

– Pamiętam, jak podczas oblężenia próbowałeś popsuć wszystkim zabawę, a ja cię wtedy nawet za to pochwaliłem. Tylko że, widzisz, wszystko się od tej pory obróciło na nice. Dzisiaj to nasza ziemia znalazła się za murem, podbita i oblężona przez wroga.

Podźwignął z ziemi klęczącą przede mną dziewczkę.

– Co ty na to? – zakrzyknął i rozerwał jej suknię aż do pasa. – Nie robi na tobie wrażenia? Dziwne. No a teraz?

Po czym całkowicie ją obnażył. Dziewczyna nie próbowała się nawet zasłonić, lecz przeciwnie: patrzyła mi prosto w oczy, dumna ze swej urody.

– Daj mu pokój, Alkibiadesie – wstawił się za mną Szymon, a równocześnie spostrzegłem, że zbliża się Euryptolemos, który najwyraźniej postanowił się wtrącić.

– Chyba nie jesteś pedziem, co, Pommo? –

zaniepokoił się ostentacyjnie Alkibiades. – Ale gdyby nawet, to i tak potrafilibyśmy zaspokoić twoje potrzeby!

I gestem począł przywoływać do siebie skrytych w mroku chłopców.

– Co z twoim osławionym *mythos*, Alkibiadesie? – zadrwiłem. – Co pomyślą Ateny o takich twoich wyczynach?

– A któż miałby im o tym donieść, Pommo? Bo wiem, że nie ty. Ani nikt inny spośród tu obecnych, gdyż jak prawdziwie stwierdził Euforion:

Kto się ośmieli nazwać go złodziejem, gdy sam dłoń wsunął do kabzy złodzieja?

Stanął przy mnie Euro, zakłopotany i zawstydzony.

– Pommo stracił był właśnie małżonkę i dziecię – poinformował swego kuzyna.

– Ja zaś matkę i synów, i córkę, i stryjów, i krewnych. Krótko mówiąc, jak to zwykli formułować Spartanie: »A kto nie?«.

Ogarnęła mnie furia.

– Mówiłeś kiedyś o podwójnym byciu sobą: jako Alkibiades i »Alkibiades«. Którym jesteś teraz?

– Trzecim Alkibiadesem. Tym, który nie znosi być dwoma pozostałymi.

– Pieprzę tego Alkibiadesa – rzuciłem twardo.

W jego oczach zamigotał gniew, który jednak zaraz przekształcił się w ironię i udawaną rozpacz.

– Potrafisz więc mienić się przyjacielem jednego Alkibiadesa i gardzić dwoma pozostałymi?

– Nigdy nie byłem twoim przyjacielem.

I odwróciłem się od niego na pięcie.

– Nie odchodź, Pommo! Złóż śluby i bądź jednym z nas!

Oddalając się szybkim krokiem, dosłyszałem jeszcze, jak zawołał za mną:

– Tylko prawi mężowie umierają młodo. Czyżby Spartanie cię tego nie nauczyli? Uważaj, stary druhu. Nie kuś bogów swoją cnotliwością!

Podszedłem do Szymona i chwyciłem go za rękę, zaklinając, by dla dobra swoich dzieci wrócił do domu. Nie uległ tej namowie, lecz zacisnąwszy mocno palce wokół mego ramienia, z czołem zlanym potem, który aż za dobrze świadczył o zżerającej go gorąco, począł mnie namawiać, bym został – tu, gdzie jeszcze można zaznać śmiechu i muzyki; a gdy wyszarpnąłem ramię z jego uchwytu i stanowczym krokiem odszedłem, wrzasnął:

– A więc wracaj sobie do domu! Wracaj do śmierci, która tam na ciebie czeka. Ja zostanę tutaj, po stronie życia, ile tylko mi jeszcze będzie go dane.

Popatrz, Jazonie, na ten oto wpis w notesie mego ojca:

Mężczyzna, 54. Zaraza. Śmierć.

To było orzeczenie, jakie wydał po zdiagnozowaniu własnego stanu.

Niemal z dnia na dzień zaczął gwałtownie marnieć. Meri nie szczędziła wysiłków, przywołując na pomoc całą swoją medyczną wiedzę, by w dalszym ciągu nieść ulgę chorym, ale wkrótce także i ona zaczęła zdradzać pierwsze objawy choroby. Odmówiła zażywania resztek zachowanych jeszcze środków przeciwbólowych, oszczędzając je dla innych.

Ojciec coraz bardziej rozpaczliwie pragnął uwolnić ją od cierpień. Dwukrotnie musiałem go wręcz fizycznie powstrzymać. Jak długo jeszcze wytrzyma? Dziesięć dni, oświadczył, a wszystkie w piekle tego bólu.

Całą noc spędziłem przy miotanej konwulsjami siostrze.

– Kochasz mnie, Pommo?

Wiedziałem, o co jej szło.

– Nie pozwól, żeby ojciec musiał to sam zrobić.

Włoczyłem się po ulicach, modląc się: niebios, pozwólcie jej odejść!

Za każdym jednak powrotem zastawałem ją wciąż

żywą i coraz bardziej i bardziej udreńczoną cierpieniem.

– Jesteś żołnierzem, Pommo. Bądź silny, jak na żołnierza przystało.

Umieściliśmy ją wraz z ojcem w balii. Ważyła tyle co dziecko.

– Niech wam bogowie błogosławią – powiedziała.

Poleciłem ojcu, żeby na mój znak z całej siły ją przytrzymał, po czym ostrzem mieczyka przeciąłem jej arterię.

– Niech błogosławią wam bogowie – powtórzyła Meri.

Objęła w uścisku moją i ojca, równie jak jej słabą, dłoń.

– Niech błogosławią wam bogowie".

W tym miejscu wzruszenie odebrało Polemidesowi głos, a kiedy z wielkim wysiłkiem podjął swą opowieść, to raz za razem przerywał mu ją szloch.

„Jakie słowa zdolne byłyby oddać tak straszliwe przeżycia? Patrzyłem, jak umiera moja małżonka i dziecko.

Czy po to właśnie bogowie obdarzyli nas językiem, abyśmy mogli wypowiadać takie potworne stwierdzenia? Otworzyłem mej siostrze żyły".

Zakrył dłońmi twarz. Podniosłem się ze stołka i objąłem go. On również ogarnął mnie ramionami,

podczas gdy pierś rozdzierały mu spazmy szlochu.

Potem odwrócił się ode mnie. Zrozumiałem i skierowałem się do wyjścia.

Z progu raz jeszcze nań spojrzałem. Doszczętnie zdruzgotany wspomnieniem tamtej żałoby, stał w kącie celi z policzkiem przytulonym do kamiennej ściany, samego siebie obejmując skrzyżowanymi ramionami.

9. NABYTE POWOŁANIE

„Tej samej nocy zmarł mój ojciec – opowiadał dalej Polemides. – Spośród wszystkich, których kochałem, zostali mi tylko ciotka, bratowa, dla bezpieczeństwa wysłana z dziećmi na północ, i Lew, który był na morzu. Dokonaliśmy pochówku wraz z moimi stryjami i niewiastami ich rodziny; wróg odciął nam dostęp do rodzinnego grobu na wsi. Ojciec i Meri spoczęli u boku mej żony i dziecka, pod fundamentami naszego miejskiego domu. Wygłaszając finalne słowa: »Niechaj wam ziemia lekką będzie«, jedno tylko odczuwałem pragnienie: aby doczekać chwili, gdy szczątki moich najdroższych pogrzebane zostaną w ziemi, z której się wywodzili i w której zaznają spokoju. Przedtem jednak musiałem wrócić na wojnę i przepędzić wroga. Zamierzałem znaleźć jakiś okręt lub oddział piechoty morskiej, z którym mógłbym wypłynąć na morze.

Kiedy po kilku dniach obudziłem się sam w naszej sypialni, postanowiłem opróżnić dom, i jeszcze przed świtem zacząłem wystawiać na chodnik meble i sprzęty. Zanim zdążyłem na dobre ustawić trzy pierwsze przedmioty, już mi je wyrwali z rąk zgromadzeni gapie. Roześmiałem się.

– Zostawcie mi tylko zbroję i jakieś naczynia do warzenia stawy!

Nie minęło pięć minut, a cały apartament był pusty. Przy czym możesz mi wierzyć lub nie, ale grabieżcy uszanowali moje życzenie: kuchnia mej małżonki i mój żołnierski ekwipunek pozostały nietknięte, nadto zaś pozostawiono mi pościel.

Następnego dnia, a być może jeszcze tego samego popołudnia, natknąłem się na pewnego obywatela ziemskiego z naszego rodzinnego okręgu. Wyglądał mamie. Porozmawialiśmy sobie o szczęśliwszych czasach, o moich dziecięcych zabawach na wsi z jego synami i córkami, po czym padło pytanie, czy przez wzgląd na te dawne więzy nie oddałbym mu pewnej przysługi.

– Chodzi o moją małżonkę – dodał mój niegdysiejszy sąsiad, ale nic więcej mi nie powiedział.

Dopiero po dłuższej chwili domyśliłem się, o co mu chodziło; wstrząśnięty, spiesznie odszedłem.

Wieczorem trzeciego dnia po owym spotkaniu mój krajan wrócił.

– Moja żona pomagała ci przyjść na świat, Pommo. Upraszam cię na bogów, abys teraz ty pomógł jej go opuścić.

Bywa, przyjacielu, że przekraczamy jakąś granicę,

nie zdając sobie nawet z tego sprawy. W tym jednak przypadku tak nie było. W pełni świadom powagi tego, co czynię, zgodziłem się i oddałem mu przysługę, o którą prosił.

W ciągu paru dni jeszcze kilka innych osób zwróciło się do mnie z taką samą prośbą. Im także nie odmówiłem. Bo właściwie dlaczego miałbym odmawiać?

Tylko prawi mężowie umierają młodo.

W dalszym ciągu zabiegałem o przyjęcie do floty, jednakże musiałem wyglądać tak mamie, że oficerowie uważali mnie za chorego i żaden mnie nie wziął do siebie.

Pojawiali się wciąż nowi zdesperowani ludzie, zarówno nieznajomi, jak i znajomi, prosząc mnie o akt miłosierdzia. Zacząłem nabierać w tym wprawę. Tłumaczyłem sobie, że w jakimś sensie wykonywałem pracę doktora. Wszak podobnie jak mój ojciec uwalniałem chorych od cierpień. W istocie rzecz by można, że moja kuracja była skuteczniejsza; za każdym razem przynosiła pożądaną rezultat. Żaden pacjent nie poskarżył się na moje usługi, a moja praktyka stale się poszerzała.

Któregoś wieczoru znowu zastukano do moich drzwi, lecz było to innego rodzaju stukanie. To przybył

do mnie konno Euryptolemos. Wyszedszy przed dom, zobaczyłem w mroku, że przyjechał z nim także Alkibiades. Nim zdążył się odezwać, powiedziałem:

– Nie bój się. Nikomu nie opowiedziałem o waszych rytualnych obrzędach.

– Sądysz, że to w związku z tym do ciebie przyjechałem?

– Nie mam najmniejszego pojęcia, co w ogóle tobą powoduje. W owej chwili nienawidziłem go.

– A ty, przyjacielu mój – rzekł, wbijając we mnie spojrzenie – pewien jesteś, żeś wolny od grzechu?

– Wygląda na to, że ostatnio jakoś trudniej zdefiniować samo pojęcie grzechu.

– W samej rzeczy.

Euro przywiódł do mnie luzaka.

– Udajemy się do portu. Chodź, Pommo, przejedziesz się trochę. Jechaliśmy stępą opustoszałymi ulicami.

– Peryklesowi tak wyszło w gardle, że nigdy już nie splunie – oznajmił w pewnej chwili Alkibiades zgaszonym tonem człowieka pogrążonego w żalobie. A więc zaraza dopadła nawet Olimpijczyka. – Ale wraz z Tezeuszem, Solonem i Temistoklesem stać będzie w szeregu tych, którzy ukształtowali nasz naród, i nikt go w tym nie przewyższy.

Przez resztę drogi do Munychii nic już nie powiedział, podobnie jak i jego kuzyn. Kiedyśmy dojechali na miejsce, baza floty rozbrzmiewała gwarem i tupotem nóg kupców, którzy zaopatrywali okręty, ekspedytorów oraz robotników portowych, wszyscy spieszyli się, żeby zdążyć ze swymi obowiązkami przed odpływem, mającym – jak nas poinformowano – nastąpić na godzinę przed świtem. Flotylla pod przewodem Formia wypływała do Naupaktos. Oddziały piechoty morskiej czekały na zaokrętowanie na nabrzeżach, przy których kołysało się burta w burtę niczym rój najeżonych żądłami szerszeni sześćdziesiąt wojennych triem. Na ich oświetlonych blaskiem pochodni pokładach mrowili się okrętowi cieśle i żaglomistrze, rymarze i fachowcy od omasztowania. Podoficerowie wykrzykiwali rozkazy, z trudem przebijając się przez hałas kołowrotów, ciesielskich młotów, wyciągów i dźwigów. Na pomostach, które pokryte były płataniną lin, cum, dziobowych i rufowych want, lin holowniczych i wszelkiego rodzaju klamer, płacht, podnośników, wyciągników i sznurowych drabinek, jakie tylko można sobie wyobrazić, roiło się dodatkowo istne mrowie zarządców, urzędników dowództwa floty oraz ich sekretarzy,

odpowiedzialnych za zaopatrzenie, a także rejestratorów, członków Rady Pięciuset, kapłanów, kupców, pisarczyków i kustoszy *neorionu*, podczas gdy równocześnie wkraczali już po trapach na pokłady majtkowie ze swymi żeglarskimi workami i wiosłami na ramionach, kłębiąc się w pozornym chaosie wokół rejestratorów; u jednego się wpisując, u drugiego wypisując, u jeszcze innego składając ostateczny podpis, a ze wszystkim się spiesząc, żeby zdążyć przed trąbką *apostolei*. Wzdłuż nabrzeży leżały stosy czekającego na załadunek uzbrojenia, oznaczone proporcami poszczególnych oddziałów, sami zaś hoplici i ich giermkowie w świetle kaganków i małych ognisk oliwili brąz swych zbroi, żeby je zabezpieczyć przed solą, i wsuwali tarcze do pokrowców z owczej skóry.

U wejścia na keję Alkibiades i Formio rozmawiali na boku w gronie kilku kapitanów; ja i Euryptolemos weszliśmy na górę po wapiennych schodach, pokrytych wyżłobionymi przez majtków napisami, sprośnymi rysunkami oraz wszechobecnymi symbolami stopy połączonej z cipą, które wskazywały drogę do najbliższego domu rozpusty; jego rolę grała roztasowana na wolnym powietrzu tawerna pod nazwą »Ouros« czyli »Łagodny Wiatr«, z której rozciągał się

widok na nabrzeża załadunkowe. Euro spytał mnie w pewnej chwili, czy widziałem już kiedyś okruch magnetytu, kamienia z Magnezji, który tym się odznacza, że nieodparcie przyciąga do siebie żelazne opiłki.

Miał na myśli swojego kuzyna.

Spoglądając w dół, widzieliśmy poruszenie, jakie Alkibiades wywołał samym swoim pojawieniem się i jak żołnierze zmieniali miejsca lub pozycje, byle tylko choć spojrzeć na niego; tak samo było w obozie pod Potideją. Widzieliśmy, jak niektórzy, przechodząc w pobliżu, próbowali doń zagadać, a nawet słyszeliśmy paru, którzy zachęcali go, by śmielej zabierał głos i nie pozwalał, żeby jego młodość była mu przeszkodą w przejmowaniu dowództwa. Trzon tego wojska stanowili młodzi żołnierze, w zbliżonym do nas wieku, coraz bardziej zniecierpliwieni rozszerzającym się wpływem starszych wiekiem dowódców.

– Prowadź nas, synu Klejniasza!

Z niejednych ust wyrywał się ten okrzyk, któremu towarzyszył gest wzniesionej ponad głowę pięści.

Zasiadłszy w portowej tawernie, mogliśmy się przekonać, jak wielkie podniecenie wywołało na pobliskich uliczkach pojawienie się Alkibiadesa; zewsząd zbiegały się służące i praczki, które

pospiesznie różowiły sobie policzki i brudnymi od pracy rękoma poprawiały fryzury.

Czy i ty bywałeś w tej spelunce, Jazonie? Dają tam nie tylko wino, ale i wyżerkę. Właścicielem jest pewien Fenicjanin z Tyru, który lubi dekorować swój przybytek różnego rodzaju żeglarskim sprzętem i nadawać swoim specjalnościom nazwy związane z morzem. Za wkroczeniem Alkibiadesa niezwłocznie poprowadził go do stołu, proponując mu a to »Chlubę Połowu«, a to »Młażnięcie Morza«, a to jeszcze coś, opatrzonego równie wymyślną nazwą. Alkibiades wskazał mu parujący na palenisku garnek.

– Poczęstuj mnie tym tu »Przyływem Mdłości«.

Okraślił to uśmiechem, który restauratora bardziej uradował, niż gdyby mu król Persji podarował bezcenny diadem, ale za uśmiechem tym kryło się zatroskanie. Widać było, jak bardzo Alkibiades pragnąłby teraz być na miejscu Formia: dowodzić własną flotyllą. Rozdmuchiwała tę jego ambicję popularność, jaką się cieszył wśród szerokich mas, i aż palił się do tego, żeby ją wykorzystać. Dlaczego przywiódł tu swego kuzyna i mnie?

– Nasz przyjaciel Sokrates uznał, że właśnie wy dwaj jesteście jedynymi, którzy zdolni będą rozmawiać ze mną bez owijania w bawełnę. Powiedzcie więc teraz

bez ogródek: jak i gdzie waszym zdaniem powinienem wystąpić?

Ze śmiercią Peryklesa bez wątpienia powstanie pewna niebezpieczna pustka, wyjaśnił następnie, która może sprawić, że w imperium zapanuje chaos. Zaczną się buntować podległe mu państwa, a w powstałym zamieszaniu podniosą głowy potencjalni następcy wielkiego wodza.

Euryptolemos natychmiast przerwał mu gniewnym tonem ten wywód. Jak może tak beznamiętnie mówić o swoim powinowatym, który w dodatku, jeśli zechcą tego bogowie, może żyć jeszcze choćby i pół roku, albo i nawet przemóc chorobę, jak to się już niejednemu zdarzyło?

– Nie uda mu się to – odparł Alkibiades. – Wystarczy nań spojrzeć, żeby być tego pewnym. Co do mnie zaś, to bynajmniej nie jestem nieczuły na jego los, a jedynie staram się być równie jak on przewidujący, czego zresztą bez wątpienia on sam się po nas spodziewa. Kogo chcielibyśmy widzieć na jego miejscu? Kleona, który potrafi tylko schlebiać gawiedzi? Androklesa, który nie zdołałby się wydostać z rynsztoka, nawet gdyby mu przystawiono drabinę? Czy może pobożnego Nikiasza, którego chwiejność jest być może najgroźniejsza ze wszystkiego?

Posłuchajcie. Gdyby Ateny miały przywódców z wyobraźnią, to byłbym pierwszym, który by się oddał pod ich rozkazy. Tymczasem najgorsi spośród nich zarazem bezwzględnie obchodzą się z podwładnymi i liżą tyłki wyżej od siebie postawionym, celując jedynie w manipulowaniu tłumem, podczas gdy najlepsi, jak Formio i Demostenes, są wojownikami, którzy nie ubrudzą sobie rąk polityką. Tym, co naprawdę umiera wraz z Peryklosem, jest wizja. Choć nawet on nie widział aż tak daleko. Zaraza przeminie, a my przeżyjemy. Co wtedy? Perykles ustanowił trzy nienaruszalne zasady prowadzenia tej wojny: dominacja floty, niewzruszalność Długich Murów oraz powstrzymanie na czas walki procesu rozszerzania imperium. Dwie pierwsze sprawdziły się; ta trzecia musi być uchylona. Nie mamy innego wyboru, jak tylko ekspansja, i to w nieznanym dotychczas tempie. Nasze okręty muszą rozszerzyć strefę podboju na Sycylię i Italię, a następnie na Kartaginę i całą północ Afryki; jeśli zaś chodzi o Azję, to nie możemy się zadowalać przyczółkiem, ale powinniśmy pomaszerować w głąb lądu, zagarniając wszystko po kolei, aż po tron Persji. Euryptolemos wybuchnął śmiechem.

– Jakim to sposobem podbijemy świat, kuzynie,

skoro nie możemy nawet wyjść za mur, żeby się odeszczać? Gdzież to zbierzemy te miriady, które będą potrzebne do zrealizowania twojego wielkiego planu?

– Na samym końcu, w Sparcie – odrzekł Alkibiades takim tonem, jak gdyby mówił coś samo przez się oczywistego. – Ale najpierw pozyskamy jej sojuszników, obalając chylącą się ku upadkowi generację ich przywódców i przeciągając młodych na stronę naszej ligi.

Nie było wątpliwości: on mówił to z całą powagą.

– Przede wszystkim jednak musicie mi, przyjaciele, odpowiedzieć na najważniejsze pytanie: czy winienem się zdobyć na śmiałość przedstawienia tego planu na publicznym forum? Bądź co bądź nie mam jeszcze dwudziesto pięciu lat, a żyjemy w kraju, w którym za próg mądrości uważa się czterdziestkę. Wprawdzie powstrzymywanie się jest absolutnie przeciwne mej naturze, lecz świadom jestem tego, że przedwczesne wystąpienie mogłoby mnie całkowicie wyeliminować z gry, zanim by się w ogóle zaczęła. Nie macie pojęcia, ile bezsennych nocy spędziłem na obracaniu tego problemu w głowie.

Zawartość naszych misek mocno już wystygła, lecz obaj kuzyni zapomnieli o jedzeniu, pochłonięci rozważaniem całej sprawy.

Euryptolemos, mąż szlachetny, a zarazem obdarzony równie bystrym jak Alkibiades umysłem, w żadnej mierze nie dorównywał mu jednak urodą. Zaledwie dwudziestodzieciolatek, już stracił większość włosów, a choć poszczególne jego rysy można było uznać za atrakcyjne, to razem wzięte, nie tworzyły one oblicza, które można by określić jako przystojne. Być może dlatego właśnie, że był tego świadom, odznaczał się szczerą i nader dla siebie korzystną skromnością. Niemożliwością było ani go nie lubić, ani zarazem lubić bez żadnych zastrzeżeń.

Odpowiadając teraz Alkibiadesowi, zaczął od uczynienia mu wyrzutów za lekceważenie, jakie w prywatnym życiu okazywał przyjętym prawom. Jeśli chciał, żeby go poważnie traktowano, to musiał zapanować nad swym nieposkromionym apetytem na przyjemności życia, zwłaszcza nad piciem i pociąganiem do cielesnych rozkoszy. Tego rodzaju grzeszne skłonności nie licują z wizerunkiem męża stanu.

– Jeśli już nie możesz utrzymać na wodzy swojego kogucika i koniecznie musisz go gdzieś wtykać, to przynajmniej rób to dyskretnie. Nie paraduj po ulicach z heterami, podczas gdy twoja zboląła małżonka usycha w czterech ścianach.

Następnie Euro stwierdził, że w duszy Aten

zmagają się dwie przeciwstawne siły.

– Starodawne, proste obyczaje, oparte na szacunku dla bogów i bohaterów przeszłości, walczą z nowymi, którym przyświeca przekonanie, że to same Ateny są naszym bogiem. Wszystkim nam wiadomo, po której się opowiadasz stronie, drogi kuzynie, ale nie wolno ci tego czynić z taką ostentacją. Czyżbyś się bał, że okazanie pewnej pokory i posłuszeństwa niebiosom, a przynajmniej udawanie takiej postawy, byłoby dla ciebie zabójcze? Demokracja to obosieczny miecz. Z jednej strony daje ona wolność jednostce, jak żaden inny system rządów, pozwalając jej błyszczeć na tle innych, ale z drugiej – jest żywną glebą dla zawiści i podstępnych knowań. Jeśli Perykles zachowywał się skromnie i pozostawał w pewnym oddaleniu od tłumów, to właśnie z obawy przed wzbudzeniem w nich zazdrości.

– I mylił się – wtrącił Alkibiades.

– Doprawdy? Ty, przyjacielu, mieszkasz w tych Atenach, których wspaniały blask tak cię oślepia, że nie potrafisz dojrzeć realnego miasta, zamieszanego przez tę resztę Ateńczyków, której kielichów nie przepelnia wino, lecz żółć. Codziennie się o tym przekonuję, występując w sądach powszechnych. Zawiść i mściwość to dwa uczucia, które rządzą tym

miastem i szczególnie bujnie się pienią w chwilach zagrożenia lub niedostatku. Policzmy drogi, jakie państwo otworzyło przed zawistnym obywatelem, który pragnąłby pognębić kogoś lepszego od siebie. Otóż może go on pozwać przed oblicze Rady Pięciuset lub zgromadzenia, albo też postawić przed sądem powszechnym bądź areopagiem. Jeśli upatrzona przez niego ofiara ubiega się o jakiś urząd, to może ją najpierw poddać sprawdzianowi przydatności, a po upływie kadencji – rozliczeniu z działania. Jeśli taki nieszczęśnik służy we flocie, to może zostać zawleczony przed *apostoleis* lub Radę Morską. Może zostać aresztowany przez samego prześladowcę albo – z jego poduszczenia – przez magistrat; może być oskarżony i postawiony przed sądem rozjemczym lub poddany przesłuchaniu przez naczelnego archonta. Jeśliś się już na kogoś zawziął, to możesz zgoła przebierać w zarzutach, na które pozwala ci państwo. Zaczniiesz od zaniedbania, spowodowania strat i malwersacji; potem masz do wyboru przekupstwo, kradzież i wymuszenie, a wreszcie zło czynienie lub zaniechanie. Nie wystarczyło? To spróbuj oskarżenia o uchylanie się od płacenia podatków, bezprawne powiązania finansowe lub zatajenie odziedziczonego majątku. Nie wyszło z oskarżeniem o zabójstwo lub

zdradę? To niech się twój wróg wije pod zarzutem niepobożności, która to zbrodnia nie tylko zagrożona jest karą śmierci, ale i zmusza tego, który się jej wypiera, nie dość, że do obrony samego siebie i swoich uczynków, to jeszcze zgoła do ujawnienia najgłębszych tajników swej duszy!

Na oblicze Alkibiadesa wypłynął uśmiech.

– Śmiejesz się z tego? Więc zastanów się nad końcem, jaki spotkał Temistoklesa, zbawcę narodu, na wygnaniu w Persji. Przypomnij też sobie wielu innych. Niezrównany Arystydes – wygnany. Miltiades – zaszczuty na śmierć, zanim jeszcze dwa lata minęły od jego triumfu pod Maratonem. Perykles, który zyskał sławę jako oskarżyciel największego bohatera w historii tego miasta, Kimona, pogromcy perskiej floty i budowniczego fundamentów naszego imperium. I któż to go doprowadził do zguby? Nasz wspaniały Olimpijczyk, który sam z pół tuzina razy ledwie zdołał uratować szyję jako oskarżony. A i ty sam, kuzynie, nawet nie wiesz, jak wspaniałym byłbyś obiektem napaści. Na bogów, pozwólcie mi tylko postawić tego człowieka przed sędziami!

Ruchem głowy wskazał gromadę wielbicieli Alkibiadesa, którzy baranim wzrokiem wpatrywali się w swego idola z obrzeży tarasu.

– Tych samych ludzi doprowadziłbym na sali sądowej do tego, że rykiem domagaliby się twojej głowy.

Zaśmiali się obaj, a wraz z nimi zaczęli się śmiać także i widzowie, choć przecież nie mogli dosłyszeć drwiących słów Euryptolemosa.

– Pełen jestem podziwu dla twojej elokwencji, kuzynie – stwierdził z kolei Alkibiades – jednakże nie mogę ci przyznać racji. Niewłaściwie oceniasz ludzki charakter. Nikt nie chce unurzać się we własnych wstrętych wydzielinach, lecz raczej wznieść się ku niebiosom na skrzydłach tego *daimona*, który panuje w jego duszy. Spójrz na tych żeglarzy i żołnierzy, zgromadzonych na kejach załadunkowych. To nie złość ani nie złość pulsuje w ich żyłach, lecz krew, która wypływa z ich serc. Pragną chwały, która ich zrówna z Tezeuszem i Achillesem.

– Połowa z nich to ci, którzy uchyłili się od poboru, o czym sam dobrze wiesz.

– Ponieważ ich przywódcy nie przedstawili im żadnej wizji.

– Kuzynie, czasy bogów i herosów już przeminęły!

– Nie dla mnie. Ani nie dla nich.

Alkibiades ponownie wskazał na kłębiące się pod nami oddziały.

– Krytykujesz mnie, kuzynie, obstając przy mniemaniu, że moja wizja powinna sięgać dalej niż tylko moja osobista, czy też ojczyzny, sława i chwała. Otóż nie ma nic, co by było większe niż sława i chwała! Są to najświętsze i najwznioślejsze pragnienia naszych dusz, albowiem zawiera się w nich tęsknota za nieśmiertelnością i za przekroczeniem wszystkich ustalonych granic, co jest marzeniem nawet nieśmiertelnych bogów. Następnie, Euro, czynisz mi zarzut z tego, że trwonię czas w towarzystwie błyskotliwych mężczyzn oraz wspaniałych koni i psów, zamiast przestawać ze zwykłymi ludźmi, z jakich składa się nasz naród. Ja jednakowoż miałem liczne okazje przyglądać się owym zwyczajnym, niewysoko urodzonym ludziom, kiedy stykali się z tymi końmi i psami. Wspaniałość przyciąga ich niczym miód pszczoły. Dlaczego? Czy nie dlatego przypadkiem, że dostrzegają w szlachetności, cechującej te świetne zwierzęta, to samo coś, czego zarodki znajdują we własnych sercach? Frynich grzmiał, że:

Jest ona szerokim łóżem, które zarówno demokrację pomieści, jako i imperium, wszelako także i on się mylił. Demokracja musi tworzyć imperia, gdyż pragnienia, jakie rozpalają się w sercach jednostek,

muszą znaleźć ujście w realizacji celów, które im dorównują swoją wielkością. Na co Euro zapytał tonem kogoś, kto zwycięża w dyspucie:

– A któż to rozpalać w nich będzie owe pragnienia?

– Ja – oświadczył Alkibiades.

Po czym roześmiał się, a po chwili już obaj się śmiali, aż w pewnym momencie Euryptolemos, jakby go nieba olśniły nagłą myślą, pochylił się ku swemu rozmówcy i powiedział:

– A więc posłuchaj, jaką teraz powinienes obrać strategię. Jeśli nieufni wobec twej młodości rodacy nie pójdą za tobą, stań ze swoją sprawą przed innymi sądami i innymi sędziami. Zapoczątkuj swe dzieło pomiędzy obcymi, zarówno rywalami, jak i sojusznikami. Przywódcy innych państw wkrótce dowiedzą się o chorobie Peryklesa. Będą sobie wówczas musieli zadać pytanie: kto po nim stanie na czele Aten? Z kim trzeba nam będzie pertraktować, aby zapewnić naszemu krajowi bezpieczeństwo?

Zaczym Euro zwięźle acz treściwie wyłożył swą ideę. Który z obcych wodzów, ujrzawszy przed sobą i wysłuchawszy Alkibiadesa, pozostanie niepewnym co do przyszłości Aten? Zlekceważenie tej miary człowieka tylko z powodu jego młodego wieku byłoby szaleństwem, a im kto bystrzejszego i zdolniejszego do

tworzenia wizji umysłu, tym szybciej zda sobie z tego sprawę. A kiedy już owi cudzoziemscy mężowie uświadomią sobie, jak nieuchronnie będą musiały się potoczyć sprawy, to rozumieją też, że im szybciej sprzymierzą się z tym młodzieńcem, tym więcej na tym zyskają. Na zagranicznych dworach Alkibiades znajdzie oparcie dla swego przedsięwzięcia; zacieśniając związki z poszczególnymi państwami, zdolny będzie tworzyć koalicje. A któż inny mógłby tego dokonać? Poprzedzająca go wiedza o jego parantelach otworzy przed nim wrota stolic wielu państw, zdobyta zaś dzięki własnym zasługom sława wielkiego wojownika, nie wspominając już o renomie wybitnego hodowcy wspaniałych koni, których sam dosiada w gonitwach (a jest to wszak szlachetna pasja niemal wszystkich potężnych postaci), ułatwi mu nawiązanie kontaktów.

– Oto mi pomysł! – zakrzyknął Alkibiades. – Chwała ci zań, kuzynie.

Jeszcze dobrą godzinę zajęło im omawianie szczegółów wprowadzenia w życie tego planu oraz jego implikacji. Warunkiem powodzenia owego zamysłu było dalsze trwanie wojny; pokój byłby dla niego zabójczy.

– Co na to powiesz, Pommo? – zapytał mnie w

końcu Alkibiades. – Ani słówkiem się do tej pory nie wypowiedziałeś.

A gdy wahałem się z odpowiedzią, poklepał mnie po ramieniu.

– Polityka nudzi naszego druha, Euro. To prawdziwy żołnierz. Niechaj nam zatem powie, jakie jest w tej sprawie zdanie żołnierza.

Wszystko, co umiałem mu powiedzieć, to żeby był sobą.

– Dobrze – zaśmiał się na to. – Ale którym sobą?

– Tym, który ruszy na wojnę. Który stanie na czele, będzie zwyciężał i ofiaruje swe zwycięstwa Atenom, a wówczas zobaczymy, czy wrogowie ośmielą się przemawiać przeciwko niemu.

Rozstaliśmy się dopiero o świcie, choć Alkibiades sprawiał wrażenie człowieka, który smacznie przespał całą noc. Z portu udał się wprost na targowisko, żeby tam sondować opinie innych swoich przyjaciół, przedtem jednak podziękował mi za moją szczerość.

– Potrzeba ci czegoś, Pommo? Pieniądzy? Stanowiska w armii?

– Chciałbym, żeby Szymon wrócił do domu, jeśli możesz się bez niego obejść.

– Cóż, tak samo jak mnie i tobie wolno mu postępować zgodnie z własną wolą.

Podziękowałem mu za dobre intencje; w tej chwili najbardziej potrzebowałem snu.

Przed bramą domu czekał na mnie jakiś mężczyzna. Po trzydziestce, zbrązowiały od słońca i uzbrojony jak najemnik. Kiedy zbliżyłem się do niego, uśmiechnął się i powiedział:

– Czy wiesz, że zacząłeś mnie pozbawiać zatrudnienia?

Siedział na schodach i spożywał śniadanie w postaci chleba maczanego w winie. Spytałem, jak mu na imię.

– Telamon. Wywodzę się z Arkadii.

Już o nim słyszałem; był znanym zabójcą. Sam się sobie dziwiąc, zaprosiłem go do środka.

– Skoro już zamierzasz żyć z otwierania ludziom żył – odezwał się z nutą wyrzutu w głosie – to mógłbyś przynajmniej zdobyć się na uczciwość żądania za to pieniędzy. W przeciwnym razie jak mają z tobą konkurować biedacy?

Wyjaśniłem mu, że czyniłem to w ofierze dla Prometei. Jako pokutę.

– Bardzo szlachetny gest – skomentował to wyznanie Telamon.

Spodobał mi się. Podarowałem mu resztkę chleba, jaka mi jeszcze została; przyjął ją i włożył do swego

plecaka obok pęczka cebuli. Za dziesięć dni wypływał w morze z brygadą Lamachosa, która miała dokonać desantu na Peloponezie. Mógł mnie do niej wkręcić, gdybym miał na to ochotę.

– Mówią, że twojej robocie trochę brak subtelności. Jeśli się ze mną zabierzesz, to nauczę cię, jak to robić.

– Może przy jakiejś innej okazji.

Wstał, kładąc na komódce monetę. Nie chciał słyszeć żadnych protestów.

– Skoro spodziewam się zapłaty, to i sam płacę.

Poczekalem na progu, aż się oddali, patrząc, jak dźwiga swój ciężki żołnierski ekwipunek, po czym wróciłem do pustego wnętrza mego domu śmierci.

Coś się być może w moim życiu zmieniło. W każdym razie, powiedziałem sobie, proponowano mi zajęcie".

Księga trzecia

PIERWSZA NOWOCZESNA WOJNA

10. RADOŚCI ŻOŁNIERSKIEGO ŻYWOTA

„Nie przyjąłem wprawdzie oferty Alkibiadesa, który gotów był znaleźć mi miejsce we flocie, ani też nie skorzystałem z propozycji Telamona, żeby służyć wraz z nim jako najemnik, ale w samej rzeczy skorzystałem z rady Arkadyjczyka i jako hoplita wypłynąłem pod komendą Euklesa do trackiego Chersonezu. Po zakończeniu tej kampanii zaciągnąłem się na następną, która także nie przyniosła mi żadnej chwały, a potem na jeszcze jedną i tak dalej.

Toczyliśmy nowego rodzaju wojnę; tak w każdym razie mówili nam, młodym piechociarzom, członkowie starej gwardii. Za ich czasów wojownicy walczyli w bitwach. Stawali naprzeciw siebie w zbrojnym szyku i bijąc się wedle honorowych zasad wojennych pojedynków, zwyciężali lub ponosili porażkę. Z nami było inaczej. Braliśmy udział nie w wojnie jednego państwa z drugim, lecz w wewnątrzpaństwowych frakcyjnych wojenkach, w których nieliczni występowali przeciw mnogim, czyli ci, którzy mieli, bili się z tymi, którzy n i e mieli.

Jako Ateńczycy opowiedzieliśmy się po stronie demokracji, a ściśle mówiąc – wszystkich tych, którzy

potrzebowali naszej pomocy, zmuszaliśmy, by stali się demokratami, mając świadomość, że ich demokracja na tyle tylko będzie demokratyczna, na ile my pozwolimy. Kiedy się w ramach tej nowego typu wojny uczestniczyło w zdobywaniu jakiegoś miasta, to nie walczyło się z bohaterskimi obywatelami, którzy stawali w jego obronie, ale z bandą stronników jakiejś frakcji, która w danym momencie postanowiła się pokusić o władzę nad tym właśnie miastem-państwem; przegnała więc opozycję, ta zaś stanęła u naszego, czyli najeźdźców, boku, aby odzyskać utraconą pozycję.

Pierwsza moja styczność z listą miała miejsce pod Mityleną. Przyłączono do naszej kompanii takich właśnie przepędzonych z miasta demokratów, którzy utracili władzę w wyniku rebelii oligarchów, i w charakterze pomocniczych oddziałów ateńskiego agresora walczyli o jej odzyskanie, dając owej agresji swego rodzaju polityczne uzasadnienie.

Nigdy przedtem nie zetknąłem się z takim typem ludzi. Nie byli oni ani wojownikami, ani patriotami, a po prostu fanatykami swojej sprawy. Miałem już wówczas rangę sierżanta. Nasz kapitan zwołał nas, żeby nam przedstawić nowych towarzyszy; ten, którego do mnie przydzielono, miał na imię Tersander,

my zaś ochrzcziliśmy go Piszczalką.

Ten nowy zaciąg przekształcił nas w swego rodzaju kompanię karną. Z chwilą zdobycia miasta mieliśmy wraz z krajanami Piszczalki chwytac i zabijać ludzi, którzy znaleźli się na liście, spisanej własnoręcznie właśnie przez Piszczalkę; miał on nam towarzyszyć podczas *syllepsis*, czyli obławy, żeby identyfikować tych, których w owym spisie umieścił. Ty też widziałeś takie listy, Jazonie. Spisuje się je krwią. Lista Piszczalki bynajmniej nie stanowiła bezstronnego wykazu wrogów, czy też politycznych przeciwników jego frakcji; umieścił na niej przy tej okazji nazwiska sąsiadów, przyjaciół, znajomych i krewnych, którzy mieli kiedyś nieszczęście przyczynić się do zrujnowania mu życia. Zamordowano bowiem jego żonę i córki, a brata porwano sprzed ołtarza i poćwiartowano na oczach jego własnych dzieci. Toteż nie znałem nikogo, kto byłby aż tak przepelniony nienawiścią jak Piszczalka. Nie był już człowiekiem, a jedynie naczyniem, z którego przelewało się to niekontrolowane uczucie. Z kimś takim niemożliwa była jakakolwiek rozsądna dyskusja, a przecież pozostali jego krajanie niczym się od niego nie różnili.

Kiedy rzeczywiście zdobyliśmy miasto, nasza kompania schwytała osiemdziesięcioro dwoje ludzi,

umieszczonych na różnych, nie tylko Piszczalki, listach; było wśród nich sześć niewiast i dwóch chłopców. Tamtego dnia lało jak z cebra. Deszcz zacinał gwałtownymi falami, które pchał ciepły zachodni wiatr, byliśmy więc przemoczeni do suchej nitki. Zapędziliśmy jeńców do zagród dla owiec. Pojawił się jakiś nieznany nam dotąd Mityleńczyk, jeden ze sprzymierzeńców Piszczalki, z rozkazem, wedle którego mój oddział miał dokonać na tych nieszczęśnikach egzekucji.

Jak, pytam cię, Jazonie, wykonać taki rozkaz? Nie w filozoficznym bynajmniej, lecz praktycznym sensie. Kto w takich chwilach proponuje rodzaj egzekucji? Zapewniam cię, że nie ci najlepsi i najgodniejsi.

– Spalić ich! – wrzasnął ktoś z tylnych szeregów. – Zamknąć w stodole i podłożyć ogień!

Inny z kolei domagał się, żeby poderżnąć im wszystkim gardła, jak to się robi z owcami.

Stanowczo odmówiłem wykonania tego rozkazu jakimkolwiek sposobem, co rozwścieczyło kamrata Piszczalki. Kto mnie przekupił? Czy zdaję sobie sprawę z tego, że jestem zdrajcą?

Byłem młody; ogarnęło mnie straszliwe oburzenie.

– Jak mógłbym wydać taki rozkaz moim ludziom?
– zakrzyknąłem. – I jak miałbym potem, przymusiwszy

ich do takiego bestialstwa, żądać od nich wypełniania żołnierskiego obowiązku? Wszak po czymś takim nie mogliby się już nawet uważać za żołnierzy!

Zjawił się Piszczalka. Zaczął mnie wrzaskiem przekonywać, że ta gromada nieszczęśników to nasi wrogowie.

– Więc sam ich zamorduj – odparłem na to. Wówczas zamachał mi przed oczyma swoją listą i zagroził:

– Dopiszę tu także i ciebie!

Ocaliła mnie w tamtej chwili moja gorąca krew, bo kiedy wyrwałem mu z rąk tabliczkę i własnoręcznie wyskrobałem na niej swoje imię, wpadł w tak szaleńczą wściekłość, że się na mnie rzucił z pięściami; w powstałym zamieszaniu jakoś rozładowała się żądza masowego mordy.

Co nie znaczy, bym mógł sobie przypisywać zasługę ocalenia tych ludzi: masakry dokonała następnego dnia inna kompania, ja zaś, zdegradowany do stopnia szeregowca, ponownie popłynąłem na północ.

Mijały lata, a ja miałem poczucie, że przeżywa je za mnie ktoś inny. Spoglądając wstecz, widzę, jak wstępuje i zwalniany jest ze służby, odbiera listy i talony na wypłatę żołdu, i składa na dnie plecaka swoje

wojenne pamiątki w postaci wyjętych z jego ciała grotów strzał; wspominam zachowane w charakterze amuletów błyskotki, imiona kochanych niegdyś mężczyzn i kobiet, zapisane na filcowej podkładce pod hełm i wyryte ostrzem miecza na rzemieniach plecaka. Ich samych już jednak nie pamiętam.

Wojenne kampanie odnotowały się w pamięci tego, którym wówczas byłem, nieomal jako pojedyncza, niespokojna i na wpół tylko przespana, bo podzielona na okresy drzemki i jawy noc; jedynym trwałym z takiej nocy wspomnieniem, z którym się rankiem żołnierz budzi, jest kwaśny odór jego własnego zmiętego pośłania. Zdaje mi się teraz, że prawdziwym sobą stałem się ponownie dopiero pod Potideją, którą po siedmiu latach znowu przyszło nam oblegać, ale nie potrafię dziś powiedzieć, co z tego wszystkiego było rzeczywiste, a co prześnione.

Przez pierwsze dwa lata po śmierci żony nie odczuwałem żadnych cielesnych pokus. Nie był to przejaw cnoty ani też żałoby, a tylko skutek rozpacz. Aż pewnego wieczoru udałem się do obozu kurew i odtąd już go nie opuszczałem. Znasz się na rachunkowości, przyjacielu, więc zrób za mnie podliczenie. Na jaką kwotę może się złożyć żołd żołnierza, który przez całe dziesięciolecie odbywa

kampanię za kampanią, nie odpoczywając nawet zimą, a jedynie od czasu do czasu lecząc się z odniesionych w walce ran? Dodaj do tego jeszcze zachęty, wręczane mu w chwili zaciągania się do służby, oraz premie, wypłacane po upływie kontraktu, a z pewnością wyjdzie ci w wyniku niemała sumka. Wyobrażam sobie, że wystarczyłaby na kupno niewielkiego, lecz przyzwoitego gospodarstwa, razem z bydełkiem i trzódką, a nawet i z całkiem dorzeczną żoneczką.

Otóż ja wszystko to, do ostatniego obola, przejechałem. Przerzynałem to w łóżku albo przepiłem, i to tak doszczętnie, że w końcu nawet nie stać mnie było na to, o czym przez cały czas marzyłem, a mianowicie – żeby się wykupić.

Skończyła się wojna, nastąpił tak zwany pokój Nikiasza, dzięki któremu obie straszliwie wyczerpane po latach bojów strony odstąpiły dla odzyskania oddechu, już tylko od czasu do czasu robiąc wycieczki poza linię, której przysięgły nie przekraczać, a ja wróciłem do Aten. Alkibiades, już wtedy trzydziestoletni, został tymczasem członkiem najwyższego organu władzy państwowej, którym było dziesięcioosobowe kolegium strategów; godność tę piastował niegdyś jego protektor, Perykles. Gwiazda Alkibiadesa jeszcze jednak nie zajaśniała pełnym

swym blaskiem. U steru wciąż stał Nikiasz, starszy od niego wódz, który zdobył tę pozycję, doprowadzając do rozejmu ze Spartanami – czy może zostawszy przez nich do tego przymuszonym – i pozbawiając tym sposobem swego młodszego rywala, którego zdolności się obawiał, należnego mu uznania i chwały.

Alkibiades zatrudnił mnie – z przyjaźni, i z własnej kieszeni wypłacając mi kapitański żołd – w charakterze swego rodzaju osobistego pełnomocnika, upoważnionego do kontaktów z Lacedemonem bądź z pojedynczymi Spartanami, jak Ksenares, Endiusz czy Mindaros, z którymi spiskował w celu zerwania pokoju. Nie mając w sobie nic z dyplomaty, dotkliwie odczuwałem fizyczną beczynność. Tęskniłem za żołnierką.

Tak się bowiem jakoś stało, że w pewnej chwili poczułem w sobie powołanie do zawodu najemnika, jak przestępca odkrywa w sobie któregoś dnia powołanie do zbrodni. Albowiem wojna i zbrodnia to bliźniacze potomstwo z tego samego miotu. Gdyby tak nie było, to czyż władze państwowe co roku przedstawiałyby zbłąkanym w życiu młodzieńcom wciąż tę samą ofertę – służba publiczna albo zaciągnięcie się do wojska? Zbrodnia i wojna przechodzą jedno w drugie: im okropniej szych ktoś

się dopuści przestępstw, tym głębiej musi się kryć, by ratować skórę, stopniowo odgradzając się od swoich bliskich, potem od ojczystego kraju, a wreszcie zmuszony jest zaniechać także i swego zbrodniczego rzemiosła, by – jako żołnierz – stanąć twarzą w twarz z tą dla wszystkich najbardziej absorbującą zagadką, którą stanowi pytanie: dlaczego właściwie wciąż żyję?

Pokój był dla mnie wojną, która kryła się pod przybranym imieniem. Ani przez chwilę nie pozostałem bezczynny. Nie mogąc się nająć do własnej armii, wstępowałem do obcych. Najpierw służyłem tylko u naszych sojuszników, potem jednak, kiedy sytuacja się zmieniła...

Krótko mówiąc, najemnicy okazali się potrzebniejsi byłym wrogom. Teby zasmakowały panowania, pokonując Ateny pod Delionem; wojna przyniosła im Plateje, Tespie i połowę miast Związku Beockiego, straciły więc zainteresowanie dla pokoju ze Spartanami. Trzymali się na uboczu także do żywego dotknięci Koryntianie, którym rozejm nie zwrócił ani Anaktorionu, ani Sollionu; stracili wpływy na północnym zachodzie, nie mówiąc już o Korkirze, która skądinąd swoim buntem całą tę wojnę wywołała. Megara nie mogła się pogodzić z utratą portu w Nisai, który obsadziły swym wojskiem Ateny, Elida i

Mantineja zaś, państwa demokratyczne, nie potrafiły już dłużej znosić życia pod spartańskim butem. Na północy z kolei rozejmowi sprzeciwiła się Amfipolis i region sąsiadujący z Tracją.

Ja i mnie podobni żołnierze służyliśmy wszystkim tym państwom; formalnie dotrzymując pokojowego porozumienia, przedkładały one posługiwanie się najemnikami ponad utrzymywanie armii z powszechnego poboru. Sytuacja ta bynajmniej nie kłopotowała polityków; wszak w każdej chwili mogli się wyprzeć poczynań wynajętych żołdaków; gdyby ci się wówczas zbuntowali, wystarczyło im wstrzymać wypłatę żołdu, a gdyby zginęli – to jeszcze lepiej: w ogóle nic by się im już nie należało.

Przyjrzałeś się życiu najemnika, Jazonie. Ileż to się on w sumie tak naprawdę nawalczy podczas rocznej służby? Dziesięć dni? A gdybyś jeszcze policzył tylko te chwile, gdy rzeczywiście śmierć zagląda mu w oczy, to dałoby się je zsumować w minutach. Wystarczy je przeżyć, żeby podpisać kontrakt na następną kampanię. Jeśli się nad tym dobrze zastanowić, to najemnik więcej ma wspólnego z nieprzyjacielem – tak samo bowiem jak on stara się zachować życie i dobytek – niż ze swymi dowódcami, którzy szukają chwały. Bo jakiejż chwały może się spodziewać najemny żołnierz?

Milsze mu od niej życie.

Zresztą najemnik sam wobec siebie nigdy tego określenia nie używa. Jeśli jest właścicielem swej broni i zbroi, to podejmując służbę w ciężkiej piechocie, zwie się »tarczą«. Oszczepnicy to »włócznie«, a łucznicy – »strzały«. Ten, który żyje z ich wynajmowania, a z racji noszonej na głowie filcowej czapeczki nazywany jest *philophorosem*, ogłosi na przykład, że »potrzebuje stu tarcz i trzydziestu strzał«.

Żadna tarcza nie ruszy na poszukiwanie pracy samopas; zanadto obawia się rabunku. Szuka więc towarzysza, tym bardziej że we dwójkę łatwiej znaleźć zatrudnienie, a jeszcze łatwiej o nie, kiedy się stworzy *tetras*. W każdym mieście są stałe miejsca, w których gromadzą się poszukujący zajęcia żołnierze. W Argos – tawerna o nazwie »Hymn«, w Astakos – burdel zwany »Pod Graczem w Kości«. Heraklejon ma dwa takie miejsca: jedno w pobliżu wyschniętego strumienia, zwanego Opuntis, drugie na położonym na wschód od Świątyni Amazonek wzgórzu, które starzy bywalcy obdarzyli nazwą »Hyssakopolis«, czyli »Cipkowo«.

Także i na wiejskich terenach są takie miejsca. Pomędzy Sunionem a Pellą ciągnie się łańcuch

biwaków, nazywanych »kojcami«, którego to terminu używa się zarówno rzeczownikowo, jak i czasownikowo.

– Potrzebuję dwunastu tarcz.

– To spróbuj w Asoposie. Widziałem, że kojcuje tam spory tłumek.

Niektóre kojce to niewiele więcej niż tylko zbocze pagórka przy jakimś wyschniętym strumieniu; inne – na przykład Triteja w pobliżu Kleonaj czy też Potamou Campsis, czyli Na Zakręcie Rzeki, niedaleko Elidy, nad brzegiem Penejosu – to dość rozległe i niezłe zagospodarowane gaje, w których cieniu funkcjonują nawet przez parę godzin dziennie targowiska, a także prymitywne namioty z surowego płótna zwane chwilówkami, gdyż zapewniają trochę intymności żołnierzom, którzy przygadali sobie jakąś niewiastę i zabawiwszy się z nią pod płachtą, ustępują chwilówki następnej parze.

Szczególnie cenionymi miejscami noclegu przez wędrujące w poszukiwaniu pracy tarcze były opuszczone chaty myśliwskie; łatwo było wypatrzeć ze wzgórz te kryjówki, zestawione z kłoców pociętego na opał drewna.

Za moich czasów działał na terenie całego kraju absolutnie nieformalny, lecz bardzo skuteczny system

usług pocztowych. Żołnierze wkładali do swych plecaków listy, paczki i różnego rodzaju przesyłki, które wciskały im do rąk napotkane w drodze czyjeś żony, kochanki bądź dawni towarzysze broni obecnych najemników. Za każdym przybyciem do jakiegoś kojca natychmiast otaczali ich tamtejsi rezydenci, w napięciu czekając, aż plecak zostanie rozpakowany. Jeśli wywołane zostało nazwisko adresata, który był znany któremuś z obecnych, przejmował on przeznaczoną dla niego pocztę, wkładając ją z kolei do swojego plecaka, żeby ją w końcu doreczyć do właściwych rąk – bywało – po pół roku od chwili »nadania«.

W kojcach i burdelach, a nawet w cienistych zagajnikach i na brzegach strumieni, gdzie zatrzymywali się na odpoczynek najemnicy, rozmieszczone były na tak zwanych dywanikach wystawowych ogłoszenia o »miejscach pracy«. Zdarzało się, że gdy pojawiła się jakaś nowa oferta, cały obóz zwijał się i ruszał do wskazanego miejsca, przy czym najemnicy wybierali ze swego grona dowództwo takiego przemarszu, wedle rangi określanej inaczej niż w regularnej armii, a mianowicie stosownie do liczby ludzi, których ktoś prowadził; odpowiednik podoficera mógł więc na przykład mieć stopień »ósemki« czy »szesnastki«. Ci, którzy mieli

oficerskie stopnie, byli »stopnikami« albo »proporcami«, a wyróżniały ich przywiązane do grotów włóczni szarfy, które wskazywały miejsca zbiórki i formowania danego oddziału. Dobry oficer nigdy nie narzekał na brak chętnych do poddania się pod jego komendę, ani też dobry żołnierz nie musiał długo szukać dowódcy, który go do siebie przyjmie. Kiedy już raz ktoś trafił do grupy, na którą zawsze mógł liczyć, to starał się jej trzymać jak najdłużej.

W tym zawodzie wciąż natyka się człowiek na te same twarze, jako że wszyscy chodzą tymi samymi drogami. Na przykład na Telamona trafiłem dwukrotnie: raz na promie pod Patraj, a drugi w kojcu na Alfejosie, by potem wziąć wraz z nim udział w pierwszej bitwie w Trachis. Niewielu najemników posługiwało się swymi prawdziwymi imionami; przeważały przezwiska i wojenne przydomki. Najwięcej było pośród nas Macedończyków, czyli »Maków«, którzy wyróżniali się piwnymi oczami i płomienście rudymi czuprynymi. Ani razu nie zdarzyło mi się służyć w kompanii, w której nie byłoby wielkiego rudzielca, małego rudzielca i jeszcze całej bandy rudzielców pośredniego wzrostu.

Nikt nie dostanie płatnego kontraktu, kto jeszcze nie przeszedł próby krwi lub za kogo nie poręczył jakiś

weteran. Nowicjusz zaczyna swoją karierę najemnika za darmo, a w dodatku nikt nie podzieli się z nim strawą ani nie zaprosi go do swojego ogniska, dopóki nie dowiedzie swej wartości w walce. Dopiero po przejściu chrztu bojowego stanie na placu zbiórki przed obliczem oficera, który spyta:

– Kiedy dostałeś ostatni żołd?

– Jeszcze nigdy, panie.

A wówczas oficer zapisuje jego imię, wręcza mu monetę lub dwie i komunikuje krótko:

– Od jutra.

Został przyjęty. Odtąd jest jednym z nas.

Także i w kwestii dyscypliny nie ma w najemnym wojsku zbędnych ceregieli. Pod Herakleją w Trachis, gdzie po raz pierwszy walczyłem pod komendą Telamona, zdarzyło się jednemu z naszych, że zdezerterował podczas natarcia. Co było w tym zdumiewające, to fakt, że za powrotem zastaliśmy go w obozie. Z miną zbitego psa podszedł do Telamona, bełkotliwie przedstawiając mu jakieś tłumaczenie. Nasz kapitan, nawet się nie zatrzymując, bez słowa wbił w niego swoją włócznię z taką siłą, że grot wyszedł pomiędzy łopatkami, wystając na dobre dwie dłonie. Nadziany na drzewce nieszczęśnik natychmiast zwałił się z nóg, a wówczas Telamon ugodził go

jeszcze mieczem w gardło, po czym – wszystko to w pełnym milczeniu – zdarł z niego odzienie i plecak, którego zawartość rzucił dziewczkom i chłopcom od markietanek, pozostawiając na ziemi nagie ciało żołnierza, który stracił honor. Stałem w owej chwili obok pewnego Ateńczyka, którego zwaliśmy Zającem. Zwrócił się on ku mnie i z twarzą, na której nie malowało się żadne uczucie, stwierdził: – Koniec lekcji.

Rytm żywota najemnika to swoisty narkotyk, podobny namiętności nieuleczalnego dziwkarza lub hazardzisty, z którymi zresztą tarcza, jeśli naprawdę jest godna tego miana, żyje niejako równolegle. Nurt owego życia zmywa zeń zarówno pamięć tego, co mu się zdarzyło, jak i świadomość tego, co go jeszcze czeka.

Przede wszystkim wymienić trzeba to, co najważniejsze: zmęczenie. Piechociarz zмага się z nim dzień i noc. Nawet na rozkołysanym statku zaledwie zdąży wyrzygać się za burtę, już wali się na pokład i wcisnąwszy brodę w deski pokładu, odpoczywa.

Na drugim miejscu postawić należy monotonię, na trzecim zaś głód. Żołnierz jest ciągle na nogach. Gdy tylko dotrze do wyznaczonego miejsca, już każą mu maszerować do następnego, równie mało ważnego jak

poprzednie. Depce i depce tę ziemię, przez cały czas licząc się z tym, że w każdej chwili może się na nią zwalić, jeśli nie zabity, to śmiertelnie zmordowany. Piechociarz nigdy nie widzi krajobrazu, przez który maszeruje, a tylko ugięty pod ciężarem ekwipunku grzbiet swojego poprzednika w kolumnie marszowej.

Pierwszorzędną rolę odgrywają w życiu żołnierza płyny. Woda, bez której by umarł. Pot, który kapie mu z czoła i spływa strugami po piersiach i plecach. Wino, które mu przysługuje na koniec marszu i przed rozpoczęciem bitwy. Rzygowiny i mocz. Nasienie, którego źródło nigdy nie wysycha. I wreszcie ten najważniejszy płyn: krew, a po niej jeszcze łzy.

Wielkie znaczenie dla żołnierza mają marzenia, którymi gotów jest w nieskończoność ze wszystkimi się dzielić. Marzy na przykład o ukochanej i o rodzinnym domu, skąd jednakowoż z radością wraca na wojnę, nikomu nie opowiadając o tym, co mu się przydarzyło podczas przerwy w wojowaniu.

Wojskowe podręczniki mówią, że broń żołnierza piechoty to włócznia i miecz. To nieprawda. Walczy on głównie kilofem i łopatą, motyką i oskardem, drażkiem i lewarem; do tego doliczyć jeszcze trzeba kielnię i zaprawę murarską, a zwłaszcza archaiczny kamieniarski kosz, którego niezbędnosc i użyteczność

rekruci doceniają przy pierwszej okazji, gdy przychodzi im wymościć sobie stanowisko trzcina lub chrustem. Trzeba się wszelako nauczyć, niedoświadczony mój towarzyszu, jak ów kosz nosić, gdy pełni swą podstawową funkcję: prosto wzdłuż grzbietu, pas dobrze ułożony na czole, wygięta krawędź dokładnie wsparta na ramionach, których okrycie nie ma prawa być zmięte lub sfałdowane, bo ciało na tym mocno ucierpi, kiedy przyjdzie ci podźwignąć ciężar równy połowie twojej własnej wagi, a następnie wnieść go na szczyt tej tu oto drabiny. O, tam, gdzie drewniany szalunek czeka, żeby go wypełnić kamienną zawartością twego kosza, która stanie się częścią składową muru obronnego; potem przyjdzie się nam na ten sam mur wspinać, burzyć go, a jeszcze potem – wznosić od nowa.

Żołnierz jest rolnikiem, gdyż wie, jak wykorzystywać ziemię. Jest cieślą, gdyż wznosi wieże obłężnicze i palisady; górnikiem, gdyż ryje okopy i tunele; kamieniarzem, gdyż wykuwa drogi w nagiej skale. Jest chirurgiem, który operuje swych towarzyszy bez znieczulenia, oraz kapłanem, który ich grzebie, choć nie odśpiewuje nad nimi psalmów. Filozofem, który zgłębia tajemnice istnienia, oraz językoznawcą, który słowo »cipa« potrafi wymówić w dwunastu

językach. Budowniczym, a zarazem burzycielem; strażakiem, ale i podpalaczem. Jest zwierzem, żyjącym w norach, i robakiem, wyposażonym w otwór gębowy i odbyt, pomiędzy którymi jest wciąż to samo: apetyt.

Patrzy on na nieopisane koszmary i pozostaje wobec nich obojętny. Bezdusznie przestępuje leżące na jego drodze trupy i na poczerniałych od krwi kamieniach zostawia wilkom ich żer. Ochoczo chłonie opowieści, od których posiwiaby grzywa Hadesa, dokłada do nich własne i zaśmiewa się do rozpuku, po czym obróciwszy się, oddaje swego ostatniego obola bezdomnej staruszce lub jakiemuś małemu oberwańcowi, którego jeśli kiedyś jeszcze w życiu zobaczy, to tylko z wysokości muru lub obronnej wieży, skąd będzie go wyklinał, obrzucając go cegłami i kamieniami, żeby mu strzaskać czaszkę.

Z pół tuzina razy z Makami z naszego kojca udawaliśmy się na wycieczki do Wąwozu Termopilskiego. Szukając perskich grotów z brązu, łaziliśmy po murze i grzebaliśmy w ziemi pagórka, na którym trzystu stoczyło swój wiekopomny bój. Co pomyśleliby sobie owi niegdysiejsi rycerze, gdyby dane im było zobaczyć wojnę, jaką my toczymy? Nie wojnę Hellenów, stających w obronie swej świętej ziemi przed barbarzyńcami, lecz taką, którą z

przyczyny stronnicości i fanatyzmu toczą Grecy przeciwko Grekom. Nie wojnę armii z armią i wojownika z wojownikiem, lecz stronnictwa ze stronnictwem i ojca z synem; wojnę, w której dzieci zabijają, strzelając z proc kamieniami, a matki podrzynają nożami gardła.

Co pomyśleliby tamci dawni herosi o rzezi na ulicach Korkiry, gdy demokraci otoczyli chroniących się w świątyni Hery czterystu *aristoi*, wywabili ich najświętszymi przysięgami, po czym wszystkich wyrznęli na oczach ich dzieci? Co o masakrze sześciuset obywateli tego samego miasta, których *demos*, czyli lud, zamknął w zajeździe, po czym zerwawszy dach – takim obrzucił gradem strzał, cegieł i kamieni, że nieszczęśnicy w ostatecznej rozpaczycy sami zadawali sobie śmierć, wbijając w siebie podjęte z podłogi strzały i wieszając się na strzepach pościeli? Co czuliby, patrząc na los, jaki spotkał później Melos i Skionę, gdzie Ateny nakazały wymordowanie wszystkich mężczyzn i sprzedanie w niewolę wszystkich niewiast i dzieci? Jak by zareagowali na masakrę mieszkańców Hyzjaj, której dokonali ich ziomkowie, lub na postępowanie Spartan po zdobyciu Platejów, kiedy to po zadaniu każdemu jeńcowi jednego tylko pytania: »Czym przysłużyłeś się

Sparcie?« – wszystkich po kolei wyrzneli?

Miałem wówczas kobietę, która pochodziła z Samotraki, kiedy się jednak upiła, to nieodmiennie zapewniała, że wywodzi się z Trojzeny. Miała na imię Eunike, Słuszne Zwycięstwo. Była ona obozową żoną mojego kamrata, dowódcy ósemki imieniem Automedon, który zmarł nie od ran, lecz – ze wszystkich możliwych przyczyn! w następstwie jakiegoś zapalenia zęba. Po jego śmierci, jeszcze tej samej nocy, Eunike położyła się do mojego łóżka, mówiąc:

– Nie powinieneś być zdany na dziwki.

I takim błyskawicznym sposobem stała się moją kobietą.

Chcesz wiedzieć, Jazonie, w czym była różna od mojej małżonki, Phoebe? Zresztą i tak ci to powiem.

Jak moja połowica była kwiatem wyhodowanym w ogrodzie, tak owa Eunike wyrosła z ziarna posianego przez burzę i pozostała dzikim kwiatem. Była kobietą, którą mogłeś zostawić sam na sam ze swoim towarzyszem bez obawy, że będzie się z nim pieprzyć. Wracasz, a oni są po prostu rozbawieni, twój druh zajada coś, co mu upitrasila, a wychodząc, odciąga cię na bok i powiada: »Jak byś się nadział na żelazo, to ja się nią zaopiekuję«.

Mądra była ta moja Eunike. Kiedy ją rznąłeś, to jej łydki zasłaniały ci uszy, a paznokcie rozorywały żebra. Czułeś, z jaką chciwością chłonęła ciebie i twoje nasienie, i chociaż zdawałeś sobie sprawę, że nie rozpaczając po tobie, tak samo by zaraz poszła do innego, jak przyszła do ciebie – nie przejmowałeś się tym, bo wiedziałeś, że jest stała z charakteru i póki żyjesz, możesz na niej w całej pełni polegać.

Byliśmy wtedy na jednorocznym ateńskim kontrakcie i napadaliśmy na trackie wsie, żeby zdobywać żywność dla floty. Była to zupełnie niedorzeczna misja; czterdziestu chłopów tłucze się przez trzy dni po górach, żeby wrócić z jedną zagłodzoną owcą. Dzięki trackie szczepy broniły swoich stad konno; wojownicy mieli pomalowane twarze, a do boków swych małych koników poprzyklejali magiczne symbole. Taką jak oni wojnę prowadziły zapewne barbarzyńskie ludy tysiące lat przed Troją, w epoce, w której nie znano jeszcze brązu. Nie mając nawet nory, żeby się przed nimi schronić, a dowlec się jednak żywym do obozu i móc się zwalić na swoją kobietę... to było coś, nie uważasz?

Życie żołnierza sprowadza się do spraw fundamentalnych; zmuszony je prowadzić, wraca on niejako już nie tylko do czasów, gdy nie znano pisma,

ale zgoła do ludzkiej prehistorii. I to właśnie tak bardzo żołnierza pociąga.

Odebrałem życie mojej siostrze Meri.

Podciąłem jej moim mieczem gardło.

Cóż mi pozostało oprócz tułaczki, dopóki tylko wojna mi na nią pozwoli? Mogłem jedynie deptać tę ziemię, wylewać na nią swoją krew i wyzywać ją do ostatecznego starcia, po którym skryje mnie pod swym płaszczem. Jak widać, zostałem oszczędzony. Dlaczego? Czyżbym się stał kimś aż tak bezwartościowym, że nie obchodziłem już nawet śmierci?

Drugiego lata pokoju dotarła do naszego kojca wieść o dobrze płatnej robocie, mianowicie przy odbudowie murów Argos i fortyfikacji jego portu, Nauplionu. Był to rezultat poczynań Alkibiadesa; zastawił on pułapkę na swego spartańskiego przyjaciela Endiusza, który przybył z poselstwem do Aten, chcąc zapobiec ich sojuszowi z Argiwami, a przedstawiony został Ateńczykom jako oszust i kłamca, w wyniku czego miasto podpisało układ nie tylko z Argos, ale także z Elidą i z Mantineją.

Oto więc Alkibiades przybył do Argos z czterystu cieślami i budowniczymi, których najął w Atenach; taki był owoc pomysłu Euryptolemosa, by jego kuzyn

realizował swe przywódcze ambicje poza granicami własnego kraju. Używszy na publicznych zgromadzeniach i w prywatnych dyskusjach zarówno swej charyzmy, jak i perswazji, Alkibiades przeciągnął na stronę Aten trzy wielkie peloponeskie demokracje, z których dwie były sojusznikami Sparty.

Nasz kojec aż rozdziawił gęby na widok skali przedsięwziętej budowy. Jak daleko sięgał wzrok od cytadeli Larissy, miasto otoczone było rusztowaniami, pochylniami, dźwigami, saniami na balach, wycinarkami dróg, tartakami, namiotami rządców i furgonami dostawczymi, a robotników była taka mnogość, że nawet nie dla wszystkich starczało nosideł, i widywało się ludzi, którzy transportowali cegły wprost na gołych grzbietach, podtrzymując je splecionymi z tyłu dłońmi.

Odszukawszy Euryptolemosa, chciałem się od niego dowiedzieć, przy czym ma pracować mój kojec. Powitał mnie serdecznymi klepięciami, po czym oświadczył, że postanowił nas o wiele lepiej wykorzystać. Polecił nam mianowicie wyszkolić na żołnierzy ciężkiej piechoty meseńskich wyzwolenców. Było ich około dwustu; mając dosyć poddaństwa w Sparcie, zbiegli do fortów wzniesionych przez Alkibiadesa i Nikiasza, dzięki czemu stali się wolnymi

ludźmi. Mieliśmy ich ćwiczyć przez całe lato, a jesienią pójść z nimi pod komendą Alkibiadesa do Patrai, aby i to miasto włączyć do sojuszu. Kiedy wreszcie udało mi się dotrzeć do naszego naczelnego wodza i zacząłem go przekonywać, iż nie ma mowy, żeby do jesieni zrobić z Meseńczyków zdolnych do walki żołnierzy, on roześmiał się na to.

– A kto tu mówi o jakiegokolwiek walce?

Zamierzał podbić Patraję za pomocą miłości.

I dokonał tego. A oto jakim sposobem.

Patraja, jak wiesz, dominuje nad zachodnimi wrotami Zatoki Korynckiej. Było to wówczas państwo demokratyczne i neutralne, choć dziś, podobnie jak pozostałe demokratyczne potęgi Peloponezu – Elida, Mantineja i Argos – związane sojuszem z Atenami, i stanowiło dojrzały do zerwania owoc.

Czy byłeś kiedyś w Patrai, Jazonie? To nadzwyczaj przyjemne miejsce. Tamtejszą kulinarną specjalnością są ośmiornice gotowane we własnym atramencie oraz pieczone drozdy. Na obiady chodzi się tam nie na targ, a do tak zwanych »flag«, czyli prywatnych domów, z których większość odznacza się dużymi tarasami z widokiem na morze. Przy wejściu każdy dostaje właśnie kolorową flagę z jakimś symbolem, dajmy na to delfina lub trójzęba, którą zawiązuje sobie wokół

szy. Gest ten czyni go niejako członkiem rodziny gospodarzy. Wybiera sobie potrawę spośród już gotowych lub podaje jej nazwę i właściciele lokalu zabierają się do jej przyrządzenia. Skończywszy posiłek, gość zawija należność we flagę i zostawia ją na ławie.

Władzę w tym mieście sprawują dwie izby przedstawicielskie: Rada Starszych oraz Zgromadzenie Obywatelskie. Alkibiades najpierw nawiązał kontakt z tymi spośród najznaczniej szych tam osób, z którymi już wcześniej łączyła go osobista znajomość; uspokoiwszy je co do własnych i Aten zamiarów, dostał ich zgodę na wystąpienie na forum zgromadzenia. Pamiętać trzeba, że miał wówczas trzydzieści dwa lata, dwukrotnie już mianowany był ateńskim strategiem i wydawał się najwybitniejszym przedstawicielem nowego pokolenia Greków. A oto jak wówczas przemówił:

– Mieszkańcy Patrai, przekonany jestem, że jak wszyscy wolni Helleni, przedkładacie niepodległość i niezawisłość ponad uległość wobec jakiejś obcej potęgi, która miałaby decydować o waszych sprawach. Zgodzicie się chyba jednak ze mną co do tego, że neutralność nie jest już polityką, przy której można dalej obstawać. W dzisiejszej epoce każde greckie

państwo musi się sprzymierzyć albo z Atenami, albo ze Spartą; trzeciego wyjścia nie ma.

Tamtejsze zgromadzenie zbiera się na wolnym powietrzu, na wyniosłości zwanej Kołnierzem, która góruje nad zatoką. To na jej wody wskazał teraz Alkibiades.

– Z czym naród wasz wiąże swoją przyszłość? Z morzem czy z lądem? Twierdzę, że właśnie to powinno decydować o waszym politycznym wyborze, gdyż jeśli z lądem, to trzeba się wam związać ze Spartą, która najskuteczniej zapewniłaby wam na nim bezpieczeństwo. Kiedy jednak ktoś opiera swe powodzenie na handlu i kupiectwie, musi być świadom tego, że mocarstwo, które panuje na morzu, nie będzie tolerowało sytuacji, w której jakieś inne państwo żegluje po jego akwenie, sobie przyczyniając zysków, jemu zaś szkodząc. Miasto wasze położone jest nad samym morzem, przyjaciele, i to w punkcie, który ma wybitne strategiczne znaczenie. Jest to korzystne dla waszego narodu, czyniąc go bezcennym dla Aten jako przyjaciela, wszelako okaże się zgubnym, jeśli postanowicie stać się ich wrogiem. Nie łudźcie się: pokój nie będzie trwał wiecznie. Znowu rozpęta się wojna. Musicie już teraz się do niej przygotować, rozstrzygając kwestię tego, jaki sojusz zapewni wam

większe bezpieczeństwo. Ten z ową morską potęgą, której jesteście potrzebni, a zatem musi was ochraniać, i której siła otworzy przed wami wszystkie porty i szlaki żeglugowe całego świata, zapewniając waszym kupcom bezpieczeństwo wszędzie, dokądkolwiek zaprowadzi ich zmysł przedsiębiorczości, oraz gwarantując dostęp do sądów, które prawnie chronić będą ich interesy? Czy też przymierze z potęgą lądową, jaką stanowi Sparta i jej Liga, które jednak nie osłonią was przed napaścią od strony morza, wcielając waszych młodzieńców do służby w piechocie, do czego najmniej są przygotowani i wyszkoleni, a pod których hegemonią znajdziecie się w izolacji i zbiedniejecie, odciętymi zostawszy od waszych handlowych partnerów, przyczyniających wam dotychczas nie tylko materialnych dóbr, ale i tych korzyści, bez których poczucie bezpieczeństwa staje się złudą.

Następnie zachęcił Alkibiades obywateli Patrai do zbudowania długiego muru, który by stanowił osłonę zarazem dla miasta i dla portu. Kiedy jeden z członków Rady w odpowiedzi na jego wywody wyraził obawę, że Ateny połkną Patraję, Alkibiades tak mu odrzekł:

– To, co mówisz, przyjacielu, może nawet być prawdą. Wszelako jeśli w samej rzeczy was połkną, to

stopniowo, i zaczynając od stóp, podczas gdy Sparta nie tylko połknie was od głowy, ale i jednym haustem.

Ale swego najbardziej przekonującego argumentu nie musiał nawet wypowiadać. Był to widok jego dwustu meseńskich wyzwoleńców, którzy taką płonęli nienawiścią do Sparty, że dzięki swemu zapałowi do walki w dwa miesiące stali się wyborowym oddziałem. Ich obecność mówiła: »Patrzcie tylko, co mogłaby wam przynieść wolność oraz Ateny, i wybierajcie – być takimi jak oni, czy też stawać przeciwko nim?«.

I Patraja przeszła na stronę Aten, rezygnując – za przykładem trzech innych potężnych państw, które Alkibiades już zabrał Sparcie z jej własnego podwórka – ze swojej neutralności. Czwórka ta pozwoliła zbudować koalicję, dorównującą siłą swym niedawnym panom, zarazem przez cały czas dochowując wszystkich warunków umowy o pokoju i nie wystawiając na niebezpieczeństwo niezależnej egzystencji Aten. Alkibiades mógł teraz – albo osobiście, albo przez posłuszne sobie siły – wystąpić przeciwko piątej potędze, Epidaurosowi, którego upadek ukoronowałby godną króla szachów kombinację, tym skutkującą, że szósty i najniezbędniejszy Sparcie sojusznik, Korynt, znalazłby

się w niebezpiecznej dla siebie izolacji.

Nadszedł czas, gdy po raz pierwszy zaczęliśmy się stykać ze Spartanami oraz ich poplecznikami. Na ziemiach Achai i Argolidy pojawiła się ich konnica, a za nią pokazali się naśladowcy Spartan szkarłatnymi płaszczami wojownicy siedemdziesięciu lakońskich miast, tak zwani Sąsiedzi, w postaci ciężkiej piechoty, i to tak świetnie wyszkolonej, że przewyższała wszystkie inne z wyjątkiem samego Korpusu Równych. Nadciągnął sam wódz naczelny Mindaros, a wraz z nim Endiusz i Kleobulos, którzy bezpośrednio dowodzili wyprawą. Zaczęli oni wraz ze swymi sztabami odwiedzać nasze kojce; pierwszy to był raz, kiedy zobaczyliśmy przedstawicieli najwyższej spartańskiej kasty, Spartiatów, jak rekrutowali najemne tarcze i włócznie. Był pomiędzy nimi jeden, który wyróżniał się w tym dziele nadzwyczajną gorliwością, a mianowicie Lizander, syn Arystoklojtesa; tenże sam Lizander, którego imię miało się później zapisać w ateńskich annałach jako synonim zagłady.

Wykorzystał tę sytuację Telamon, mając mi zresztą za złe, że byłem niechętny jego przedsięwzięciu, które polegało na potajemnym znoszeniu się ze Spartaninem. Brali w tym udział także inni członkowie mojego kojca, nikomu jednak, nawet mnie, nie ujawniali

swoich poczynań; wiadomo było jedynie, że przeprowadzają jakieś nocne akcje, za które dobrze im płacono.

Dzięki Telamonowi mogłem wysłuchać przemowy Lizandra do patrajskiej Rady.

– Mężowie Patrai, przemowa ateńskiego stratega (mówił o Alkibiadesie, który wystąpił przed Zgromadzeniem kilka dni wcześniej) znana jest wszystkim i spotkała się już z odpowiedzią ambasadorów mojego miasta, którzy nieporównanie są elokwentniejsi ode mnie. Niemniej darzę wasz naród takim poważaniem, że choć przybyłem tu tylko jako żołnierz, to czuję się w obowiązku dorzucić swój głos do tej krytyki. Otóż nie ma wątpliwości, przyjaciele, że wybór, jakiego dokonacie, będzie miał dla waszego kraju największej wagi konsekwencje. Upraszam was, abyście nie ulegli skłonności do pośpiechu. Jak bowiem powiadają, królik może oczywiście wskoczyć do kotła, ale jeśli położą na nim pokrywę, to już nie wyskoczy. Pozwólcie, że poruszę kwestię różnicy charakterów pomiędzy Ateńczykami a Spartanami, nad którą się być może nie zastanawialiście. Jakim narodem są Spartanie? Nie jesteśmy morską nacją ani też nie leżą w naszej naturze imperialne podboje. Zadowolając się tą częścią Peloponezu, którą

zajmujemy, nie staramy się jej powiększyć. Nasze sojusze mają charakter obronny. Nawet gdy atakujemy zamorskich naszych wrogów, to nie z zamiarem ich podbicia, lecz po to jedynie, by zapobiec potencjalnemu zagrożeniu. To prawda, że sąsiadujące z nami kraje utrzymujemy w ścisłej wobec nas zależności, wszelako im dalej się kto od nas znajduje, tym większą mu pozostawiamy swobodę. Wasze państwo leży daleko od naszego, mężowie Patrai. Czego się od was domagamy? Tylko zachowania wolności, niepodległości i siły. Od tego, naszym zdaniem, zależy bezpieczeństwo Sparty, gdyż wolny kraj z całą mocą opierać się będzie wszelkim zachętom do napaści. Czy lękacie się, że grozi wam z naszej strony jakaś krzywda? W takim razie zapewniam was, że Sparta uczyni wszystko, aby wam wszelkimi możliwymi sposobami pomóc w zachowaniu niepodległości, jeśli tylko siły swojej nie obróćcie przeciwko nam. Z kolei przyjrzyjmy się teraz Atenom. Są one morską potęgą. Budują wielkie imperium. Już teraz utrzymują w podległości dwieście miast. Ten orator, który przed wami stanął, strateg Aten, nie szczędził wam słodkich słów i zapewnień. Trzeba jednak, aby słowa nie przesłoniły wam prawdziwej treści, którą one skrywają, gdyż taki właśnie

popelniwszy bład, inne państwa dały się odwieść od wolności. Zadajcie sobie pytanie, czy mąż ten tak samo będzie was urzekał, kiedy powróci tu z flotyllą okrętów wojennych, by wymóc na was kontrybucje, wcielić waszą młodzież do swojej floty i narzucić wam ateńskie prawa. A cóż to będzie dla was oznaczało, jeśli nie to, że najbliższy nawet pozew waszego obywatela nie będzie mógł zostać rozpatrzony przez wasz sąd, lecz będzie musiał zostać przedłożony sądowi w Atenach i rozstrzygnięty przez ateńskich sędziów, a przy tym w atmosferze takiego skorumpowania i chciwości, iż nie życzę wam, byście kiedykolwiek zmuszeni byli paść ofiarą tego systemu. Jesteście, szlachetni mężowie, posiadaczami ziemskimi i wojownikami. Kiedy wojna rozgorzeje na nowo – co niewątpliwie nastąpi, i jeśli o to chodzi, to nasz ateński przyjaciel mówił prawdę – to którzy mieszkańcy waszego kraju najwięcej ucierpią? Pospólstwo, które znajdzie zatrudnienie we flocie i dzięki wojnie wzmocni swoją pozycję, czy też właśnie wy, których posiadłości, leżące poza tak wam zachwalanymi Długimi Murami, zostaną splądrowane i zniszczone? Czyi synowie przede wszystkim stracą życie i czyje domy zostaną zburzone?

Tak przemawiał Lizander, dla którego pracowali

moi kamraci. Tamtej jesieni każdemu z nich wypłacił on trzydzieści drachm, czyli równowartość miesięcznego żołdu, a zajęci byli jedynie przez dwie noce i musieli się wykazać wyłącznie znajomością dróg wewnątrz Lacedemonu. Kiedy Telamon wygadał się przed swoim pracodawcą, że jest w jego grupie pewien *anepsios*, żołnierz wyszkolony w Sparcie – przysłano po mnie. Lizander miał wówczas swoją kwaterę w Ptolis na mantineańskiej granicy, w zajeździe pod nazwą »Kocioł«. Wprowadzono mnie do niego z Telamonem dopiero po północy, kiedy już wszyscy oficerowie i inni potencjalni świadkowie udali się na spoczynek.

Lizander stwierdził, że pamięta mnie z *agoge*, co było wysoce nieprawdopodobne, jako że będąc o trzy klasy wyżej ode mnie, należał w dodatku do elitarnego batalionu szkoleniowego. Ja jego wszakże pamiętałem. Jednego roku zdarzyło się, że spośród czterech możliwych do zdobycia pierwszych miejsc – w zapasach, chóralnym śpiewie, posłuszeństwie i obyczajności – Lizander zgarnął aż trzy. Był on jednakowoż tak niskiego pochodzenia, a nadto tak był nielubiany za lizusostwo okazywane wyżej od siebie postawionym, że nawet takie osiągnięcia nie wystarczyły mu do szybkiego wyniesienia. Także i

pokój dodatkowo spowolnił jego karierę. Miał wówczas jakieś trzydzieści pięć lat i powinien był już osiągnąć rangę podpułkownika piechoty, tymczasem dobił się tylko stopnia kapitana jazdy, która to pozycja najniżej była ceniona w hierarchii spartańskiej armii. W istocie tym, czym wywarł na mnie tamtej nocy największe wrażenie, była jego uroda, niemal równie uderzająca jak Alkibiadesa. Był wysokiego wzrostu, oczy miał stalowej barwy, a włosy długie do ramion. Nikomu w tamtej chwili nie mogłoby przyjść do głowy tak nieprawdopodobne przypuszczenie, jak to, iż pewnego dnia człowiek ten będzie kierował procesem rozczłonkowania ateńskiego imperium i obejmie boską niemal władzę nad całą Helladą.

Tamtej nocy Lizander przedstawił nam swój plan działania. Ja i Telamon mieliśmy dostarczyć do Sparty klatkę z zaledwie opierzoną sową, która była jego osobistym prezentem dla Kleobulosa, przywódcy spartańskiej frakcji prowojennej. Prawdziwym jednak naszym zadaniem było przekazanie pewnego raportu, który tak był tajny, że z obawy, by nie wpadł w niepowołane ręce, musieliśmy jego treści nauczyć się na pamięć i nie wolno nam było zdradzić jej nikomu poza adresatem. Dokument ów miał przekonać Radę Sędziów, że winna z całą powagą potraktować intrygi

Alkibiadesa. Eforowie powinni, i to jak najszybciej, podjąć działania w tej mierze, albowiem, twierdził Lizander, kroki przedsięwzięte przez tego Ateńczyka stanowiły zagrożenie dla samego istnienia Sparty.

Kiedy odmówiłem podjęcia się tej misji, powodowany obawą, że mogłaby ona przynieść szkodę moim rodakom, Lizander roześmiał się.

– Nie zapominaj, że w każdej chwili możesz zapoznać swojego przyjaciela z treścią tego przesłania, a także ze wszystkim, co wypatrzysz i podsłuchasz w Lacedemonie, czyniąc to albo z miłości do niego, albo dla zysku.

Do dziś nie zapomniałem owego tekstu, który przyszło mi wryć sobie w pamięć.

...zagrożeniem dla nas nie jest ani rycerz Nikiasz, ani tak zwani ludowi przywódcy Aten – Hiperbolos, Androkles oraz demagodzy – których polityczne wizje nie wykraczają poza przymilanie się pospólstwu przed przyszłorocznymi wyborami, ale ten właśnie powodowany żądzą chwały arystokrata, w którym, jako jedynym, strategiczna wizja łączy się ze stanowczością woli. Korzysta z tego pokoju tak samo jak z wojny: dążąc do powiększenia swego osobistego znaczenia za pośrednictwem innych państw, a za cel mając odcięcie Sparty od jej peloponeskich

sojuszników. Musimy stawić czoło tym knowaniom, zanim będzie za późno, mój przyjacielu, działając bez skrupułów i nie przebieając w sposobach i środkach.

Lizander znał Alkibiadesa jeszcze z chłopięcych lat, kiedy wraz ze swymi braćmi zwykł był on odwiedzać w Sparcie ich *xenosa*, gościa-przyjaciela, Endiusza. Wspomniałem już, że jako młodzieniec, Lizander był biedny; do *agoge* przyjęty został w charakterze metojka, czyli »przyrodniego brata«; wszystkie koszty związane z jego nauką pokrywał ojciec Endiusza, także zresztą noszący imię Alkibiades. Możesz sobie wyobrazić, w jakim stopniu tego rodzaju uzależnienie raniło dumę chłopca, a zarazem utrzymywało w nim niechęć, jaką od najmłodszych lat odczuwał w stosunku do swego obecnego rywala.

Wypełniłem zatem tę misję, a potem i inne, najczęściej tego samego, czyli kurierskiego rodzaju. Czulo się, że w Sparcie dokonują się znaczne zmiany. Górę brali zwolennicy wojny; młodzi mężczyźni (a co wymowne, także i niewiasty) nawoływali do czynu, który przywróciłby Spartanom pełnię nadwątlonej dumy. Nie było wątpliwości: pachniało wojną.

Dwa razy owego lata armia wyruszała w pole pod wodzą króla Agisa, przy czym w obu wypadkach

ogłoszono pełną mobilizację. Kiedy druga wyprawa załamała się u samych bram Argos, ogarnięci gniewem Spartanie zwrócili się przeciwko królowi, oskarżając go nieudolność. Alkibiades nie zmarnował takiej okazji. Zwoławszy sojuszników, zajął Orchomenos, opanowując dzięki temu równiny i szlaki na północy Mantinei i zarazem odcinając Spartę od jej sojuszników poza rejonem zatoki. Zagrożona została także pozycja Tegei i Orestejonu. Ich ewentualny upadek był dla armii spartańskiej nie do pomyślenia, jako że otworzyłyby to ateńskiemu sojuszowi drogę do całej doliny Eurotasu. Jednakże eforowie pozostawiali bezczynni, rycerstwo oraz dowództwo armii uważało króla za osła lub tchórza, a przy tym nikt nie ufał helockim wyzwolencom, którzy stanowili już liczącą się część wojska. W spartańskim kotle wrzało i lada chwila wszystko mogło wykipieć.

Pewnego wieczoru zjawił się Telamon z nowym zleceniem. Wraz z dwoma innymi ateńskimi tarczami, Zającem i Papką (zwanym tak z powodu niepohamowanego rzygania, o jakie przyprawiwały go morskie podróże), mieliśmy udać się konno w głąb doliny, do odległej o sto stadionów Tegei. Czekał tam na nas dowódca spartańskiego garnizonu, Anaksibios, którego mieliśmy w tajemnicy eskortować do fortu w

Tripolisie, gdzie miał odebrać rozkazy od miejscowych władz. Kazano go nam dowieźć na miejsce z początkiem drugiej warty, by o świcie wrócić z nim do Tegei.

Lizander nie powiedział nam, że kiedyśmy ruszali w drogę, w Tegei był już Alkibiades ze swoimi meseńskimi wyzwoleńcami i właśnie przemawiał na forum Rady.

Odnaleźliśmy Spartanina i pojechaliśmy dalej, jednakże po niecałych dziewięciu stadionach doścignął nas posłaniec od Lizandra z wieścią o zmianie planu: mieliśmy zboczyć do świątyni Artemidy, przy drodze z Tegei do Pallantionu.

Nasz podopieczny, Anaksibios, był pułkownikiem i z zamiłowaniem używał swej jesionowej laski do karcenia podwładnych, którzy narazili mu się zbytnią powolnością lub tępotą umysłu. Dwukrotnie zdzielił po żebrach Papkę, z oburzeniem pytając, kto, u diabła, szkolił nas na żołnierzy i w ogóle co ma znaczyć ta popieprzona tajna operacja.

Do świątyni dotarliśmy już dobrze po godzinie drugiej warty, z czego jasno wynikało, że nasz porywczy oficer nie zdąży wrócić do siebie przed świtem. Co gorsza, wspiąwszy się po schodach do świątyni, nie znaleźliśmy tam ani śladu Lizandera.

– Klnę się na Bliźniaków – zawrzasnął wówczas Anaksibios, z taką siłą grzmotnąwszy swą laską o kamienną płytę, że omal nie popękały nam bębunki – iż wychłosczę za to najpierw was, a potem i tego meteckiego bękarta!

Lecz oto zza kolumny wyłania się Lizander, któremu towarzyszy tylko jego giermek, z racji znamienia na twarzy zwany Truskawką. Uprasza o wybaczenie pułkownika, który nie przestaje walić swoją laską o kamienie, wzywając nadaremnie rozlicznych boskich imion. Lizander prosi go, żeby się uspokoił, bo niedaleko obozuje wojsko i taki jazgot może zostać uznany za ogłoszenie alarmu.

– Jeśli chcesz, to obróć tę laskę przeciwko mnie, pułkowniku, ale najpierw wysłuchaj wiadomości, którą mam rozkaz ci przekazać.

Na te słowa Anaksibios daje wreszcie spokój lasce. Zaledwie ją opuścił, Lizander wyrywa z pochwy swój miecz i tnąc od prawej, niechronionej strony, niemal odcina Anaksibiosowi głowę. Pułkownik wali się na ziemię niczym zrzucony z furgonu worek; krew tryska z niego jak z przewróconego skopka. Nasza czwórka z rozdziawionymi ze zdumienia gębami patrzy, jak Truskawka odwraca bezwładne ciało twarzą do kamiennej posadzki, by potem wielokrotnie zatopić w

nim grot swej włóczni, pozostawiając rany, które każdy odczyta jako ślady napaści tchórzliwych skrytobójców.

Jak na rozkaz, w rękach mych towarzyszy zabłysły miecze; błyskawicznie uformowaliśmy szyk obronny, stając plecami do siebie, przekonani, że teraz z kolei my padniemy ofiarą morderstwa, którego dokonają jacyś czający się w pobliżu zbójcy Lizandra.

Lecz nie, wokół cisza. Żadna zbrojna grupa nie wychynęła z mroku. Jeśli w samej rzeczy jest w pobliżu jakiś obóz, to nic nie zdradza jego obecności.

– Wielka to strata.

Słowa te wypowiedział Lizander, kiwając głową nad ciałem martwego rodaka. Splunął krwią; jak to się często zdarza w takich chwilach, w podnieceniu przegryzł sobie wargę.

– Był dobrym oficerem.

– A o zamordowanie go oskarżeni zostaniemy my czterej, tak? – rzucił Telamon.

– Bez podania imion – uspokoił go chłodnym tonem nasz zleceniodawca, po czym przyklęknął, by z bliska przyjrzeć się temu, co było człowiekiem, a stało się już tylko krwawą mięsną tuszą.

Nie od razu, lecz w końcu domyśliliśmy się celu jego perfidnego czynu. Zabójstwo pułkownika miało

być przedstawione jako sprawka ateńskich agentów. Nas, którzyśmy padli ofiarą podstępu, nie trzeba było ani identyfikować, ani aresztować; sam mord wystarczy, by Sparta zapłonęła gniewem. Jej władcy będą teraz musieli przejrzeć na oczy i przystąpić do działania, w samą porę, by jeszcze podtrzymać chwiejącą się nad brzegiem przepaści Tegeję.

– Chcesz i nas zamordować, kapitanie? – zapytał Telamon.

Lizander podniósł się z kolan, przykładając dłoń do krwawiącej wargi. Po wyrazie jego twarzy było widać, że bynajmniej nie rozważał takiej możliwości.

– Tacy jak wy ludzie, których nie obowiązuje wierność wobec państwa, nie mają dla mnie żadnej wartości.

Ruchem głowy dał znak giermkowi, który wręczył nam naszą zapłatę.

– W tej sytuacji żądamy więcej – oświadczył Telamon, na co nasz zleceniodawca roześmiał się.

– To wszystko, co mam.

– W takim razie zachowamy twoje konie.

Lizander zgodził się na taką dopłatę.

Zając podsunął się do portyku i rozejrzawszy się, dał znak, że wszystko w porządku. Znowu zaczęła we mnie zwawo krążyć zmrożona przez długie chwile

krw.

– Kto morduje swego pobratymca, kapitanie – usłyszałem nagle samego siebie – nie tylko człowieka ma za nic, lecz i bogów.

Nasze spojrzenia spotkały się; oczy Lizandra miały wciąż tę samą barwę ciemnej stali.

– Weź na siebie swoją ludzką cząstkę, Polemidesie, a niebiosą zostaw mnie".

11. MANTINEJA

„Nie znalazłbym się w Mantinei, gdyby nie mój brat. Służył pod Alkibiadesem i z Orchomenosu przesłał mi liścik:

Zanosi się tutaj na największą bitwę w historii. Jeśli się pospieszysz, to postaram się, żeby na Ciebie zaczęła.

Trzeba znać topografię Peloponezu, żeby w pełni pojąć, w jakim zagrożeniu znalazłaby się Sparta, gdyby tamtego dnia nie udało się jej zwyciężyć. Argiwoie i ich sprzymierzeńcy wygrawszy tę bitwę, poszliby jak burza od Mantinei przez równinę do Tegei, potem na południe do Asei i Orestejonu, a tam już mieliby łatwy dostęp do całej doliny Eurotasu. Powstaliby wówczas niewolnicy Spartan w liczbie dziesięciokrotnie większej niż ich panowie. Oskardami i motykami roztrzaskiwaliby głowy spartańskich chłopców i niewiast, którzy broniliby się wraz z resztkami Korpusu Równych do ostatniego tchu, ginąc w krwawej łaźni, jakiej świat jeszcze przedtem nie widział.

Dołączyłem do armii wraz z wojenną kolumną Telamona i naszych Meseńczyków dopiero rankiem w dniu bitwy, a tak wycieńczony febrą, że trzeba mnie

było wieźć furgonem razem z niemowlętami, ciężarnymi obozowymi żonami i zapasowymi drzewcami włóczy.

Nigdy jeszcze nie widziałem tak wielkiej i tak świetnej armii. Będąc podrostkami, pobiegliśmy kiedyś z Lwem podczas Panatenajów za biegaczami, którzy uczestniczyli w wyścigu z pochodniami. Goniliśmy ich od Statuy Miłości na terenie Akademii, gdzie zapalili znicze, przez Świętą Bramę, skroś agory, obok Ołtarza Dwunastu Bogów, a następnie przez Akropol do Heraklejonu. Wzdłuż całej tej trasy zgromadziły się ciasno zbite tłumy Ateńczyków; były one jednak niczym w porównaniu z Mantineją. Stała tam w gotowości ze swą elitą – tysiącem – na czele, cała armia Argos; obok niej, pułk za pułkiem, korpus Mantinejan, Kleonejanie i Ornearianie, oraz sojusznicy i najemnicy z Arkadii, w tym tysiąc ciężkiej piechoty z Aten, wysłanej w »obronnym charakterze«, aby nie łamać warunków pokoju. Dalej, zdawać by się mogło, stanęło do boju wszystko z całej Argolidy, co zdolne było choć napiąć cięciwę łuku lub wyrzucić z procy kamień; na każdego hoplitę przypadało pięciu lub sześciu lekkozbrojnych.

Znalazłem się wraz z Meseńczykami za plecami szykujących się wojsk. Choć byłem chory i rzygałem

jak struty pies, to przecież musiałem ująć w dłoń oręż, bo inaczej nigdy już nie mógłbym spojrzeć w twarz moim towarzyszom. Zaczynałem się właśnie z pomocą Eunikę szykować, kiedy przygalopował Lew z przewieszoną przez ramię kurierską torbą i wiodąc drugiego konia: klacz, która, jak wyjaśnił, zrzuciła swego jeźdźca.

Miałem więc wystąpić jako goniec polowy. W dzisiejszych czasach funkcję tę wolno pełnić tylko oficerom, tak bowiem zarządził swego czasu Alkibiades. Pod Mantineją był on obecny niejako wódz (na tę kadencję nie wybrano go do kolegium strategów), lecz tylko w charakterze posła. Była to oczywiście jedynie formalna kwestia, jak zresztą w każdym tego rodzaju przypadku; wszak gdziekolwiek się znalazł, to przez sam fakt, że był tam obecny, zaraz stawał się centralnym ośrodkiem i osią wszystkiego, co się działo.

A oto jak zaczęła się bitwa:

Już trzy dni wcześniej miała ona swój fałszywy start; definitywnie uformowani Spartanie ruszyli do boju, jednakże o rzut kamieniem od naszych szeregów Agis zatrzymał natarcie. Ich wojska wycofały się na południe, do Tegei. Nikt nie miał pojęcia, jakie były ich zamiary. Zamierzając wkroczyć w dolinę,

sojusznicy nasłuchiwali. Był to miesiąc Boedromion; rzeki tak wyschły, że nurt ledwie w nich ciurkał, nie bystrzejszy niż szczynty starca. Minał dzień, po nim drugi. Sprzymierzonych nasza obawa, że Agis zamyśla coś naprawdę szaleńczego. Opuścili swoje pozycje na Alezjonie, które były dla Spartan nie do ugryzienia, żeby wkroczyć w bramę doliny, nieco na północ od lasu Pelagos. Nadeszła wiadomość, że Spartanie nadciągają od południa z pełną kolumną taborów i wszelkim sprzętem, jaki zdołali podźwignąć. Ja dotarłem w tym właśnie momencie. Nasze wojska stanęły w szyku na szerokości siedemnastu stadionów, zastawiając całą dolinę.

Rozeszła się nowa pogłoska: podobno Spartanie zawrócili. Nie będzie żadnej bitwy, więc i my możemy się wycofać. Pułk, za którego plecami znaleźliśmy się z Lwem, uformował się był w gruszowym sadzie, jedynym, którego nieprzyjaciel nie spalił, gdyż owoce były jeszcze niedojrzałe i twarde, lecz spragnione jakiejś rozrywki wojsko zaczęło je podgryzać. Skutek był taki, że ludzie zaczęli podsrywać jak gęsi. Dwójkami i trójkami wyskakiwali z szyku, niby to tylko za potrzebą, naprawdę zaś z zamiarem zebrania manatków i urwania się do obozu.

Nagle ktoś wypatrzył kłęby kurzu.

Z oddalonego o milę lasu Pelagos wznosiły się ku niebu szare wstążeczki. Przypominało to z początku jesienne wypalanie listowia, kiedy to właściciele gajów oliwnych zgrabiają suche resztki w kopczyki pomiędzy drzewkami i podpalają je. Potem jednakowoż te pojedyncze strumyczki zaczęły się łączyć w kłęby, a kłęby w całe obłoki. Wszyscyśmy znieruchomieli. Obłoki łączyły się z sobą, tworząc coraz szerszą ścianę kurzu. Trzydzieści tysięcy maszerujących ludzi nie wzbiloby swymi stopami aż tak rozległego tumanu; nieprzyjaciel musiał być co najmniej dwakroć liczniejszy. A jednak nie dostrzegliśmy ani jednego pobłysku tarczy lub choćby konnego zwiadowcy, który by się wysforował przed następującą kolumnę. Nic tylko kurz, wznoszący się wielkimi zygzakowatymi słupami ponad kopułę dębowego lasu, aż w końcu miało się wrażenie, że cały on od skraju do skraju dymi.

Lew uznał, że musimy zameldować się u dowódców, by odebrać rozkazy. Szarpnął wodze i najkrótszą ścieżką poprowadził w tamtą stronę swego konia, a za nim mnie, gdy nagle z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu nasze wojsko ruszyło przed siebie.

Sam widziałeś, jak to w takich chwilach wygląda,

kiedy się jest w szyku. Powstaje tumult, w którym często nie słyzy się rozkazów własnego dowódcy, zagłuszanych wszelkiego rodzaju hałasami i wrzawą. Idzie się tak, jak idą stłoczeni wokół towarzysze, równe mając pojęcie o tym dokąd i dlaczego, co owca lub gęś.

Tak czy inaczej – korpus ruszył.

– Gnaj do przodu! – wrzasnął Lew, wskazując mi równinę. – Wybadaj, co się dzieje!

Jak już powiedziałem, jeździec ze mnie żaden. Co gorsza, moja klaczka okazała się narowista; kiedy spróbowałem ją skierować pomiędzy szeregi, żeby się przez nie precisnąć do frontu, zaczęła brykać i zapierać się. W dodatku, ponieważ byliśmy w sadzie, nisko zwisające gałęzie chlastały ją po łbie, nie mówiąc już o gęstwinie wzniesionych włóczni, między którymi musiała się przeciskać, znosząc przy tym paniczny ucisk moich kolan i pięt, tudzież szarpanie za grzywę, w którą wbiłem palce obu rąk, rozpaczliwie próbując utrzymać się w siodle. W końcu jakoś się nam obojgu udało wydostać na wolną przestrzeń.

Od strony Pelagos następowały już pierwsze szeregi wroga. Dowiedzieliśmy się potem, że wychodząc z lasu, Spartanie niemal kompletnie zgłupieli, ujrzawszy raptem przed sobą uszykowane do

boju wojsko; tak wspaniałą jednak odznaczali się dyscypliną i w takim porządku rozwinęli się natychmiast z kolumny marszowej w szyk bitewny, że to nie oni, lecz my omal nie cofnęliśmy się w przerażeniu.

Zawróciłem ku naszej części pola, gdzie dowodził niejaki, nieznany nam zresztą, Euktemon, i zobaczyłem, że podczas gdy oba skrzydła sojuszniczego wojska postępują ku nieprzyjacielowi, to centrum gdzieś się zapodziało. Oto więc nadciągają dwa korpusy, a pomiędzy nimi – prześwit na cztery stadiony. Na bogów, cóż to za bałagan!

Jeden za drugim wylewały się z lasu nieprzyjacielskie pułki. Dopiero poniewczasie uświadomiliśmy sobie rozmiary przeprowadzonej przez Spartan mobilizacji. Tak poważnie potraktowali zagrożenie ze strony Alkibiadesa, że powołali pod broń siedem spośród ośmiu kategorii wiekowych, co dało w sumie osiem tysięcy wojowników z Korpusem Rycerzy na czele, pod wodzą obu królów, Agisa i Plejstoanaksa, i bezpośrednim dowództwem czterech z pięciu eforów, pełniących obowiązki kapłanów polowych. Mobilizację przeprowadziło także siedemdziesiąt lacedemońskich miast, które łącznie wystawiły dwadzieścia tysięcy ciężkiej piechoty,

zobowiązanej przysięgą »iść za Spartanami, dokądkolwiek poprowadzą«; doszła do tego cała armia Tegei, która broniła ojczystej ziemi, arkadyjscy sprzymierzeńcy z Herai i Menalii, wreszcie wyzwoleni heloci, *brasidioi*, oraz »nowi obywatele«, *neodamodeis*. Jeśli doliczyć do tego Argiwów, Mantinejan i sojuszników, którzy znaleźli się po stronie Sparty, to otrzymało się w wyniku najpotężniejszą w historii konfrontację Greków z Grekami.

Nareszcie dostrzegłem samego Alkibiadesa. Nawet z odległości, która nie pozwalała na rozpoznanie jego rysów, łatwo go było poznać po imponującym sposobie, w jaki dosiadał swego wierzchowca. W grupie oficerów galopował ku sztabowi, a za ich plecami z ulgą zobaczyłem zbliżające się do linii natarcia centrum formacji bojowej.

Ostatnie szeregi Spartan wynurzyły się już z lasu; czołowe dzieliło od nas jeszcze jakieś osiem stadionów. Jak przed każdą bitwą, tak i tam na wolnej przestrzeni harcowały pieszo i na koniach niedorostki, zarówno chłopcy, jak i dziewczęta, korzystający z okazji, by się napatrzeć i wyhasać. Zdarzało się, że poniektórzy zanadto się zapędzali w stronę wroga i ginęli, a wówczas jedni dawali dowody bohaterstwa,

zabierając z placu ich ciała, inni, liczniejsi, przeciwnie – podbiegali, żeby ograbić zabitych. Z różnych stron rozlegało się ujadanie psów. Zwęszywszy bitwę, zbiegły się nie tylko drapieżne, dzdizcałe stada, ale i te domowe, które także odpowiedziały na ów nieodparty acz tylko dla nich słyszalny zew, i teraz już nic ich nie powstrzyma, chyba że własna śmierć.

Pogalopowałem ku dowódcom. Widać było, jak bardzo są zaniepokojeni niewzruszonym postępowaniem wrogich szeregów.

– Niechaj się stanie! – wrzasnął Alkibiades, przekrzykując zbliżającą się wrzawę. – Niech się stanie!

Nieprzyjacielscy harcownicy dotarli już na odległość stadionu. Lew zrównał się ze mną. Pierwsze pociski procarzy wzbijały kurz przed naszymi wierzchowcami; jeszcze chwila i zaczęły bębnić o ziemię niczym gradowe fale. Nie było mowy o tym, by dotrzeć do dowódców, którzy zresztą rozjechali się tymczasem do swoich oddziałów. Mój brat krzyknął, że oto staliśmy się teraz konnymi wojownikami. Już nadciągali grupkami nasi łucznicy i oszczepnicy, za którymi postępowała zbita masa ciężkiej piechoty: Argiowowie, Mantinejanie i Ateńczycy, Ornejanie i Kleonejanie wraz z arkadyjskimi najemnikami. Cała

równina drżała pod uderzeniami ich stóp. Zaczęli śpiewać pean, ten sam hymn do Kastora, który za chwilę mieli podjąć ich doryccy kuzynowie, Spartanie.

Prawą stroną pola przebiegało łożysko wyschniętej rzeki, a wzdłuż niego – resztki spalonej wcześniej przez wroga winnicy. Przez jej zrujnowane kamienne ogrodzenie przeskakiwali teraz spartańscy Skirycci, nacierając falangą szeroką na osiemdziesiąt tarcz i głęboką na osiem, której lewy skraj zawsze zajmują najślawniejsi wojownicy. Wraz z nimi nacierało jeszcze tysiąc sześćset szkarłatnych płaszczy: pułki, które walczyły pod Brazydasem w Tracji; obok nich kroczyli nowi obywatele: dwustu wojowników, na których tarczach widniała *lambda* Lacedemonu.

Na prawo od nich następował Korpus Równych. Niewiarygodna wręcz była precyzja, z jaką utrzymywali szyk, i lśnienie ich broni oraz wyposażenia. Wszystkie inne greckie nacje idą do ataku przy dźwiękach fanfar; Spartanie jako jedyni mają kobziarzy. Rozbrzmiał właśnie w naszych uszach przeraźliwy głos ich instrumentów, który tyleż jest muzyką, co rytmem pulsowania krwi. W środku maszerował król Agis, a po jego bokach *agema*, oddział złożony z trzystu rycerzy. Cała ta siła, łącznie siedem pułków, nadciągała na nas w blasku purpury,

marszowym krokiem i z pionowo postawionymi dziewięciostopowymi włóczniami, których nagie ostrza błyszczały w świetle dnia.

Powietrze rozdarł sygnał do ataku. Wzmógł się rytm marszu i całe nasze wojsko jak jeden mąż zagrzmiało hymnem do Nike. Czoło natarcia, zasłonięte jednolitym pasem wzniesionych tarcz, wkroczyło na równinę pola walki. Chwyciwszy się ze wszystkich sił za grzywę mej klaczy, piętami ponagliłem ją do galopu.

Z przeciwnej strony wmaszerowała na pole linia *lambd*. Mantinejan, którym wypadło się z nimi zetrzeć, ogarnęło szaleństwo. Lęk kazał im wrzeszczeć i bić w tarcze; oficerowie na próżno usiłowali przywrócić porządek. Dwie formacje pancерnej piechoty dzieliły teraz od siebie zaledwie dwa stadiony. Nasza linia zaczęła się przesuwać w prawo, co zresztą zdarza się w takich razach wszystkim armiom, gdyż każdy żołnierz odruchowo szuka osłony za tarczą swego towarzysza; w rezultacie tego procesu nasze skrzydło wysunęło się o dwa stadiony poza lewy skraj linii Spartan. Wzdłuż tej linii przetoczył się teraz z ust do ust jakiś rozkaz; gdy rozgłosiły go kobzy, Skiryeci poczęli się przesuwać w lewo, aby ich skraj zrównał się z prawym skrajem Mantinejan. Pomiedzy nimi a kompaniami z ich prawej

pojawiła się luka. Przez jakieś nieporozumienie w spartańskich szeregach nie zapełniły owej luki żadne rezerwy. Zobaczywszy zagrożenie, skiryccy dowódcy dali znaki kobziarzom, którzy zagrali sygnał do przesunięcia się z powrotem w prawo. Za późno. Pomiędzy dwoma wojskami zostało już tylko trzysta stóp wolnej przestrzeni. Włócznie pochylili się do ataku. Mantinejanie zwarli szeregi i z bojowym okrzykiem uderzyli na lewe skrzydło Spartan.

Ze wszystkich przenikniętych furią bitewnych chwil tej długiej i krwawej wojny żadna nie przewyższyła tamtej, gdy w obronie swych domów i ojczyzny przed tą rasą panów, którzy od stuleci ich gnębili, Mantinejanie spadli na znieprawionego wroga, zagarniając lewą flankę Skirytów, którzy ramie w ramie z *brasidioi* zaparli się w ziemię, by przetrzymać pierwszy szok *othismos*.

Ja z bratem znaleźliśmy się na samym skraju prawego skrzydła, w masie konnicy i wysuniętej naprzód mantinejskiej ciężkiej piechoty. Linia Spartan na lewej flance zagarnięta została z obu boków: z prawa na skutek powstałej luki, która ich oddzieliła od Korpusu Równych, z lewa zaś – w rezultacie natarcia mantinejskiego skrzydła. Tak oto nieprzyjaciel znalazł się w położeniu, którego każde walczące wojsko

najbardziej się lęka: w oskrzydleniu.

Procarze i oszczepnicy obu armii, wyprzedzeni przez atakujących, rzucali się teraz w powstałe luki, walcząc zarówno ze swymi odpowiednikami, jak i ze zwierającą się piechotą. Powstała taka bitewna gęstwa, że oszczepnicy ciskali swój oręż ponad ramionami poprzedników, trafiając prosto w twarze wrogów, którzy ze swej strony czynili to samo. Wznosiły się w powietrze i opadały całe chmury grotów, trafiając w przeciwnika lub znikając w tumanach kurzu wzbijanego stopami walczących. Ciężkozbrojni Mantinejanie przemknęli obok Lwa i mnie na podobieństwo trirem, wykonujących na morzu manewr zwany »przerwaniem«; przebijali się przez spartańską linię, by następnie zawrócić i zaatakować z boków i od tyłu. Nieprzyjacielskie skrzydło niejako złożyło się w sobie, stawiając opór z budzącym podziw męstwem, lecz dwakroć od nich liczniejsza masa Mantinejan – dziesięć tysięcy przeciw pięciu – waliła się na nich z niepowstrzymanym impetem. Linia nieprzyjaciół wygięła się do tyłu. Z góry spadał na nich deszcz grotów, a z bezpośredniej bliskości raził ich i pchał ciężki oręż przeciwnika, nacierającego w trzydziestu lub czterdziestu zwartych szeregach. W pewnej chwili potężny krzyk radości wyrwał się z piersi Mantinejan,

którzy po tak długim zniewoleniu przez władców Peloponezu ujrzeni nareszcie oczyma duszy, jak wali się pod ich naporem cała potęga Sparty; w samej chwili zdawało się, że nic już nie może temu przeszkodzić.

Popędzili Skirytów z powrotem za wyschniętą rzekę, a następnie poprzez las aż do spartańskiego obozu, gdzie czekali na wynik bitwy starsi wiekiem giermkowie oraz taboryci. Obóz został spalony, a ci, którzy nie zdołali uciec – oraz wszelkie inne żywe stworzenie – wyrżnięci.

W takich momentach żołnierz musi zmagać się także z samym sobą, gdyż przekonany już o niechybnym zwycięstwie, łatwo może utracić kontrolę nad swym postępowaniem. Wypatrzywszy Lwa, skierowałem ku niemu swojego wierzchowca. Znaleźliśmy się w pewnej chwili, tak samo zresztą jak i pozostali konni, pod ostrzałem naszych własnych łuczników, taką ogarniętych euforią, że brali na cel wszystko, co znalazło się w polu ich widzenia.

– Tam się musimy dostać! – wrzasnął Lew, wskazując mi lewą stronę pola, gdzie walczyła ateńska piechota wspólnie z jazdą. Skrzyknęliśmy wokół siebie znajdujących się w pobliżu konnych i pogalopowaliśmy w tamtym kierunku.

Minęliśmy po drodze kilka ognisk walki; to

mrowiła się niczym szarańcza lekka piechota. Całe pole bitwy przesłonięte było kłębam dymu i kurzu. Wjechaliśmy na szczyt jakiegoś wzniesienia; zamiast starcia dwóch środkowych korpusów, którego się spodziewaliśmy, ukazało się naszym oczom rozległe pole, na którym pozostali jedynie ranni żołnierze z Mantinei i z Argos. Popatrzyliśmy w prawo, szukając wzrokiem uciekających Spartan, ale żadnegośmy nie zobaczyli.

Obróciliśmy się więc w lewo. Tam, w odległości czterech stadionów, ujrzelśmy tylne szeregi Korpusu Równych, Agisa i rycerzy, oraz siedmiu spartańskich pułków. Pędzili oni przed sobą Argiwów, niczym owczarki, które zaganiają rozpierzchłe stado. Bezlitosna precyzja tej pogoni budziła zarazem grozę i podziw. Nie prześcigając się wzajemnie ani nie zbaczając ku pojedynczym uciekinierom, jak czynią to w chwilach triumfu wojownicy innych armii, ścigali nieprzyjaciela w porządnym szyku i w równym, lecz nieustępliwym tempie. Jak zboże kładzie się pod cięciami sierpów, tak padał teraz łąn sojuszników Aten, uciekających przed rozciągniętą na cztery stadiony i rażącą ich na całej tej szerokości ławą Spartan.

Tuż obok mnie rozległ się czyjś rozpaczliwy krzyk:

jeden z jeźdźców zgiął się w pół i bezwładnie zwałił się z konia. Koło uszu zaczęły nam świstać pociski nieprzyjacielskich łuczników i procarzy, którzy już nie w zwartych oddziałach, lecz bezładnymi grupkami atakowali nas na tyłach swych wojsk. W naszej grupie zapanował zamęt; mój koń znowu zaczął się biesić. Podjechał z pomocą Lew. Widzieliśmy gromadę pędzących ku nam mężczyzn i niedorostków, których wypuszczane w biegu strzały i pociski przelatowały mimo nas z furkotem przypominającym odgłos rozdzieranej tkaniny.

Rzuciliśmy się do ucieczki przez zagradzające nam drogę łożysko rzeki, jednakże moja klacz potknęła się i upadła, próbując się wspiąć na przeciwległy brzeg. Rąbnąłem twarzą o ziemię, ona zaś przeskoczyła przeze mnie i odbiegła. Lew już się przeprowadził na drugą stronę i pędził przed siebie, podczas gdy z tamtego brzegu leciały w moją stronę kamienie i strzały.

Ku memu zdumieniu klacz wróciła; była wszak koniem bojowym! Wspiąłem się na jej grzbiet, jeszcze gęściej usiany bliznami niż mój własny, jednakże nie udało się nam pokonać stromizny. Trzej chłopcy ześlizgnęli się na dno wyschniętego strumienia; jako procarze znaleźli się za blisko, żeby posłużyć się swoją

bronią, zabawiali się więc doskakiwaniem i odskakiwaniem ode mnie i przy akompaniamencie przekleństw próbowali podciąć swymi zakrzywionymi nożami ścięgna mej klaczy lub zwalić ją z nóg, oplatając je rzemieniami swych proc. Niewiele razy zdarzyło mi się być tak przerażonym jak wtedy, gdy ujrzałem w oczach tych niedorostków chęć mordy i krwi. Nagle pojawił się jak spod ziemi mój brat wraz z resztą naszej grupki, która nadciągnęła z głębi pola. Moja klacz niemalże wyfrunęła na brzeg. Kiedy już znowu uciekaliśmy galopem, Lew ryknął:

– To ty powinieneś prowadzić konia, a nie na odwrót!

Naszą piechotę i jazdę Alkibiadesa wypatrzyliśmy daleko po lewej stronie pola. Musieliśmy do nich dotrzeć, choćby tylko po to, by zginąć wraz nimi. Co i raz jednak wyrastały przed nami, jak z zasianych w ziemi smoczyczych zębów, grupki procarzy. Bezradni na wysokości końskich grzbietów, stanowiliśmy dla nich idealny cel. Niech mnie raczej potną na kawałki, niżbym miał kiedykolwiek jeszcze dosiąść konia!

Aż oto ponownie widzimy trzon spartańskich sił. Zdarzył się jeden z tych nieprzewidywalnych, zaskakujących zwrotów sytuacji, w które wojna obfituje. Nieprzyjaciel zaniechał dalszego pościgu za

Argiwami i Ornejanami, zawracając, by przyjść z pomocą swym rodakom, pokonanym na lewym skrzydle. Uratowało nas to od śmierci z rąk procarzy, którzy rozpierzchli się, ustępując drogi zbrojnej kolumnie, która nas przed nimi osłoniła. A że Korpus Równych to sami hoplici, więc dosiadając koni, byliśmy od nich bezpieczni, choć przeszli tak blisko, że rozpoznawaliśmy proporce poszczególnych oddziałów i widzieliśmy oczy Spartan w otworach ich brązowych hełmów.

Po lewej stronie rozbici zostali także nasi Ateńczycy; piechota pierzchła już dawno temu, pozostawiając na placu boju jazdę, która jeszcze robiła, co mogła, próbując bronić rannych. Zobaczyłem leżącego w pyłe martwego wierzchowca Alkibiadesa, a nieco dalej jego hełm.

Niby w olśnieniu stało się dla mnie jasne, że nasz naród nie zdołałby przeżyć straty tego męża. Być może to zmęczenie przyprawiło mnie o takie ponure myśli. Ponadto byłem głodny, gdyż od wielu godzin mój żołądek i kiszki były puste. Nie czułem także obu rąk po całodziennym trzymaniu się grzywy narowistej bestii, której podskakujący grzbiet niemiłosiernie potłukł mi tyłek, a boki poobcierały kolana. A jednak pomimo wszystko, w tym przeblysku przenikliwości,

która towarzyszy końcowi wielkiego wysiłku, największym moim zmartwieniem była obawa o los naszego wodza.

Musiałem go odszukać. Musiałem go uratować od zguby. Zjeździłem wszystkie możliwe miejsca na mej niesfornej klaczy – której imienia nigdy nie poznałem, ale też nigdy mi na tym nie zależało – wypatrując Alkibiadesa.

Nie udało mi się go znaleźć. Dopiero gdy noc zapadła nad naszym obozem, ostatecznie kładąc kres bitwie, pojawił się, odziany w zbroję hoplity, którą, zdaje się, zdjął z jakiegoś zabitego jeszcze w chwili, gdy wrzała walka, by bić się w niej pieszo aż do samego końca. Nawet już dotarłszy do obozu, nie zdjął jej z siebie, lecz krążył od jednej grupki wojowników do drugiej z tarczą czarną od zakrzepłej krwi i z zapadłymi oczyma.

Kiedy poniesiesz klęskę, uświadamiasz sobie, kto jest twoim przyjacielem i przez kogo za przyjaciela jesteś uważany. Po północy giermek Alkibiadesa wezwał mojego brata i mnie do jego namiotu. Obecni tam byli jedynie najbliżsi druhowie wodza – jego kuzyn Euryptolemos, Mantiteusz, sternik Antioch, Diotimos, Adejmantos, Trasybylos i jeszcze z tuzin innych. Wielkim dla mnie i dla Lwa zaszczytem było

to zaproszenie, co też obaj w pełni doceniliśmy.

Było to bardzo bolesne dla wszystkich spotkanie. Mądrość, o jaką wzbogaciła nas doznana klęska, była jak podana na stół wysuszona na wiór gęś, której porcji starczyło dla wszystkich pozbawionych apetytu biesiadników.

Porażka oznaczała podzwonne dla stworzonego przez Alkibiadesa sojuszu. Mantineję i Elidę ponownie wtrąciła do spartańskiego obozu, podobnie jak Patraję, której długi mur czekała destrukcja. Nie do utrzymania po naszej stronie było Orchomenos; na Epidaurydzie i Sykionie jeszcze mocniej miały się zacisnąć kleszcze Spartan, którzy ostatnich demokratów skażą na wygnanie lub śmierć, a z dzieci i rodzin wszystkich podejrzanych o opozycję uczynią zakładników. W Argos najpierw upadnie demokracja, a potem i ono samo także trafi do spartańskiego saka; była to tylko kwestia czasu.

Alkibiades przez cały wieczór nie wypowiedział ani słowa, zdając się na Euryptolemosa jako swego rzecznika, co zresztą często czynił, jako że ich umysły pracowały w całkowitej z sobą zgodzie. Euro namawiał go, by o świcie ruszyć do Aten. Wieść o klęsce dotrze do miasta lotem ptaka; wódz powinien być tam obecny, by z godnością wytłumaczyć się z

niewpowodzenia i wesprzeć tych, którzy stanęli u jego boku.

Alkibiades nie zgodził się na wyjazd; jego obowiązkiem było zadbać o poległych.

– Tama runęła, kuzynie – stwierdził. – Nie powstrzymamy już rwącej fali.

Tej nocy nikt nie spał. Przed świtem sformowane zostały grupy do zbierania poległych z pola walki. Mułom, osłom, a nawet i bojowym koniom przytroczono drewniane tragi, które zwano »paletami piekarza«; zmobilizowano furgony zaopatrzenia i uzupełniono je noszami oraz saniami; żołnierze znosili ciała także na derkach i na własnych płaszczach. Spartanie przysłali do nas kapłanów Apollina, którzy poświęcili pole bitwy i formalnie udzielili nam zezwolenia na znoszenie z niego zabitych. O swoich upomnieli się już wcześniej.

Za pojawieniem się brzasku odśpiewany został hymn do Demeter i Kory, po czym rozeszliśmy się w ustalonych grupach na poszukiwania. Alkibiades obuł się w zwyczajne sandały i założył biały chiton bez żadnych oznak swej rangi. Był smutny, ale nie przybity. W milczeniu podejmował z ziemi i nosił ciała, pracując u boku giermków, a nawet niewolników.

Tam, gdzie zwycięstwo nad którymś z naszych oddziałów odnieśli Tegejanie lub pomniejsi sojusznicy Lacedemonu, ciała naszych wojowników odarte zostały z odzienia. Wrogowie zgrabili broje i oręż, a nawet obuwie. Gdziekolwiek jednak triumfowała spartańska elita, polegli pozostali nietknięci. Każdy leżał tak, jak padł, z tarczą i zbroją; Równi oszczędzili pokonanym pośmiertnego dyshonoru. Wielu spośród nas, także i mój brat, nie zdołało powstrzymać łez na widok takiej wielkoduszności zwycięzców.

W południe do grupy, w której znaleźliśmy się ja i Lew, dołączył Alkibiades.

– Prawda to, Pommo, że pod koniec bitwy zjeździłeś całe pole, chcąc mnie znaleźć i ocalić?

Dowiedział się tego z licznych relacji i zdawało się to niepomiarnie go cieszyć.

– Nie wiedziałem, że aż tak mnie kochasz.

Odpowiedziałem mu żartem, że każdy go kocha, kto służy w piechocie, ponieważ dobrze nam płaci. Ani trochę go to nie rozbawiło; popatrzył z powagą i smutkiem najpierw na Lwa, potem na mnie.

– Wszystko, co wiem o zapłacie, przyjaciele – powiedział – to jak nagradzać tych, w których sercach panują szczerze uczucia.

Przed południem, jak nam później opowiedziano,

Alkibiades przypadkiem znalazł się na prawym skraju pola, w rejonie, w którym zastał nas z bratem zwycięski atak Mantinejan na skrzydło Skirytów. Rozmawiał był właśnie z kilkoma mantinejskimi oficerami, gdy podjechał do nich kapitan spartańskiej jazdy.

Był to Lizander. Obaj rywale gawędzili z sobą swobodnym tonem, zaniechawszy wrogości na czas rozejmu. Lizander zwrócił uwagę na rozmiary klęski, jaką nasza piechota zadała w tym miejscu Spartanom, stwierdziwszy, że gdybyśmy choć na piątej części pola zdobyli się na takie zwycięstwa, to cała bitwa zakończyłaby się dla naszych wrogów katastrofą.

– Byliście o włos od triumfu – miał podobno powiedzieć Lizander, na co jego rozmówca jakoby zacytował przysłowie: »Nie przegrał jeszcze, kto bliski już był zwycięstwa«.

Wówczas, wedle relacji świadków, Lizander rzucił:

– Niechaj bogowie takie ci właśnie wykują na grobie epitafium. Po czym spał konia i galopem odjechał.

Kiedy zaczęły się wydłużać popołudniowe cienie, spartański Korpus Równych wyruszył w powrotną drogę do domu. Patrzyliśmy, jak wynurzywszy się z lasu, podążyli w kolumnie marszowej ku Tegejskiej

Drodze. Na czele kroczył Agis, mając po bokach rycerzy, a potem, w ustalonym porządku, siedem pułków ze swymi taborami. Lew pokazał mi Lizandra; tak rozmieścił w szyku swój oddział jazdy, by zdawała się ona królewską gwardią: w bezpośredniej bliskości *polemarchów*, dowódców wojennych, oraz *pythioi*, kapłanów Apollina. Trzon spartańskiej armii maszerował w rytm zawodzącej muzyki kobziarzy.

Było ich osiem tysięcy, ze szkarłatnymi płaszczami na ramionach, ze wspartymi na barkach włóczniami, każdy z giermkim u boku, który niósł na ramieniu jego wypolerowaną do lustrzanego połysku tarczę. My staliśmy na pokrytym kurzem polu bitwy, które pograżało się w mroku; zwycięzcy odchodzili w pełnym blasku słońca.

Odchodzili ze śpiewem. Refren ich piosenki brzmiał: »Hemoroidy, odciski i piekło«, wyrażając w rytm bijących werbli całą głębię ich pogardy dla śmierci. Ostrza ich włóczni okryte były pokrowcami, lecz wypukłe hełmy lśniły w słońcu niczym złoto.

Z gardła Alkibiadesa wyrwał się jakiś dziwny dźwięk. Obróciwszy się ku niemu, zobaczyłem, że czoło pali mu gorączka, z oczu zaś obficie płyną łzy. W pierwszej chwili pomyślałem, że to spazm rozpacz po klęsce, która obróciła w gruzy całe jego wielkie

przedsięwzięcie. Przyjrząwszy mu się jednak uważniej, pojąłem, że to nie żal po przegranej go dręczy; tak samo jak nas wszystkich do głębi poruszyła go wspaniałość dyscypliny i nieugiętość woli wroga.

– Nadzwyczajnie się prezentują te sukinsyny, nie uważasz?".

12. TOWARZYSZ BRONI

– Tego dnia pod koniec naszej rozmowy zabójca Polemides, kiedy już się z nim pożegnałem, poprosił mnie jeszcze o przysługę – opowiadał dalej mój dziadek.

W intendenturze oficerskiej w munychijskiej bazie floty, wyjaśnił, pod pieczę odźwiernego leżał na przechowaniu jego żeglarski kuferek. Były w nim pewne dokumenty, które chciałby mi pokazać. Czy więc zechciałbym go z jego upoważnienia odebrać? A co więcej, dodał, czy mógłbym po jego śmierci ów kuferek zachować?

Zwróciłem mu uwagę, że nie należy uprzedzać biegu wypadków. Uniewinnienie wciąż było możliwe, a nawet prawdopodobne, zważywszy na skazanie Sokratesa i powszechne przekonanie o ścisłych związkach, jakie łączyły filozofa z Alkibiadesem. Reputacja wodza doznała bardzo poważnego szwanku, co nader pomyślnie wróżyło każdemu, kto był wobec niego w opozycji.

„Tak, oczywiście – przyznał Polemides z uśmiechem. – Zapomniałem o tym”.

Akurat w chwili, gdy wychodząc, stanąłem w portalu więzienia, rozpętała się gwałtowna burza i z

nieba lunęły potoki deszczu, zatrzymałem się przeto, czekając, aż przestanie padać. W pewnym momencie zbliżył się do mnie jakiś nieznajomy chłopiec, który wybiegł ze spożywczego sklepiku po drugiej stronie ulicy i upewniwszy się co do mojej tożsamości, poprosił, abym był łaskaw jeszcze nie odchodzić. Zaczynam wskazał mi starszego, kalekiego mężczyznę, który właśnie wyszedł z tego samego sklepiku i kuśtykając, podążał w moją stronę. Przeszedłszy przez ulicę, zbliżył się on do mnie w pozie, która znamionowała żebraka. Natychmiast go ominąłem, zdecydowany raczej wyjść na deszcz, niż stać się obiektem nalegań tego niechlujnego i natrętnego osobnika, on jednak rzekł: „Nie poznajesz mnie, panie?”.

W samej rzeczy głos jego poruszył jakąś strunę w mej pamięci. „Jestem Eumelos z Oa, panie. »Siniak«. Z naszej starej pocziwej »Europy«”.

„Siniak? Na Świętą Dwójce, czy to naprawdę ty?!”.

Człowiek ten służył na moim okręcie pod Abydos i Suczym Grobowcem, gdzieśmy się bili pod dowództwem Alkibiadesa. Było to przed jedenastoma laty, w dwudziestym roku wojny. Siniak walczył jako *toxotes*, łucznik na okręcie wojennym, będąc zarazem kimś w rodzaju mego osobistego ordynansa. Był

zamiłowanym i odważnym, choć niezbyt zręcznym pięściarzem, i dzięki temu właśnie zyskał swój przydomek, a jako żołnierz odznaczał się ścią orlą dzielnością i ambicją wybicia się w wojennej hierarchii. Pod Abydos na własnych plecach zniósł mnie z mostka „Europy”, gdy podczas walki zostałem ciężko ranny w nogę.

Siniak pozostał w służbie aż do samego smutnego końca: do Ajgospotamoj. Wzięty został przez Lizandra do niewoli i skazany na śmierć, lecz udało mu się uniknąć tej kary, gdy kłamliwie oświadczył, że jego matka była Megaryjką, a zatem nie był on ateńskim obywatelem; osadzono go więc pomiędzy niewolnikami.

„Zaledwie oznaczyli mnie piętnem, uciekłem. Byłem już w domu, kiedy przyplłynął Lizander i przyjął kapitulację miasta”.

Zaprosił mnie następnie do sklepiku, którego okazał się właścicielem, będąc zarazem dziadkiem posłanego do mnie chłopca. Wyjawiał mi, że dzięki swej synowej zdobył kontrakt w ramach świeżo wdrożonych przepisów: odkąd zamknięto więzienny refektarz, miał wyłączność na dostarczanie strażnikom i więźniom pożywienia. Już wcześniej zauważył był, że odwiedzam więzienie, jednakże dopiero tym razem

zdobył się na śmiałość, by się do mnie zwrócić.

Wdaliśmy się w rozmowę o niegdysiejszych naszych towarzyszach i o czasach, które przeminęły. W jakiejś chwili Siniak nawiązał do sprawy Sokratesa. Okazało się, że był jednym z pięciuset jeden członków ławy przysięgłych, która osądziła filozofa.

„Podszedł do mnie w Anakionie jakiś człowiek i nadmienił, że jeśli zależy mi na tym kontrakcie, to lepiej, żebym wrzucił do urny czarny kamyk”.

Na odchodnym mój dawny towarzysz broni wziął mnie na bok, by taką mi oto dać przestrozę: mogą mnie, a także innych, zacząć nagabywać pewni pozbawieni skrupułów sprzedawczyki, niegdyś należący do kręgu Sokratesa, którzy w zamian za pieniądze obiecują uwolnienie starca. Czynić to będą w wielkim sekrecie i z rozmysłem rzecz dramatyzując, czego Siniak niejedną już raz był świadkiem: koń, ciemna noc i skok przez granicę. Tylko że na końcu kryła się zdrada.

„Na pierwszy taki podszept, kapitanie, zaraz przyjdź do mnie. Dobrze znam te czarne charaktery. Prędzej ja sam uwolnię twojego przyjaciela, niż pozwolę, żeby oni wyciągnęli do niego tak zdradziecko pomocną dłoń”.

Poważnie potraktowawszy to ostrzeżenie,

serdecznie mu za nie podziękowałem.

Tymczasem burza ucichła, lecz ja zwlekałem z odejściem. Najpierw musiałem się dowiedzieć, czy Siniak osobiście znał Polemidesa. I owszem.

„Jako dobrego żołnierza; nie więcej”.

A co sądzi o jego udziale w zabójstwie Alkibiadesa, sondowałem go dalej, wiedząc przecież, że tak samo jak mnogość żołnierzy floty Samos, darzył swego ówczesnego wodza wielką czcią i we wdzięcznej go zachował pamięci. Ku memu zaskoczeniu Siniak bynajmniej nie potępiał zabójcy.

„Lecz przecież on zdradził Alkibiadesa!” – naciskałem.

Wzruszył na to ramionami.

„A kto go nie zdradził?”.

Wróciwszy do domu, przypominałem sobie o pamiątkach mej przeszłości – bodźcem dla mej pamięci stała się zapewne prośba Polemidesa o odebranie jego żeglarskiego kufierka – i wspiałem się wieczorem na strych, by znaleźć mój własny, takiego samego rodzaju. Do dzisiejszego dnia wojownicy morza znaczą swoje przenośne komody zgodnie ze starodawną tradycją, czyli wydrapując na nich nazwy okrętów, na których przypadło im służyć, i odciskając przy nich monetę kraju, do którego należała dana flota.

Znalazłszy ów zabytek, zniosłem go do mej biblioteki. Gdy następnego dnia tragarz dostarczył mi kuferek Polemidesa, uznałem, że najgodniej będzie postawić go obok mojego.

Czymżeśmy się między sobą różnili, zabójca i ja, tak samo po trzykroć dziewięć lat wojny służąc temu samemu krajowi? Nikt by tej różnicy nie potrafił określić, porównując nasze bagaże.

Najpierw otworzyłem swój. Natychmiast owionęły mnie zapachy niegdysiejszych wojennych kampanii i niegdysiejszych towarzyszy. Poruszony do głębi duszy, musiałem aż przysiąc, żeby zapanować nad wzruszeniem, o jakie przyprawiło mnie wspomnienie tych wszystkich, których pochłonęła już wiekuista noc, a także myśl o pozostałych, zarówno filozofach, jak i mordercach, którym wkrótce też przyjdzie wkroczyć w ową czerń.

Zdarzyło się przypadkiem, że moja żona, a twoja babka, akurat weszła do biblioteki i znalazłszy mnie w takim stanie ducha, pospieszyła z należną małżonkowi pociechą. Wówczas powziąłem swoje ostateczne postanowienie i pod wpływem nagłego impulsu postanowiłem jej o wszystkim opowiedzieć.

Na bogów, nie ustane w zabiegach o uniewinnienie Polemidesa i, korzystając ze wszystkich dozwolonych

prawem sposobów, spowoduje, iż odzyska on wolność.

13. PO TRZYKROĆ ZWYCIĘZCA

„To podczas igrzysk olimpijskich, które odbyły się po Mantinei – kontynuował swoją historię Polemides – zaprzęgi Alkibiadesa zajęły pierwsze, drugie i trzecie miejsce w wyścigu czwórek. Nawet triumf pod Troją ni pojawienie się samego Apollina w skrzydlatym faetonie nie wywołałoby większego entuzjazmu. Hipodrom otaczało dwieście tysięcy widzów. A czy pamiętasz odę, którą na cześć tego zwycięstwa skomponował Eurypides? Jak to szło?...

...szczytem musi być chwały, usłyszeć, jak po trzykroć herold to samo imię zwycięzcy ogłasza.

Nie byłem świadkiem tych gonitw. Nasz kojec przybył z Naupaktosu spóźniony, statkiem, na którym zatrudniliśmy się w zamian za samo wyżywienie. Opowiedziano nam wszakże, jak to Alkibiades, zaproszony na ucztę wydaną na jego cześć przez miasto Bizancjum, którego cytadelę miał zdobyć szturmem niecałe dziesięć lat później, zjawił się na niej w towarzystwie trzech swoich zwycięskich woźniców. Uczestniczył w tej uczcie także król Agis wraz z czterdziestoma swoimi rycerzami, a przecież odbiegli go wszyscy goście, byle tylko choć zerknąć na olimpijskich triumfatorów. Efez, Chios, Lesbos i

Samotraka wzniosły na cześć Alkibiadesa wspaniałe namioty. Wyspiarze z Samos, jak powiadano, wysłali przez rzekę na jego powitanie trzy barki wypełnione dziewczycami śpiewającymi ku jego chwale hymny, gdy zaś eskadra ta osiadła na przybrzeżnej mieliźnie, to z brzegu rzucili się na ratunek wszyscy tamtejsi słynni zapaśnicy z wawrzynami na czołach. Co do mnie, to pamiętam, że owa rzeka jest w tym miejscu mniej więcej na dłoń głęboka.

Podczas tej samej olimpiady Sycylińczyk Eksajnetos zwyciężył w biegu na dystansie stadionu, a nikt nawet nie zatrzymał na nim wzroku; tłum wypatrywał oczy tylko za Alkibiadesem, a jeśli już nie jego samego, to chciał z bliska obejrzeć choć jego rumaki. Doszło do tego, że ludzie bili się o ich wypierdki. To szczerą prawdą; sam byłem tego świadkiem. Ledwie który z tych czworonożnych olimpijczyków podniósł ogon, już pół tuzina jego miłośników podstawiało mu pod tyłek swoje nakrycia głowy, jakby miał wysrać całą garść złotych samorodków. Byli i tacy, co kolekcjonowali odciski kopyt tych niedoścignionych stworzeń, robiąc z nich odlewy za pomocą murarskiej zaprawy. Nigdy więcej nie zdarzyło mi się widzieć aż tylu kompletnie pijanych, samemu także zresztą będąc pijanym, którzy

ani miedziaka nie wydali na wino. A już szczególny podziw budziła w tamtych chwilach liczba przypadków publicznego cudzołóstwa.

Co się tyczy samego Alkibiadesa, to niemożliwością stało się zbliżyć do niego choćby tylko na odległość strzału z łuku. W wieku trzydziestu czterech lat wyniesiono go aż po firmament jako mistrza nad mistrze i największą znakomitość nie tylko w Grecji, lecz również w Macedonii, Tracji, Italii i na Sycylii, czyli że – wyjąwszy Persję – uznany został za najsłynniejszą osobistość tego świata.

Tamte igrzyska okazały się epokowe jeszcze w innym, głębszym sensie. Nie zapominaj, że poprzednia olimpiada zaznaczyła się w dziejach jako ta, do której nie dopuszczono Spartan, a to z powodu ich sporu z eleańskimi kapłanami Zeusa. Bez udziału atletów Lacedemonu żaden wawrzyn nie miał swej prawdziwej wartości. Tym razem znowu byli obecni. Pięściarz Polidoros, pięcioboista Stenelaides, a także dwa czterokonne zaprzęgi, które ilekroć przegrały, to tylko z inną spartańską czwórką. W pełni odzyskała nadwreżoną dumę Mantineja. Jej mythos na nowo się odrodził, jak by to powiedział sam Alkibiades, toteż pławiła się w swej chwale.

Także dla mnie osobiście obecność Spartan miała

pewne szczególne znaczenie. Gdziekolwiek bym się obrócił, to natykałem się na kamratów z *agoge* oraz na oficerów i ówczesnych młodzieńców, którzy byli tam moimi instruktorami. Przed Pawilonem Mistrzów wpadłem na Febidasa, dawnego mojego dowódcę, oraz na jego brata Gilipposa, który miał później tak bezlitośnie rozprawić się pod Syrakuzami z ateńską armią. Napotkałem też Endiusza, w chłopięcych latach przyjaciela, a niektórzy mówili, że również kochanka Alkibiadesa. Był on już wówczas kapitanem rycerzy, a z nowym rokiem miał zostać wybrany na efora.

Wielu tam było podobnych mnie, którzyśmy mogli się chlubić nie barwami naszych ojczyzn, lecz jedynie spaloną od słońca skórą tarczy do wynajęcia. Kampania za kampanią, rok za rokiem tak niepostrzeżenie po sobie następują, że nawet nie zdajemy sobie sprawy z zachodzących w nas zmian, dopóki nie ujrzymy obrazu samych siebie w niewidzianych od lat dawnych towarzyszach. Oto Alkajos, współmieszkaniec namiotu Sokratesa, wesoły komediant z Aspazji Trzy, który teraz występował w roli trenera. Jego podopieczny, Pandion, tego właśnie przedpołudnia padł, śmiertelnie wyczerpany, gdyż wolał śmierć niż drugie miejsce; ten sam Pandion, który – zdawało mi się, że zaledwie zeszłego lata –

składał swą chłopięcą przysięgę u boku mego brata. I tak się to właśnie odbywało. Wszyscyśmy spotykali naszych kamratów z lat nauki, których zapamiętaliśmy jako gołowasyh młodzieniaszków. Jakże to się stało, że tyle siwizny wkradło się w brodę twego przyjaciela i że tyle blizn pojawiło się na ramionach tego oto chłopca, z którym ćwiczyłeś w *agogel* Każde pytanie o czyjąś siostrę lub matkę, żonę lub dziecko spotykało się z tą samą bezsłowną odpowiedzią, więc szybko przestałeś zadawać tego rodzaju pytania. Starczyło spojrzeć w czyjeś oczy, by w ich lustrze ujrzeć odbicie takiej samej goryczy, jaką przestałeś już dostrzegać w samym sobie.

Trzeciego dnia o świcie Eunikę obudziła mnie szturchaniem.

– Wstawaj, stary śpiochu! I postaraj się zaraz wyglądać na kogoś godnego szacunku!

Na skarpie ponad biwakiem, który nasz kojec rozbił nad Alfejosem, stał Lew. Nie widziałem go przez całe dwa lata, od Mantinei, ani nawet nie odpowiedziałem na żaden z paru jego listów, które jednak wszystkie przechowywałem w plecaku.

Odstroił się po cywilnemu, prezentując się elegancko i dostatnio. Przygarnąłem go do siebie z wielkim zadowoleniem. W niczym już nie

przypominając niesforenego uciekiniera spod Potidei, brat mój przeobraził się w solidnego trzydziestoletniego obywatela, którego dzieci weszły w drugą dekadę żywota; oprócz rodziny miał także na głowie gospodarkę po ojcu, teraz już pozostającą pod jego wyłącznym zarządem.

Wyszliśmy na ruchliwą drogę i okazją pojechaliśmy do miasta. Lew bynajmniej nie tail, że nie pochwała faktu, iż wciąż obstaję przy uprawianiu wojennego rzemiosła.

– Mam z tego niezły pieniądz – odparłem na to, nic innego nie potrafiąc powiedzieć na swoją obronę.

– Skoro tak, to postaw mi obiad.

Roześmiałem się, on także.

– Nie wygrzebałbyś z tyłka nawet nędznego obola, co?

Powiedział mi następnie, że ciotka Dafne zachorowała. Czy wiedziałem, że do dziś pozostaję jej złotą młodością?

– Martwi się o ciebie, braciszku. Tak samo jak ja.

Chciał, żebym wrócił z nim do domu i zajął się gospodarstwem. Prowadzilibyśmy je na spółkę, dzieląc się dochodem pół na pół.

– Za dużo tego na mnie jednego, Pommo. Ale we dwójkę wyszlibyśmy na swoje.

Spędziliśmy z sobą dwa dni, żaden jednak, aż do chwili rozstania, nie odważył się wspomnieć o tym, co obu nam najbardziej ciążyło na sercu.

– Pochowałeś ich kości?

Wiedział, że miałem na myśli moją żonę i dziecko, ojca i Meri, i nasz rodzinny grobowiec w Acharnie, w którym powinni spocząć.

– Jesteś tym starszym, Pommo. Sam wiesz, że to na ciebie czeka ten obrządek.

To napomknienie oznaczało, że igrzyska nie sprawią mi już żadnej przyjemności. Musiałem wrócić do domu. W południe następnego dnia zacząłem się pakować do wyjazdu, co stało się powodem potwornej kłótni z Eunikę, która wszak nigdy nie odstąpiła od najgłębszego swojego przekonania, że nadejdzie dzień, gdy »z powrotem przeobrazę się w szacownego obywatela« i porzucę ją. Nienawidzę takich scen. Już miałem zarzucić plecak na ramiona, gdy wkroczył do naszego obozowiska jakiś zbrojny; jak się okazało, był to spartański giermek, sługa Endiusza, z racji szczególnej biegłości w ciskaniu toporem zwany Nadgarstkiem. Przybył on z zaproszeniem od swego pana, który pragnął, abym tego wieczoru zasiadł przy jego stole, i to wraz z moimi kamratami z kojca, a także z naszymi niewiastami.

Rycerz wydał tę ucztę nie w swoim obozowym namiocie, lecz w prywatnej posiadłości poza obrębem samej Olimpii. O ustalonej porze zjawił się Nadgarstek, który nas tam zaprowadził.

Miałem wówczas trzydzieści cztery lata; Endiusz był parę lat po czterdziestce. Jako chłopiec o tyle niżej się znajdowałem od niego na społecznej drabinie, że nawet jako dorosły już mężczyzna powiedziałem mu »panie« i na znak szacunku stanąłem przy nim od strony tarczy.

– Daj pokój, Pommo. Jesteśmy sobie równi jako wojownicy.

Wobec naszych towarzyszek zachował się nie tylko uprzejmie, ale wręcz okazał im ujmującą grzeczność, sadowiać je przy stole pomiędzy sobą i swymi kompanami, co w Lacedemonie uznane by zostało za niedopuszczalne pospolitowanie się. Eunikę, rzecz jasna, popisała się niewyparzonym językiem, pytając go w pewnej chwili:

– Czy to prawda, że Spartanki pojawiają się publicznie nago?

– My nie nazywamy tego nagością – odparł jej na to gospodarz – lecz cielesnym pięknem.

– A co, jeśli któraś jest otyła?

– Oto właśnie dlatego nie stają się otyłe.

Eunike rozbawiło to objaśnienie.

– A czy naprawdę wasze niewiasty są najpiękniejsze ze wszystkich Greczynek?

– Takie świadectwo wystawił im Homer – odrzekł Endiusz, a następnie przypomniał jej córki Tyndareosa – Helenę i Klitajmestrę – oraz ich kuzynkę Penelopę, którą Odyseusz uwiózł do Itaki i uczynił swą królową.

Pod koniec biesiady przybył jeszcze jeden spartiata. Był to Lizander. Po Mantinei awansował aż na pułkownika, i to nie jazdy, lecz ciężkiej piechoty. Zajął przy stole miejsce obok Endiusza. Kiedy po odśpiewaniu hymnu dziękczynienia uczta została formalnie zakończona, obaj dali znak Telamonowi i mnie, abyśmy jeszcze nie odjeżdżali. Było już wprawdzie późno, lecz jasno świecił księżyc, czy więc nie zechcielibyśmy udać się z nimi na małą przejażdżkę po okolicy, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza? Konie dla nas były już osiodłane, a przodem pójdą giermkowie, oświetlając drogę pochodniami.

Z jaką myślą czynili to rycerze? Podczas posiłku żaden z gości nie wspomniał o Alkibiadesie, co było niemalą sztuką w chwili, gdy jego imię znajdowało się na ustach wszystkich. Sam Endiusz tylko raz, i to krótko, nawiązał do osoby swego przyjaciela, a

mianowicie w odpowiedzi na uwagę Telamona, który stwierdził, że spośród wszystkich namiotów wzniesionych na cześć triumfatora najwspanialszy był ten od Argos, w którym to mieście po Mantinei ponownie zapanowała demokracja, a wśród jego najznamienitszych obywateli miał Alkibiades licznych zwolenników i przyjaciół. Czy może być, że wykorzystuje on tę swoją pozycję dla politycznych celów?

– Cokolwiek robi Alkibiades – powiedział wówczas Endiusz – wiąże się to z polityką.

Przejechaliśmy kilkadziesiąt stadionów wzdłuż Alfejosu, otoczeni rozległymi uprawnymi polami, które obfitowały w oliwki i jęczmień. Endiusz poinformował nas, że ziemie te, a zwłaszcza zamieszkiwana przezeń posiadłość, były własnością Anakreona z Elidy, krewnego jego małżonki, którego on, Endiusz, czuł się dozgonnym dłużnikiem. Nakazał następnie ruchem głowy giermkom, aby się zatrzymali, zaczynając wszyscy stanęliśmy na wyniosłym brzegu rzeki.

– Tego, co usłyszycie teraz ode mnie i od mojego towarzysza – przemówił wówczas rycerz – nie powtórzymy za królem ani za rządcami Lacedemonu. Cokolwiek powiemy, powiemy jako my sami, osoby

prywatne. Czy wysłuchawszy nas, nikomu tego nie zdradzicie?

Poczułem, jak ciarki przechodzą mi po karku.

– Lepiej wróćmy na własnych, a nie na końskich nogach – powiedziałem, zabierając się do zsiadania.

Powstrzymała mnie dłoń Telamona.

– Ci rycerze chcą mówić o pewnych sprawach, w których i ja mam swój udział, Pommo.

Po czym poklepał mnie uspokajająco po kolanie. Doszedłem do wniosku, że zostając, w niczym się jednak nie zobowiązuję do przyjęcia jakiegokolwiek ewentualnej propozycji.

– Czy nazwałbyś samego siebie patriotą? – zapytał mnie Endiusz.

Z pewnością o świcie wrócę do Aten, jeśli mogło mu to wystarczyć za odpowiedź.

– Chodzi mi o to, czy stanąłbyś w obronie swego miasta przeciwko jego wrogom? Czy nie dbałbyś o swe życie, gdyby ci je przyszło oddać za wolność twego kraju?

Z pomocą bogów, odparłem na to, postarałbym się ocalić i jedno, i drugie.

Endiusz uśmiechnął się i spojrział na Telamona, ale mój kamrat milczał. Wówczas odezwał się Lizander:

– Powiedziałeś – rzekł do mnie – że gotów byłbyś

położyć na szali swoje życie, przeciwstawiając się wrogowi, który zagroziłby twojemu krajowi. Wierzę ci i chylę czoło przed taką postawą, jak pewnie każdy by uczynił. Pójdźmy jednak teraz tropem tego przypuszczenia. Gdyby spadła na twój naród jakaś wielka klęska, powiedzmy – głód albo straszna choroba...

– Mów bez ogródek, przyjacielu.

– A zatem: czy równie śmiało byś wówczas wystąpił? Powiedzmy, że jakimś jednym ciosem mógłbyś zapobiec...

– Masz mnie za mordercę, Lizandrze?

Endiusz żywo zaoponował:

– Kto zabija tyrana, nie jest żadnym mordercą, lecz patriotą. Zbawcą swej ojczyzny, jak Harmodios i Arystogejton!

– Przyjaciele – wtrącił Telamon, wznosząc uspokajająco dłoń. – Rozmawiamy o konkretnej sprawie, nie dajmy się więc ponosić namiętnościom!

Endiusz zignorował go, dalej zapalczywie perorując:

– Czyż nie nazwałbyś zbawcą tego, kto by uwolnił ojczyznę od tej plagi?

– Endiuszu! – tym razem powstrzymał go surowym tonem Lizander.

Nie bez wysiłku, wszelako po paru chwilach udało się Endiuszowi zapanować nad sobą.

– Dobrze, a zatem mówmy wprost. Bez krażenia po opłótkach. Masz oczy, Polemidasie, i nie jesteś głupi. Wrogiem twego kraju nie jest Sparta. Prawdziwy wróg twojej ojczyzny skrył swe sploty w jej własnym łonie. To nie my, lecz ten po trzykroć zwycięski, rozpalony gorączką swych ambicji wąż doprowadzi swoim niepohamowaniem do upadku Aten.

– Tak bardzo się go lękasz, Endiuszu?

– Lękam się go i nienawidzę. A przy tym Kocham go tak samo jak ty.

Odwrócił się ode mnie. Przez długą chwilę wszyscyśmy milczeli.

– Co dostanie ów patriota – odezwał się w końcu Telamon – który wyrwie tę jadowitą bestię z piersi Aten?

– Wszystko, co tu widzicie.

Powiedział to Lizander, tocząc ręką po oliwnych gajach i łańch jęczmienia. Telamon aż gwizdnął ze zdumienia.

– To w samej rzeczy godna zastanowienia zachęta. Tylko czy długo dane by było owemu zbawcy cieszyć się tym bogactwem?

– Pod naszą egidą dożyje swego wieku.

– Od kiedy to Sparta – spytałem z kolei ja – tak wiele troski poświęca szczęśliwości swych wrogów?

– Dosyć! – warknął Endiusz. – Zabijesz go czy nie?

– Raczej was obu zabiję, i to za pół ceny.

Rycerz tak gwałtownie wbił kolano w bok swego rumaka, że zwierzę zaczęło wierzgać; Lizander musiał się wychylić z siodła i chwycić je za uzdę.

– Opanuj się, mój przyjacielu – rzekł następnie Endiuszowi. – Nie uda nam się tej nocy przekonać naszych towarzyszy. Może zresztą mają rację? Jeśli w istocie Ateny są wrogiem naszej nacji, to twoim i moim zadaniem powinno być wspomaganie tych wszystkich, za których przyczyną mogą one popaść w ruinę.

Po czym uśmiechnął się i spojrzał mi prosto w twarz.

– Oby nieba sprzyjały naszemu przyjacielowi, którego czoło zwieńczył potrójny wawrzyn.

Zsiadliśmy z Telamonem z koni. Endiusz okrążył nas z bliska na swym wciąż spłoszonym wierzchowcu.

– Nastawcie uszu, bo wypowiem teraz proroctwo. Otóż nadejdzie dzień, gdy Ateny legną w gruzach, ich flota zostanie zatopiona, Długie Mury zburzone, a wdowy i sieroty lamentować będą na ulicach. A wszystko to stanie się za sprawą jednego człowieka,

który...

Palilo mnie pragnienie, by jakimś ostrym słowem zmusić go do milczenia, lecz usłyszawszy, co powiedział, poczułem, że krew lodowacieje mi w żyłach; nie zdobyłem się już na żadną odpowiedź.

– Powiedzcie mi, bracia – ciągnął Endiusz – co najwstrętniejsze jest bogom? Otóż nie morderstwo ani nie zdrada, lecz pycha! By ją ukarać, sam Zeus uwalnia swe niebiańskie pioruny.

Ponownie zatoczył wokół nas koło, wznosząc otwartą dłoń.

– Zapamiętajcie tę przepowiednię, którą dzisiejszej nocy wygłosiłem w waszej przytomności.

Po czym wbił pięty w boki swego konia i galopem odjechał. Lizander nie od razu ruszył jego śladem. Skinął na giermków; wskoczyli na grzbiety wierzchowców, które wyniosły nas nad brzeg rzeki, skąd roztaczał się widok na błyszczące w księżycowej poświacie gaje i pola.

– Nasyćcie oczy tym widokiem, przyjaciele – powiedział Lizander. – Sprawia to może, że jakimś innym razem dojdziemy do porozumienia".

14. PLAN PODBOJU

„Po igrzyskach ruszyliśmy z bratem do domu, wykorzystując czterodniową wędrówkę do Aten jako okazję do poznania się na nowo. Dzięki odebraniu zaległego żołdu stać mnie było na wysłanie Eunikę przodem, promem przez Patraję i Istm; była bezpieczna, gdyż podróżowała razem z Telamonem i Papką. Także i reszta naszego kojca postanowiła posmakować miasta. Znajdzie się tam praca, jako że powstawała nowa flotylla, tworzona z myślą o Sycylii.

Znalazłszy się znowu w rodzinnym domu, wydobyliśmy wreszcie z Lwem szczątki naszego ojca i siostry oraz mej żony i dziecięcia z tymczasowego miejsca ich spoczynku, po czym złożyliśmy je w grobowcu naszych przodków w Achami; może teraz nareszcie spoczywać będą w wiekuistym spokoju.

Stanąwszy na ziemi, która od niepamiętnych czasów przyjmowała synów i córki naszego rodu, doznałem uczucia takiej żalości, że ze wzruszenia nogi odmówiły mi posłuszeństwa i musiałem przykleknąć, zanim jeszcze obrządek dobiegł końca.

Powiedz mi, Jazonie: cóż to za siła sprawia, że rodzinna ziemia tak nami włada i czyni nas swymi jeńcami? Wydaje nam się, że ją posiadliśmy,

tymczasem w istocie to ona posiada nas. Nie ona nam, lecz my jej jesteśmy przynależni.

Jako chłopiec spędziłem w naszej posiadłości zaledwie parę lat. Ciotka Dafne zabrała mnie do siebie, gdy miałem cztery lata; mając dziesięć, byłem już w Sparcie, wychowywany na żołnierza. Nigdy tak naprawdę nie poznawszy mego ojca, nie znałem też jego braci i krewnych. Poznawałem ich dopiero teraz, głównie na skutek tego, żeśmy byli u nich z Lwem po uszy zadłużeni.

Ty też gospodarowałeś, Jazonie. Nikt, kto nie uprawiał roli, nie zna pojęcia ubóstwa. Kiedy wojujesz, to przynajmniej raz na jakiś czas przez jedną noc masz w garści swój żołd, zanim go bezpowrotnie przepuścisz. Rolnikowi nawet to nie jest dane. Nim jeszcze posiał ziarno, już zmuszony jest zastawić spodziewane zbiory, toteż nawet jeśli żniwa przyniosą mu obfity plon i sprzeda na targu pierwsze figi i gruszki, to nie zdąży przywitać się z zapłatą, bo wyrwą mu ją z rąk pospołu urzędowy rachmistrz, poborca podatkowy i własna jego kochana rodzinka. Mówienie o tym, że ktoś jest posiadaczem gospodarstwa, jest nawet nie śmiesznym, lecz zgoła okrutnym żartem. Gospodarstwo dźwiga się na własnych plecach, tak samo jak topór czy żelazną kotwicę.

Żołnierzowi wydaje się, że wie, co to strach. Niech powie to rolnikowi. W przeddzień bitwy odkorkowywałem butelczynę i przesyphiałem noc kamiennym snem, podczas gdy teraz, jako właściciel ziemski, wierciłem się tylko na swej pryczy jak bezsenny Cerber. A do tego rolnik budzi się rano zawsze z tą samą zalęknioną myślą: jakież to nowe nieszczęście spadło nocą na jego dziedzinę? Bo dopiero jako gospodarz dowiedziałem się na przykład, na ile najrozmaitszych chorób mogą zapaść owce i na ile sposobów może się zepsuć woda w źródle.

W gospodarstwie zawsze coś jest uszkodzone. Zabierasz się do napraw o świcie, a kończysz dopiero o północy. Nawet Troja nie musiała odpierać aż tylu szturmów co ty. Tu zaatakuję grzyb, tam pleśń, ówdzie upał, który zwarzy twoją uprawę, gdzie indziej mączniak, jeszcze gdzie indziej próchnica; przychodzi ci walczyć z grzybicą, porażeniem, zimnicą, kolką i psią zarazą. Wrogiem twoim jest wszystko, co się czołga, byczy lub chrzęści. W czasach żołnierskiej tułaczki wystarczyło zatłuc takiego czy innego dokuczliwego owada i miało się spokój; teraz draństwo to prześladowało mnie nawet w snach. Termyty i korniki, szerszenie i osy, turkucie podjadki, roztocze, mszyce, wołki zbożowe, mole, robacznicę, plujki,

ryjkowce i wszelkie inne robactwo. Bogu tylko wiadomo, ile świństwa może wysysać siły i krew z żywizny, jako to rozmaite pasożytnicze robale, pijawki czy tasiemce; i w ile tyłków musi rolnik zagłębiać rękę aż po łokieć. Nawet na ziemi nie można polegać, bo nie ma zgoła dnia, żeby nie puściła kolejna grobla czy nie zapadł się kolejny rów odpływowy.

Wszystko, co musi zrobić rolnik, wymaga pieniędzy; tymczasem ich właśnie rolnik nigdy nie ma. Jedyne, czym stale płaci, to własny jego pot, której to waluty ma zasób niewyczerpany. Przekleństwa jego to deszcz – którego zawsze albo za dużo, albo za mało – i słońce, i wiatr, i ogień, i czas. Najemni robotnicy pracują tylko za wypłacaną do ręki dniówkę, a jeśli przyjdzie ci do głowy szalony pomysł, żeby zainwestować w jednego czy dwóch niewolników, to kupujesz sobie tylko związane z nimi bezustanne kłopoty. Po kostki umazani w owczym łajnie, mój brat i ja zadawaliśmy sobie wciąż to samo bezsłowne pytanie: jak nasz staruszek dawał sobie z tym wszystkim radę? Jakim cudem udawało mu się w pojedynkę wyciskać jakikolwiek zysk z tego nieurodzajnego piachu, skoro my, uwięzieni w podwójnym jarzmie, ponosimy klęskę za klęską?

Jakby tego wszystkiego jeszcze było nie dość,

rolnik już po czterdziestce staje się starcem. Jeśli udaje mu się potem jakoś przetrwać od wiosny do wiosny, to tylko dzięki wsparciu jednego jedyne go sojusznika: psa. Niestrudzony i niezawodnie wierny, ów główny pomocnik gospodarza (przy czym wszystkie jego pozostałe psy to z reguły bezużyteczna banda zmyślnych obiboków) już z pierwszym pianiem koguta melduje się u jego nogi, po czym nie odstępuje od niego jak dzień długi, zawsze gotów spełnić każdy rozkaz, zawsze wesół i zadowolony ze swej płacy, za którą starcza mu głos jego pana, a po wykonaniu zadania – parę klepnięć i poczochnie łba. Oto, czym jest pies: władcą wszelkiego gospodarskiego stworzenia, nocnym stróżem i przedmurzem zagrody, bez którego rolnik nie zdołałby przeżyć.

Wieś to istny raj dla dziecka, dla którego każde zajęcie jest uciechą, a każde stworzenie – towarzyszem zabawy. Także i dla niewiasty gospodarstwo jest najnaturalniejszym z jej żywiołów. Eunikę wręcz się nim rozkoszowała w odróżnieniu od Teonoi, małżonki Lwa, która była zatwardziałą mieszczką; wieś ją nudziła. Za to jej dzieci wprost rozkwitały, co skądinąd moją towarzyszkę życia przyprawiało o szczególnego rodzaju przygnębienie, znane tylko bezdziejnym niewiastom. Jeśli chcę, żeby Eunikę ze mną została, to

trzeba mi będzie wkrótce pojąć ją za żonę; jej odporność na niedole bezdomności już się wyczerpała.

Jesienią nadeszła wiadomość od Euryptolemosa. Powstaje flota, która umożliwi podbój Sycylii; jej dowództwo obejmie Alkibiades. Obaj z bratem mogliśmy się zgłosić do służby. Za samo zamustrowanie przysługiwać nam będzie równowartość trzymiesięcznego żołdu, a przez cały okres służby dostawalibyśmy podwójną oficerską gażę.

Eunikę wyszła z pokoju, kiedy zaczęliśmy z Lwem rozważać tę propozycję.

Niedługo potem przybył Alkibiades, aby się zaprezentować całemu naszemu rodowi. Udał się konno do Wietrznego Wzgórza, pokrytej dachówką starożytnej siedziby mego dziada. Zebrało się tam ponad trzydziestu członków naszej rodziny – głównie jej stare podpory, ale i młodej krwi także nie zabrakło. Po uroczystej wieczerzy Alkibiades wygłosił mowę.

Potrzebował pieniędzy na flotę. Nie starczała mu *eisphora*, czyli podatek wojenny, którym i tak wszyscy byli już obciążeni; prosił o dodatkowe, dobrowolne wsparcie tego dzieła. W szczególności szukał prywatnych darczyńców; ludzi, którzy sfinansowaliby budowę okrętów z własnych zasobów lub w ramach jakiegoś syndykatu. Chciał, żeby je budowali od stępki

aż po szczyty masztów, ponosząc cały koszt konstrukcji i wyposażenia, a następnie gotowe przekazywali flocie, dodając jeszcze do tego gotówkę w sumie wystarczającej na utrzymanie przez rok oficerów i załogi; wszystko to na rzecz wielkiej inwazji na Sycylię.

Trzeba tu zwrócić uwagę na pewną szczególną cechę politycznego stylu Alkibiadesa. Ta zuchwała akcja była jego czysto osobistym pomysłem, nie sprawował bowiem wówczas żadnego urzędu. Wprawdzie czterokrotnie wybierano go do kolegium strategów, lecz tamtego wieczoru za jego propozycją ani nie stało państwo, ani nie składał jej w jakimkolwiek oficjalnym charakterze; zjawiając się przed nami, kładł na szali wyłącznie własny autorytet.

Przypomnijmy sobie także, jak w ogóle zrodziła się idea tego sycylijskiego przedsięwzięcia. Otóż, jak wiadomo, tak się złożyło, że w owym czasie Ateny związane były traktatem obronnym z Egestą; przedstawiciele tego miasta niedawno zwrócili się do naszego zgromadzenia z prośbą o pomoc w sporze z sąsiadami, Selinuntami, którzy, wsparci ostatnio przez potężne Syrakuzy, zamknęli Egestę w oblężeniu. Alkibiades i podobni mu zwolennicy wojny postanowili skorzystać z tego pretekstu; w mgnieniu

oka obywatele Aten zatwierdzili niezbędne po temu posunięcia. Przyznano fundusze na zorganizowanie wyprawy wojennej, a jej dowództwo zlecono trzem strategom: Alkibiadesowi, Nikiaszowi i Lamachosowi. Jednakowoż przeciwnicy tego pomysłu, wśród których był zresztą i sam Nikiasz, w rezultacie zakulisowych intryg doprowadzili do zablokowania przyznanych już środków, licząc na to, że uda im się położyć kres całemu temu przedsięwzięciu, zanim się jeszcze zaczęło.

Dlatego właśnie Alkibiades zwrócił się bezpośrednio do obywateli, wybierając zamożne jednostki, wielkie rody i pozarządowe stowarzyszenia polityczne. Zanim tamtego wieczoru stanął przed nami, miał już za sobą co najmniej sześćdziesiąt podobnych spotkań, a w ciągu następnych czterech dni zamierzał odbyć jeszcze cztery. Łącznie, jak oceniano, upatrzył sobie ponad dwieście rodzin i stowarzyszeń; apelowanie do nich zajęło mu większą część jesieni i zimy. Ludzie żartowali sobie, że uczestnictwo w tych wszystkich wieczorno-nocnych zgromadzeniach przynajmniej trzymało go z dala od domów rozpusty.

Sama sprawa była jednakowoż jak najbardziej poważna, toteż Alkibiades zabrał się do niej z wielkim zaangażowaniem. Jeszcze przed naszym wieczornym

zgromadzeniem zadbał o to, żeby ze wszystkimi głowami naszego rodu porozmawiać na osobności, w ich posiadłościach lub w mieście, gdziekolwiek jego rozmówcy czuli się wystarczająco swobodnie, by zaniechać formalnego tonu i dyskutować z nim w odosobnieniu; chciał ich w ten sposób z sobą oswoić. Już wcześniej każdy z potencjalnych darczyńców otrzymał pisemny projekt całego przedsięwzięcia, Alkibiades zaś osobiście wręczał mu teraz jego rozszerzoną i uaktualnioną wersję, rozdając owe prospekty podczas samego zgromadzenia także i pozostałym jego uczestnikom. Warto tu przytoczyć wielce wymowny fakt, że dwaj moi stryjowie, których majątki zbyt były szczupłe, aby się mogli pokusić o sfinansowanie tak kosztownego przedsięwzięcia jak budowa okrętu, dostali broszurę traktującą nie o flocie, lecz o potrzebach konnicy, którą zadowoliłoby o wiele skromniejsze wsparcie. Pamiętam, jak zdumiony był, by nie powiedzieć oburzony, mój dziad, kiedy uświadomił sobie, że Alkibiades wywiedział się o najskrzętniej skrywanych rodowych zasobach. Ileż musiał w takim razie wiedzieć o ateńskich *eupatrydach*, których rodziny przez wieki zgromadziły prawdziwie wielkie pieniądze?

Tamten wieczór był mroźny, lecz pogodny. Na

południowym tarasie domu mego dziadka rozstawiono kosze z żarzącym się węglem drzewnym, sam zaś taras z trzech stron otoczono wełnianymi kotarami; ta, która pozostała otwarta, wychodziła na Dekeleję. Alkibiades przybył wcześniej w towarzystwie dwóch swych kompanów, Menesteusza i Pytiadesa, oraz okrętowego architekta Arystofona, który miał objaśniać wszelkie techniczne kwestie. Nie uszło niczyjej uwagi, że obu towarzyszy Alkibiadesa flota odznaczyła za męstwo – Menesteusza jako kapitana okrętu pod Mantineją, Pytiadesa zaś jako dowódcę eskadry pod wyspą Kos – a także i to, że obaj ci mężowie byli już w dojrzałym wieku i skłaniali się raczej ku oligarchii, co miało niejako zrównoważyć młodość ich przywódcy i fakt, iż był on orędownikiem klas niższych. Po zakończonym posiłku, kiedy odśpiewano hymn i uprzątnięto ze stołów, Alkibiades pozdrowił swych gospodarzy i podziękował im za uczestnictwo w wieczerzy oraz za okazaną mu gościnność.

– Przejdźmy teraz do naszej sprawy i, wzorem Spartan, rozważmy ją spokojnie i zbytnio się nie rozgadując. Jak wiecie, szanowni zebrani, choć wybrany zostałem do kolegium strategów i mianowany jednym z dowódców floty inwazyjnej, stoję tu przed wami wyłącznie jako obywatel naszego miasta,

zwracając się do was jedynie we własnym imieniu. Może mi to ktoś mieć za złe, zarzucając mi pychę lub arogancję. Wszelako to właśnie powiedzieliby nasi wrogowie, Spartanie, którzy jeśli działają, to tylko wedle ustalonej procedury i przyjętego porządku. Dzięki tej właśnie różnicy nasz ustrój przewyższa spartański i jej właśnie jest skutkiem to, że nigdy nie dowiedli oni i nigdy nie dowiodą wyższości swojego. Nasze bowiem prawa pozwalają każdemu obywatelowi przedstawić swą sprawę innemu lub jakiejś grupie innych obywateli, by rozumną argumentacją i perswazją przekonać do owej sprawy większość społeczności. Oto demokracja w najdoskonalszym jej kształcie: nie w formie demagogicznych oracji na użytek tłumów, lecz jako racjonalny i wyważony apel do rozumu i przezorności, głoszony z myślą o powszechnej korzyści. Świadom jestem, szacowni słuchacze, że część z was sceptycznie ocenia pewne aspekty mojego postępowania i bynajmniej nie darzy mej osoby najwyższą estymą. Pozwólcie mi przede wszystkim do tego właśnie się odnieść, z nadzieją przekonania was, iż w zaistniałych okolicznościach te moje cechy, które mogą budzić wasze zastrzeżenia i wątpliwości, okażą się z punktu widzenia pożytku poszczególnych obywateli i miasta jako całości nie

wadami, lecz zaletami. Niektórzy mają mi za złe moją ambicję, której zresztą bynajmniej nie taję; może się ona wydawać rażąco wybujała i budzić obawę przed jej konsekwencjami. Innych z kolei oburzyły niektóre moje prywatne zachowania. Otóż niech mi wolno będzie powiedzieć, że i ja sam się na nie oburzam! To jednakowoż nic więcej niż tylko grzechy młodości i nadmiar duchowej energii. Kiedy kupuje ktoś źrebca, by go wychować na wyścigowego rumaka, to nie szuka takiego, którego cechuje łagodność, lecz wybiera tego, w którym płonie wewnętrzny ogień. Jemu potrzeba konia, który będzie się ścigał, a już rzeczą trenerów będzie go ułożyć. Takiej właśnie postawy spodziewam się po was, przedstawiciele znamienitego rodu. Nie popuszczajcie mi wodzy. Nałóżcie mi uprząż waszej powściągliwości. Da to w rezultacie tę niezbędną równowagę, dzięki której buduje się najlepsze zaprzęgi i zwycięża w największych gonitwach. Zaczynam przeszedł Alkibiades do sedna sprawy.

– Sycylijczycy stanowią znaczną potęgę. Wiele mają ziemi płodniejszej od całego Peloponezu, a uprawną powierzchnią przewyższającą wszystkie greckie zasoby. Rośnie na tej wyspie jęczmień i pszenica, i żyto, i owies. Bogata jest w oliwki i wszelkiego rodzaju owoce. Ma dostatek wody, drewna

i koni; ten, kto ją posiada, nie musi już zabiegać o jakiegokolwiek dostawy zboża znad Morza Czarnego. Obfituje też Sycylia w minerały: złoto i srebro, żelazo, miedź i cynę. Jej pięćdziesiąt miast dorównuje naturalnymi zasobami i bogactwem miastom greckim. Co bardziej jeszcze kuszące, stanowi ona przedproże Italii. Nie chcę szczegółowo wyliczać bogactw tej wyspy, która słabo jest jeszcze zagospodarowana, tym bardziej że nie widzę, by ktoś z was chciał się ze mną na ten temat spierać. Tym lepiej.

Co stwierdziwszy, uznał, że może przejść do następnego aspektu sprawy.

– Trzeba mi teraz odpowiedzieć na wasze milczące, lecz oczywiste pytanie: jaki ja osobiście mam w tym interes? Otóż wszyscy dochowaliście się synów, a niektórzy z nich doczekali się już własnych. Każdy kolejny spadkobierca rozdrabnia wasze majątki, jako że ulegają one coraz to nowym podziałom. Nadejdzie czas, gdy stanie przed wszystkimi pytanie: co jeszcze zostało dla następców? Gdzie wykroić należną im część? Stanowicie, przyjaciele, przepołowioną niejako wewnątrz klasę, na pół będąc ziemskimi posiadaczami, na pół zaś wojownikami. Pozwólcie, że zadam wam pewne pytanie. Co łatwiej uczynić: od podstaw zbudować ziemską posiadłość z ziemi i

kamienia czy też zawładnąć taką, która już tworzy jednolitą całość – nawodnioną, z oczyszczonymi z głazów, przeoranymi i obsianymi polami, z ogrodzonymi pastwiskami, a może nawet i z wieśniakami, którzy znają tę ziemię i wiedzą, jak ją uprawiać. A kiedy podbijemy Sycylię, czyi to synowie będą mieli pierwszeństwo w rozdziale najlepszych jej dóbr? Komuż one przypadną, jeśli nie tym, co łożyli na broń, dzięki której zostały zdobyte? Wszelako wiem, co sobie teraz myślicie: wojna to nie jest błahe przedsięwzięcie, Alkibiadesie. Pociąga za sobą niezliczone cierpienia i ofiary, a jej wynikiem równie dobrze może być podbój, jak i klęska. Rysuje się zarazem w waszych umysłach następująca wątpliwość: skoro Sycylia jest silna, to nie można się spodziewać, że jej pięćdziesiąt miast nie stawi nam oporu i po prostu się podda. Otóż odpowiem na to, że szkoda, iż nie ma tych miast więcej, gdyż im większa mnogość, tym więcej waśni i podziałów, i tym słabszy opór. Trzeba nam o owych miastach myśleć jako o odosobnionych wyspach, takimi bowiem w samej rzeczy są. Każde chce się trzymać osobno i myśleć tylko o sobie; każde zazdrosne jest o wszystkie inne. Zdobędziemy je jedno po drugim takim samym sposobem, jakim podbiliśmy wyspy naszego

imperium: sprzymierzając się z najsilniejszymi przeciwko najslabszym i pokonując najpierw główne siły, by potem uporać się z pojedynczymi punktami oporu. A przy tym jednemu lub dwu zostawimy niepodległość, dając wszystkim dowód, że nikt nie był zmuszany do zawarcia z nami sojuszu.

Z kolei przeszedł Alkibiades do kwestii, która była mu najdroższa: do floty.

– Wielu spośród was dowodziło niegdyś okrętami. Wicie, czym jest morska potęga. Budzi w was wątpliwości ogrom przestrzeni, na jakiej musiałaby się odbywać operacja takich rozmiarów i w tak znacznym oddaleniu od przyjaznych portów i baz zaopatrzeniowych.

Odpowiem wam na to, przyjaciele, że gdyby nawet flota była nam zupełnie niepotrzebna, to i tak, pod jakimkolwiek pretekstem, powinienem jej zlecić tę misję. Już wam wyjaśniam dlaczego. Kiedy się chce połączyć tak wielką zdobycz jak Sycylia, nie wystarczy sama brutalna siła. Trzeba do tego dyplomacji i śmiałości, a ponad wszystko niezbędna jest nagła i imponująca manifestacja własnej, niezwyciężalnej potęgi. A pod tym względem nic nie może się równać flocie. Bo posłuchajcie. Wojsko lądowe, choćby nie wiadomo jak liczne, zawsze sprawia na widzu

wrażenie czegoś łajzowatego i rozlazłego. Kiedy się to wojsko zbiera na polu przyszej bitwy, to jego mnogość częstokroć skrywają przed oczyma obserwatorów a to łany zbóż, a to znów fałdy terenu czy zgoła góry. Tysiąc żołnierzy piechoty niewiele więcej zajmuje miejsca niż ta posiadłość, na której się zebraliśmy. Nawet ponadpięćdziesiąt tysięcy armia często karłowacieje w obliczu rozległego krajobrazu albo kryje się przed wzrokiem patrzącego w tumanie przez siebie samą wzbitego kurzu; tak więc pomimo swej liczebności nie wywiera wrażenia imponującej potęgi. Za to flota!...

Oblicze Alkibiadesa zajaśniało zachwytem.

– Kiedy się ją widzi w całej jej okazałości, nic nie zakłóca ani nie przesłania wspaniałości rozpiętych, błyszczących żagli i daleko poza burty wysuniętych rzędów wiosł. Armia, która gotuje się do bitwy, ciągle wygląda jak jakiś kłębiący się tłum; armada – jak narzędzie bożego gniewu. Nadto zaś przypomnijcie sobie: nieprzyjaciel nigdy nie ma okazji zobaczyć naszej floty w tej miniaturowej skali, do jakiej pomniejsza ją niezmierna przestrzeń oceanu. Pozwala się ona podziwiać jedynie w zamkniętym zaciszu portu, który od końca do końca wypełniają okręty wojenne i ich załogi, widokiem swym

wzbudzając w widzu zachwyt i podziw. A wspomnieć trzeba jeszcze jednym aspekcie owego spektaklu, jaki stanowi uformowana w bojowym szyku flota. Otóż nieodłączną cechą jej działania jest nagłość, z jaką się pojawia przed oczyma przykutego niejako do swej ziemi wroga. Widząc, jak w jednej chwili pojawia się jakby znikąd podąża ku niemu owa ruchoma masa, nieprzyjaciel równie jest przerażony co sam Priam, kiedy ujrzał lądujące na równinie pod Troją czarne okręty Achilleśa.

Wygłosiwszy ów niemal poetycki pean na cześć swej ukochanej floty, Alkibiades przystąpił do wyliczania jej bardziej konkretnych zalet.

– Flota sprowadza do minimum ryzyko i liczbę ofiar. Wykorzystując wrażenie, jakie robi na nieprzyjacielskich widzach manifestacja naszej potęgi, zastraszamy jedno miasto po drugim i wkładamy je po kolei do naszej myśliwskiej torby. Rhegium, Messana, Kamarina, Katana, Naksos i miasta na samej Sycylii – wszystkie one w przeszłości bywały już naszymi sojusznikami; jeśli odpowiednio się z nimi obejdziemy, to staną się nimi ponownie. Nasza ofensywa zaczyna się toczyć niejako własnym swym rozpędem, w oczach nieprzyjaciela stając się swoistym fatum. Widząc, że nie zdoła nas pokonać, z własnej woli staje on pod

naszym sztandarem. Tak, tak, powiecie na to, wszystko to na papierze wygląda bardzo pięknie, drogi Alkibiadesie, ale kto wcieli ten plan w czyn? Otóż odpowiadając na to pytanie, muszę odłożyć na bok delikatność i mówić bez żadnych ogródek. Są tacy, którzy zazdrośni są o mnie, w tym i o moją osobistą popularność. W zupełności to rozumiem, przyjaciele. Proszę was jednak teraz: przyjmijcie ode mnie w darze tę moją sławę, którą niniejszym oddaję do waszej dyspozycji, abyście ją wykorzystali dla własnego pożytku. Cokolwiek osiągam własnym wysiłkiem, powiększa nie tylko moją, ale i Aten chwałę. Przypomnijcie sobie, jak było w Olimpii: czołowi mężowie Sycylii obecni byli na stadionie, kiedy moje konie zdobyły potrójny wawrzyn. Wzniesli następnie namiot na moją cześć i tłoczyli się koło mnie, zabiegając o moją przyjaźń. Czyż nie okazały przychylności mnie i moim współwodzom, gdy – mając za plecami naszą potężną armadę – przemówimy do nich tak samo, jak ja dzisiaj do was przemawiam: nie grożąc im arogancko zaglądać ich domów i uczynieniem z ich rodzin naszych niewolników, lecz zachęcając do sojuszu z nami i prosząc, by się do nas przyłączyli? Jakkolwiek by się to wam zdało nieskromne, zapytam: któryż inny Ateńczyk zdolny

będzie zapewnić sobie taką przychyłność Sycylijczyków?

Po tym pytaniu uczyniwszy pauzę, rzekł następnie:

– Jeszcze tylko dwie kwestie i zakończę to wystąpienie. Najpierw zwrócę się do tych, którzy powołują się na to, że naród nasz cieszy się teraz pokojem, że zawarliśmy układ ze Spartanami i że taka sycyliska awantura, formalnie nie stanowiąc pogwałcenia tego traktatu, faktycznie z powrotem wtrąci nas w wojnę. Odpowiadam na to pytaniem: jakież to niby mamy pokój, skoro w rzeczywistości narody Grecji uczestniczą w tej chwili w większej liczbie zbrojnych konfliktów niż wtedy, gdy wojny jawnie były wypowiedane? Jakież to pokój, skoro trzecia część naszej młodzieży uczestniczy w tych nieformalnych wojnach w roli najemników? Że wojna rozgorzeje na nowo, to pewne. Nie pozostaje nam nic innego, niż tylko postanowić, kiedy to się stanie. W godzinie, która będzie odpowiadała nieprzyjacielowi, gdy wojska jego ponownie osiągną stan pełnej gotowości, czy też raczej z naszego wyboru, w chwili gdy to my bardziej będziemy mogli liczyć na zwycięstwo?

Ponownie na moment zawiesił głos, po czym kontynuował: – A teraz samo sedno sprawy.

Odpowiedziawszy jednym, przyjaciele, do pozostałych oponentów tego projektu mogę już tylko zaapelować o rozważenie bilansu ewentualnych strat i zysków, którego w żadnym razie lekceważyć nie wolno. Wam zaś, którzy patrzycie na tę sprawę oczyma mądrości, przedstawię jej głębsze aspekty. Zacznę od tego, że jesteśmy wielkim narodem. Lecz wielkość ma to do siebie, że zobowiązuje. Albo się jej dowodzi, albo się ją traci. Wszyscyście zobaczyli, co spowodowała ta wojna, toczona po kawałku i bez zapału, i co spowodował ten tak zwany pokój w duszach naszej młodzieży. Ci, którzy świeżo osiągnęli dojrzałość, marzą o czynie, podczas gdy ci, którzy już wojny doświadczyli, milczą i gorzknieją, żeby zaś nazywać rzeczy po imieniu – wpadają w objęcia zła. Otóż Sycylia jest lekarstwem na to schorzenie. To wezwanie do świetności, które i nas, i naszą młodzież wyrwie ze stanu ospałości i marazmu. Perykles popełnił błąd, sytuując nas w pozycji obronnej. To nie dla Aten. Nie w naszym stylu. Umieramy niejako na raty, przygnieceni jarzmem tego niegodnego pokoju; staczamy się ku upadkowi, i to nie z braku środków, lecz z niedostatku woli. Ateny są dziś jak miecz, który rdzewieje w pochwie. Nam, Ateńczykom, nie wolno tkwić w bezruchu. Bezczytność jest dla nas zgubna.

Za co najbardziej nienawidzę tego pokoju, to za spustoszenie, jakie poczynił w duszy naszego narodu. Wykończy nas ów pokój równie skutecznie, przyjaciele moi, jak przegrana wojna. Ateny to nie muł roboczy, a wspaniały wyścigowy rumak; trzeba go zaprzęgać nie do pług, lecz do rydwanu, i to do bojowego rydwanu.

Alkibiades po raz ostatni uczynił pauzę.

– I na zakończenie, szacowni słuchacze, słowo do tych, którzy mi nie ufają i lękają się mej ambicji. Kiedy ta flota przybędzie w wojennym szyku pod Syrakuzy, nie zobaczycie, abym unikał starcia z wrogiem. To taran mojego okrętu pierwszy zwróci się ku wrogowi i ja pierwszy go roztrzaskam. Być może zginę w tym boju i raz na zawsze się mnie pozbędziecie; nikogo już wtedy nie będzie drażniła moja duma. Lecz jedno wam powiem: flota pozostanie. Długo po tym, gdy już kości moje w proch się obrócą, będzie wam służyła. Będzie służyła Atenom. Będzie wasza i tam popłynie, dokąd jej popłynąć każecie. Rozważcie więc tę moją propozycję. Zastanówcie się nad nią. Niepowodzenie tego przedsięwzięcia podzielimy wszyscy, także ci, którzy pozostaną w bezpiecznym zaciszu swych domostw. Lecz chwała i honor przypadnie temu, którego imię znajdzie się na

czele listy darczyńców. Przyłączcie się do mnie, bracia i krajanie. Wyprawmy z naszych portów tę potężną armadę, aby na jej widok świat zamarł z podziwu".

15. GŁOS NIKIASZA

„Dyskusja, która rozgorzała w siedzibie mego dziadka po odjeździe Alkibiadesa, z pewnością równie była żywa i gorąca jak wszystkie inne, które nastąpiły i miały jeszcze nastąpić pomiędzy jego słuchaczami po przemówieniach tej samej treści.

Pomijając sam jego plan, z którym jedni się zgadzali, inni zaś nie, na wszystkich obecnych wielkie wrażenie zrobiła osobowość samego pomysłodawcy. Wielu spośród seniorów naszego rodu miało już okazję zetknięcia się z Alkibiadesem na forum zgromadzenia. Nigdy wszakże nie zdarzyła im się sposobność przyjrzenia mu się z bliska, z drugiej strony tego samego stołu, co pozwoliło im obserwować jego twarz, dostrzec bijącą z jego oczu inteligencję, docenić wyrazistość gestów oraz ton stanowczości, jaki dało się słyszeć w jego głosie. Wszystko to, owa osobowość właśnie, stanowiło o sile, z jaką oddziaływał na słuchaczy. Jego wiara w przedsięwzięcie, które proponował, była tak szczera, a projekt wyłożony został z takim przekonaniem, że nawet ci nie całkiem pewni jego sensowności, lub zgoła zdecydowanie mu przeciwni, zmuszeni byli przywołać na pomoc cały swój chłodny rozsądek, by oprzeć się emanującej z

tego młodzieńca sile perswazji. Nie bez wpływu na to była również jego uroda, którą nie tylko bez trudu podbił tych, co już wcześniej byli mu przychylni, ale i niejako rozbroił stanowczo przeciwnych sobie mężów, których jego charakter i prowadzenie się przejmowały zgrozą.

Nawet to, że Alkibiades sepleniał, okazało się dla niego korzystne. Fakt, że miał jakąś wadę, czynił go bardziej ludzkim; rysa na jego niemal boskiej fizycznej doskonałości sprawiała, iż każdy mógł go polubić mimo zastrzeżeń czy obaw. Ja wprawdzie przytoczyłem ci jego przemowę tak, jak gdyby była ona idealnie płynna i gładka, lecz w istocie zdarzały się w niej właściwe mu zacięcia, które jednakowoż przyjęte zostały jako swego rodzaju urokliwa słabostka i dodatkowo wzmocniły wrażenie, jakie wywarł na słuchaczach.

Miał bowiem Alkibiades taki zwyczaj, że gdy w którejś chwili zabrakło mu jakiegoś słowa lub sformułowania, przerywał wypowiedź, czasem nawet na parę chwil, i z przechyloną na bok głową przeszukiwał zasoby swej pamięci, dopóki w końcu nie podsunęła mu dokładnie tego, czego szukał. Czuło się w tym naturalność, szczerłość i brak jakiegokolwiek pretensjonalności; tym także zdobywał sobie sympatię

interlokutorów.

Co się tyczy członków mojej rodziny, to reakcje na jego wystąpienie były drastycznie przeciwstawne. Stryj Hajmon zdyskwalifikował nie tylko projekt wyprawy, twierdząc, że uchyłaby wymogom honoru, ale i jego autora, któremu odmówił prawa do zwania się prawdziwym patriotą.

– To zwyczajny uwodziciel pospółstwa, a cały ten pomysł z podbojem Sycylii to po prostu próba ubrania własnej zuchwałości i niepohamowanej ambicji w szaty sprawiedliwości, przy zachowaniu pozorów honoru, podczas gdy ów domniemany honor to w istocie *thrasytes* – sama tylko śmiałość.

Im dłużej dyskutowano, tym bardziej różnicowały się opinie. Dziad mój przysłuchiwał się wszystkiemu ze zmarszczonym czołem, sam jednak milczał. W końcu jego syn Ion, brat mego ojca, przymusił go do wyrażenia swego zdania, a wtedy także i on zdyskwalifikował Alkibiadesa, mówiąc krótko:

– Ma za długą tunikę.

Co młodsi z zebranych bardzo się obruszyli na to oświadczenie, a kuzyn Kallikles zadrwił:

– Już lepiej, żebyś dalej sobie drzemał, dziadku! Na co patriarcha naszego rodu odpowiedział tak:

– Pokolenia, które przestrzegały tradycji, ubiorem

świadczyły tym, że ich praojcowie uprawiali ziemię, przeto suknie musieli mieć krótkie, gdyż inaczej ich krańce nurzałyby się w kurzu i błocie. Aliści nowa generacja, wywodząc się z miasta, nic nie wie o rolnictwie i nosi się długo, co jest i nieskromne, i niestosowne. To, czego się obawiam, Kalliklesie, nic nie ma wspólnego z oliwnymi gajami i winnicami, lecz odnosi się do cnót, które pielęgnowali mężowie uprawiający rolę: skromności, cierpliwości i okazywania czci bogom, czyli tego, o czym Alkibiades niewiele wie, jeszcze mniej się tym przejmując. Jest on wytworem miasta i jako taki uosabia wszystkie jego grzechy: próżność, arogancję, niecierpliwość i bezbożną nieskromność.

Kallikles odparł mu zapalczywie:

– Przypomnę ci jeszcze inne wiejskie cnoty, starcze. Takie jak umysłowe ograniczenie, skąpstwo i samolubstwo. Toteż bardzo dobrze, że już się ich w mieście nie kultywuje, przedkładając ponad nie śmiałość, wyobraźnię, zdolność do tworzenia wizji i współżycia z innymi.

– Mąż, który związany jest z ziemią – stwierdził na to dziadek – to człowiek pokoju. Ten z miasta służy wojnie.

– Jakoś ta jego służba wcale nie uszczupliła twojej

kiesy, dziadku, co? Ani nikogo innego z tych, których tu widzę.

Na te słowa wybuchła powszechna wrzawa, którą nie bez trudu i nie od razu zdołała uśmierzyć dopiero interwencja stryja łona. Był on tym, który w najwyższym spośród wszystkich zgromadzonych stopniu odznaczał się ową szczególną mądrością, przez wiejski ludek zwaną »przyziemnym rozumem«, co z grubsza tłumaczy się na »zdrowy rozsądek człowieka w średnim wieku«. Zapytano go teraz, co on w takim razie sądzi o propozycji Alkibiadesa i o nim samym, jako o człowieku.

– Obawiam się go. Ale bardziej jeszcze obawiałbym się zlekceważenia jego osoby. Słuchając jego wystąpienia, z łatwością wyobrażałem go sobie, co zresztą on sam zasugerował, jak w jakimś podobnym do tego sycylijskim domu onieśmiela tamtejszych ziemian i nakłania ich do sojuszu. Sycylia jest, owszem, bogata, lecz mało jeszcze ucywilizowana. Tamtejsi wielmoże podobni są do tych, którzy żyli na naszej ziemi przed stu laty, i w samej rzeczy mogliby dać się zastraszyć nie tyle samą potęgą Aten, ile ich agresywnością i zuchwałym działaniem. Wszak takiej właśnie postawy – a nasz dzisiejszy gość bardziej niż ktokolwiek inny ją

reprezentuje – najbardziej się boją, zarazem odczuwając wobec niej podziw i zazdrość. Alkibiades uosabia Ateny, a przynajmniej ten ich aspekt, który rzeczywiście mógłby Sycylijczykami wstrząsnąć i skłonić ich do uległości. Przekonywająco zabrzmiało też przypomnienie nam przez kapitana Pytiadesa, że Syrakuzy – których zdobycie, to prawda, otwiera wrota do całej wyspy – mają demokratyczne korzenie. Nieraz widzieliśmy, jak tłum reaguje na wystąpienia owego młodego stratega; ta jego zdolność także mogłaby korzystnie wpłynąć na powodzenie inwazji. A jednak...

– Żadne tam »jednak« – przerwał z tą samą co przedtem młodzieńczą bezceremonialnością Kallikles, który następnie opowiedział nam o tym, jak ubiegłej zimy wypadło mu pracować dla Rady Floty. Do jego obowiązków należało między innymi układanie się z pośrednikami, reprezentującymi cudzoziemskich żeglarzy, którzy pochodzili z wysp, takich jak Samos, Chios czy Lesbos, a także z innych morskich państw, i służyli w ateńskiej flocie jako najemnicy.

– Miałem okazję ich poznać – stwierdził Kallikles.
– To nie jacyś piraci ani odurzone winem morskie włóczęgi, tylko ludzie, którzy dobrze znają swój fach, nadzwyczajnie kochają przygodę i usilnie starają się zasłużyć na awans we flocie. Dobrze wiedzą, ile są

warci i tanio swoich umiejętności nie sprzedają, jednakże to nie dla zarobku zgłaszają się właśnie do nas, a nie do innych, którzy równie dobrze by im płacili, lecz dla o wiele ważniejszej przyczyny. Przyczyną tą jest ich miłość do Aten. Przypatrzcie się im – ciągnął Kallikles – podczas którego bądź święta: defilują podczas parad i gęsto od nich w tanecznych kręgach i na ławkach chórów. Wolny od służby czas spędzają w Likejonie i w Leokorionie, na rynku i w Akademii oraz w gajach i w innych miejscach, w których gromadzą się filozofowie wraz ze swymi uczniami. Wszyscyście ich tam spotykali. Przysiadają w ostatnich rzędach i z zapalem chłoną słowa Protagorasa z Abdery, Hippiasza z Elis, Gorgiasza Leontyńczyka, Prodikosa z Kos oraz dziesiątków sofistów i retorów, którzy gdzie tylko mogą, tam sprzedają wytwory swych umysłów. Rzecz jasna tłoczą się też owi cudzoziemscy żeglarze wokół Sokratesa. Ponad wszystko jednak pociąga ich teatr. W dniach dramaturgicznych konkursów już rankiem setki ich zasiadają na dziedzińcu, chroniąc się w cieniu posągów wielkich wodzów. Całymi gromadami przybywają wraz ze swymi ukochanymi z platanowego lasku nad Amazonionem, niosąc z sobą koszyki z wiktuałami, by usadowiwszy się na swych wioślarskich poduszkach,

oglądać przedstawienia pod przykryciem wełnianych żeglarskich koców. Spotykałem ich również w gimnazjonach, tych, które akceptują cudzoziemców. Wyobraźcie sobie, że żydowscy entuzjaści ćwiczeń potrafili znosić tortury, jakich przysparza używanie tak zwanych »grzybków«, czyli miedzianych klamerek służących do spinania naciągniętej na żołądź skóry obrzezanego członka, aby będąc nagimi, wyglądać na Greków. Na Ateńczyków. Oto jak bardzo zakochani są w naszym narodzie. Pozwólcie im tylko wpisać się na listę obywateli, a kolejka do niej trzykrotnie się owinie wokół agory. Za każdym znalezieniem się w cudzoziemskim porcie co najmniej dwadzieścia razy dziennie nagabywany byłem przez pierwszorzędnych żeglarzy, którzy upraszali mnie, żebym im pomógł znaleźć miejsce na naszym okręcie. Wielu z nich gotowych było służyć za darmo, byle pod greckim dowództwem, żeby pogłębić znajomość rzemiosła i zyskać szanse na awans.

Powstrzymawszy się od dalszych dygresji, Kallikles powrócił do istoty swego dyskursu:

– Tacy właśnie cudzoziemcy, jestem tego pewny, masowo by się zgłosili do służby pod komendą takiego wodza jak Alkibiades. Im lepszym kto jest i ambitniejszym żeglarzem, tym goręcej będzie pragnął

z nim pływać, ponieważ nie tylko wierzy, że pod jego dowództwem flota okaże się zwycięska, ale i jest do niego podobny z charakteru. W swoich marzeniach chciałby się stać taki jak on. Alkibiades zaś jest tego świadom i wie, jak to wykorzystać. Trzeba bowiem pamiętać, że wszyscy ci żeglarze wzajemnie się znają. Bywają w tych samych spelunkach i w tych samych burdelach. Znają każdego oficera w każdej flocie i o każdym wiedzą, których spośród ich kamratów ma pod swoją komendą. Bynajmniej nie stoję w obronie Alkibiadesa, twierdząc jedynie, że szansa pływania pod jego dowództwem ściągnie do jego armady żeglarską elitę z całego świata. Sami oceńcie wrażenie, jakie by to wywarło nie tylko na Sycylińczykach, ale i na naszych peloponeskich nieprzyjaciółach.

Jakkolwiek się spierano o Alkibiadesa i jego projekt, to już tej samej zimy wielu bogatych obywateli zamówiło nowe okręty. Tyle że, jak to ludzie, z nadejściem wiosny zaczęli wynajdywać najróżniejsze powody, żeby się jeszcze wstrzymać z ich budową. Alkibiades jednakowoż i grupa jego najgorętszych zwolenników swoich zamówień nie odwoływali. Euryptolemos i Trazybulos sfinansowali »Atlantę« i »Afrodyzję«; pozostali – »Czujnego«, »Przeciwwagę« i »Groźnego«. Sam Alkibiades, już cztery

opłaciwszy, polecił budować jeszcze dwa następne okręty – »Antiopeę« oraz »Olimpię«. Czy stać go było na taką hojność? Być może nie, jednakże swoim gestem ten osiągnął skutek, że poszli za jego przykładem inni. Widok kadłubów rosnących na drewnianych pochylniach Munchii i Telegonei przy nie milkącym od rana do wieczora akompaniamencie uderzeń ciesielskich toporów i dłut, spod których wychodziły żebra i belki nowych okrętów, zapach smoły i pakuł, którymi uszczelniano gniazda czopów, tłum *technitai* i *architectones*, stolarzy oraz stoczniowych majstrów zatrudnionych przy budowach – wszystko to razem emanowało jakąś niemal magnetyczną siłą przyciągania. Po niedługim czasie nowo powstające kadłuby zajmowały jeden przy drugim już całe osiem stadionów brzegu w Kantarosie i dwakroć tyle wzdłuż Suniońskiej Drogi, a przecież to samo działo się w Macedonii i w Chersonesie; równoległe do owych stocznii mnożyły się na brzegach stolarnie i sklepiki z okrętowym wyposażeniem, baraki, w których szyto żagle, odlewnie, kowalskie i płatnerskie kuźnie, skręcalnie lin oraz kantory dostarczycieli masztów, rej i bomów. Nad uliczkami zwieszały się kolorowe flagi i bandery, pod którymi dzień i noc przetaczały się ciężkie lory wyładowane

pniami drzew, mających się przeobrazić w okręty.

Ateny opanowała gorączka; rozmawiano tylko o Sycylii. Na targowiskach ludzie wyrwali sobie z rąk produkowane setkami gliniane makiety wyspy; kreślono na ziemi patykami jej kontury, a u balwierza lub rymarza godzinami opowiadano sobie o jej wspaniałościach. Można było wręcz odnieść wrażenie, że inwazja stała się już faktem i trzeba tylko jeszcze dokonać podziału łupów.

Pewnego upalnego przedpołudnia, gdy Pnyks, pomimo palącego słońca, do ostatniego miejsca wypełniony był przez widzów, przed zgromadzeniem wystąpił Nikiasz, skądinąd arystokrata.

– Widzę, Ateńczycy, że już w sercach swoich jesteście zdecydowani na to przedsięwzięcie. Wychodząc dziś z domu na to zgromadzenie, za nic nie mogłem znaleźć mojego ordynansa; wypatrzone go wreszcie w stajni, gdzie w ekstatycznym uniesieniu rozprawiał o Sycylii. Bo o czym by innym? Taką już macie naturę, obywatele Aten, że zaledwie coś się wam zamarzy, już uważacie to za swoje, a gdy raz coś sobie postanowicie, to niech tylko ktoś spróbuje się temu sprzeciwić, a rzucicie się na niego z tak wściekłym krzykiem, jakby chciał was swymi słowami ograbić z waszej własności, zamiast dla własnego

dobra wysłuchać jego opinii co do owej zdobyczy, która nigdy nie będzie waszą, i odstąpić od zamiaru, który grozi wam ruiną. Na honorowym miejscu, w pierwszym rzędzie, siedzi tu oto w gronie swych kompanów mąż, którego osobista ambicja stała się zarzewiem szaleństwa płonącego w waszych sercach. Ten pyszny hodowca koni, a zarazem gwałciciel norm publicznej obyczajności, uśmiecha się, gdyż świetnie wie, że z ust moich płynie prawda. Bardzo to miły uśmiech, przyjaciele, ja go jednakowoż nienawidzę. Jeśli zdarzy się wam znaleźć w bliskości kamratów tego hulaki i uwodziciela, nie dajcie się tym zawadiakom zastraszyć ani nie poczujcie się zawstydzeni, gdy nazwą was tchórzami z tej przyczyny, że odmówiliście podpisania się pod jego projektem. Tak, przyjaciele, słuch was nie myli: przybocznicy tego człowieka właśnie zaczęli mnie wzgardliwie zakrzykiwać. Niech sobie krzyczą. Lecz nawet jeśli te gorące głowy nie zechcą poważnie zastanowić się nad tym, co powiem, to upraszam, abyście wy, starsi i godniejsi od nich, wysłuchali mnie z najwyższą uwagą.

Co powiedziawszy, Nikiasz odwrócił spojrzenie od Alkibiadesa, omiatając nim ostatnie rzędy.

– Widzę w zacienionym zakątku, który tak sobie tu

upodobał, filozofa Sokratesa. Jest on jedynym mężem, którego radom nasz młody bohater daje posłuchanie. Wszyscy wiemy, mistrzu, jakie zajmujesz w tej sprawie stanowisko. Wyraziłeś je, sprzeciwiając się tej sycylijskiej awanturze jako niesprawiedliwej i niesłusznej, albowiem byłoby to wytoczenie wojny ludowi, który najmniejszego nie ma zamiaru wytoczyć jej nam. Jeśli nieprawdę rzekłem, mój przyjacielu, to zaprzecz. Twój sławny *daimon*, ów wewnętrzny głos ostrzegający cię przed zgubą lub szaleństwem, przestrzegł cię też i przed tą wyprawą, nieprawdaż? A jednak nikogo nie widzę, kto by którego z nas, siwobrodych starców, posłuchał.

Potoczywszy wzrokiem po zebranych, ponownie zwrócił się do całego zgromadzenia:

– Powólcie mi zatem przemówić, obywatele Aten, nie przeciwko temu przedsięwzięciu, skoro widzę, że podjęliście już postanowienie i nic was z obranej drogi nie odwiedzie, lecz po to, by przedstawić wam pod rozwagę kilka zagadnień, które wyrosły, że tak górnolotnie powiem, z gleby mojego doświadczenia i których nie wolno nam pominąć, jeśli nie chcemy stać się ofiarami naszej śmiałości.

Następnie wyliczył Nikiasz zagrożenia, jakie stworzy wysłanie floty na tak dalekie i nader zdradliwe

wody, zwłaszcza w kwestii zaopatrzenia i uzupełniania zapasów, jako że gdy przyjdzie zima, to nawet szybki statek na pokonanie tej drogi będzie potrzebował aż czterech miesięcy. Podczas wszystkich poprzednich kampanii morskich nasza flota miała pod tym względem zabezpieczenie w postaci sojuszniczych portów, stanowiących jej wysunięte bazy, a także przyjaznych krajów, które zapewniały wszystko, co było jej potrzebne. W wypadku Sycylii będzie inaczej. Znalazłszy się na krańcu ziemi, na nic nie będziemy mogli liczyć oprócz tego tylko, co z sobą zabraliśmy.

Nikiasz zwrócił również uwagę na fakt, że angażując się w wojnę przeciwko nowemu wrogowi, zaniedbamy tego, który czai się u naszego progu, a mianowicie Spartan i ich sojuszników, którzy raz już omal nas nie pokonali, i choć teraz związani są traktatem pokojowym, to widząc, iż przerwaliśmy nasze siły na front zachodni, z nowym zapalem wznowią swe ataki; gdyby się zaś zdarzyło, że sycylijska wyprawa nie przyniosłaby nam powodzenia, to skrzykną kolejnych, tak samo ośmielonych naszymi kłopotami sprzymierzeńców, i podwoiwszy wojenny wysiłek, pokonają nas.

Mówił z kolei o cudzoziemskich kupcach, robotnikach portowych i stocznioowych oraz

żeglarzach, od których zależy zarówno dobre funkcjonowanie portów i stoczni, jak i sprawność samych okrętów; tymczasem spora część wioślarskich ław zajęta jest przez obcych najemników. Jakież możemy mieć zaufanie do ludzi, w których żyłach nie nasza płynie krew, bez nich wszelako w żadnym razie nie mogąc liczyć na zwycięstwo? Czy dopuściwszy do takiej sytuacji, nie postawiliśmy się w tym samym niebezpiecznym położeniu, w jakim znaleźli się Spartanie, zmuszeni walczyć z jednym okiem zwróconym ku wrogowi, a drugim baczenie śledząc poczynania własnych niewolników? Na wojnie nawet na swoich rodakach nie zawsze można w pełni polegać, a cóż dopiero na żołnierzu, który służy wyłącznie dla zarobku.

– Idąc dziś tutaj – kontynuował Nikiasz – miałem liczne place budowy, na których rosną nowe domy, warsztaty i sklepy. To dobrze. Lecz nie zapominajcie, Ateńczycy, że powstają one w miejscu takich samych budynków, które podczas plagi zostały spalone przez samych ich właścicieli. Pozostają jeszcze chyba w waszej pamięci tamte godziny, gdy los nasz wisiał na włosku, a nic z tego, cośmy posiadali – ani bogactwo, ani siła, ani wiara w bogów – w żadnej mierze nie mogło nam pomóc w odparciu wroga, którego nasłały

na nas niebiosa same. Pokój, który wynegocjowałem, przyniósł nam błogosławione skutki. Mogliśmy na nowo otworzyć bramy naszego miasta, wrócić do naszych posiadłości, naprawić szkody i znowu posiać ziarno na naszych ziemiach. Rodzą się nam dzieci, które już nie muszą wdychać dymu wzniesionych przez wroga pożarów ani patrzeć, jak nocami ciała ich matek oddalają się na furgonach śmierci. Wydostaliście się ze wzburzonej morskiej otchłani na brzeg spokojnej zatoki, rodacy moi. Cóż jednak okazało się pierwszą waszą myślą? Zaledwie kości waszych ojców na wieki spoczęły w grobach, już obmyślacie plan, w wyniku którego także i wasze zostaną obok nich złożone. Czyżby nie zadowalało was spokojne życie? Czyżbym to tylko ja, skutkiem swego podeszłego wieku, umiał się o zmierzchu dnia cieszyć ciepłem i blaskiem kominka, czerpiąc radość z widoku mych wnuków bawiących się na dziedzińcu? Czyżby w waszej już nie leżało to naturze? Nic bowiem nie zdaje się bardziej wam nieznośnym niż pokój. Każda chwila odetchnienia jest dla was czasem zmarnowanym, jako że nie przynosi wam żadnej nowej zdobyczy. Rolnik wie, że każde pole musi przez czas jakiś leżeć odłogiem i że owoce dojrzewają tylko o właściwej sobie porze roku. Was jednakowoż nudzi świat, na

którym rządzi zachwycające prawa natury. Wy zamieszkujecie inną rzeczywistość, a mianowicie fikcyjną krainę, którą zwiecie przyszłością. Śnicie o tym, co będzie, gardząc tym, co jest. Widzicie samych siebie nie takimi, jacy jesteście, lecz takimi, jacy moglibyście się stać, przeto puszczacie się w daleką drogę poprzez oceany, ku brzegom, do których możecie nigdy nie dotrzeć. Za nic macie wszystko, co dziś posiadacie, to jedynie ceniąc, co zdobędziecie jutro. A gdy tylko posiadziecie owe skarby, zaraz je porzucacie, by pogonić za jeszcze nowszymi. Nie dziwi mnie więc wcale, że cieszy się waszym szacunkiem ten tu obecny, wslawiony triumfami w wyścigach rydwanów młodzieniec, albowiem jeszcze dalej wybiega on poza posiadane przez siebie środki niż wy sami. Jakież to zboczenie charakteru, przyjaciele moi, pcha was ku wojnie, kiedy macie pokój? Czyż nie dość nam tych kłopotów, które już mamy? Musimyż stawiać żagle, by popłynąć na poszukiwanie nowych? Upraszam was, przyjaciele, abyście zakazali tego bezzasadnego przedsięwzięcia, ciebie zaś, który przewodniczysz temu zgromadzeniu, wzywam do przedłożenia sprawy pod ponowne głosowanie.

Sporo jeszcze mówców wystąpiło po Nikiaszu, w

większości opowiadając się za wyprawą. Gdy wreszcie na koniec powstał przez akłamację wywołany Alkibiades, ograniczył się w swym krótkim przemówieniu do najistotniejszych aspektów całej sprawy.

– Dziękuję naszemu nauczycielowi – zaczął, kłaniając się Nikiaszowi – za jego wnikliwy i wielce pomocny wykład. Nie ulega wątpliwości, że nasz ateński charakter skażony jest licznymi niedoskonałościami. Nie dorównujemy standardom, które sami sobie ustanowiliśmy jako wzorce. Lecz jeśli wolno mi być absolutnie szczerym, to powiem, że musimy być tymi, którymi jesteśmy.

Stwierdzenie to spotkało się z burzliwą owacją. Z miejsca, które zajmowałem na Pnyksie – zwanego *epotis*, czyli »uchem« – widziałem Nikiasza: z gorzkim uśmiechem kręcił głową.

– Chodzi o to – ciągnął Alkibiades – że ani jako pojedynczy obywatele, ani jako naród nikiem innym być nie możemy.

Także i to zdanie nagrodzone zostało okłaskami. Kiedy ucichły, Alkibiades począł zręcznie i punkt po punkcie zbijać zastrzeżenia Nikiasza argumentami, które wszystkie zmierzały do następującej konkluzji:

– Co się tyczy naszej niespokojnej natury, bracia

Ateńczycy, w moim mniemaniu nie jest to wada charakteru, lecz wyraz naszej żywotności i przedsiębiorczości. Nie dzięki temu Persowie zostali przegnani, że ojcowie nasi grzali stopy przy kominkach, ani nie dzięki temu, iż cieszyli się widokiem swych igrających na podwórkach dzieci, powstało nasze imperium. Powiada Nikiasz, że owoce dojrzewają we właściwej dla siebie porze roku, na co ja mówię: ta pora roku to nasze dzisiaj. Jeśli z kolei chodzi o ten pogląd naszego przyjaciela, który głosi, że najlepszą gwarancją bezpieczeństwa jest zachowywanie czujności w obronnej postawie, powiem, iż może to być prawdą w odniesieniu do innych nacji, lecz nie do naszej. Dla tych, w których naturze leży aktywność, przyjęcie biernej postawy oznacza zgubę. Skoro nasz charakter popycha nas ku dalekim i wymagającym śmiałości celom, to tym właśnie, nie zaś obroną, zapewnimy sobie bezpieczeństwo.

Uporawszy się z tym punktem wywodów swego rywala, Alkibiades przeszedł do następnego:

– Nikiasz stawia nam przed oczy fakt, że flota nasza nie byłaby zdolna do działania bez cudzoziemskich najemników, i czyni nam z tego zarzut. Oto dowód, powiada, że nasze rodzime zasoby

ludzkie są niewystarczające. W moim przekonaniu świadczy to o czymś wręcz przeciwnym: nie ma lepszego niż ten dowodu naszej żywotności oraz magnetycznego działania naszego *mythos*. Dlaczego przychodzą owi cudzoziemcy do nas, a nie do żadnego innego narodu Hellady? Ponieważ wiedzą, że tu – i tylko tu – będą wolni. I jeśli w wystąpieniu Nikiasza dało się wyczytać wyższość, jaką odczuwa on w stosunku do tych ludzi, dowodzi to jedynie, iż nie zna on ich i dlatego ich poniża, wyrządzając nie tylko im, ale i nam, niedźwiedzią przysługę. Pomyślcie, przyjaciele, o ryzyku, jakie podejmują ci ludzie, których Nikiasz tak lekceważy i pomniejsza. Zostawiają oni swe domy i rodziny, swoją ziemię i ojczyste niebo; wyrzekają się nawet własnych bogów, by przepłynąwszy oceany, stanąć na obcej ziemi, która wszak nie daje im ani prawnej ochrony, ani udziału w życiu politycznym; będąc wolnymi od obowiązków związanych z przynależnością do naszej obywatelskiej społeczności, zarazem są z niej wykluczeni: bezimienni, bez prawa głosu i ubezwłasnowolnieni. A jednak przybywają tu i żadna siła nie może ich przed tym powstrzymać. Dlaczego? Ponieważ wiedzą, że życie na najdalszym skraju ateńskiej ziemi lepsze jest od tego, które było im dane w samym centrum ich

własnego świata. Nikiasz się myli, przyjaciele. Cudzoziemcy ci to zapewne nie cegły i kamienie, z których zbudowane są mury naszego miasta, ale bez wątpienia stanowią tych murów zaprawę. I nie ma obawy, aby się ona skruszyła.

Owacja, która wybuchła po tych słowach, była doprawdy ogłuszająca. Nie umknęło przy tym uwagi ani zwolenników, ani przeciwników mówcy to, że słowa jego niezwłocznie wybiegną daleko poza Pnyks i jeszcze długo w noc będą się odbijały echem pośród cudzoziemskich żeglarzy i rzemieślników, dla których Alkibiades będzie odtąd jeszcze większym mistrzem i idolem.

On sam tymczasem nie wracał na miejsce, apelując do zgromadzenia o spokój. Gdy wreszcie wrzawa ucichła, z obliczem, na którym nie malowało się ani uczucie triumfu, ani choćby cień urazy wobec oponenta, zaprosił Nikiasza na mównicę.

– Przyznano ci, Nikiaszu, rangę wodza, na którą w pełni zasłużyłeś swoją służbą i którą respektuję bez najmniejszych zastrzeżeń. Szanuję twą mądrość, a nadto w nie mniejszym stopniu doceniam twe wojenne szczęście, które po wielekroć ci dopisało. Nie mam najmniejszego zamiaru zająć twego miejsca; wręcz przeciwnie, z całego serca pragnę, byś przyłączył się

do tego narodowego przedsięwzięcia. Pomóż nam. Nie mów nam, dlaczego poniesiemy porażkę, lecz powiedz, jak możemy zwyciężyć. Proszę cię niniejszym nie jako rywal, lecz jako współobywatel, abyś ponownie tu wystąpił. W zastrzeżeniach, które wygłosiłeś, wiele było słuszności. Powiedz nam w takim razie, czego nam trzeba, żeby zapewnić sobie powodzenie. Podaj nam liczby, z którymi nie będzie można polemizować. Zapoznaj nas z nagą prawdą. Ja ze swej strony jedno ci obiecuję: jeśli Ateny nie będą mogły zapewnić tej wyprawie wszystkiego, co uważasz za niezbędne, to ja sam stanę u twego boku, by wraz z tobą się jej sprzeciwić. Jeśli jednakowoż wszystko to zagwarantują, będę się od ciebie domagał, abyś takim samym powodowany duchem zastosował się do postanowienia twych rodaków. Nie uchylaj się od dowództwa, które miasto ci powierzyło, lecz sprawuj je z całą energią. Potrzebny nam jesteś, Nikiaszu. Powiedz nam przeto, co musimy mieć, abyś zyskał pewność sukcesu.

Nikiasz przyjął wyzwanie swego rywala. Bez wahania wstąpiwszy na trybunę, przystąpił do przedstawiania nieskończonej, zdać by się mogło, listy niezbędnego zaopatrzenia, uzbrojenia, sprzętu i materiałów, obejmującej dosłownie wszystko, od

zapasowych masztów i żagli, po ilość suchego jęczmienia oraz liczbę piekarzy i pieców koniecznych do wypieczenia odpowiedniej ilości chleba. Zażądał potężnej armady, która by liczyła minimum sto okrętów; wspomagałaby ją ciężka piechota w liczbie większej niż ta, jaką zdołałby nam przeciwstawić jakikolwiek nieprzyjaciel, wzmocniona równie wielką liczbą lekkozbrojnych, łuczników i procarzy, którzy zdołaliby sparaliżować działania nieprzyjacielskiej jazdy, jako że w tak długą podróż nie będziemy mogli zabrać własnej konnicy.

Ponadto musieliby towarzyszyć wyprawie kowale i murarze, inżynierowie i budowniczo wie machin oblężniczych, a także statki łącznikowe i transportowe. Skoro zaś Alkibiades zażądał konkretnych liczb, to Nikiasz chętnie mu je poda. Sto talentów na wynajęcie okrętów zaopatrzeniowych; dwieście na składy uzbrojenia i magazyny zaopatrzeniowe; dwieście następnych, by na miejscu kupić za nie wierzchowce dla jazdy, gdyby zaś sycylijskie klany nie zgodziły się nam ich sprzedać, to ta sama kwota miałaby pokryć koszt sformowania oddziałów, które zdobywałyby konie siłą. Ma się rozumieć, że wymienione sumy nie obejmują żołdu piechoty ani sił pomocniczych, ani załóg, ani rzemieślników okrętowych; na to trzeba

będzie tysiąca talentów, a jeszcze jednego na fundusz rezerwowy. Rozumie się też samo przez się, że suma wszystkich tych wydatków pokryje tylko jedną kampanię, przy czym konieczność zimowania wymagałaby jej podwojenia; gdyby zaś okazało się, że jeden rok nie wystarczy na opanowanie wyspy, to Ateny będą musiały zebrać taką samą kwotę i przesłać ją dowództwu wyprawy, aby mogło ponowić kampanię.

Tak oto z każdym zdaniem Nikiasza ogromniała lista tego, co było jego zdaniem niezbędne. Nie ulegało wątpliwości, że wódz spodziewał się, iż zapoznanie słuchaczy z tak niesłychanymi rozmiarami projektowanego przedsięwzięcia podziała na nich jak kubek zimnej wody.

Okazało się jednakowoż, że Alkibiades znacznie przenikliwiej niż jego oponent ocenił charakter swych rodaków i zręczniejszą swoją wiedzą posłużył: zgromadzeni nie tylko nie przestraszyli się przedstawionych przez Nikiasza warunków, ale wręcz uznali je za nadzwyczaj słuszne i nagrodzili mówcę nader żywymi oklaskami. W ich mniemaniu im szerzej zakrojona zostanie wyprawa, tym pewniejsze będzie jej powodzenie. Zakończywszy przeto swoje wyliczenie, Nikiasz uświadomił sobie, podobnie jak wszyscy

obywatele Aten, że przegrał w starciu z Alkibiadesem, który tym więcej zyskiwał w oczach Ateńczyków, im więcej jego rywal wytaczał przeciwko niemu argumentów. Teraz już całe Ateny powzięły przekonanie, że nie tylko wkrótce będą rozporządzały niezrównaną flotą, ale do tego zyskały w Alkibiadesie stratega tak wielkiego ducha i zręczności, że pod jego wodzą bez wątpienia okryją się chwałą.

Tak oto za jednym pociągnięciem Alkibiades zarazem dostał wszystko, czego chciał, choć niższej był rangi wodzem od Nikiasza, oraz objął faktyczne dowództwo nad wyprawą, którą uczynił swoją własną".

16. MARZENIE ŻOŁNIERZA

„Jeśli nasze gospodarstwo w ogóle jakoś przetrwało – mówił dalej Polemides – to nie tyle dzięki Lwa i moim wysiłkom, ile skutkiem szczodrze nam udzielanych rad tudzież pomocy ze strony rozmaitych stryjów i starszych wiekiem kuzynów, nie mówiąc już o hojnym nas przez nich kredytowaniu w formie sprzętu, fachowych robotników oraz gotówki. Nie zdawaliśmy sobie, Lew i ja, sprawy z tego, jak bardzo nas brakowało naszej rodzinie i w jakim pograżona była ona smutku w następstwie zarazy i wojny, podobnie zresztą jak mnogie rzesze innych. Nic nie jest równie niezastąpione jak młodość i nikt nie jest tak serdecznie witany jak synowie marnotrawni. Nasi starsi krewni wręcz nie mogli się nami dostatecznie nacieszyć, niczego po nas nie oczekując, jak tylko synów, synów i jeszcze więcej synów. Ciotka Dafne zadała sobie nawet trud odbycia podróży na wieś jedynie po to, by się naocznie przekonać, że dobrze się mamy; wygodnie rozparta na siedzeniu wynajętego powozu i osłonięta przed słońcem, przyjrzała się nam obu, którzyśmy akurat, rozebrani do pasa i utyłani jak nieboskie stworzenia, kopali rów odwadniający, po czym oświadczyła:

– Teraz mogę już umrzeć zadowolona.

Nie przedstawiłem jej tego dnia Eunikę ani też nie zabrałem z sobą swej towarzyszki życia, udając się niedługo potem do miasta, by złożyć ciotce wizytę, co wywołało kolejną dziką awanturę. Ciągnęła się ta zażarta kłótnia przez caluteńką noc, co wykończyłoby chyba każdego mężczyznę.

– Czegóż to takiego mi brakuje, Pommo, że nie chcesz mnie jej pokazać? Może moja cera nie jest wystarczająco gładka? Albo może mam twoim zdaniem za mało niewieście łydki? Otóż wiedz, przyjacielu, że ani te zmarszczki nie pojawiłyby się na mojej twarzy, ani moje łydki nie stałyby się umięśnione, gdybym nie musiała przejść u twojego boku przez piekło i wszystkie jego męki. Ty niewdzięczny psie! Nie jestem obywatelką i to dlatego, co? To, na bogów, weź i mnie nią uczyn! Pociągnij za odpowiednie sznurki! Poproś o pomoc tych swoich wytwornych przyjaciół, co to potrafią czarne obrócić w białe i na odwrót!

Długo hamowana furia w końcu z niej niepowstrzymanie wykpiiała.

– Powiem ci, dlaczego nie chcesz mnie przedstawić swojej ciotce. Bo ona właśnie szuka dla ciebie żony, tak samo jak lata temu wynalazła ci twoją dziewczyną

małżonkę Phoebe. Ta odpowiednia dla ciebie niewiasta będzie musiała pochodzić z dobrej ateńskiej rodziny, żeby dała ci dzieci, które można będzie wpisać na listę obywateli, a nie podłe bękarty, jakie urodziłyby ci taka cudzoziemska dziwka jak ja. Im by przecież nie wolno było ani głosować, ani składać ofiary, ani uczyć się na koszt miasta, kiedy ty wykitowałeś na jakiejś wojnie.

Któregoś dnia w samo południe znalazła mnie pogrążonego w myślach przy rodzinnym grobowcu i ubzdurała sobie, że wciąż tęsknię za zmarłą małżonką, na niej zaś absolutnie mi nie zależy. Wstydzisz się za mnie, oświadczyła, bo nie jestem ciebie godna i w ogóle do ciebie nie pasuję.

Pewnej nocy ni z tego, ni z owego wyskoczyła całkiem goła z łóżka.

– Teraz będziesz się chciał mnie pozbyć.

Byłem śmiertelnie zmordowany i ani trochę nie usposobiony do tego rodzaju scen.

– Co ty wygadujesz?

– Jako szacowny obywatel będziesz mnie musiał od siebie odsunąć.

Kazałem jej wrócić do łóżka i spać. Za całą odpowiedź otrzymałem siarczysty policzek.

– Za dużo nas w tym łóżku, Pommo. Nie mam zamiaru spać obok ducha twojej małżonki. Jedna z nas

musi stąd odejść!

Mnie samego zaskoczyła moja odpowiedź:

– Więc odejdz.

Znowu mnie uderzyła, jeszcze bardziej wściekła niż przedtem.

– Coś ci powiem, ty draniu: twoja połowica leży w grobie. Twoja siostra też jest martwa. A ja, widzisz? Ja żyję!

Walnąłem ją pięścią w twarz; z taką samą siłą przyłożyłbym mężczyźnie. Zatoczyła się na ścianę i upadła. Doznałem straszliwego wstrząsu, uświadomiwszy sobie, że oto uderzyłem niewiastę, zarazem jednak to ją wyłącznie za to obwinałem. Żadna inna kobieta nie doprowadziłaby mnie przecież do takiej ostateczności.

– Wstydzisz się tego, że ze mną żyjesz – wykrztusiła, spluwając krwią. – Pogardzasz tym wszystkim, co razem ze mną przeżyłeś, i chciałbyś sobie wmówić, że to się w ogóle nie zdarzyło. Otóż zdarzyło się, Pommo. Zdarzyło się. Byłam twoją żoną, choć nie w oczach prawa, a ty byłeś moim mężem. Jesteś moim mężem.

Zaczęła szlochać. Klęknąłem przy niej i próbowałem ją uspokoić łagodnymi słowami, lecz w duszy czułem tylko jedno pragnienie: wyjść stamtąd

albo zostać samemu.

– Co będzie ze mną? Urodzę nareszcie dziecko czy dalej będę na twój rozkaz pozbywała się ciąży?

Następnie zaczęła mnie błagać, abym wbrew oczekiwaniom rodziny i nie zważając na stan wojennej mobilizacji, wyjechał z nią z Aten. Wiele miejsc poznaliśmy przecież podczas naszych wędrówek. Wiele bezpiecznych zakątków. Mając dwie pary rąk i dwa serca, wszystko mamy, czego nam trzeba, więc...

Choć tak blisko niej klęczałem, że czułem na piersiach jej kolano, a jej ręce wspierały się o moje czoło, to moje serce było gdzieś bardzo daleko, oddzielone od niej milami ciszy.

– Odsuniesz mnie od siebie, Pommo. Widzę to w twoich oczach. Ale to nie ode mnie odejdiesz, tylko od samego siebie. Tyle, ile ja dla ciebie poświęciłam, nigdy już nie da ci żadna inna. Odejdź więc. Nie będę cię zatrzymywała. Na pożegnanie usłyszysz jednak tę przepowiednię, która, wierz mi, dowiedzie swej prawdziwości: będziesz jadł, ale nigdy nie zaspokoisz głodu. Będziesz pił, ale ciągle będzie cię dręczyło pragnienie. Będziesz się kurwił, ale bez odrobiny przyjemności. Stawać będziesz na rozstajach, ale będzie ci wszystko jedno, którą wybierzesz drogę. Żadna donikąd cię nie doprowadzi, dopóki na powrót

nie odnajdziesz siebie, a potem nie wrócisz do domu i do mnie.

Jazonie, przyjacielu mój. Smarowano tłuszczem groty strzał, które wbiły się w moje bebechy, i co gorsza – wyciągano je ze mnie. Zwały się na mnie kamienne mury. Nigdy jednak żaden cios nie dosięgnął samej głębi mego serca tak, jak uczyniły to słowa tej niewiasty.

Lepsze by miała zakończenie ta historia, gdyby tamtej nocy któreś z nas po prostu odeszło. W rzeczywistości jednak byliśmy dalej z sobą jeszcze przez jedenaście miesięcy. Urodziła mi w tym czasie syna, a drugiego już nosiła pod sercem, kiedy zaciągnąłem się jako porucznik piechoty morskiej na »Pandorę«, pod Menesteuszem i w dowodzonej przez Chemedemosa eskadrze Tytana, która wchodziła w skład flotylli nazwanej Piorun i oddanej pod naczelną komendę Alkibiadesa.

Tej zimy ojcowe gospodarstwo ostatecznie upadło. Żona Lwa, Teoneja, rozwiodła się z nim. Pod ciężarem zaległych rachunków i świadczeń na dzieci brat mój nie mógł machnąć ręką na trzymiesięczną premię za samo zaciągnięcie się do służby i co najmniej rok pobierania oficerskiej gaży; wsiadł na okręt jako dowódca plutonu we flotylli Lamachosa. Telamon

objął komendę nad pięćdziesiątką takich samych jak on najemników i, jak on, Arkadyjczyków. Naszą dziedzinę oddaliśmy z Lwem stryjom; co do mnie, to połowę mej gaży przenieśliśmy na Eunikę, premię zaś w całości przekazałem dziadkowi na poczet długu, który winniśmy byli jemu i całej naszej rodzinie.

Uprawą ziemi nie zarobiłbym na życie. To było tylko marzenie żołnierza. A dokąd mieliśmy pójść, ja i wszyscy mnie podobni, jak nie z powrotem na wojnę?".

17. DOKUMENT DOWÓDZTWA FLOTY

– Coś ci pokażę, wnusiu. To rozkaz wplynięcia floty na Sycylię, a ściśle mówiąc, jedna z kilkuset jego kopii sporządzonych przez *demosioi*, czyli sekretarzy sztabu dowództwa floty. Dotknij tego papieru; nie wykonano go z trzciny ani z celulozy, lecz z płótna. Ten arkusz jest utkany.

Uczyniono tak z tą myślą, by dokument ów przetrwał wieki całe. Ci, którzy ten rozkaz sformułowali, przekonani byli, że ma on wręcz epokowe znaczenie jako widomy dowód chwały, który każdy oficer przekaże swym synom, ci zaś z kolei swoim, i tak będzie on przechodził z rąk do rąk przez mnogie pokolenia. Ja także przekazuję teraz tę kopię tobie, chłopcze, lecz nie z tych samych przyczyn, dla których kazali ją sporządzić autorzy owego rozkazu; takie bowiem było zrządzenie nieprzewidywalnego losu.

Za wykonanie tych kilkuset odpisów odpowiedzialny był urząd archonta polemarcha, a otrzymał je każdy trierarcha floty oraz wszyscy sternicy, kapitanowie piechoty morskiej, indywidualni darczyńcy okrętów i przedstawiciele ich syndykatów, kolegium strategów, setka członków Rady Budowy

Floty oraz nadzorcy stoczni; wręczono je także właścicielom i zarządcom prywatnych firm budowlanych, budowniczym okrętów oraz dostawcom materiałów, wytwórcom żagli i uzbrojenia, czyli wszystkim, którzy przyczynili się do powstania i wyposażenia armady. Co do mnie, to wraz z siedmioma innymi oficerami spisywałem te kopie dzień i noc przez siedem miesięcy.

Spójrz na drugą stronę. To mapa nawigacyjna Pireusu, Wielkiej Zatoki i Kantarusu, obejmująca obszar od fortu i bazy morskiej w Etionei, poprzez Emporium i Zatokę Spokoju, po Akte. Umieszczono na niej wskazówki co do prądów, przyływów i odpływów, pozycji boi żeglugowych od Diazeugmy do Efebionu, odstępów pomiędzy poszczególnymi falochronami, kątów triangulacji pomiędzy wszystkimi czterema latarniami morskimi i dwudziestoma siedmioma wieżami triangulacyjnymi, aby kapitanowie okrętów, posługując się azymutami różnorodnych przewodnich znaków, mogli w dowolnym miejscu zatoki określić swoje położenie z dokładnością do jednej długości łodzi. Tak wielka precyzja po to narzucona została przez Nikiasza i Alkibiadesa, pod tym przynajmniej względem całkowicie z sobą zgodnych, aby każdy z trzystu sześćdziesięciu czterech

głównych okrętów mógł się nieomylnie ustawić na wyznaczonej pozycji, dzięki czemu możliwe było wypłynięcie tej ogromnej armady w morze bez jakiegokolwiek nieporządku i z zachowaniem doskonałej symetrii, która wszak zarówno cieszy ludzkie oko, jak i raduje bogów.

Na mapie tej uwidocznione są też punkty widokowe, które wyznaczono kapłanom i urzędnikom. Te oto prostokąci, rozsiane wzdłuż toru wodnego, to zakotwiczone barki, przeznaczone dla archonta bazyleusa, dziesięciu naczelnych kapłanów, kapłanek opiekunki miasta, Ateny Poliachos, a także dla kapłanów i strażników świątyń Agraulosa, Enyaliosa, Aresa, Zeusa, Talio, Aukso i Hegemony. Swoją barcę miał każdy demarcha, a powstały również w liczbie ponad dwustu prywatne platformy widokowe, rozmieszczone naprzeciw Suniońskiej Drogi na długości dwudziestu czterech stadionów. Nabrzeże Chomy zarezerwowane zostało dla przybranych w kwietne wieńce członków Rady Miasta, którzy z wysokości schodów widzieli nie tylko cały obszar wodny, ale i usytuowaną po drugiej stronie świątynię Afrodyty Patronki Nawigacji, na której terenie zebrały się delegacje niewiast; małżonki i matki trierarchów odziane były w białe szaty, a w dłoniach trzymały

wiązanki z gałązek cisu i hiacyntów. Przed frontem zatoki stał ołtarz Posejdona, na którym złożono morzu ofiarę z byka.

Nieubłagany wiek bardzo osłabił mój wzrok, toteż dokument w twoim ręku widzę już tylko jako przymgloną plamę; wszelako wciąż jeszcze mam przed oczyma wielką armadę, jak przepływa przede mną pół stulecia temu.

Na czele, w roli uroczystej eskorty, płynęły dwie flagowe galery Aten, „Paralus” i „Salaminia”, najszybsze statki świata. Ich żagle, podobnie jak na wszystkich pozostałych okrętach, jeszcze były zwinięte; czekano na sygnał fanfarzystów: „Żagle staw!”. Na dźwięk tej komendy rząd po rządzie równocześnie uwolnione płachty opadały z rej, by wreszcie na podobieństwo nagle pchniętych wiatrem proporców napiąć się z głośnym furkotem i wypełnić. Tysiące zgromadzonych na brzegu widzów entuzjastycznymi okrzykami witało każdy kolejny żagiel, który załopotawszy, ukazywał ich oczom znak swego okrętu, czczącego bóstwo lub heroinę, której imieniem był nazwany.

Były to żagle ceremonialne, sporządzone na tę tylko okazję i z praktycznego punktu widzenia wręcz absurdalne, jako że w tym momencie to nie wiatr, lecz

wyłącznie wiosła popychały okręty ku wyjściu z zatoki. Jakże jednakowoż wspaniale się prezentowały! Żartowano potem, że westchnienie ulgi, które się wówczas wyrwało z piersi sztabu i urzędników dowództwa floty, samo by wystarczyło, żeby nadać armadzie rozpęd, tak bardzo przejęci byli lękiem przed złym omenem, jakim byłby brak wiatru lub niekorzystny jego kierunek.

Pierwsza ruszyła w drogę flotylla Lamachosa, choć on sam już parę dni wcześniej wypłynął na swym flagowym okręcie, „Hegemonii”, prowadząc eskadrę, której zadaniem było sprawdzenie szlaku do przylądka i powiadomienie naszych korkirskich sojuszników i rozpoczęciu operacji. Za tą flotyllą popłynęły w liczbie szesnastu śmigłe korwety zwane „podrzynaczami gardeł”, uformowane w dwie kolumny; potem trzydzieści sześć pięćdziesięciowiosłowych galer, które osłaniały z boków wielkie zgrupowanie transportowców, wiozących ładunki, żołnierzy i konie. Było ich sto sześćdziesiąt siedem i defilada przed widokowymi barkami zajęła im całą godzinę.

Z kolei wypłynęły duże wojenne okręty, triremy, uformowane w eskadry, po dziesięć i dwanaście na szerokość i po cztery rzędy w głąb; ich dowódcy zajmowali honorowe pozycje na lewych skrajach

swych formacji. Na ich czele płynęła „Prokne”, pod Autoklesem, zastępcą Lamachosa, a w skład jego eskadry wchodziły „Pompę”, „Ajaks”, „Ptolemais”, „Gorgona” i „Grampus”, z purpurowymi żaglami, na których widniały podobizny strzegących ich symbolicznie zwierząt; po nich płynęły „Kirke”, „Drozd”, „Hippolita”, „Teama”, „Baran” i „Nieugięty”.

Następnie przedelfował, także pod purpurowymi żaglami, „Pyrpnous”, czyli „Połykacz Ognia”, którym dowodził bohater z wyspy Kos, Pytiades, a w ślad za nim – „Nieugięty”, „Dynamis”, „Traseja”, „Amfitryta”, „Euksynaja”, „Achillea”, „Centaura” oraz trojaczki: „Tyzyfona”, „Megera” i „Alektó”.

Potem eskadra Nereid pod komendą Arystogenesa: „Tetyda”, „Pytia”, „Panope”, „Galatea”, „Balte”, „Euploja”, „Morski Orzeł”, „Niezwyciężony”, „Nieustępliwy” i „Ajanateja”, następnie „Ręka w Rękę”, „Skrót”, „Czujny”, „Równowaga”, „Groźny” oraz „Meduza”.

Okeanos, flotyllę Nikiasza, prowadził „Trójzab” jako okręt flagowy; miał on purpurowo-złote żagle, a jego forpik odznaczał się trzema pokrytymi brązem ostrogami. Po jego bokach płynęły „Tetys”, „Doryda”, „Eurynoma”, „Zachodni Zefir”, „Aias” i „Antigonis”, za nimi „Mentor” i „Zatoka Maratońska” oraz bliźniaki

„Styks" i „Acheron", ufundowane przez Kritona, wielbiciela Sokratesa, a później „Potyczka", „Kastalia", „Scylla", „Kekropis" ze swoim herbem w postaci pół niewiasty, pół smoka oraz „Afrodyzja", której dziób zdołała dziewica z odsłoniętymi piersiami, wyrzeźbiona przez samego Fidiasza.

Potem „Tyfo", „Medea", „Piekielny Ogar", „Antesteria", „Tauropolis", „Klitajmestra", „Przerażenie" i „Niezgoda", „Pean", „Nieznużony" i „Nieposkromiony", a zamykały flotyllę Nikiasza „Syntaksa", „Hipponia", „Eleusis", „Hekate", „Bezlitosna", „Skorupka" i „Arete".

Przełynął Piorun, flotylla Alkibiadesa złożona z czterdziestu jeden okrętów. Sternikiem wodza był Antiochos, a skrzydłami dowodzili Chemodemos, Menesteusz i Adajmantos. Za flagową „Artemizją" płynęły „Atalanta" i „Partenos", „Antiopa", „Hippolita" i „Pentezileja", „Iris", „Orzeł", „Męstwo" i „Europa".

Za nimi „Leaina", „Lwica", u swych boków mająca „Histerię", „Niespokojnego", „Olimpię", „Furię", „Sofię", „Danae", „Reę", „Psyche" i „Eufranosa". Dalej – „Palladion", „Semele", „Altea", „Słowik" i „Lampart"; „Hebe", „Burzyciel", „Dafne" i „Erebus", oraz trzy Mojry – „Kloto", „Lachesis" i „Atropos". Na

końcu „Pandora”, „Szybki”, „Terror”, „Penelopa”, „Sowa”, „Korsarz”, „Nekropolis” i „Kalipso”.

Była to najpotężniejsza armada, jaka kiedykolwiek popłynęła pod banderą jednego miasta. Żagle drugiej i trzeciej flotyli taką stworzyły gęstwinię, że odebrały wiatr pierwszej. Cokolwiek zostało z boków wolnej przestrzeni, to tak szczelnie zapełniły ją małe łódki, że można by po ich pokładach suchą nogą przejść z Eetionu do Munychii. Co najmniej tysiąc chłopców, którzy wypłynęli na czymkolwiek się dało, tak ściśle otoczyło okręty, że całkiem sporo z nich zmiotły do wody pióra pracujących wiosł, co bynajmniej nie ochłodziło ich zapału: trzymając się swych wywróconych do góry dnem balii i wanienek, w dalszym ciągu wznosili entuzjastyczne okrzyki na cześć odpływającej floty.

Widzę, mój wnuku, że już się niecierpliwisz. Chciałbyś, żebym wreszcie przeszedł do osławionej afery z posągami Hermesa. Oto więc jak się o niej dowiedziałem:

Do wypłynięcia armady pozostało jeszcze dwadzieścia jeden dni. Cała noc zeszła mi w dowództwie floty, gdzie ścigałem się z czasem nie tylko po to, by dokończyć w terminie pracę nad odpisami tego dokumentu, ale pakując wszystkie nasze

urzędnicze rzeczy, ponieważ dział nasz przenoszono właśnie do nowych siedzib w rejonie chomańskich stajni nad brzegiem zatoki. Wraz z dwoma współpracownikami, a mianowicie moim przyjacielem Orestiadesem, kapitanem „Śmiałego”, oraz młodym Peryklosem, synem wielkiego Peryklesa i hetery Aspazji, wyszliśmy wreszcie z przydzielonego nam pomieszczenia w suterenie na świat, który zaledwie rozjaśniał się brzaskiem. Był to dzień po Święcie Pokłosa, związanym z wczesnym zbiorem jęczmienia; wdowom i sierotom wolno było tego dnia do woli zmiatać pozostałe po żniwach kłosa i ziarno. Po owym zbiorze resztek podpalono ścierniska, które płonęły teraz na znacznej przestrzeni wokół miasta i w całej Eubei. Wznoszący się sponad pól dym dryfował ku zatoce, gdzie mieszał się z nadmorską mgłą, przesłaniając miasto jakimś zgoła niesamowitym całunem. Ruszyliśmy właśnie w stronę rynku, gdy przebiegła obok nas ulicą Tkaczy gromada jęczących i rozpaczliwie krzyczących niewiast.

Kiedy za rogiem weszliśmy na Plac Rady, ujrzeliśmy, że z jakiegoś powodu zbiegają się tam bezładnie całe gromady rozhisteryzowanych ludzi. Perykles powstrzymał któregoś z przebiegających obok nas niewolników i zapytał go, co się dzieje.

„Odrąbali im wszystkie fiuty, panie!”.

„Na Heraklesa, mów jasno i wyraźnie, o co chodzi?!”.

„O posągi Hermesa, panie. W całym mieście nie ma już ani jednego, co by zachował fiuta!”.

Okazało się, że pod osłoną nocy zebrani w bandę lub w bandy niezidentyfikowani wandalowie, przeszedłszy przez część miasta, wszystkim napotkanym po drodze kamiennym posązkom Hermesa w stanie erekcji, które zwyczajowo stawiano zarówno przed prywatnymi rezydencjami, jak i przed budynkami miejskimi, gdyż miały jakoby przynosić szczęście – poutraćali fallusy, a nawet zdeformowali twarze boga.

Któż mógł się dopuścić tak oburzającego czynu? To straszliwe świętokradztwo mogło być ukarane jedynie śmiercią! Oto zbezczeszczono nie tylko poszczególne familie lub rody, lecz świętość, która wspólnym była dobrem, jako że Hermes to przecież opiekun wszystkich podróżnych i symbol fundamentalnej zasady naszej państwowości! Już więc o świcie tłumy ludzi – przerażonych wizją pomsty niebios, jaka bez najmniejszej wątpliwości spotka miasto, w którym doszło do tak wstrząsającej manifestacji niepobożności, pomijając już nawet to, jakiego pecha przyniesie ten czyn szykującej się do

podboju wielkiej flocie – gorączkowo starały się zdemaskować sprawców tego haniebnego czynu, wymieniając przy tym wciąż te same imiona powszechnie znanych złoczyńców. Ruszyły na ich poszukiwanie rozwścieczone pobożne niewiasty. Gotowano do rychłego użytku narzędzia tortur, włącznie z kołem, na którym przestępcy będą łamani. Nad całym placem unosiła się jakby chmura niepoohamowanej furii tłumu.

Pamiętam wyraz zakłopotania, jaki pojawił się na twarzy mego towarzysza, młodego Peryklesa. Zaraza i wojna tak ciężko doświadczyły jego rodzinę, że ocalał tylko on sam, pozostając jedynym krewnym Alkibiadesa, łączącym go z Peryklosem-ojcem. Tym wiedziony, a także wrodzonymi talentami, jakie młodzieniec objawiał, Alkibiades otoczył go bardzo troskliwą opieką, zgoła jak starszy brat, a nie krewny, i to dość daleki; toteż Perykles darzył go zaślepionym wręcz uczuciem i szacunkiem.

„To sprawka Androklesa – oświadczył bez wahania. – Jego i Filaidesa oraz Anitosa i jemu podobnych”.

Następnie zwrócił moją i Orestiadesa uwagę na paru osobników, którzy krążyli po placu, podsycając jeszcze gniew tłumu. Nie ulegało wątpliwości, że to

prowokatorzy, na czyjeś zlecenie podburzający ludzi do rozpętania zamieszek.

„Oskarżą o to Alkibiadesa. Muszę go jak najszybciej odszukać i poinformować o tym wszystkim”.

W samej rzeczy jeszcze tego samego ranka Alkibiades został formalnie oskarżony. Znalezione odpowiednich świadków, zarówno niewolników, jak i wolnych mieszkańców; tych pierwszych poddano torturom, tym drugim zagwarantowano darowanie przewin w zamian za zeznania. Ma się rozumieć, że ci, których łamano kołem, wymienili imiona, które spodziewali się usłyszeć ich dręczyciele. W Zgromadzeniu Pytonikos, Androkles, Tesalos i Anitos zażądali dla oskarżonych kary śmierci.

Wystąpił Alkibiades i stanowczo odrzucił oskarżenia, stwierdzając, że to jego wrogowie uknuli grubymi nićmi szytą intrygę, której celem było wplątanie go w przestępstwo, jakiego dopuścić się mógłby tylko szaleniec. Jak można go posądzać o taką aż bezrozumność, by w przededniu wielkiego swego tryumfu, o który zabiegał jak o nic innego, miał wszystko zniszczyć, i to tak nedorzecznym postępkim?

Zaprzeczył zatem wszystkim oskarżeniom, a

zarazem zażądał natychmiastowego procesu, aby cała ta rozpętana przeciw niemu historyczna wrzawa ucichła, zanim flota wyruszy na wyprawę, na co jednakowoż jego wrogowie, do których przyłączyli się tymczasem Prokles, Eutydemos, Hagnon i Myrtilos, wystąpili z nowymi oskarżeniami, pośród których znalazło się sprofanowanie misterii. Nakłoniono do zeznań niewolników i sługi, którzy w zamian za immunitet opowiadali o tym, jak wieczorami w prywatnych domach Alkibiades i jego kompania przebierali się za kapłanów i kapłanki, by następnie bawić się parodiowaniem świętego obrządku inicjacji, bezczeszcząc tym sposobem kult boskiej Demeter. Występki te określono nie tylko jako zniewagę bogów, która sama w sobie już mogła zostać ukarana śmiercią, lecz nadto jako dowód pogardy, jaką sprawcy darzyli demokrację. Było to, zdaniem oskarżycieli, postępowanie potencjalnych tyranów, którzy stawiali siebie ponad prawem.

Nie samemu tylko Alkibiadesowi zarzucono owe czyny, ale i dziesiątkom, a nawet setkom innych obywateli z najróżniejszych sfer i kręgów, którzy padli ofiarą donosów; skala tego świętokradztwa była tak wielka, że według powszechnej opinii musiało ono być wynikiem zmywy lub zgoła szeroko zakrojonego

spisku podobnie myślących ludzi, których wspólnym zamiarem było obalenie państwa.

Zaczęły się masowe aresztowania. Występował jakiś donosiciel i oskarżał pięćdziesięciu, siedemdziesięciu czy wręcz stu ludzi, na co natychmiast ujawniał się następny, który w ich imieniu demaskował z kolei oskarżycieli i tak dalej.

Przejęci zgrozą obywatele wtrącali do więzienia i jednych, i drugich. Aresztowania nie ustawały przez kilka dni z rzędu, i to nie na podstawie oficjalnych i zgodnych z procedurą nakazów, lecz skutkiem działalności ochotniczych grup obywatelskich, które chwyciły ludzi na ulicach, a nawet wyciągały ich z domów. Agora opustoszała; nikt nie śmiał się na niej pokazać, by nie zostać uwięzionym. Kierowane do sądów odwołania nie spotykały się z żadną odpowiedzią; członkowie magistratury sami sparaliżowani byli lękiem przed aresztowaniem. W zgromadzeniu zapanował taki chaos, że nie tylko raz za razem ogłaszano przerwy, gdyż zamieszanie uniemożliwiało jakiegokolwiek wystąpienia, ale wręcz definitywnie zawieszano obrady. Co gorsza, zamiast się w miarę upływu czasu z wolna uspokajać, terror jeszcze się wzmacniał skutkiem własnej wewnętrznej dynamiki, rozszerzając się i potężniejąc do takiego aż

stanu, że państwo znalazło się na krawędzi całkowitej anarchii.

Co takiego było prawdziwą przyczyną tego powszechnego szaleństwa?

Moim zdaniem – Sycylia. Ludzie w istocie bali się tego epokowego przedsięwzięcia, obawiając się przy tym jego inicjatora, którego duma i ambicja równie były monumentalne jak sama wyprawa. Pamiętaj bowiem, wnuku, że Alkibiades miał wcale niemało wrogów. Jego pycha i niepohamowana żądza sławy rodziły nieufność i nienawiść zarówno w demokraty, jak i w oligarchach. Arystokraci lękali się go jako zdrajcy ich klasy. W ich mniemaniu sprzedał on swoich, aby zrealizować swe plany, stając się rzecznikiem mas; w oczach oligarchów podbój Sycylii przesądziłby o ich własnej zagładzie. Jeśli bowiem Alkibiades wróci jako triumfator – co, zważywszy na potęgę jego floty, zdawało się pewne – to jakie będzie jego pierwsze posunięcie, gdy tylko postawi stopę na brzegu? Z błogosławieństwem tłuszczy zostanie tyranem. Nie będzie też długo zwlekał z następnym krokiem, którym – w przekonaniu oligarchów – będzie odarcie ich z dotychczasowej potęgi lub zgoła skazanie na śmierć.

Takie było więc podłoże wrogości ze strony

arystokracji. Ale i pośród zwykłych obywateli nie brakowało Alkibiadesowi równie zażartych wrogów: niegdyś ubogich, lecz bezwzględnych karierowiczów, którzy po plecach mas doszli do sławy i władzy, a on właśnie im je ukradł. Był wśród nich Hiperbolos, arcydemagog, na skutek intryg Alkibiadesa skazany na wygnanie; był Androkles, jego następcą, którego duszę zżerało pragnienie wzięcia pomsty za przyjaciela; był Kleonimos, najwierutniejszy łajdak, a nadto Tydipos, Kleofon oraz ten wielki łotr Archedemos. Co łączyło całą tę zgraję, to zgoła zwierzęcy spryt i brak jakiegokolwiek poczucia wstydu. Nie było takiej podłości, do której by się nie posunęli. Wiedzieli, jak trzeba grać na niskich ludzkich instynktach, i nic nie mogło ich powstrzymać w dążeniu do postawionego sobie celu.

Co z powrotem przywodzi nas do owego szalonego wybryku, jakim było zbezczeszczenie posążków Hermesa. Kto mógł dopuścić się podobnej rzeczy? Skrajne skrzydła obu wrogich Alkibiadesowi stron miały po temu równie ważne powody i odznaczały się takim samym brakiem skrupułów. I drugie pytanie: dlaczego mieszkańców opanowała aż tak histeryczna gorączka?

Polemides w swojej relacji z sycylijskiej katastrofy

mówi o taktyce stosowanej przez nieprzyjaciela w celu ostatecznego udarczenia naszych wycofujących się wojsk. Otóż atakował je on nie na całej długości kolumny, lecz brał sobie za cel jakiś element tylnych straży. Jego zamiarem było wzniesienie w tym miejscu paniki, która – jak to się często zdarza w dużych ludzkich skupiskach – rozprzestrzeni się na resztę armii.

Panika może również ogarnąć miasto. Rozsypuje się wówczas w proch cały zbiór zasad międzyludzkiego współżycia.

Najbardziej złowrogi skutek paniki jest następujący: nawet największej odwagi mąż staje się w takiej sytuacji bezradny, gdyż albo zostanie zdeptany przez tłuszcę, albo pociągnie go ona z sobą, czyniąc nieodróżnialnym od najzwyczajszego tchórza.

Miałem w owych czasach pewnego znajomego imieniem Bias.

Był on dowódcą okrętu, trzykrotnie został odznaczony i cieszył się powszechnym szacunkiem za nieposzlakowanej uczciwości charakter. A jednak aresztowano go i skazano na śmierć. Przyciśnięty do muru, zdecydował się Bias na taki oto wybieg: przyznał się do niepopelnionych czynów i w zamian za gwarancję bezkarności obiecał podać nazwiska swoich

wspólników. Jednakowoż na ich liście umieścił tylko tych, którzy już wcześniej zostali zadencuncjowani bądź też zdołali zbiec z miasta i nic im nie groziło. Dopiął swego; został uwolniony. Okazało się wszakże, że jeden z tych, których obciążył, niejaki Epikles, syn Automedona, został w trakcie ucieczki schwytyany i wykonano na nim wyrok śmierci. Do głębi wstrząśnięty brat Epiklesa, Polites, wdarł się do domu Biasa, wyciągnął go na ulicę i w biały dzień zamordował, grożąc przy tym śmiercią każdemu, kto by go śmiał zadencuncjować.

Tego rodzaju tragiczne przypadki można było w owych dniach liczyć w tysiącach. Wyobraź sobie na przykład, że oto któryś z twoich przyjaciół odciąga cię na stronę i pyta: „Powiedz mi jak przyjaciel, czy dotarły do ciebie informacje o jakimś winowajcy?”. Jeśli w istocie coś ci wiadomo i dzielisz się z nim tą wiedzą, przyjaciel twój może teraz donieść na ciebie, ulegając jakimś naciskom, o których ty nie masz najmniejszego pojęcia. Aż oto okazuje się, że podałeś kłamstwo jako prawdę lub prawdę poświadczyłeś jako kłamstwo, co on następnie po tobie powtarza. Tak właśnie przyjaciół obracano przeciw przyjaciołom, a braci przeciw braciom, albowiem w atmosferze terroru i podejrzeń nie sposób było ufać nawet najbliższym.

Dopiero na koniec tego obłędu, kiedy już wszyscy donosiciele wszystko wyśpiewali, a szpiedzy znowu pokryli się po kątach, okazało się, że za całą tą wstrętną operacją kryła się pewna stuosobowa grupa polityczna. W moim mniemaniu była to wręcz niewyobrażalna głupota. Postąpili oni jak gromadka rozzłoszczonych na kogoś dzieci, które mszczą się na nim jakąś psotą, ani przez chwilę nie pomyślawszy o tragicznych skutkach, jakie owa psota za sobą pociągnie.

Przypomnij sobie przenikliwość, jaką wedle mego klienta, Polemidesa, wykazał się w tamtej portowej tawernie Euryptolemos. Powiedział on, że dwie przeciwstawne tendencje zmagają się z sobą, walcząc o duszę Aten: staromodna, oparta na poszanowaniu bogów, i nowożytna, która za boga uznała samo miasto.

I oto teraz byliśmy świadkami buntu owego starego świata. Ci rozhulani, nieposkromieni młodzi arystokraci zbezczęścili nocą ateńskie świętości, co przejęło pospólstwo lękiem przed zemstą bogów. Fundament każdej społeczności, jakim jest bogobojna dusza stanowiącego ją ludu, popękał i skruszył się w zetknięciu z tak straszliwą obrazą niebios. Zdało się Atenom, że zuchwałość, jakiej dowiodły swym

przyzwoleniem na tę niesłychaną sycylijską awanturę, stała się kroplą, która przelała czarę ich pychy i wywołała gniew Olimpu. Ateńczycy utracili pewność siebie. Wspomnieli na zarazę i statki, które wracały do ojczystych brzegów z prochami ich synów. Patrząc na potrzaskane posągi Hermesa, który wszak prowadzi zmarłych do podziemnego świata, odczuli grozę piekła i straszliwość niebios. Sycylijska flota zdała się im teraz armadą samozagłady. Przestraszyli się ogromu swych ambicji, zaczym – podżegani przez tych, którzy upatrywali w tym własnych korzyści – zwrócili się przeciwko twórcy tego projektu.

Mnodzy zostali już ukarani śmiercią. Tysiące ludzi gniło w więzieniach, a setki uciekło z miasta. Jednakże wrogowie Alkibiadesa nie odważyli się aresztować jego samego, nazbyt się bowiem bali stojącej za nim floty i armii, cudzoziemskich załóg, a także i sojuszników. Posłużyli się więc plotką i pomówieniem. Rozpowiadali wszem wobec, że przygotowuje się przeciw niemu proces o zdradę. Publikowali doniesienia o jego domniemanej zмовie ze Spartanami, której skutkiem armada miała popłynąć ku własnej zagładzie. Znieważali pamięć jego ojca i dziadów, podkreślając lacedemońskie pochodzenie ich rodowych imion, w tym również imienia samego

Alkibiadesa, a nawet oczerniając jego przodków, o których bohaterskiej i zakończonej śmiercią walce z Persami szeptali, że prowadzona była w zмовie z wojownikami Sparty. Nie oszczędzili też pamięci Amyklai, lacedemońskiej niani Alkibiadesa, wypominając mu, że już jako niemowlę „ssał pierś Sparty”.

Niepokojąc się o los swego krewnego, młodszy Perykles udał się pewnego ranka na jego poszukiwanie, w którym postanowiliśmy mu z Orestiadeseм towarzyszyć.

Pora była tak wczesna, że kiedyśmy natrafili na niego w Likejonie, to cienie były jeszcze długie, a na targu nie zaczęto nawet otwierać stoisk i kramów. Zastaliśmy go na pustym i mocno zaciągniętym poranną mgłą placu w towarzystwie Sokratesa, pod owym platanem, który rośnie na pagórku ponad fontanną. Tak głęboko byli pogrążeni w rozmowie, że zatrzymaliśmy się z mym towarzyszem w pewnym oddaleniu, nie chcąc im w niej przeszkadzać.

Alkibiades stał przed filozofem w pozie, która dowodziła nędznego stanu jego ducha. Nigdy przedtem nie zdarzyło mi się widzieć go tak pokornym i skruszonym. Głowę miał nisko zwieszoną, a po policzkach spływały mu łzy. Sokrates w geście

sympatii położył dłoń na ramieniu swego ucznia, przemawiając do niego spokojnym, acz stanowczym tonem. Aż nagle Alkibiades przyklęknął i zanurzył twarz w szatach swego mistrza. Pomimo dzielącej nas odległości widzieliśmy, jak drgają jego ramiona, a pierś wstrząsana jest spazmami szlochu. Niezwłocznie wycofaliśmy się z placu, nie chcąc zostać przez nich zauważonymi, zwłaszcza zaś nie życząc sobie, by nasz przyjaciel wiedział, że był widziany w takiej chwili.

Mimo że Alkibiades stanowczo nalegał, żeby go niezwłocznie osądzono, wrogom jego udawało się odwlekać proces. Wiedzieli wszak, że gdyby tylko stworzyli swemu rywalowi sposobność wypowiedzenia się przed sędziowską ławą, to z powrotem przeciagnałby on Ateńczyków na swoją stronę. Woleli przeto pozbyć się go, wyprawiając w morze, by proces odbył się zaocznie, nie dając mu żadnej możliwości obrony.

Przez cały ten czas, gdy tak go osaczano, Alkibiades ani na chwilę nie zaniedbał organizacji i ćwiczenia floty. Zdarzyło mi się pewnego przedpołudnia być obecnym w sztabie wyprawy, tymczasowo mieszczącym się w jednym z portowych składów, gdy zjawił się tam Alkibiades. Towarzyszył mu tylko jego trener; przybyli obaj prosto z

gimnazjonu, czego dowodził wciąż widoczny na ich ciałach kurz zapaśniczego kręgu. Alkibiades był wyraźnie zbity z tropu.

„Czegóż jeszcze chcą ode mnie ci ludzie? Wszystko, co posiadałem, cały majątek aż do ostatniego obola, oddałem miastu, a oni za to znieważają teraz nawet pamięć mego ojca!”

Wręcz desperacko ubiegał się o jawny sąd. Niechby wówczas *demos* skazał go, by ocknąć się ze swego szaleństwa dopiero po jego śmierci.

„Dłużej nie mogę już tego znosić. Mam dosyć!”

Włosy miał zmierzwiłone i przesiąknięte potem. Z nagim torsem i bosymi stopami zdać się komuś mógł wcieleniem samego Achillesa, który w podobnym do jego położeniu wściekał się w swym namiocie pod Troją na sposób, w jaki traktował go Agamemnon. W pewnej chwili potracił nawet ramieniem półkę, zastawioną glinianymi i porcelanowymi naczyniami, których część roztrzaskała się na posadzce.

„Niech to dołączą do listy swoich zarzutów wobec mnie!” – warknął, gdy się to stało.

Chcąc odciągnąć jego uwagę ku mniej bolesnym sprawom, jeden z obecnych tam oficerów przedstawił mu do wglądu kilka dokumentów dowództwa floty, które będąc potwierdzeniem stanu gotowości floty do

podjęcia żeglugi, wymagały jego aprobaty. Niestety, ich widok tylko go przyprawił o jeszcze większe rozgoryczenie.

„I kogo za to winić? – wybuchnął, mierzwiąc palcami włosy. – Ma się rozumieć, że mnie. Tylko mnie!”.

W tymże jednakowoż momencie wkroczyła przez portal od strony nabrzeża grupka kapitanów, którzy niezwłocznie otoczyli dowódcę i poczęli go zapewniać o swej niezachwianej wobec niego lojalności. W oczach Alkibiadesa zabłyśły wówczas łzy; zdawało się przez chwilę, że do reszty podda się wzruszeniu, wszelako przyjrząwszy się swym podkomendnym, uświadomił sobie nagle komizm całej tej sytuacji i wybuchnął rozgłośnym śmiechem.

„Rozchmurzcie się, przyjaciele! Na razie nasi wrogowie ugodzili mnie jedynie piórem sądowych pisarzy! Jeszcze nie krwią broczę, a jedynie inkaustem!”.

W otoczeniu swych oficerów wyszedł na nabrzeże, a z jego desek zstąpił na sam skraj portu. Powitała go wrzawa entuzjastycznych okrzyków i gęstwa wzniesionych w pozdrowieniu dłoni. Czyjeś ręce okryły jego ramiona płaszczem i tłum otoczył go ciasnym kołem.

„Niech piekło pochłonie wszystkich tych szakali! – wrzasnął kapitan imieniem Eurylochos. – Sprawmy, żeby morze zmyło z nas te ich kłamliwe oskarżenia!”.

Na co dorzucił z pasją w głosie inny trierarcha, Patrokles, zachęcając Alkibiadesa, by machnąwszy ręką na wrogów, nie mieszkając, poprowadził flotę ku Sycylii:

„Bogowie nie znają w takich razach lepszego leku niż zwycięstwo!”.

Alkibiades zatrzymał się w pół kroku; najwyraźniej uświadomił sobie, że ów mąż, który go zachęcał do chwalebnej walki, był imiennikiem ukochanego towarzysza Achillesa, powiedział więc:

„Patroklesie, przyjacielu mój, czyżby imię twoje miało mi być wróżebnym znakiem? Czyżby mi, jak Achillesowi, przepowiadało śmierć twoją i reszty moich wojowników?”.

Zdało się, że zawisła w owej chwili nad wszystkimi ta szczególna cisza, która poprzedza śmiertelne cięcie miecza. Aż nagle obecni jak jeden mąż zakrzyknęli:

„Sycylia!”.

Alkibiades potoczył po nich spojrzeniem.

„Mamyż ku niej pożeglować, bracia, niosąc na swych plecach ciężar oskarżeń naszych wrogów?”.

„Sycylia!” – odkrzyknęli mu jednogłośnie

zgrupowani z jeszcze większym zapałem.

Za nimi, swobodnie lub na uwięzi kotwic, falowała flota, wypełniając rząd za rzędem całą zatokę; on tymczasem, którego ambicja i wola przywołały ową armadę do istnienia i doprowadziły ją do stanu najwyższej gotowości, rozważał w swym sercu ową decyzję, która wszak z nieuniknionej konieczności narzucona została nie tylko jemu samemu, ale i jego krajowi.

Towarzyszyły mu w tym namyśle nieustające okrzyki jego podkomendnych:

„Sycylia! Sy-cy-lia!”.

Księga czwarta

SYCYLIA

18. PRZEMIESZCZENIE ŚWIADOMOŚCI

„Przed sycylijską wyprawą – kontynuował Polemides – nigdy nie zdarzyło mi się służyć w piechocie morskiej. Obca była mi umiejętność walki na morzu. Nie wiedziałem, co to dwa na jeden czy współśrodkowość, przełamanie czy przycinka; nigdy nie rzucałem oszczepem z przykłęku ani nie przebiegałem wraz z całym oddziałem przez pokład triremy, aby na skutek przemieszczenia się naszego wspólnego ciężaru obniżył się dziób, dzięki czemu uderzenie taranu w burtę nieprzyjacielskiego okrętu było dotkliwsze, gdyż trafiało poniżej linii wodnej.

Dreńczył mnie tu, w więzieniu, pewien senny koszmar, który powtarzał się co noc. Jestem u brzegu Sycylii, w Wielkiej Zatoce Syrakuzańskiej. Spośród stu czterdziestu czterech bojowych okrętów ateńskiej i korkirejskiej floty już tylko mniej niż pięćdziesiąt nadaje się do walki; uciekły one ku brzegowi, chroniąc się w zupełnym bezładzie za palisadą poniżej Olympionu. Nacierają na nas okręty syrakuzkańskie i korynckie; topory ich piechoty rąbią wieżyczki, na których umocowane są »delfiny«, czyli potężne ciężary rzucane na przeciwnika, podczas gdy ich łucznicy zasypują nas deszczem żelaznych grotów.

Na wodach zatoki płoną i toną nasze okręty. Na brzegu czeka na nas ława nieprzyjacielskiej piechoty. Okręty wroga nacierają na palisadę, na której między innymi i ja się schroniłem. Uderzenie taranem, wycofanie się dla rozpędu, uderzenie i wycofanie się. Dobrze im to idzie, kurewskim synom. Walczą już dziesięć godzin, a wiosła wciąż pracują równo. Spadam tyłem do wody, na której pływa gęstwa połamanych strzał, oszczepów i wiosł. Tracę siły. Wprost na mnie płynie dziób okrętu. Zalewa mnie fala; tonę i w tej właśnie chwili budzę się w przerażeniu.

Wiem z doświadczenia, że zdarzają się w bitwie lub w innych momentach najwyższego zagrożenia chwile, gdy przeżywana przez człowieka rzeczywistość zastąpiona zostaje w jego umyśle przez stan jakby snu, w którym poszczególne wypadki następują po sobie z pewnego rodzaju dostojnym rozmysłem, jak gdyby leniwie, my zaś przyglądamy się temu z boku, będąc niejako świadkami własnej zagłady. Wszystko, co się dzieje, przeniknięte jest swego rodzaju cudownością; stajesz się przeraźliwie, nadnaturalnie wręcz świadom tego, co ci się przydarza, postrzegając zarówno przenikającą to grozę, jak i piękno. Widzisz i w pełni absorbujesz nawet takie subtelności, jak gra światła na wodzie, choć przecież

woda ta zabarwiła się krwią twoich najdroższych towarzyszy albo i twoją własną. Możesz powiedzieć sobie: »Zaraz umrę« i zaakceptować tę myśl niejako z całkowitą bezstronnością.

Brata mojego ów fenomen przemieszczenia świadomości wręcz fascynował. Twierdził on, że podłożem tego zjawiska był strach. Strach, który aż tak obezwładnia, iż – jak śmierć – niejako uwalnia duszę z ciała. W taki chwilach, zdaniem Lwa, jest się w istocie martwym. Duch nas opuścił i musi na nowo znaleźć i zasiedlić swoje cielesne pomieszkanie. Zdarza się jednak, przekonywał mnie Lew, że dusza tego nie chce. Lepiej jej tam, dokąd się udała. Zwie się to bitewnym szaleństwem, *mania maches*.

Lew uważał, że duszę może wypchnąć z ciała zarówno ambicja, jak i namiętna miłość, chciwość lub opętanie winem i innymi odurzającymi środkami. Zapewniał mnie, że niektóre formy rządzenia lub bezrządu mogą pozbawić duszy cały naród. Lecz to dygresja; wracam do opowieści.

Musisz mi okazać wyrozumiałość, przyjacielu, jeśli wspomnienie tamtych dni odbija się w mym wewnętrznym oku obrazem bezładnie falującej wody, na której unoszą się szczątki okrętów i sprzętów, uwolnione z kotwicy czasu. Tak właśnie trwa, czy

raczej przepływa w mej pamięci wspomnienie Sycylii – ani jako sen, ani jako rzeczywistość, lecz w jakimś trzecim stanie swego rodzaju nieważkości, gdy pojawiają się i znikają tylko pojedyncze strzępki; fragmenty bitwy, które na chwilę odsłania chmura snującego się nad wodą dymu.

Pamiętam przeddzień odwołania Alkibiadesa. Było to w Katanie na Sycylii, w trzy miesiące po wypłynięciu z Aten. Ja i Lew wylądowaliśmy w oddziałach, które nie znajdowały się pod bezpośrednią komendą wodza, on jednak rozkazał nam i innym od dawna sobie znanym oficerom, abyśmy przeszli pod jego dowództwo. Gromadził przy sobie ludzi, którym ufał, a nadto pragnął przystąpić do rokowań z sycylijskimi miastami, mając u boku jak najbardziej jednolitą i zgraną z sobą grupę.

Naksos poddało się od razu; Katana musiała trochę dostać po łapach, Messanę zaś trzeba było tylko lekko szturchnąć w bok. Alkibiades popłynął w cztery okręty z poselstwem do Kamariny, która, pomimo swych doryckich korzeni, bywała już w przeszłości sojusznikiem Aten, i teraz, jak twierdzili informatorzy wodza, także dojrzała do uległości. Okazało się jednak, że zamknęła przed nami swe bramy, nie pozwalając nam nawet zejść na ląd. Alkibiades nakazał więc swej

miniaturowej flotylli powrót do Katany, gdy jednakowoż wróciła, czekała tam na nią państwowa galera »Salaminia« z rozkazami, które odwoływały go z dowództwa.

Byłem w grupie, która otaczała Alkibiadesa, gdy podszedł do niego kapitan »Salaminii« w towarzystwie dwóch wysłanników zgromadzenia. Obaj pochodzili ze Skambonidoju, rodzinnego okręgu wodza, obaj też byli mu znani, dlatego ich właśnie wybrano, by w nim nie wzbudzić nieufności i oporu. Wszyscy trzej byli nieuzbrojeni. Oficerowie przedstawili mu swoje oficjalne upoważnienia i polecili mu towarzyszyć sobie w drodze do Aten, gdzie miał zostać osądzony za bezbożność, profanację oraz zdradę. Wyraziwszy ubolewanie z powodu niefortunnej roli, jaka im została zlecona, zaproponowali mu, by – jeśli nie chce wracać jako więzień – nie wchodził na pokład »Salaminii«, lecz popłynął za nią na własnym okręcie; wszelako, tak czy inaczej, musiał ruszyć w drogę od razu, najpóźniej następnego ranka.

Tej nocy nikt o niczym innym nie mówił, jak tylko o perspektywie zamachu stanu. Nikiasz i Lamachos przywołali do siebie oficerów piechoty morskiej, wśród nich także mnie i Lwa; przydzielono nas po ośmiu na okręt oraz wyznaczono poszczególnym

kompaniom stanowiska bojowe wzdłuż całego brzegu.

Po latach wypadło mi służyć na »Kaliopie« wraz z młodym Peryklosem. Jego mentorem w sztuce morskiej wojny był Antiochos, niegdyś członek sztabu Alkibiadesa. Dowiedział się wówczas od niego Perykles, że Alkibiades, spodziewając się odwołania w związku z procesem, od wielu już tygodni listownie organizował kampanię swoich ateńskich przyjaciół w celu przeformułowania wysuniętych przeciw niemu oskarżeń, a zwłaszcza wycofania jednego, którego naprawdę się obawiał ze względu na powszechne wzburzenie całej społeczności, a mianowicie zarzutu profanacji. Czego więc teraz Alkibiades z nadzieją oczekiwał, to potwierdzenia, że wysiłki te zakończyły się powodzeniem, gdyż wiedział, iż tak zredukowane oskarżenia z pewnością by obalił, występując bezpośrednio przed zgromadzeniem. Tymczasem u brzegów Katany ateńscy wysłannicy, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z grożących mu konsekwencji, poinformowali go, że zarzut profanacji został jednak podtrzymany. Alkibiadesa wyprowadzono więc w pole, i to tak sprytnie, że nie miał już czasu na jakiegokolwiek kontrposunięcie w tej grze.

Pośród doradców Alkibiadesa Mantiteusz, Antiochos oraz własny jego kuzyn i imiennik

najgoręcej optowali za zamachem, podczas gdy Eurypolemos i Adajmantos byli temu przeciwni. Zwolennicy owego gruntownego rozwiązania nalegali na wodza, by nie mieszkając, już teraz objął pełne dowództwo nad wyprawą, aresztując, a w razie konieczności nakazując egzekucję tych wszystkich, którzy by mu się sprzeciwili. Na tym zresztą bynajmniej owi gwałtownicy nie poprzestali. Zaproponowali mianowicie, aby od razu zaniechać kontynuowania sycylijskiej kampanii i całą armadą wrócić do Aten, gdzie Alkibiades, z poparciem zarówno armii, jak i floty, ogłosiłby się rządcą państwa.

To sam Alkibiades odrzucił ten pomysł.

– Chciałbym mieć Ateny nie za kochankę – oświadczył – ale za poślubioną żonę.

Wielu wyśmiało te jego słowa jako gładkie powiedzonko, które miało jedynie ukryć prawdę, tę mianowicie, że Alkibiades podporządkował się wezwaniu wysłanników zgromadzenia, gdyż wierzył w siłę czekających w Atenach kohort, dzięki którym upora się z procesem, albo wręcz w to, że jego poplecznicy jeszcze przed jego powrotem zdobędą tak znaczne wpływy, iż wyjedną mu uwolnienie od zarzutów. Ja w to nie wierzę. Sądzę, że myślał on

dokładnie to, co powiedział. Przy czym nie mówię tego po to, by stawać w jego obronie, lub żeby go odmalować jako po rycersku szlachetną i wiedzioną poczuciem honoru postać (*jaka* zresztą w istocie był), albowiem zważ: takie oświadczenie to wyraz arogancji, która jest zarazem niezrównana i niezrównanie szokująca.

Jestem przekonany, że tak właśnie czułem. Ateny były dlań nie narodem, któremu trzeba było służyć, lecz narzeczoną, którą trzeba było zdobyć; podbić ją innym sposobem, niż tylko zyskując sobie jej szczerą i własnowolną uczucie, oznaczałoby w jego mniemaniu pozbawić honoru i ją, i siebie. Alkibiades nie pragnął miłości albo władzy, lecz zarazem jednego i drugiego, gdyż wzajemnie się na sobie opierały i wzajemnie się sobą żywiły.

Nie przysięgłbym na to w tamtej chwili, gdy wysłannicy Aten wręczali mu wezwanie przy osadzonej na plaży »Artemizji«. Gdy jednak przypominam sobie dzisiaj tę scenę, świadom jestem, że wszystko to było wówczas w jego myślach. Przyglądałem mu się uważnie. W wyrazie jego twarzy nie było ani wściekłości, ani mściwości, choć w późniejszym jego postępowaniu oba te uczucia w wielkiej się przejawiały obfitości. Co było widoczne, to

zasmucenie. Myślę, że stał w owej chwili w oddaleniu od siebie samego i od swego losu jak ktoś, kto w momencie śmiertelnego zagrożenia zyskuje możliwość zobaczenia z góry pełnego obrazu tego, co się z nim i wokół niego dzieje. Niczym arcymistrzowski gracz Alkibiades widział każde następne posunięcie i kontrposunięcie na pięć ruchów naprzód; wszystkie były złowróżbne, on zaś nie potrafił znaleźć takiego genialnego ruchu, który by jemu lub jego miastu pozwolił uniknąć nieuchronnego końca.

– Co uczynisz? – spytał go kuzyn Euryptolemos.

Alkibiades patrzył wprost przed siebie wzrokiem pełnym największej powagi.

– Na pewno nie popłynę do domu po to, żeby tam zostać zamordowany".

19. KRONIKARZ ZMAGAŃ

„Turii było miejscem, które wybrał Alkibiades na ucieczkę. Najpierw, jak powiadano, do Argos, a gdy i tam ziemia zaczęła mu się palić pod stopami, do Elidy; zawsze o jeden skok przed państwowym pościgiem i przed tymi, którzy chcieli go ująć dla nagrody. Brat mój wchodził w skład wojskowej pogoni, która, z załogą »Salaminii« na czele, ścigała uciekiniera wokół buta Italii.

...cała owa tak zachwalana elita państwowej galery to niezłe ziółka, braciszku. Mimo iż poprzez kult Ajaksa związani są z Alkibiadesem, to ścigają go tak zawzięcie, jakby był wściekłym psem. W Padoras dotarła do nas pogłoska, że schronił się w pewnym zajeździe; nasz oddział podpalił go w środku nocy, czego omal nie przypląciło życiem dwunastu niewinnych ludzi, którym nawet nie zaoferowano jakiegokolwiek zadośćuczynienia, jako że kolejne doniesienie o miejscu pobytu ściganego niezwłocznie pchnęło nas jeszcze gdzie indziej. Ta banda bynajmniej nie traktuje lekko tej pogoni po omacku, Pommo. Nie zawahali się torturować jakiegoś nieszczęśnika, choć był to zaledwie dwunastoletni chłopak. Potem przyszła kolej na poławiacza szprotek. Ci spadkobiercy

Euryzakesa wywieźli go w morze i najpierw wyrzuciwszy za burtę jednego, a potem i drugiego utopiwszy mu syna, w końcu zamordowali i samego rybaka. Takie to rzeczy wyprawiają ci wysłannicy państwa, i to nie tylko bez drgnienia powiek, ale jeszcze przy tym sobie dowcipkując.

Jasne jest, że boją się wrócić do domu, nie wypełniwszy zleconego im zadania, ale jest w tym coś jeszcze, Pommo. Dlaczego tak bardzo go nienawidzą? I to właśnie jego powinowaci! Ich zawzięta gorliwość jeszcze bardziej jest wyzbyta z wszelkiej litości niż ta, której doświadczyliśmy w zetknięciu z sycylijskimi partyzantami. Ten liścik będą Ci musiał jakoś przeszmulgować. Gdyby go te ptaszki wyniuchały, to nie tylko moją, ale i Twoją skórę przybiłyby do pierwszych lepszych drzwi.

Alkibiades nie był jedynym dowódcą, któremu kazano wrócić na proces. Także i Mantiteusz, trierarcha »Penelopy«, postawiony został w stan oskarżenia, ponadto Antiochos, najlepszy nawigator Grecji, oraz Adajmantos i kuzyn Alkibiadesa tego samego co on imienia; prócz nich nakazano powrót jeszcze sześciu innym oficerom.

Oto fragment listu, który wysłał mi z Aten mój kuzyn Szymon:

...Wróciła 'Salaminia'. Bez Alkibiadesa. Dał nogę w Italii, dowiedziawszy się, że zgromadzenie wydało na niego zaocznie wyrok śmierci; o czym zapewne już wcześniej było ci wiadomo. Mówiono, jakoby powiedział: 'Dam znać Atenom, że jestem jak najbardziej żywy'.

Nadeszła zima. Ze zniknięciem Alkibiadesa i jego towarzyszy flota została nie tylko bez swoich najodważniejszych i najbardziej przedsiębiorczych oficerów, ale bez tych, którzy naj szczerzej byli oddani wyprawie. Teraz dowodzili wspólnie Nikiasz i Lamachos. Natychmiast zabrakło jakiegokolwiek inicjatywy. Zamiast kontynuować energiczną ofensywę przeciwko sycylijskim miastom, odcinając Syrakuzy od ich naturalnych sojuszników, Nikiasz raz tylko, a i to bez zbytniego przekonania, spróbował je zaatakować wprost, po czym nakazał flocie odwrót na zimowisko w Katanie. Kołatałem się tam przez dwa miesiące, zanim nareszcie »Pandora« wysłana została do Iapygii, żeby sprowadzić stamtąd konie dla jazdy. Towarzyszyła nam także »Meduza«, na której służył Lew.

Iapygia, jak wiesz, to sam obcas italskiego buta. Szaleją tam piekielne, dzikie wichry, które tubylcy zwa *nocapelli*, czyli łyse głowy. Docierają tam wszakże

wszystkie wieści; statki zawijają do Karaś, a majtkowie aż pękają od plotek, którymi chętnie się dzielą z kielichami w rękę i w ciepłe kominków. O losach naszego zbiegłego wodza dowiedzieliśmy się z Lwem od szypra pewnego tyrreńskiego przybrzeżnego kutra; człowiek ów z kolei usłyszał je od bosmana z Koryntu, uczestniczącego w dowodzonej przez Konona blokadzie zatoki. Ów Koryntianin towarzyszył swemu kapitanowi w podróży do Sparty; spędził dwa wieczory w Hiacyntejonie, a nawet pozwolono mu przekroczyć próg *apelli*, zgromadzenia, którego obradom mają niekiedy prawo przysłuchiwać się również cudzoziemcy.

I otóż, jak nas poinformował nasz rozmówca, Alkibiades nie uciekł ani do Italii, ani na księżyc. Był w Sparcie.

– I to wcale nie wywieszony na szubienicy dla powszechnej przestrogi. Wolny i w pełnym blasku swej sławy, wręcz oczko w głowie całego Lacedemonu!

Ta informacja spotkała się z niedowierzającym pomrukiem tłumnie zgromadzonych w szynku ludzi morza.

– Ten sam wypachniony fanfaron – ciągnął ani trochę nie speszony szyper – który w ateńskim

zgromadzeniu występował w purpurowej szacie z ciągnącym się po ziemi trenem; ten sam, krótko mówiąc, rozpustny i wytworny Ateńczyk, jest teraz w Sparcie. Obsadził się w nowej roli i przeobraził się w nowego Alkibiadesa, nie do poznania dla nikogo, kto się z nim wcześniej zetknął. W tym swoim nowym wcieleniu ubiera się w zwykły spartański szkarłat, chodzi boso, a włosy lacedemońską modą opadają mu na ramiona. Posiłki spożywa w zwyczajnych kantynach, kąpie się w zimnym Eurotasie, a do snu układa się na trzcinowej pleciance. Do jedzenia wystarcza mu niekraszony rosół, a wino pija z wielkim umiarkowaniem. Co się tyczy wymowności, to stał się tak skąpy w słowach, jak gdyby stanowiły one złotą monetę, on zaś cierpiał biedę. O świcie można go spotkać nagiego i zlanego potem, jak trenuje na bieżniach. Popołudniami znajdziecie go w gimnazjonie lub na jakimś boisku, uczestniczącego w piłkarskich zawodach z takim zapałem i wytrwałością, że zgoła przewyższa pod tym względem nawet swych najbardziej oddanych cielesnym ćwiczeniom gospodarzy. Krótko mówiąc, stał się Alkibiades bardziej spartański niż sami Spartanie, którzy go skądinąd za to uwielbiają. Chłopcy ciągną za nim całymi gromadami, szlachetni obywatele rywalizują

między sobą o prawo zwania się jego towarzyszami, niewiasty zaś... Cóż, prawa Likurga propagują wielomęstwo, zatem nawet zameźnym Spartankom wolno szaleć na punkcie tego wspaniałego wzorca męskości, o którym powiadają wszyscy, że ...nie drugim jest on Achillesem, lecz mężem prawdziwym jako takim.

Te z kolei słowa żeglarze powitali hucznym stukaniem knykciami o ławy.

Wzięliśmy potem z Lwem Tyrreńczyka na stronę, żeby go wypytać w bardziej rzeczowym tonie. Co powiedział mu jego przyjaciel o zamiarach Alkibiadesa? Oczywiście przecież było, że nasz niegdysiejszy dowódca nie po to się udał do Sparty, aby tam grać w piłkę lub biegać po bieżniach.

– Ten akurat kawałek wyciąłem z żagla mojej opowieści, bo wątpilem, żeby was, chłopaki, choć trochę rozbawił.

– Więc teraz wstaw go z powrotem, przyjacielu.

– Działa przeciwko wam, bracia, i to z całym zapalem. Tę samą energie, z jaką niegdys zabiegał o względy Aten, teraz przeznaczna na spiskowanie, które ma je doprowadzić do upadku. Dobrze wiecie, jakimi Spartanie są domatorami i jak niechętnie przystępują do działania. Otóż Alkibiades tyle im udzielił swego

ateńskiego wewnętrznego ognia, że nawet takich jak oni ospalców zdołał wyrwać z uśpienia. Spartanie pozostawali w przekonaniu, że los Sycylii obojętny jest dla ich własnych interesów. On wytłumaczył im, że wcale tak nie jest. Kto, zapytał, lepiej mógł znać istotny cel tej wyprawy niż on sam, jej pomysłodawca i organizator? Zaczynam wyjaśniał im, że nie była nim ani Sycylia, ani Italia, ani Kartagina; podbite, miały one służyć jako szczeble drabiny, dzięki której można by zaatakować Peloponez i osiągnąć następnie prawdziwy cel, jakim był podbój samej Sparty. Najgoręcej, jak mógł, namawiał swych gospodarzy, by natychmiast przyszli Syrakuzom z wszelką pomocą, na jaką ich stać, a także podsuwał im różne inne sposoby szkodzenia jego rodakom.

Do Katany wróciliśmy z nastaniem wiosny. Panował tam jeszcze bardziej ponury nastrój niż ten, który zapamiętałem. Wprowadzono zakaz poruszania się po zmroku. Żołd dostarczano z opóźnieniem i w dodatku nie w twardej monecie, lecz w papierowych bonach; żaden dzień wypłaty nie obył się bez zamieszek. Szymon tymczasem donosił w listach, jak osoba Alkibiadesa podgrzewała atmosferę w Atenach.

...Zgromadzenie posunęło się aż do obrzucenia go kłutwą; ogłosić ją postanowili kapłani Eumolpidy. Cóż

to za iście homeryckie przedsięwzięcie! Tak wielu się stawiło chętnych do uczestniczenia w tej ceremonii, że wywołało to powszechną rebelię. To wcale nie żart, Pommo. Nie ulega wątpliwości, iż Alkibiades spróbuje postawić spartańską armię przeciwko wam, a przynajmniej sprawić, by Lacedemon posłał tam któregoś ze swych najzdolniejszych strategów. Zwyciężajcie jak najszybciej, kuzynie. A jeszcze lepiej, wracajcie do domu.

Drugiego dnia munychionu wojsko nasze ruszyło na Syrakuzy. Lew zabrał z sobą swoją nową niewiastę, Berenike. Wszystkośmy pomiędzy sobą dzielili, w tym także korespondencję. List Szymona odczytałem więc głośno, po czym Berenike spytała, czy mogłaby go zachować.

– To do kroniki Lwa.

Albowiem brat mój spisywał kronikę tej wojny.

– A dlaczego nie miałbym tego robić? Pisać umiem nie gorzej od każdego innego głupka. A poza tym mam coś naprawdę wartego opowiedzenia i jeśli tylko rzecz opublikuję, to niewątpliwie przyniesie mi to fortunę i sławę, a ponadto raz na zawsze uwolni mnie od konieczności marnowania czasu w towarzystwie takich jak ty szaraków.

Odparłem na to, że bardzo to szlachetna ambicja.

– Zrozum moją logikę, Pommo. Wspomnij strofy Homera: »... i wkroczył w tę rzeź Peleusa syn niezrównany, z boga zrodzony Achilles, i wstąpiwszy w ich szereg, pokonał wrogów...«. Albo tę: »... wielką ich liczbę zostawił na polu na ucztę psom i krukowi...«.

A teraz pomyśl, braciszku. Kimże my byśmy byli, ty i ja, na polu tamtej bitwy przed tysiącem lat? Z całą pewnością nie Achillesami! Raczej owymi nieszczęsnymi sukinsynami, których skosiło ostrze jego broni. A nasz nekrolog? Jedna nędzna linijka wciśnięta w szereg pięćdziesięciu innych bezimiennych poległych. A czyż ci tutaj ludzie nie przeżywają historii, która aż krzyczy, żeby ją opisać, Pommo. Czyżbyś nie zdawał sobie z tego sprawy? Naszą historię! Przecież, na bogów, my także jesteśmy bohaterami. A czyż przyszli czytelnicy nie są dokładnie takimi samymi ludźmi jak my? Pomyśl o innych wojownikach pancерnej piechoty. Z otwartymi ustami będą chłonać moją opowieść, której fragmenty cytowane będą we wszystkich salonach i audytoriach naszego kraju. Kto wie? Może nawet osobiście skomponuję do niej muzykę i będę recytował swoje dzieło przy akompaniamencie liry?

Zebrał się wokół nas spory tłumek żołnierzy i ich niewiast. A kto, zapytał Papka, byłby twoim

Achillesem, nowy nasz Homerze?

A któż by, jak nie Alkibiades?!

– *Iliada* – pouczył swych słuchaczy Lew – przedstawia gniew Achilleśa, który »siał spustoszenie wśród Achajów, całymi gromadami śląc do piekła ich dzielne dusze bohaterów«. Pomyślcie, bracia. Oszukany przez swego króla i wodza Achilles wkłada miecz do pochwy i wraca do swego namiotu. Tam wypowiada tę oto modlitwę: aby rodacy jego, przeżywając teraz cierpienia, w których ich osamotnił, pojęli wreszcie, o ile on ich wszystkich przerasta, i gorzko pożałowali tego, iż tak niegodnie został przez nich wykorzystany. Czyż nie taką samą rozterkę przeżywa Alkibiades, przyjaciele? Z tą jedynie różnicą, że nowożytny nasz Achilles jeszcze przewyższył swój pierwowzór. Nie tylko wycofał się z naszych szeregów, pozbawiając nas swego miecza i rady, ale jeszcze teraz stanął po stronie naszego wroga, oddając mu na służbę cały swój gniew i wojenną pomysłowość, żeby je obrócili przeciwko nam. Jego audytorium poczęło się z lekka burzyć.

– Jest nawet jeszcze gorzej, bracia. Albowiem temu nieprzyjacielowi naszemu, Sparcie, nigdy nie brakowało męstwa ani wojennych umiejętności. Jedyne, czego jej nie dostawało, a czego teraz

dostarcza jej nasz współczesny Achilles, to wizji i śmiałości w jej tworzeniu. Alkibiades zapali tego wroga do czynów, których nigdy by bez jego zachęty nie przedsięwziął, wspomagając go swoją mistrzowską strategią, na jaką sama Sparta by się nie zdobyła.

– Dość już tego, Lwie! – zaprotestował Papka, powstrzymując go wzniesionymi dłońmi.

– Ależ, przyjaciele! Jeszcze nie przeniknęli samego genialnego sedna mego pomysłu! Otóż mój epos, w odróżnieniu od Homerowego, doszukuje się istoty człowieczej wartości nie pośród spłodzonych przez bogów herosów i nie w ich heroicznych losach, lecz pośród nas tutaj, synów śmiertelnych, którzy zmagają się z przeznaczeniem w żołnierskim brudzie i znoju codzienności. To na nas, szarych bohaterów mojej opowieści, spadł obowiązek przydania jej sensu i znaczenia. To Alkibiades posłuży naszej historii, a nie my staniemy się tłem dla opowieści o nim. Taka jest oto różnica pomiędzy nowoczesną wojną a mityczną.

A teraz, Jazonie, fragment listu, który ja tamtego lata wysłałem do swego kuzyna:

...nareszcie przystąpiliśmy do czynu, jeśli można nazwać czynem wznoszenie muru. Armia nasza zdobyła dominujące nad miastem wzgórze, zwane Epipolajem. Padło w walce kilkuset ludzi, głównie po

tamtej stronie. I tak to teraz wygląda. Otaczamy się murem. Syrakuzanie przystąpili do budowy własnego, łamiąc go kątami prostymi, aby przeciąć nasz. Wychodzą przedeń w wielkiej liczbie i wznoszą palisadę. Pod jej osłoną przedłużają swój przeciwmur, po czym stawiają następną palisadę i znowu wznoszą mur. Robią w portki ze strachu, więc pracują, ile sił.

A po paru dniach:

...w kilka kompanii zaatakowaliśmy ich mur w samo południe, kiedy słońce wszystkich czyni otepiałymi. Zburzyliśmy go. Zbudowali następny, który idzie przez przylegające do zatoki moczary zwane Gorączkowiskiem. Dwa tysiące naszej ciężkiej piechoty zostały wzmocnione oddziałami piechoty morskiej. Wkroczyliśmy na to bagnisko, niosąc na ramionach drzwi i deski, które kładliśmy sobie pod nogi, żeby przejść. W pewnym miejscu ułożyli się jeszcze na nich żołnierze, po których ciałach towarzysze ruszyli do ataku. W kulminacyjnym momencie potyczki do zatoki wpłynęła flota, która dotychczas pozostawała na północy. To zdecydowało o wyniku. Syrakuzanie uciekli za osłonę muru. Jednakże poległ Lamachos. Teraz Nikiasz dowodzi samodzielnie.

Ale Syrakuzanie już są pobici. To jeszcze tylko

kwestia wzniesienia naszego muru, oparcia się o morze i dokończenia blokady miasta. Jak już to zrobimy, będą do reszty ugotowani.

Głównym naszym architektem był Kallimachos, syn Kallikratesa, budowniczego Peryklesowych Długich Murów. Miał on do swojej dyspozycji sześć cegielni i dwadzieścia kuźni, które wytwarzały niezbędne żelazne elementy. Nikiasz opanował miejsce zwane Plemmyrionem, które my przezwaliliśmy Skałą, gdyż nie było tam w ogóle wody; Skała owa odgradzała miasto od wejścia do zatoki. Syrakuzy zostały zablokowane także od strony morza. Nieprzyjaciel nie považał się już na zbrojne wycieczki.

...obrócony w gruzy teren na wschodzie miasta stanowił przed naszym nadejściem przyjemną dzielnicę świątyn i promenad. Mieściły się tam szkoły dla chłopców, kwatery mieszkalne, boiska do gry w piłkę. Teraz to wszystko jedna wielka ruina. Zniszczony został każdy dom, każda ściana i każda ulica. Cegły i kamienie, które się na nie składały, teraz tworzą nasz mur. Wycięliśmy wszystkie drzewa, żeby mieć materiał na rusztowania, pochylnie i palisady; jak okiem sięgnąć, nie znajdziesz ani źdźbła trawy. Jedyne budynki, jaki się ostał, to wytwórnia pieców

chlebowych. Armia i towarzyszące jej gromady liczą w sumie sto tysięcy ludzi. Miasteczko namiotowe dorównuje rozmiarami samym Syrakuzom; przecinają je nie zwyczajne dróżki, lecz istne bulwary. Na szczęście ponumerowano latryny; bez tego nie sposób byłoby po wysraniu się odnaleźć własny namiot.

Przez całą równinę ciągną się kamienne garbki, które wyznaczają przyszłą linię muru. Od strony nieprzyjaciela osłaniają je okopy, chronione ostrokołami. Nocami przestrzeń pomiędzy zatoką a morzem rozświetlona jest blaskiem ognisk i pochodni; wielce to jest widowiskowe. Pomijam rzecz jasną flotę, która albo stoi w zatoce na kotwicy, albo widzimy ją jak ćwiczy, wypłynąwszy w morze. W każdym razie w sumie wygląda to wszystko tak, jakby jedno miasto oblegało drugie.

Udaliśmy się z Lwem w odwiedzinach do Telamona, który stacjonował ze swymi Arkadyjczykami na południowym skraju muru, w miłej parkowej dzielnicy zwanej Olympionem. Przyjęcie, z jakim się spotkały u najemników literackie próby mego brata, a mianowicie kpiące rozbawienie, bardzo go przygnębiło, toteż poprosił Telamona o jego osobistą ocenę. Nasz mentor spojrzał nań takim wzrokiem, jak gdyby posądzał go o utratę rozumu.

Lew zaproponował, że zapłaci mu za recenzję. To okazało się skuteczną zachętą. Telamon ustosunkował się do głównego tematu dzieła, którym był heroizm. Czy męstwo okazane w masie współtowarzyszy walki równie jest godne uwagi jak to, którym wykazał się samotny bohater?

– Mamy w naszym kraju takie przysłowie – powiedział Telamon. – »Heroizm posłuży ci do skomponowania dobrej pieśni, ale marną ugotujesz na nim zupę«. Znaczy to z grubsza: trzymaj się jak najdalej od bohaterów. Oni płacą tylko zapalem i namiętnością. Toteż Lew dobrego sobie obrał bohatera, bo Alkibiades to człek, który żyje namiętnościami i rozpala je w innych. Dlatego też marnie skończy.

Lew domagał się rozwinięcia tej tezy.

– W Arkadii nie budujemy miast; wolimy żyć bez nich. Miasto jest płodną glebą dla bohaterów i dla namiętności. A któż jest doskonalszym wzorem miejskiego człowieka niż Alkibiades?

– Chcesz powiedzieć, Telamonie, że w życiu takiego zawodowego żołnierza jak ty nie ma miejsca na heroizm?

– Herosów rozpoznaje się po ich grobach.

Oburzyłem się na to: przecież i on sam, Telamon, był bohaterem!

– Mylisz ostrożność z odwagą, Pommo. Jeśli walczę na czele, to dlatego, że uważam to za najbezpieczniejszą pozycję. A że po to walczę, by zwyciężyć... Cóż, umarli nie stają w kolejce po żołd.

Najwidoczniej powiedział już wszystko, co miał na ten temat do powiedzenia, gdyż zaczął się zbierać do odejścia. Lew wszakże nie dawał za wygraną.

– A co w takim razie z samą zapłatą? Do niej przecież na pewno pałasz namiętnością!

– Chętnie posługuję się pieniędzmi, ale nie pozwalam, żeby to one posługiwały się mną. Służba za pieniądze daje najemnikowi pewien dystans wobec ambicji i celów jego dowódcy. Oto i należyty użytek z pieniędzy; służba z myślą o zapłacie staje się cnotą, podczas gdy umiłowanie ojczyzny czy żądza chwały czynią człowieka igraszką jego własnych pragnień. A to już wręcz grzech. Za darmo służą tylko patrioci i głupcy.

– Patriota czyni to z miłości do kraju – zauważył Lew.

– Z miłości do siebie samego. Czymże bowiem jest ojczyzna, jeśli nie zwielokrotnieniem siebie, a tym samym przejawem próżności? Co raz jeszcze dowodzi, że dokonałeś najlepszego wyboru bohatera, przyjacielu, bo który ze wszystkich mężów bardziej niż

Alkibiades ukochał samego siebie? I kto doskonalej niż on ucieleśnia miłość ojczyzny?

– A czyż miłość ojczyzny jest grzechem?

– Nie tyle grzechem, ile szaleństwem. Lecz w końcu każda miłość jest szaleństwem, jeśli myślimy o tej, którą tak się hołubi w swym sercu, że zatracą się wszelka różnica pomiędzy nią a kochającym.

– Zatem wedle twojej miary Alkibiades jest niewolnikiem Aten?

– Nikt pod tym względem nie może być podlejszym od niego niewolnikiem.

– Nawet kiedy się całą potęgą swego ducha zwraca przeciwko nim?

– To druga strona tego samego medalu.

– A więc i my sami – stwierdził na to Lew, wskazując na zebranych w namiocie żołnierzy – jesteście głupcami i niewolnikami?

– Służycie temu, co najbardziej cenicie.

– A czemu ty służysz, Telamonie? Jeśli pominąć pieniądze.

W głosie Lwa zabrzmiało oburzenie; poczuł się osobiście urażony. Lecz Telamon uśmiechnął się.

– Ja służę bogom – oświadczył.

– Zaraz, zaraz...

– Bogom, powtarzam. To im służę.

Po czym wyszedł.

Trwała budowa muru. Jeśli ta wyprawa kiedykolwiek była wojną, to definitywnie nią być przestała. Zamiast wojny, prowadziliśmy roboty publiczne. Ze szkodą dla samych siebie, jako że mąż, który nie spełnia powinności wojownika, przestaje być wojownikiem.

W połowie lata zaczęło to wychodzić na jaw. Bywało, że żołnierze płacili swoim towarzyszom za zastępowanie ich na warcie i tym samym sposobem wykupywali się od pracy przy murze. Najmowali Sykelów, niegreckich tubylców, lub kogoś z tłumu tych, którzy towarzyszyli wyprawie, sami zaś rozkoszowali się nieróbstwem. Nawet żeglarze zaczęli się posługiwać zastępcami. Kiedy oficerowie spróbowali położyć kres tym praktykom, załogi w drodze głosowania pozbawiły ich funkcji, na ich miejsce wybierając takich, którzy wiedzieli, jak marmurowy lisek, z którego cycka mleko, a z którego woda ciecze.

Bezczynność zaowocowała niezadowoleniem, niezadowolenie zaś zrodziło bunt. Ludzie jawnie spali na straży; kręcili się wokół namiotów golibrodów i tłoczyli się w barakach kurewskiego obozu; widać ich było wszędzie, tylko nie na placach ćwiczeń.

Niemożliwością było przywrócenie dyscypliny, gdyż świeżo upieczeni oficerowie sprawowali swoje funkcje z łaski samych żołnierzy. Symulactwo przybrało rozmiary epidemii. Ludzie oddalali się bez przepustek, a po powrocie nie raczyli nawet wytłumaczyć się z nieobecności. Nie przestrzegano już zwyczaju, że noc spędza się pośród towarzyszy z własnego oddziału; każdy włóczył się, gdzie mu się spodobało, najczęściej w poszukiwaniu jakiejś burdy. Zapanowała plaga złodziejstwa. W odpowiedzi na to mnożyły się przypadki samosądów. Bywało, że ktoś komuś rozplątał brzuch nożem z powodu skradzionego buta lub z zazdrości o niewiastę czy chłopca.

A gdzie był nasz wódz, Nikiasz? W swoim namiocie, chory na zapalenie nerek. Nadszedł i minął dzień jego sześćdziesiątych drugich urodzin. Podkomendni naśmiewali się z niego i ze stada wróżów i znachorów, którzy krążyli pod jego namiotem niczym mewy wokół wysypiska odpadków.

Nurt przedsiębiorczości, który pod właściwym kierunkiem mądrych i skutecznych oficerów utrzymuje obecnie armię w porządku i dyscyplinie, wtedy rozpląnął się w sieć coraz to szkodliwszych odnóg i kanalików. Ci, którzy wykupili się od pracy, poświęcali swój czas na handel kobietami i

przemycanymi towarami, a nawet wojskowym sprzętem. Któż miałby im w tym przeszkodzić? Stali się przedsiębiorcami i kupcami, którzy dobrze wiedzieli, do kogo wyciągnąć rękę i czyją dłoń posmarować. Ci, którzy zachowali przyzwoitość, patrząc, jak szerzy się korupcja, i widząc, że dowódcy są wobec tego wszystkiego całkowicie bezradni, tracili resztki motywacji do dbania o samych siebie. Żołnierskie plecaki przypominały śmietniki. Poszły w diabły wszelkie zasady higieny osobistej. Więcej było chorych niż zdolnych do pracy przy murze. Nawet ja sam w końcu poddałem się tej przemożnej fali bałaganu i niechłujstwa, zwłaszcza że moje protesty na tyle tylko mi się zdały, iż mnie zdegradowano do stopnia szeregowca. Zająłem się polowaniem. Zdobyłem psy i zebrałem grupę naganiaczy; interes szedł na całego. Niekiedy wyruszałem na dziesięciodniowe wyprawy i nikomu mnie w obozie nie brakowało. Majtkowie z »Pandory« rozproszyli się: jedni wrócili na okręt, doszedłszy do wniosku, że lepsza już służba na morzu niż dźwiganie szaflików z zaprawą, inni porozłazili się po najróżniejszych zakątkach obozu. W końcu i ja wraz z Lwem machnęliśmy ręką na obóz i przenieśliśmy się do Olympionu, który sąsiadował z Arkadyjczykami

Telamona.

Pewnego wieczoru udaliśmy się we trzech na przechadzkę po owym wzniesieniu zwanym Epipolajem. Lew zaczął się rozwodzić nad przyczynami przeżerającego armię rozkładu. Telamon odlewał się, nie zaszczycając go nawet spojrzeniem.

– Nie ma Alkibiadesa, nie ma imperium – mruknął.

Zapadła noc. Rozświetlił się kagankami fort, który nazwano Kręgiem. Maszerowaliśmy, spoglądając w dół na miasto i zatokę.

– Nikiasz przeżył już swój czas – ciągnął Telamon.

– Jest jak stary wół roboczy, który marzy tylko o tym, żeby wreszcie wrócić do stajni.

Potoczył ręką po rozciągającym się pod nami od zatoki po morze ludzkim mrowisku.

– Popatrzcie na to piekło. Komu innemu przyszłoby do głowy przepłynąć ocean po to tylko, żeby oblegać naród, który mu w żadnym stopniu nie zagrażał? Nikogo by nie skłonił do tego ani strach, ani nawet chciwość. Jedna tylko siła mogła kogoś popchnąć do takiego przedsięwzięcia. Marzenie! Ale już po marzeniu. Opuściło nas razem z waszym przyjacielem Alkibiadesem.

Opowiedzieliśmy się po niewłaściwej stronie, mówił dalej Telamon. Musieliśmy przegrać. Ja i Lew

zaśmialiśmy się na to. Jakże moglibyśmy przegrać? Syrakuzy są zupełnie odcięte. Reszta sycylijskich miast wręcz zbiega się do nas. Żadne wojska nie nadciągają na pomoc Syrakuzanom, a oni sami żadnym sposobem nie potrafią się obronić przed klęską. Kto miałby ich tego nauczyć?

– Spartanie – odparł Telamon tonem kogoś, kto nie ma ani cienia wątpliwości. – Niech ich tylko wyśle Alkibiades jako nauczycieli bratnich Dorydów z Syrakuz".

20. NAUCZYCIELE WOJNY

„Wśród rzeczy, którymi różnią się Spartanie od innych nacji – mówił dalej Polemides – jest i taka oto. Kiedy któryś z ich sojuszników znajdzie się w tarapatkach i poprosi ich o pomoc, to jako jedyni na świecie wysyłają mu nie wojsko ani nie złoto, lecz jednego ze swych polemarchów. Ich zdaniem on sam, objąwszy dowództwo nad obleżonym wojskiem, wystarczy, by odwrócić bieg rzeczy i doprowadzić do zwycięstwa.

Tak też, jak wszystkim wiadomo, stało się w Syrakuzach. Spartański dowódca miał na imię Gilippos. Poznałem tego człowieka podczas mego szkolenia w Sparcie. Oto pewna prawdziwa o nim historia:

Jako chłopiec Gilippos był wyjątkowo szybkim biegaczem. Będąc dziesięcioletkiem, zwyciężył podczas chłopięcej Hiacyntiady w Drugim Biegu, przełajowym wyścigu na dystansie ponad osiemdziesięciu stadionów. A oto przez co trzeba było przejść w trakcie tej arcydziełkowej próby: każdy biegacz musiał zaczerpnąć do ust wody i nie przełknąwszy jej w trakcie gonitwy, w całości przelać w złożone dłonie wykutego w brązie Apollina Przebiegłego. Kto nie

doniósł wody, ten został zdyskwalifikowany. I prawie wszystkich to spotykało. Czasem wystarczyło po prostu się potknąć, by odruchowo przełknąć wodę.

Gilippos wymyślił sztuczkę. Kiedy tylko znalazł się poza zasięgiem wzroku sędziów, wypijał wodę i pędził, ile sił. Tyle że uprzednio przygotowywał sobie wodę w znajdującym się o jakąś milę przed metą wydrążonym kamieniu. Przybiegał doń pierwszy, nabierał wody w usta i donosił do końcowej tyczki. Tak wygrał jako dziesięciolatek i ponownie, gdy miał jedenaście lat. Jednakże pewnej nocy pochwalił się swoją sztuczką przed śpiącym obok niego starszym bratem, Febidasem. Ten postanowił mu dać nauczkę. Podczas następnego wyścigu pobiegł do owego kamienia i przewrócił go. Kiedy Gilippos jak zwykle dobiegł pierwszy do tego miejsca, nie mógł z powrotem napęlić ust wodą, a tymczasem przecież z tyłu nadbiegali inni chłopcy.

Popędził więc dalej i znowu pierwszy zjawił się na mecie. Zgodnie z przyjętą zasadą sędziowie polecili mu napęlić dłonie Apollina. I Gilippos wykonał to polecenie. Biegając, przegryzł był sobie język i usta wypełniła mu krew.

Już jako dwudziestolatek, dowodząc w Tracji brygadą, nie tylko wielokrotnie wyróżnił się osobistym

męstwem, ale i odnosił świetne sukcesy jako dowódca rezerwowych oddziałów, złożonych z niedostatecznie uzbrojonych i słabo wyćwiczonych helockich rekrutów. Gilippos zdawał się posiadać jakąś szczególną zdolność znajdowania wspólnego języka z tymi grubo ciosanymi prymitywami i okazał się geniuszem, przeobrażając ich w doborowe oddziały. Ów talent z pewnością przyczynił się do tego, że to jego właśnie wybrali eforowie na dowódcę obrony Syrakuz.

I oto tenże Gilippos, teraz już trzydziestosześcioletni polemarch, zdobywca trzech odznaczeń za męstwo, z których jedno wywalczył pod Mantineją, przybył na Sycylię z czterema zaledwie okrętami, dwoma sekretarzami, młodym porucznikiem jako osobistym adiutantem oraz garścią wyzwolonych helotów w roli piechoty morskiej. W ciągu dwunastu miesięcy wywrócił wszystko do góry nogami. Zaczął od tego, że syrakuzzańskiemu dowództwu floty, którego przedstawiciele mieli zwyczaj paradować w iście pawio kolorowych szatach oznaczających ich rangę, kazał je wszystkie publicznie spalić, uprzednio wydawszy nakaz przywdziewania wyłącznie białego odzienia, a następnie zorganizował święto ku czci Nagiego Posejdona, po dorycku zwanego

Gymnopotideją. By oduczyć swe kohorty wylegiwania się w śpiworach, zarządził codzienne obrządki ofiarne, które odbywały się o brzasku i koniecznie w obecności wszystkich dowódców. Załogom okrętów zabronił używania jakichkolwiek nakryć głowy; częściowo po to, by położyć kres manifestacjom próżności, ale przede wszystkim z tą myślą, by jego ludzie ogorzeli na słońcu i pod wpływem jego promieni nabrali wigoru.

Ateńczycy mieli swobodny dostęp do Małej Zatoki, w której znajdowały się stocznie; Gilippos zamknął ją za pomocą kamiennych falochronów i palisad. Pod tą osłoną zapędził swych podwładnych do pracy. Morscy architekci i majstrowie stoczniowi zaliczani byli do tej pory w poczet zwykłych, nisko usytuowanych w hierarchii rzemieślników. Gilippos radykalnie zmienił ten stan rzeczy, odznaczając przedstawicieli tych zawodów honorowymi broszami oraz tytułem *poleos soteris*, zbawców miasta.

Zanim objął dowództwo, młodzieńcy, którzy nie ukończyli jeszcze osiemnastu lat, nie mieli prawa wpisywać swych imion na listę obywateli miasta, ci zaś, którzy przekroczyli sześćdziesiątkę, musieli przejść w stan spoczynku, i to bez względu na to, ile zachowali krzepy i jakimi się odznaczyli

umiejętnościami. Gilippos uchylił te przepisy, wzmacniając załogę stoczni najbystrzejszymi chłopcami, którzy terminowali w fachu, oraz najdoświadczeńszymi budowniczymi w starszym wieku, których uczynił majstrami. Pod koniec zimy flota Syrakuz liczyła już prawie tyle samo okrętów, ile miał ateński najeźdźca, a ich dowódcy nabrali takiej biegłości, że mogli w pojedynkach na morzu stawić czoło naszym okrętom.

Gilippos przeorganizował także armię. Przeprowadził próby mające wykazać, którzy spośród żołnierzy najwyżej sobie cenili nie bogactwo czy władzę, lecz honor, po czym tych właśnie ludzi mianował kapitanami. Wszyscy, którzy dobili się swych stanowisk dzięki pieniądзом lub protekcji, musieli ponownie się o nie ubiegać, przy czym do oceny ich umiejętności prawo miał tylko sam Gilippos i świeżo przez niego mianowani dowódcy. Wojsko na nowo podzielił na kompanie, już nie wedle plemiennej przynależności, lecz zgodnie z dzielnicami miasta, z których wywodzili się żołnierze. Zestawiał następnie z sobą te oddziały, pomiędzy którymi trwała naturalna rywalizacja, i fundował nagrody w rozmaitych turniejach i zawodach. Takim właśnie sposobem batalion z dzielnicy Geloan wspiął się na szczyty

sprawności w rywalizacji z przeciwnikami z Andetuzji. Ale z kolei Gilippos z obu tych batalionów utworzył sojuszników, którzy wspólnie walczyli o zwycięstwo we współzawodnictwie z innymi. Dzięki tego rodzaju ćwiczeniom poszczególne oddziały zyskiwały pewność siebie, natomiast armia jako całość nabierała zaufania do swoich dywizji.

Uświadomiwszy sobie, że brakuje broni i zbroi, Gilippos rozkazał wszystkim posiadaczom tarcz i napierśników, aby zaprezentowali je na głównym placu miasta. Bogaci, aby się popisać, wystąpili ze swymi najświetniejszymi zbrojami, którym gdy już zostały uszykowane do przeglądu, Gilippos postawił naprzeciw nich własne, pozbawione jakichkolwiek ozdobników *panoplia*. Grały one rolę wzorca: wszystko, co stanowiło jakikolwiek ozdobny dodatek, zostało z każdej z zaprezentowanych zbroi zdjęte, a następnie sprzedane, cały zaś zysk przeznaczono na uzbrojenie dla wojska obywatelskiego.

Dla pozyskania dochodów Gilippos zastosował taką oto sztuczkę. Obawiając się, że nałożenie bezpośredniego podatku mogłoby zwrócić przeciwko niemu arystokrację, nakłonił zgromadzenie do uchwalenia ustawy, zgodnie z którą każdy obywatel zobowiązany był oznaczonego dnia publicznie złożyć

sprawozdanie ze swego majątku. Stworzyło to sytuację, w której każdy osobiście mógł się przekonać o stopniu zasobności swego bliźniego. Skutek był taki, że zamożniejsi sami się zawstydzili tego, iż nie łożą na wspólnotę więcej niż biedniejsi, a zarazem biedacy, którzy z honorem wypełniali swoje obywatelskie obowiązki, uznani zostali za mężów wartościowszych niż bogacze. Wszystko to razem spowodowało znaczny napływ kontrybucji wojennych. Jazda zyskała obfitość koni, a skarbcze napełniły się kosztownościami.

Korzystając z językowych związków, jakie istniały pomiędzy doryckimi Spartanami a Syrakuzanami, Gilippos posłużył się dla wojennych celów także słowami. Żołnierzy pancernejszej piechoty nazwał teraz *homoioi*, czyli Równi. Pułki zaczęły się zwać *lochoi*, a dywizje *morai*. Nawiązał również do spartańskich obyczajów, przymuszając wojowników, którzy zwykli pożywiać się we własnych domach lub w gronie przyjaciół, do jadań w wojskowych kantynach razem z towarzyszami ze swoich kompanii. Tym sposobem umacniał w żołnierzach ducha wspólnoty, równocześnie sprawiając, iż czuli się oni równi sobie i zjednoczeni.

Z zarządzenia Gilipposa pijaństwo stało się przestępstwem, a dbałość o stan własnych nóg i stóp

obowiązkiem, którego zaniedbanie karane mogło być chłostą. Karalne było także zapuszczenie sobie brzucha oraz pokazywanie się w postawie innej niż po żołniersku wyprostowanej. Wódz wprowadził do oficjalnej praktyki takie same jak w Sparcie prześmiewcze hymny i wynajmował miejską dzieciarnię do wyszukiwania i wyśmiewania za pomocą tych właśnie piosenek żołnierzy, którzy uchybili zasadom schludności. Takie to i inne jeszcze wdrożył Gilippos reformy. Najważniejszą jednak ze wszystkich była jego stała obecność pośród ludzi, z którymi dzielił ich niedole i dramaty i dla których wolności wszystko z siebie dawał.

Pewnego ranka pod koniec zimy, gdy Gilippos wezwał na zbiórkę swoje bataliony i wszyscyśmy popędzili na wyznaczone sobie miejsca, spostrzegłem, że Lew robi jakieś notatki.

– Czy zauważyłeś – rzucił – zdyscyplinowanie, z jakim Syrakuzanie zajmują pozycje, odkąd Gilippos przerobił ich na własny obraz i podobieństwo?

Rozejrzałem się dokoła. Spośród otaczających nas sojuszników – Ateńczyków, Argiwów i Korkirian – wielu przykłękło lub przykucnęło. Napierśniki walały się po ziemi; tarcze pozostawały w byle jakim położeniu, na wypukłości albo wręcz zarzucone na

grzbiet właściciela; giermkowie dwoili się i troili, zastępując swych towarzyszy, którzy od dawna już woleli wynajmować się na zastępstwa lub do pracy. Tymczasem naprzeciw nas Syrakuzanie co do jednego stali w pełnym oporządzeniu, z tarczą wspartą o kolano, z giermkim u lewego boku, z hełmem i półpancerzem w położeniu przejętym od Spartan.

Tego dnia pokonali nas. Kiedy lato zaczęło się mieć ku końcowi, ich mur przeciął drogę naszemu i od tej chwili nie było już żadnej nadziei na to, byśmy zdolni byli zdobyć Syrakuzy. Gilippos nocnym atakiem opanował Labdalon, fort i skład na szczycie Epipolaju, w którym zgromadzony był nie tylko nasz sprzęt oblężniczy, ale i gotówka na wypłatę żołdu. Następnie ufortyfikował Euryalos, jedyną możliwą do sforsowania linię na Epipolaju, i kontynuował rozbudowę muru, by zamknąć całość umocnień. Nawet na morzu, gdzie przewaga umiejętności po stronie naszej floty wciąż była niepodważalna, Gilippos przystąpił do ofensywy. Teraz dopiero przydała mu się pomysłowość jego morskich dowódców. Uświadomiwszy sobie, że nie dojdzie do»bitwy na pełnym morzu, gdyż będzie się ona musiała rozegrać na przestrzeni Wielkiej Zatoki, Spartanin nakazał wzmocnić czoła i dzioby swych okrętów oraz

dobudować po dwie dodatkowe ostrdgi, aby móc taranować od czoła, a nie tylko od burty, jak to zwykli z upodobaniem czynić Ateńczycy. Nauczyliśmy się od niego nowego terminu, *boukephalos*, czyli woli łeb. Za pomocą tych potężnych taranów walił w nasze, które były lżejsze i płytsze, zmuszając ateńskie okręty do ucieczki za zasłonę obu falochronów, do wewnętrznej zatoki. Teraz to na nas przyszła kolej zatapiania stert głazów dla sformowania ochronnych półksiężyców i uruchamiania holowniczych barek, z których spuszczało się »jeże« i »delfiny«.

Z końcem jesieni Gilipposowe łupinki w pełni dowiodły tego, jak są groźne, zatapiając lub wyłączając z walki w sumie czterdzieści trzy nasze okręty, podczas gdy jego lądowe oddziały wypchnęły nas z całego Epipolaju z wyjątkiem fortu Krąg w Syke. Jego flota strasznie w tych bojach ucierpiała: aż ponad siedemdziesiąt jednostek zatoneło lub doznało bardzo poważnych uszkodzeń, on jednakże bardzo szybko nadrabiał te straty, sprowadzając świeże drewno z głębi wyspy i przez Małą Zatokę, pod osłoną ukończonego już przeciwmuru.

Teraz to nie my jego, a Gilippos nas blokował, coraz ściślej zaciskając wokół nas pierścień okrążenia. Syrakuzanie mogli sobie pozwolić na stratę dwóch

ludzi w zamian za naszego jednego oraz dwóch okrętów za jeden i dwóch murów za jeden, a nadto z każdym dniem ich położenie umacniało się, jako że coraz to nowe sycylijskie miasta, czując, skąd wiatr wieje, odrywały się od najeźdźców i przechodziły na stronę swych krajan. Nikiasz wydał rozkaz opuszczenia górnych murów; utraciliśmy więc pozycje wyjściowe do ataku poprzez miasto i zatokę, a co gorsza, wytwórnię pieczywa, na której opierało się nasze zaopatrzenie w żywność. Niezliczone rzesze markietanek i innych satelitów wojska, w tym wiele naszych niewiast, porzucało obóz. Przycupnięci i okrażeni, trwaliliśmy niczym stado szczurów na południe od Gorączkowiska, bagien i rozlewisk zatoki. A kiedy na dobitek jeszcze innej nocy oddziały Gilipposa wypchnęły nas z Olympionu, także i ten nędzny przyczulek znalazł się w zagrożeniu.

Moja stara »Pandora« przeżywała całe lato, odgradzając nieprzyjaciela od Plemmyrionu i znosząc nieustanne ataki, tak że nie można było jej nawet wyciągnąć na brzeg i osuszyć. Kiedy wreszcie trafiła do doku naprawczego, wszedłem na jej pokład, by odwiedzić miejsce mych drzemek przy dziobowych dźwigarach kotwicznych. Gdy postawiłem stopę na głównej belce, drewno ustąpiło pod naciskiem niczym

gąbka.

Nasze okręty gniły.

Skończyły się zasoby płatniczych; z żołądem zalegano od trzech miesięcy, a niezdługo już miało się to przeciągnąć do czterech. Zaczęły się dezercje cudzoziemskich najemników, służący zaś i niewolnicy, którymi ich zastępowano, zaledwie posmakowali bicza na grzbiecie, już cichaczem spuszczały się za burtę. Stan zdrowia Nikiasza jeszcze uległ pogorszeniu. Morale było gówniane. Najemni oficerowie nie potrafili już panować nad ludźmi. Telamon stracił jedną piątą swoich Arkadyjczyków, którzy przeszli na stronę wroga.

Na początku drugiego zimowania dostałem list od Szymona, między innymi z wiadomością, że małżonka Lwa powtórnie wyszła za mąż; człeka znalazła sobie poczciwego, wojennego kalekę. Nasz kuzyn spotkał Eunikę, która wciąż bardzo źle o mnie myślała, oraz dzieci, które miały się dobrze.

...liczne doniesienia o Gilipposie i jego złowrogich poczynaniach. Ateny same siebie mogą o to obwiniać. Czegóż się spodziewały po Alkibiadesie? Że podziękują im za wydany na siebie wyrok śmierci?

My tu, na miejscu, też mamy za co być wdzięczni naszemu przyjacielowi. Nie poprzestawszy na posłaniu

do was Gilipposa, jeszcze przekonał Spartan do zdwojenia skierowanych przeciwko nam wysiłków. Król Agis stoi z całą swą armią pod naszymi murami i ani myśli wracać do domu. Ufortyfikowali Dekeleję; to kolejne posunięcie, do którego nakłonił ich Alkibiades. Już dwadzieścia tysięcy niewolników dało nogę z miasta. Każdej nocy ucieka następnych trzystu, w tym świetni rzemieślnicy, których niestety nie ma kto zastąpić. Pszenica i jęczmień już nie docierają do nas ładem via Eubea. Wszystko musi iść okólną morską drogą wokół Sunionu. Bochenek chleba kosztuje pół roboczej dniówki. Co do mnie, to zastawiłem już w lombardzie swój ostatni fanfaroński płaszcz. Meleager skreślił mnie z listy rycerzy. Nie mogę mu tego mieć za złe, skoro nie posiadam już ani jednego konia.

Ale... Los się jednak do mnie uśmiechnął. Trwa otóż zaokrętowanie drugiej flotylli, która niezwłocznie popłynie wam na pomoc pod dowództwem bohaterskiego Demostenesa. Wziąwszy pod pachę swoją ostatnią kaczkę, przekupiłem nią rekrutującego wojsko oficera i zostałem przyjęty do oddziału kawalerii bez koni. Mamy je dostać na Sycylii; tak przynajmniej zapewniają nas nasi dowódcy. A więc trzymaj się, kuzynie. Jadę ci (lub raczej idę) na ratunek!

W chwili gdy list ten wreszcie do mnie dotarł, cztery miesiące po wysłaniu, flotylla Demostenesa dopłynęła już do Korkiry. Minęło kolejnych dziesięć dni i ujrzelśmy pierwsze korwety. Doszło ich jeszcze siedem, a pokazała się też cała armada – siedemdziesiąt sześć okrętów, dziesięć tysięcy ludzi, uzbrojenie, pieniądze i zaopatrzenie. Dowodzeni przez Gilipposa obrońcy wycofali się do Słoninowej Doliny i do Szaty Pedagoga, jak nazwaliśmy trzeci i czwarty przeciwmur; ich flota skryła się za Ortygią w Małej Zatoce.

Ponownie odwróciła się karta w tej wojnie. Kiedy nowe okręty wpływały do Wielkiej Zatoki, bracia i kamraci z radością rzucali się sobie w objęcia. Żołnierze piechoty morskiej skakali przez burty, witając się ze swymi towarzyszami po pas w wodzie. Ci na brzegu zrzucali z siebie odzienie, płynęli ku okrętom i wspinali się na pokłady, podciągając się na rękach od jednego do drugiego wioślarskiego otworu. Szymona znaleźliśmy z Lwem na brzegu, w gromadzie jeźdźców bez koni, i obaj rozplakaliśmy się, przyciskając go do piersi.

Ileż to czasu minęło! Dwie ciężkie zimy od chwili, gdy wyprawa wypływała tak pełna najlepszych nadziei; dwa długie lata postępującej demoralizacji,

odkąd nie widzieliśmy naszych drogich bliskich i braci i nie słyszeliśmy z ich ust wieści z domu ani nie czuliśmy dotknięcia ich ciał. Nie mówiąc już o tym, że te posiłki nie przybyły ani o godzinę za wcześnie.

Każdy uczestnik pierwszej wyprawy, zaledwie upewnił się względem swych przyjaciół i krajan, natychmiast musiał na własne oczy zobaczyć Demostenesa. Nasz nowy współwódz dostał się na brzeg, brodząc w wodzie, z hełmem pod pachą i z płaszczem, który pławił się w morzu. Gdy stanął na szczycie palisady, tłum ogarnęło istne szaleństwo. Oto i on, bracia! Nie ma zielonkawej cery jak chory i wyczerpany leczeniem Nikiasz; jest ogorzwały od słońca i samym swym widokiem świadczy o rozpierającej go energii i stanowczości. Nie udał się też od razu do wzniesionego na jego przybycie ołtarza, aby poradzić się bogów, lecz wspiął się tam, skąd własnoocznie i własnym rozumem może ocenić stan rzeczy. Ludzie, to Demostenes! Oto nareszcie mamy triumfatora, który zwyciężył w Etolii, Akarnanii i w Zatoce, a pod Sfakterią pokonał i wziął do niewoli samych Spartan!

Pierwsze, co zrobił Demostenes, to rozkazał wypłacić ludziom należne im pieniądze. W ciągu popołudnia przeszło przez stoły czterdzieści tysięcy oboli w nowiuteńkich sowach i dziewicach, co

wyrównało wszystkie zaległości w żołdzie. Przemowa, jaką wygłosił tego samego wieczoru nowy wódz, zwięźlejsza była niż spartańskie:

– Żołnierze! Przyjrzałem się dobrze tej piekielnej dziurze i ani trochę mi się ona nie podoba. Przybyliśmy tu, żeby pogonić kota tym psubratom. Czas, żebyśmy się do tego zabrali.

Słowa te powitane zostały potężnym łoskotem włóczni bijących tarcze; armia dawała tym sposobem wyraz swemu zdecydowaniu i aprobachie dla nowego wodza.

Już trzeciej po jego nastaniu nocy siłą pięciu tysięcy ludzi Demostenes odbił Olympion. Ledwie przyszedł świt, atakiem dziesięciu tysięcy wypchnął Syrakuzan z rejonu zatoki. Flota odzyskała Skalę i odnowiła pełną blokadę miasta; następny nocny atak przywrócił nam całe osiem stadionów naszego starego muru.

Straty były niezwykle ciężkie. Ich łączna liczba po czterodniowych bojach przekroczyła tę, którą odnotowano podczas całego roku, jednakże trzeba się było z nimi pogodzić, skoro przyniosły zwycięstwo. Demostenes nie zamierzał zmarnotrawić raz nabranego rozpędu: kazał ściągnąć zbroje z zabitych i rannych, a następnie użyć ich do przekształcenia służb

pomocniczych, w tym nawet kucharzy, w oddziały pancernej piechoty. Wśród tych przeobrażonych znalazł się także mój kuzyn wraz ze swymi konnymi towarzyszami. Szymon nigdy nie walczył pieszo i w zbroi, a nie jest to umiejętność, którą można osiąść w ciągu jednej nocy. Ani jemu, ani jego bezkonnej konnicy nie przypadł też w udziale luksus zaatakowania jakiegoś słabego i łatwego do zdobycia punktu.

Cel następnego ataku mógł być już tylko jeden: Epipolaj. To wzniesienie musiało być odbite z rąk wroga; bez tego żaden szturm na miasto nie mógł przynieść powodzenia".

21. KATASTROFA NA EPIPOLAJU

„Równy z drugą nocną wartą postawiono na nogi dziesięć tysięcy pancерnej i morskiej piechoty (przy czym dano nam do spakowania czterodniowe racje żywnościowe, jako że mieliśmy zdobyć i utrzymać przeciwmur) oraz dziesięć tysięcy łuczników i procarzy w charakterze wsparcia. Do obrony naszego terenu przed ewentualnym kontratakiem, który byłby wymierzony we flotę, pozostali tylko żeglarze i służby pomocnicze. Zdaniem Demostenesa gra warta była podjęcia takiego ryzyka. Zebrał wszystko, czym rozporządzał, i całą tę siłę rzucił przeciw Gilipposowi.

Byłem przekonany, że atak się powiedzie; co mnie przerażało, to myśl o moim kuzynie. Żaden był z niego żołnierz, a wysoko na skałach wszystko się mogło zdarzyć, zwłaszcza w ciemnościach i w oddziale spiesznej konnicy, która ani nie była wyćwiczona w walce w ciężkiej zbroi, ani fizycznie przygotowana do natarcia pod górę. Co gorsza, dowódca Szymona, Apsefion, który obu nam dał się poznać ze swej głupoty już w Acharnai, postanowił zostać bohaterem i sprawił, że jego chłopców skierowano na odcinek, na którym należało się spodziewać najzaciętszego boju: zachodnie podejście przez Euryalos, Drogą Parkową,

gdzie zbocze było najbardziej odsłonięte, a pozycje nieprzyjaciela najmocniej ufortyfikowane.

Bezkonna jazda mego kuzyna pod dowództwem Menandra miała pójść w trzeciej fali. My z Lwem znaleźliśmy się w pierwszej, na lewym skrzydle, za ciężką piechotą Argiwów i Messeńczyków, w łącznej sile tysiąca stu, wzmocnioną czterystoma łucznikami z Turii i Metapontu. Po osiągnięciu wierzchołka miało nastąpić przeformowanie, po którym centrum tworzyliby sami Ateńczycy oraz plemienne pułki z Leontis i Egeis, doborowe oddziały z własnymi miotaczami i specjalistami od wzniecania pożarów. Miejsce na lewo od nich przypadło najemnikom, w tym również Arkadyjczykom Telamona, wspieranym przez dwie setki korkiriańskiej piechoty morskiej, wyćwiczonej w posługiwaniu się oszczepami, a następnie jeszcze jeden doborowy ateński pułk z Erechtei. Na styku z nami rozmieszczono czterystu uzbrojonych we włócznie Andriańczyków, Naksiańczyków i Etrusków, w tym moich towarzyszy z piechoty morskiej, a nadto stu kreteńskich łuczników i pięćdziesięciu miotaczy z mesapiańskiego plemienia z Iapygii. Ciężkozbrojni mieli zaatakować mury, a miotacze ostrzeliwać zza ich pleców obsadę parapetów.

Epipolaj wznosi się na wysokość kilkuset stóp. Jego wapienne stoki pokryte są karłowatymi dębami i krzewami; z trzech stron bronią go bardzo strome zbocza; czwarte, zachodnie, też bynajmniej nie jest łagodne, ale można się na nie wspiąć. Na jego dolnym skraju wytyczono tor wyścigów konnych zwany Polydukjonem, który tylko w ostateczności można by uznać za płaszczyznę, i tam właśnie przez całą pierwszą wartę formowały się wojska przed atakiem. Już wcześniej ruszyło w górę dwustu lekkozbrojnych zwiadowców, których zadaniem było olinowanie podejścia i zabezpieczenie krawędzi przepaści.

Tej nocy było bardzo gorąco i ciemno jak w grobie. Po całym dniu pogotowia wojsko było w gniewnym nastroju i zniecierpliwione, zwłaszcza że także poprzedniej nocy niewielu tylko udało się trochę zdrzemnąć. Każdy żołnierz dźwigał ogromny ciężar: tarczę, hełm i napierśnik, broń i dodatkowe wyposażenie, gdyż rozkaz zobowiązywał nas do zdobycia przeciwnika i odbudowania własnego; towarzyszyli nam wszyscy nasi murarze i cieśle. Czekać na sformowanie, żołnierze służyli potem i korzystali z każdej sposobności, żeby przyłożyć głowę a to do tarczy, a to do kamienia, a to do wyciągniętych nóg towarzysza. Wielu zdjęło hełmy dla większego

chłodu i lepszej widoczności w nocnej ciemnicy; inni pozbyli się napierśników i nagolenników. Objawiła już swoją obecność znana wszystkim bogini – Groza. Na całej przestrzeni widziało się ludzi, którzy nagle odczuli potrzebę wypróżnienia kiszek lub pęcherza.

– Zaczyna już pachnieć bitwą – zauważył Lew.

Zjawił się kuzyn Szymon, który przechodząc mimo, wypatrzył nas i uzyskał zgodę na odwiedzinę. Miał na sobie wszystko, co nakazano, w tym również hełm z końską grzywą.

– Co teraz?

– Czekamy.

Przedstawiłem go naszym współtowarzyszom; Papkę znał jeszcze z Aten, a innego z naszych kamratów, Drzazgę, z Fegaju koło Maratonu. Tenże Drzazga wskazał na sterczące z hełmu Szymona końskie włosie.

– Jak wy to nazywacie?

– Paradność – rzucił Papka żartem; śmiech Szymona zdradzał jego podenerwowanie.

– Tak jest gorąco – spytał – czy to tylko ze strachu?

– Jedno i drugie.

Zdjąłem mu z głowy hełm.

– Ty też się boisz, Pommo?

– Więcej: jestem przerażony.

W notatkach Lwa znalazłem taki oto zapis:

Kiedy żołnierze próbują nazwać przyczynę odczuwanego strachu, to rzadko przywołują jego prawdziwe źródło, podając jakieś uboczne albo i zgoła niedorzeczne powody.

Mój kuzyn nie mógł sobie poradzić z obsesyjną myślą, że tej nocy my obaj z Lwem zginiemy, on zaś ocaleje. Byłaby to straszna niesprawiedliwość, wywodził, bo to on na to zasługuje, a nie my. Już nawet zaczął składać śluby, żeby odmienić los.

– Nikt się tu nie wybiera na śmierć – zapewnił go Lew.

– Otóż to – przytaknął mu Papka. – Wszyscy tu jesteśmy nieśmiertelni.

Kiedy nakazano zbiórkę, odciągnąłem Szymona na bok.

– Na Epipolaju gorąco. Będziesz się pocił. Ale nie pij wina, rozumiesz? Tylko wodę. I przy każdej okazji pożywiał się, żeby cię nie złapały skurcze. I nie wstydz się, jeśli ci się zdarzy zrobić pod siebie. Ze wschodem słońca wszyscy będziemy zdrapywali z ud zaschnięte gówno.

Słyszeliśmy już, jak chorążowie nawołują do zbiórki; wszyscy na swoje miejsca i formować linie.

– Dasz sobie radę, Szymonie. My też. A wina

napijemy się potem. Po zwycięstwie.

Zabrział sygnał. Ruszyliśmy w kolumnie pod górę. Nawet o tak późnej porze skały zachodniego zbocza, które piekło się w słońcu przez całe popołudnie, tchnęły gorącem. Mieliśmy do dyspozycji tylko trzy ścieżki, po których trzeba było iść pojedynczymi rzędami; wiły się tak blisko siebie, że miejscami można było osłoniętym pokrowcem grotem włóczni stukać w tarcze równolegle krocących w górę sąsiadów. Kilkadziesiąt kroków ponad naszymi głowami już rozległa się wrzawa i szczeł walki; padł rozkaz, żeby przyspieszyć do truchtu, jak gdyby w ogóle było to możliwe. Trzymając się lin, wspinaliśmy się krok za krokiem, zgięci pod ciężarem pełnego wyposażenia, z plecakami i workami na sprzęt, krótkimi mieczykami i sztyletami, długimi włóczniami w prawej dłoni, na lewym ramieniu niosąc tarcze, z których krawędzi zwisały fartuchy z wołowej skóry jako osłona przed strzałami, a do tego skórzane kamizelki i podręczny bojowy plecak z chlebem i winem oraz bukłak z wodą. Pot lał się z nas strumieniami; pod pancerzem było jak w piecu.

Kiedyśmy wreszcie wyszli na górę, okazało się, że zwiadowcy i żołnierze czołowych oddziałów już zdołali przegnać nieprzyjaciela z fortu Labdalon.

Wysypaliśmy się na równinę i zaczęło się przeformowywanie.

– Czapki zdjąć! – ryknął nasz kapitan; zerwaliśmy ze stalowych grotów włócznie dereniowe nakładki, które zapobiegały przypadkowemu zranieniu sąsiadów.

Płaszczyzna na Epipolaju rozciągała się na jakieś dwadzieścia pięć stadionów ze wschodu na zachód, mając niecałe szesnaście stadionów szerokości. Czekał nas bieg, i to szybki, przez całą jej długość.

– Formuj linię!

– Napić się wody!

Spośród szesnastu żołnierzy piechoty morskiej, których przywiozła na Sycylię »Pandora«, w ciągu dwóch lat dziewięciu straciło już życie w akcji lub na skutek choroby. Nasza obecna jedenastka włączona została do plutonu Etrusków, którego dowódca, choć już po pięćdziesiątce, był istną bestią o przegubach rąk grubych niczym kotwiczne liny i o poślądkach wołu. Powiadano, że potrafił podźwignąć z ziemi muła, ja sam wszakże tego wyczynu nie widziałem.

– Zaraz zacznie padać żelazny deszcz, chłopaki. Trzymajcie ciasny szyk, pępki przy dupach, to może jeszcze uda się wam kiedyś przelecieć jakąś cipkę.

Ruszyliśmy naprzód z tarczami jeszcze opuszczonymi; najbardziej baliśmy się fortu Labdalon,

który jednakowoż padł niemal bez walki. Frontowe linie zaczęły biec. Teren był trudny, nachylony, pocięty suchymi łożyskami strumieni i rozpadlinami. Pod pewnymi względami ciężej na nim było niż na otwartym polu pod ostrzałem. Gałęzie wplątywały się w misy tarcz, potykaliśmy się o krzewy, utrzymanie równej linii było niemożliwością. Najpierw pojedyncze drużyny, a potem już i całe plutony wypadały z szyku; powstawały dziury, w które wlewały się oddziały z boku lub z tyłu. Przed sobą widzieliśmy już płomienie i słyszeliśmy krzyki.

W pewnej chwili czyjeś gwizdnięcie przedarło się poprzez ciemność, a zaraz potem wychynęło z niej trzech ateńskich zwiadowców. Kiedy podali hasło, a brzmiało ono »Atena Protektorka«, zaprowadzono ich do miejsca, w którym maszerował Demostenes, gdzieś na prawo od nas. Pobiegł tam z nimi nasz etruski kapitan, a my tymczasem przełknęliśmy trochę wody i cokolwiek przegryźliśmy. Wrócił. Dowiedzieliśmy się, że pierwsza pozycja obronna znajdowała się o jakieś dwa stadiony przed nami: kamienny murek zwieńczony palisadą. Nieprzyjaciel podpalił rusztowania i belki, które posłużyły do jego budowy – ten właśnie ogień widzieliśmy – okazało się jednak, że wyschnięte na wiór drewno spłonęło bardzo szybko, a

co się jeszcze paliło, to nasi chłopcy rozrzućili; wróg jednakowoż pozostał na posterunku i czekał na nas. Zwiadowcy byli twardymi wojakami; twarze mieli przyczernione, na głowach nosili tak zwane *pilos*, a za całe uzbrojenie mieli tylko króćkie bagneciki i lacedemońskie sierpowate noże, *xyele*. Byli zmordowani i wystraszeni; chcieli wina. Kto by nie chciał?

Nasza drużyna szła w dwóch rzędach, piątką i szóstką; na czele obu znaleźliśmy się ja i Lew. Było straszliwie gorąco; słyszeliśmy wręcz ciurkanie potu pod zbroją, a także odgłosy jego rozpryskujących się na wapiennych kamieniach strumyczków, co przypominało sikanie psa. Kiedyśmy wyźymali nasze fdcowe podkładki pod hełmy, to lało się z nich niczym z gąbki. Któremuś przyszło do głowy wyrzucić hełm, lecz nasz kapitan natychmiast go ofuknął:

– Chcesz mieć spłaszczony mózg?

Lew zabronił naszej grupce rozluźniania napierśników i odpoczywania inaczej niż w przykłęku na jednym kolanie. Pozwolił na wino;

wszyscyśmy go byli spragnieni. Strach już na dobre nas dopadł. Był zgoła słyszalny – jak odgłos morskiej fali uderzającej o podstawę klifu – kiedy bućłaki przechodziły z rąk do rąk, aby każdy mógł z nich

zaczepnąć parę łyków odwagi, której nigdy nie było dosyć, a następnie ze znanym wszystkim żołnierzom rozpaczliwym pośpiechem wypowiedzieć swe modły i zaklęcia, dotknąć zawieszonych wewnątrz tarczy amuletów i zanucić swe magiczne formuły.

– Cokolwiek się zdarzy, nie rozluźniajcie szyku. Tarcza przy tarczy aż do końca ataku – pouczał Lew zgromadzoną wokół niego dziesiątkę. – Który by chciał odbiec, niech się najpierw upewni, że ja jestem już martwy.

Co znaczyło, że po powrocie sam kogoś takiego zabije. Padł rozkaz: ruszamy.

Słyszałem, jak mój brat ciężko dyszy z niedostatku powietrza.

– Ty mój mały lewku.

– Nie zapomnij o tej chwili w piekle.

Znowu postępowaliśmy w ciszy przed siebie. Teraz pochyłość stała się szersza i porastały ją kępki karłowatych świerczków oraz kopru. Szybko wyrównaliśmy krok, utrzymując się w linii. Pod stopami poczuliśmy kawałki zwęglonego drewna. Gdzie jest wróg? Przeszliśmy sto kroków. Sto pięćdziesiąt. Nagle w ciemności rozbłysnął płomyczek podpalonej nafty, zachwiał się i rozpałił ogniem.

– Mamy ich! – wrzasnął któryś z nieprzyjacielskich

żołnierzy.

Ze zgodnym okrzykiem nasza linia wybrzuszyła się wzniesionymi do bojowej pozycji tarczami. Biegliśmy poprzez wybuchające pod stopami płomienie, rozżarzone główne i szczapy, którymi rzucali w nas obrońcy; ogień chwycił swymi języczkami owłosienie nóg, które tłąc się, skwierczało. Już robił swoje strach: pod jego naciskiem każdy z atakujących instynktownie przesunął się w prawo, żeby nie wyjść spod osłony tarczy sąsiada.

– Nie zbaczać! – ryknął Lew. – Prosto przed siebie!

Każdy kurczył się teraz w sobie i wciskał się w tarczę, przykładając nosową i policzkową część hełmu do plamy potu pod górną krawędzią misy, a wystawiając jedynie jego szczyt z otworami na oczy dla widoku, czy raczej owej drżącej mgielki, którą żołnierz piechoty widokiem nazywa; brząz tarcz zwierzał się jak najściślej z brązem zbroi, aby lepiej znieść nieuchronny, i coraz bliższy, szok zderzenia z wrogiem. Z przodu i z tyłu zaczęły już rozbrzmiewać uderzenia pierwszych pocisków o *aspides*. Wszystkie lewe przedramiona jeszcze głębiej wbiły się w rękawy uchwytów u góry tarczy. Równocześnie palce prawej pięści, zaciśnięte na drzewcu pionowo trzymanej włóczni, chwyciły także konopną pętlę zamocowaną na

prawym skraju wewnętrznej strony misy, by posłużwszy się drzewcem jako zaciskiem, utwierdzić włócznie w dwóch żelaznych kołnierzykach na zewnętrznej krawędzi i dzięki temu uniknąć dodatkowego zderzenia jej drzewca z tarczą. Za każdym sprężystym, wydłużonym krokiem napinały się wszystkie mięśnie, od pięt aż po czubek głowy.

Teraz na dobre już rozbębnił się deszcz kamieni i ołowianych pocisków procarzy.

– Chłopaki! Mają tylko drobnicę!

– Trzymajcie się! Mocnych kolan!

Jak wędrowiec podczas burzy na górskiej grani mocno zapiera stopy o ziemię i skurczywszy ramiona, pochyla się, by przemóc wicher, tak atakujące szeregi opierały się nawałnicy z kamienia i ołowiu.

– Kto się okaże mężny?

– Kto pierwszy powali wroga?

W rozbłysku ognia ukazali się łucznicy.

– Uwaga! Wykałaczk!

Groty strzał z głośnym stukotem zderzały się z brązem tarcz i odbijały się od pionowo wzniesionych włócznie. *Aspides* pierwszych szeregów zaczęły przypominać poduszeczki do igieł, którymi były nieprzyjacielskie strzały; ich groty przebijały się przez brąz, by utkwąć w dębowym podkładzie, grubym jak

kuchenna deska do ćwiartowania mięsa i tak samo jak ona nieprzebijalnym. Pod nogami słyszało się trzaski spadających na ziemię strzał, a nad głowami furkot upierzenia tych, które chybiły.

– Nie zwalniać! – wrzeszczał Lew. Wszyscy już zresztą krzyczeli, wzywając na pomoc niebiosa i zarazem biegnąc w śmiertelnym deszczu.

Wyłonił się skrawek tarczy księżyca. Dojrzeliliśmy wreszcie parapety muru.

– Uwaga! Oszczepty!

Mój sąsiad wydał z siebie pojedynczy jęk i upadł; tym razem załaza nas fala jesionowych tyczek. Nie było wiatru, toteż oszczepty nie zbaczały ze swego toru, spadając na nas grotami do przodu. Lew runął pod naporem tej nawałnicy.

– Nic mi nie jest!

I zaraz znowu biegł u mego boku. Następna fala. Teraz to ja upadłem.

– Wstawaj, skurwysynu!

Najważniejsze to utrzymać linię.

Nie może jej naruszyć czyjaś furia; nikomu nie wolno się z niej wyrwać.

Najważniejsze to utrzymać linię. Jeśli się nam to uda, przeżyjemy; jeśli nie, będziemy martwi.

– Nienawidzę tego! Nienawidzę! – ryczał Lew.

Nieprzyjaciel rozprysnął się, zanim doszło do zderzenia. Przewaliliśmy się przez umocnienia. Wszyscy zaczęli wrzeszczeć z radości.

– Zamknąć mordy! Zdusić ogień!

Etruski kapitan sformował nas na wypadek kontrataku. Zmęczenie zwałało ludzi z nóg niczym walnięcie młota. Słysząc było odgłosy zderzeń hełmów ze skałą i trzaski padających na ziemię tarcz.

– Na nogi! Frontem do mnie! Wróć do szeregów!

Wzięliśmy zatem pierwszy fort. Zdobycie następnego zabrało nam jeszcze dwie godziny i niewiele brakowało, żebyśmy umarli z upału i całkowitego wyczerpania. Sześciu z naszego plutonu padło, lecz tylko dwóch na skutek ran; pozostałym przydarzyło się naciągnięcie pachwiny lub ścięgna, złamanie kończyn, wycieńczenie i brak płynów oraz wpadnięcie w rozpadliny. Wszyscy cierpieliśmy na straszliwe skurcze. Cały materiał budowlany dawno już został porzucony; lepiej było posłać po niego później.

Pomiędzy wojskiem krążyły najrozmaitsze plotki. Nasze kompanie, które atakowały z Kręgu, zostały odparte; Gilippos przyprowadził z miasta następnych pięć tysięcy, zdobył przeciwmur, czyli ostatnią pozycję, którą mamy zająć i okupować. Prawdziwe czy

nie, pogłoski te natchnęły żołnierzy zapalem: przygwoździć tego sukinkota i Syrakuzy będą nasze. Popiliśmy jeszcze wody i wina i zaczęliśmy się zbierać do wymarszu.

Ten drugi bastion to nie było jeszcze Kredowe Wzgórze; nie ta znana nam linia połączonych z sobą pojedynczych redut, które nieprzyjaciel zbudował zeszłej jesieni, zepchnąwszy nas z Epipolaju, lecz nowe umocnienia, wyżej obwarowane i usytuowane na szczycie bardziej stromego stoku. Broniło ich tysiące ludzi i można było je wziąć tylko szturmem. Nieprzyjaciel oczyścił przedpole na odległość do dwustu kroków i naszpikował cały ten teren obsypanymi ziemią wiązkami tyczek. Oba boki tej przestrzeni obwałowane zostały kolczastymi krzewami, aby wytyczyć atakującą drogę, na której znajdują się pod bezpośrednim śmiertelnym ostrzałem łuczników i procarzy; z tym szybko uporali się nasi pożarnicy, skutecznie owe kolczaste pobocza paląc. Poprzez dymy tego pożaru przeświecał żółty księżyc. Przyszło polecenie, aby wstrzymać się z natarciem, dopóki nie spłoną wszystkie przeszkody. Jednakże żołnierze nie potrafili się opanować; może skutkiem bojowego zapалу, może z lęku przed domniemanymi posiłkami Gilipposa, a może z wewnętrznego

niepokoju, o który przyprawiało ich obezwładniające zmęczenie. Nie czekając na rozkaz, wojsko wkroczyło w płonące przed nim piekło, rozgarniając tarczami zagradzające mu drogę ogniska, podczas gdy nieprzyjaciel skoncentrował swój ostrzał na kierunkach, z których nadciągali teraz Ateńczycy, Argirowie i inne sojusznicze oddziały.

Nasza brygada szła druga od czoła. Pierwsza setka dopadła już do muru. Jego kamienne lico naszpikowane było zaostrzonymi kołkami. Nieprzyjaciel spychał na nas z góry głazy. Podobni żółwiom, z tarczami przewieszonymi przez grzbiety pięliśmy się po murze, gołymi rękoma drapiąc kamienie. Za nami dobiegły lekkozbrojne oddziały. Słyszeliśmy świst ich strzał i pocisków, które przelatowały nad naszymi głowami. Zrzucony z parapetu głaz grzmotnął mnie w sam środek tarczy, przybijając mnie do nakołkowanej ściany. Kamienie zbyt szczelnie były złożone, żebym mógł je wyrywać dla uchwytu. Wszyscy wokół mnie wrzeszczeli:

– ' Wspinaj się! Do góry!

Zwaliło się na mnie i zaczepiło o tarczę czyjeś bezwładne ciało. Jakiegoś sukinsyna trafiła nasza strzała. Mimo wszystko dalej próbowałem się podciągnąć, choć dodatkowo obciążony jęgo ciężarem.

Aż tu nagle ten cholernik ożył! Wbił mi palce w otwory hełmu i usłyszałem zgrzytnięcie stalowego ostrza, którym próbował poderżnąć mi gardło. Szarpnąłem lico hełmu ku piersi i szczelnie przycisnąłem krawędź do skóry kamizelki, jednocześnie gwałtownie się prostując z siłą, której dodała mi panika. Znowu znieruchomiał, tym razem trafiony z góry strzałą własnego towarzysza.

– Wspinaj się! – wrzeszczał wdrapujący się obok mnie Lew, którego sylwetkę raczej wyczuwałem, niż rozpoznawałem wzrokiem.

Ogarnęło mnie zawstydzenie. Zrównałem się z nim. Obrońcy zaczęli nas oblewać płonąca smoła. Nie przestaliśmy się wspinać. Cofnęli się w przestrachu przed tym samym ogniem, którym nas poczęstowali. Nasi oszczepnicy razili tych, którzy ze szczytu muru próbowali nas strącić w dół. Kiedy dotarłem do krawędzi parapetu, wyrósł przede mną taki jeden, wymachując zakrzywionym nożem; uchyliłem się i dźgnąłem go w brzuch. Zwalił się na mnie i szepieni w uścisku osunęliśmy się po murze. Nie miał hełmu, więc rozkwaśiłem mu gębę uderzeniem swojego. Usłyszałem radosne okrzyki. Minął nas drugi rzut atakujących, którzy ociekając potem i plując bez opamiętania, skoczyli na grzbiety uciekających z muru

nieprzyjaciół. Opadłem na czworakach na jakiś dymiący kamień.

– Lew!

– Tutaj, braciszku!

Uchyliliśmy przyłbic, żeby się upewnić, iż obaj żyjemy, po czym zwaliliśmy się bezwładnie na ziemię, nagle utraciwszy siły tyleż z wyczerpania, co i ze wzruszenia.

Księżyc świecił już w całej swej okazałości. Żołnierze przebiegali obok nas gromadami, by ostatecznie opanować nasz drugi fort.

– Wstawaj! Wstawaj!

Nie wolno nam było poddać się zmęczeniu, dopokąd jeszcze trzymał się przeciwmur, a Gilippos ciągle miał czas, żeby wzmocnić obronę posiłkami. Wspinaczka i walka wręcz trwały jeszcze przez cztery godziny. Nocne powietrze ani trochę się nie ochłodziło. Żołnierze mieli wywieszane języki na podobieństwo dyszących psów.

Usłyszeliśmy argiwską wymowę. Z mroku wyłonił się nagle pułkownik elitarnego tysiąca, który zamykał skrzydło atakującej linii.

– Jeszcze jedna skała do wzięcia, chłopcy!

Przywoływano oficerów. Lew rzygał i skręcał się w skurczach, więc poszedłem ja. W grupie dowódców

był również sam Demostenes. Okazało się, że jego brygada zaatakowała Labdalon jeszcze przed nami; albo jemu, albo nam kompletnie się coś pomieszało. Jego oficerowie zachęcali ludzi do jedzenia, ale kto by zdołał teraz przełknąć choć kawałek chleba, nie mogąc go popić winem ani wodą?

Ludzie są wykończeni, zameldował mu jeden z kapitanów. Za nimi jest jeszcze trzeci rzut, który wspina się od Euryalosu; czy ma zatrzymać tu swój oddział i puścić tamtych przodem?

Demostenes spojrział na niego, jakby go podejrzewał o utratę rozumu.

– Człowieku! Księżyc wzeszedł. Musimy wziąć tę dziurę od razu.

Któryś z pułkowników wyznał, że nie wie, czy jego ludzie zdołają to zrobić.

– To nie ludzie ci mówią, co jest możliwe do zrobienia! – ryknął nań Demostenes. – To ty masz im powiedzieć, co trzeba zrobić!

Wódz dobrze widział, że jego oficerowie dosłownie słaniają się na nogach. Wszyscy wypili za dużo wina, a chociaż z przerażenia i wysiłku większość z tego wypocili, to przecież spora dawka krążyła jeszcze we krwi, jak po dwudniowej pijatyce, gdy człowiek popadł w stan takiego umęczenia, że żadnym sposobem nie

potrafiłby go przewyciężyć.

– Weźcie się w garść, braciszkwowie – pouczył ich Demostenes ojcowskim tonem. – Wiem, że ludzie są wykończeni. Myślicie może, że ja nie jestem? Ale musimy zdobyć Kredowy Fort. Nie ma żadnej innej możliwości. Gdybyśmy tej nocy tego zaniechali, to Gilippos już jutro znowu zepchnąłby nas z Epipolaju i znaleźlibyśmy się w punkcie wyjścia. Tyle że w gorszym położeniu, bo nieprzyjaciel nabrałby pewności, że mu żadnym sposobem nie damy rady. Jeśli jednak zdobędziemy Kredowy Fort jeszcze tej nocy, to wszystko obróci się na naszą korzyść. Padnie przeciwmur i zagarniemy miasto. Więc sprężcie się, ludzie. Nie wolno nam dać nieprzyjacielowi ani chwili wytchnienia. Wykończmy go za jednym zamachem i będziemy to wszystko mieli z głowy!

Tylko że Gilippos nie czekał na nasz atak. Pozostawiwszy przeciwmur za plecami, ruszył na czele swych wojsk wprost na zbierających się dopiero Ateńczyków. Usłyszeliśmy pean Syrakuzan, więc pognaliśmy z powrotem na nasze stanowiska. Lew już prowadził naprzód nasz oddziałek. Włączyłem się do szeregu i zrównałem z nimi krok.

Z naprzeciwna nacierały niezliczone rzesze nieprzyjaciela. Frontowe szeregi obu wojsk zwały się

z sobą i zaczęły się zmagania, które tylko ze względu na rozmiary można było nazwać bitwą. Taki bowiem zapanował na polu walki ścisk, że nikt nie mógł zamachnąć się mieczem, a już włócznie były całkowicie bezużyteczne. Wypuściliśmy je z rąk, gdzie kto stał, zamiast broni używając tarcz, by po prostu zwalić przeciwnika z nóg lub dźgać go spartańskim sposobem, krótkimi pchnięciami. Bronią stała się zresztą także każda część ciała okryta zbroją. Walczyło się kolanami, wbijając je w krocze przeciwnika i zadając łokciami uderzenia w odsłonięte gardło lub w skroń; tych, którzy upadli, deptało się obcasami. W tego typu boju można było chwycić za górną krawędź tarczy wroga i uwiesić się na niej całym swoim ciężarem, wbijać mu palce w oczy, pluć mu w twarz, jeśli uzbierało się dość śliny; można było gryźć. Czuliśmy, że nieprzyjacielska masa ustępuje pod naszym naporem, wzmocnionym jeszcze przez nadbiegające z tyłu rezerwy, których impet wzmagał siłę naszego natarcia. Księżyc wznosił się już za naszymi plecami. Szeregi wroga pękły i rzuciły się do ucieczki.

Temu, co się wówczas stało, winni byli nasi oficerowie, a i ja między nimi. Nie zdołaliśmy powstrzymać naszych ludzi; wielką ciżbą rzucili się w

pościg, dopadając uciekających niczym rozwścieczone drapieżniki. Tym, co ich do tego popchnęło, była bez wątpienia dwuletnia niedola i gorycz, jaka się w nich nazywała pod dowództwem Nikiasza. Myślę również, że lękali się wszyscy, iż jeszcze trochę i ostatecznie opuszczą ich siły; walczyli wszak przez pięć godzin bez jedzenia i wody, jeśli więc natychmiast nie wykończą wroga, to sami padną.

Widziałeś, jak wygląda właściwie prowadzony pościg, Jazonie. Pierwsza rusza za nieprzyjacielem konnica, kładąc go pokotem cięciami swych mieczy lub dźgnięciami lanc. Dołącza do niej najszybsza część piechoty, która dopadłszy uciekających, zagarnia ich od tyłu i kładzie pchnięciami włóczni, a już rannych – przybija do ziemi. Tam jednakowoż, na Epipolaju, aniśmy nie mieli jazdy, ani nawet w tym momencie włóczni, które wszystkie już dawno zostały potrzaskane albo porzucone. Doścignawszy więc bezładnie pędzącego przed siebie wroga, sami poszliśmy w rozsypkę, kłując go naszymi krótkimi mieczkami. Tym sposobem trudno zabić człowieka.

Tak zadany cios nie jest śmiertelny ani nie powoduje poważnej rany, a przynosi ten fatalny skutek, że doprowadza zaatakowanego do takiej desperacji, iż nawet jeśli jest tchórzem, to zawraca i

podejmuje walkę, podczas gdy po właściwym ciosie, który głęboko rani ciało, ten sam człowiek dalej pozostaje zwrócony do ciebie plecami i łatwo go dobić. Jest jeszcze druga fundamentalna zasada, którą wkłada się do łbów rekrutom: kiedy nieprzyjaciel rzuca się do ucieczki, nigdy nie wolno go atakować w pojedynkę, lecz zawsze parami i z dwóch stron na jednego.

Lecz z głów tak do ostateczności jak wtedy umordowanych żołnierzy wyparowały wszystkie nauki. Biegnąca przodem piechota cięła uciekających po łądkach i karkach, a gdy ostatnie ich szeregi padły, przebiegła po nich, goniąc następną falę; gdy tymczasem tamci owszem, byli ranni, ale nie unieszkodliwieni, najsprytniejsi zaś tylko rannych udawali i kiedy przebiegł nad nimi drugi rzut naszych, stawały za ich plecami na nogi całe gromady zdolnych do walki wrogów. Szyk załamał się na całej szerokości pola bitwy, nadto zaś jego topografia sprzyjała dodatkowemu rozbiciu jednolitej przedtem masy. Do Kredowego Wzgórza, ku któremu uciekał nieprzyjaciel, były jeszcze dobre cztery stadiony biegu po nierównym i poszarpanym terenie. Nasi, wycieńczeni, coraz bardziej się rozpraszaali, podczas gdy tamtym każda pochyłość czy rozpadlina tylko pomagała powiększyć przewagę nad goniącymi.

Niemniej pościg Ateńczyków prawie nie spotykał się z oporem; zabrzmiał wielki krzyk radości, kiedy ich poszarpane szyki potoczyły się już wprost ku redutom, które otaczały pierścieniem dominującą nad przeciwmurem kredową wyniosłość. Księżyc oświetlał teren przed nami; nagle zobaczyliśmy, jak tłumy obrońców wysypują się z pół tuzina bram, pobłyskując tarczami i brązem hełmów. Wykazali się sprytem. Gilippos wykazał się sprytem. Nie zatrzymał swych żołnierzy za osłoną umocnień, na które nacierając, nasze rozpierzchnięte oddziały znowu zbiegłyby się w jakim takim porządku, wymusiłaby to na nich bowiem sama potrzeba skupienia się w ukierunkowanym ataku. Spartanin postanowił zetrzeć się z nami na otwartej przestrzeni, rzucając przeciwko chaotycznie rozproszonej masie wycieńczonych ludzi swoje dobrze uformowane i wypoczęte oddziały.

Światu wiadomo, jak spektakularny mu to przyniosło sukces. Ja i Lew jakoś odnaleźliśmy się w tym bałaganie z Papką i Drzazgą, a do nas z kolei przyłączyli się inni oderwani od swoich plutonów ludzie. Nasze wojsko kontynuowało pościg; po lewej argiwski tyśiąc kładł pokotem uciekających przed nim żołnierzy z syrakuząńskiej dywizji, która miała mu stawić czoło. Do Kredowego Fortu brakowało nam

jeszcze tylko ze sto kroków.

– Mamy go! – za wrzasnął jeden z argiwskich oficerów.

W tej samej chwili zwałił się na mnie mój sąsiad z prawej strony. Chwyciłem go i przytrzymałem, gdyż kto w ciężkiej zbroi upadnie, ten już jakby był martwy. Spojrzałem za niego i zobaczyłem pędzących na nas od flanki nieprzyjaciół.

Dowiedzieliśmy się później, że była to dywizja Kadmosa: beoccy ochotnicy i termopilski pułk z Tespie, w sumie dwa tysiące ludzi, których Hegezander usytuował przed redutą zwaną Półksiężycem. Wszyscy inni ugięli się, ci wytrzymali. Wytrwali niczym wielki głaz, o który roztrzaskują się rozpędzone fale oceanu, po czym obrócili się przeciwko nam.

Impet ich uderzenia przewrócił mnie na ziemię. Niemożliwością było podźwignąć i siebie, i ciężką zbroję. Ktoś, jeden z naszych, próbował wślizgnąć się pode mnie, żeby to moje, a nie jego ciało podziurawiły groty nieprzyjacielskich włóczni. Przebiegli po nas Beoci, dźgając leżących tylnymi szpikulcami swych dziewięciostopówek. Usłyszałem odgłos, z jakim któreś ostrze zagłębiło się w głowę spryciarza, który chciał się mną osłonić: trzask przebijanej i pękającej

czaszki i bulgotanie wylewającej się z jej wnętrza zupy. Mnie dostało się jedno dźgnięcie w ciało nad biodrem i jeszcze dwa draśnięcia w półdupki. Przebiegły ostatnie szeregi wroga. Wyzwolilem się spod ciężaru zabitego. Lew odciągnął mnie na bok.

Ratowanie się ucieczką to stosunkowo łatwa sprawa, jeśli tylko zachowa się trzeźwość umysłu. Wystarczy po prostu zrzucić z siebie wszystek możliwy do pozbycia się ciężar i zarazem pokrzepiać się przekonaniem, że będziesz mógł biec szybciej i dłużej, by uratować życie, niż wróg, który chce cię go pozbawić. Tam, na Epipolaju, nie miało się takiej możliwości. Było ciemno. Żadnych wytyczonych dróg. Rzucane przez księżyc cienie pogłębiały wrażenie całkowitego chaosu i zagubienia. Nie mogłeś pozostać w miejscu, w którym oprzytomniałeś; wróg cię wyprzedził i bieg przed siebie byłby samobójstwem, ponieważ wpadłbyś pomiędzy tych, którzy cię właśnie prześcignęli. Musieliśmy znaleźć jakąś okólną drogę, lecz raptem kolejny przypadek postawił nas w rozpaczliwej sytuacji: nadbiegali z tyłu ci nieprzyjacielscy żołnierze, których my, atakując, zostawiliśmy za sobą. Stanąwszy na nogi, pozbierali się w bandy rzeźników; biegając wzdłuż i wszerz pola, podrzynali gardło każdemu leżącemu na ziemi

Ateńczykowi. Zbiliśmy się w gromadkę z Lwem, Papką, Drzazgą i kilkunastoma jeszcze innymi zwalonymi z nóg towarzyszami. Jakoś udało się nam przekraść na sam prawy skraj równiny. Zatrzymały nas strome urwiska, spadające o dobrych dwieście stóp. Papka i Lew popatrzyli w dół.

– Spróbujemy?

– Ty pierwszy.

Poszliśmy wzdłuż krawędzi, szukając drogi zejścia. Dotarłszy do jakiegoś wzniesienia, rozejrzeliśmy się z Lwem. Za nami wrzała bitwa.

Kiedyśmy zdjęli hełmy, dotarły do naszych uszu tony jakiegoś peanu – ani rozpoznać, czy doryckiego, czy naszego – który rozbrzmiewał na tle aż za dobrze znanych każdemu żołnierzowi dźwięków, jakimi odznacza się bitwa w zwarciu: szczęk i łoskot *othismos*, bojowego zamętu, jaki panuje w ciżbie powstałej po starciu się dwóch falang.

– Dałbym stąd nogę, jak tylko można najszybciej – rzucił Drzazga.

Lew spytał go, co się stało z jego apetytem na wojenną chwałę.

– Straciłem go razem z zawartością moich kiszek.

Zsunęliśmy się po stoku nachylonym w stronę bitwy. Na dole niczym zjawy zamajaczyli jacyś

mężczyźni. Dosłyszeliśmy w ich głosach attycki akcent.

– Ateńczycy?

– Jazda pod górę! – rozkazał jakiś oficer. – Sformujemy się za tym pagórkiem.

Powlekliśmy się za nimi, ale w jakimś zagłębieniu straciliśmy ich z oczu. Nad niżej położonymi miejscami rozciągała się mgła i księżycowe światło przedziwnie się w niej załamywało. Spleliśmy, kiedy padało nam prosto w oczy; kiedyśmy zawracali – trafialiśmy w atramentową czerń. Wydostawszy się z dołka, zobaczyliśmy zbitą masę kilkuset piechociarzy, których oficerowie próbowali ustawić w szyku. Dostaliśmy do nich i rozejrzeliśmy się za kimś, komu moglibyśmy się zameldować. Jeden z żołnierzy machnął na nas ręką, zachęcając do zajęcia miejsc w szeregu. Inny coś powiedział do swojego sąsiada. Syrakuząńskim dialektem. To nie byli nasi.

Znaleźliśmy się wśród nieprzyjaciół.

Jakiś Syrakuzanin szarpnął mnie za ramię: kawał chłopca, istny olbrzym. O coś mnie zapytał. Nóż Lwa przeciął mu gardło; upadł, krawiąc jak zarżnięty wieprzek.

Ile sił w nogach rzuciliśmy się do ucieczki. Krzyknąłem do Lwa, żeby objął przewodnictwo;

przyszło na mnie jakieś rozprężenie i za nic nie mogłem zebrać myśli.

– Jak się te owcze jebaki tu znalazły?!

Biegliśmy wzdłuż jakiegoś jaru, ze strachu odchodząc od zmysłów i czepiając się jeden drugiego niczym spanikowane dzieciaki.

– Czyżbyśmy zrobili koło? Jak się te sukinsyny znalazły po tej stronie?!

Próbowaliśmy określić swoje położenie wedle księżycy, ale kiedy się jest na dole rozpadliny, trudno określić kierunek, z którego dochodzi światło. Kroki! Od strony, z której przybiegliśmy, nadchodziła grupa żołnierzy.

– To oni!

Zza krawędzi jaru zsunęli się trzej zwiadowcy. Skrupiła się na nich cała żrąca nas złość, na co wrzasnęli w przerażeniu:

– My Ateńczycy!

Zażądaliśmy podania hasła.

Zapomnieli go. My zresztą też.

– Na Zeusa! Naprawdę jesteście Ateńczykami?!

– Naprawdę, naprawdę! Przestańcie się wydzierać!

Byli jak najbardziej naszymi rodakami. Po paru chwilach zsunął się na dno jaru cały ich oddział, mniej więcej w liczbie plutonu. Dotarliśmy do ich

porucznika; Lew opowiedział mu o nieprzyjacielu, na którego nadzialiśmy się tuż na północ od tego miejsca.

- To jest zachód.
- Niemożliwe. A położenie księżyca?!
- Mówię ci, że to zachód!
- W takim razie po której stronie jest bitwa?
- Już po bitwie. Przegraliśmy ją.
- Nie ma mowy!

Pobiegliśmy na poszukiwanie bitwy. Przed nami wyłoniła się gromada. Pospiesznie utworzyliśmy szyk w obawie, że to wróg.

– Atena Protektorka! – krzyknęło dwóch tamtych ustawionych na czujce. Hasło! Przypomniął się nam odzew. Podbiegli do nas.

– Na bogów – wyrzucił z siebie najmłodszy spośród nas – co się tu dzieje?!

Jeden z wartowników wbił mu w brzuch ostrze włóczni. Z boków opadli nas inni. Przerazenie pchnęło nas do przedarcia się przez nich i kontynuowania biegu.

Nie wiedzieliśmy, czy byli to wrogowie, którzy odkryli nasze hasło, czy nasi, którzy omyłkowo wzięli nas za wrogów. Gnało nas przed siebie jedno: konieczność odnalezienia własnych linii. To, że być może w chwilę potem zostaniemy zgładzeni, nie miało

znaczenia; byle tylko połączyć się z rodakami. Ten wewnętrzny przymus odbierał nam rozum.

W ciemnościach mijaliśmy widma pędzące przed siebie i uciekające we wszystkich kierunkach. Tak samo jak my, z obopólnego strachu nikt się nie odzywał.

Naszedł mnie nowy lęk. Przeraziła mnie myśl, że natknę się zaraz na swojego kuzyna i jeden drugiego zabije, biorąc go za wroga. Zacząłem pokrzykiwać do przebiegających obok nas mężczyzn:

– Szymon?

– Zamknij gębę! – warknął Lew.

Nie potrafiłem.

– Szymon! To ty?

– Czyś ty oszalał?!

Wydostaliśmy się wreszcie na równinę. Mało nie pękły nam piersi, kiedyśmy przebiegali ostatnich osiem stadionów dzielących nas od Labdalonu, pierwszego fortu, który zdobyli nasi zwiadowcy wraz z doborowymi oddziałami; tej nocy zdało się nam, że od tamtej chwili minęły dziesiątki lat. Wszędzie kłębili się ludzie: zabitych i rannych znoszono na tyły; murarze i cieśle wspinali się już na stromy brzeg Euryalosu; błąkały się bez celu dziesiątki takich samych jak my, przerażonych i zagubionych niedobitków. Przebiegały

obok nas uciekające oddziały, walcząc pomiędzy sobą o pierwszeństwo dotarcia do zbawczej ściany klifu.

– Co się stało?

– Przegraliśmy! Wszystko stracone!

– Stójcie! – wrzasnął Lew, wpadając pomiędzy nich. – Sformujcie się, bracia! Zbierzcie na nowo odwagę!

Widok panicznie uciekających rodaków przepęłnił mnie takim wstydem, że odzyskawszy nagle ducha, a może tylko przez naśladownictwo, doskoczyłem do brata.

– Odnalazłeś nareszcie głowę, Pommo?

– Tak.

– To dobrze. Bo już cały byłem tobą przerażony.

Wciąż przebiegali obok nas żołnierze. Udało się nam kilku z nich, tak samo jak my zawstydzonych, zatrzymać i ustawić w jakim takim szyku. Rozpoznałem wśród nich Zająca, który służył wraz z Telamonem jako tarcza do wynajęcia. Kiedy chwyciłem go za ramię, zobaczyłem, że płacze.

– Zabiłem człowieka – wykrztusił przez szloch.

– Co?

– Naszego. Jednego z naszych.

Był kompletnie załamany i błagał mnie, żebym podciął mu gardło.

– Przysięgam na bogów, nie widziałem...
Myślałem, że to któryś z nich!

– Nie myśl o tym. To przez te ciemności. Stań w szeregu.

Wyciągnął z pochwy nóż i przytknął sobie ostrze do podbródka.

– Do szeregu! – wrzasnąłem. – Zając! Natychmiast stawać mi w szeregu!

Zacisnął rękojeść w obu dłoniach i wbił nóż aż po mózg.

– Zając!...

Zwalił się na ziemię jak szmaciana lalka. Wszyscyśmy wpatrywali się weń szeroko rozwartymi z grozy oczyma. Z oddali dobiegały nas dźwięki nieprzyjacielskiego peanu.

– Nie ruszać się! – warknął Lew. – Stać na swoich miejscach!

– A po co? – wrzasnął któryś.

I wszyscy rzucili się do ucieczki.

Także my obaj pobiegliśmy za nimi".

22. ODWRÓCONA TWARZ NIEBIOS

„Zapewne niezliczoną ilość razy opowiadano ci, Jazonie, jak przebiegało zaćmienie księżyca, do którego doszło następnego miesiąca po epipolańskiej katastrofie, i o straszliwej grozie i panice, jakie ogarnęły na ten widok flotę i armię, które właśnie w tym momencie czyniły ostatnie przygotowania do odplynięcia na bezpieczną odległość od brzegu. Do dziś wielu obwinia Nikiasza i potępia jego żołnierzy za to, że ulegli presji przesądów i zabobonów akurat w chwili, gdy wreszcie mogli uwolnić się od sycylijskiego koszmaru, jako że postanowili zaniechać Syrakuz i popłynąć do domu.

O tych, którzy nas tak odsądzają od czci i wiary, jedno tylko mogę powiedzieć: że ich tam nie było. Nie było ich tam w owej godzinie, nie mogli więc sami doświadczyć grozy, jaką tchnęła chwila, gdy księżyc skrył swą twarz i błogosławione światło przed ludzkim wzrokiem. Uważam się za racjonalnie myślącego człowieka, a jednak i ja dosłownie zmartwiałem na swoim posterunku, spoglądając w niebo nic nie rozumiejącym wzrokiem. Ja także odwróciłem się, wstrząśnięty i obezwładniony widokiem tego niebiańskiego cudu.

Po Epipolaju straciliśmy dziewięć tysięcy ludzi. W panice, która wybuchła na klifach, żołnierze skakali w przepaść i ginęli całymi setkami. O świcie udaliśmy się z Lwem na poszukiwanie kuzyna Szymona. Było wciąż tysiące takich jak on zaginionych. Wielu spośród tych, którym udało się zbiec z Epipolaju, zabłąkało się, szukając powrotnej drogi do obozu. Teraz, w pierwszym świetle dnia, Syrakuzanie wycinali ich do szczytu. U stóp klifów bez końca ciągnęły się warstwy trupów i tych, którzy dogorywali. Nasi. Tylko nasi. Część z nich padła ofiarą panicznego tumultu, jaki powstał na krawędziach urwisk, gdzie stłoczyło się tysiące uciekinierów i rozpychając się, by znaleźć drogę ocalenia, jedni drugich spychali w dół na tych, którzy rozpaczliwie szukali jakichś ścieżek, żeby zejść nimi do samej podstawy urwiska. Wielu było jednak takich, którzy w ostatecznej desperacji własnowolnie rzucali broje i skakali, zdając się na wyrok losu.

Teraz, o świcie, nieprzyjacielscy rzeźnicy polowali na skraju pola na tych, którzy pozostali przy życiu. Słyszeliśmy ich drwiące krzyki:

– Tacyście niby sprytni, Ateńczycy, a zdawało się wam, że potraficie fruwać?

– Dobrze się przyjrzyjcie! – kpili, rzucając nam z góry odcięte kończyny, a nawet głowy naszych

towarzyszy na stosy tych, którzy zabili się, spadając. – To jedyny sposób, w jaki uda się wam opuścić Sycylię!

Kiedyśmy wrócili do obozu, czekał już tam na nas Telamon. Znalazł Szymona, żywego i całego, pośród tych, którzy opatrywali rannych. Jak stałem, tak zwałem się na ziemię i spałem przez cały dzień.

Z naszej szesnastki z »Pandory« przeżyło tylko czterech; trzeba było niedobitków z pięciu plutonów, żeby z nich sformować jeden nowy. Pozostawałem w pobliżu naszego okrętu, pisząc listy do wdów po poległych żołnierzach. »Pandora«, z doszczętnie przegniłą częścią dziobową, leżała na burcie w miejscu nazwanym przez żołnierzy Psią Plażą, czekając na nowe drewno.

Obóz przeobraził się w jedną wielką kałużę błota, która śmierdziała aż pod niebiosa. Rozbiliśmy nasze namioty na moczarach, na które zapędziło nas wojsko Gilipposa; pięćdziesiąt tysięcy ludzi zagnanych na pas błota węższy od ateńskiej agory. Za każdym krokiem stopa zanurzała się w cmokliwy szlam. Za łóżko służyły mi jakieś drzwi, ułożone bezpośrednio na warstwie błota, a dzieliłem je z Lwem i z Drzazgą; spaliśmy na nim na zmianę, niczym majtkowie na statku. Takie nary zwane były przez nas »tratwami«. Cały czas trzeba było mieć swoją tratwę na oku, bo

inaczej zaraz ktoś by ją ukraść.

Zaczęły się ucieczki cudzoziemskich żeglarzy. Nie sposób ich było powstrzymać; po prostu czekali, aż zapadnie mrok, i płynęli ku Wolności, przy czym niektórzy zabierali nawet z sobą swoje wiosła. Nie gotowano już posiłków i nie usuwano odpadków; nie było ani płatnerzy, ani kucharzy, ani sanitariuszy. Bojowe oddziały zmuszone były wykonywać czynności, które w normalnych warunkach przypadały służbom pomocniczym; w ciągu dziesięciu dni dwukrotnie zdarzyło się, że zwykle sprzeczki omal nie przekształciły się w otwarty bunt.

Jedyną rzeczą, której żołnierzom nie brakowało, były pieniądze. Ale cóż można było za nie kupić? Ani suchego kawałka ziemi, do którego można by przyłożyć głowę, ani czystego miejsca, w którym można by spokojnie się wypróżnić. Nie mogłeś kupić nawet wody; wróg zatamował strumienie, które zasilają obóz, a jedyne źródło zatrzał. Choroby atakowały setki ludzi, co potęgowało tłok w lazaretach, już przepelnionych tysiącami rannych spod Epipolaju, których stan z dnia na dzień się pogarszał na skutek zatruwających powietrze piekielnych wyziewów.

Po obozie krążyło powiedzonko: »podnieść *akationn*. Wiesz, o co chodzi, Jazonie: o dziobowy

żagiel triremy, jedyny, który pozostawia się na czas walki, by w chwili śmiertelnego zagrożenia mógł posłużyć do ucieczki. Nie było człowieka, który by się nie palił do podniesienia *akationu*. Epipolaj sprawił, że Demostenes stanowczo opowiedział się przeciwko wyprawie. W jego ocenie cała Sycylia była jednym wielkim trzęsawiskiem; trzeba było wydostać z niego naszych chłopców, a przynajmniej wycofać się do takiego rejonu wyspy, gdzie będzie można zdobywać zaopatrzenie i należycie opiekować się rannymi i chorymi.

Lecz oto raptem nie kto inny, lecz Nikiasz zdecydowanie się temu sprzeciwił. Nie zgadzał się na odwrót bez uprzedniego rozkazu ateńskiego zgromadzenia. Pewnego wieczoru jadłem wieczerzę w towarzystwie mego kuzyna oraz medyka imieniem Pallas. Rodzinę tego doktora stanowili Euktemonidasowie z Kefizji; był on spowinowacony z Nikiaszem i na Sycylii kurował jego chore nerki, które zresztą do tej pory wciąż boleśnie dawały się starcowi we znaki. Miał już wszystkiego po dziurki w nosie i nie przebierał w słowach.

– Jeśli Nikiasz wróci z nami do domu, nie odniósłszy zwycięstwa, to jak mu za to *demos* wyrazi swoją wdzięczność? Dobrze on to wie, możecie mi

wierzyć. Ci sami oficerowie, którzy teraz najgłośniej gardłują za odwrotem, kiedy już będą bezpieczni w Atenach, obróca się przeciw niemu, by zatuszować własną hańbę. Nasz wódz zostanie zdegradowany za tchórzostwo albo za zdradę, albo za branie łapówek od nieprzyjaciela; pomagierzy jego oskarżycieli będą podzegli przeciw niemu społeczność, która takim samym rykiem zacznie się domagać jego głowy, jakim przedtem domagała się głowy Alkibiadesa. Mówcie sobie, co chcecie, ale Nikiasz to człowiek honoru. Raczej tu stawi czoło śmierci jako żołnierz, niż pozwoli się w domu zarżnąć jak pies.

Mijały dni, a wojsko nie ruszało się z miejsca.

Gilippos wrócił z podróży po sycylijskich miastach, zebrawszy następną armię, jeszcze liczniejszą niż pierwsza. Dziesięć tysięcy rozbiło się obozem na Olympionie, a dwukrotnie więcej na Ortygii. Wróg pozbył się wszelkiego lęku. W biały dzień puszczał w ruch wiosła, ostentacyjnie parując przed naszą palisadą i prowokując nas do stoczenia potyczki.

W końcu jednak i Nikiasz pojął sensowność wycofania się. Poszedł po obozie rozkaz: tej nocy się okrętujemy. W całym wojsku zapanowało uniesienie. W najmniejszej mierze nie zawstydzeni pakowaniem manatków żołnierze poczuli się oczyszczeni i

przywróceniu do łask bogów. Oto pokora i pobożność, choć przypomniano sobie o nich z dużym opóźnieniem, uchroniły ich przed zagładą, którą gotowały im niebiosa, czego dowodziły wszystkie złowrogie ciosy, jakich doznała wyprawa, począwszy od banicji Alkibiadesa. Jakież to zaburzenie umysłu, pytali teraz wszyscy, sprawiło, żeśmy się pozbyli tego człowieka? Nie sposób sobie wyobrazić, aby pod jego komendą nasza armia znalazła się w tak okropnym jak obecne położeniu. Syrakuzy padłyby dwa lata temu. Armia doszłaby już do tej pory do połowy italskiego buta; flota zniszczyłaby Kartaginę i teraz otaczałaby Iberię. Lecz najoczywiściej nie tego życzyli sobie bogowie. Być może niebiosa pokarały nas za pychę, jaką okazaliśmy, podejmując tej miary przedsięwzięcie, lub za to, żeśmy napadli na kraj, który nic przeciwko nam nie miał. Albo może mieli nieśmiertelni za złe Nikiaszowi niezmiennie mu dopisujące szczęście bądź też Alkibiadesowi – jego ambicję. Teraz jednak wszystko to było już bez znaczenia. Ważne było jedynie to, że nareszcie wracaliśmy do domu.

Ważne to było tylko do chwili, gdy zniknął księżyc. Żadna noc nie dorówna swoją czernią tej, jaka wtedy zapadła: nieprzenikniona, pogrążona w atramentowym

beźświele. Nie ma nic mroczniejszego od morza, ponad którym nie świecą gwiazdy; nie ma męża bardziej podatnego na grozę niż ten, któremu śmierć zagłada w oczy. Kiedy wreszcie kapłani zasięgnęli wróżb, to okazały się one aż tak złowrogie, że pierwsza i druga, i trzecia z kolei ofiara uznane zostały za nieczyste; wróżowie bezskutecznie zarzynali jedno zwierzę po drugim, czekając, aż któreś krwawić będzie pomyślnie.

Przez trzykroć dziewięć dni flota czekać musi, mówiły znaki.

Przez trzykroć dziewięć dni żadnemu nie wolno wypłynąć okrętowi".

23. NA MURZE OKRĘTÓW

„Gilippos uderzył dwudziestego drugiego dnia – kontynuował Polemides. – Rzucił trzydzieści tysięcy ludzi przeciw naszym umocnieniom i siedemdziesiąt sześć okrętów przeciwko naszej flocie, zakotwiczonej w zatoce. Mury fortu wytrzymały szturm; okręty – nie.

»Kloto«, »Lachesis« i »Atropos«, które przewodziły naszym eskadrom, poszły na dno. Z dwunastki, tworzącej wraz ze mną i Lwem nasz na nowo sformowany oddziałek piechoty morskiej, pięciu zginęło, a czterech zostało na skutek ran wyłączonych z walki. Łącznie straciliśmy czterdzieści okrętów, z których szesnaście flota Gilipposa wpędziła na brzeg słonych bagnisk zwanych Rogami, gdzie jego ludzie zamknęli nasze załogi pomiędzy falochronami i wyrznęli do ostatniego człowieka. Przejęte przez nich okręty zaczęły pełnić służbę przeciwko nam. »Ariadna« Eurymedona została zdobyta przez nieprzyjaciela pod Daskonem. Zwycięzcy przybili ciało zabitego wodza do dziobu i paradowali z nim przed naszą palisadą, przysięgając, że sprawią, iż będziemy jeszcze wszyscy zazdrościć mu takiego końca.

Była to klęska, która rozmiarami dorównała

katastrofie na Epipolaju. Ludzie byli zupełnie załamani. Samo to, że raz jeszcze tak bezpardonowo ich przegnano, zdawało im się wręcz niewiarygodne, a cóż dopiero to jeszcze gorsze, co wiedzieli, że się stanie, i to niezadługo.

Sycylijscy przystąpili do zagradzania wyjścia z zatoki na morze murem okrętów. Zapadła decyzja, że – wóz albo przewóz – będziemy się przez tę blokadę przebijać. Porzuciliśmy górne mury i postawiliśmy nowy, po stycznej do brzegu. Nasze terytorium skurczyło się do bagiennego prostokąta o podstawie niecałych ośmiu stadionów, ograniczonego ze wszystkich boków suchym lądem. Sześćdziesiąt tysięcy wojska, w tym dziewięć i pół tysiąca rannych, oraz sto dziesięć okrętów zajmowało każdy skrawek tej śmierdzącej przestrzeni. Ostatni niewolnicy i przyobozowe kolonie markietańskie – całe to bractwo zostało przepędzone, choć ludzie ci takiej dowiedli wobec nas wierności i choć bardzo chcieli z nami zostać; cóż, skoro chleba mieliśmy już tylko na pięć dni i trzeba go było zachować dla żołnierzy, także tych rannych.

Nie było już gdzie grzebać zmarłych. Grupy pogrzebowe układały ciała w kwadratowe stosy, przedzielając poszczególne warstwy okrętowym

drewnem, aby twarze pozostawały widoczne dla identyfikacji. Ścieżki pomiędzy tymi stosami pełne były braci i towarzyszy, którzy szukali swoich bliskich. Wracali wszyscy z tych poszukiwań w tak strasznym stanie ducha, że nie mogli spać ani jeść, a żadną groźbą ni prośbą nie można ich było nakłonić do słuchania rozkazów. Lazaret stał się miejscem tak przygnębiającym i ponurym, że medycy układali swych podopiecznych, gdzie tylko się dało na terenie obozu. Trupy tych, którzy zginęli na morzu, fale wyrzucały na brzeg niczym pnie drzew, zaścielając nimi całe plaże, te zaś, których nie wyniosły ku nam prądy i przyływy, za pomocą bosaków i tyczek do cumowania spychane były na brzeg przez załogi nieprzyjacielskich okrętów.

Musieliśmy się więc przebić albo zginąć. Wszystkich zdolnych do walki rozmieszczono na pokładach armady. Szturm wyznaczono na szósty dzień boedromionu, święta Boedromii, ustanowionego na pamiątkę zwycięstwa Tezeusza nad Amazonkami. Mieliśmy sto piętnaście triem; dwadzieścia dwie pozostały na brzegu, gdyż nie starczyło wiosła. Nie zrobiono nic, by przywrócić okrętom pełną żeglugową sprawność; o to mieliśmy się martwić później. Nikiasz wygłosił mowę, i to dobrą, a także i Demostenes

przemówił do żołnierzy. Zaniechano zwyczajowych zakłęk o uniknięcie bitwy oraz modłów o cud ostatniej godziny. Wszyscy co do jednego stanęli o świcie na swych stanowiskach bojowych; nikogo nie trzeba było budzić ani ponaglać. Niespełna dziewięć tysięcy piechoty lądowej wyznaczono do obrony obu krańców obozu, z których jednym była grobla na wprost Gorączkowiska, za którym sformowała się dywizja Temenitesa Syrakuzanina, dowodzona przez Hermokratesa; czterdzieści tysięcy ludzi, którzy jeszcze przed rokiem tworzyli bezładny tłum, a teraz stanowili doborową siłę pierwszego uderzenia. Zachodni skraj, nadbrzeżne urwisko, któreśmy nazwali Złą Wieścią, broniony był przez palisadę z głazów i drewna. Cztery tysiące naszych okopało się tam przeciwko dwudziestu tysiącom wrogów.

Na pokłady okrętów weszło dwadzieścia siedem tysięcy Ateńczyków i ich sojuszników; jednaście tysięcy żołnierzy i szesnaście tysięcy przy wiosłach. Okręty odbijały od brzegu w tak jeszcze głębokich ciemnościach, że nie widząc burt, sternicy zmuszeni byli kierować się słuchem, stosując się do sygnałów dźwiękowych oficera dziobowego i poświstywań gwizdków, którymi zwykle posługiwano się we mgle. Była to niepowtarzalna godzina. Wszyscy co do

jednego mieliśmy walczyć o zwycięstwo lub śmierć; o to, by znowu zobaczyć swe dzieci, żony i ojczysty kraj. Nikt nie wyrzekł słowa ani nawet głośniej nie odetchnął. Każdy wiedział, że musi zrobić wszystko, na co go stać, albo zginąć.

Okręty kolumnami płynęły do pław, którymi oznaczono miejsca zbiórek, i tam ustawiały się w szyku: cztery linie po dwadzieścia pięć jednostek plus dziesięć jako eskadra rezerwowa. »Pandorze« wyznaczono szóste miejsce od lewej w pierwszej linii, którą dowodził Demostenes. Mur nieprzyjacielskich okrętów wznosił się na wschodzie, o dwanaście stadionów przed nami. Nie widzieliśmy ich jeszcze; przez ciemności i mgłę nie przebijały się nawet światła ich lamp.

Zaczął się czekanie, owa nie kończąca się przerwa, w której formowały się linie i okręty po kolei zajmowały wyznaczone pozycje. Tu i tam przemykały korwety, sprawdzając gotowość i liczbę jednostek i przekazując polecenia. Na wodzie zawsze panuje chłód; słyszało się w ciemnościach, jak ludzie szcękają zębami. Wioślarze posilali się na swoich ławach, pogryzając chleb maczany w oliwie i jęczmień. Piechociarze otulali się w swoje płaszcze, kuląc się za bocznymi osłonami, i milczeli. Po raz

dwudziesty już chyba przypomniano im rozkaz: co do was, to o żarciu nie ma mowy; zapomnijcie o jedzeniu.

Nareszcie linia ruszyła na sygnał osłoniętej latarni. Nikt się nie odzywał, nie wydawano żadnych rozkazów; panowała zupełna cisza, nie licząc skrzypienia wioseł w kłamrach i wyłożonych skórą dulkach, chlupnięć, z jakimi zanurzały się w wodzie pióra, oraz bulgotania wody opływającej dzioby i burty. Słyszało się ciche klaśnięcia wyznaczających rytm kamyków i równoczesne oddechy pochylających się i prostujących wioślarzy. »Pandora« zrywami posuwała się naprzód.

Niebo zaczęło jaśnieć. Teraz już można było ogarnąć spojrzeniem naszą armadę. Widok, jaki sobą przedstawiała, nie mógłby bardziej jeszcze kontrastować z tą błyszczącą glorią, w jakiej wypływała z domu przed paroma laty, wioząc z sobą wielkie nadzieje i oczekiwania. Odarte z farby i ozdób, tylko z banderami, które pozwalały je odróżnić od wroga, nasze okręty wojenne z wysiłkiem przeorywały morze; głęboko zanurzone pod ciężarem upchanego na pokładach wojska, wyglądały bardziej jak płaskodenne promy niż pełnomorskie jednostki bojowe. Okrywające je od góry surowe i wyprawione skóry miały zatrzymywać pociski zapalające wroga, takie same zaś

płachty zamocowane nad linią wodną na burtach chroniły usadowionych na ławach wioślarzy. Pod tym poszarpanym przykryciem armada nasza zdawała się jakimś przeżartym wiekiem zbiorowiskiem reliktyw starożytności, które kulejąc, z wysiłkiem podążały na spotkanie wroga.

Podobnie jak i inne okręty, »Pandora« zostawiła swe maszty na brzegu. Mostki na dziobie i na rufie zostały przycięte; zastąpiono je platformami, chronionymi przez skórzane osłony, pomiędzy którymi rozmieszczono deski pełniące funkcję ramp załadunkowych. Sternika osłaniała budka z drewna i skór.

– Niech będzie jak najbrzydsza! – nakazał załodze kapitan Boros, który równo z majtkami pracował przez całą noc przy przeróbkach swojego szóstego już okrętu od wypłynięcia z Aten. – »Pandora« ma się wydać wrogowi skrzynią na wszelkie paskudztwo.

Część dziobowa, gdzie znajdował się pojemnik na żagiel (moje ulubione miejsce drzemek), została wzmocniona za pomocą drewna z naszych własnych zniszczonych kadłubów, na samym dziobie zaś umocowano potrójny taran, aby zneutralizować wynalazek Koryntian. Jego belki pozostawały jeszcze nieobsadzone; dopiero podczas starcia z

nieprzyjacielem mieli się na nie wspiąć żołnierze uzbrojeni w bosaki. Gromada *epibatai*, moja i Lwa drużyna, umieszczona została na tylnej części śródokręcia, aby dzięki naszemu ciężarowi dziób wznosił się wysoko ponad falami. Na forpiku stał jeden z trzech kotłów na ogień, od których podczas bitwy miały być zapalane strzały i pociski zapalające. Drugi stał obok mnie, na śródokręciu, a trzeci przy wejściu do budki sternika.

Z mojego miejsca u podstawy wysięgnika widać było przednie międzyburcie. »Pandora« tak szybko nabierała wody, że podnóżki dolnych wioślarzy już były zalane. Ci z górnych rzędów rytmicznie zanurzali w wodzie pióra swych wiosł, które wystawały z wyłożonych skórą otworów; pociągając, przynosili je tuż koło uszu towarzyszy z niższych ław. Ponad głowami wioślarzy zbudowano dodatkowe pokłady dla podtrzymania tłumu piechociarzy, łuczników i oszczepników, którzy kulili się w sobie, przy czym wielu z nich rzygało.

Już widzieliśmy nieprzyjacielską flotę. Palisada okrętów wznosiła się przed nami niczym mur; zatoka przeobraziła się w zamknięte jezioro. Na pokładach wzniesiono barykady, dla ochrony przed podpaleniem pokryte skórą, w których wycięto szpary, by wróg

mógł wypuszczać własne strzały i pociski. Przed owymi barykadami naszpikowano deski pokładu częściami omasztowania i drewnem. W środku całej tej pływającej zapory pozostawiono wolną przestrzeń o szerokości mniej więcej sześciuset stóp; widzieliśmy przez nią otwarte morze, którym nadciągało z dużą szybkością ponad czterdzieści potężnych jednostek bojowych, zgrupowanych w kolumnie. Przyplłyną w trzech lub czterech liniach, aby zastąpić nam drogę ewentualnej ucieczki. Setki małych łodzi nieprzyjaciela utworzyło coś w rodzaju pola pływających przeszkód, podczas gdy z obu skrajów brzegu wypływały do walki kolejne eskadry. Wróg panował nad dziewięcioma dziesiątymi zatoki. Na zewnątrz tego roju czekała armia Gilipposa. Niechaj bogowie mają w swej opiece okręty i załogi, które znajdą się w tej strefie śmierci.

Nadciągali w porządku dwa na jeden, odpływając na przemian od obu skrajów brzegu. Kiedy odległość zmniejszyła się do około czterech stadionów, bosman odgwiżdżał »potrójną« i »Pandora« skoczyła do przodu poprzez fale. Na forpiku Boros ryczał przez swoją tubę do sterników wiosłarzy to na jednej, to na drugiej burcie, dostosowując kurs do obranego celu ataku. W pewnej chwili popędził ku rufie i z tanecznym

podskokiem radości wrzasnął:

– Jak delfiny, chłopaki! Tniemy wodę niczym brzytwa!

Po czym zaśmiał się i skoczył do budki sternika. Przybył *prostales*, podoficer dziobowy imieniem Milo, którego swego czasu przyłapano w trawie na igraszkach z kochankiem i od tej pory przezywano Rodopygosem, czyli Różową Dupką. Był to bardzo niespokojnego charakteru człowieczek, zawsze spodziewający się najgorszego, toteż i teraz posuwał się zgięty wpół, niosąc na głowie dębową deskę, która dorównywała mu wagą.

– Spodziewasz się deszczu, chłopcze? – krzyknął doń Lew.

Rodopygos wykonywał żabie skoki to w przód, to w tył, raz po raz wyglądając za dziób, żeby ocenić odległość od nieprzyjaciela. Na jego sygnał mieliśmy się przemieścić do przodu, wyrzucając pociski i zarazem swoim zbiorowym ciężarem pochylając dziób, tak by na ułamek chwili przed zderzeniem taran znalazł się poniżej linii wodnej przeciwnika. Taki był w każdym razie plan. Bo kiedy przyszło co do czego, to jak zwykle o wszystkim zdecydował chaos.

Półtora stadionu od nas nagle wyłoniła się z nicości chmara małych jednostek nieprzyjaciela. Na pokład

zaczęły spadać strzały i pociski zapalające. Różowej Dupce grot przebił stopę. Nasza grupa natychmiast się przemieściła, by zmienić pochylenie dziobu, lecz nic to nie dało. Szły już prosto na nas dwa nieprzyjacielskie statki z pierwszej linii: trójpokładowiec z popiersiem nagiej niewiasty na forpiku oraz przystosowana do walki galera, rozłożysta niczym barka. Na jej pokładzie tłoczyło się co najmniej stu ludzi. »Pandora« wzięła kurs na czołowe z nią zderzenie, równocześnie jednak trirema złożyła się do ataku na naszą burtę. Nasi piechociarze zasypali ją z dziobu gradem pocisków zapalających; szybko zmniejszająca się przestrzeń między nami pokryła się łukowatymi wstęgami dymu. Żołnierze wyrzucili z przykłąku swoje oszczepy, po czym padli na deski za osłoną skór, żeby przeczekać salwę, którą odpowiedział wróg. Z obu walczących stron poleciały teraz miotane za pomocą owijających je sznurów dzbany z dymiącą siarką, które Syrakuzanie zwali »skorpionami«, Ateńczycy zaś »jak-się-maszami«. Już trzy okręty stały w ogniu.

Aż doszło do kolizji. »Pandora« i była transportowa galera wpadły na siebie, ale pod tak ostrym kątem, że zwarły się dziobami, podczas gdy burty tłukły się i tarły o siebie. Ci na forpiku starali się zahaczyć i przyciągnąć galerę bosakami; tamci odpowiedzieli

ulewą strzał i kamieni. W przewidywaniu bitwy zerwali relingi i zakryli skórą wszystkie punkty zaczepienia, skutkiem czego nasze bosaki odbijały się od nich jak groch. Kiedy już któryś hak o coś się zaparł, przeciwnicy odtrącali go drewnianymi młotami albo rąbali toporami. Jakiemuś nieszczęśnikowi grot haka przebił łydkę i teraz zwisał sukinsyn głową w dół, przygwożdżony do podstawy masztu, podczas gdy trzej nasi ze wszystkich sił ciągnęli za przymocowaną do tyczki linę. W chwilę później Dwa Cyce grzmotnęły w podbrzusze naszej »Pandory«, a po ułamku następnej nasz »Nieustraszony« rąbnął ją w tyłek.

Nieprzyjacielskie okręty wiozły na swych pokładach kamienie, a raczej ciężkie głazy, które zgromadzono jako amunicję na pomostach dziobowych i wzdłuż burt. Teraz wyskoczyli naprzód ich najsilniejsi majtkowie i dźwigając jeden po drugim te potężne pociski, rzucali nimi w nasze burty i osłony, rozłupując je w drzazgi.

Na czele tej fali miotaczy wyróżniał się pewien obnażony do pasa olbrzym. Wskoczył on na nasz dziób bez żadnej broni z wyjątkiem ogromnego głazu, którym machał przed sobą, roztrącając naszych i zwalając ich z nóg. Młody chłopak imieniem Elpenor zdołał przeciąć mu przedramię aż do kości; dwunogi

byk tylko się z rykiem obrócił i kamieniem rozłupał dzielnemu młodzieńcowi czaszkę, po czym okręcił się i zmasakrował twarz innego żołnierza. A przy tym przez cały czas kopnięciami nóg, których uda miały grubość wyrosniętego dębu, odrzucał naszych od siebie.

Nie był to właściwy moment na akty pojedynczego heroizmu. Skrzyknąłem Metona Rękołama i Adrastosa zwanego Holownikiem, i zaszliśmy potwora od tyłu. Zaatakowaliśmy go wszyscy trzej równocześnie: jedno dźgnięcie w wątrobę, drugie w biodro, a na dokładkę Holownik wbił mu hak bosaka w ścięgno udowe. Olbrzym z rykiem opadł na jedno kolano. Nawet się nie obejrzał, żeby zobaczyć, kto go zaatakował, a tylko podniósł głaz nad głowę i z całej siły cisnął nim o pokład. Pocisk przeleciał przez odkryty przedział wioślarzy, jednemu z drugiej ławki urywając nogę w kolanie, po czym przebił się przez wewnętrzną stępkę i roztrzaskał poszycie kadłuba. Morze zabulgotało; »Pandora« zaczęła tonąć.

Niemożliwą jest rzeczą, bym z perspektywy czasu odtworzył to, co potem nastąpiło, czy raczej następowało jedno po drugim, wszystko bowiem działo się tak szybko i pośród takiego chaosu, że wściekłość i przerażenie, lęk o moich ludzi i o siebie sprawiły, iż

umysł mój nie wszystko mógł rejestrować. Pamiętam, że w pewnej chwili jakiś nieprzyjacielski piechociarz złapał mnie za brodę i z taką zaciekłością walił swoją tarczą w szczyt mojego hełmu, iż miałem wrażenie, że moja czaszka zapada się do środka. Z całej siły ścisnąłem go za jaja i wyrwałem się z uchwytu jego palców, pozostawiając w nich całą kępę mego zarostu. Przetoczyłem się przez barierkę do korytarza wysięgnika, gdy tymczasem Lew ciął tamtego od tyłu mieczem, z oburęcznego zamachu od lewego barku; hełm z głową, z której szyi tryskała krew pomieszana z jakąś cieczą, odbił się od mojego brzucha i pomiędzy balastami wpadł do morza.

Walka na wodzie ma pewien szczególny aspekt: nie ma dokąd uciekać. Naszej kompanii udało się jakoś zdobyć nieprzyjacielską galere, jeśli zdobyczą można nazwać masę płonącego drewna, która w dodatku szybko szła na dno, a zdobyciem – to, że dzięki temu, iż tonęła od steru, atakowaliśmy w dół pochyłości, co samo w sobie dawało nam przewagę; ruchoma ściana naszych tarcz zepchnęła nieprzyjaciół do morza. Równocześnie pod naszymi stopami trwała druga bitwa, równie zacięta jak ta na pokładzie: wioślarze obu płonących statków walczyli pomiędzy sobą gołymi rękoma o przeżycie, wzajemnie próbując się potopić.

Zamiast włócznie i oszczepów używali bosaków oraz toporów, a i połamane wiosła także okazały się przydatne. Co się tyczy żołnierzy, to nawet kiedy już pokład pod ich stopami zanurzał się w wodzie, nie przestawali dźgać i walić przeciwnika.

Tymczasem trzecia i czwarta fala ateńskiej floty dotarły już do pływającej ściany wroga, a piechota wspinała się na tworzące go okręty, co przypominało atak lądowego wojska na mury fortecy. Nas zabrał z tonącej galery na swój pokład »Nieustraszony«; minęło parę chwil i my również znaleźliśmy się na owym murze.

Kuzyn Szymon opowiadał mi potem, jak przedstawiało się to widowisko oczom tych, którzy pozostali na brzegu. Ranni wyblągali u swych doktorów, żeby ich zniesiono nad morze; los każdego z nich zależał od wyniku bitwy morskiej, toteż za wszelką cenę chcieli śledzić jej przebieg. Także i żołnierze stłoczyli się na brzegu, a nawet wchodzili do morza. To samo zresztą na swoim odcinku robili Syrakuzanie; wszyscy wpatrywali się z napięciem w zasłonę dymów, aby dojrzeć przez nią oznaki swego zwycięstwa lub porażki.

Samych okrętów, opowiadał mi kuzyn, nie dało się wypatrzeć; tylko dym, czarny u podstawy i szarzejący,

w miarę jak się wznosił słupami tak gęstymi, że zdawało się, iż pożar ogarnął cały nieboskłon. W niektórych miejscach zatoki toczyły się bitwy takich rozmiarów i zawziętości, że gdyby je oceniać w oderwaniu od całości tego piekła, to można by nadać im miano epokowych, podczas gdy widziane w ramach tej niebywalej masy ludzi i statków, zdawały się jedynie ubocznymi potyczkami. Jeśli chodzi o same okręty, twierdził Szymon, to po bardzo niedługim czasie zaniechano wszelkich zasad taktyki i manewrowania podczas bitwy na otwartym morzu. Wrogie jednostki po prostu ścierały się z sobą kadłubami, po czym następowała decydująca walka wręcz, pierś w pierś. Powierzchnia zatoki zdawała się usiana wysepkami i archipelagami okrętów, które zwarły się po cztery, sześć lub nawet i dziesięć, a na ich pokładach walczone na śmierć i życie.

Pomiędzy tymi pływającymi polami bitwy uwijała się nieprzeliczona mała flota Syrakuzan: drewniane szalupy, trzcinowe łódeczki, żagłówki, a nawet tratwy. Zgromadzili się na nich wszyscy, od dzieci po mocno starszawych mężczyzn, którzy zdolni byli rzucić na pokład okrętu garnek z płonącym zarzewiem lub roztrzaskać jakiemuś żołnierzowi głowę pałką albo kamieniem. Łatwo było odróżnić ateńskie okręty, to

wokół nich bowiem krążyły chmary tych dokuczliwych wodnych komarów, atakujących pióra wioseł, miotających pociski i napierających na ławy wioślarzy, żeby ich pozbawić równowagi.

Losy bitwy ważyły się niczym szale wagi, a każda zmiana w układzie sił wywoływała na twarzach i w zachowaniu nadbrzeżnych widzów dramatyczne zmiany. Za każdym razem, gdy któryś okręt brał górę nad przeciwnikiem, widzowie jednej ze stron w radosnym uniesieniu rzucali się w ramiona swych towarzyszy. Kiedy z kolei ich spojrzenie zwróciło się ku miejscu, w którym przewagę osiągnął nieprzyjaciel, ogarniała ich głęboka rozpacz: rozlegały się straszliwe jęki i niosły się ku niebu owe żalosne błagania, które zwykły się w takich chwilach wyrwać z ludzkich piersi.

Jak gdyby nie dość jeszcze było tej żołnierskiej widowni, bitwę obserwowały też żony i córki Syrakuzan, które wyległy na mury obronne, z których roztaczał się pełny widok na zatokę, a przy tym z tak bliska, że ich krzyki może nawet dobiegały uszu walczących. Który ich okręt śmiało uderzył w ateński, nagradzany był hałaśliwą owacją; który płochliwie próbował umknąć przed przeważającym nieprzyjacielem – obrzucony został lawiną gniewnych

i pogardliwych krzyków.

Na pływającym murze szala zwycięstwa przechyliła się na naszą stronę.

Nieprzyjaciel zwarł w jedną ścianę ponad dwieście statków; nie tylko wojennych okrętów, ale i handlowych transportowców oraz barek, płaskodennych promów i galer. Przymocowane były one jedne do drugich linami lub przybitymi do burt deskami, tak że Ateńczycy mieli przed sobą szeroki i solidny mur obronny. Zaatakowali go z całym impetem.

Od wszystkich innych morskich bitew, jakie widziałem, ta różniła się zwłaszcza jednym: w żadnym jej punkcie nie dostrzegło się okrętu lub człowieka, który próbowałby się wycofać. Tak ogarnięci byli wszyscy duchem zwycięstwa – Ateńczykom było ono konieczne dla ocalenia życia, Syrakuzanie zaś i ich sojusznicy pałali żądzą pomsty na tych, którzy wszczęli wojnę, aby uczynić z nich niewolników i, co więcej, zyskać ich kosztem wiekopomną sławę – że nikt nawet przez chwilę nie pomyślał o ratowaniu własnej skóry, całkowicie przejęty pragnieniem dowiedzenia przeciwnikowi swej żołnierskiej wyższości i niezrównanego męstwa.

Gdzieś w połowie przedpołudnia padłem pod

ciosem pałki zwanej »łamaczem kości« i runąłem z pokładu barki na jej dno, idąc jak kamień pod wodę, której było tam już dobrych pięć stóp. Wyciągnął mnie na wierzch Papka i, odkrywszy jakiś bezpieczny ką, zajął się moją ranną nogą.

– Popatrz tylko, Pommo – powiedział w pewnej chwili, wskazując za burzę. – Widziałeś kiedy coś podobnego?

Gdziekolwiek sięgnąć wzrokiem, morze przesłonięte było zasłoną dymu i zdawało się wręcz wybrukowane kadłubami okrętów. Zaraz po naszej lewej któryś z Ateńczyków staranował jeden ze statków, które tworzyły ścianę; teraz wszystkie wiosła gwałtownie pchały wodę, żeby cofnąć się i uderzyć jeszcze raz, podczas gdy z jednego pokładu na drugi leciał z furkotem i świstem tak gęsty grad kamieni, strzał i pocisków zapalających, że powietrze pomiędzy kadłubami wydawało się jednym blokiem żelaza i ognia. Zaledwie ateński taran wyrwał się z burty przeciwnika, odsłaniając jego bebechy, już nadpłynął następny okręt z jego eskadry, nakierowany na ten sam cel. Tym razem uderzenie roztrzaskało rufę, zrywając całą tylną część pokładu, której obsada rozprysnęła się niczym stos palików. Nabierając wody, przedziurawiony kadłub wgniótł swym ciężarem w

morze dziób napastnika, zaczym pomiędzy dwiema załogami rozpętała się jeszcze zacieklejsza od pierwszej wymiana pocisków. W jej trakcie poprzedni Ateńczyk zdążył wycofać się o jedną długość, nabrać rozpędu i ponowić swój atak.

Tymczasem po naszej prawej trzy ateńskie galery także zwarły się z murem. Walka wręcz toczyła się w takim zamieszaniu, że więcej było Syrakuzan na ateńskich pokładach niż Ateńczyków, których z kolei większa liczba walczyła na syrakuzzańskich statkach. Za rufami tych trzech galer defilowały teraz z morderczą powolnością trzy ateńskie krążowniki, z których łucznicy ślali ponad głowami swoich gęste salwy płonących pakul i smoły na staranowane statki nieprzyjaciela. Gdy tylko któryś chwycił ogień, płomienie niezwłocznie przeskakiwały na jego sąsiadów, popchnięte wiatrem lub takim czy innym sposobem przerwane przez żołnierzy.

W południe już w kilkunastu miejscach syrakuzzańskiej palisady widniały wyrwy. Lew opowiedział mi potem, jak w pewnym momencie przez jedną z nich przepłynęły burta w burtę aż trzy ateńskie okręty, w tym »Nieugięty« pod Demostenesem, który nadawał sygnał: »Płynąć za mną«.

A więc zwyciężaliśmy. Ale...

Wróg wciąż miał nas w swoich kleszczach, którymi były wyniosłość Ortygii i Plemmyrionu oraz Skała na południu; to pomiędzy tymi dwiema szczękami stanął pływający mur. Z jednej strony pięćdziesiąt tysięcy, z drugiej dwadzieścia, a do tego coraz to nowe siły wroga uzupełniały mur. W każdą dokonaną przez nas wyrwę natychmiast wpływały małe jednostki i zatykały dziurę niczym korek. Jedne przerzucały przez nią posiłki, podczas gdy inne dostarczały drewno i łańcuchy do ponownego wiązania elementów naruszonej ściany.

Przyszło popołudnie; rzeź, jakiej dokonywaliśmy w szeregach nieprzyjaciela, tak dziesiątkowała jego siły, że pewne było, iż długo już nie wytrzyma naporu.

Kiedy bitwa toczy się w tak bliskim zwarciu, mniej doświadczeni w prowadzeniu wojny, choćby najdzielniejsi – a takimi właśnie byli Syrakuzanie – popełniają pewien błąd, który Spartanie zważy »dryfowaniem« lub »odruchem szczura«. Wojownik bezpośrednio ściera się z jakimś przeciwnikiem, zadaje lub otrzymuje cios lub kilka ciosów, a nie osiągnąwszy śmiertelnego skutku – nawiązuje walkę z jego sąsiadem, po której znowu przesuwa się w bok. Czyni tak pod ciśnieniem lęku. Szuka jakiegoś schronienia pośród walczącej cizby, »szczurzej dziury«, w której

mógłby się skryć. Spartańscy chłopcy są podczas szkolenia bici za popełnienie tego błędu. Uczni są walki »na wprost«: kontynuowania pojedynku z jednym przeciwnikiem aż do końca, gdy wreszcie jeden lub drugi padnie. Lacedemończycy nazywają to *monopale*, »selekcja«. Syrakuzanom wiedza ta była obca, choć szkolił ich Gilippos. Kiedy więc doszło do walki na pływającym murze, zaczęło brać górę doświadczenie Ateńczyków. Na pokładach sprowadzało się wszystko do starcia dwudziestu na dwudziestu, czterdziestu na czterdziestu, w każdym razie do *parataxis*, miniatURY bitwy w zwarciu; pod spodem odbywało się w tym czasie coś, co raczej przypominało bójkę: jeden na jednego, po uda albo i po pas w wodzie, w zamkniętej, ciasnej i częstokroć ogarniętej pożarem przestrzeni rzezi, w której żołnierz miażdżył zarówno przyjaciela, jak i wroga. Ateńczycy lepiej sobie radzili w tych warunkach. Ponadto mieli przewagę pod jeszcze innym względem. Na morzu ci, którzy się bronią, z konieczności muszą zabijać napastników, co nigdy nie jest sprawą prostą, podczas gdy agresorom wystarczy siać materialne zniszczenie. Ateńska piechota morska zaatakowała drewniany mur ogniem i toporami. Dziurawili jeden po drugim nieprzyjacielskie okręty i podpalali ich kadłuby;

wzdłuż całej linii obronnej bastiony pływającej fortecy z trzaskiem i skwierczeniem osuwały się ku powierzchni wody.

Odnaleźliśmy się z Lwem i Telamonem. Wspólnymi siłami rozbijaliśmy drewniane pomosty – osiem belek spiętych żelaznymi klamrami – które wiązały sąsiadujące z sobą sekcje muru obronnego. Nazbyt już wyczerpani, by utrzymać się na nogach, okraczaliśmy bale, siekąc je naszymi mieczami, tępyimi jak noże do masła. Aż oto nadciąga wróg. Pojawiają się jego bojowe skorupki, z których bombardują nas procarze zabrani z sąsiedniego płonącego okrętu.

Nasz oddziałek liczył dziesięciu ludzi, z których znałem jedynie Telamona, Lwa i Papkę; pozostali pojedynczo bądź parami przyłączyli się do nas w trakcie walki i nigdy już nawet nie poznałem ich imion. Jeden z nich, odznaczający się rudą brodą, ryknął w stronę naszego krążownika, aby zeń ostrzelano atakującą nas grupę. Zanim skończył zdanie, pocisk rozerwał mu gardło; padł jak worek pełen kamieni, natomiast jego zabójca, triumfalnie wrzasnąwszy, znowu kręcił nad głową swoją procą. Za plecami usłyszałem jakąś wrzawę; na pokładzie statku, z któregośmy przed chwilą zeskoczyli, pojawiła się dwudziestka następnych Syrakuzan. Pod nami ukazały

się jeszcze dwie łódki z miotaczami. Żaden z nas nie zachował hełmu ani tarczy. Stanowiliśmy idealny, unieruchomiony cel. Zaświstały nam koło uszu ołowiane pociski. Telamon ryknął, żeby skakać; rzuciliśmy się do wody.

Po godzinie wróciliśmy niejako do punktu wyjścia: już na innym wprawdzie statku, ale tak samo rozbijaliśmy taką samą warstwę drewna, mając na głowach te same fdcowe podkładki pod hełmy i nic więcej, a na ciałach jakieś żalosne strzępy tego, w cośmy byli odziani przed bitwą.

A wróg wciąż nadciągał kolejnymi falami. Coraz to nowe setki Syrakuzan spływały w dół z Ortygii i ze Skąły, i zdawało się, że ich potok nigdy nie wyschnie. Byli silni i wypoczęci; mieli pełne brzuchy i krzepkie nogi. Nie cierpieli od świeżych ran, uderzeń ani potłuczeń. Drzewca ich włóczni nie były pełne drzazg po całodziennym tłuczeniu się z innymi ani ostrza nie były poszczerbione. Tarcza, którą każdy z nich niósł na ramieniu, nie była trzecią już czy czwartą, zerwaną w ciągu ostatniej godziny z jakiegoś rannego lub zabitego towarzysza, i nie została jeszcze niemiłosiernie poobijana. Ich płuc nie wypełnił dym, a przelyków nie poparzył ogień; przez ich kiszki płynęła świeża woda, więc wciąż stać ich było na to, żeby się pocić.

Lecz mimo wszystkie te ich przewagi zdołalibyśmy ich pokonać, gdyby nie wiatr i nie przyływ. Słońce pochyliło się już nisko nad zachodem; powiała bryza. Fala przyływu przyszła wrogowi z szatańską pomocą. Jest otóż koło Ortygii pewien kanał, zwany Gonitwą. Poddany podwójnemu ciśnieniu, idącemu od brzegów i od spodu, jego nurt podczas przyływu wpada do zatoki ze zwielokrotnioną Prędkością. I oto z chwilą jego przybycia wróg otworzył mu drogę w swoim murze. Siła jego uderzenia cofnęła naszą flotyllę. Co gorsza, pojawiło się w tej samej chwili dwadzieścia korynckich okrętów bojowych, które wychynęły zza północnego cypla. Pchane wzmagającą się bryzą i ośmielone tym widocznym zrzędzeniem niebios, runęły one na grupę walczących na otwartym morzu ateńskich okrętów, wśród których był także »Nieugięty«, zmuszając je do ucieczki.

Nasi wiosłarze nie potrafili sprostać wzmagającym się podmuchom wiatru. Do ostatka wyczerpani, zakłócali rytm swoim towarzyszą. Beładnie wznoszące się i opadające wiosła tworzyły nad burtami dodatkową ścianę, w którą uderzał wiatr, pchając okręty do tyłu. Jednocześnie narastała fala przyływu. Te jednostki, którym udało się ustawić dziobem przeciw szkwałowi i wystarczało już tylko, by

utrzymywały się w miejscu, nagle okazały się wystawione na atak z flanki, do którego w istocie ruszyli pełni sił Koryntianie. W ślad za nimi poszły do natarcia syrakuzańskie okręty; ich załogi wznosiły dziękczynne okrzyki ku niebiosom, które łaskawie odpowiedziały na ich modły, zsyłając na wrogów wichur. Znajdowałem się w owej chwili na pokładzie »Aristei«, mojego piątego czy szóstego już tego dnia okrętu. Dowódca zawrócił ją z zamiarem staranowania którejś z nadpływających korynckich jednostek. Wiatr był w tym momencie już tak silny, że dosłownie cofaliśmy się pod jego naporem. Koryntianin z łatwością nas wymanewrował i przyłożył nam w rufę, natychmiast zawracając, by zanim przestaniemy się bezwolnie okręcać wokół własnej osi, staranować nasze śródokręcie. Nasz krążownik zaczął uchodzić tyłem; wiosłarze pchali miast ciągnąć, dzielnie wytrzymując nawałę nieprzyjacielskich pocisków. Teraz to Koryntianin znalazł się w tarapatach, jako że wiatr uderzył weń na trawersie, skutkiem czego zdołał tylko stuknąć w dziób »Aristei«; wystarczyło to jednak, by powstała w nim szczelina szerokości półtora człowieka, przez którą bez przeszkód wlało się morze.

Byliśmy jakieś dziewięć stadionów od brzegu. Wiosłarze dawali z siebie wszystko, z rozpaczą ludzi,

którzy wiedzą, że zostali pobici i że jeśli zwycięzcy ich dopadną, to nie okażą im żadnej litości. Dochodziły ich wrzaski tłoczących się wzdłuż brzegu ludzi Gilipposa, którzy domagali się krwi. Na pokładach żołnierzom wyrywały się z piersi jęki przerażenia; kończyny drżały im jak dotkniętym chorobą starcom. Znaleźliśmy się w cieniu rzucanym przez Epipolaj, w pasie ciemnej wody, szerokim już na kilkaset stóp. Było zimno jak o brzasku.

»Aristea« wcisnęła się w powstającą ateńską ścianę obronną. Poprzedzające ją okręty albo wysunęły się z uciekającej ciżby i znalazły dla siebie miejsce w tym łańcuchu, albo rozpruły sobie brzuchy. Na zbudowanym z kadłubów murze piechociarze i żeglarze jeden przez drugiego rwali się do pierwszych szeregów. Dojrzałem w tej czołowej grupie Lwa i Papkę. Co ich zmusiło do tak szlachetnego zrywu? Ale oto i ja z dzikim okrzykiem rzuciłem się im na pomoc. Nie miałem już żadnej broni, a przy tym byłem bosy i prawie nagi. Ze zmęczenia ledwie trzymałem się na nogach. Wszyscy inni byli tak samo do cna wyczerpani. Czuliśmy śmierć, która nie tylko czaiła się w chłodzie i mroku, ale i przenikała w nasze kości.

Patrzyłem na korynckie i syrakuzzańskie okręty, sunące na naszą linię obronną na podobieństwo

wielkich, skrzydlatych drapieżników. W ich ataku było coś z sennego marzenia. Na bogów, były piękne! Tuż obok mnie nurkowali ludzie, którzy starali się na pływający kawał drewnianej ściany wydostać łańcuch łączący dwa podwodne jeże; ciężar żelaza ciągnął wszystko do dna. Próbowali dorzucić zaczepioną do łańcucha pętlę do okraczających platformę żołnierzy, lecz nie starczało im na to sił; za każdą kolejną próbą sznur z pluskiem wpadał do wody, nie dosięgnąwszy celu. Dwa nieprzyjacielskie okręty wzięły kurs na naszą lukę w ścianie obronnej; nadpływały tak szybko, że pierwsze wysłane przez ich *toxotai* groty już z pluskiem wpadały obok nas do wody. Z brzegu przedarła się do nas wplaw grupa mężczyzn, z których pomocą udało się wreszcie po nieludzkich wysiłkach umocować łańcuch w zaczepie i napiąć.

Z iście tytanicznym rozpędem pierwszy z atakujących okrętów wbił się w naszą ścianę. Zobaczyłem, jak Papka wali się pomiędzy liny z przebitym gardłem. Ratując życie, skoczyliśmy z Lwem do wody; w tej samej chwili doszedł naszych uszu głuchy trzask, z jakim podwodne zaostrome pale, potężne jak wyrosnięte drzewa, wbijały się w kadłub napastnika, podczas gdy kolce jeża przeorywały jego dno. Koryntianie nie przestali jednak wiosłować,

próbując wywalić w naszej linii obronnej dziurę, przez którą następne ich okręty mogłyby się przebić, a następnie podpalić uszkodzone ateńskie jednostki, które kryły się za barykadą.

Zaczęło się starcie, które swoim szaleństwem przerosło wszystko, czego byłem świadkiem od samego początku bitwy. Ateńczycy niczym mrówki obiegli nadziany na pale okręt. Powierzchnia morza pokryła się dywanem z ciał zabitych. Nasi żołnierze wciągali się na rękach po drzewcach nieprzyjacielskich wiosła, pazurami atakując wiosłarzy za osłoniętymi skórą dulkami, podczas gdy obrońcy dźgali ich z góry swymi włóczniami, łucznicy zaś ostrzeliwali na wprost, z najbliższej odległości. Na unieruchomionych ateńskich okrętach ludzie wyrywali z desek groty pocisków zapalających, którymi obsypał ich nieprzyjaciel, i wciąż płonące, miotali z powrotem na napastników. Uwięziony Koryntianin już tonął, umacniając tym samym nasz naruszony obronny bastion, który dalej nas chronił. Spoza niego nadciągało już jednak ławą kilkanaście następnych okrętów, na pół tylko widocznych w mroku; ich łucznicy posyłali w naszą stronę chmury strzał, podczas gdy uradowani wiosłarze śpiewali triumfalny pean.

W zwałisku oblewanych przybrzeżną wodą ciał odnalazłem półprzytomnego Lwa. Papka był martwy, Drzazga już wcześniej zginął od ciosu topora. Na płyciźnie, w której nawet dziecko by nie utonęło, fale podcinały nam kolana; dojmujące zimno przyprawiło nasze ciała o tak gwałtowne drgawki, że musieliśmy się czołgać, ciągnąc za sobą nogi, które nie chciały już nas słuchać.

Wyciągnął nas z tej zupy Szymon. Wlał w nas, ile mógł, wina, po czym otulił mnie swoim płaszczem i rozgrzewał w uścisku; jego towarzysze zajęli się Lwem, z całej siły nacierając mu skórę, żeby przywrócić krążenie krwi. Zewsząd dobiegały szlochy i jęki rozpacz, które szczególnie wstrząsające robiły wrażenie, gdyż pustoszyły serca tych, którym nie dane było tego dnia walczyć, oraz rannych; mogli oni tylko beczynnie i bezradnie przyglądać się bitwie. Popatrzyłem wzdłuż brzegu, po czym pomyślałem: oto jak musi wyglądać piekło.

W pobliżu nas grupka wioślarzy próbowała przywrócić do życia swego towarzysza. Bez skutku; w końcu i ostatni z nich, najbardziej uparty, poddał się i zostawił ciało w spokoju. Zapadała noc. Po mroczniejącej zatoce krążyły nieprzyjacielskie okręty; ich majtkowie dobijali ostatnich, jeszcze się

utrzymujących na wodzie Ateńczyków, krzycząc przy tym w naszą stronę, że i nas wkrótce spotka z ich rąk to samo.

Obok naszej trójki siedziała grupka wycieńczonych wioślarzy, którzy ponuro przypatrywali się tej straszliwej scenie.

– Widziałeś go tam? – odezwał się w pewnej chwili jeden z nich głosem, w którym był zarazem podziw i groza. – Podobno walczył razem z wrogiem.

– To on ich prowadził, kiedy przerwali naszą blokadę.

– Nikt nie potrafi mu sprostać.

Cóż to za bzdury wygadywali ci ludzie? Zdawało im się może, że wypatrzyli w nieprzyjacielskich szeregach Posejdona albo i samego Zeusa?

– O kim wy gadacie? – warknąłem. – Jakaż to zjawia się pojawiła w waszych oszalałych umysłach?

Ten, który odezwał się pierwszy, spojrzał na mnie tak, jak gdybym to ja był szaleńcem, po czym wyjaśnił:

– Alkibiades".

24. NASTĘPSTWA KLĘSKI

„Potem, już w kamieniołomie, jeden z naszych zapytał syrakuzkańskiego strażnika, czy naprawdę Alkibiades był obecny podczas bitwy w zatoce.

Dozorca wyśmiał go.

– Stać was na zmyślanie lepszych bajeczek, Ateńczycy. Czyżbyście wciąż byli przekonani, że pokonać was może tylko ktoś spomiędzy was samych?

Na Sycylii uważa się za przestępstwo pewne zachowanie, które tubylcy nazywają *demortificare*. Oznacza to bycie świadkiem sytuacji, w której ktoś doznaje wstydu lub jakiegoś innego upokorzenia, i pozostanie na to obojętny. Syrakuzanie, którzy przyjęli to mniemanie za swoje, uważają taki postępek za zbrodnię cięższą nawet niż morderstwo; zabicie człowieka jest w ich odczuciu czynem popełnianym w afekcie lub w obronie własnego honoru, co go usprawiedliwia albo przynajmniej tłumaczy w oczach bogów. Inaczej rzecz się ma z *demortificare*. Widziałem pewnego razu, jak jeden z miejscowych chłopców, którzy pracowali w obozowej pralni, dziecko jeszcze, straszliwie został zbity przez swego ojca za to, że pozwolił, by na tańcach jego kuzynka siedziała samotnie pod ścianą.

Syrakuzanie nienawidzą nas z tysiąca najróżniejszych powodów, najbardziej jednak za to, żeśmy się im poddali. Zwrócił mi na to uwagę Lew, kiedy staliśmy w kolejce do piętnowania; wciąż czynił on notatki do swej kroniki, którą przechowywał już tylko we własnej pamięci i recytował w gronie naszych towarzyszy, aby podtrzymać ich na duchu.

– Syrakuzanie mogą nam wybaczyć to, że wytoczyliśmy im wojnę. Mogą nawet puścić w niepamięć ruinę ich miasta i rzeź, której ofiarami padli ich synowie. Nigdy jednak nie wybaczą nam naszej własnej hańby.

Jesteś szlachetnego rodu, Jazonie, ale zarazem jesteś też wojownikiem. Mienisz się filozofem i sądzę, że w samej rzeczy nim jesteś. Wiesz, dlaczego to właśnie ciebie wybrałem jako tego, kto mi pomoże przygotować moją obronę? Nie dlatego, iżbym przypuszczał, że potrafisz mnie obronić, bo tego nikt nie potrafi dokonać; mój grób jest już wykopany. Postąpiłem tak z bardziej praktycznego powodu: żeby cię poznać. Podziwiałem cię bowiem już od Potidei. Zdziwisz się, jeśli ci powiem, że z uwagą śledziłem przebieg twej życiowej drogi; na tyle dokładnie, na ile mogłem to czynić w oddaleniu od mego rodzinnego miasta. Wiem o śmierci, czy raczej o zamordowaniu

twoich dwóch drogich synów przez Trzydziestu. Wiem o ruinie, w jaką popadła rodzina twej drugiej małżonki. Świadom jestem śmiertelnego niebezpieczeństwa, na jakie naraziłeś siebie i swoich bliskich, broniąc Peryklesa młodszego w zgromadzeniu; czytałem twoją przemowę z najwyższym podziwem. Bronić aż do końca honoru to nie jest błahostka. A jednak pochlebiam sobie, że dzielę z ludźmi twojego pokroju jeśli nie cnotę honoru, to sposób postrzegania rzeczy tego świata. Niech będzie: w istocie popełniłem zbrodnię. Wszelako jej ujawnienie oznacza, że na ławie oskarżonych zasiada obok mnie cała Grecja: dla ratowania własnej skóry opuściłem swych bliźnich, zarówno na polu bitwy, jak i w swoim sercu. Ale darujmy sobie rozwodzenie się nad tym i wywnętrzanie. Opuściłem nie tylko mych braci, lecz i samego siebie. Aby się uratować, wyparłem się siebie.

Wszelki grzech wywodzi się z ciała; tak naucza twój mistrz Sokrates, nieprawdaż? Jak to Agaton ujął w przemowie Palamedesa pod Troją, także wszak będącej próbą ratowania życia:

...dopóki mąż jakiś wiąże własną samoświadomość ze swym ciałem, dopóty pozostanie grzesznikiem. Gdy wszelako utożsami się ze swą duszą zyska boskość.

Któż spośród nas zdołał tego dokonać? Otóż mistrz

twój właśnie. Toteż nienawidzą go, bo uznanie jego szlachetności oznaczałoby dla nich wyjawienie własnej podłości, a tego nigdy nie uczynią. Nienawidzą go tak, jak ogień nienawidzi wody i jak zło nienawidzi dobra.

Wyparliśmy się naszych rodaków i naszych szlachetniejszych przymiotów, a zmusiła nas do tego haniebnego postępuku długa i brutalna wojna; kogóż jednak mamy, poza sobą, do kogo odnosiłby się ten postępek? Kogośmy poszczególnie i zbiorowo opuścili?

Kogóżby, jak nie Alkibiadesa? Nie raz, lecz po trzykroć odtrąciły go Ateny, gdy klęczał przed nimi, ofiarowując im wszystko, co posiadał. A co sprawiło, że Ateny jeszcze bardziej go znienawidziły? To, że nie przyjął do wiadomości owego odtrącenia. Przymuszony do tego przez własną dumną naturę, która sprawiła, że mylił samego siebie ze swoją ojczyzną, Alkibiades ujawnił tę oto prawdę o naszej człowieczej duszy: że cokolwiek odtrącimy, wróci, by wziąć na nas pomstę.

Jakież to wymowne, iż Ateny tak lżą tę właśnie dwójkę: najbardziej ze wszystkich zrównoważonego męża, jakim jest twój mistrz, oraz najbardziej ze wszystkich niespokojnego ducha, jakim jest jego przyjaciel. Przy czym obu nienawidzą z tego samego

powodu. Za to, że – jeden niosąc kaganek mądrości, a drugi pochodnię sławy oświecili lustro, w którym ich rodacy mogli ujrzeć odbicie swych samolubnych dusz.

Lecz znowu odbiegłem od głównego wątku. Wracajmy do Wielkiej Zatoki; do klęski i jej następstw.

Po śmierci Papki i Drzazgi już tylko ja i Lew pozostaliśmy z oddziału, który wszedł na pokład »Pandory«. Spośród czternastu naszych towarzyszy zmarli po Iapygii z ran – Meton zwany Rękołamem, Teres zwany Czachą, Adrastes Holownik, Kolofon Rudobrody i Memnonides; na skutek chorób – Hagnon zwany Małym, Stratos, Maron i Diagoras; dwaj – Teodektes i pięcioboista Milon – zdezerterowali. Jeśli mierzyć wartość oficera liczbą podkomendnych, którzy z nim żywi wracają do domu, to powyższa lista wymownie o mnie świadczy. Jedno tylko mogę powiedzieć na swoją obronę: niczyj końcowy bilans nie był lepszy od mojego. Z sześćdziesięciu tysięcy wolnych obywateli, ochotników z podległych krajów i poborowych, którzy służyli w dwóch flotach, do domu wróciło mniej niż tysiąc, a i ci tylko dzięki sobie samym i dopiero po oburzających procesach.

Jeśli chodzi o moich ludzi, to biorę winę na siebie. Kult posłuszeństwa, jaki wbito mi już jako chłopcu do

głowy podczas szkolenia w *agoge*, a następnie kodeks postępowania, jaki narzuciła mi służba w charakterze najemnika, złożyły się na zasady zbyt surowe, zbyt – można by rzec – spartańskie, aby je stosować wobec Ateńczyków, a zwłaszcza wobec tych nieokrzesanych gburów, którzy stanowili trzon nowoczesnej piechoty morskiej. Odwagi i rzutkości mieli oni ponad miarę. Byli jednak z samej swej natury niesforni i skłonni do kwestionowania rozkazów, nie uznawali żadnych narzuconych sobie autorytetów i niczym koty, których nie sposób wytresować, odznaczali się zuchwałością i niepokromionym duchem. Niepokonani, kiedy sprawy toczyły się po ich myśli, nie potrafili narzucić sobie wewnętrznej dyscypliny, by sprostać sytuacjom, gdy lało się na nich z nieba gównem; ani ja, ani Lew nie zdołaliśmy w takich razach natchnąć ich nieodzownym duchem. Stanowili wręcz wzorcowy typ żołnierza, który pod dowództwem kogoś, kto odznacza się rozmachem wizji i śmiałością, kroczył będzie bez wytchnienia od zwycięstwa do zwycięstwa; jeśli wszelako zmuszony zostanie przez dłuższy czas znosić przeciwieństwa i niepowodzenia – nawet nie porażki, lecz choćby tylko czekanie na akcję i beczynność – ów żywiołowy zapał i wrodzona przedsiębiorczość obróca się przeciwko niemu samemu; na podobieństwo

schwytanego w pułapkę szczura zacznie pożerać sam siebie. Mówi o tym jedna z notatek Lwa:

Nadmiar wyobraźni jest dla żołnierza zgubny. Kiedy zwycięża, rozpłomienia ona jego ambicję; gdy przegrywa – wyolbrzymia jego lęki. Dzielny mąż, który podda się swej wyobraźni, długo dzielnym nie pozostanie.

Żołnierze Aten tak często zwyciężali, że w rezultacie nie wiedzieli, jak przegrywać. Porażka czyniła ich bezrozumnymi na podobieństwo boksera, który tak dobrze potrafi unikać ciosów, że gdy nagle zostanie mocno trafiony – całkiem się gubi. Nigdy nie widziałem wojowników, którzy tak nagminnie rzucaliby broń i zbroje jak oni. Niespokojni, szybko ulegający nudzie, nasi obywatele-żołnierze nie mieli dość żołnierskiej cierpliwości i wcale się nie starali jej nabyć. Tak wysoko cenioną w Sparcie cnotę posłuszeństwa Ateńczycy utożsamiali z brakiem rozmachu lub zgoła śmiałości. Zwyciężając – mieli sobie za nic swych oficerów; pokonani – otwarcie się przeciw nim buntowali. Nie sposób było wbić im do głów, że posłuszeństwo i dowodzenie to dwie strony tego samego medalu. Ci utalentowani strategowie, którzy mieli szczęście otrzymać dowództwo, oferowali swemu wojsku te właśnie cnoty – cierpliwość,

solidność i odporność – które dla ateńskich młodzieńców gówny były warte, kary zaś, jakie powinny grozić za uchybienie im, nie mogły być w demokratycznym wojsku stosowane. Najlepsze, co można powiedzieć, by oddać cześć wszystkim tym zabitym, to, że zginęli w czasach, gdy pojęcie wojny można było jeszcze wiązać z pojęciem honoru.

Drugiej nocy po klęsce w Wielkiej Zatoce armia spakowała się i odeszła – czterdzieści tysięcy tych, którzy jeszcze powłóczyli nogami – by znaleźć jakieś miejsce na wyspie, na którym możliwa byłaby walka o przeżycie. Chorych i rannych pozostawiono na pastwę wroga.

Mój kuzyn nie zdobył się na to, by ich opuścić. Udałem się do niego, kiedy wojsko zaczęło się zbierać do wymarszu. Noc była ciemna, lecz przecież wzrok wyróżniał w mroku sylwetki rannych i okaleczonych, którzy kuśtykali, a nawet czołgali się ku swoim gromadzącym się w szyku towarzyszą, błagając, by ich z sobą zabrali.

– Proszę! – jęczał żołnierz pozbawiony obu nóg. – Powleczone mnie za sobą! Ciągnijcie mnie po ziemi jak worek!

Jedni obiecywali złoto tym, którzy by ich zbawili od śmierci, gotowi po powrocie do domu przekazać im

całą swoją ojcowiznę; drudzy zaklinali swych towarzyszy w imię bogów, synowskich uczuć, chłopięcych przyjaźni, dawnych przysiąg i wspólnie przeżytych cierpień.

Padł rozkaz wymarszu. Chorzy wciskali zdrowym do rąk wszystko, co jeszcze posiadali – ponieś mnie tylko choć jeden stadion, przyjacielu! – a równocześnie zdrowi przymuszali bezsilnych do przyjęcia wszystkiego, co im zostało.

»Weź to, chłopie, może uda ci się kupić sobie życie«.

Jeszcze głębsza od rozpacz tych, którzy błagali o ratunek, była rozpacz ich przyjaciół, zmuszonych porzucić ich na pastwę losu.

Błagałem Szymona, by z nami poszedł. Cóż osiągnie, pozostając tu na pewną śmierć? Także jego podopieczni otoczyli go kołem, upraszając, by mnie posłuchał.

»Idź, a przy okazji zabierz z sobą mnie!«.

Inni naprzykrzali się Lwu i Telamonowi, którzy jednak, utwardziwszy swe czułe serca, starali się od nich uwolnić. Nagle wyrwał się z ciżby jakiś młody chłopak. Był to ów podoficer rufowy z »Pandory«, Różowa Dupka, któremu strzała przebiła stopę. Uchwycił się poły mego płaszcza.

– Przyjacielu! Mogę skakać na jednej nodze!
Tylko, błagam, wesprzyj mnie swoim ramieniem!

Podczas dwuletniego wojowania ani razu nie uległem odruchowi grozy lub wściekłości, lecz oto teraz skręciły się we mnie bebechy. Odepchnąłem go od siebie, przeklinając i jego, i wszystkich chorych. Czemu nie zdechniecie, nieszczęsne pacany, żeby nareszcie mieć to wszystko z głowy?!

Błagałem Szymona, żeby nie poświęcał swego życia w imię tych, którzy i tak już są martwi. Jedyną jego odpowiedzią była prośba o błogosławieństwo. Nazwałem go na to głupcem, który sam sobie zasłużył na śmierć. Uderzył mnie w twarz.

– Daj mi swoje błogosławieństwo!

– Niech cię razem z nim piekło pochłonie!

Odciągnął mnie od niego Lew, po czym wyściskaliśmy się z płaczem.

– Dopatrzcie, żeby moi chłopcy skończyli szkoły, a córeczka żeby miała odpowiednie wiano.

Wcisnął mi w dłoń swoje pierścienie oraz amulet z kości słoniowej, który dostał w nagrodę za solo w Apaturii.

– To na Zakręt Drogi – powiedział, mając na myśli Acharnę i swój tam grobowiec.

Szlak za palisadą prowadził przez bagnisko, które

podczas bitwy morskiej okupował nieprzyjaciel. Teraz było puste. Ludzie wydali okrzyk radości i przyspieszyli kroku.

– Ma przed nami pietra – rzucił któryś, myśląc o Gilipposie.

Syrakuzanie wrócili do miasta, żeby świętować zwycięstwo. Słyszeliśmy ich cymbały i bębny. Przeszła nam koło nosa wspaniała zabawa.

Musieliśmy teraz połączyć się z Sykulami w głębi wyspy, a potem pomaszerować na Katanę, sto sześćdziesiąt stadionów na północ. Była to okólna droga, lecz nie odważyliśmy się pójść podnóżem Epipolaju, który wznosił się stromo od zatoki. Postanowiono, że armia będzie się posuwać naprzód wąską kolumną, w której środku miała być zgrupowana cywilna hołota, jednakże całe stada obozowych żon wrywały się w przód i w tył, szukając swych mężczyzn; Berenike, kobieta Lwa, i jej siostra Herse dreptały obok nas. Marsz był nieznośnie powolny. Kolumna rozciągnęła się na całą szerokość drogi, a przed każdą skalną przeszkodą cały tłum stawał w miejscu.

Tuż przed świtem doścignęli nas nieprzyjacielscy konni zwiadowcy. Słyszeliśmy, jak nawołują się we mgle. Zanim zapadnie noc, dopadnie nas cała ich

armia. Niewiasty muszą się natychmiast z nami rozdzielić. Lew rozstał się z Berenike, nawet nie przystając; wcisnął tylko do jej plecaka plik swoich notatek i całą zachowaną gotówkę. Inni ograniczyli się do krótkich pożegnań, a tylko nieliczni zafundowali sobie ostatnie pieprzenie: widać było, jak rzną się na gołej ziemi albo przypierają swoje kobiety do pni drzew.

W pewnym miejscu rósł przy drodze skalny dąb. Ktoś powiesił na nim *kypridon*, zwitek wełnianych nici, spiętych węzłem namiętności – znakiem Afrodyty Zaślubionej, który tradycyjnym zwyczajem niewiasty wieszają na szczęście nad drzwiami domu nowożeńców. Komuż to przyszło do głowy ozdobić tym symbolem krwawe drzewo, z którego pąków wytwarza się szkarłatny pigment barwiący wojenne płaszcze Sparty i Syrakuz? Naszą nowo poślubioną była teraz dama o wdzięcznym imieniu Śmierć.

Zrównałem krok z Lwem.

W południe czoło kolumny dotarło do pierwszej rzeki. Syrakuzanie albo ją przegrodzili, albo skierowali w inne koryto, gdyż jej łóżysko było suche. My, którzyśmy się znajdowali o kilkadziesiąt stadionów od czoła, dowiedzieliśmy się o tym od nieprzyjacielskich konnych, zajętych podpalaniem przydrożnych zarośli.

Krzyknęli nam przy okazji, że obóz nasz już został zajęty i że zarówno rannych, jak i sanitariuszy wymordowano do ostatniego. W przyływie rozpaczyny padłem na skraju drogi i widać długo tak leżałem bez zmysłów, gdyż kiedy się opamiętałem, znowu byliśmy z Lwem – już trzeci czy czwarty raz podczas odwrotu – odcięci od naszej kompanii.

– Wstawaj! – potrząsał mną brat. – Pommo! Musimy się trzymać kolumny!

Szlak wiódł pośród krzewów i leśnej podściółki. Podpalając je, jezdni wroga wykorzystywali wiatr, toteż cała droga pogrążona była w gęstym dymie.

– Oto w jakim celu Gilippos otworzył nam wyjście! – parsknął jeden z idących obok nas żołnierzy. – Po cóż miałyby nas atakować za osłoną naszego muru, skoro wystarczyło mu pozwolić naszym genialnym oficerom na wyprowadzenie nas na to pustkowie, żeby pragnienie doprowadziło nas do szaleństwa!

W pewnej chwili jakiś Syrakuzanin przejechał wzdłuż kolumny, przyglądając się grupie ludzi, którzy próbowali dokopać się w suchym korycie rzeki jakiejś podskórnej wody.

– Po co tracicie czas? – wrzasnął ktoś z tłumu piechoty. – Atakujmy w górę strumienia! Tam znajdziemy wroga, a razem z nim wodę!

Jeździec zaznajomił nas wtedy z decyzją stratega: jeśli nie powstrzyma nas ten dym, to wkroczymy w coś jeszcze gorszego.

– Od dwóch dni nie wydusiłem z fiuta ani jednej kropelki, chłopie! Jak może być jeszcze gorzej?

Konnica zaczęła kąsać, kiedyśmy wyszli na równinę; nie była jeszcze bardzo liczna, jako że część oddziałów podążyła przodem, żeby zagrozić nam drogę.

Kolumna parła przed siebie w tym doprowadzającym do szaleństwa rytmie naprzemiennego ścieśniania się i rozciągania, właściwym wszystkim maszerującym armiom. Dotarliśmy do posiadłości, na której znajdowała się studnia. Przed naszym nadejściem wyczerpało ją już do dna tysiące poprzedników, a jednak ludzie bili się o garści wilgotnej gliny, które przyciskali do ust, próbując z nich wyssać odrobinę wody, jakby miał to być sok z owocu granatu.

O północy doszliśmy do drugiej rzeki. Na jej dnie pozostały kałuże błota. Starczyło dla każdego po garnuszku. Podjęliśmy marsz.

Co poniektórzy dwójkami lub trójkami znikali w przydrożnych krzakach, pokusiwszy się o ucieczkę na własną rękę. Odnalazł nas Telamon. Czas zwijać

banderę, chłopcy. Przyłączymy się do niego? Nie, mówi Lew. Ateny to nasza ojczyzna.

– Z całym szacunkiem, przyjaciele, ale mam w dupie waszą ojczyznę.

Roześmialiśmy się. Uściskał nam dłonie; nie gustował w długich pożegnaniach.

Minęły jeszcze dwie noce i o świtaniu nasza kolumna wkroczyła na wielką wyżynę. Na południowym zachodzie przecinały ją dwie głębokie przepaści, których nie dawało się obejść; wznoszące się przed nami wzgórze okupował wróg. Musimy się przebić, bo inaczej nigdy nie zobaczymy Katany. Zostałem wraz z Lwem wcielony do kompanii pod dowództwem pewnego bardzo lubianego przez podkomendnych gadatliwego kapitana, którego imienia jakoś nigdy nie poznałem. Tuż po południu dotarliśmy do miejsca, w którym kończył się wydeptany trakt. Poszedł pod górę atak, ludzie zginęli. Ale nie było innego wyjścia. Nasza kompania przytuliła się za byle jaką, pospiesznie skleconą barykadą; mieliśmy zaatakować wzgórze następni.

Za nami rozciągała się reszta kolumny. Syrakuzkańska jazda kąsała ją w dziesiątkach miejsc; kiedy się spojrzało wstecz, na przestrzeni wielu stadionów widać było tylko kurz wznoszony kopytami

koni. Pod nogami mieliśmy zeskorupiałą, spękaną glinę; mruknąłem, że albo znajdziemy wodę, albo zdechniemy, na co Lew wskazał ruchem głowy rozciągającą się przed naszą barykadą »udeptaną ziemię«, na którą spadał deszcz strzał i kamieni wystrzeliwanych przez nieprzyjaciela.

– Wystarczy, żebyś tam poszedł, a twój dylemat zostanie rozwiązany.

Trzy razy nacieraliśmy pod górę. Nie dość, że szlak zwęził się już do szerokości pojedynczego furgonu, to jeszcze Syrakuzanie zagrodzili go kamiennym murem. Stali za nim, sformowani w stu liniach po dwudziestu w szeregu, a za ich plecami zapełniało zbocza jeszcze tysiące innych. Obrzucali nas kamieniami i oszczepami, a nawet spychali na nas kamienne lawiny.

Po południu zaczęli stosować sztuczkę: dopuszczali nasze atakujące oddziały aż pod sam mur, gdzie zwężające się skalne ściany zmuszały naszych do ściśnięcia szyku; dopiero wtedy zabierali się do ostrzału. Nasze kompanie jedna za drugą brały tę krwawą kąpiel; aż kiedy zbyt wielu już padło lub po prostu żołnierze tracili ducha, zdziętkowany oddział wracał, a jego miejsce zajmował następny. I tak za kolejną szliśmy do ataku. Droga pod górę zyskała sobie już nazwę: Krwawa Rzeka, jakkolwiek była ona

myląca, gdyż wyschnięta ziemia natychmiast wszystko wsysała. Kiedy podeszliśmy wyżej, na odległość strzału z łuku lub procy, wciskaliśmy się niczym jaszczurki w skalne szczeliny albo kuliliśmy się za prowizorycznymi barykadami, wkopując się w ziemię pod głazami, podczas gdy z góry leciały na nas strzały i kamienie. Na naszym przedpolu gromadziły się tarcze poległych, znoszone przez ich wycofujących się towarzyszy, spychane w dół lub ześlizgujące się same z siebie na wypukłościach mis. Ich dębowe podkłady były poszarpane w drzazgi przez kamienie i głazy miotane przez wroga, a znaki i herby ledwie czytelne pod warstwą kurzu przemieszanego z krwią.

W górnej partii zmielona na proszek stopami i kolanami atakujących droga przekształciła się w głębokie do pół łydki, przewilgłe od szczyń i potu grzęzawisko, które przeorywały później grzbiety i pięty zabitych, ściąganych na dół przez tych, którzy zaraz zajmowali ich miejsca w natarciu.

Atakowaliśmy to wzgórze aż do wieczora, a potem przez cały następny dzień. Poszliśmy w końcu po rozum do głowy i zaczęliśmy łamać rzucane na nas przez nieprzyjaciół oszczepy, okazało się bowiem, że kiedyśmy się tylko wycofywali, ich właściciele wybiegali zza muru i zbierali je do powtórnego użytku.

Ciskane z góry włócznie przerażały wojsko nie tylko dlatego, że raziły, ale i z powodu wydawanych przez nie dźwięków; kamienie i głazy były pod tym względem jeszcze gorsze.

Przygalopował z dołu kapitan jazdy, wołając o ochotników. Gilippos przedostał się na tyły naszej kolumny z pięcioma tysiącami piechoty i nakazał budowę drugiego muru, żeby nas zamknąć jak w rzeźni. Zgłosiliśmy się z Lwem bez chwili wahania; niech się dzieje, co chce, byle tylko nie tkwić w tym piekielnym wąwozie.

Na tyłach dziesięć tysięcy naszych zaatakowało pięć tysięcy Gilipposa. Z zapadnięciem zmierzchu nieprzyjacielska ekspedycja wycofała się, zużywwszy wszystkie swoje żelazne pociski i kamienie. Kompanie, które nas poprzedzały, przedarły się przez mur. Żołnierze przepatrzyli wszystko, co porzucił nieprzyjaciel, lecz wody nie znaleźli. Tym czołowym kompaniom nakazano powrót do kolumny. Nasza i jeszcze dwie inne zostały, żeby pogrzebać zabitych i zorganizować na noc obóz obronny. Zalegliśmy na szczycie muru i czarni od brudu patrzyliśmy za wlokącymi się pod górę towarzyszami. Z wysokości kilkunastu stóp widzieliśmy kurz, jaki wzbijały niezliczone oddziały nieprzyjacielskiej jazdy, a po

drugiej stronie równiny jeszcze inne pióropusze, wznoszące się spod stóp dwóch kolumn piechoty, które nadciągały z północy i wschodu, by się połączyć w jedną stu – albo i dwustutysięczną masę ludzką, gotującą się do ostatecznej rzezi.

Wszystkich dręczyło pragnienie. Ludzie przeklinali Nikiasza i Demostenesa, a dostało się też Alkibiadesowi; może nawet jemu więcej niż pozostałym, ponieważ nas zostawił. Ja także go w owej chwili szczerze nienawidziłem, winiąc go za śmierć Szymona i wszystkich innych; najbardziej wszakże za to, że go tam nie było, aby nas ocalić.

Dwukroć przejechał obok nas na koniu Nikiasz. Trzeba mu oddać sprawiedliwość: choć udręczony chorobą, okazywał nieugiętą stanowczość i nie zważając na cierpienie, zwizytował całe swoje wojsko. Godzinę po zmierzchu piątego dnia słyszałem, jak przemawiał do otaczających go dwóch tysięcy żołnierzy:

– Bracia i towarzysze moi, trzeba mi się spieszyć z tą przemową. Wiem, że nie mamy wody i że ciężko się to odbija zarówno na nas, jak i na zwierzętach, które dźwigają nasze uzbrojenie. Lecz dzisiejszej nocy zrobimy w tył zwrot i pomaszerujemy z powrotem ku morzu. Wzdłuż traktu do Helorosy natrafiać będziemy

na rzeki tak duże, że wróg nie zdoła ich zatamować. Nakłońcie swe serca do wytrwałości, przyjaciele, i niech wam doda otuchy ta oto świadomość, że nasza czterdziestotysięczna armia jest nie tylko potężną siłą, ale i miastem samym w sobie, większym niż którekolwiek na Sycylii, z wyjątkiem samych Syrakuz. Do każdego z nich możemy wkroczyć i przepędziwszy mieszkańców, zająć ich miejsce. Potrafimy znaleźć żywność i wodę. Potrafimy zbudować okręty i wrócić na nich do domu. Pamiętajcie o tym i nie poddawajcie się przygnębieniu. Nie pozwólcie też, aby porażki, których doznaliście, osłabiły waszego ducha. Fortuna nie może bez końca pozostawać wobec nas obojętna; nawet najsurowszych spośród nieśmiertelnych musi przecież kiedyś poruszyć nasza niedola. Za decyzje, których skutkiem znaleźliśmy się w dzisiejszym położeniu, odpowiedzialność ponoszę ja. Wy nie macie sobie nic do wyrzucenia. Ani przez chwilę nie okazaliście niedostatku bojowego ducha i tylko przewrotność bogów oraz nasze niedołężne dowództwo doprowadziły do tego, że wasz trud i cierpienia poszły na marne.

Lew przypatrywał się twarzom zasłuchanych żołnierzy. Uderzyło go, jak później wyznał, bystre skupienie, jakie się na nich malowało; przypominały

mu oblicza widzów przybywających do *teatronu* rankiem w dniu konkursu. W jego odczuciu ci, którzy słuchali wówczas Nikiasza, oceniali go w ten sam sposób, w jaki zwykli byli oceniać jakiegoś aktora, kwalifikując go do głównej lub drugoplanowej roli. Ten strateg, zdawały się mówić ich twarze, to człek pobożny; dzielny jest, a nawet szlachetny. Jednym wszakże nie jest: Alkibiadesem. Przy całych swych wojskowych umiejętnościach i odwadze – nie jest nawet Demostenesem. Prawdziwie mówi, że armia znalazła się w rozpaczliwym położeniu, czyż jednak ktokolwiek wątpi, iż gdyby dowodził nią teraz Alkibiades, to potrafiłby je odmienić?

Co do jednego Nikiasz miał rację: stanowiliśmy armię nawet w tej sytuacji groźną dla każdej innej na całym świecie. A jednak byliśmy pokonani i mieliśmy tego świadomość. Toteż jeszcze bardziej znienawidziłem Alkibiadesa. Nikt nie mógł go zastąpić. I, jak to powiedział Nikiasz, duch słabnął w człowieku, kiedy zdał sobie z tego sprawę.

– A wreszcie, przyjaciele moi, pamiętajcie, że jesteście Ateńczykami i Argiwami, i Jończykami; będąc synami bohaterów, sami także jesteście bohaterami. Zyskaliście w tej wojnie wielką chwałę i za przyzwoleniem fortuny zyskacie jej więcej jeszcze.

Wspomnijcie na ojców swoich i na ciężkie próby, jakie przeszli z niezachwianą odwagą. Z pomocą niebios i dzięki własnemu trudowi dotrwamy do chwili, gdy znowu ujrzymy nasze domy i rodziny, które darzymy miłością.

Przyszedł rozkaz, żeby rozpałić jak największą liczbę ognisk. Uczyniwszy to, armia spakowała manatki. O świcie czoło kolumny wkroczyło już na Drogę Helorińską, tę samą, z której wyruszyliśmy. Tym razem maszerując na południe, dojdziemy do rzeki i jej brzegiem podążymy w głąb wyspy, by zatoczywszy koło, ponownie spróbować przedrzeć się do Katany.

Przez cały ten dzień i cały następny syrakuzkańska jazda szarpała maszerującą kolumnę. My nie mieliśmy ani koni, ani łuczników; wszystko, co mogliśmy zrobić, to przetrwać te ataki. Nieprzyjaciel napadał na nas szwadronami, w pięćdziesiąt lub sto koni. Choć do ostateczności wycieńczeni, to w wielkim pośpiechu formowaliśmy wówczas obronny szyk, podczas gdy oni zasypywali nas gradem pocisków. Z początku nasza młodzież rzuciła się na nich, próbując podciąć koniom ścięgna lub przebić im brzuchy ostrzami dziewięciostopówek, jednakże w tego rodzaju starciach pieszy jest bardzo łatwym celem. Jezdni zbierali się po

dwóch, po trzech, by ujrzawszy, że któryś z naszych upadł, pogalopować ku niemu i stratować go końskimi kopytami albo z najbliższej odległości przebić mu brzuch strzałą; reszta naszych harcowników rzucała się wówczas do ucieczki.

Za każdym napadem konnicy poszkodowanych zostawało następnych dwóch lub trzech Ateńczyków. Złamana ręka, zranione udo, potłuczenie. Inni musieli ich potem nieść. Nieśli także osłabłych z wyczerpania, a kiedy i ci silniejsi stracili siły, brali ich na ramiona następni. Jeden z oficerów wpadł na pomysł zarekwirowania jucznych osłów i sformowania oddziału jazdy; bydłota okazały się jednak zanadto zmęczone i zbyt wystraszone, by dać sobą powodować. Zdarzyło nam się w pewnej chwili minąć dobitego muła; oszaleli z pragnienia żołnierze zlizywali jego krew.

Znaleźliśmy się na zupełnie otwartym terenie, bez żadnej osłony przed słońcem. Skóra przestała wydzielać pot i już tylko paliła. Żołnierze przywykli do takich marszów mają na to określenie: »słońcogłup«. Kolumna wlokła się w tej gorączce niczym armia skazańców. W ludzkich umysłach rodziły się różne nierzeczywiste obrazy. Oto ktoś zaczyna głośno wykrzykiwać imiona swych dzieci; jego udręczeni

wrzaskami towarzysze nie mają śmiałości, by wyrwać go z tego stanu, więc to po prostu znoszą. W końcu któryś nie wytrzymuje i warczy na nieszczęśnika, każąc mu się zamknąć, tamten zaś, przebudzony ze swego snu, nawet nie wie, że krzyczał. Ktoś inny próbuje zaśpiewać jakąś prostą piosenkę dla urozmaicenia monotonii marszu, jednakże po paru zaledwie słowach cichnie. Na całej długości kolumny ludzie walczą z pragnieniem; żują suche drewnienka i wkładają sobie pod język kamienie.

– Uwaga, konni!

Kolejny atak, kolejne chwile przerażenia, po których czujemy się jeszcze bardziej wycieńczeni, a ponadto znowu przybywa nam trzech rannych; o trzech więcej do dźwigania.

Już nikt nie tęskni za dowództwem Alkibiadesa. Już tylko go nienawidzą za jego nieobecność. To on skazał nas na te katusze, przywiedziony do tego własną dumą i umizgami wroga; to on, zmuszony dokonać wyboru pomiędzy ojczyzną a sobą, wybrał własne przetrwanie, na nas, swoich braci, nasyłając piekło. Dusze żołnierzy krzyczały ku niebiosom:

»Pozwólcie mi, bogowie, dożyć chwili, w której odbierze on swoją za to zapłatę! Pozwólcie mi żyć jeszcze tylko tyle, ile będzie trzeba, żebym mógł go

zabić!«.

Po dwóch dniach tego marszu odchodząca z pragnienia od zmysłów armia dotarła do Assinarosu. Znajdując się wówczas w tyle kolumny, dopiero później dowiedzieliśmy się, co się wydarzyło.

Nieprzyjaciel nie przegrodził rzeki. Ustawił się na drugim jej brzegu, dwa tysiące na szerokość, w pięciu szeregach, pięć tysięcy jazdy zaś eskortowało po obu bokach naszą kolumnę, wytyczając jej drogę ku tej masie ciężkozbrojnych oraz poprzedzających ją łuczników i procarzy, która czekała na nas już na tym brzegu, o niecałe trzydzieści kroków przed resztą armii. Zaczęli strzelać, gdy nasze czoło znalazło się o siedemdziesiąt kroków od rzeki. Nikiasz i jego oficerowie próbowali zatrzymać marsz, lecz żołnierze bezładnym tłumem pognali ku wodzie, nie zważając na pociski, którymi obsypywał ich nieprzyjaciel. Nawet ci, którzy zostali trafieni i umierali, jeszcze walczyli z innymi umierającymi o pierwszeństwo w dostępie do rzeki. Tysiące do niej wpadło, martwych; tysiące innych, którzy rzucili się do ucieczki, stratowanych zostało przez konnicę lub zagarniętych w niewolę. Idąca za nami dywizja Demostenesa doścignięta została przez pięćdziesięcioletnią syrakuząską jazdę; to jej kolumny wypatrzyliśmy z muru Gilipposa.

Nasza armia została zmasakrowana. Wymaszerowało nas czterdzieści tysięcy; ocalało mniej niż sześć.

Następnego ranka Nikiasz poddał się. Dwa dni później już byliśmy w kamieniołomie.

A oto jak nas piętnowali. Zbili z drewna cztery pochylnie na podobieństwo tych, którymi przepędza się owce. Rzędami poganiani byliśmy do przodu. Na końcu pochylni drogę przegradzało swego rodzaju jarzmo, w którym unieruchamiano głowę niewolnika. Mężczyzna z żelazem do piętnowania, na którego stanowisko trafiłem, przyuczał swojego praktykanta:

– Nie tak jak wołu, chłopcze! To ludzka, a nie bydlęca skóra. Wystarczy ją tylko musnąć. Jakbyś składał całusa na policzku swojej lubej... O, właśnie tak!

Pamiętam, jak powstawszy na nogi, w pierwszej chwili zacząłem się rozglądać za czymś, w czym mógłbym zobaczyć odbicie swego nowego, niewolniczego ja z wypalonym na czole znakiem *kopy*. Nie było to jednak konieczne; wystarczyło potoczyć spojrzeniem po towarzyszach.

Uwięzieni w kamieniołomie ludzie rozdmuchiwali każdą iskierkę nadziei. Wielu wywodziło, że ponieważ Syrakuzanie nas nie wymordowali, to w końcu będą musieli albo nas przy czymś zatrudnić, albo sprzedać.

Byli też i tacy, którzy wierzyli, że zostaniemy wykupieni. Lew uznał za swój obowiązek rozwiewanie tych nadziei, uważał bowiem, że ich podtrzymywanie tylko pogłębi naszą demoralizację. Musimy stawić czoło myśli, że trzeba nam zginąć, jak przystało wojownikom. Przypomniwał nam mój brat, że tak właśnie postąpili ci, których porzuciliśmy nad brzegiem Wielkiej Zatoki.

Było nas w tym kamieniołomie – Ateńczyków, Argiwów i wolnych sojuszników – sześć tysięcy ośmiuset. Piętnaście tysięcy zginęło w drodze; pięć żołnierze schwytali być może na własną rękę, by ich w tajemnicy przed oficerami sprzedać. Z pozostałych trzynastu tysięcy – najemników, majstrów i towarzyszących armii cywilów – większość została wymordowana, a resztę sprzedano w niewolę.

Ten wapienny kamieniołom zawierał się w owej niesławnej rozpadlinie – zwanej *spelaiou*, czyli jamą – która dzieliła zbocze klifu; jego przekute już młotami ściany miały głębokość od trzydziestu do ponad dziewięćdziesięciu stóp. Leżał on w bezpośredniej bliskości miasta, na skraju sektora Temenitesa. Syrakuzanie kazali nam zejść do niego po drabinach, a następnie wyciągnęli je na górę. Zmarłych nie można było grzebać; układano ich w stosy, z

których dobywał się nieznośny smród. Ci, których dozorczy postanowili za coś ukarać albo po prostu zabawić się ich kosztem, wyciągani byli na powierzchnię związanymi nogami do góry, przy czym rozpaczliwie osłaniali rękoma głowy, które za każdym wahnięciem sznura obijały się o głązy.

Nasze racje żywnościowe ograniczały się do pół kwarty ziarna dziennie, jakiejś nieprzepracowanej brei i ćwierci kwarty wody.

Spuszczano nam to w beczkach, zbyt ciężkich na to, by nawet dwóch mężczyzn zdołało je odebrać bez rozbryzania części zawartości, a nadto tak dobierano miejsca dostawy, aby beczka trafiła w jakąś głęboką rozpadlinę; wydobywając ją, ludzie ryzykowali upadek i złamanie karku. Ponadto dozorczy z upodobaniem szczali do naszej wody, z posiłków zaś codziennie wydobywaliśmy grudki gówna.

Nazywali nas »kucami«, jako że na czołach nosiliśmy końskie piętno. Ich oficerowie pierwszego dnia spisali nas, a każdego następnego aż ośmiokrotnie musieliśmy przeprowadzać odliczanie. Zrywano nas na nogi jeszcze przed świtem i aż do zmroku nie wolno nam było nawet na chwilę przysiąść. Kogo na tym przyłapano, mógł zostać obrzucony kamieniami lub zabrano »na przejażdżkę«, czyli wyciąganie na linie

głową w dół. Ci, którym udało się ująć z takiego ćwiczenia z życiem, długo już go nie zachowywali.

Syrakuzanie postanowili zdławić w nas ducha, pozbawiając nas oficerów. Tych, których udało im się zidentyfikować, wyciągali na górę i poddawali ich przez dwa lub trzy dni straszliwym mękom. Czynili to w takiej bliskości krawędzi kamieniołomu, aby jęki i krzyki tych nieszczęśników dobrze były słyszalne na dole, gdzie tymczasem trwało wyszukiwanie następnych, którzy z kolei cierpieli takie same tortury. Ciała zmarłych zrzucano z urwiska, jednakże ktokolwiek spróbował uczcić swego dowódcę ludzkim pochówkiem, ginął od strzał lub kamieni. Oprawcy kontynuowali ten proceder aż do chwili, gdy wśród uwięzionych pozostali już tylko oficerowie najniższej rangi.

Na tym się jednak nie skończyło. Na skutek mylnej lub może przez złość podanej informacji nasi dozorca uznali, że jeszcze trzech się pośród nas ukrywało, i zażądali ich wydania, wyraźnie dając przy tym do zrozumienia, że jeśli niezwłocznie tego nie uczynimy, to zaczną nas mordować na chybił trafił.

I oto natychmiast wystąpiło naprzód trzech żołnierzy: Pytodoros, syn Likofrona z Anaflistosu, Nikagoras, syn Mnesikleasa z Pallene, oraz Filon, syn

Filoksenosa z Oa. W Atenach stoi teraz na zboczu naprzeciw Eleuzynionu wzniesiony na ich cześć pomnik Trzech Oficerów, choć żaden z nich nie pełnił funkcji wyższej niż dowódca drużyny. Kiedy Syrakuzanie, związawszy im nogi, zaczęli ich wciągać na górę, więźniowie spontanicznie zaśpiewali hymn zwycięstwa.

Bogini, zrodzona z ciężkiego znoju, Dawczyni Radości i głosicielko Prawdy, Długo oczekiwana Nike, oto głosy nasze Jednoczymy w pieśni, którą tobie ślemy.

Najsurowsza z nieśmiertelnych, Lecz łaskawa dla dzielnego, Każdemu, kto znosi cierpienie, Oszczędzasz wszelkiego złego.

Tak wielkim wzruszeniem przepojone były te strofy, że zdało się, iż zgoła namacalnie wypełniło ono nieckę kamieniołomu, niesione echem w górę wapiennych urwisk.

Córo gniewnego Gromowładcy, Oto wkraczamy do przedsionka agonii. Tobie, Jasności nasza, lub Śmierci Dusze nasze ofiarowujemy.

Na Sycylii schyłek jesieni przynosi nadzwyczaj upalne dni, przedzielane przeraźliwie zimnymi nocami. Nie mieliśmy prawa ani do żadnych posłań, ani do ognia, przy którym można by się ogrzać; całkowicie

byliśmy zdani na działanie żywiołów. Wielu z nas cierpiało jeszcze od bitewnych ran, inni od chorób; w tych skrajnie ciężkich warunkach ci właśnie umierali pierwsi. Popadaliśmy w stan zwany *aphydatosis*, gdy z braku wody wewnętrzne organy przestają funkcjonować. Mózg wręcz gotuje się pod czaszką. Zasychają pęcherze. Wzrok zawodzi, a kończyny stają się niewładne.

Z miasta przybywały wycieczki dzieci w szkolnych strojach pod przewodem pedagogów, aby przypatrzeć się tym, którzy tu przyplłynęli z zamiarem uczynienia z nich niewolników, i oto jak zostali pogiębieni przez ich mężnych ojców. Wyciągano z tłumu pojedynczych więźniów, którym następnie dzieci wybijały młotkami zęby. Każdej nocy w kamieniołomie przybywały dziesiątki zmarłych.

Taka jest wszelako natura człowieka, że z czasem każde miejsce, choćby i piekło samo, staje mu się domem. Trzeba było wszystko ponazywać. Ten tam kopiec stał się Pnyksem; to tutaj zagłębienie *teatronem*. Wyznaczona została agora i Likejon, i Akropol, i Akademia. Owa fantazyjna geografia pozwoliła ustalić pewien rytm dnia, jako że na przykład jeńcy gromadzili się na »targu«, skąd rozchodzili się do »szkół >zapaśniczych«. Dla zabicia

czasu wzajemnie się uczyli. Ktoś biegły w kowalstwie wykładał zasady swego rzemiosła; inni dzielili się swymi umiejętnościami w dziedzinie stolarki, matematyki czy muzyki. Lew uczył pięściarstwa. Nie mogąc jego tajników demonstrować, gdyż zwróciłoby to uwagę dozorców, opisywał je adeptom, którzy pilnie słuchali w bezlitośnie palącym słońcu.

Jeden z takich nauczycieli, chórmistrz, został przez dozorców przyłapany i ukarany obcięciem języka. Wstrząsnęło to naszą tajną uczelnią, wszelako wywołane tym wypadkiem przygnębienie nie mogło przecież trwać w nieskończoność. Lew wznowił nauczanie. Tym razem wykładał gimnastykę i izometrię, umiejętność koncentracji i ćwiczenie wytrzymałości. Objąśniał zmiany zachodzące w krwi oraz kwestię nadmiernego otłuszczenia mięśni, którego atleta musi się w odpowiednim czasie pozbyć, aby przygotować ciało do wysiłku podczas igrzysk. Temu właśnie służą intensywne marsze, wioślarstwo i Długa Bieżnia, którą trenerzy zwą kręgiem cierpienia.

– Uczono mnie jako chłopca, że zamieszkuje ją pewna milcząca bogini, której sanktuarium mieści się na samym szczycie Cierpienia. Na imię tej bogini Zwycięstwo. Rozejrzyjcie się wokół siebie, bracia. Teraz przyszło nam egzystować w tym kamiennym

kręgu. Lecz i tutaj jest z nami owa bogini. Nawet tu możemy oddać się pod jej opiekę, przyjaciele, a wówczas uniesie nas na swoich skrzydłach.

Ktoś doniósł. Nigdy nie dowiedzieliśmy się kto. Syrakuzanie wyciągnęli Lwa na górę i torturowali go przez trzy dni. Co mu czynili, tego nigdy nikomu nie powtórzę; powiem tylko, że nie tak to jeszcze było straszliwe jak to, czego się dopuszczali później.

W końcu zrzucili go z powrotem na dół. Przez całą noc trzymałem swego brata w ramionach, podczas gdy inni towarzysze ogrzewali go ciepłem własnych ciał. Po pięciu dniach wznowił nauczanie. Nikt nie odważył się słuchać jego wykładów.

– Dobrze, w takim razie będę uczył powietrze wokół siebie!

I zaczął mówić. Wówczas ja przed nim stanąłem; był to jedyny w całym moim życiu czyn, z którego jestem dumny. Za moim przykładem podeszli także inni, świadomi, że tym samym skazują na śmierć i jego, i siebie.

Syrakuzanie ponownie wywlekli go na górę, lecz gdy po raz drugi do nas wrócił, pewny byłem, że jest już martwy. Jednakże okryłem go wszystkimi szmatami, jakie zdołali zgromadzić nasi przyjaciele. Było już po północy, gdy się ocknął.

– Cóż to za kłopotliwa rzecz, ludzkie ciało. Wielka to będzie ulga pozbyć się go raz na zawsze.

Zasnął, lecz po godzinie obudził się w nagłym popłochu.

– Musisz podjąć moją kronikę, Pommo. Tylko tobie ufam.

Ja także zasnąłem, tuląc go do piersi. Kiedy się zbudziłem, był już zimny.

Pewnego razu za naszych chłopięcych czasów poszliśmy całą paczką na boisko zwane Aspis, żeby zabawić się tam grą w drewnianą piłkę, którą się uderzało laskami. Zapewne znasz, Jazonie, owo pole, które przylega do murów sanktuarium Ateny Tritogenei. Jest na jego skraju pochyłość, która zbiega ku Drodze Przewozowej; na tym jej odcinku wozacy rozpędzają swoje furgony, żeby nabrać prędkości przed pagórkami wznoszącym się na zachód od miejskiej bramy.

Ja i moi koledzy mieliśmy wówczas po dziewięć lat, podczas gdy Lew był zaledwie sześciolatkiem, ale tak bardzo nalegał, że pozwoliliśmy mu przyłączyć się do gry. W pewnej chwili niecelnie przez kogoś posłana piłka potoczyła się ku traktowi. Lew puścił się za nią w pogoń. Zobaczyłem to z przeciwległego krańca boiska. Mój braciszek bynajmniej nie pędził w zaślepieniu, jak

by to zapewne na jego miejscu uczynił jakiś jego rówieśnik, nie zważając na toczące się z wielką szybkością wozy, których nikt nie zdołałby zatrzymać; świadom był niebezpieczeństwa, a jednak mknął ku rozpędzonym pojazdom, po prostu nie odczuwając strachu. Udało mi się go dogonić i obalić tuż przed skrajem drogi. Przy akompaniamencie przekleństw wozaków postawiłem go na nogi i zacząłem z całej siły okładać, klnąc go jeszcze bardziej niepohamowanie niż furmani za to, że napędził mi śmiertelnego strachu. Kiedy wieczorem ojciec chciał się dowiedzieć, kto mu tak podbił oko, Lew nie wygadał się ani słowem. Co mnie zresztą wcale nie uchroniło od niezłego przetrzepania skóry, a jeszcze jednego następnego wieczoru, kiedy to mój braciszek sprawił mi lanie, odwdzięczając mi się przy tym z nawiązką za stek przekleństw, jakimi go obrzuciłem poprzedniego dnia.

Tam jednak, w kamieniołomie, nie zdołałem go uchronić przed skutkiem jego własnego męstwa.

Pogrzebałem go, jak należało, w najgłębszym kręgu, jaki nawiedzała jego bogini. Żadna przemowa nie była potrzebna, by wygłosić elegię nad jego grobem; wystarczyłoby wyliczyć wszystkie jego bohaterskie czyny. Lew był niezaprzeczalnie najmężniejszym żołnierzem i najwspanialszym

człowiekiem, jakiego miałem szczęście znać.

Rankiem wywołano moje imię. Wyciągnięto mnie na wielokrażku z dna kamieniołomu. Wyznaję ze wstydem, że wtedy jeszcze śmierć przepęłniała mnie grozą. Najbardziej jednak w owej chwili żałowałem tego, że nie uda mi się odpłacić Alkibiadesowi.

– Sprawcie, bogowie, aby z ust moich nie wyrwało się niczyje imię!

Wysięgnik wydobył mnie na krawędź urwiska. Leżało w tym miejscu na ziemi mnóstwo ludzkich zębów. Było straszliwie gorąco. Chmary much tworzyły ciemne plamy w miejscach, które zapewne nasycone były krwią, a może też obfitowały w odcięte kawałki ciał, jak palce rąk i nóg. Zobaczyłem ławy, na których leżało kilku skrupowanych więźniów; rozpruto im brzuchy, lecz jeszcze ich nie zabito. Obok nich stały topornie zbite stoły, na których, niczym u dentysty lub chirurga, rozłożone były rozmaite instrumenty. Rozpoznałem wśród nich rzeźnicze tasaki i kleszcze do miażdżenia kości; do czego miały służyć pozostałe, tego już nie odgadłem.

Po drugiej stronie placu stał szereg pali do egzekucji. W tamtej chwili nikt do żadnego z nich nie był przywiązany i tylko wszystkie dookoła i u kamiennej podstawy oblepione były czarnymi,

ruchomymi plamami much. W głębi wznosiły się namioty, a pomiędzy nimi ułożony z głazów krąg, w którym strażnicy spożywali posiłki. Z boku sklecili sobie miniaturową rzeźnię, w której oprawiali kurczaki i gołębie. Sąsiedztwo tych dwóch szlachtuzów, jednego dla ludzi, a drugiego dla ptactwa, nagle mnie rozbawiło. Roześmiałem się na cały głos.

Jeden z dozorców walnął mnie w nerki i popchnął ku oprawcom. Zapytali mnie o imię. Musiałem je wielokrotnie powtórzyć, zanim wreszcie znaleźli je na rulonie ze spisem jeńców.

– Polemides, syn Nikolaosa z Achamy, tak?

Tak.

– Syn Nikolaosa?

Tak.

– Z Achamy?

Tak.

– To mój człowiek. Ja się nim zajmę.

Ten głos zabrzmiał po raz pierwszy. Obejrzałem się i ujrzałem barczystego młodzieńca z truskawkowym znamieniem na twarzy, z przewieszoną przez plecy wiązką oszczepów i z lacedemońskim *xyle* u pasa. Giermek jakiegoś spartańskiego wojownika. Podszedł do mnie i podał mi drewnianą miskę z zamoczoną w winie piętą jęczmiennego chleba.

– Nie pij wina prosto z miski, bo zwałoby cię z nóg. Wsysaj je z chlebem.

Rozwiązano mi ręce i rozkuto nogi.

– Kim jesteś? – spytałem młodzieńca.

Miał odpowiedzieć, rzucił:

– Jedz.

Przypatrzyłem się jego twarzy, którą – byłem tego pewien – gdzieś już widziałem, lecz nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie i w jakich okolicznościach. On także mi się przyglądał; bez wzruszenia czy współczucia, a jedynie oceniając, ile mi jeszcze zostało sił i w jakiej mierze sprodam czekającym mnie próbom.

– Służę polemarchowi Lizandrowi ze Sparty – oznajmił wreszcie. – Z łaskawego bożego wyroku zostałeś oszczędzony i masz się ze mną udać morzem do Lacedemonu".

Księga piąta

ALKIBIADES W SPARCIE

25. ZIMA ŻOŁNIERZA

„Minęło pół roku, zanim dotarłem do Lacedemonu – kontynuował swą opowieść Polemides. – Przez cały czas żeglugi do Rhegium czułem w sercu bolesny ucisk; czułem go również na trakcie z Kyllene. Musiałem zamieszkać w domku dzierżawionym przez moich gospodarzy od Endiusza wraz ze skrawkiem jego posiadłości, *kleros*, na północnym krańcu doliny Eurotasu. Samą Spartę zobaczyłem dopiero wiosną.

Całą zimę przeleżałem w łóżku, ściskając w dłoni, jak to mawiają Spartanie, obola dla Charona. Skóra na moich piersiach stała się cienka jak papier. Z lustra spoglądał na mnie szkielet. Po Sycylii zostało mi na nogach dwadzieścia siedem niezagojonych ran – od pchnięć, dźgnięć i rozplątań, w tym jednego nad ścięgnem Achillesea, które było szerokie na trzy palce. Moje żebra pęknięte były w kilkunastu miejscach, a głowę miałem tak poturbowaną, że gdy ścięto mi włosy, by ją wreszcie domyć za pomocą ługu, to skóra miała barwę purpury i schodziła całymi płatami niczym z cebuli. Musiałem jeść i spać. Moi dobroczyńcy, starsze małżeństwo, umieścili mnie w pokoju, który zajmował niegdyś ich syn, i pozwolili mi tam dochodzić do zdrowia. Za dnia wylegiwałem się w

słońcu na wychodzącym na południe dziedzińcu, wieczory spędzałem przed płonącym kominkiem, opatulony w bezkształtne wieśniacze szaty. Gospodarze mieli starego psa imieniem Wierzgacz; kiedy już wróciły mi jakie takie siły, wybierałem się w jego towarzystwie na przechadzki po zimowych wzgórzach, wspierając się na kijku jak niedołyżny starzec.

Noce były długie i pełne snów. Czułem się stary, wręcz odwieczny jak Chronos. Przed oczyma mej pamięci przesuwały się cienie, wśród których byłem także ja sam; widywałem ojca i siostrę, i Lwa, i moją małżonkę z dziecieniem; przez całe noce wiodłem z nimi rozmowy tak poważne, że powinny one być na zawsze przeobrazić mą duszę, lecz kiedy się budziłem, ich treść ulatywała jak cieniutka pajęczyna dymu. Nic zresztą nie zostawało we mnie na trwałe. Słońce i mrok zlewały się w jedność, gdyż owe senne wizje nachodziły mnie o dowolnych porach i nawet najjaśniejsze światło dnia nie stanowiło dla nich zapory.

Znowu więc patrzyłem na rannych w Wielkiej Zatoce i na umierających wzdłuż szlaku, którym się potem wlekliśmy. Znowu znajdowałem się w kolumnie podążającej do Assinarosu. Setki razy zrywałem się w

środku nocy przerażony, by za każdym razem oskarżać się o to samo, że przeżyłem. Z jakiegoż to łaskawego rozporządzenia wciąż trwam na tej ziemi, która zabrała w siebie tylu innych, lepszych ode mnie?

Którejś nocy ciemność nagle się rozjaśniła; stanął przede mną Alkibiades. Jego obraz był tak wyrazisty, że widziałem nawet na jego piersi broszę w kształcie wilczego kła, którą odznaczono go za Potideję; byłem pewny, iż to on sam, we własnej osobie, wkroczył do mego pokoju. Zakomunikował mi, że to nie Lizandrowi, lecz jemu właśnie zawdzięczam pozostanie przy życiu. Nie podziękowałem mu za to, a przeciwnie, wyraziłem swój gniew:

– Dlaczegoś mnie ocalił? Dlaczego mnie, a nie mego brata?!

– Twój brat by tutaj nie przybył.

Prawda tych słów zaboliała mnie do żywego. Chciałem się rzucić na mego prześladowcę i wcisnąć mu je z powrotem do gardła, lecz nie potrafiłem swych kończyn zmusić do posłuszeństwa. Serce me ogarnęło takie przygnębienie, że nie byłym zdolny ani wykrztusić słowa, ani się poruszyć.

– Potrzebowałem u swego boku kogoś – rzekł Alkibiades – kto przeszedł przez te same wrota co ja.

W świetle dnia mogłem stawić czoło swemu

tchórzostwu, a nawet pomniejszać jego wagę, jednak nocami pocilem się, jak gdybym stał przed najsurowszym sądem. Widziałem siebie w Freatto w Pireusie, gdzie człowiek oskarżony o zabójstwo musi przemawiać w swojej obronie z pokładu łodzi, gdyż prawo o nieczystości nie pozwala, by stopy kogoś, kto splamił się cudzą krwią, stąpały po attyckiej ziemi. W snach próbowałem przebłagać bogów ofiarą, lecz za każdym razem kapłani ją odrzucali; przez całe noce mordowałem zwierzęta, by z ich wnętrzości wciąż na nowo odczytywać swoje potępienie.

Nie uwolniłem się od lęku przed bogami, a przeciwnie, stał się on moją obsesją, czy też – dokładniej mówiąc – stała się nią owa ziemia niczyja, na którą wstępują i mieszają się z sobą śmiertelnicy i nieśmiertelni; na której, jak głosi Krateros, żywi i umarli, jeszcze nie narodzeni i umierający śpiewają i bawią się rozmową przy tym samym stole.

Jedynie pamięć o mych dzieciach zdawała mi się przynosić zbawczą ulgę. Wizje ich twarzączek były dla mnie tym samym co belka dla żeglarza rozbitka. A przecież nie zasłużyłem sobie na to. Z czym je bowiem pozostawiłem? Nie dałem im nawet swego imienia. Wezwała mnie wojna i odszedłem. Lecz teraz sama myśl o wojnie budziła we mnie obrzydzenie.

Gospodarstwo, w którym wracałem do zdrowia, było zaledwie, jak to mówią, splechciem ziemi, na którym wyzwoleniec i jego połowica pielęgnowali grusze. Patrzyłem na nich, jak z sekatorami w rękach przycinali na zimę krzewy bukszpanu. Jakże dotkliwym bólem przejmowały me serce takie zwykłe gospodarskie prace! Jakże pragnąłem, by nigdy już nie budził mnie dźwięk obozowej trąbki, lecz tylko śpiew skowronka, i jak marzyłem o tym, by znowu usłyszeć dziecięcy śmiech! Niech ktoś inny zajmie moje miejsce na apelu i wrzeszczy: »Jestem!«, gdy wywołają jego imię. Z trzydziestu ośmiu lat życia dziewiętnaście spędziłem na wojnie. Wystarczy.

Tymczasem jednak każdy wieczorny posiłek powiększał moje zadłużenie wobec Sparty i Lizandra. Może uciec? Lecz dokąd? Ledwie mi tchu starczało na zdmuchnięcie świecy; musiałem się wspierać na obu rękach, żeby obrócić się na posłaniu. Nie umknąłbym Lizandrowi lub jego sługusom, gotowym za pieniądze ścigać wskazaną ofiarę aż do wrót piekła.

A kimś takim ja sam miałem się stać, zanim znowu dane mi będzie zamieszkać na ojczystej ziemi; choć wtedy oczywiście nie mogłem jeszcze tego wiedzieć.

Wiosną zobaczyłem przemawiającego Alkibiadesa. Wystąpił on podczas zgromadzenia na wolnym

powietrzu w obecności obu królów, eforów oraz Korpusu Równych. Gilippos wrócił z Syrakuz okryty chwałą. Oszacowano rozmiary klęski Aten. Łącznie z sojusznikami straciły one dwadzieścia dziewięć tysięcy wojowników i żeglarzy oraz dwieście najwyższej klasy okrętów wojennych, nie mówiąc już o niezliczonej ilości statków handlowych i transportowych. Przepadło cztery tysiące talentów w złocie, co doprowadziło państwowy skarbiec do bankructwa. Lecz jeszcze boleśniejszy dla ateńskiego narodu był fakt, iż przepadła cała wyprawa – wszyscy ludzie i wszystkie okręty, do ostatniego kawałka uzbrojenia i skrawka żagla.

Alkibiades tak oto zaczął swoją przemowę:

– Obywatele Sparty! Zwróciliście się dziś do mnie, domagając się mej rady, muszę przeto spełnić wasze życzenie, choć sprawa, nad którą obradujecie, bynajmniej nie przepelnia mego serca radością. Moi rodacy ponieśli straszliwą klęskę. Polegli mężowie, których znałem i kochałem, a duża część odpowiedzialności za to, co ich spotkało, ciąży na moich barkach: rady, które wam dałem, przyczyniły się do tego ich nieszczęścia.

Spartański akropol, Górne Miasto, tak nieznacznie wznosi się ponad resztę, że zwany jest przez dzieci

Podkolanowym Miastem. Miejsce to odznacza się jednakowoż nadzwyczajną akustyką i pewnym naturalnym majestatem. Korpus Równych, prawie osiem tysięcy ludzi, zebrał się tego dnia w pełnym składzie, nadto zaś przybyły delegacje z innych miast, w tym również z Aten. Do tej liczby trzeba było jeszcze dodać dziesięć do piętnastu tysięcy niższej rangi obywateli Sparty, a byli pośród nich także chłopcy i niewiasty, którzy zajęli stoki zbiegające ku boiskom oraz ku Artemidzie Ortia; słowa mówców przekazywali im heroldowie.

Dwie zimy przeszły, odkąd ostatni raz widziałem Alkibiadesa. Wielkie wrażenie zrobił na mnie fakt, że niewiele się zmienił. Zbliżał się do czterdziestki; w jego kędziorach barwy zmatowiałej miedzi pojawiły się srebrne nitki, co jednak w żadnym stopniu nie umniejszało jego męskiej urody, przydawało mu natomiast powagi. Dobrze współgrało z nią wrażenie skromności, jaką nadawały mu proste spartańskie szaty. Kiedy się patrzyło po tłumie poważnych i nieskazitelnie schludnych wojowników i atletów, którzy otaczali mówcę, nietrudno było utwierdzić się w przekonaniu, iż Spartanie to niezrównanie piękna rasa. Ich prosty i oszczędny sposób odżywiania się, dbałość o cielesną sprawność, a nawet powietrze i woda ich

niczym nie skażonego kraju, razem czyniły ich fizyczność nieomal doskonałą. Na przestrzeni trzydziestu kroków można było naliczyć co najmniej tuzin niezrównanie proporcjonalnie i zachwycająco zbudowanych atletów. A jednak, kiedy się z któregokolwiek z nich przeniosło wzrok na Alkibiadesa, to zdawał sobie człowiek sprawę, iż góruje on nad nimi urodą, tak jak słońce blaskiem swym góruje nad księżycem.

– Jestem wam wdzięczny, Spartanie. Kiedy udzieliliście mi u siebie azylu, uchodźcy z własnego kraju, przez własnych rodaków skazanemu na śmierć, obiecałem sobie i wam jedno: że będę mówił ani więcej, ani mniej niż to, co uważam za prawdę, to zaś, czyjej posłuchacie, czy też nie, pozostawię do rozstrzygnięcia niebiosom. Nie żywiłem złudzenia, iżbyście mnie kochali albo że tolerowalibyście moją obecność, gdyby nie miała wam ona przynosić pożytku. Co się tyczy szkody, jakiej rady me mogłyby przyczynić mojej ojczyźnie, to z góry uniewinniałem siebie stwierdzeniem, że moją ojczyzną być przestała; że Ateny, które kochałem, ustąpiły miejsca innym Atenom, którym nic nie byłem winien i przeciwko którym miałem prawo występować bez żadnych skrpułów. Jednakowoż wyważając te racje, jedno

pominałem. To mianowicie, iż kraj, który pomagałem wam i waszym sojusznikom najechać i niszczyć, nie był bynajmniej jakąś bezcielesną abstrakcją, lecz społecznością ludzi z krwi i kości, którzy zginą jak najbardziej realną śmiercią. Okrutnym zgoła obarczacie mnie zadaniem, obywatele Sparty, ponownie domagając się ode mnie, abym udzielił wam rady, jak najskuteczniej przywieść do upadku mój naród. Lecz niech i tak będzie, skoro los mój połączyłem z waszym. Co wam teraz podpowiem, będzie owocem mych w najlepszej wierze powziętych przemyśleń.

Zaczym przeszedł Alkibiades do konkretów:

– Przede wszystkim nie radujcie się tak bardzo i przedwcześnie klęską, którą zadaliście swemu wrogowi. Niedźwiedzica staje się jeszcze groźniejsza, kiedy się ją osaczy i zrani. Ateny straciły swoją flotę. Tak. A nawet, jak kto woli, dwie floty. Jednakże w dalszym ciągu stanowią one na morzu największą potęgę Grecji, a byłoby jak najbardziej zgodne z charakterem Ateńczyków, gdyby w tej sytuacji od razu i wszelkimi sposobami przystąpili do odbudowy swej poprzedniej armady. Wygłosiwszy tę przestrożę, mogę wam teraz powiedzieć, co musicie uczynić, by ostatecznie pokonać waszego wroga. Najpierw jednak,

znając wasze umiłowanie lakoniczności, zmuszony jestem poprosić was o zgodę na pewną dygresję. Otóż to, co wam zaproponuję, będzie tak niesłychane, że w pierwszym odruchu wyrazicie protest i oburzenie. Weźcie jednakowoż pod uwagę fakt, Spartanie, że własny wasz sposób życia także był niegdyś rzeczą bez precedensu. Kiedy wasz przodek Likurg wdrażał swoje prawa, co nastąpiło w tak odległej przeszłości, że nikt dziś nie może nawet z całą pewnością stwierdzić, czy był on człowiekiem, czy też bogiem, żadne inne państwo nie tylko wedle takich praw nie żyło, ale zgoła nie rozważało możliwości ustanowienia im podobnych. Bo któż to słyszał o takich rzeczach, jak zakaz posługiwania się pieniędzmi oraz karanie śmiercią za samo tylko ich posiadanie; zniwelowanie wszelkich różnic wynikających z urodzenia i zamożności i ogłoszenie wszystkich obywateli równymi sobie; zakaz udawania się za granicę i naśladowania wszelkich obcych obyczajów, gdyż mogłyby one zatruć wasze własne; zakaz uprawiania jakichkolwiek rzemiosł z wyjątkiem sztuki wojennej – że nie będę dalej wyliczał wszystkich innych praw, w tym takich jak to, które zabraniało niewiastom malowania się, czy też to, które zakazywało waszym cieślom używania do budowy domów innych belek niż okrągłe. Wszystkie te surowe

przepisy Likurg wprowadził, a wy przyjęliście po to, by przekształcić wasz naród w niepokonaną, jednolitą maszynę. I nie miało to w dziejach precedensu, przyjaciele. Była to jednak odpowiedź na wymagania, jakie stawiały wam ówczesne czasy. Wasi przodkowie docenili jej trafność i uznali za swoją, co przyniosło im sukces. Podobnie się stało, kiedy w czasach waszych dziadów zagroziła Sparcie potęga Persji: wówczas to wasi królowie, Kleomenes i Leonidas, uznali, że wojna nowego typu wymaga zastosowania nowych metod wojowania. Zmusili oni skłócone miasta greckie do stworzenia koalicji, która jako jedyna mogła się przeciwstawić zewnętrznemu zagrożeniu. Co więcej, Sparta uwzględniła w swej wojennej strategii także swoich helotów, zbrojąc ich i pozwalając im walczyć w liczbie, która znacznie przerastała liczebność waszej armii obywatelskiej. To również okazało się skuteczne. I otóż jeśli teraz chcecie ostatecznie pokonać Ateńczyków i zakończyć tę wojnę, to musicie zdobyć się na całą swą mądrość i wdrożyć następne rewolucyjne zmiany. Konieczne jest mianowicie, abyście jako ustrój przyjęli cesarstwo i zaakceptowali posługiwanie się pieniądzem.

Na te słowa zgromadzenie zawrzało. Wycie i buczenie oburzonych słuchaczy zmusiło Alkibiadesa

do przerwania mowy. Krzyczano, że cesarstwo degraduje obywateli, obce obyczaje powodują upodlenie narodu, chciwość zaś rodzi powszechną korupcję; handel zwraca jednych przeciwko drugim, a pożądanie pieniądza pcha ludzi do kultu bogactwa, nie cnoty. Protesty były tak głośne i zapalczywe, że przez chwilę zdawało się, iż mówca może wręcz zostać poturbowany. W końcu jednak urzędnikom i proktorom udało się jakoś uśmierzyć ten tumult i Alkibiades mógł mówić dalej:

– Pieniądze jako takie nie są złem, obywatele Sparty. Podobnie jak miecze i włócznie, którymi potraficie się posługiwać, bynajmniej nimi nie gardząc, także i pieniądz może być i złem, i dobrem, w zależności od tego, jaki kto z niego czyni użytek. Na wojnie pieniądz jest bronią. Skoro jednak tak was niepomnie oburza idea jego przywrócenia, to mam inną propozycję: używajcie go tylko poza swymi granicami, u siebie w dalszym ciągu go zakazując. Posługiwać się nim będziecie jednakowoż musieli i wobec tego taką oto mam dla was kolejną radę: trzeba wam zdobyć panowanie na morzu. Musicie mieć własną flotę. Nie miniaturę armady, złożonej z sojuszników i amatorów, jaką rozporządzacie obecnie, lecz najwyższej klasy flotę z prawdziwego zdarzenia,

zdolną przeciwstawić się Ateńczykom tam, gdzie czują się oni wszechwładnymi panami. Bynajmniej nie chcę tym samym powiedzieć, abyście zaniechali tarczy i włóczni, zamiast nich ujmując wiosła; wiem przecież, że raczej obcięlibyście sobie ręce. Możecie jednak walczyć na morzu, nie przestając być rycerzami. Możecie dowodzić jako oficerowie.

Także i ta propozycja spotkała się ze sprzeciwem zgromadzonych, choć tym razem wyrażali go mniej krzykiem, bardziej zaś pomrukami wzburzenia, z których dało się odczytać mniemanie, że wojna na morzu szkodliwie wpływa na przestrzeganie zasad społecznego współzycia, gdyż sprzyja wynoszeniu najpodlejszego charakteru elementów, które następnie ośmielają się domagać równości z lepszymi od siebie. Posiadanie floty oznacza zaakceptowanie demokracji, a z tą Spartanie nigdy się nie pogodzą.

Alkibiades znowu musiał poczekać, aż ucichnie ów pomruk oburzenia.

– Podległe Atenom państwa już wcześniej zwróciły się do was, obywatele Sparty, z prośbą o pomoc w rzuceniu imperialnego jarzma. Czas im jej udzielić właśnie teraz, gdy Syrakuzanie powalili Ateńczyków na kolana. Jakimże jednak sposobem możecie pobudzić do rewolty przeciwko Atenom tych

potencjalnych buntowników, którymi są państwa wyspiarskie i miasta Azji Mniejszej? Wasza armia nie przyjdzie im z pomocą wplaw. Niezbędna jest wam flota. Pamiętajcie też o tym, że każde podległe Atenom państwo, które wciągniecie do buntu, będzie do niego nawoływać innych, z obawy przed represjami, gdyby rewolta się nie udała, szukając sojuszników, którzy walczyliby u jego boku. Zarazem każde państwo, które się od Aten oderwie, pozbawi je corocznych danin i uszczupli ich skarbiec. Lecz jeden przyjmijcie do wiadomości pewnik: dopóki Ateny rządzą naniorzu, dopóty obalenie ich będzie niemożliwe. Pokonajcie ateńską flotę, a wtedy pokonacie Ateny.

Wziąwszy głębszy oddech, Alkibiades przedstawił samą istotę swej idei:

– Musicie paktować z barbarzyńcą. Musicie zawrzeć przymierze z Persją.

Ku memu niepomiernemu zdumieniu, a i ku jego własnemu, czego dowiódł wyraz, jaki odmalował się na jego twarzy, ta akurat rewolucyjna propozycja nie wywołała spodziewanej burzy protestów. Reakcje, jak się zdawało, były podzielone: jedni doznali szoku, inni tylko się zdumieli, a jeszcze inni przytaknęli jego słowom, gdyż w istocie wszyscy świadomi byli tego, że taką właśnie politykę – głośno się do tego nie

przyznając – Sparta prowadziła już od lat, i to, choć po kryjomu, z żelazną konsekwencją.

– Tylko Pers rozporządza tak wielkim bogactwem, by kupić i obsadzić wojskiem flotę, która byłaby zdolna pokonać ateńską. Musicie przełknąć swą dumę, Spartanie, i skłonić go do sojuszu innym, niż teraz to czynicie sposobem: nie z pogardą i odrazą, lecz szczerze i z prawdziwym przekonaniem. Musicie znaleźć takich posłów, którzy ten cel osiągną, nie pozwoliwszy się przechytrzyć barbarzyńcy (bo wszak jego dworzanie słyną z przebiegłości), a zarazem nie odrzuciwszy od Sparty jej helleńskich sojuszników, którzy za swoje przyjęli wasze zapewnienie, że jesteście wyzwolicielami Grecji.

Przymierze z perskim tyranem, zastrzegł się zaraz Alkibiades, bynajmniej nie oznaczałoby, że Sparta stanie się jego posłuszną nałożnicą. Miał to być związek z rozsądku, który trwałby tylko tak długo, jak długo służyłby jej interesom; z chwilą gdy stałby się bezużyteczny, natychmiast by go zerwała.

– Jakkolwiek nienawistna byłaby ta rada wam, synom Leonidasa, którego heroizm uratował Grecję przed perskim jarzmem, to wynika ona z dziejowej konieczności. Persja ma złoto. Jej Wielki Król lęka się Aten. Jego skarbiec dostarczy pieniędzy na zakup

floty, która zapewni wam zwycięstwo. Jedyne, czego wam jeszcze brak, to woli, by złożyć stosowne zamówienie.

Alkibiades przerwał na chwilę. Nawet nie spojrzał w stronę ateńskich posłów, choć przecież doskonale świadom był straszliwości tego, co właśnie był powiedział; że mianowicie wystąpił z projektem, który jeśli zostałby przez Spartan wcielony w życie, musiałby ściągnąć na jego naród ostateczną klęskę i upokorzenie. Słuchaczy przeszedł dreszcz grozy. To, co zaproponował Alkibiades, stanowiło zdradę, której rozmiar zatykał dech w piersiach; niczym w scenicznej tragedii samo wypowiedzenie takich słów wywołało w publiczności przerażenie i osłupienie. Nigdy tak okropnie nie bałem się niebios jak w tamtej chwili. Spojrzałem na Alkibiadesa, by sprawdzić, czy odbiła się w jakiś sposób na jego obliczu owa groza i przerażenie. Nic takiego się po nim nie pokazało. Ten wygnaniec niejako wspiął się na szczyt takiej wyniosłości, na jakiej zdobycie tylko on jeden ze wszystkich ludzi mógł się poważyć.

– Domagaliście się mej rady, Spartanie, przeto dałem wam ją. Pozostały z tego dnia w mej pamięci jeszcze dwie polemiki.

Pierwsza nastąpiła bezpośrednio po wystąpieniu

Alkibiadesa. Zszedłszy z trybuny, przeciskał się on przez tłum na swoje miejsce, gdy zastąpił mu drogę rycerz Kallikratides, który miał się potem tak nadzwyczajnie wyróżnić w walce o sprawę w owej chwili stanowczo przez siebie potępioną. Przyznając, że proponowane przez Alkibiadesa postępowanie byłoby użyteczne, zapytał jednocześnie swych rodaków, czy pragną zwycięstwa za wszelką cenę.

– Kimże będziemy, bracia, jeśli zrealizowawszy ten program niesławy, staniemy jako triumfatorzy na ateńskim Akropolu? Kimże będziemy dla świata jako ludzie, którzy sprzymierzyli się z tyranami, aby zniewolić wolnych Greków? Ten nasz tu gość nauczył się ubierać jak my, ćwiczyć jak my i jak my przemawiać. Wszelako powiadają, że kameleon przybrać może każdą barwę z wyjątkiem bieli – w tym miejscu mówca obrócił się ku swemu antagoniście. – W jakiż to nowy naród chcesz nas przemienić, Alkibiadesie? Ja nazwę go najkrócej, jak można: w Ateńczyków!

Oświadczenie to spotkało się z okrzykami aprobaty. Kallikratides kontynuował, zwracając się wprost do Alkibiadesa:

– Mamyż się, posłuchawszy twej rady, przeobrazić w chciwych pieniędzy wioślarzy, którymi są

Ateńscy? Będziemyż się pysznić tym, że oto teraz my zniewoliliśmy Grecję całą? I któż to miałby rządzić tymi pseudo-Atenami? Tą... demokrajcą?

Tu pogardliwym gestem wskazał Lizandra, Endiusza i grupę ich popleczników, których Alkibiades najwyraźniej był sprzymierzeńcem. Zachowali wszyscy milczenie, zdając się z repliką na swego sojusznika.

– Rozumiem, żeś to powiedział, Kallikratidesie, bo też tego się właśnie po tobie spodziewałem. Gdybym był tobą, to samo bym rzekł. Lecz zrozum jedno. Co proponuję, nie mnie samemu ma przynieść korzyść – bo i jakąż mogłoby mi przynieść? – lecz jedynie przyjaciółom, którzy mnie poprosili o radę. Mnie także nienawistna jest droga, jaką wam wskazałem. Lecz to w istocie głos pewnej bogini zachęca was do jej wyboru, a na imię tej bogini – Konieczność. Uśłuchacie jej z własnej woli, powodowani mądrością i dalekowzrocznością, albo wbrew sobie, przymuszeni do tego przez rzeczywistość. Ale tak właśnie postąpicie. Bo jeśli nie, to czeka was zagłada.

Do drugiej wymiany zdań doszło parę chwil później; usłyszałem ją zupełnym przypadkiem, starając się przedostać do Lizandra, z którym do tej pory jeszcze nie miałem sposobności się spotkać, a który już

zmierzał poprzez tłum do wyjścia. Efor Antalkidas, który wsławił się męstwem zarówno pod Mantineją, jak i pod Amfipolis, odciągnął go był właśnie na bok i nawiązał z nim przyciszoną rozmowę.

– Całym sercem życzyłbym sobie, drogi wuju – mówił Lizander, posługując się tym zwrotem na znak szacunku i miłości wobec starszej od siebie osoby – aby wybory, przed jakimi stoimy, równie były proste i oczywiste jak za czasów naszych dziadów. Lecz to nie Termopile, a my nie jesteśmy Leonidasem. Dzisiejszy Lacedemon jest jak okręt, przed którego dziobem szaleje sztorm; nie można go ani zawrócić, ani unieruchomić. Jedyłą jego szansą jest parcie naprzód pod pełnymi żaglami.

– A czyż owe pełne żagle – odparł mu na to Antalkidas – oznaczają spiskowanie z tyranami i plamienie swego honoru zdradą i dwulicowością?

– Tam, gdzie za mało miejsca na lwią skórę, trzeba przykryć posadzkę lisim futrem.

– Oby bogowie nie dopuścili do tego, Lizandrze, żeby podobni tobie ludzie zawładnęli Lacedemonem. Piękna z was para, ty i ten twój ateński łotr, którego imię nie przechodzi mi nawet przez usta! Piekło samo was chyba spłodziło, abyście mogli rządzić w tych piekielnych czasach.

– Czasy się zmieniły – odrzekł mu spokojnym tonem Lizander. – A kto spowodował tę zmianę, jeśli nie bogowie sami? Powiedz mi, starcze. Czyż śmiertelni nie oddają czci bogom przez to, że zmieniają się wraz ze zmieniającymi się czasami, i czy nie znieważają ich, bezmyślnie obstając przy tym, co już przestarzałe?

– Lizandrze, wynosisz obrazoburstwo na nieznane mu dotychczas wyżyny.

– Co chciałbyś, abyśmy uczynili, Antalkidasie? Mamyż trwać beczynnie na brzegu, śpiewając pieśni o minionej chwale, podczas gdy u naszych stóp przyszłość płynie szybciej niż rozpędzony okręt wojenny?

Efor dojrzał Alkibiadesa zbliżającego się do Lizandra. Popatrzył najpierw na jednego, potem na drugiego, jak gdyby karbując sobie w pamięci tę dwójkę jako wrogów, którzy nie reprezentują ducha państwowości, lecz tylko własne pokolenie.

– Dziękuję niebiosom, Lizandrze, że nie zobaczę już Sparty, którą władać będziesz ty i tobie podobni".

26. WŚRÓD SYNÓW LEONIDASZA

„Większą część lata Alkibiades spędził w Jonii oraz na wyspach w charakterze wysłannika Sparty. W okresie pokoju podobne jego misje przyniosły Atenom sojusz z tak potężnymi państwami, jak Argos, Elida i Mantineja, teraz zjednął równie silnych sojuszników przeciwnej stronie. Nakłonił do oderwania się od Aten Chios, Eretrię i Kladzomenaj, po czym popłynął do Miletu i także to miasto przeciągnął na stronę Sparty. Przyszła kolej na największą jego zdobycz: sojusz z królem Persji. Następnie nakłonił Alkibiades Teos do zburzenia swych obronnych murów, Lebedos zaś i Eraję do zbuntowania się przeciw Atenom. Wszystkiego tego dokonał sam, za całą pomoc mając jednego spartańskiego dowódcę i pięć okrętów. Namówił Chianów, aby rozszerzyli bunt na dwa wielkie miasta, Mitylenę i Metymnę, podczas gdy równocześnie spartańskie siły lądowe zajęły Kladzomenaj i szturmem zdobyły Kyme. Alkibiades dokonał też innego rodzaju podboju: zdobył serce Timei, małżonki spartańskiego króla Agisa. Wszystkie pokojówki i dzieci w Lacedemonie mówiły o tym, że nie tylko została jego kochanką, ale i nosiła w łonie jego dziecko.

Co się mnie tyczy, to wracałem do zdrowia z trudem i bardzo powoli. Jeszcze pod koniec lata nie dawałem rady wspiąć się po wzgórzach w Terai, a cóż dopiero po nich biegać. Żołnierze powiadają, że człowiek wtedy umiera, gdy więcej jego bliskich i ukochanych spoczywa w ziemi, niż po niej chodzi. W takiej właśnie ja znajdowałem się sytuacji. Jednakże krew w moich żyłach równie uparcie płynęła jak wartka rzeka, a ból nie dawał o sobie zapomnieć, każdego świtu budząc mnie do życia.

Alkibiades, zanim wyruszył w swą podróż, zadbał o moje pomieszkowanie i hojnie mnie wyposażył: podarował mi kufer, w którym znalazłem pełne osobiste wyposażenie, płaszcz *phoinikis*, a nadto dziesięć min w złocie, co było sumą ogromną i stanowiło równowartość tego wszystkiego, z czym wróciłbym z Sycylii, gdyby wyprawa przyniosła powodzenie. Dostałem osobny pokój gościnny w koszarach w Limnaju, przebywając w Sparcie na prawach gościa-przyjaciela, który to status równy był ambasadorstwu. Wolno mi było spożywać posiłki w mesie Endiusza, Amfiktionie, do woli mogłem ćwiczyć w gimnazjonach, a gdy zostałem zaproszony – także brać udział w polowaniach. Miałem prawo składać ofiary we wszystkich świątyniach z wyjątkiem tych, do

których nie-Dorowie nie mieli wstępu. Do tego wszystkiego przysługiwały mi pewne przywileje w posiadłościach Endiusza i jego brata Sfrodiasza; mogłem, tak samo jak Równi, korzystać z ich koni lub psów, a nawet zażądać przydzielenia mi jakiegoś heloty w charakterze służącego. Wolno mi było czerpać wodę ze wszystkich strumieni i publicznych studni, a jedyne, co mi zostało zabronione, to noszenie lub używanie broni. Mój dobroczyńca przed wyjazdem przekazał mi tylko jedno zwięzłe polecenie: abym do jego powrotu trzymał język za zębami.

Okazało się, że w samej rzeczy to Alkibiades nakazał Lizandrowi wydostanie mnie z niewoli; dowiedziałem się tego od mych starych przyjaciół, towarzyszy z *agoge*, z którymi ponownie nawiązałem kontakt, dzięki ich spostrzeżeniom oraz zwierzeniom na nowo przystosowując się do życia w Lacedemonie.

Miasto bardzo się zmieniło od mego pobytu w nim. Oto zaproszono mnie na polowanie. Nadzorcą naszych pomocników był pewien meseński niewolnik zwany Rzodkiewką. Prowadził on myśliwych obranym szlakiem. Kiedy gospodarz polowania, Amfiariusz, kazał mu trochę przyspieszyć, usłyszał w odpowiedzi: »Idę tak szybko, jak mogę«. Ani mu do głowy nie przyszło dodać »panie«. Przed dziesięciu laty za tego

rodzaju zuchwałość zostałby wychłostany; teraz jego pan skwitował to wzruszeniem ramion i jakąś żartobliwą uwagą.

Wszędzie widziało się skutki obecności *neodamodeis*, »nowych obywateli«, czyli tych, którzy zyskali wolność, służąc w armii, jak również *brasidioi*, wyzwoleńców zwanych tak od imienia wielkiego stratega Brazydasa, pod którego dowództwem dosłużyli się wolności. Co więcej, nikt spośród niżej postawionych w społecznej hierarchii nie uważał swego położenia za dożywotnie.

– Nadzieja to niebezpieczny trunek – powiedział Lizander w przemowie do eforów, która taką zyskała sławę, że spisano ją i krążyła teraz wśród ludności w odpisach, co się nigdy przedtem w dziejach Lacedemonu nie zdarzyło. – Wojna odkorkowała flaszkę, w której trunek ów był przechowywany, i nic już nie może z powrotem jej zakorkować.

Lizander i Endiusz mianowali się rzecznikami wyzwoleńców, a w każdym razie poglądu, który głosił nieuchronność włączenia ich do społeczności miasta. Ani jeden, ani drugi nie był bynajmniej altruistą, a już na pewno nie demokratą; byli po prostu realistami, tak samo jak Alkibiades, z którym obaj się zresztą pojednali, a przynajmniej, jak mi powiedziano, uznali

za rozsądne wspólnie z nim działać. To Endiusz zdobył dla swego przyjaciela zgodę na przekroczenie lakońskiej granicy, Lizander zaś, jako polemarch, zapewniał mu jego obecny status.

– Wszystkie wielkie państwa – czytałem w transkrypcji mowy Lizandra – poniosły pewne szkody z przyczyny wybujałości ludzkiej natury, która zarówno była źródłem ich żywotności, jak i ich słabością. Atenom zaszkodziła demokracja. Ma ona tę dobrą stronę, że rozwija przedsiębiorczość obywateli, która bardziej autorytarnie rządzonym krajom jest nieznana, a zaowocować może bezprecedensową zamożnością danej społeczności. Złym jej aspektem jest natomiast to, że w warstwie rządzącej budzi ona zazdrość i zawiść. Demokracja pożera własne dzieci. Im wyżej ktoś zajdzie, tym zacieklej jego współobywatele starają się przywieść go do upadku, skutkiem czego ilekroć pojawi się ktoś, kto zasłużył na owo wyniesienie swymi przymiotami, państwo jedynie przez krótki czas czerpie korzyści z jego działania, gdyż spóśółstwo zaraz kępuje mu ręce, a pod stopy podkłada mu rozżarzone węgle.

Co do Lacedemonu, to nierozumność nasza przejawiała się w zniewoleniu naszych helotów. Trwamy w przekonaniu, że ich pot ma służyć

tworzeniu naszej potęgi, którą się następnie posługujemy, aby ich ciemnić. Lecz kto kim w istocie włada? Układamy się do snu na dywanie utkany z tych, którzy nocą mogliby nas pożreć na surowo, po czym dziwimy się, że sen nasz jest bardzo niespokojny. A nasza armia, przy całej swej niezrównanej potędze, wychodzi w pole z bojaźliwym ociąganiem, potykając się co chwila, gdyż oczy ma zwrócone ku tasakom, które pozostawiła w domowych kuchniach. Podczas wojennych kampanii nasze pikiety baczniej oglądają się za plecy, niż patrzą przed siebie, ponieważ bardziej się boją tych, którzy nam służą, niż nieprzyjaciela. Nasze ubezwłasnowolnione społeczeństwo to miecz, od którego zależy nasze życie, musimy więc albo go mocno dzierżyć, albo paść od jego ciosu.

Lizander był za posiadaniem floty. Opowiadał się za ekspansją i podporządkowywaniem sobie innych. Lecz starodawna konstytucja nie pozwalała na zakup armady, która by umożliwiła zmiany. Nic przeto zmienić się nie mogło, a jednocześnie zmiany były konieczne, z czego młode pokolenie w pełni zdawało sobie sprawę.

W tej sytuacji pojawił się kolejny destabilizujący czynnik: kluby polityczne, czyli »oliwopiachy«, jak zwano je od miejsc, w których się zawiązywały – szkół

zapaśniczych. Nigdy przedtem nie istniały tego rodzaju rozbręczane intelektualne ule; teraz była ich mnogość i zdominowały one zarówno polityczne, jak i społeczne życie.

Genialność starożytnych praw, dzięki którym Sparta przez ponad sześć stuleci pozostawała stabilna i wewnętrznie spójna, przejawiała się między innymi w tym, że wszyscy chłopcy od pewnego wieku przechodzili przez wszystkie szczeble obowiązkowego szkolenia. Jednym z tego skutków było to, że w każdej sferze i w każdym miejscu spartańskiego życia zaznaczała się obecność weteranów; żadne zbiorowisko młodzieży nie mogło uniknąć nadzoru starszych. Lecz oto teraz młodzi ludzie tworzyli własne kluby, a przy tym byli niecierpliwi. Opowiadali się po stronie przyszłości, mając za przywódców taki mężów, jak Lizander i Endiusz, Chalkideusz i Mindaros. Także i Gilippos był członkiem »Kregu«, podobnie jak przed nim bohater narodowy Brazydas. Słowem, obóz ten zgromadził najświetniejszych i najambitniejszych Spartan, bez względu na ich zamożność lub urodzenie.

Endiusz był bez wątpienia najbogatszy. Jego winnice na północy doliny dawały tak znakomite wino, że nazywano je *meliades*, miodową słodyczą, pola rodziły obfitość jęczmienia i fig, z owczego mleka zaś

wytwarzano dużo smacznego sera. Dochody miał Endiusz tak wielkie, że potrafił przyjąć z pomocą nie mniej niż osiemdziesięciu zubożałym obywatelom-wojownikom, którzy aż tak byli biedni, iż nie mogli sobie pozwolić nawet na żywienie się w wojskowej kantine. Spłacił on ich zaległości, przywracając im w ten sposób status Spartan. Ponadto Endiusz wziął pod opiekę pewną liczbę metojków, nieprawych synów Równych, pokrywając koszty ich szkolenia; toteż byli oni równie głęboko mu oddani, jak i powszechnemu dobru. Na podstawie liczby helotów, którzy uznawali go za swego protektora, twierdzono nawet, że Endiusz ma do swej dyspozycji prywatną armię, która ustępuje siłą jedynie królewskiej.

Jego znaczenie i wpływy jeszcze bardziej umocnił fakt, że popierał Alkibiadesa, którego każdy sukces jako zagranicznego wysłannika w Sparcie odbierany był jako sukces Endiusza. Jego stadnina w Kranioi zajmowała sto dziesięć akrów; tam właśnie ustanowił on główną siedzibę swego przyjaciela-uchodźcy. Tam też ja zostałem zawezwany w przeddzień wyjazdu Alkibiadesa na wschód, gdzie miał on prowadzić swoją krecią robotę. Przyjechawszy, zastałem go w Kranioi otoczonego gronem towarzyszy zarówno Spartan, jak i

Ateńczyków, którzy zostali wygnani wraz z nim. Dobięły właśnie końca chłopięce zawody jeździeckie; pod przewodem Alkibiadesa i Endiusza dorogli ku powszechnej radości uroczyście wręczali zwycięzcom nagrody. Potem odbyła się ceremonia ofiarna, a po niej nastąpiła biesiada, podczas której nikt ani słowem nie wspomniał o poważnych sprawach. Było już po północy, gdy rozpoczęło się prywatne przyjęcie w siedzibie Alkibiadesa, który wyznaczył mi miejsce obok siebie.

– Opowiedz mi o Sycylii – poprosił.

Pomieszczenie, w którym się znajdowaliśmy, stanowiło jego roboczy gabinet. Każdy wolny skrawek zajmowały transkrypcje obrad zgromadzenia, zapisy procesów w sądach powszechnych oraz zarządzenia władz Aten, Argos, Teb i Koryntu, a ponadto dokumenty floty, zamówienia na budowę okrętów, rozkazy wypłynięcia w morze, transkrypcje rozpraw przed sądami polowymi, rozszyfrowane *skytalai*, najróżniejsze raporty szpiegów i politycznych obserwatorów, a do tego wszystkiego wysokie po suficie szafy, wypełnione jego prywatną korespondencją. Sądząc po imionach adresatów, rozsyłał listy do wszystkich miast Grecji, na Wyspy Egejskie, do Jonii i kontynentalnej Azji.

– Przecież ci już o tym opowiadano.

– Chcę to usłyszeć od ciebie.

Zacząłem więc swą opowieść. Endiusz i pozostali obecni wychodzili, wchodzili lub drzemali po kątach, pochrapując. Alkibiades słuchał w zupełnym bezruchu i z niesłabnącą uwagą, a jeśli mi przerywał, to jedynie po to, bym dokładniej omówił jakiś wątek lub epizod, o którym tylko wspomniawszy, chciałem – nazbyt jego zdaniem spieszenie – przejść do dalszego ciągu.

Chciał się dowiedzieć wszystkiego, włącznie z tym, co najboleśniesz. Kiedy wymieniłem jakieś imię, domagał się, abym dokładniej omówił losy danego człowieka. Żaden szczegół nie zdawał mu się zbyteczny; zarówno opowiedziany przez kogoś dowcip, jak to, z jaką żył niewiastą i jak zginął. Nic go za to nie obchodziła topografia ani wojskowa strategia. Takie rzeczy, jak kształt i wysokość Epipolaju czy też rozmieszczenie floty, kazał mi pomijać. Słuchając, nie okazywał po sobie żadnych uczuć. Tylko wtedy, gdy relacjonowałem najtragiczniejsze momenty, zmieniał się wyraz jego oczu i można było zauważyć, jak zaciskały się jego szczęki w sposób znany każdemu żołnierzowi, który patrzył na człowieka poddawanego torturom.

– Nie jesteś zmęczony, Pommo? Może wolałbyś

dokończyć później?

– Wolę tego nie odkładać.

– Co do mnie, to jestem już śmiertelnie znudzony – wtrącił Endiusz.

– Więc idź spać.

– Ile jeszcze razy będziemy musieli tego słuchać?

– Dopóki nie usłyszę wszystkiego, czego mi potrzeba.

Alkibiades domagał się, abym mu relacjonował przypadki indywidualnego poświęcenia lub męstwa, i to nie tylko Ateńczyków i sprzymierzonych, lecz nawet niewolników. Za każdym takim przykładem jego sekretarz skrzętnie notował imię danego człowieka oraz imię jego ojca i nazwę rodzinnego okręgu; wypytywany byłem o to po wielokroć, dopóki nie byłem zupełnie pewny swej pamięci.

– Endiuszu, albo przestań się przechadzać, albo idź do łóżka!

Kiedy skończyłem, miało się już ku świtaniu; Alkibiades całą noc spędził w tej samej pozycji.

– To wszystko – powiedziałem, wstając.

Wszedłem na padok. Posiadłość właśnie zaczynała się budzić do życia. Patrzyłem, jak stajenni zaczynają pracę, polewając wodą i grabiąc wybiegi, siodłając wierzchowce i gotując je do porannego

rozruchu. W pewnej chwili wyczułem, że stanął za mną w półmroku Alkibiades, lecz nie odwróciłem się ani nie odezwałem do niego.

– Nigdy w nikim – powiedział – nie wyczułem aż takiej do mnie nienawiści jak w tobie.

– Nie pochlebiaj sobie. Wielu jest takich, co cię jeszcze bardziej nienawidzą.

Zaśmiał się na to.

– Przyjechałeś tu po to, żeby mnie zabić. Dlaczego nie zabiłeś?

– Nie wiem. Może nie starczyło mi odwagi.

Teraz dopiero odwróciłem się do niego. Nigdy dotąd nie widziałem, by na czyjejś twarzy malował się wyraz choćby zbliżony do tego, jaki ujrzałem na jego obliczu.

Zdał mi się najbardziej samotnym człowiekiem na tej ziemi. Kimś, kto nie mógł zaufać nawet bogom, a może – zwłaszcza im. Widać było, że w najmniejszym stopniu nie lęka się własnej śmierci. Tym, co go trzymało przy życiu, było zapewne to samo, co dodaje sił zapaśnikowi: jakieś perwersyjne natchnienie, pozwalające mu z przeraźliwą wręcz jasnością dostrzegać niezauważalne dla wszystkich innych przedstawicieli jego pokolenia nakazy konieczności, dla których spełnienia rozporządzał mocą swej pasji i

zdolnością porywania za sobą innych. Lecz oto jego rodacy nie chcieli go, na własną zgubę, słuchać; posłuchali natomiast wrogowie, którzy jednakowoż im większą mieli z tego korzyść, tym mocniej go nienawidzili.

Każdy inny dowódca wojenny miał nadaną sobie rangę lub powierzoną funkcję, przeto przemawiając lub wydając rozkazy, czynił to w imieniu jakiegoś wyższego autorytetu. Tylko Alkibiades był jedynie sobą i nie mógł się powołać na żadne stanowisko lub stopień, ani nawet na szaty, które by świadczyły o jego randze. Wyklęty i bez żadnego kraju, który mógłby zwać swoim, samotny wśród swych najzawziętszych wrogów, potrafił przecie skuteczniej niż ktokolwiek inny, Ateńczyk czy Spartanin, wpływać na losy wojny samą swą wolą i przedsiębiorczością.

Później, gdy znalazłem się pośród perskich namiotów, zdarzało mi się doznawać napadów szczególnego rodzaju paniki. Przerażała mnie mianowicie świadomość, że oto znalazłem się w straszliwym oddaleniu od wszystkich i wszystkiego, co było mi znane. Jak potrafił w tamtej chwili mój protektor zapanować nad tym samym w istocie uczuciem? Czyż bowiem możliwe było, aby miał się znaleźć w oddaleniu jeszcze większym niż to, w

którym już przyszło mu żyć? Czy mógł popełnić jeszcze większe zbrodnie niż te, których już się dopuścił? Czy wyobrażalna była jeszcze dotkliwsza samotność?

A jednak nic nie mogło ugasić jego zapału. Przy czym nie płonął on, jak to głosili jego wrogowie, żądzą bogactwa lub chwały, ani nawet – jak sądzę – pragnieniem odkupienia grzechów. Ten geniusz zniszczenia, który obracał w nicość każde swe przedsięwzięcie i każdemu, z kim się sprzymierzył, przysparzał jeszcze więcej szkód i cierpień – był niejako bez ratunku uwikłany w walkę z losem czy może z niebem samym.

– Czy kiedykolwiek wybaczysz mi to, że uratowałem ci życie, Pommo?

Moje spojrzenie padło na broszę, która spinała poły jego płaszcza. Był to ów wilczy kiel spod Potidei. Doznałem tego szczególnego uczucia, które Spartanie zwą »nawrotem«; ma się w takich chwilach wrażenie, że oto przeżywa się raz jeszcze coś, co już się kiedyś zdarzyło. Usłyszałem swój głos:

– Dlaczego to mnie uratowałeś? Dlaczego nie mojego brata?

– Ponieważ twój brat by tu nie przybył.

Wyowiedział to bez żadnej złośliwej intencji jako

prostą, zwyczajną prawdę.

– A dlaczego mnie tu sprowadziłeś?

– Ponieważ potrzebowałem kogoś, kto przeszedł przez te same wrota co ja.

Było to dokładnie to samo zdanie, które wypowiedział był jako zjawa w moim gorączkowym śnie. Czyżbym mu je jakoś przekazał? I dlaczego?

– O jakich mówisz wrotach? Do piekła?

Miał odpowiedzieć, z wyrazem twarzy zarazem ponurym i ironicznym sięgnął do swej wilczej broszy i odpiął ją. Wryte były na niej słowa: »Za męstwo«.

Przytwierdził ją do mojego płaszcza.

– Był jeszcze jeden powód, dla którego cię stamtąd wyciągnąłem.

Spoza szczytu Pamonu zaczęła się już wychylać jutrzienka. Zwróciłem się ku niej. Czekałem.

– Jeśli mam zostać zamordowany, to chcę, żeby mnie zamordował ktoś, kto mnie prawdziwie nienawidzi.

Obrócił się do mnie i popatrzył mi prosto w oczy.

– Czy zdajesz sobie sprawę z tego, jak długo już walczyliśmy w tej wojnie, Pommo? Byliśmy jeszcze dziećmi, kiedy się zaczęła. Ówczesne niemowlęta są dzisiaj dorosłymi mężczyznami.

Następnie spytał mnie, czy nie mam już dosyć

wojny.

– Nienawidzę jej z całego serca.

Poprzez pola dojrzeliliśmy helotów, którzy wyruszali do pracy.

– Wkrótce wezwie cię do siebie Lizander. Będziesz musiał zrobić wszystko, co ci każe.

– Dlaczego?

– Dla mnie.

Poczułem na ramieniu jego dłoń; było w tym geście coś przyjacielskiego.

– Nie potępij się z taką bezwzględnością, Pommo. Czasem trudniej jest żyć, niż umrzeć. A poza tym nie miałeś wyboru. Niebiosa same wybrały ci ten los, tak samo jak mój mnie.

Cofnął rękę i roześmiał się.

– Jeszcze to do ciebie nie dotarło, mój druhu? Obaj w tym jesteśmy, ja i ty, i obaj skazani na to aż do samego ponurego końca!

Wezwanie od Lizandra otrzymałem wczesnym popołudniem pewnego słonecznego dnia spartańskiego miesiąca zwanego karnejosem. Całe miasto zostało udekorowane z okazji świąt Apollina; zakazane było na ten czas wszelkie posługiwanie się bronią. Spotkałem go na skraju piłkarskiego boiska zwanego Wysepką.

– Służyłeś w piechocie morskiej – zaczął Lizander bez żadnych grzecznościowych wstępów. – Będziesz w niej znowu służył.

– Nie jako zabójca?

– Nie zgrywaj się tu przede mną na dowcipnego spryciarza, ty skurwysynu. Gdyby to mój głos decydował, dalej gnąłbyś w tym kamieniołomie. I nie wyobrażaj sobie przypadkiem, że twój przyjaciel wyciągnął cię stamtąd z powodu uczucia, jakim cię darzy. Już niedługo zażąda od ciebie spłaty tego długu. Dlatego tu teraz jesteś. Sądzi, że będziesz wobec niego lojalny.

– A będę?

– Nie ośmielisz się nawet odetchnąć bez mojej zgody, a jeśli spojrzysz w niebo, to tylko dzięki temu, że takie będę miał życzenie.

Fizycznie Lizander nie był jakimś szczególnie potężnym mężczyzną. Był ode mnie wyższy tylko o pół głowy i nie szerszy niż ja w barach, jednakże nie wstydzę się przyznać, że straszliwie mnie przerażał.

– Skoro jesteś taki pewny, że on cię zdradzi – spytałem – to czemu nie zabijesz go już teraz?

– Bo jest mi użyteczny, tak samo jak ja jemu. Na dziś jesteśmy dla siebie jak bracia.

Stojący u jego boku Truskawka dał mu znak dłonią;

byliśmy obserwowani. Lizander poprowadził mnie dróżką, która wiodła pośród akacji rosnących wzdłuż bieżni i przechodziła obok brązowej figurki boga śmiechu. Następnie Amyklajską Drogą dotarliśmy do Wstążki, prostej bieżni, na której trenowały bosonogie dziewczęta w sportowych tunikach.

– Zatrzymajmy się tutaj – odezwał się Lizander, zeskakując z konia obok kępy drzew; rosła pośród nich trawa, którą mógł podszczypywać jego wierzchowiec. – Muszę ci wytłumaczyć, co będzie się teraz działo. Otóż Sparta sprzymierzy się z Persją. Ceną za to będą greckie miasta w Azji. Sprzedamy je Dariuszowi za złoto i za flotę, która ostatecznie powali Ateny. Dokona tego dla nas Alkibiades. Żaden Spartanin by tego nie potrafił, włącznie ze mną i z Endiuszem. Kiedy już się to stanie, Alkibiades nas zdradzi. Będzie musiał to zrobić. Poruszy niebo i ziemię, byle wrócić do domu i oczyścić się w oczach swoich rodaków. A wtedy zacznie się najbardziej ryzykowna część jego gry. Będzie miał przeciwko sobie trzy siły: nienawidzących go Ateńczyków, jego wrogów w spartańskim obozie oraz tych spośród Persów, którzy wykażą się aż taką przenikliwością, że przejrzą zdradzieckie zamiary, z jakimi Alkibiades nosi się przeciwko nim.

Zwrócił się ku mnie.

– Będziesz strzegł jego życia, Polemidasie – powiedział, posłużywszy się lakońskim brzmieniem mego imienia. – Wraz z oddziałem piechoty morskiej, który ja najmę, a ty wyszkolisz.

– Dopóki, ma się rozumieć, ty sam nie zażadasz jego śmierci.

Spartanin nic na to nie odpowiedział i na długą chwilą zamilkł. Oczywiście było, że nie zaprzątałem jego myśli ani ja, ani moje niezbyt głęboko zakorzenione poczucie prawości; musiał się wszakże zastanowić nad samym pytaniem. Na moment jego kamienne oblicze rozluźniło się i z czymś na podobieństwo żalu spojrział mi w oczy; z pewnością nie jak na kogoś, kto godny był jego zwierzania, lecz jak na podrzędną figurę, która jednak reprezentowała w owej chwili jakieś o wiele liczniejsze audytorium.

– To nie ja zażadam jego śmierci, Polemidasie – oświadczył – lecz pewna bogini. Jedyna z nieśmiertelnych, którą Alkibiades czci.

– Któraż to bogini?

– Konieczność".

27. NA NABRZEŻU SAMOS

– Akurat w tym miejscu Polemidesowej opowieści – rzekł teraz dziadek – zdarzył się szczęśliwy traf. Wieczorem zjawiła się u mnie w stanie wielkiego podniecenia para moich wywiadowców, Myron i Lado.

„Panie, znaleźliśmy ją! Znaleźliśmy tę niewiastę!”.

Jakąż to niewiastę?

„Eunike! Wojenną żonę twojego klienta!”.

W samej rzeczy była to nadzwyczajna nowina, zważywszy na fakt, że Polemides uważał ją za zmarłą.

„Mieszka w Atenach, panie – zapewnił mnie Myron – razem ze swymi dziećmi. Zgodziła się nawet – w zamian za pewną sumę – spotkać się z tobą”.

Umówione przeto zostało i odbyło się w mojej miejskiej rezydencji w Pireusie spotkanie, które jednak niewiele wniosło do sprawy z wyjątkiem jednej rzeczy: wymknęło się mianowicie Eunike, że łączyła ją znajomość z Kolofonem, synem Hestiodorosa; tym samym, który oskarżył Polemidesa o morderstwo. Co więcej, Eunike wyznała, że sama była świadkiem tego morderstwa, które miało miejsce w pewnym *kapelejonie*, obskurnym szynku, a zdarzyło się na Samos w dwudziestym trzecim roku wojny. Choć bardzo nastawałem, nic więcej na ten temat nie chciała

powiedzieć, a tak nawet była spłoszona własnym swym wyznaniem, że uciekła w takim aż pośpiechu, iż nie wzięła obiecanych pieniędzy, o które potem ani sama, ani za czyimś pośrednictwem nigdy się nie upomniała.

Następnego dnia po tej rozmowie poinformowałem o niej Polemidesa podczas kolejnego naszego widzenia w więzieniu. Nie był wcale zaskoczony wiadomością, że matka jego dzieci przebywa w Atenach.

„Jeśli o nią chodzi, to nic mnie nie zdziwi”.

Czy chciałby zobaczyć syna i córkę? Bo może udałoby mi się nakłonić Eunikę do przyprowadzenia dzieci, w razie potrzeby płacąc jej za to. Jego odpowiedź speszyła mnie.

„A czyś widział te dzieci? Czy może przynajmniej zapewniła cię kategorycznie, że ma je tu z sobą?”.

Kiedy przyznałem, że nie, Polemides wymownie chrząknął i chciał zmienić temat. Udało mi się jedynie wywnioskować – i to raczej z jego przemilczeń niż napomknięć – że dzieci odebrane zostały matce i znalazły się pod jego opieką. Stało się to najprawdopodobniej ubiegłego roku w Acharnie, w rodzinnej posiadłości Polemidesa, zwanej Zakrętem Drogi. Wypytywałem go dalej. Gdyby mi się udało te dzieci znaleźć, to czy zechciałby się z nimi spotkać?

„Lepiej, żeby mnie nie zobaczyły w tym miejscu”.

W jego celi nie było okna, a jedynie otwór w dachu, przez który na północną ścianę padał prostokąt słonecznego światła. Polemides zwrócił się właśnie ku temu miejscu, którego pomimo kajdan mógł dosięgnąć, po czym znowu spojrzął na mnie, ja zaś nagle uświadomiłem sobie, że już lata wcześniej widziałem tego człowieka. W bardzo podobnej postawie i z dokładnie takim samym wyrazem twarzy stał on odziany w zbroję na dziobie okrętu, który właśnie przybił do brzegu w porcie Samos. Było to przedpołudnie. Na nabrzeżu tłoczyły się tysiące podnieconych majtków i żołnierzy. Polemides zszedł z pokładu jako dowódca trójki żołnierzy piechoty morskiej, którzy – jeden z przodu, a dwaj z tyłu – otaczali Alkibiadesa.

„Tyś ochraniał Alkibiadesa! – zakrzyknąłem teraz. – Pamiętam cię z nabrzeża na Samos. W dniu jego powrotu”.

Nie zareagował na te słowa, pochłonięty jeszcze, jak wyczułem, myślami o swych dzieciach, teraz już zapewne prawie dorosłych, których los musiał go napełniać troską; ja jednak dałem się ponieść własnemu wspomnieniu tamtego miejsca i tamtego przedpołudnia.

Flota stała wtedy na Samos. Był to dwudziesty pierwszy rok wojny i pewnie siódmy, a może ósmy miesiąc po owych rozmowach w Sparcie, które właśnie był zrelacjonował nasz narrator.

Pozwól, wnuku, że przypomnę pokrótce, co się od tego czasu zdarzyło.

Alkibiades w samej rzeczy, jak to już powiedział Polemides, pożeglował ze Sparty do Jonii w towarzystwie Spartanina Chalkideusza, obecnie dowódcy peloponeskiej floty, która w owym czasie była jeszcze tylko na chybcika skleconą flotyllą przestarzałych trirem i pentekonterów, ofiarowanych przez sojuszników Sparty, a zwłaszcza Korynt, Elidę i Zakyntos, oraz paru galer, zbudowanych w Gythejoni i w Epidauris Limerą, a obsadzonych przez załogi złożone z ochotników, głównie rybaków i młodych mężczyzn, którzy uchylili się od poboru. W całym tym zaczątku przyszłej floty nie było ani jednego Spartanina.

A jednak Alkibiadesowi i Chalkideuszowi udało się w ciągu dwóch miesięcy podburzyć przeciw Atenom nie tylko Chios z jej wojennymi eskadrami (oraz z namówionymi z kolei przez nią do buntu wyspami Anają, Lebedosem i Erają), ale również Eretrię, Milet, Lesbos, Teos, Kladzomenaj oraz Efez, z jego wielkim

portem, który potem stał się bastionem Lizandra. Skutkiem zabiegów Alkibiadesa Ateny utraciły jedną trzecią kontrybucji, jakie płaciły im podległe kraje imperium, i to w momencie, gdy wyjątkowo były im one potrzebne, a to w związku z przewidywaną agresją na Syrakuzy. Co gorsza, z chwilą gdy wszystkie te ważne strategicznie miasta znalazły się po stronie wroga, zagrożone zostały morskie dostawy zboża z Pontu, bez których Ateny nie były zdolne przetrwać.

Jakby i tego wszystkiego jeszcze nie było dość, przyszły wieści o tym, że Alkibiades nawiązał kontakt z perskim gubernatorem Tissafernesem, który uległ jego urokowi. Tissafernes z ramienia króla Dariusza był satrapą Lidii i Karii, które obfitowały w wielkie bogactwa, a ponadto dowodził wojenną flotą fenicką, liczącą dwieście trzydzieści trirem (podczas gdy Ateny miały ich tylko trochę ponad sto) z sydońskimi i tyrreńskimi załogami, które uważano za najlepsze na całym Wschodzie. Gdyby się przeto udało Alkibiadesowi nakłonić Persa do oddania ich w służbę Spartan, to los Aten zostałby ostatecznie przypieczętowany.

Jedyną wieścią, która mogła Ateńczyków natchnąć nadzieją na uniknięcie katastrofy, była wiadomość dotycząca samego Alkibiadesa. Rozeszła się

mianowicie pogłoska, że uwiódł on małżonkę króla Agisa, panią Timeę, która zaszła z nim w ciążę i w dodatku wcale nie starała się swego występku ukryć: oficjalnie nadawszy dziecku imię Leotychidas, prywatnie zwała go Alkibiadesem.

Zakochana była ponoć w Ateńczyku zgoła nieprzytomnie.

Dlaczego pogłoska ta dodała nam otuchy? Ponieważ zrodziła w nas nadzieję, że jeśli w istocie Alkibiades nie zdołał pohamować swych dawnych skłonności do miłosnych podbojów, to może sam paść ofiarą swego postępowania, wzbudziwszy gniew Agisa i konserwatywnie myślących Spartan.

I otóż tak się właśnie stało. Nie minęło pięć miesięcy, a na Alkibiadesie zaciążył drugi już po ateńskim zaoczny wyrok śmierci, tym razem wydany w Sparcie.

Co się tyczy Aten, to znalazły się w skrajnej biedzie i opuszczeniu. Wszyscy zdolni do służby mężczyźni wcieleni zostali do floty. Na miejskich murach czuwali już tylko starcy i pacholeta. Męski *eros*, stanowiący kościec każdego narodu, zniknął z ulic miasta, które bardzo za nim tęskniły, zabrakło go też w małżeńskich łóżach.

Ateny nie miały godnego tego miana przywódcy. Z

ich zmarniałej gleby rodziły się jedynie skarłowaciałe i pokrzywione pędy zła. Te, które porastały polityczną arenę, przybrały postać prymitywnych karykatur mężów stanu, pogłębiając jeszcze rozpacz miasta, które na skutek zarazy i wojny utraciło już kwiat dwóch pokoleń młodzieży, nowa zaś jej generacja dorastała w takim ubóstwie, że wykształciła się w niej gwałtowność oraz lekceważenie prawa i zasad przyzwoitości.

Nastąpił całkowity uwiad grzeszności i uprzejmości. Dorośli uchylali się od swych obowiązków; młodzi uciekali przed poborem. Spośród tych, którzy pozostali w Atenach, największą żywotność objawiali satyryczni poeci, ograniczający jednakowoż swą płodność do wyszydzenia błaznów, którzy ośmielili się odgrywać role polityków. Kilku nielicznych, na tyle utalentowanych, że mogliby posłużyć satyrze z prawdziwego zdarzenia, usunęło się w cień, ustępując pola takim, których pożądanie sławy przewyższał jedynie brak skrupułów, jakim cechowało się ich dążenie do osiągnięcia tego celu.

Aż oto Ateńczycy przypomnieli sobie o Alkibiadesie i zaczęli za nim tęsknić.

Przywoływali na pamięć poszczególne fazy wojny i w każdej z nich odkrywali jego śmiałe zamysły i

energię. Jako młodzieniec nikomu nie ustępował żołnierskim męstwem. Jako dowódca gromił wrogów, zmuszając ich do stawiania całego swego losu na kartę jednej bitwy, jak się to stało pod Mantineją. Tylko jego przedsiębiorczości zawdzięczać należało powstanie najpotężniejszej w dziejach armady. Pod jego przywództwem nie ponieśliśmy klęski na Sycylii, a gdyby teraz dowodził, to nie przegrywalibyśmy na Wschodzie. Nawet straszliwe zło, jakie wyrządził krajowi, dając rady jego wrogom, przywoływano nie jako symbol zbrodni lub zdrady, lecz jako dowód jego dowódczego geniuszu i śmiałości działania, a przecież teraz tego właśnie miasto rozpaczliwie, lecz bezskutecznie szukało. Także i obecne dowództwo floty przyczyniało chwały Alkibiadesowi, jako że jej najzdolniejsi wodzowie – Trazybulos, Teramenes, Konon i Trazyllos – byli niegdyś albo jego bliskimi przyjaciółmi, albo przez niego byli od początku swych karier popierani. Jeśli pominąć to, co w jego postępowaniu i motywach tego postępowania było grzeszne, twierdził *demos*, to oceniany jako mąż stanu, Alkibiades zdawał się tytanem otoczonym przez karłów. W kolejkach do balwierzy i w zapaśniczych szkołach obywatelstwo podnosiło kwestię tego, że Alkibiades nie z własnego wyboru sprzymierzył się z

wrogiem. Samiśmy go wygnali! W zaślepionym szaleństwie daliśmy swoje poparcie zazdrosnym o talenty Alkibiadesa kanaliom i spiskowcom, którzy pozbawili nasze państwo wodza, jakiego najbardziej mu było trzeba!

Byłem z małżonką na pewnej komedii Eupolisa, w której występował aktor odziany w ekstrawaganckie szaty, mające upodobnić go do Alkibiadesa. Zamiarem autora było ukazanie śmieszności owej postaci, tymczasem publiczność przyjęła ją z entuzjazmem, skandując imię aktora, który w dodatku został potem wzięty na ulicy na ramiona i w triumfalnym pochodzie poniesiony do domu.

Na ścianach budynków w całym mieście pojawiły się po tym przedstawieniu napisy: „Przywiedźcie go do domu!”.

Musiał jeszcze upłynąć rok, mój wnuku, lecz w końcu wezwano do domu – jeszcze nie zgromadzenie ateńskie to uczyniło, a flota Samos – Alkibiadesa, który obiecywał złoto Tissafernesa i sojusz z Persją.

I tę właśnie chwilę przypomniałem Polemidesowi, gdy burty okrętów dotknęły belek nabrzeża portu na Samos, a otoczony dwudziestotysięcznym tłumem ateńskich żeglarzy i wojowników Alkibiades wstąpił na wysoką platformę rozładunkową, do której

podjeżdżają wozacy, by odbierać świeżo złowione sardynki. Tłoczyły się wokół niej nieprzeliczone rzesze ciężkobrajnych i żołnierzy piechoty morskiej, zajmując nie tylko samo nabrzeże, ale również wszystkie dookolne dachy i pergole, a nawet okrętowe maszty, reje i bojowe mostki; zajmawszy całą przestrzeń u stóp Wzgórza Delfinów, wszyscy z nadzieją i drżeniem w sercach czekali na słowa nawróconego renegata.

28. WZGÓRZE DELFINÓW

– Dwukrotnie rozpoczął przemowę i dwakroć głos odmówił mu posłuszeństwa, tak był wzruszony widokiem, jaki ukazał się jego oczom. Kiedy zdarzyło się mu to po raz trzeci, wśród tych, którzy znaleźli się w bezpośredniej bliskości platformy, zaczął się krzyk.

„Jeszcze! Jeszcze!” – wrzeszczeli ludzie, a słowo to zaraz podchwyciły setki, a następnie tysiące tych z tyłu; tak się wszystkim nadzwyczajnie spodobało to, czego byli świadkami. Kiedy wreszcie przycichła ta powszechna wrzawa, Alkibiades zaczął raz jeszcze, tak w pierwszej chwili cicho, że rozstawieni w regularnych odstępach heroldowie, którzy mieli powtarzać jego słowa coraz to wyżej i wyżej po zboczu wzgórza, musieli je przekazywać także tym z boku, a nawet poniżej ich stanowisk.

„Nie jestem już...” – rzekł Alkibiades, a gdy i tym razem głos mu się załamał, heroldowie postanowili spełnić swój obowiązek, powtarzając za nim:

„Nie jestem już...”

„...tym samym człowiekiem...”

„...tym samym człowiekiem...”

„...którym byłem jeszcze przed chwilą, wstępując na to podwyższenie”.

Także i heroldowie dokończyli zdanie, rozpowszechniając je po całym amfiteatrze. Wreszcie Alkibiades odzyskał zdolność mówienia i gestem polecił odstąpić od siebie zaniepokojonej asyście, po czym kontynuował:

„Zamierzałem tu wystąpić w roli zbawcy. Zaprezentować siebie jako tego, kto przywozi z sobą wasze ocalenie w postaci sojuszu z narodem, którego skarbiec i morska potęga pomogłyby odnieść zwycięstwo, dla was samych jak dotąd niemożliwe. Chciałem do was przemówić jako wódz i wymóc na was przysięgę wierności, niezbędnej w obliczu wysiłku, do jakiego będziemy zmuszeni. Lecz na wasz widok...”.

Tu znowu głos uwiązł mu w krtani.

„Na wasz widok wzruszenie ścisnęło mi serce, rodacy moi. Przejął mnie wstyd. Bo to nie wy musicie przysięgać, a ja. Nie wy musicie przyrzekać wierną służbę, lecz ja. Te Ateny, które mnie skazały na wygnanie...”.

I jeszcze raz musiał przemóc wzruszenie; zacisnąwszy dłoń na poręczy platformy, odzyskiwał panowanie nad sobą.

„Ateny, które mnie przegnały... Tych Aten już nie pamiętam. Moimi Atenami jesteście teraz wy. Wy i to

wszystko – potoczył ramieniem po flocie, po morzu i po niebie. – Wam i temu właśnie przyrzekam więc wierność i posłuszeństwo".

Od pierwszych szeregów aż po najdalsze buchnął krzyk, który na poły był szlochem, a na poły entuzjastyczną aprobatą. Świadomie lub nieświadomie Alkibiades włożył w swe słowa tę samą głęboką powagę i ból, z jakimi jego słuchacze myśleli o swym narodzie, od którego zarówno ich samych, jak i przywołanego przez nich z powrotem wodza zdawał się w owej chwili oddzielać cały niezmierny ocean i który odcięty był teraz nie tylko od nich, swoich synów, ale zgoła od własnej utraconej i zapomnianej duszy.

„Jeśli obraziłem bogów, a wiem, że obraziłem, to w obliczu was wszystkich proszę ich o wybaczenie. Za ich łaskawym przyzwoleniem i przed wami wszystkimi, którzyście wielki mi uczynili honor, pokładając we mnie swoją wiarę, ślubuję niniejszym, że żadna ziemską lub ponadziemską siłą, ani nawet cała armia piekieł, nie powstrzymają mnie przed oddaniem wam i naszemu krajowi wszystkiego, co posiadam. Moją krew, moje życie, siebie i wszystko, co moje, wam teraz poświęcam".

Po tych słowach cofnął się, wstępując w grupę

zebranych za jego plecami dowódców.

Amfiteatr rozbrzmiał rykiem zapалу i aprobaty.

Z kolei przemówił Trazybulo, a po nim Diomedon i Leon. Zabierali także głos poszczególni szeregowi *nautai* i żołnierze. We wszystkich wrzała jeszcze krew na świeże wspomnienie zamachu i kontrzamachu stanu, które przed paroma zaledwie dniami wstrząsnęły wyspą Samos, będąc lustrzanym odbiciem tego, co wydarzyło się w samych Atenach. Dowiedzieli się wszyscy, że doszło tam do obalenia demokracji. *Demos* został zastraszony aktami terroru i zabójstwami, a nowy rząd, przedstawiający się jako Czteryestu, zawładnął i zgromadzeniem, i całą społecznością, wszystkim prócz samych siebie zakazując jakiegokolwiek uczestnictwa w życiu politycznym. Flota trzęsła się od pogłosek o różnego rodzaju ekscesach: o gwałtach dokonywanych na wolnych obywatelach, o bezprawnych aresztowaniach i egzekucjach, konfiskatach majątków i unieważnieniu praw Klejstenesa i Solona. Ludzie na Samos lękali się o los swych rodzin, a także o los całego narodu, który wedle najświeższych doniesień tyrani zamierzali sprzedać wrogowi w zamian za uratowanie własnej skóry.

Teraz przeto, poruszeni powrotem Alkibiadesa,

nawoływali wszyscy do czynu i żądali krwi. Płynąć do Aten! Wyrznać autokratów! Przywrócić demokrację!

Żołnierze ciężkiej piechoty poczęli rytmicznie bić dłońmi po udach i walić stopami w ziemię; żeglarze na okrętach bębnilo w belki i deski pokładów; tupot nóg piechoty morskiej na drewnianym nabrzeżu rozchodził się potężnym echem po całej zatoce; także chłopcy i niewiasty tak się do taktu rozwrzeszczeli, że gdyby nawet kto chciał ich uciszyć, to przez nikogo nie zostałyby dosłyszane. Podniosło się dwóch *taxiarchów*; zostali zakrzyczani. Diomedon rozgrzmiał swym dudniącym głosem; bez skutku. Próbował przywrócić spokój Trazybulos, ale choć ludzie kochali go i pozwolili mu mówić, to i jemu nie udało się zapanować nad powszechnym rozgorączkowaniem. Piechota ruszyła ku składom broni. Tłum rzucił się do okrętów, jakby z zamiarem niezwłocznego wypłynięcia. Jednym głosem wzywali wszyscy Alkibiadesa: Stań na czele! Prowadź nas do domu!

Jakkolwiek co trzeźwiej myślący dowódcy oczywiście świadomi byli, że to pomysł szalony, to aż tak zawrócił on w głowach żołnierskim masom, że ani jeden z nich nie potrafił go im wyperswadować, toteż i żaden nawet się na to nie odważył. Musiał to więc uczynić Alkibiades, nie odwołując się jednak do

zaufania i szacunku, zyskanego sobie długą wspólną służbą i odniesionymi zwycięstwami, lecz w natchnieniu chwili.

„Żołnierze, jeśli popłyniemy do domu, to z pewnością bez trudu obalimy naszych wrogów i ustanowimy rząd, który będzie się stosował do naszych zachcianek i zaspokajał naszą próżność”.

Wybuchła radosna wrzawa. Gestem uspokoił ją i nakłonił tłum do słuchania.

„Ile jednakowoż zła pozostawimy za sobą tutaj? Rozważmy tę kwestię, bracia, i jeśli uznamy powrót za rozsądny, to nie minie godzina, a ja i wy postawimy żagle, by obalić uzurpatorów”.

Odpowiedziały na te słowa krzyki aprobaty i pochwały.

Alkibiades przywołał zgromadzenie do porządku słowami, którymi już wielokrotnie się posługiwał, za każdym razem odnosząc pożądany skutek. Przymusił obecnych, aby opanowali porywy swych serc, wykazując się tym, co różni wolnych ludzi od niewolników: rozsądkiem pozwalającym na refleksję i rozważenie racji. Spróbujmy postawić się, powiedział im, w położeniu naszych wrogów.

„Wyobraźmy sobie, że jesteśmy Mindarosem, spartańskim dowódcą Miletu, który się oto dowiaduje

o naszym postanowieniu, iż wracamy do domu. A pamiętajcie przy tym, przyjaciele, że zanim jeszcze zapadnie noc, znajdujący się tu pomiędzy nami szpiedzy doniosą mu, nad czym tutaj teraz debatujemy".

Następnie z chłodnym rozsądkiem pouczył Alkibiades żołnierzy o sposobnościach, jakie odwrót floty stworzyłby nieprzyjacielowi, i jak by on z nich niewątpliwie skorzystał. Uczynił to nie w tonie wodza przemawiającego do podkomendnych, lecz raczej jak oficer sztabu, który dzieli się podczas narady z kolegami swoim poglądem na temat tego, jak zakończy się nadchodząca *ekklesia*.

Jeśli Morze Egejskie pozostanie bez obrony, to nieprzyjaciel zagarnie Hellespont, odcinając tym samym dostawę zboża dla nas i dla Aten. Zajmie Lampsakos i Kyzikos. Zbuntuje się przeciw niemu Bizancjum. Zagarnie całą Jonię i zapanuje nad wszystkimi strategicznymi punktami cieśnin. Wtedy my od razu musimy zawrócić, żeby po prostu zapobiec głodowi na terytorium, któreśmy właśnie zdobyli. A co będzie tam na nas czekało? Nie, jak dziś, nieprzyjacielska flota, którą moglibyśmy pokonać, ale armia lądowa, którą musielibyśmy wyprzeć z jej umocnień.

Zaczynam zapytał Alkibiades żołnierzy, czy gotowi byłiby stawić czoło Spartanom na lądzie, i to w miejscu, które oni sami by wybrali? I gdzie to mielibyśmy wówczas ustanowić swoją bazę wypadową? Wszak pierwsze miejsce, które zdobędą Spartanie, to Samos! Ta sama wyspa, na której się właśnie znajdujemy!

Co powiedziawszy, przedstawił najgorsze następstwo wycofania się: wrażenie, jakie wywarłoby to na Persach. Jak zareagują oni, nasi dobroczyńcy, od których zależy los nas wszystkich, na to, że bez uprzedzenia odchodzimy? Czy w dalszym ciągu będą nas wówczas uważali za sojuszników, w których można pokładać zaufanie? Tissafernes uzna nas za zdradliwe żmije i sprzymierzy się ze Spartą. Będzie to musiał uczynić, choćby tylko z obawy przed ich nową potęgą, którą – jeśli my nie będziemy jej już utrzymywać w korbach – będą mogli obrócić przeciwko niemu, zadając mu klęskę.

„Pamiętajcie o jednym, bracia. Ateny możemy mieć w każdej, dowolnie przez nas wybranej chwili. Lecz Ateny to nie mury i bruki, ani nawet nie ziemia, na której stoją. Ateny to my. Ateny są tutaj, a wróg jest tam – co mówiąc, potoczył ręką po wschodzie i południu, jak gdyby ukazując okupowane miasta Jonii

oraz lacedemoński bastion w Milecie. – Przybyłem tu, by walczyć ze spartańskim i peloponeskim wrogiem, a nie z własnymi rodakami. I, na bogów, was także na tych właśnie nieprzyjaciół poprowadzę!".

Słowa te spowodowały widoczne zakłopotanie wśród żołnierzy, którzy nareszcie zdali sobie sprawę nie tylko ze swojego nierozsądku i z mądrości nowego wodza, ale też pojęli, przed jak zgubnym uchronił ich czynem. Już w pierwszej godzinie swego dowodzenia uratował państwo. Co więcej, uświadomili sobie teraz wszyscy, że w pojedynkę przeciwstawiając się im, wykazał się on nadzwyczajną odwagą, na jaką nie zdobyłby się żaden inny wódz. Miało się wrażenie, jak gdyby przez tłum przeszła jakaś potężna fala; w jednej chwili nie tylko zrozumieli wszyscy, że mają do czynienia z człowiekiem stanowczym, ale i uświadomili sobie, iż w ostatniej chwili uratował ich przed uczynieniem kroku w przepaść.

„Jeśli jednak w dalszym ciągu głos serca was do tego nawołuje, to płyńcie do domu, bracia. Ale przedtem spójrzcie na to ramię falochronu, które tutejsi żeglarze nazywają Hakiem. Ponieważ tam właśnie stanę ze swym okrętem i – przysięgam na Nike i Atenę Opiekunkę – niczym piorun uderzę w pierwszy statek, który będzie chciał koło mnie przepłynąć, a potem w

następny i w każdy za nim, dopóki mnie nie zabijecie. Kto chce pożeglować do Aten, uczyni to, ale po moim trupie".

Entuzjastyczna wrzawa, jaką powitano te słowa, jeszcze głośniejsza była niż poprzednia. Niezwłocznie wystąpił na czoło Trazybulo i rozwiązał zgromadzenie, rozkazując żołnierzom podjęcie zleconych im obowiązków, a wszystkich trierarchów i dowódców eskadr wzywając do zameldowania się w sztabie floty, który znajdował się w dawnym Domu Celnym.

Zapełnił się on teraz kadrą oficerską; kapitanowie statków, dowódcy oddziałów piechoty i piechoty morskiej tworzyli w sumie ponadczterystuosobowy tłum. Po niejakiem zamieszaniu Trazybulo, Trasylos, Alkibiades oraz *taxiarchowie* usadowili się w sali, która niegdyś służyła jako skład zarekwirowanej przez celników kontrabandy, a teraz przeznaczona została na magazyn zapasowych masztów, żagli, żeber kadłubów i wszelkiego rodzaju sprzętu potrzebnego flocie. Przemawiali jeden po drugim dowódcy, domagając się różnych rzeczy, których brakowało w ich oddziałach. Protomachos za najważniejszy ze wszystkich problemów uznał pieniądze; ludziom trzeba zapłacić, aby położyć kres pogłębiającej się już od miesięcy demoralizacji.

Lizjasz mówił o konieczności prowadzenia ćwiczeń; Erazynides o stanie okrętów; rozkrzyczeli się inni, wykazując coraz to nowe kłopoty materiałowe i ludzkie, których ilość zdawała się wręcz nieskończona, a jeden ważniejszy i pilniejszy od drugiego. W pewnej chwili Alkibiades poruszył się, ale tak nieznacznie, że prawie niezauważalnie, a jednak natychmiast zapanował porządek. Oficerowie jak jeden uciszyli się i zwrócili wzrok ku niemu; choć formalnie był tylko jednym z trzech wodzów, to sposób, w jaki zapanował nad żołnierskim zgromadzeniem, uczynił go prawdziwym głównodowodzącym.

„Zgadzam się ze wszystkim, co mówicie, bracia. Flota ma wiele, i to pilnych, braków. Jest wszakże jedna rzecz, która wagą swą przewyższa wszystkie inne i najpotrzebniejsza jest żołnierzom. Musimy im ją dać niezwłocznie i niezawodnie”.

Alkibiades przerwał, wzorem aktorów i poetów występujących na scenie czyniąc pauzę, po której z tym większą uwagą zostanie wysłuchany.

„Musimy im dać zwycięstwo”

Księga szósta

ZWYCIĘSTWO NA MORZU

29. POMIĘDZY KONIECZNOŚCIĄ A WOLNĄ WOLĄ

„Nie jest łatwo śledzić morze przed dziobem okrętu wojennego, na którym postawiono osłony przed pociskami wroga – opowiadał dalej Polemides. – Forpik zalewany jest pianą i wodą; za każdym wzniesieniem się na fali i ponownym zanurzeniem dźwigary kotwiczne dotykają powierzchni morza; okężnice burt tak niewiele ponad nią wystają i tak rozhuśtany jest pokład, że na majtka, który podnosi się, by choćby o krok tylko się przesunąć, spada grad przekleństw, gdyż nawet tak drobna i chwilowa zmiana w rozmieszczeniu ciężaru już zakłóca równowagę całego statku. Wioślarze siedzą plecami do dziobu, nic więc przed nim nie mogą zobaczyć; ci z najwyższego rzędu odruchowo śledzą poruszenia żołnierzy piechoty, starając się odgadnąć, jak wpłyną one na zachowanie okrętu.

W bitwie pod Kyzikos flagowym okrętem Alkibiadesa była »Antiope«; przejęła ona tę rolę po »Smiałym«, który zatonął pod Teos. Za sąsiada miałem wioślarza znanego jako Węgielek, acharniańskiego krajana, którego poznałem za chłopięcych lat, kiedyśmy w Lenai razem śpiewali w chórze. Był to

człek znany z wielkiego zamiłowania do jedzenia i właśnie dzielił się ze mną swoim przepisem na przygotowanie węgorza do opieczenia na rożnie. Płynęliśmy ku skrawkowi brzegu zwanemu Plantacjami, ku któremu skierowało się czterdzieści uciekających przed nami spartańskich trirem. Ich majtkowie i żołnierze, a było ich ponad osiem tysięcy, ze wszystkich sił starali się wprowadzić tę flotyllę za osłonę cypla, gdy ruszyła na nich »Antiopa« na czele dwóch eskadr, każda po szesnaście okrętów. Tak smakowita jest to ryba, wywodził Węgielek, nie przerywając wiosłowania, że nie wolno jej profanować nadmiarem ostrych ziół i przypraw; zwykła marynata z oliwy i bazylii pozwoli w pełni doświadczyć istoty jej smaku. Takiego właśnie użył określenia: istoty smaku. Weszliśmy pomiędzy falochrony. Żołnierze piechoty morskiej klęczeli przy burtach z wyłowionymi po bitwie z morza lepкими i przeżartymi solą oszczepami, ciskając je we wroga.

– Zapiszę to dla ciebie! – wrzasnął Węgielek, mając na myśli swój przepis na węgorza z rożna, i w tej chwili żelazny grot wrogiego oszczepu trafił go poniżej ucha z taką siłą, że przebił mu czaszkę i wyszedł u podstawy karku. Wypuścił z rąk wiosło i upadł.

Znajdujące się na brzegu plantacje osłonięte były murem, z którego szczytu obrońcy obrzucali gradem pocisków nasze okręty, wbijające się w przybrzeżną mulistą płyciznę. Leciały na nas kamienie, oszczepy oraz złowrogie strzałki o dwóch ostrzach, które Beoci zwą »przecinaczami orzechów«, a Spartanie »szpilami do włosów«. Dwa takie groty trafiły mnie w uda, co przyprawiło mnie o atak furii. Czyjaś dłoń gwałtem postawiła mnie na nogi.

– Co ty wyprawiasz? Szukasz szcurzej dziury?

To był Alkibiades.

Pobiegł na dziób z Timarchosem, Makonem i Ksenoklesem, którzy wraz ze mną stanowili jego ochronę. Żołnierze piechoty morskiej w zbrojach obsadzili oba kotwiczne dźwigary i wręgi dziobnie, a nawet i tarany. Na sygnał trębacza: »Do tyłu!« wiosłarze zmienili położenie stóp, wsuwając je w rzemieńne uchwyty, i w podawanym przez ich dowódcę rytmie parli wiosła przed siebie. Żołnierze już przeskakiwali przez dziób i obie burty. Alkibiades spadł do brzegu, wołając o bosaki.

Nad sobą mieliśmy Lacedemończyków wspomaganych przez piechotę Persa Farnabazosa i watahę magnezyjskich najemników, których łatwo było rozpoznać po czarnych jak atrament brodach,

rozdzielonych na dwie części i zaplecionych w warkoczyki. Znaleźliśmy się pod straszliwym ostrzałem. Na głowach mieliśmy tylko filcowe podkładki, gdyż hełmy uniemożliwiałyby nam spostrzeganie i odbijanie zmierzających ku towarzyszom grotów. Ateńczycy zaatakowali pod górę i w piasku. Z kolei Spartanie poszli do kontrataku. Dwie linie walczących starły się z sobą na całej długości brzegu. Słyszałem, jak walczący u mego boku Makon wywrzaskuje straszliwe przekleństwa. Gdzie Alkibiades?

Przedarł się w pojedynkę przez linię obrońców; widzieliśmy, jak biegnie pod górę pochyłości, będącej ziemią niczyją pomiędzy Spartanami a ich wpartymi w brzeg okrętami. Nikt nie dowie się, co to prawdziwa, szalona wściekłość, dopóki nie przyjdzie mu chronić takiego jak on męża przed jego własną bitewną zapalczywością. Alkibiades także nie miał hełmu, a uzbrojony był tylko w topór i w tarczę. Dopadłszy do pierwszego okrętu, zaczepił o burtę swój bosak. Dwaj obrońcy usiłowali wyrwać hak; pierwszemu zadał tarczą straszliwy cios w głowę, drugiego ciął po łydkach toporem, po czym zaczął jego ostrzem rąbać drewno dziobu. Żeby go skutecznie chronić, musieliśmy się z nim zrównać. Straszna to rzecz bronić

kogoś przed oszczepem, zwłaszcza gdy obrońcy przyjdzie z własnego ciała uczynić tarczę, by go zasłonić przed ciosem. Nigdy nikogo nie obrzuciłem takimi wyzwiskami, jak wtedy naszego wodza; plułem na niego i tłukłem kamieniami; to samo czynili inni, on jednak nawet się w tym nie spostrzegł.

Trzy i pół roku później, przed Bizancjum, uczestniczyłem w całonocnej pijatyce. Ktoś postawił pytanie:

– W jaki sposób wódz może przewodzić wolnym ludziom?

– Będąc od nich lepszym – odparł od razu Alkibiades.

Wszyscy obecni zaśmiali się na to, nawet nasi polemarchowie, Trazybulos i Teramenes.

– Będąc od nich lepszym – powtórzył Alkibiades – i tym samym zmuszając ich, aby mu dorównali.

Był pijany, ale stan ten zwykł się u niego objawiać jedynie skłonnością do zabierania głosu na tematy szczególnie bliskie jego sercu.

– Będąc jeszcze niespełna dwudziestoletnim młodzieńcem – mówił dalej – służyłem w piechocie. Wśród moich ówczesnych towarzyszy był między innymi Sokrates, syn Sofroniskosa. W jednej z bitew nieprzyjaciel odparł nas i sam zaczął nacierać na nasze

pozycje. Byłem straszliwie przerażony i gotowałem się do ucieczki. Kiedy jednak spojrzałem na niego, o tyle starszego ode mnie, że już mu siwizna prószyła brodę, i zobaczyłem, jak trwa w szeregu, zaparty w ziemię, dzierżąc mocno wielką tarczę na wysokości barku, ogarnął mnie nagle wielką falą *eros*, pragnienie życia. Poczulem się zmuszony do tego, by zapomniawszy o lęku, stać u jego ramienia. Rolą dowódcy jest przedstawianie swym podkomendnym obrazu *avete*, doskonałości. Nie trzeba ich siłą przymuszać do odwagi; trzeba im tę odwagę ukazać. Sama ludzka natura zmusi ich wówczas do wysiłku, aby dorównać dowódcy.

Na całej szerokości plaży Ateńczycy rzucili się na wroga z toporami i bosakami w dłoniach. Pod przewodem Alkibiadesa ściągnęliśmy z brzegu pierwszy, a potem drugi i następny jeszcze okręt. Żołnierze Mindarosa walczyli tak, jak nie biliby się pod żadną inną niż spartańska komendą; trwali na pozycjach, nawet gdy nadbiegła druga fala Ateńczyków na czele z Teramenesem, a i wtedy jeszcze, gdy do ataku przyłączyła się konnica pod dowództwem Trazybulosa, zwanego Cegłą. Alkibiades trzykrotnie padał na ziemię, starając się dopaść Mindarosa, którego w końcu zmogły dopiero

odniesione rany. Kiedy już złamały się szyki nieprzyjaciół, którzy rzucili się do ucieczki, Alkibiades gonił ich z całą zawziętością, a za nim pędzili jego żołnierze. Wreszcie upadł, a wówczas rzucili się ku niemu wszyscy i podnieśli go, przerażeni, że ich wodza trafiła nieprzyjacielska strzała. Okazało się jednak, że padł z nóg na skutek doszczętnego wyczerpania. Ja, który jeszcze tak niewiele lat przedtem życzyłem mu piekielnych mąk, w tamtej chwili, podobnie jak wszyscy moi towarzysze, nie pamiętałem mu już żadnych zbrodni, a nawet nie obwiniałem go za śmierć mego brata. Wszystko to zbladło wobec tego gorejącego płomienia, który potrafił rozpalić w duszy narodu i poprowadzić go do zwycięstwa.

Jeśli raz jeszcze nawiążę do owej wcześniejszej bitwy morskiej, to nie po to, aby go wychwalać, bo żadnych mu pochwał za nią nie trzeba, lecz by ukazać przykład wojownika i jego iście lwiej odwagi, z którą się w życiu spotykamy równie rzadko, jak ze smokami i centaurami.

Zatrzasnęła się morska pułapka: zgodnie z powziętym przez Alkibiadesa planem czterdzieści jego trirem rozwinęło się z szyku liniowego i dopiero teraz nieprzyjaciel pojął, że popełnił błąd, śląc w pościg sześćdziesiąt swoich okrętów w przekonaniu, że to cała

ateńska flota. Jednostki na Samos miały tak świetne ateńskie załogi, że nawet uciekając, czy – jak w tym przypadku – udając ucieczkę, utrzymywały taką dyscyplinę, iż sternicy wręcz zmuszeni byli ryczeć na wiosłarzy, żeby nie tak równo wiosłowali, gdyż nie widać było po nich popłochu. Sternikiem Alkibiadesa był Antiochos. Na jego sygnał okręty zawróciły, posługując się wyćwiczoną na Samos techniką anastrofy, czyli »kontrmarszu«, kiedy to nie wszystkie okręty zawracają jednocześnie, tak że ostatnie ich linie stają się czołowymi, ale w tej samej kolejności, jak czynią to na wyścigach rydwany, okrążając słup na półmetku. Sam Alkibiades tak postanowił, by demonstrując ten trudny manewr, wyprowadzić z równowagi wroga, który nagle uświadomi sobie, że dał się wywieść w pole i będzie teraz musiał za to zapłacić.

Z kolei trójpokładowce Trazybulosa zaatakowały spartańską flotyllę od tyłu. Wyłynęły z ukrycia za wzniesieniem cypla w czterech kolumnach po dwanaście w każdej, a wiosłarze, jak mówi o tym żeglarska pieśń, ciągnęli za wszystkie drewno, jakim rozporządzali, włącznie z rydłem sternika. Odcięli Mindarosa od zatoki. Jednocześnie wyłynęło z ukrycia trzydzieści sześć okrętów Teramenesa, blokując Spartanom drogę ucieczki na północ.

Alkibiades krzyczał do nas, aby mu zdobyć banderę Mindarosa, obiecując dużą sumę temu, który ją wypatrzy.

Spartańskie okręty popłynęły ku oddalonemu o dziesięć stadionów brzegowi. Eskadry pod dowództwem Alkibiadesa ścigały je od skrzydła, żeby się wysforować przed najdalej wysunięty statek nieprzyjaciela. Okazał się nim okręt dowódcy eskadry, który ujrzał admiralską flagę »Antiopy« i zdecydował się na pojedynek. Zawrócił i ominąwszy dwa swoje okręty, na których zawiedli wiosłarze, natarł na nas. Antiochos uniknął tego ataku, przechodząc za jego rufą z taką szybkością, że sternik wroga, całkowicie skupiony na zderzeniu, dopiero poniewczasie zobaczył, iż gna na dwa własne okręty, których wiosłarze rozpaczliwie próbują mu zejść z drogi. Antiochos niemal bez trudu je przedziurawił, kiedy jednak dogonił trzeciego uciekiniera, trafił go w śródkręcie i taran »Antiopy« uwiązał w burcie; rozped nieprzyjaciela sprawił, że oba okręty zderzyły się z kolei burtami, czemu towarzyszył trzask łamanych wiosel. Spartańscy żołnierze zaczęli nas bombardować wszystkim, co im wpadło w ręce. Nasi zaczęli się kryć, gdzie kto mógł przed zasypującymi pokład »Antiopy« pociskami. Usłyszałem czyjś potężny ryk i spojrzałem

w stronę, z której mnie dobiegł. Zobaczyłem Alkibiadesa, który nie zważając na nic, stał wyprostowany i wypatrywał uciekającego dowódcy Spartan, krzycząc:

– Mindarosie! Mindarosie!

Jest na równinie Makestos grobla, która służy nawadnianiu pól, i przepędzeni z brzegu Spartanie uciekali w jej kierunku. Tam w zapadającym zmroku ich piechota stawiała nam nader waleczny opór, w którym wspierała ją zbiegła z Daskylium gwardia Farnabazosa. Bitwa toczyła się na szerokości kół furgonu, gdyż wokół rozlewało się błoto, ponieważ nieprzyjaciel otworzył śluzę, aby uniemożliwić Ateńczykom przedarcie się szerszym frontem. Konie zapadły się w tę maź po same brzuchy; część siedzących na ich grzbietach jeźdźców już była martwa lub umierająca, a który koń utrzymał się na nogach, ten grzązł w trzęsawisku.

Przygalopował prosto z brzegu do tego bitewnego korka Alkibiades. Trzy szwadrony naszej jazdy i ponad tysiąc piechoty utknęło na złączeniu grobli. Przed nimi ukazała się już nadciągająca jazda nieprzyjaciela, a za nimi chmary lekkiej piechoty i ochotniczej milicji; uzbrojeni w widły i grabie wieśniacy pędzeni byli do ataku biczami swoich panów. Gdyby nie udało się nam

przebić, to zostalibyśmy przez nich zagarnięci. Istniała wprawdzie możliwość przedarcia się rowami po wschodniej i zachodniej stronie, lecz nie było już na to czasu, wystarczyłby bowiem tuzin ich żołnierzy, żeby nas zatrzymać; jeśli tylko zdołaliby pierwsi dobiec do połączenia grobli, nie byłoby już dla nas żadnego odwrotu.

Alkibiades dosiadał klaczy zwanej Musztardą; należała ona do Agasiklesa, adiutanta Trazybulosa, który zginął na okręcie. Koń umie sobie znaleźć drogę przez takie jak tam bagnisko, pod warunkiem wszakże, że jeździec zostawi mu swobodę wyboru. Alkibiades poluzował wodze Musztardy i zwoławszy do siebie jeszcze około czterdziestu konnych i dwustu piechoty, zaczął się przeprowadzać. Klacz wybrała drogę o pięć stadionów krótszą od tej, jakiej by trzeba, żeby okrążyć rozlewisko, i wyprowadziła naszych ubłoconych żołnierzy na nieprzyjacielskie tyły. Alkibiades poprowadził atak na spartańską piechotę, zabijając jej dowódcę, Amomfaretosa, syna Polidamosa, rycerza i zwycięzcę na igrzyskach w Nemei.

Jeśli udałbyś się do ateńskiego Euryzacjonu, to jeszcze dziś na lewo od wejścia ujrzałbyś wspaniałą, choć nie większą od męskiej dłoni rzeźbę bojowego konia z następującą dedykacją:

Ja prowadziłam, za mną poszło Zwycięstwo.

Tego popołudnia zabity został Mindaros, niezrównany spartański wódz. Z dziewięćdziesięciu okrętów, które liczyła flota Spartan, pięćdziesiąt osiem zostało zatopionych, a dwadzieścia dziewięć zdobytych. Na równinie Makestos przegrane zostały przez Trazybulosa i Alkibiadesa wojska Lacedemonu i Peloponezu, wspierane przez najemników i perską konnicę. Wieczorem następnego dnia Alkibiades był już panem Kyzikosu i zatrudniał woźniców do przewozu kontrybucji wojennych w gotówce, a w ciągu następnych dwudziestu dni objął władzę także na Perintosie i Selymbrii, jeszcze więcej zbierając pieniędzy i fortyfikując Chryzopolis, żeby zapanować nad cieśniną i pobierać dziesięcinę od każdego przepływającego nią statku, które to zyski przeznaczył na odbudowę floty. A oto jaką przejęliśmy depezę spartańskich niedobitków wysłaną do domu:

Okręty zatopione, Mindaros zabity, ludzie głodują. Nie wiemy, co robić.

Nie muszę ci, Jazonie, wyliczać wszystkich zwycięstw Alkibiadesa. Sam w nich uczestniczyłeś. Zostałeś odznaczony za męstwo pod Abydos i dobrze sobie na to odznaczenie zasłużyłeś. Czy wiedziałeś, że to właśnie ja wysłałem tekst twojej pochwały? Był to

w owym czasie jeden z moich obowiązków. Widzę, że się rumienisz; nie będę cię więcej wprowadzał tym wspomnieniem w zakłopotanie, choć tekst ów do dziś słowo w słowo pamiętam.

Młodym żołnierzom i żeglarzom floty, dla których zwycięstwa pod wodzą Trazybulosa i Alkibiadesa stanowiły całe wojenne doświadczenie, tak nadzwyczajne powodzenia zdawały się po prostu zasłużonym owocem ich wybitności i właściwej Ateńczykom bystrości umysłu. Dla tych jednakowoż z naszego pokolenia, którzyśmy sobie łamali zęby na zarazie i klęsce, przeżycie takiego ciągu zwycięstw, i to tak szybko po sobie następujących, było niczym upojny sen. Nie masz lepszego lekarstwa nad triumf, mówi przysłowie. Choć więc ci z nas, którzy nosili blizny po Syrakuzach, początkowo nie dowierzali naszym wodzom całkowicie, to w miarę jak powiększała się liczba wygranych bitew – Suczy Grobowiec, Abydos, Metymna, Zatoka Błazeńskiej Czapeczki, Kladzomenaj, Płycizny, Chios, Zatoczka Dziewięciu Mil, drugie Chios i Eretria, obie tego samego dnia – także i my zaczęliśmy wierzyć, w co młodzi wierzyli od samego początku, że ciąg ten nie był bynajmniej skutkiem dopisującego nam szczęścia, lecz że nareszcie zjednoczone pod wspólnym

sztandarem Ateny rozporządzały takimi okrętami, załogami i dowódcami, że z wyjątkiem ataku samych synów Ziemi, którzy by wyszli z Tartaru, byliśmy niezwyciężeni.

Działy się rzeczy o historycznym znaczeniu; nawet ślepiec by to spostrzegł. Spełniając ostatnie życzenie Lwa, wyrażone w kamieniołomie, zająłem się wzbogacaniem jego kroniki, a przynajmniej przechowywaniem w moim żeglarskim kufierku dokumentów, wyobrażając sobie, jak to pewnego dnia, kiedy już wystąpię ze służby, opracuję je i wydam pod imieniem mego brata. Tak nawet byłem w tej pracy pilny, że czyniłem notatki i rysowałem szkice terenowe. Dopiero później zdałem sobie sprawę z tego, że opowiadanie o poszczególnych akcjach bojowych i zastosowanej taktyce wcale nie jest tym, co by mnie czy kogokolwiek innego interesowało.

Prawdziwie dla nas ważne było nie to, co czynił nasz wódz, lecz jak to czynił. Jasne się dla nas stało, że rozporządza on jakąś szczególną siłą, której inni w żadnej mierze nie posiadali. Jakkolwiek zdarzało się niekiedy, że dysponował on znaczną przewagą nad przeciwnikiem, to nigdy jej w istocie nie potrzebował, aby odnieść zwycięstwo. Zawsze odznaczał się łaskawością wobec pokonanych i nie szukał pomsty na

tych, którzy poczynili mu szkody. Postępował tak nie z pobudek sentymentalnych bądź altruistycznych, lecz dlatego, iż uważał takie zachowania za nieszlachetne i nieeleganckie. Oto jego list do Tissafernesa, którego zwał swoim przyjacielem nawet po niesławnym aresztowaniu w Sardes i po tym, jak Pers wyznaczył za jego głowę nagrodę w wysokości dziesięciu tysięcy darejków:

...to nie posiadanie siły decyduje o zwycięstwie, lecz jej okazanie. Skuteczny wódz nie posługuje się armiami, a postrzeganiem sytuacji.

A w następnym akapicie:

...celem zdyscyplinowanych manewrów podczas bitwy jest stworzenie w umyśle przyjaciela przekonania, że nie może przegrać, a w umyśle wroga – pewności, że nie może wygrać. Porządek w szeregach to najważniejsza z tego punktu widzenia rzecz.

Alkibiades miał straszliwe kłopoty z ortografią. Im dłużej w noc pracował, tym bardziej się te trudności pogłębiały, toteż potrafił zbudzić każdego, kogo miał pod ręką, żeby na przykład zapytać:

– Cegła, zbudź się. Powiedz mi, jak się pisze *epiteichismos*! Jego przekleństwem było przestawianie kolejności liter; sekretarze jego żartowali, że wódz

sepleni także na piśmie. Skutek tego był taki, że wielokroć wyrzucał do połowy zaledwie napisane listy, które następnie trafiały do śmieci, a stamtąd do mojego kuferka.

W piśmie wysłanym do Aten, a zaadresowanym do jego wielkiego wroga, Anitosa, lecz pisanym z myślą o rozpowszechnianiu go wśród klubów politycznych, które pozostawały pod jego wpływem, Alkibiades próbował rozwiązać obawy tych, którzy swymi oskarżeniami przyczynili się do jego wygnania, że mianowicie wróciwszy na czele zwycięskiej floty, weźmie na nich pomstę.

...moi wrogowie oskarżają mnie o próby narzucania swej woli w poszczególnych sprawach z chęci sławy lub bogactwa albo jak ci, którzy przyznają mi miano patrioty, w imię dobra kraju. To błędne przypuszczenie. Odkąd tylko przestałem być chłopcem, nie wierzę w wolę jednostki. Zawsze próbowałem przystosować się do dyktatu Konieczności. To jedyna bogini, którą czczę, a przekonany jestem, że żadnych innych bogów prócz niej nie ma. Człowiek skazany jest na dokonywanie wyborów na skrzyżowaniu Konieczności i wolnej woli. Tym, co wyróżnia mężów stanu, takich jak Temistokles i Perykles, jest ich zdolność dostrzegania

owych dyktatów Konieczności wcześniej od innych; Temistokles pierwszy uświadomił sobie, że Ateny muszą się stać potęgą morską, a Perykles, że przewaga na morzu doprowadzi do stworzenia imperium. Takie właśnie zgodne z Koniecznością postępowanie zarówno jednostek, jak i narodów musi dowieść swej niezawodności. A przy tym Konieczność jest jak gra na szachownicy: kiedy jedno rozwiązanie zostało zastosowane, pojawia się obowiązek obmyślenia następnego. Przebieg mojej kariery wypaczyło to, że licząc się z Koniecznością, nie potrafiłem przekonać moich rodaków, iż trzeba działać pod jej dyktando. Co do ciebie, panie, tę mam nadzieję, że potrafimy postępować jak dojrzały politycy...

A oto słowa Trazybulosa skierowane do Teramenesa, poirytowanego tym, że jego gwiazda blednie w słońcu, którym stał się Alkibiades:

...przekonałem się, że wielce użyteczne jest traktowanie go nie tyle jako człowieka, ile jako zjawisko natury. Moją jedyną troską są Ateny. Sprowadziłem go z wygnania, kładąc tym samym głowę na pieńku kata, świadom, iż przeciwstawić się na morzu potężniejszemu nieprzyjacielowi można z pomocą wielkiej burzy, a sprostowanie mu na lądzie wymaga wielkiego trzęsienia ziemi.

I urywek z tego samego listu:

...pamiętaj, przyjacielu, że sam Alkibiades nie do końca pojmuje swój dar i tyleż się nim posługuje, ile jest jego poddanym. Jakkolwiek możesz to odczuwać jako irytujące, to jego poczucie wyższości jest dla niego prawdą obiektywną. Jest lepszy od innych; czemuż by więc to skrywać? W jego mniemaniu byłaby to hipokryzja, a co trzeba mu przyznać, to, iż jest najbardziej szczerym z ludzi.

Jeszcze jeden:

...choć jego wrogowie przedstawiają go jako wielce zdradliwą postać, to w rzeczywistości jest on niezdolny do zdrady i oszustwa, a o wszystkim, co kiedykolwiek uczynił, zawsze uprzedzał zarówno swych wrogów, jak i przyjaciół.

Ludzie kochali Trazybulosa oraz bali się i szanowali Teramenesa, jednakże Alkibiadesa tulili do swych serc z gorącą troskliwością jak czarodziejskie dziecko. Czy zjadł? Czy spał? Po pięćdziesiąt razy dziennie majtkowie i żołnierze piechoty morskiej podchodzili do mnie z pytaniem o samopoczucie wodza, jak gdyby był on jakąś lampą czarodzieja, oni zaś bali się, że zazdrosne niebiosa ją zdmuchną. W naszej grupie kwestia ochrony Alkibiadesa stała wręcz na głowie, bo osłanialiśmy go już nie przed

wrogami, ale przed nadmierną miłością jego podkomendnych i przed nie kończącym się nachodzeniem go przez pochlebców i zatroskanych obrońców, którzy dniem i nocą nie dawali mu spokoju.

Były też niewiasty, których narzucał mu się cały tłum. I to nie tylko hetery czy zwykłe kurwy, lecz także wolne obywatelki, panny i wdowy, i siostry przedstawiane mu przez swych braci. Niejeden raz zdarzyło się, że zmuszony byłem przeganiać kogoś, kto mu rajfurzył własną matkę. A co ona na to? »A ty sam nie byłbyś zainteresowany?^ Jego oficerowie pieprzyli jak szaleni, korzystając z usług tych kobiet, które nie przedostały się do dowódcy.

Co się tyczy samego Alkibiadesa, to jego apetyty w tej dziedzinie przygasły. Nie trzeba mu już było porubstwa; był zwycięzcą. Zmienił się. Otoczyła go aura pewnej skromności, tak jak jego ramiona otaczał zwykły żołnierski płaszcz, wyróżniający się jedynie złotą broszą, która go spinała. Stał się nowym Alkibiadesem i sam się sobie w tej nowej postaci spodobał. Nigdy nie widziałem nikogo, kto tak by się radował ze zwycięstw swoich towarzyszy, tak był wyzbyty z zawiści, nawet – a może zwłaszcza – w stosunku do tych, których można było uważać za jego rywali, Trazybulosa i Teramenesa. Kiedy

zaproprowano mu w Sestos willę, odmówił, nie chcąc, by jej mieszkańcy zmuszeni byli się wyprowadzić, po czym dalej kwaterował w namiocie obok swego okrętu, nie zgadzając się nawet na położenie w nim podłogi, dopóki cieśle z własnej inicjatywy jej nie zrobili, korzystając z tego, że wypłynął z flotą. Stał się, jeśli nie skąpy, to z pewnością oszczędny. Żył tylko dla swoich żołnierzy i poświęcał im każdą chwilę.

Wspomniałem o jego listach; wysyłał ich po sto dziennie. Zajęte tym były całe wachty, a sekretarze zmieniali się, bywało nieraz, że przez całą noc i dzień, i jeszcze późno w następną noc. Pracował nad stworzeniem koalicji, z dnia na dzień rozbudowując swoje wpływy i zyskując zwolenników.

– Jak ty to wytrzymujesz? – spytałem go kiedyś.

– Co niby takiego wytrzymuję? – odpowiedział mi zdziwionym pytaniem.

Uwielbiał to. Dla niego owe listy nie były zajęciem, lecz ludźmi samymi; stanowiły dlań jakby symfonię, którą nareszcie może dyrygować.

Były też innego rodzaju listy, w istocie najważniejsze dla niego. Dyktował je późnym wieczorem lub spisywał własnoręcznie. To były listy do wdów, odznaczenia dla okaleczonych i zabitych;

dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści dziennie. Jeśli odznaczony żył, to osobiście kierował do niego takie pismo, jednakże równie często wysyłał je do ojca, matki lub żony żołnierza, który nawet nie wiedział, że został tak wyróżniony. Wyobrażasz sobie, Jazonie, z jaką dumą i ulgą przyjmowane były te przesyłki przez rodziny, które dręczyła obawa o mężów i synów? Całkiem sporo tych synów spotkałem w następnych latach; wciąż przechowywali te pamiątki w skarbcach, wyjmując je z uszanowaniem i głośno odczytując, by ich dzieci i wnuki dowiedziały się o męstwie swych przodków.

Kiedy chciał Alkibiades uhonorować jakiegoś oficera floty, to wysyłał mu mięso lub wino, dołączając do tego swoje gratulacje. Innych wyróżniał, zapraszając ich do swojego stołu. Tych jednakowoż, których chciał wyróżnić najbardziej, nie obdarzał podarunkami, ale najcięższymi zadaniami bojowymi; przydzielał ich do najniebezpieczniejszych akcji, mówiąc przy tym, że na takie misje wysyła poruczników, którzy wracają z nich kapitanami.

– We wszystkim, co robi – zauważył kiedyś Endiusz – jest polityka.

Dowodził nie rozkazami, lecz własnym przykładem. Zamiast polecać dowódcom wzmożenie

ćwiczeń na morzu, brał z sobą swoją flotyllę i rozpoczął te ćwiczenia. Wszystkie manewry i czynności, które chciał wdrożyć do praktyki floty, jego własne eskadry opanowywały pierwsze. Jeśli chciał, aby flota przekroczyła jakąś granicę dzielności czy umiejętności, to najpierw uczył tego własnych ludzi. Nie miał nawet przy tym w zwyczaju zapowiadać oficerom pobudki przed świtem; po prostu kapitanowie okrętów obudziwszy się, stwierdzali, że ich okręty są już na morzu i ćwiczą.

Oto, co pisał do swego przyjaciela, dowódcy eskadry Adajmantosa:

...jeśli już musisz w stosunku do swego podkomendnego zastosować siłę, to staraj się używać jej jak najmniej. Gdybym ci rozkazał: »Bierz tę tarczę«, przystawiając ci ostrze miecza do pleców, to byś posłuchał, ale w istocie nie byłby to twój własny czyn. Uniewinniłbyś się sam wobec siebie, mówiąc: »Zmusił mnie do tego, nie dając mi żadnego wyboru«. Jeśli bym ci jednak tylko wykonanie tej czynności zasugerował, ty zaś byś mnie posłuchał, to wziąłbyś za nią odpowiedzialność, a wzięwszy ją – obstawałbyś przy jej wykonaniu.

Potem, kiedy zdobywał Bizancjum, oblężenie odbywało się, jeśli można użyć takiego określenia, w

pogodnej tonacji. Wojsko przystąpiło do niego z pełną wolą, bez symulowania chorób i narzekań, a nawet i nieprzyjaciel w chwili kapitulacji nie wydał się nam przygnębiony, lecz pewny siebie i z optymizmem patrzący w przyszłość.

Właściwym sposobem zdobywania miasta jest postawienie nieprzyjaciela wobec takiego i tak przedstawionego wyboru, aby nakłonić go do kapitulacji lub do sojuszu nie siłą, lecz w rezultacie jego własnej woli. Tak powziętej decyzji nie będzie mógł się wyrzec później, gdy będziemy chcieli od tego nowego sojusznika, by stanął u naszego boku do walki.

Podczas planowania kampanii przed Kyzikos, kiedy Teramenes przedstawił dowództwu błyskotliwy plan przynęty i wycofywania się, tak by w rezultacie wróg znalazł się odcięty ze wszystkich stron, Alkibiades zaaprobował tę taktykę, z jedną wszakże zmianą: aby pozostawić nieprzyjacielowi jakąś drogę wyjścia z sytuacji.

– Nie tak, aby mógł uciec, lecz by próbując, wiedział, że okaże się tchórzem. A wtedy nie tylko zniszczymy jego armię, ale złamiemy jego ducha tak, że nie poważy się ponownie stanąć przeciw nam do walki.

Podobne było jego podejście do utrzymywania we

flocie dyscypliny. Nigdy nie skazał nikogo na chłostę, lecz tylko na pozbawienie go kontaktu z dotychczasowymi towarzyszami. Taka kara nie łamała ducha owego żołnierza, a za to dopingowała go do powrotu do macierzystej kompanii ze zdwojoną energią i motywacją. Jeśli ktoś po raz drugi popełnił to samo wykroczenie, odsyłany był na tyły, pomiędzy tabory i tchórzów. Takim sposobem uczynił Alkibiades tę karę swoistym, haniebnym pręgierzem.

Uczestniczyłem w kilku kampaniach u boku młodszego Peryklesa, który był wówczas dowódcą eskadry i już zdążył się wyróżnić. Był całkowicie oddany wodzowi.

– Rzecz w przeciętniactwie, Pommo. Alkibiades w całości je wyplenił. Ludzie woleliby umrzeć, niż nie osiągnąć wyznaczonego sobie celu. Pamiętasz wieczór, kiedy postanowiliśmy przemilczeć sprawę sondowania głębokości pod Elajosem? Zdawałem mu raport, starając się robić dobrą minę do złej gry. Nie skomentował tego ani jednym słowem. Wystarczył sposób, w jaki na mnie spozrzał. Na bogów, od tej pory wolałbym zostać wychłostany, niż jeszcze raz sprzeniewierzyć się flocie. Bo to jego spojrzenie powiedziało mi: »Tyle się po tobie spodziewałem, Peryklesie, a ty mnie zawiodłeś^

Następstwem zasady o stosowaniu minimalnej siły była zasada o minimalnym nadzorze. Kiedy Alkibiades wydawał jakiemuś dowódcy rozkaz bojowy, wskazywał jedynie cel danej akcji, sposób jej przeprowadzenia pozostawiając już samemu temu oficerowi. Im niebezpieczniejsze było zadanie, tym mniej formalny charakter miał rozkaz. Nigdy nie zdarzyło mi się zobaczyć, by Alkibiades wydał jakieś polecenie zza stołu w swym namiocie.

Wydając rozkaz, zawsze zleć podwładnemu więcej, niż jemu samemu zdaje się, że potrafi wykonać. Daj mu szansę stanięcia na wysokości zadania. Tym sposobem zmusisz go do znajdowania nowych środków i sił, zarówno w sobie samym, jak i w tych, którymi dowodzi, co w rezultacie wzbogaci możliwości ich wszystkich, zarazem wszystkich podporządkowując wymogom przewidywanego ryzyka i ewentualnej chwały.

I jeszcze jeden fragment z listu do Adajmantosa:

Tak jak staramy się, aby nasi wrogowie mieli świadomość poniesionej w walce z nami porażki, starajmy się też, aby nasi przyjaciele mieli świadomość swych zwycięstw. Im mniej narzuciłeś komuś, kto odnosi sukces, tym bardziej zapada mu ten sukces w duszę. Pamiętaj, że tylko dwoma sposobami możemy

wzmocnić naszą flotę: albo znajdując do niej lepszych ludzi, albo lepszymi czyniąc tych, których mamy. Nawet gdyby ten pierwszy sposób był wykonalny, to bym nim wzgardził, albowiem najemnik może się następnie wynająć innemu panu, podczas gdy ten, który czuje się swym własnym panem, pozostanie na zawsze lojalny.

Służył na »Mnemozyne« wioślarz imieniem Lizykles, który nie umiał pływać. Jego towarzysze próbowali go tego nauczyć wszystkimi możliwymi sposobami, lecz bezskutecznie. Alkibiades dowiedziawszy się o tym, udał się do niego i poprowadził go w morze, na jakieś pięćdziesiąt kroków od stojącej na kotwicy »Mnemozyne«. Był to widok zgoła nadzwyczajny: setki ludzi się temu przyglądało. Przez parę chwil Alkibiades przemawiał do majtka, który następnie zamknął oczy i skoczył w fale, za co nagrodzony został wielką owacją na brzegu.

Co takiego powiedział wódz Lizyklesowi?

– Zapewnił mnie, że potrafię to zrobić i sprawił, że mu uwierzyłem.

Kiedy »Panegiris« i »Atalanta« zostały uszkodzone w Zatoce Osiemdziesięciu Stadionów, ich trierarchowie, obwiniając się o to, popadli w wielkie przygnębienie. Alkibiades wezwał ich obu do swego

namiotu, zdjął z siebie odzienie i polecił im przysiąść się swoim licznym bliźnim.

– Jeśli o mnie chodzi, to wolę mieć żołnierza, który bił się z wrogiem i odniósł w bitwach rany, niż wszystkich tych opalonych i nieskazitelnych oficerów, którzy paradują na regatach. Kapitana bez bliźni mogę znaleźć wszędzie. Ale gdzie znajdę tak dzielnych ludzi jak wy i wasze załogi?

Kiedy Perykles i jego oficerowie zwrócili się do niego z prośbą o dodatkowe okręty, Alkibiades odpisał im:

Nigdy nie zapominajcie, przyjaciele, że dowodzicie Ateńczykami i że te cechy, dzięki którym naród nasz stał się wielki, są niewzruszalne. Śmiałość i bystrość umysłu, zdolność dostosowywania się do warunków i potęga ducha. Włóżcie je dla mnie do banku, a ja wam wtedy dostarczę wszystkie okręty, jakich wam potrzeba.

Tak jak karał ludzi, odsuwając ich od siebie, nagradzał ich przystępem. Uwielbiał mieć wokół siebie swych oficerów, zwłaszcza późno w nocy, gdy jeszcze pracował.

– Zapamiętajcie sobie, przyjaciele, że osobisty do was dostęp stanowi dla ludzi niżej położonych w hierarchii potężny bodziec. Uśmiech, przyjazne słowo,

użycie przydomka na dowód uczucia, jakim kogoś darzycie. Wspomnijcie, jak to będąc chłopczykami, dumni byliśmy, gdy ojcowie brali nas na kolana. Nawet i teraz zaproszenie na obiad do dowódcy natychmiast umniejsza w waszych umysłach trud wszystkich ciężkich godzin spędzonych na żegludze pod wiatr. Nie odgradzajcie się od swoich podwładnych. Uwagi waszej nie uda się nikomu zdobyć za pieniądze i ludzie to wiedzą.

Uczył swoich kapitanów, aby myśleli w kategoriach eskadr i flotylli, a nie pojedynczych okrętów, nigdy nie zapominając o flocie jako całości: o rozmieszczeniu poszczególnych eskadr, o tym, jak szybko mogą postawić żagle i jak szybko im samym udałoby się do nich dotrzeć, gdyby potrzebna była ich pomoc. Reagował zgoła furią na doniesienia o jednostkach, które wysunęły się z ustalonego szyku. Sformułowanie »ze wsparciem dla« bardzo często pojawiało się w jego rozkazach. Przy każdym planie operacyjnym jego pierwszym pytaniem było: »Kto płynie ze wsparciem?«.

Podczas natarcia wymagał, aby okręty płynęły »ostrzem w ostrze«, każdy bowiem będzie wówczas czerpał otuchę z bliskości sąsiadów. Na morzu nakazywał, żeby światła sygnałowe paliły się przez

całą dobę, gdyż ich widok umacniał w załogach poczucie, że wszystkie okręty tworzą jedność. Zakazał selekcjonowania ofiar walki; każdy ranny musi wrócić do domu wraz ze swoimi towarzyszami, nawet jeśli pokład będzie zastawiony noszami, a krew będzie ściekała na grzbiety wioślarzy. Każdy musi mieć pewność, że nigdy nie zostanie porzucony, gdyż zabiorą go z sobą jego towarzysze.

– Żaden żołnierz nie boi się śmierci bardziej niż ten, który walczy na morzu, bo piechociarz wie, że jeśli padnie, to kości odda ziemi, z której potem będą mogły być wydobyte, podczas gdy żeglarz ginie bez śladu w bezlitosnych odmętach.

Oto, co napisał do Peryklesa młodszego, gdy dowiedział się, że wybuchnął straszliwym gniewem na jednego ze swoich wioślarzy:

Żołnierz piechoty może walczyć bez swego dowódcy i bez niego uciekać. Żeglarz wszelako idzie do bitwy przywiązany do swego kapitana i wiedząc, że nic go nie oddziela od piekła oprócz wiary w tego dowódcę i paru centymetrów drewna.

Alkibiades bezustannie ćwiczył swą flotę w sztuce prezentowania się nieprzyjacielowi: aby niewiele zdawało się mnogością, a mnogość sprawiała wrażenie znikomości. Uczył korzystania z cypli i wyniosłości do

ukrywania naszej obecności i liczebności. Przygotował ludzi do walki w każdych warunkach pogodowych, jako że burze i szkwały nie tylko zakrywały okręty przed wzrokiem wroga, ale i potęgowały w nim wrażenie grozy, której się łatwiej poddawał. W wielkiej bitwie pod Kyzikos jako zasłonę wykorzystał ulewę, której już od miesięcy się spodziewał, ponieważ wcześniej zdobyta wiedza o tym terenie pozwoliła mu przypuszczać, że o tej porze roku i o tej godzinie będzie mógł liczyć na taką właśnie pogodę.

Przed jego nastaniem wojsko nie było jednolite, dzieląc się wedle specjalności; oba rodzaje piechoty gardziły *nautai*, górnicy wioślarze mieli za nic dolnych, a konnica miała się za lepszą od wszystkich. Alkibiades doprowadził do zatarcia się tych podziałów, a przyczyniły się do tego nie kary, lecz poczucie wspólnie zdobytej chwały. Później, kiedy Trazybulos wyszedł z Aten z tysiącem ciężkiej piechoty i pięcioma tysiącami żeglarzy wyszkolonych na oszczepników, wszelako doznał porażki pod Efezem, ludzie Alkibiadesa nie chcieli przybyszów wpuszczać na teren swojego obozu; ci, którzy nigdy nie zostali pobici, pogardzali własnymi rodakami, gdyż pozwolili oni, by nieprzyjaciel zatriumfował, przyczyniając im wielkiego wstydu. Alkibiades i z tym sobie poradził,

rzucając ich ramię w ramię do walki przeciwko głównym siłom Spartan. I znowu zwycięstwo zatarło podziały i nierówności.

Wódz starał się utrzymywać dobry nastrój w eskadrach, które nie uczestniczyły w kampanii wojennej lub w zdobywaniu łupów, zlecając im misję oczarowywania cywilnej ludności. Doniesienie o tym, że ateńskie okręty, choćby tylko dwa lub trzy, zakotwiczyły w jakiejś zatoce, ścigało tam gromady okolicznych mieszkańców. Alkibiades nie tylko nie opędzał się od gapiów, ale przeciwnie – polecił, żeby ich przewożono łodziami na pokłady; niech zobaczą, jak wygląda okręt bojowy i jego waleczna załoga. Zabiegał zwłaszcza o młodzieńców, tych bowiem pociągają bohaterowie, którzy mogą dla nich stanowić wzór do naśladowania. Od miejscowej ludności można się też było wiele dowiedzieć: o przyptywach i odpływach, o prądach i pogodzie, które dowódca cenił bardziej niż srebro. Szczególnymi względami darzył rybaków, którymi Spartanie dla odmiany pogardzali. Nie było obiadu, na który nie zostałby zaproszony choć jeden z nich; potem wypytywano go o kaprysy pływów, kanały żeglugowe, burze i pogodę w poszczególnych porach roku.

Podczas bitwy nie mogę korzystać z map, lecz z

pilota u mego boku, który mówi mi: steruj tam i tam.

Często osobiście dowodził działaniami bojowymi, nagle zjawiając się w jakimś porcie z mieczem i ogniem, albo też wpływając doń w biały dzień, aby miejscowa ludność bardziej się bała jego niż garnizonu okupanta. Uwielbiał wyrywać z łóżek lokalnych urzędników i sędziów, których często potem osobiście przesłuchiwał, a na powrotną drogę do domów sownie obdarowywał, aby pozostali pod wrażeniem potęgi jego floty, albowiem ktoś wyrwany ze snu w środku nocy na wszystko patrzy oczyma rozszerzonymi strachem, by potem wyolbrzymiać w relacjach siłę niezwyciężonej armady.

Ćwicząc swoje eskadry, starał się uniknąć sytuacji, w której wszyscy będą działać na jedno kopyto, lecz zachęcał ludzi do demonstrowania własnej osobowości i przedsiębiorczości.

...każda flotylla i każda eskadra w jej składzie musi być zachęcana do rozwijania własnej tożsamości, czy też jakiejś umiejętności lub zdolności, którą przewyższa pozostałych, i czerpie z tego dumę. Niech jedna flotylla zabierze na swe pokłady podwójną liczbę piechoty morskiej; niech potem ćwiczą z bosakami i na śmigających nad wodą wysięgnikach. Niech inna zbuduje swe dźwigary w korynckim stylu i nazwie się

Młotem lub Taranem. A kiedy spotkają się w jakiejś tawernie załogi z różnych flotylli, to chcę, żeby się wzajemnie obrzucały przekleństwami. Chcę, żeby dochodziło do bijatyk na pięści. Im więcej tego będzie, tym lepiej, bo po czymś takim ludzie jeszcze bardziej czują się z sobą związani.

A oto jak poradził sobie z pozyskaniem jazdy.

Podczas wypraw, na których flota zdobywała zaopatrzenie, poznał Traków z ich konnymi hordami, a także charaktery ich dzikich książąt, zwłaszcza zaś dwóch – Seutesa, syna Maisadesa, oraz Medokosa – którzy byli władcami Odryzjan. Trazybulos i Teramenes bardzo nalegali, aby obu tych ludzi sobie zjednał, gdyż tylko tam armia może zdobywać jazdę. On jednakże dobrze rozumiał dusze tych dzikich rycerzy. Wiedział, że nie można z nimi nawiązać przyjacielskich stosunków, nie wręczając im darów, oraz przyjmował, iż dary te nie mogą nie być nadzwyczajnej wartości, a ich wręczaniu musi towarzyszyć równie nadzwyczajna pompa.

Miał Alkibiades dwóch szczególnie ulubionych trierarchów, braci Damona i Nestoridesa, którzy pochodzili z jego rodzinnego dystryktu, Skambonidoju. Byli oni najmłodszy w całej flocie, jeden dwudziestotrzyletni, drugi o rok młodszy. Czy

pamiętasz, Jazonie, skandal z chłopięcymi chórami, który wydarzył się w Atenach? Miał on miejsce dziesięć lat wcześniej, przed Syrakuzami. Stryj Alkibiadesa, Aksiochos, finansował chór chłopczków, który wziął udział w Panatenajach; podczas świętowania ich zwycięstwa Alkibiades przekonał ojców małych śpiewaków, aby nie zabierali ich od razu do domów, pozwalając im zostać na noc w jego posiadłości. Najpierw podlał ich dobrze winem, którego bezwąsni chłopcy nigdy jeszcze nie pili, a następnie zapoznał ich z kohortą urodziwych (i w pełni już rozwiniętych) heter.

Za sprawą Alkibiadesa chłopczkowie stracili z nimi cnotę.

Wieść o tym wywołała straszliwe wzburzenie. Wniesiono do sądu oskarżenie o pogwałcenie moralności, *hybris*. To przy tej właśnie okazji Meletos wystąpił z ową słynną formułą: »Sądźcie nie kurwy, ale ich rajfura!«. Alkibiades uznał oczywiście, że gra była warta świeczki. Ujrzał w tych małych śpiewakach przyszły kwiat Aten: dowódców różnych szczebli. Organizując im owo przejście do męskości, najbardziej niezapomniane przeżycie ich chłopięcych lat, na zawsze złączył ich z sobą niezłomnymi więzami.

I oto teraz Damon i Nestorides przybyli z Aten.

Alkibiades wyszkolił ich na żołnierzy ciężkiej piechoty, o wiele byli bowiem za młodzi, aby im powierzyć dowództwo na morzu bez ryzyka buntu wśród starszych kapitanów. A jednak uzyskał dla nich okręty innym sposobem. Najpierw wysłał ich jako żołnierzy piechoty morskiej ze zwiadowczą misją do spartańskiej stoczni w Abydos. Weszli tam i w ciągu dziesięciu nocy sporządzili mapę stoczni oraz prowadzących do niej dróg. Po powrocie donieśli, że remontowane tam są cztery okręty, już prawie zdolne do żeglugi.

– Przyprawdźcie tu jeden – zaproponował im na to Alkibiades – a będziecie nim dowodzić.

Pewnej deszczowej nocy młodzieńcy wylądowali w Abydos z trzydziestoosobowym oddziałem, pozostawiając w odpowiednim oddaleniu od brzegu cztery szybkie triremy, którymi dowodził Antiochos. Nie jeden, a dwa okręty zabrali ze stoczni, nadając im nazwy »Pantera« i »Ryś«. Przekształcili je w budzące grozę potwory morskie: kadłuby usmołowali na czarno, a na dziobach namalowali kocie oczy. Wyłączyli nimi na nocne wyprawy tak niebezpieczne, że wszystkich innych kapitanów napępiała groźba. To właśnie ci dwaj młodzieńcy przepięłowali w Abydos łańcuch, który blokował port, i umożliwili tym samym

desant, w którego wyniku spłonęło pół portowej dzielnicy; zabito wówczas dziesiątki urzędników miejskich i zarządców, a osobistego sekretarza Farnabazosa porwano z łóżka jego kochanki wraz ze wszystkimi dokumentami, które miał w swoim posiadaniu. Lecz największy ich *athlon*, wyczyn, który dał flocie konnicę, to było uwięzienie z Abydos trzystu niewiast.

Chłopcy wysłedzili na wybrzeżu pod górą Koppias dwie grupy niewolnic, po sto pięćdziesiąt w każdej, które Alkibiades nakazał trzymać pod obserwacją. Zostały one wzięte w niewolę z trackiej Odryzji i zatrudnione przy nawadnianiu pól. Posłał po niepewnego zmierzchu obu braci z tuzinem okrętów. Niewiasty na ich widok wbiegły w morze, krzycząc z radości, podczas gdy ich perscy panowie obsypywali nasze okręty pociskami, a potem cała eskadra umknęła z kobietami ile sił w ramionach wiosłarzy. »Kocie Oczy« przywiozły je do Sestos, przy czym bracia sądzili, że Alkibiades sprzeda je do burdeli; on tymczasem kazał je wykąpać i namaścić ich ciała oliwą, surowo nakazując flocie, by traktowane były z całym szacunkiem, i Oto jaki wymyślił dar dla trackich książąt.

Najpierw posłał samych braci, aby poinformowali

dzikich władców, że Alkibiades pragnie się z nimi zobaczyć, i ustalili z nimi dzień i miejsce spotkania. Dopiero potem przewiózł trackie niewiasty na czterech galerach w eskorcie tuzina okrętów wojennych; wszystkie dziewczęta odziane były i ukwiecone jak panny młode. Wysadzono je na dzikiej plaży Salmidessos, gdzie czekali na nich prawowici małżonkowie oraz Medokos, Bizantes i Seutes, trzech wielcy księżęta trackich równin, którzy mieli zdecydować o dalszym losie znajdujących się w tym tłumie swoich faworyt.

I, na Bliźniaków, wiedziały te trzy skurwysyny, jak podziękować za taki dar. Antiochosa i obu braci na miejscu zmówili z trzema dziewczętami, niczyjogo nie budząc protestu, a następnie sprowadzili ze wzgórz pięćset wierzchowców jako dar dla Alkibiadesa i konnicy. Widziałeś kiedyś, Jazonie, pięćset rumaków naraz? To widok wart zobaczenia. My, którzyśmy przyплыnęli jako eskorta, mieliśmy tylko jedno pragnienie: załadować je i odpłynąć, zanim te dzikusy się rozmyślą.

Tylko że nagle uderza piorun. Oto Alkibiades oświadcza księżętom, że nie może przyjąć takiego daru. Co gorsza, mówi Seutesowi, że go obraził, ofiarowując mu te konie zamiast tego, o czym

wiedział, iż jego gość naprawdę pragnie. Jest już dobrze po północy. Płonie sto ognisk; nasza flotylla czeka przy brzegu, podczas gdy tubylcy – i mężczyźni, i niewiasty w sztok pijani – figlują w najlepsze, a po przeciwnej stronie równiny stoi ciągnąca się aż za horyzont armia Traków, którzy nas tysiąc razy przewyższają liczebnie. Co jeszcze bardziej dla nas złowieszcze, nasz gospodarz, ksiązę Seutes, to wściekły byk, pijany do nieprzytomności, jak zazwyczaj zresztą wszyscy w tej krainie; nie zaufają zawartym umowom i podjętym decyzjom, dopóki nie przypieczętują ich mocnym napitkiem. A przecież, jak wszyscy Trakowie, którzy coś otrzymają w darze, uwłaczyłby swemu poczuciu honoru, gdyby nam nie wręczył jeszcze hojniejszego prezentu; jeśli nie uda mu się tego dokonać, to nic mu innego nie pozostanie, tylko urządzić nam krwawą łaźnię. A tu Alkibiades powtarza, że ksiązę go swoim darem obraził, po czym odwraca się do nas, czterdziestu ludzi jego straży przybocznej, z rozkazem, abyśmy odbijali i odpływali.

Seutes nie chce nas puścić. Każe sobie przyprowadzić swoje konie i zaczyna przemawiać do gości i swoich współplemieńców, zachwalając wspaniałe zalety tych rumaków, których – jak wszystkim wiadomo – Ateńczykom rozpaczliwie

potrzeba, gdyż mają bardzo nieliczną własną jazdę i za każdym razem, kiedy wkraczają w głąb lądu, tracąc z oczu swoje okręty, zdani są na łaskę konnicy Farnabazosa.

Książę swoim przemówieniem doprowadził się do białej gorączki. Cóż to za człowiek, zapytuje Alkibiadesa, i co za dowódca, który odrzuca takie bogactwo, jeśli już nie dla własnego pożytku i chwały, to dla tych dzielnych wojowników, nad którymi powierzono mu komendę?

Alkibiades na chwiejnych nogach, bo tak samo jest zalany jak gospodarz, oświadcza, że w istocie byłby najbogatszym człowiekiem Wschodu, gdyby książę dał mu to, czego on sam by sobie życzył zamiast koni. A cóż to takiego? – pyta dzikus.

– Twoja przyjaźń.

W ułamku chwili Alkibiades trzeźwieje, taki okazując po sobie chłód i opanowanie, że uświadamiamy sobie, iż ani na moment nie stracił rozsądku, i toczy spojrzeniem po wszystkich zebranych wokół ogniska bandyckich gębach. Gdybym teraz przyjął te konie, mówi dalej, to wprawdzie odpłynąłbym ze wspaniałym darem, lecz pozostałbym ubogi. Jeśli z drugiej strony zostawię te wierzchowce z wami, ich panami, ale odpłynę z twoją przyjaźnią – i w

tym miejscu podchodzi do Seutesa, który tak samo jak on otrzeźwiał – to będę mógł zaliczyć do swych bogactw nie tylko te bojowe rumaki, albowiem w każdej chwili będę mógł o nie poprosić mego przyjaciela, ale i niezrównanych wojowników, którzy walczyć będą z ich grzbietów. Bo przecież przyjaciel mój nie pośle mi tych koni, pozostawiając mnie naprzeciw moich wrogów z pustymi rękoma.

Seutes bynajmniej nie jest głupcem. Domyślił się, że mąż, który przed nim stoi, zaplanował sobie to wszystko od pierwszej chwili, gdy zobaczył trackie niewiasty. Książę docenia jego geniusz i rozumie, że Alkibiades z góry wiedział, iż on to doceni. Seutes chce mieć po swojej stronie tego geniusza i wie już, że jeśli ofiaruje mu swoją przyjaźń, to będzie miał w nim mentora, którego rady i opinie pomogą mu stać się mądrzejszym. Ścisła więc Alkibiadesa. Dziesięć tysięcy współplemieńców wybucha radosnym krzykiem. Pod nami aż miękną kolana, takiej doznaliśmy ulgi.

I w rzeczy samej książę Seutes przybył do nas ze swymi wierzchowcami, i to nie z pięciuset, lecz z dwoma tysiącami. Przybył, kiedy nasza flota i armia zdobywały Chalkedon i Bizancjum; kiedyśmy zakorkowali cieśninę i przywiedli Spartan do

najstraszniejszego dla nich w tej wojnie położenia.

Jednakże zaszedłem w swojej opowieści dalej, niż zamyślałem; przeskoczyłem zwrotny jej punkt, do którego muszę powrócić.

W miesiąc po wielkim zwycięstwie pod Kyzikos, podczas przejścia przez cieśninę, nasz flagowy okręt otrzymał z pokładu kurierskiego kutra depeszę z Samos. Noc była księżycowa i kuter zasygnalizował nam swoje przybycie flarą. Oba statki spotkały się pośrodku cieśniny. Dowiedzieliśmy się, że przybyła tego dnia z Aten państwowa galera »Paralos« z wieścią, iż spartańskie poselstwo nawiązało rokowania ze zgromadzeniem, zabiegając o pokój. Ludzie powitali to radosnym krzykiem, domagając się informacji na temat warunków, jakie Spartanie proponują; było to natychmiastowe zawieszenie broni, wycofanie się obu stron z okupowanych terenów i wymiana wszystkich jeńców. Ponowny wrzask radości i krzyki ludzi, cieszących się z rychłego powrotu do domu.

– Spartanie są teraz w Atenach? – zapytał Alkibiades.

– Tak jest.

– Kto przewodzi poselstwu?

– Endiusz, panie.

Kolejny radosny krzyk.

– Lacedemończycy postanowili cię uhonorować, Alkibiadesie.

Bo jakież inny mieliby powód, żeby wysłać twojego przyjaciela? powiedział to Antiochos, sternik Alkibiadesa i jeden z tych, którzy dzielili z nim wygnanie w Sparcie. – Dowodzi to, że choć formalnie wciąż jesteś uchodźcą, to widzą cię na czele Ateńczyków.

Zbliżył się do nas na odległość głosu »Wytrwały« Trazybulosa, a jego sternik zapytał, czy naprawdę oznaczało to, że możemy wracać do domu. Alkibiades nic na to nie odpowiedział, stojąc bez ruchu na pomoście rufowym.

– To nie jest żadna propozycja pokoju – rzekł w końcu ponurym tonem do znajdujących się w pobliżu oficerów i wioślarzy rufowych – a tylko podstęp, którego celem jest odcięcie was i mnie od ateńskiego ludu i zrujnowanie nas wszystkich.

Obrócił się do oficera rufowego:

– Daj do wszystkich sygnał, że mają dalej płynąć na Samos, a Trazybulosowi zasygnalizuj, żeby popłynął za nami.

Po czym rzekł do Antiochosa przy sterze:

– A teraz prowadź nas do Achillejonu".

30. PRZY GROBIE ACHILLESA

„Równina Skamandra tak samo jest jałowa i tak samo nękana wichrami dzisiaj, jak była tysiąc lat temu, kiedy Troja padła pod ciosem oszczepu Achillesa. Do tej samej plaży, na której wylądowały bezpokładowe pięćdziesiątki Homerowych Achajów, teraz przybiła flota Aten i Samos, złożona z dwusetek o pokrytych brązem taranach. Źródło, wokół którego Diomedes ścigał Sarpedona, wciąż dawało tak samo zimną i smaczną wodę. Już z tuzin razy spędzaliśmy w tym miejscu noc w drodze do Hellespontu lub z powrotem, lecz nigdy przedtem wódz nie poprowadził nas w głąb łądu, do kurhanów.

Jest ich tam łącznie osiemnaście: siedem dużych, ku czci Achajów, Mykeńczyków, Tesalczyków, Argiwów, Lacedemończyków, Arkadyjczyków i Fokidyjczyków, oraz jedenaście mniejszych, na cześć poszczególnych herosów, z których dwa ostatnie, Patroklesa i Achillesa, są z sobą połączone.

Wieczór jest chłodny. Wiatr chyli trawę ku zboczom przez nikogo nie pielęgnowanych kurhanów; owce wydeptały na nich schodkowate ścieżki. Od grupki chłopców kupujemy kozę, a przy okazji pytamy, który kopiec poświęcony jest Achillesowi.

Patrzą na nas tępym wzrokiem. »Komu?«.

To na tej równinie, mawiał Alkibiades, ludzie Zachodu wydali wojnę ludziom Wschodu i pokonali ich.

Nasz wódz marzy o dokonaniu tego samego.

Zjednoczyć się ze Spartą i ruszyć przeciwko Persji.

– Odkąd tylko jestem we flocie – stwierdza teraz, jak to już zresztą wcześniej mówił – panowało przekonanie, że musimy przeciągnąć na swoją stronę Persów, by wraz z nimi pokonać Spartę.

Musimy sobie zadać pytanie: czy to tylko senne marzenie? Ja myślę, że tak. Persja nigdy nie sprzymierzy się z Atenami. Jej morskie ambicje sprzeczne są z naszymi; nie zgodzi się na to, abyśmy wygrali tę wojnę. A chociaż gromimy armie jej satrapów wzdłuż całego wybrzeża, to bogactwo imperium Wschodu sprawia, że na nowo się odradzają. Perskie złoto czyni jej spartańskich sojuszników niezniszczalnymi; rozbijemy jedną flotę, to budują następną. Nie damy rady patrolować wszystkich zatok Azji i Europy.

Trazybulos, który ma już dosyć wojny i chętnie by przyjął propozycję zawieszenia broni, replikuje:

– Nieprzyjaciel czyni ci honor, Alkibiadesie. Wystarczy, abyś uściśnął jego rękę i będziemy mieli

pokój.

– Przyjacielu, intencją Spartan nie jest uhonorowanie mojej osoby, lecz podstępna sztuczka, w wyniku której moi rodacy zaczną się lękać mej ambicji. Po to wybrali właśnie mnie, aby zrodzić w Atenach obawę, że powróciwszy po wszystkich zwycięstwach, jakie odniosła ta flota, ustanowię się tyranem. Jeśli im się uda – to znaczy, jeśli podburzą *demos* do obalenia mnie – będzie to oznaczało zwycięstwo Sparty. To właśnie jest celem ich planu, a nie pokój. Musimy odnieść więcej zwycięstw. Więcej, a potem jeszcze więcej, dopóki nie zdobędziemy absolutnego panowania nad całym regionem Morza Egejskiego: nad każdą cieśniną i każdym władającym nią miastem i nad każdym szlakiem, którym sprowadzamy zboże. Dopiero wtedy będziemy mogli udać się do domu.

Grono siedzące przy ognisku nie musiało wysilać wyobraźni, aby przedstawić sobie obraz zdobywania murów Selymbrii, Bizancjum i Chalkedonu, równie potężnych jak syrakuzańskie, oraz trudów i cierpień, których musielibyśmy doświadczyć, by je zagarnąć. Trazybulos jeszcze dołał oliwy do ognia:

– Chodzi o to, Alkibiadesie, że ty nie możesz wrócić do domu. Ja mogę.

I powstał na niezbyt pewne nogi.

– Siadaj, Cegło.

– Nie siadę. Ani też nie będę słuchał twoich rozkazów. – Choć pijany, Trazybulos wypowiadał się zdecydowanie i chciał powiedzieć wszystko, co mu leżało na sercu. – Nie możesz, przyjacielu, wrócić do domu, dopóki nie otoczysz się aż takim płaszczem chwały, że w promieniu dwustu metrów od ciebie nikt nie odważy się nawet pierdnąć. Ale ja mogę. Wszyscy możemy wrócić, którzy rzygamy już wojną i więcej jej nie chcemy.

– Nikt tego nie może zrobić. A już w żadnym razie ty, Cegło.

Żołnierze przypatrywali się to jednemu, to drugiemu, rozdarci pomiędzy dwoma wodzami. Alkibiades zdał sobie z tego sprawę.

– Przyjaciele, jeśli wasze oczy nie potrafią dojrzeć tego, co dyktuje Konieczność, to proszę, abyście zaufali mojemu wzrokowi. Czy poprowadziłem was gdziekolwiek indziej niż do zwycięstwa? Spartanie ustawili przed waszymi nosami przynętę pokoju, a wy rzucacie się na nią niczym wygłodzone zimą lisy. Dla nich pokój to możliwość złapania oddechu i przygotowania się do nowej wojny. A dla nas? Od kiedy to jakkolwiek zwycięzca opuszcza pole walki,

mając mniej, niż posiadał na jej początku, podczas gdy do zdobycia było więcej, aniżeli już posiadał? Rozejrzyjcie się wokół siebie, bracia. Bogowie przywiedli nas na tę równinę, na której Grecy zwyciężyli Trojan, by zgodnie ze swoją wolą pokierować naszym przeznaczeniem. Czyż mamy umrzeć we własnych łóżkach, zachwalając pokój, owo senne marzenie, którym chcą nas zwieść nasi wrogowie teraz, kiedy nie udało im się sprostać nam w otwartej walce na morzu? Gardzę pokojem, jeśli oznacza on sprzeniewierzenie się naszemu przeznaczeniu, a na świadków tych słów wzywam herosów, którzy tu właśnie przelewali swą krew.

Wstał i zwrócił się wprost do Trazybulosa:

– Oskarżasz mnie, przyjacielu, o to, że gonię za sławą, czyniąc to za cenę tego, co winien jestem naszemu narodowi. Żadnej tu jednak nie ma sprzeczności. Chwała jest przeznaczeniem Aten. Narodziły się, by ją osiągnąć, tak samo jak my, ich synowie. Nie pomniejszajcie samych siebie, bracia, oceniając naszą wartość jako mniejszą od tej, jakiej dowiedli ci tutaj bohaterowie, których cienie teraz się nam przysłuchują. Byli oni takimi samymi jak my ludźmi, nikiem więcej. Odnieśliśmy triumfy równe lub większe nawet od tych, które stały się ich udziałem, i

odniesiemy ich jeszcze więcej.

– Ci, którym mamy wedle ciebie dorównać – odezwał się młodszy Perykles – są martwi.

– Nigdy nie będą martwi!

– Panie, obozujemy przy ich grobach!

– Oni nigdy nie umrą. Są bardziej żywi od nas, i to nie tam, na Polach Elizejskich, gdzie, jak mówi Homer ni ból, ni smutek nie dosięga lecz tu tej i każdej innej nocy żyją w nas samych. Niezdolni bylibyśmy zaczerpnąć powietrza bez ich zgody, ni przymknąwszy powieki – nie zobaczyć przed sobą tego, co po nich dziedziczymy. To oni stanowią o naszym istnieniu, bardziej niż krew i kości, i to oni czynią nas tymi, którymi jesteśmy. Tak, zdolny jestem stanąć pośród nich, wszystkich was z sobą zabrawszy. Nie w śmierci lub pośmiertnym żywocie, lecz żywych i triumfujących. Poradziłeś mi, Trazybulosie, abym popatrzył po twarzach tych, którzy siedzą przy tym ognisku. Patrzę. Ale nie widzę mężów upokorzonych ani potulnych. Widzę ową dzielną porywczosć, na której zbudować można niezwyciężone dywizje; współplemieńców, zdolnych powiedzieć w chwili śmierci, która wszak wszystkich nas w końcu czeka, że do ostatniej kropli osuszyli wręczone im czary. Ścieramy się tu jako bracia. Cóż mogłoby być

lepszego, niż znaleźć się w tym miejscu w gronie dzielnych i mądrych przyjaciół? A czyż można by znaleźć godniejsze towarzystwo niż ci niegdysiejsi wojownicy? Nikt jednakowoż nie może wejść do ich grona za cenę paru drobniaków. Opłatą za to jest wiecznotrwała sława, zdobyta w imię tego, co się kocha, pod groźbą utraty wszystkiego, co się kocha. Co do mnie, to chętnie wniosę tę opłatę. Wieczerezajmy, bracia, wraz z tymi, którzy ponieśli ogień na Wschód i zażądali go dla siebie.

Trazybuloś stał naprzeciw niego, wpatrzony w żar, który jego towarzysz broni i współdowódca na nowo rozdmuchał w płomień.

– Przerażasz mnie do samej głębi duszy, Alkibiadesie – rzekł".

31. MĘSTWO BOGÓW

– Przebywałem w Atenach – opowiadał dalej mój dziadek – kiedy Alkibiades zdobywał Chalkedon, Selymbrię i Bizancjum, co uprzednio przedstawił jako konieczne i możliwe.

Pierwszą z tych fortec otoczył murem od morza do morza, a gdy Pers Farnabazos przybył ze swoją piechotą i jazdą, równocześnie zaś Hippokrates, spartański dowódca garnizonu, uderzył od strony miasta, Alkibiades podzielił swe siły i oba wojska pokonał, zabijając przy tym Hippokratesa. Mury Selymbrii zaatakował osobiście z czołowym tylko oddziałem swych wojsk; miał w fortecy ludzi, którzy zgodzili się na zdradę, gdy jednakowoż jeden z nich cofnął swoją decyzję, pozostali musieli dać sygnał do ataku, zanim jeszcze wszystko było do niego gotowe. Alkibiades odcięty był od głównych swych sił, mając z sobą zaledwie garść żołnierzy, a parły na nich całe chmary obrońców. Rozkazał trębaczowi zagrać sygnał, nakazał ciszę i wezwał Selymbryjczyków do złożenia broni, w zamian obiecując im łaskę; uczynił to tak przekonywająco, że nieprzyjacieli uwierzyli, iż armia już zdobyła miasto (co w samej rzeczy bliskie było prawdy, jako że parotysięczna rzesza Traków

hałaśliwie żądała, żeby splądrować miasto), toteż obywatele zgodzili się na akt poddania, byle tylko Alkibiades odwołał swoich dzikusów. Dotrzymał danego słowa, nikomu nie czyniąc krzywdy, a tylko stawiając warunek, że miasto powróci do sojuszu z Atenami i w ich imieniu utrzymywać będzie żeglugę w cieśninie.

Jeśli chodzi o Bizancjum, to zdobył je fortem. Otoczywszy miasto i utworzywszy blokadę także od strony morza, rozpuścił wieść, że ważne sprawy zmuszają go do oddalenia się, ostentacyjnie załadował część swego wojska na statki, co dobrze widziano z murów, po czym odpłynął z nimi, reszta zaś jego armii odmaszerowała. Tyle że z zapadnięciem ciemności powrócił i bez trudu uporał się z niczego nie podejrzewającymi strażami.

Osiągnął więc wszystko, co był zapowiedział: opanował Hellespont i pobił wszystkie wojska, które przeciw niemu wystąpiły. Okrył się dzięki temu taką chwałą, że – jak to przepowiedział Trazybulos – mógł wreszcie wrócić do domu.

Byłem wówczas w Atenach, lecząc się z ran otrzymanych pod Abydos. Dwukrotnie piły chirurgów odcinały kawałki mego ciała i za każdym razem sąsiadujące z nimi tkanki zaczynały ropieć. Moja

małżonka mało nie odeszła od zmysłów, przyglądając się temu, ja sam jednak znosiłem to o wiele lepiej. Byłem wszak bohaterem. Zarówno ci, którzy przyczynili się do wygnania Alkibiadesa, jak i ci, za których przyzwoleniem dobiegło ono końca, starali się sprzymierzyć ze mną i z każdym innym oficerem kojarzonym z jego triumfami; trójka wodzów śłała ich teraz do Aten niczym bukiety kwiecia. Wkrótce także oni sami, Alkibiades, Trazybulos i Teramenes, mieli wrócić do domu. Ateny czekały na ten powrót równie niecierpliwie jak narzeczona na swego ukochanego.

Jak się okazało, także i Polemides pojawił się, choć na krótko, w Atenach, o którym to pobycie trzeba opowiedzieć, jako że jego konsekwencje nie tyle może miały wpływ na przebieg wojny, ile mogłyby mieć, gdyby wydarzenia potoczyły się inną koleją.

Polemides podjął swą opowieść dwudziestego ósmego dnia hekatombajonu, w święto Ateny. Zbieg okoliczności sprawił, że tego właśnie dnia pojawił się u moich drzwi jego syn – po dziadku noszący imię Nikolaosa – z gorącą prośbą, abym zabrał go z sobą do więzienia. Te jednakowoż wydarzenia muszą poczekać na swoją kolej. Tymczasem wróćmy do Hellespontu... i do tego, co opowiedział mi Polemides.

IsfstSi „Wiść o pokojowej misji Endiusza dotarła

do cieśniny na dwa dni przed powrotem okrętów Alkibiadesa z odwiedzin u grobów starożytnych bohaterów. Wielu zaczęło fetować tę nowinę, wojnę uznawszy za zakończoną. Ja sam też nieźle już miałem w czubie, kiedy nadszedł rozkaz, który przerwał mi świętowanie. Mantiteusz polecił mi mianowicie w imieniu Alkibiadesa, bym po cichu spakował swoje manatki i nikomu o niczym nie mówiąc, zameldował się w jego kwaterze, gdy tylko opuszczają sekretarze.

Noc tę pamiętam jeszcze i z tego powodu, że spotkałem Damona Kocie Oko. Muszę przy tym wspomnieć, Jazonie, o tym, że w owym czasie nie służyłem już w straży przybocznej wodza. Wyprosiłem sobie zwolnienie i dostałem przydział na »Kaliopę«, którą dowodził młodszy Perykles; zanadto już dojadło mi rajfurowanie.

A doszło do tego tak oto. Wielu było takich, co rywalizowali pomiędzy sobą o to, kto lepiej zaspokoi zapotrzebowanie swego bezpośredniego dowódcy na niewieście ciała. Niektórzy oficerowie stali się wręcz zawodowymi stręczycielami i sprowadzali swój »towar« nawet aż z Egiptu. Każda nowo przybyła piękność pakowana była do worka i niesiona na próg wodza. Alkibiadesowi trzeba było niekiedy dwóch lub trzech na noc, bez tego bowiem nie mógł zasnąć. Jego

sprawa. Ja jednakowoż nie potrafiłem bez końca warować przed jego namiotem, odpędzając wzgardzone metresy i potencjalne samobójczynie. Kiedy go poprosiłem o zwolnienie, roześmiał się.

– Jestem zdumiony, że aż tak długo to znosiłeś, Pommo. Widocznie kochasz mnie bardziej, niż mi się zdawało.

Tamtej nocy, udając się do niego po wyjściu sekretarza, natknąłem się na Damona. Była z nim dziewczyna, którą przedstawił jako swoją narzeczoną. Chciał ją pokazać Alkibiadesowi; czy zgodziłbym się, żeby wszedł do niego przede mną? Na tyle dobrze przyjrzałem się twarzyczce dziewczyny, by stwierdzić, że owszem, jest śliczna, ale nie piękniejsza od dziesiątków innych, które już wcześniej pojawiły się w tym namiocie. Damon wszedł więc z narzeczoną do środka, a ja czekałem na swoją kolej.

Alkibiades pozbył się wszystkich, nawet swych adiutantów i strażników z piechoty morskiej.

– Dzisiejszego ranka wysłane zostało na pokładzie »Paralosa« poselstwo do Endiusza – zaczął – żeby mu przekazać oficjalną odpowiedź strategów na pokojową propozycję Spartan. Ty będziesz moim nieoficjalnym wysłannikiem do niego. Tylko moim.

Następnie poinformował mnie, że nie będę

przewoził żadnych dokumentów, i polecił, bym nie ujawnił się na żadnej granicy, a jego przesłanie przekazał tylko i wyłącznie Endiuszowi. Gdyby mnie pytano, w jakiej sprawie udaję się do Aten, to mogę podać każde wyjaśnienie, byle tylko nie to prawdziwe.

Po czym padło pytanie, czy domyślam się, dlaczego to właśnie mnie, a nie komuś innemu zlecona zostaje ta misja.

– Ponieważ tobie Endiusz uwierzy. Nie wcielaj się w jakąkolwiek rolę, Pommo. Bądź po prostu sobą: żołnierzem, który wypełnia rozkaz swego dowódcy.

Przesłanie Alkibiadesa sprowadzało się z grubsza do tego: jeśli on dał na talerzu Ateny, to czy Endiusz potrafiłby to samo zrobić ze Spartą, czyli zakończyć wojnę i wspólnie przystąpić do podboju Persji?

Objaśniwszy mi to, Alkibiades zaśmiał się:

– Nawet ci powieka nie drgnęła, Pommo!

– Znam cię już wystarczająco długo.

– Dobra. A zatem słuchaj uważnie. Po Kyzikosie, gdzie padł Mindaros, spodziewałem się, że Spartanie wyślą na jego miejsce Endiusza albo Lizandra, którzy są zdecydowanie najlepszymi ich dowódcami. To, że Endiusza wysłano z misją pokojową, dowodzi, że jego stronnictwo przegrało. Lizander zostawi go, jeśli już tego nie zrobił. Nie będziesz musiał tracić dużo czasu

na przekonywanie Endiusza o tym, że proponuję mu rzecz mądrą; on sam już od lat zdaje sobie z tego sprawę. Przejawi natomiast podejrzliwość. Będzie się obawiał, że zamyślam dowodzić tą koalicją. Powiedz mu, że oddam się pod komendę jego lub kogokolwiek, kogo wskaże na swoje miejsce. Kiedy się na to zaśmieje, co z pewnością uczyni, po czym powie, że i tak mu wiadomo, iż planuję usunąć ze swej drogi każdego niefortunnego sukinsyna, który pojawi się przed moim dziobem, to i ty się wówczas zaśmiej i powiedz, że ma rację, ale że dojdzie do tego dopiero w chwili, gdy powstanie taka sytuacja, a zatem każdy taki sukinsyn będzie się miał czas na to przygotować. Powiedz mu także, że eforowie sami siebie przechytrzyli, wysyłając go jako posła; teraz bowiem może on czekać z powrotem do domu aż do momentu, kiedy ja ostatecznie uporam się z wrogami mojego kraju od strony morza. On będzie tego świadom. Chodzi jednak o to, że wtedy będzie już za późno. Jeśli Endiusz chce przywieść Spartę do sojuszu z nami, to musi to uczynić wkrótce, bo inaczej ateński *demos*, któremu moje zwycięstwa dodadzą pewności siebie, postawi takie warunki, na jakie Sparta nigdy nie będzie się mogła zgodzić.

– A co mam mu powiedzieć, jeśli zapyta o Persję i

jej słabe punkty?

– Opowiesz mi o tym, co sam widziałeś na własne oczy. Żadna perska flota nie zdoła sprostać naszej armadzie, a żadna ich armia nie dotrzyma pola spartańskim siłom lądowym. Dariusz szwankuje na zdrowiu. Walka o sukcesję po nim spowoduje rozdarcie imperium od wewnątrz. Endiusz wyrazi wówczas zastrzeżenie, że wysyłając cię z poselstwem do niego, jednocześnie wysłałem takie samo na perski dwór, im także proponując sojusz z Atenami, jest mi bowiem wiadomo, że jego rodacy również posłali tam swoich wysłanników. Odpowiedz mi na to, że ja muszę grać swoimi kartami, jak on musi grać swoimi, lecz o ostatecznym rozstrzygnięciu zdecyduje Konieczność. Czasami ktoś po prostu musi komuś zaufać i z wolą bogów możemy to być ja i on.

– Coś jeszcze?

– Wybadaj go na temat układu stronnictw politycznych w Lacedemonie, ale nie naciskaj go w tym punkcie. On będzie wiedział, co da się w tym względzie zrobić, a my tego wiedzieć nie musimy. Wypytaj go wszakże o prawdopodobieństwo przeciągnięcia na naszą stronę Lizandra, a nawet Agisa. Ja chętnie sprzymierzę się z jednym lub z drugim albo i z oboma. Ponadto jest oczywiste, że

Endiusz świadom będzie tego, iż jeśli dojdzie do sojuszu między naszymi miastami i jeśli okaże się on skuteczny, to rezultatem wspólnego zwycięstwa nad Persami będzie kolejna wojna między nami. Powiedz mu na to ode mnie, że wolałbym stoczyć tę przyszłą wojnę, niż kontynuować obecną, ta bowiem zniszczy i Ateny, i Spartę, pozostawiając nas na pastwę naszych wspólnych wrogów.

– A co, jeśli Endiusz zażąda, abym się razem z nim udał do Lacedemonu i powtórzył twoje przesłanie innym z jego stronnictwa?

– Przystań na to. Będę potrzebował jak najwięcej i jak najlepszych informacji, jakie uda ci się przy tej okazji zdobyć. Ale tym razem żadnych wycieczek, Pommo. Jeśli ktokolwiek cię wypatrzy w jednym albo drugim mieście, to nasi wrogowie domyśla się, od kogo i do kogo przybyłeś. Tylko zuchwałość tego przedsięwzięcia daje szansę powodzenia. Najdrobniejsze potknięcie, jakiś przedwczesny przeciek, i jest po wszystkim.

Po czym zaopatrzył mnie w pieniądze i podał hasła, informując, że przydzielili mi statek, który jednak dowiezie mnie tylko do Paros, skąd będę już musiał podróżować własnym przemysłem.

Przed samym wyjściem zapytałem jeszcze:

– Podchodzisz do tego wszystkiego absolutnie poważnie. Alkibiadesie? Czy może będę musiał nadstawiać tyłka dla jakiejś twojej sztuczki albo całkiem innego planu?

Jak zwykle kiedy się śmiał, jego twarz przybrała dawny, młodzieńczy wyraz.

– Kiedy już wrócimy do domu, Pommo, co musi się stać w odpowiedniej chwili, Ateny same oddadzą mi się na talerzu. Staniemy wówczas na skraju najstraszliwszej przepaści, jako że stawka, o jaką będzie szło, spowoduje w przypadku przegranej klęskę, która ogromem swym przerośnie nawet Syrakuzy. Czy wiesz, dlaczego flotę i jej ludzi nazywam Potworem? Bo trzeba codziennie sycić ich głód. Jeśli im tego nie zapewnimy, to pożrą ciebie i mnie, a wreszcie i samych siebie.

Powiedział to lekkim tonem jak gracz, który od tak dawna zwykł obliczać swoje szanse, że nie odczuwa już niepokoju, nawet grając o własne życie. Pomyślałem wówczas, a i dziś jestem o tym przekonany, że tego rodzaju męstwo nie ludzkiemu gatunkowi, lecz tylko bogom jest właściwe.

– Zwyciężanie wrogów to dziecinna zabawa w porównaniu z karmieniem tego Potwora, który z kolei jest niczym w porównaniu z *demosem* Aten, tym

Największym Potworem, zwłaszcza gdy tak będzie podniecony, jak w chwili naszego triumfalnego powrotu. Rozumiesz, przyjacielu? Musimy postawić mu przed oczy coś, co godne będzie jego apetytu.

Znowu się zaśmiał, promienny niczym chłopiec.

– Tak działa przeznaczenie. Właśnie jak dzisiaj: na skrzyżowaniu Konieczności i wolnej woli.

Z jego sypialni dobiegł mnie jakiś szelest; obróciwszy się, zobaczyłem w mroku krążącą niespokojnie niewieścią sylwetkę.

– A teraz ruszaj w drogę, stary przyjacielu ...a świt niechaj cię nie doścignie zaskoczonego wśród krętego nurtu.

Przechodząc obok tawerny, która zwała się »Morski Węgorz«, dojrzałem w środku pijanego Damona, który samotnie upijał się jeszcze bardziej. Spytałem, gdzie jego narzeczona.

– Jestem imbecylem – oświadczył w odpowiedzi. – I zasługuję na to, co spotyka imbecylów".

32. O ZALETACH OKRUCIEŃSTWA

Dziewczyną tą była Timandra, w której suknie owinięte zostało tak niewiele lat potem we Frygii ciało Alkibiadesa, nie znalazło się bowiem nic innego, co mogłoby zastąpić całun.

Wtedy w cieśninie miała dwadzieścia cztery lata. Wkroczyła w jego życie i już żadna inna niewiasta nie zajęła jej miejsca. Była tym, czego potrzebował; od pierwszej chwili oboje to wiedzieli. Wszystkie te pijawki, których nie mogli od niego odpędzić nawet uzbrojeni żołnierze piechoty morskiej, za jednym spojrzeniem tej osóбки przestały dla niego istnieć. Nigdy nie słyszałem, aby jakiegokolwiek niewiasty, z wyjątkiem żony, dopóki żyła, Alkibiades bronił, chyba że w żartach albo ironicznie. Teraz jego oczy takim chmurzyły się gniewem na jakiegokolwiek niestosowne odezwanie się o tej dziewczynie, że kapitanowie, którzy dowodzili tysiącem żołnierzy, zbliżali się do niej na paluszkach i z opuszczonymi niczym chłopcy oczyma. Timandra była jak gołębica Trapezunta, która sparzywszy się z orłem, sama stała się orlicą.

Wielką uczyniono wrzawę wokół nieprawości osobistego życia Alkibiadesa, pod którym to określeniem jego oszczercy dawali do zrozumienia, że

zdolny on był przerznąć nawet węgorza, gdyby stworzenie to mogło na wystarczająco długi czas usztynić swe ciało. Poznałeś Eunikę, Jazonie. Żaden z niej węgorz, a jednak zdarzyło się raz na Samos, rok przed pojawieniem się Timandry, że wziął ją do swego łóżka, czy może to ona sama do niego weszła; był to jej sposób na zadanie mi bólu wtedy, kiedy już zwykłe ciosy nie wystarczały, w odwecie za zaniedbanie opieki nad nią lub nad jej dziećmi, czego zresztą z pewnością się dopuszczałem. Nie mogłem jej winić za to, że jak wszystkie niewiasty bezradna była wobec porywów serca, musiałem jednak obwinie za to twarzą w twarz jego, który nie powinien był do tego dopuścić, jakkolwiek przyznaję, że konieczność ta rodziła bynajmniej niemałą obawę nawet w kimś takim jak ja, kto wprawdzie niewidoma się może pochwalić zaletami, lecz przynajmniej może o sobie powiedzieć, iż w stosunku do nikogo nie lękał się tego rodzaju konfrontacji. Nie iżbym się bał, że mój dowódca postawi wówczas na szalę swój wojskowy autorytet, gdyż do czegoś takiego nigdy by się nie poniżył, lecz dlatego, że w przyływie pasji mógłby mnie uderzyć; tak zaś był wspaniałym atletą i potężnym przeciwnikiem, że miałbym w pojedynku z nim jaką taką szansę jedynie wtedy, gdybym posłużył się bronią,

a on tylko gołymi rękoma. Oczywiście, nic podobnego się nie zdarzyło. Kiedy go wezwałem do usprawiedliwienia się ze swego postępuku w jakiejś chwili, kiedyśmy się znaleźli sam na sam w stoczni, odpowiedział mi z tak głęboką skruchą, że natychmiast przeszedł mi cały gniew, a nawet, wierz mi lub nie, poczułem dla niego współczucie. Albowiem niezdolność do zapanowania nad cielesnym pożądaniem była jedyną jego słabością, która sprawiała, że czuł się śmiertelnikiem.

– Powiedziała mi, że nie jest już twoją kobietą i że wyrzuciła ją na ulicę. Jako przyczynę tego, że do mnie przyszła, podała brak pieniędzy.

Po czym spojrzał mi prosto w oczy.

– Wiedziałem, że to tylko fałszywy pretekst, a jednak taki ze mnie podły pies, że mnie to nie powstrzymało.

Następnie opuścił ręce wzdłuż bioder i dodał:

– Proszę bardzo, możesz mnie tak jak tu stoimy powalić na ziemię, Pommo, a nie będę miał do ciebie o to najmniejszego żalu.

I co miałem zrobić? Uderzyć dowódcę naszej floty za osłoną stoczniowych pochylni?

– Nie pamiętasz nawet jej imienia, prawda?

– Przyjacielu, ja nie pamiętam żadnego z ich imion.

Dwa wieczory później uczestniczyłem w ćwiczeniach na falochronie, gdy w pewnej chwili przebiegł obok mnie Mantiteusz z ósemką szkolonych przez siebie efebów, którzy dopiero co opuścili rodzinne domy.

– Masz czystą choinkę? – krzyknął, myśląc o ciemnozielonym wyjściowym płaszczu piechoty morskiej. – Bo zostaliśmy zaproszeni na uroczystą biesiadę. I przypomnij sobie wszystkie dobre oficerskie maniery, jakie przy takich okazjach obowiązują!

Oto w jakich okolicznościach przedstawiono mi moją drugą małżonkę czy ściślej mówiąc – jej przedstawiono mnie. Była córką obywatela Samos, gospodarza owej uczty, miała na imię Aurora i zakochałem się w niej całym sercem od pierwszego wejrzenia, choć los tak mi nie sprzyjał, że zaledwie rok cieszyłem się nią jako żoną, gdyż zabrała mi ją śmierć. Nigdy się nie dowiedziałem, co Alkibiades powiedział o mnie jej ojcu ani jak mu to zakomunikował, wszelako z chwilą gdy mąż ów powitał mnie i Mantiteusza w progu swego domostwa, poczułem się jak udzielny książę.

Rozumiesz, Jazonie? Takim właśnie sposobem Alkibiades postanowił wynagrodzić uczynioną mi krzywdę. Z jakiegoś pokrętnego wyroku jego i naszego

losu tak wiele razy musiał to w swym życiu robić.

Timandra zmienić go nie mogła, ale umiała nad nim zapanować. W cieśninie nie dzielili na stałe tego samego pomieszkania; nie zamierzała do tego dopuścić, nie będąc ślubną małżonką, ale też nie mogła się po prostu zgodzić na tego rodzaju związek, choć Alkibiades usilnie o to zabiegał. Musiał przychodzić do jej łóżka i wracać do siebie, chyba że sama pozwoliła mu zostać na całą noc. Nie zamieszkała też obok niego, aby móc go szpiegować, lecz w miejscu oddalonym zarówno od jego kwatery, jak i od sztabu. Miała własne środki utrzymania i kontentowała się nimi, jednakże z chwilą gdy wkroczyła w jego życie, pierwszym jej powołaniem stało się ułatwianie mu żywota; nie w żołnierskich i wojennych sprawach, które były i musiały pozostać jego wyłączną domeną, lecz w kwestiach takich, jak wygoda i sprawna organizacja obowiązków.

Zdarzyło się pewnego razu, że perscy posłowie, Mitrydates i Arnapes, przybyli do willi Alkibiadesa na Psiej Głowie i powitani przez Timandrę w płynnej aramejszczyźnie, uznawszy ją za tłumaczkę wodza lub jego kochankę – bezceremonialnie odsunęli ją, wchodząc do środka i szukając jego gabinetu. Timandra kazała żołnierzom sięgnąć po broń i usunąć

intruzów z domu, a gdy się posłowie na to oburzyli i zażądali, by powiedziała, jakim tak postępuje prawem, oświadczyła:

– Przebywając pośród mężów, których zwie się wielkimi, przekonałam się, że można się do nich zwracać tylko w dwojakiej formie: albo jako wykonawca ich woli, albo jako przeciwnik. W żadnym z tych przypadków wielki człowiek nie uzna za stosowne ani bezpieczne czynić prezentującej mu się osobie jakichkolwiek zwierzeń. Kiedy nasz wódz pragnie otworzyć przed kimś swe serce, ma do tego mnie; wy zatem, którzy wiele mieliście sposobności obcowania z wielkimi ludźmi, możecie na tej podstawie uświadomić sobie, jaka jest tu moja pozycja. Po czym dodała z uśmiechem:

– Przyznaję wszakże, że postąpiłam zanadto zapalczywie, zatrzymując was siłą. Jeśli więc chcecie, to proszę, możecie wejść do środka.

Persowie bardzo sobie cenią ten szczególny rodzaj posłuszeństwa, zwany przez nich *ayana*, należny książętom lub dostojnikom dworskim, toteż odrzekli na to:

– Pani, wezwij nas, kiedy tylko uznasz to za stosowne, a tymczasem, do momentu gdy znajdziemy bardziej materialny tego wyraz, prosimy, abys

zechciała zadowolić się ustnymi przeprosinami za nasze niefortunne wtargnięcie w te progi.

Już od wczesnych dziewczęcych lat Timandra oblegana była przez adoratorów, którzy za pośrednictwem jej matki, hetery Frazyklei, obiecywali złote góry za jej względy; podobnie Alkibiades w młodości swej obsypywany był przez mężczyzn wyrazami uwielbienia. Być może właśnie zrozumienie tej sytuacji stworzyło pomiędzy nimi tak silną więź. Kiedy się razem pokazywali publicznie, można by rzec, że zachowywali się wobec siebie równie bezzmysłowo jak brat i siostra, jednakże jasne było, że darzą się wielce namiętym wzajemnym sobie oddaniem.

Timandra, jeśli można użyć takiego określenia, udomowiła Alkibiadesa, zaprowadzając w dość chaotycznym trybie życia tego geniusza pewien porządek, tak jednakowoż utrzymywany, by zdawało mu się, że to jego własna idea. Wszelako jak każdy, tak i ten medal miał swoją drugą stronę, tę mianowicie, iż pojawienie się niewiasty, która tak wielkie zdobyła wpływy w samym epicentrum wojny, przyczyniło się do powstania wokół Alkibiadesa pewnej szczególnej atmosfery, przypominającej zgoła tę, jaka otacza koronowane głowy. Bo kimże w końcu była

Timandra? Królową? Szambelanem cesarskiego dworu?

Trzeba jednak przyznać, że musiał się znaleźć ktoś, kto by go osłaniał przed niefrasobliwością otoczenia, które odciągało jego uwagę od spraw floty, czego nie doświadczali jego współwodzowie. Trazybulos i Teramenes, choć równi mu rangą, nigdy nie zaznali takiego jak on blasku znakomitości. Wychodząc za próg swych siedzib, nie byli natychmiast oblegani przez natrętny tłum pochlebców ani nękani najróżniejszymi prośbami czy zabiegami ludzi szukających do nich dojścia poza obowiązującą hierarchią; Alkibiades tymczasem nie mógł się wręcz od takich ludzi opędzić.

Wróćmy jednak do mego poselstwa do Endiusza. Trzeba mi było aż miesiąca, by z konieczności krętymi drogami dotrzeć do Aten; w tym czasie, odepchnięci przez Kleonimosa i demagogów, spartańscy wysłannicy już wyjechali. Natychmiast ruszyłem w pościg za nimi, lecz oni zdążyli przepłynąć przez Przesmyk Koryncki, musiałem przeto własnym przemysłem dostać się na Peloponez, by w końcu dogonić ich w granicznym forcie Karii.

Endiusz uważnie i z powagą wysłuchał przesłania Alkibiadesa, w żaden sposób się jednak do niego nie

odnosząc. Następnego świtu pojawił się Nadgarstek i wręczył mi własnoręcznie napisaną odpowiedź Endiusza, co zresztą osobistym zdaniem zatroskanego giermka było albo dowodem jego nadzwyczajnego oddania sprawie, albo najzwyklejszą nieostrożnością. Bojąc się konsekwencji, jakie ściągnęłoby na jego pana przejęcie tego listu, Nadgarstek nie chciał odjechać, pozostawiając go w moich rękach. Złamałem więc pieczęcie, nauczyłem się tekstu na pamięć, po czym zniszczyłem pismo, aby nie narazić na szwank spartiaty, którego wprawdzie zawsze szanowałem, lecz aż do tamtej chwili nie darzyłem uczuciem sympatii.

Endiusz do Alkibiadesa, z pozdrowieniem.

Wysyłam niniejszy list, przyjacielu, ze świadomością, że jego odkrycie oznaczać może moją śmierć. Masz słuszość: nie mogę zaprzeczyć mądrości postępowania, które proponujesz. Pomóc w tym jednak nic zdołam. Nie dlatego, by nasze stronnictwo doznało porażki; założenia nasze wciąż pozostają w mocy. Ja sam jednakowoż zostałem odsunięty na ubocze. Zdominował wszystko Lizander. Nie mam już nad nim żadnej kontroli.

Oto, co mogę Ci powiedzieć. Lizander uczynił się mentorem brata króla Agisa, młodego Agezilaosa, który sam ma zostać królem. Przez ów związek z

młodzieńcem Lizander oddał się w służbę Agisa, ten zaś nienawidzi Cię i wiesz za co. Co by z radością, jeśli o Ciebie chodzi, przyjął, to Twoje serce lub wątrobę, ale nic innego.

Lizander bez wytchnienia intryguje, mając na celu zdobycie nominacji na naczelnego dowódcę floty. Sądzi, że zdołałby zapanować nad Persem, w odróżnieniu od innych naszych nawarchów, którzy nie potrafiliby ukryć pogardy ani dla barbarzyńcy, ani dla samych siebie, gdyby przyszło im bić przed nim czołem w zamian za jego złoto.

Sam dobrze znasz charakter Lizandra. Dla niego kłamstwo i prawda to jedno i to samo; posługuje się nimi w zależności od tego, które w danym momencie lepiej posłuży jego zamiarom. Sprawiedliwość to dla niego tylko temat salonowych rozmów, osobista zaś duma to luksus, na który wojownik nie może sobie pozwolić. Za godnych pogardy głupców uważa tych w naszym kraju, którzy nie ugną kolana przed Persem, tak jak on swoje ugiął przed Agisem oraz innymi, każdym takim upokorzeniem umacniając swoją pozycję i wpływy. Lizander w żadnym razie nie służy złu, lecz wszystko oddaje w służbę skuteczności działania. Naturę ludzką bierze taką, jaką ona jest, w odróżnieniu od własnej, której nie potrafi osądzać

inaczej jak tylko po tym, jaką się ona może stać w przyszłości. Za to, jakim się teraz stał, winić możesz wyłącznie samego siebie, bo w Twojej to szkole studiował i nic z Twoich nauk nie zapomniał. Wszyscy spartańscy dowódcy są przy nim jak dzieci, gdyż rozumieją się tylko na wojnie i na niczym innym. Lizander rozumie także całą resztę. Przeniknął sposób działania ateńskiej demokracji, a zwłaszcza niestałość *demosu*. Co do Ciebie, to uważa, iż zdolny jesteś do wszelkich podbojów z wyjątkiem zdobycia własnych rodaków. Jest przekonany, że Cię oni zniszczą tak samo, jak zniszczyli przed Tobą wszystkich, którzy wzbili się na szczyty świetności. Inaczej mówiąc, nie obawia się on Ciebie. Chce walczyć i wierzy, iż wyjdzie z tej walki zwycięsko.

Lizander ma wszystkie Twoje zalety jako wódz i dyplomata, ale i jeszcze jedną. Jest okrutny. Będzie zlecał zabójstwa, tortury i masowe mordy, są one bowiem dla niego tylko narzędziami, takimi samymi jak krzywoprzysięstwo, przekupstwo i wymuszenie. Bez najmniejszych skrupułów zastosuje terror nawet wobec własnych sprzymierzeńców. Podobnie jak tyran Polikrates wierzy, że jego przyjaciele bardziej mu będą wdzięczni, kiedy odda im, co przedtem był zabrał, niżby byli, gdyby im tego w ogóle nie zabierał. Istnieje

dla niego tylko jedna miara: zwycięstwo.

Wreszcie, przekonany jest, że Cię zna, że przejrzał Twój charakter. Przez cały Twój pobyt w naszym kraju pilnie Ci się przyglądał, wiedząc, iż pewnego dnia przyjdzie mu się z Tobą zmierzyć. I nie spodziewaj się uczciwej walki. Będzie zwodził i przeciągał sprawę, wyrzeknie się wszelkiej żołnierskiej dumy, by potem z nagłą zaskoczyć Cię i pokonać.

Niewielka to będzie dla Ciebie pociecha, lecz sądzę, że Lizander sam gorąco by popierał proponowany przez Ciebie grecki sojusz przeciwko Persji, gdyby taka była w tej chwili nasza polityka.

Przeczytaj to oto jego zdanie: »Nie wolno nie doceniać okrucieństwa lub posługiwania się brutalną siłą«. Twój styl to unikanie przymusu, gdyż w Twoim mniemaniu oznacza on poniżenie zarówno dla przymuszonego, jak i dla przymuszającego, a ponadto na dłuższą metę zawsze się mści na tym, kto się do niego uciekł. Ale też, przyjacielu, na dłuższą metę wszystko się mści na wszystkich.

Zachowaj jak największą ostrożność i czujność. Nie jest wykluczone, że w tym człowieku znalazłeś godnego siebie przeciwnika.

Wciąż toczyła się wojna o Hellespont; mnożyły się zwycięstwa Alkibiadesa. Co się tyczy Lizandra, to ani

w tym, ani w następnym roku nie udało mu się zdobyć stanowiska dowódcy floty.

Co do mnie zaś, to czas ten przesłużyłem pod młodszym Peryklosem oraz w oddziałach nadbrzeżnych, głównie pod Trazybulosem. Nie przestawałem również, listownie lub osobiście, kiedy mnie służba zawiodła na Samos, zabiegać o względy radości mego serca, Aurory. W miarę upływu czasu pogłębiała się także moja zażyłość z jej ojcem i braćmi, dla których w pewnej chwili poczułem taką serdeczność i uznanie, jakich przedtem doznawałem tylko wobec Lwa i własnego ojca.

Wróciłem do floty Alkibiadesa wystarczająco szybko, aby być świadkiem kapitulacji Bizancjum. Była to najzacieklejsza bitwa z całej wojny hellesponckiej, w której stanęły przeciwko nam najświetniejsze spartańskie oddziały: Równi oraz periojkowie z Selassji i Pellany, wzmocnieni arkadyjskimi najemnikami i beocką ciężką piechotą z pułku Kadmosa, tego samego, który pokonał nas na Epipolaju.

Był taki moment, gdy tysiąc trackiej jazdy pod wodzą Bizantesa runęło na Spartan, których zostało już tylko mniej niż czterystu. Bitwa pomiędzy dwoma murami toczyła się przez całą noc. Spartanie wybili ich

co do jednego, nie oszczędziwszy nawet koni. Kiedy wreszcie nieprzyjaciel poddał się pod naciskiem naszej przewagi liczebnej, a także na skutek dezercji bizantyjskich sojuszników, Alkibiades musiał użyć całej swej siły, by osobiście i z tarczą na ramieniu powstrzymać trackich książąt przed wyrżnięciem wszystkich ocalałych. Musiał rozkazać naszym oddziałom, by pognały Spartan ku morzu, jak gdyby zamierzał ich potopić, aby wreszcie te oszalałe z żądz mordu dzikusy, które wody boją się bardziej niż my piekła, odstąpiły.

Nie mogliśmy tej nocy osadzić naszych okrętów na plaży, lecz pozostawiwszy je na kotwicy, znosiliśmy na nie rannych i zabitych wrogów. Pomagałem jednemu z ich medyków, przy czym zwracając się do niego, parokroć bezwiednie użyłem imienia »Szymon«.

Rankiem trudno było znaleźć wolne miejsce na wodach cieśniny, na których unosiły się dymiące szczątki kadłubów i całe masy ciał, wyniesione od brzegu przez prądy. Alkibiades nakazał oczyszczenie cieśniny, a następnie rozpalenie ognisk na obu brzegach, bizantyjskim i europejskim, chalkedońskim i azjatyckim. Nad oboma miały władzę już Ateny, panując zarazem nad Hellespontem.

Nareszcie Alkibiades władał całym regionem egejskim.

Nareszcie mógł wrócić do domu".

Księga siódma

KARMIENIE POTWORA

33. BŁOGOSŁAWIENSTWA POKOJU

– Muszę tu wprowadzić mój własny rozdział tej opowieści, drogi wnuku, jako że ta część wydarzeń nadzwyczaj mocno zaważyła na losie Polemidesa, on sam jednak nie chciał ich włączać do swej relacji, uznawszy, iż miały nazbyt osobisty charakter. Związane one były z ową córką Teleklesa z Samos, Aurorą, której poznanie umożliwił Polemidesowi Alkibiades, próbując mu w ten sposób wynagrodzić krzywdę, jaką mu był wyrządził, spędziwszy noc z Eunikę. Polemides pojął Aurorę za małżonkę.

Stało się to wkrótce po zdobyciu Bizancjum, w atmosferze powszechnego triumfu poprzedzającego powrót Alkibiadesa do Aten. Podobnie jak to było w przypadku pierwszej jego żony, Phoebe, kwestię tę Polemides jak tylko mógł, przemilczał. To, co wiem, zawdzięczam głównie relacjom innych osób, a w dużej mierze korespondencji, którą potem znalazłem w Polemidesowym kuferku.

Tu oto jest oficjalny dekret urzędu archonta w Atenach, przyznający Aurorze ateńskie obywatelstwo, które zresztą po kilku latach przyznane zostało wszystkim mieszkańcom Samos w uznaniu ich stałości w służbie dla naszej sprawy. Tu z kolei przesyłka z

Aten od pani Dafne, zawierająca złotą spinkę do włosów, która, jak się zdaje, niegdyś należała do matki Polemidesa, a podarowana mu została jako ślubny prezent dla jego nowej małżonki. A tu list Polemidesa do ciotki, w którym opisał swe wesele oraz przedstawił z dumą nowego teścia i dwóch szwagrów, oficerów floty, którym już wcześniej poczuł się bliski jako przyjaciel.

...a na koniec, moja droga ciotko, bardzo bym chciał, abyś poznała tę, która – niebiosa tylko wiedzą czemu – zgodziła się być moją połówicą. Dwakroć ode mnie inteligentniejsza, piękna, zarazem czysta i namiętna, a charakter ma tak silny, że moja żołnierska duma zdaje się przy nim czczą chłopcęą próżnością. W Jej obecności tyle we mnie i takich zrodziło się nadziei i marzeń, jakich nie pozwoliłem sobie snuć od śmierci mojej Phoebe, jako to pragnienie posiadania dzieci, domowego żywota i rodziny. Myślałem, że już nigdy nic podobnego nie poczuję; jedynie Tobie i Jej winien jestem następujące wyznanie: sprowadzanie dzieci na świat taki jak ten zdawało mi się nie tylko nieodpowiedzialnością, ale i grzechem. Wystarczyło wszakże jedno spojrzenie na Jej twarzączkę, zanim jeszcze usłyszałem Jej głos i mogłem do niej przemówić, aby wszystkie te czarne myśli, które tak

długo w sobie nosiłem, natychmiast mnie opuściły, a zgoła zdało mi się, iż nigdy nawet nie przeszły mi przez głowę. W samej rzeczy nadzieja jest nieśmiertelna, jak mawiają poeci.

Z okrętu na morzu pisze list do swej nowo poślubionej małżonki, która przebywa na Samos:

...zanim się pojawiłaś, sądziłem, że już do jednego tylko dotrę życiowego kamienia milowego, a będzie nim moja śmierć, której spodziewałem się w każdej chwili, dziwiąc się wciąż, że jeszcze mnie nie zabrała. Wszystko, co myślałem i czyniłem, miało swe źródło w jednym tylko postanowieniu, aby po prostu do końca być dobrym żołnierzem. Czułem się starym człowiekiem, który w istocie już jest martwy. I oto wraz z cudem, jakim Ty się okazałaś, na nowo odmłodniałem. Nawet moje występki stały się niebyłe. Odrodziłem się w Twojej miłości i w myśli o zwyczajnym z Tobą życiu, z dala od wojny.

Aurora zachodzi w ciążę. Oto fragment jej listu, który wysyła w ślad za flotą:

To dobrze, że nie możesz mnie teraz widzieć, mój najdroższy. Utyłam jak proszę. Od miesiąca już nie widzę swoich stóp. Ledwie powłóczę nogami po domu, wspierając się o ściany, żeby nie upaść. Ojciec kazał przenieść moje łóżko na parter, bojąc się, że spadnę ze

schodów. Jakież to zabawne! Wszystkie przedstawicielki mojej płci, z którymi mam tu styczność, także marzą tylko o tym, żeby zajść w ciążę, nawet małe dziewczynki, i przymierzają sobie poduszki do brzuchów. Cała posiadłość się tym zaraziła. Moja – nasza – radość udzieliła się również im...

I z jeszcze innego listu od młodej małżonki:

...gdzież teraz jesteś, najdroższy? Jest dla mnie istną torturą nie wiedzieć, któredy żegluje Twój okręt, choć gdybym wiedziała, to zapewne i wtedy przeżywałabym równie bolesne rozterki. Musisz z tego wyjść cały! Bądź tchórzem. Jeśli zmuszą Cię do walki, uciekaj! Wiem, że tego nie uczynisz, lecz bardzo bym chciała. Proszę, bądź ostrożny. Do niczego nie zgłaszaj się na ochotnika!

Z tego samego listu:

...musisz teraz utożsamiać swoje życie z moim, bo jeśli padniesz, to i ja zginę wraz z Tobą.

Albo to:

Dajcie rządzić niewiastom, a już jutro ta wojna się skończy. To szaleństwo! Dlaczego mężczyźni muszą szukać wojen, skoro wszystko, co dobre, bierze się z pokoju?

To także od niej:

...życie zdawało mi się takie skomplikowane. Czulałam się jak zwierzątko, które bezładnie biega po klatce, za każdym nawrotem trafiając na jeszcze więcej krat i ścian. Teraz, z Tobą, najdroższy, wszystko nagle stało się proste. Chcę po prostu żyć i kochać, i być kochaną przez Ciebie! Po cóż nam niebo, skoro już teraz przeżywamy taką radość?

Na co Polemides odpowiada:

Przeraza mnie myśl, moja ukochana, że muszę teraz dowieść, iż jestem Ciebie wart. Jakże mogłoby mi się to kiedykolwiek udać?

Podjmuje kroki, które pozwolą mu ostatecznie uwolnić się od Eunike. Przepisuje połowę swych pborów na nią i na dzieci i występuje o obywatelstwo dla wszystkich trojga, powołując się na lata swojej służby oraz na trudy, jakich zaznała u jego boku Eunikę wraz z ich dziećmi. Zapewnia im przejazd do Aten i zwraca się do swych stryjów i starszyny rodu z prośbą, by do jego powrotu sprawowali nad nimi opiekę.

Oto, co pisze do niego połowica:

...nauczyłam się od ojca i braci, że to, jak męczyzna postępuje na wojnie, nie może być oceniane wedle norm obowiązujących w czasie pokoju, a już z pewnością nie postępowanie kogoś takiego jak

Ty, kto całą swą młodość i wiek męski spędził w żołnierskiej służbie, z dala od domu i w stałym zagrożeniu życia. Egzystencja, jaką wiodłeś, zanim się spotkaliśmy, jest wyłącznie Twoją sprawą i nie mam prawa jej osądzać. Chciałabym jedynie być zdolną Ci pomóc, gdyby tylko było możliwe, abyśmy swoim szczęściem nie uczynili nieszczęśliwymi tych, których pragnęlibyśmy wesprzeć. Wiedz, że dzieci tej niewiasty, bez względu na to czy są Twoje, czy też nie, będą otrzymywały pomoc z naszych, moich własnych i Twoich środków, a także z kiesy mego ojca.

Polemides marzy o odbudowaniu ojcowskiej posiadłości w Acharnie, Zakrętu Drogi, i osiedleniu się tam z małżonką i dzieckiem. Pokój bądź zwycięstwo, które przepędziłoby Spartan z Attyki, staje się dla niego sprawą życia. Píše do swej ciotki, także i ją nakłaniając do osiedlenia się w rodzinnej majątności, a ponadto namawia do powrotu zagrodników, którzy uprawiali tam ziemię za życia ojca. Opłaca nawet ziarno siewne, a w składzie handlowym w Metymnie zamawia po okazyjnej cenie żelazny pług. Wysyła to wszystko na pokładzie transportowca „Eudia”, który płynie do kraju pod eskortą floty; on sam znowu służy na „Antiopie”, okręcie flagowym Alkibiadesa, który wiezie triumfatora ku jego ojczystym Atenom.

34. STRATEG AUTOKRATOR

Alkibiades chciał wrócić na początku zimy – kontynuował Polemides – jednakże w Atenach przesunięto wybory; zmuszony do czekania, najechał spartańskie stocznie w Gythejonie i dalej zabijał czas innymi, podobnego rodzaju zajęciami. Wreszcie nadeszły z Aten wieści, które nie mogłyby być lepsze. Alkibiades znowu został wybrany do kolegium strategów; tak samo Trazybulos, który niegdyś sprowadził go do domu z Persji; Adajmantos, przyjaciel i współwygnaniec; wreszcie Arystokrates, który na forum zgromadzenia domagał się jego przywołania. Pozostali strategowie albo byli neutralni, albo też opowiadali się za niezależnością poglądów. Kleofon, przywódca radykalnych demokratów i najzawziętszy wróg Alkibiadesa, zastąpiony został przez Archedemosa, z którego był kawał zbira, lecz cechowała go odpowiedzialność, a ponadto był doradcą prawnym Kritiasza, bliskiego przyjaciela Sokratesa.

Trazybulos już wcześniej wrócił do Aten z główną częścią armady; służące pod nim załogi poszłyby za nim w ogień. A jednak Alkibiades wciąż obawiał się przyjęcia, z jakim się spotka, tym bardziej że ciężący

na nim wyrok śmierci jeszcze nie został uchylony. Otrzymał pocztą z Aten list od swego kuzyna Euryptolemosa, który podsunął mu pomysł, aby na początek ograniczył liczebność swej floty do eskadry flagowej w liczbie dwudziestu okrętów, a ponadto, by poprzedzały ją galery ze zbożem (których dwadzieścia siedem czekało na Samos, a miało do nich dołączyć jeszcze czternaście wychodzących z Pontu). Ponieważ ich właścicielami byli wybitni obywatele Aten, i to ci, którzy najbardziej ucierpieli od spartańskich grabieży, ładunki zaś przeznaczone były dla miasta, przypomni to Ateńczykom, iż niegdysiejszą obfitość pożywienia na swych stołach zawdzięczali temu, którego się wyrzekli. Z jego natomiast strony, co podkreślił Euro w swym liście, byłby to tylko przejaw zwykłej grzeczności, która nie pozwala przybywać na biesiadę z pustymi rękoma.

Tak więc na czele popłynęły galery. Dotarły one do portu w Pireusie dwa dni przed przybyciem eskadry, a towarzyszył im szybki statek kurierski, który miał zawrócić i przywieźć sprawozdanie z przyjęcia, jakie im zgotowano. Jednakże nadejście transportowców i wieść o powrocie Alkibiadesa wzbudziły w porcie takie uniesienie, że ludzie nie pozwolili statkowi od płynąć bez uprzedniego przygotowania należytych

uroczystości powitalnych. Tymczasem eskadra, nie uprzedzona o tym, czego może się spodziewać, zaczęła się lękać nieprzyjaznego przyjęcia. Po wypłynięciu spoza przylądka Sunion i wzięciu zachodniego kursu z czołowych okrętów spostrzeżono, że idzie im naprzeciw dwudziestka trirem, których bander pod słońce nie sposób było rozpoznać. Młodszy Perykles, który dowodził awangardą, nakazał już sformowanie obronnego szyku, gdy wreszcie uświadomiono sobie, że zbliżająca się flotylla nie niesie z sobą zagrożenia, lecz powitanie: triremy były udekorowane girlandami, a na ich pokładach tłoczyli się krajanie i miejscy notable.

Alkibiades jednakowoż w dalszym ciągu lękał się zdradzieckiego podstępu. Pod płaszczem miał nie lekki ceremonialny napierśnik, lecz bojowy pancerz z brązu. Otaczający go oddział piechoty morskiej otrzymał polecenie zachowywania pogotowia. Okręty, które przedtem płynęły w dwóch kolumnach, teraz, zbliżając się ku wejściu do zatoki portowej w Etoniei, ustawiły się w rzędzie. »Antiopa« usytuowała się dopiero na siódmej pozycji, aby w przypadku zdrady zdążyć zawrócić. Widać już było obwałowania, a na nich połyskujące odbłyски, jakby od grotów włócznie i zbroi zmasowanej piechoty. Boczne osłony na okręcie

flagowym ustawione były w pozycji, która oznaczała gotowość do rozwinięcia się w szyk bojowy. Nareszcie, gdy eskadra znalazła się już na wysokości reduty, ludzie uświadomili sobie, że źródłem owych niepokojących odbłyśków nie były ostrza broni lub broje, lecz ozdoby na niewieścich sukniach oraz dziecięce szkiełka do puszczenia zajaczków. Na wodę spadła chmura wieńców. Młodzież puszczała powitalne słodycze, przymocowane do drewnianych talerzyków, które starcy strugali na nabrzeżach, a które wirując, przy sprzyjającym wietrze mogą przefrunąć wiele stadionów. Nadlatywały teraz fala za falą, zderzając się z kadłubami okrętów i wpadając z pluskiem do wody pomiędzy pracującymi wiosłami.

Podpływały chmury małych łodzi i łódeczek. Można by sądzić, że w całym mieście ogłoszono świąteczny dzień. Okręty płynęły teraz równolegle do Chomy, gdzie niegdyś trierarchowie floty syrakuzkańskiej z wielce solennymi minami zgromadzili się przed *apostoleis*, by odebrać błogosławieństwo i otrzymać od Rady rozkaz wypłynięcia. Witający eskadrę tłum był tak liczny, że całe molo wyglądało jak mrowisko. »Atalanta« podciągnęła do naszej sterburty, zasłaniając nam widok. Poprzez ich rufowe omasztowanie dostrześliśmy jednak wynoszącą się

ponad ciżbę postać Eurypolemosa z błyszczącą łysiną. Jedną ręką obejmował własny tułów, jak gdyby tym sposobem chciał pewniej zapanować nad emocjami, drugą zaś, w której trzymał przeciwsłoneczny słomkowy kapelusz, machał ku nam z wielkim entuzjazmem.

– Tyż to byś był, kuzynie? – powiedział sam do siebie Alkibiades, po czym pochylił się w stronę jego postaci i niezbyt pewnym ruchem ramienia odpowiedział mu na pozdrowienie. Przed nami wyrósł fronton Bendidionu, a poniżej niego zarysowała się schodząca ku brzegowi pochyłość terenów Trackiej Artemidy. »Kratiste« i »Alkippe« już wykonały zwroty w miejscu, aby ich rufy weszły między odbojniki. Na stanowisku cumowniczym »Antiopy« czekała gromadka gotowych do jej obsługi efebów, których czoła zdobiły kwietne wieńce. Po całym pokładzie rozeszło się metaliczne postukiwanie; witający obrzucali okręt monetami; przez burty przeskoczyły gromady chłopaczków, którzy przepychając się pomiędzy sobą, zaczęli je zbierać.

Spojrzałem ku miejscu, w którym Północny Mur styka się z Drogą Przewozową, owym traktem boleści, który przed laty przemierzyłem samotnie, wracając z Potidei. Podczas zarazy tam właśnie powstała dzielnica

budek, szałasów i wszelakiego byle czego, w czym chronili się i umierali biedacy; teraz zamiast tej upiornej alei ujrzałem bulwar radości. Na naszych wodzów czekały wierzchowce konnicy, których kopyta gniotły dywan lawendy. Choć na czele znajdowali się inni strategowie, tłum nie zwracał na nich najmniejszej uwagi; wszystkie oczy zwrócone były na Alkibiadesa. Ojcowie pokazywali go synom, niewiasty zaś, zarówno poważne matrony, jak i dziewczęta, przyciskały dłonie do piersi i nieomal omdlewały z wrażenia.

Powieziono go do Pnyksu, którego zbocza zalała niezliczona ciżba witających; wielu dla lepszego widoku wspięło się nawet na drzewa, oblepiając ich korony niczym ptactwo. Po drodze odbyła się uroczystość przed Eleuzynionem. To tam, gdy zapadła decyzja o wygnaniu Alkibiadesa, archont bazyleus wystąpił przed zgromadzonymi tłumami, nakazując wykreślenie jego imienia z *katalogos* obywateli, i tam wzniesiono stelę niesławy, aby po wiek wieków przypominała ludowi o jego perfidii i zdradzie. Teraz zbliżył się do niego roztrzęsiony nowy bazyleus, by mu przedstawić akt przywrócenia tytułu własności do wszystkiego, co niegdyś posiadał w obrębie miejskich murów, i do usytuowanej w Erchii stadniny, która również została skonfiskowana podczas jego

wygnania, a także by z opóźnieniem wręczyć mu zbroję, którą przyznano mu w nagrodę za męstwo okazane pod Kyzikosem. Co się tyczy steli niesławy, oświadczył archont, to została roztrzaskana i wrzucona do morza.

Przez całą tę powitalną ceremonię Alkibiades zachowywał postawę tak wyniosłą i oblicze tak niewzruszone, jak gdyby chciał w ludziach wzbudzić dreszcz grozy. Albowiem mąż, przed którym teraz niemal tańczyli w błagalnych pozach, nie był już owym książątkiem, które tak bezlitośnie przegnali, lecz zwycięskim wodzem wielu bitew i dowódcą takiej floty i armii, że za jednym swym słowem objąć mógł całą władzę nad tym państwem, a ich wszystkich zdać na łaskę swych kaprysów. Tłumy niespokojnie wypatrywały na jego czole jakiejś gniewnej zmarszczki, niczym przyłapanie na występku dzieci, nasłuchujące złowieszczonego świstu różgi nauczyciela. Podczas gdy on ze zniecierpliwieniem, a nawet z pewną wzgardą, słuchał tej litanii odwołań i przywróceń, przez tłum przebiegało narastające drżenie.

Na placu przed Amazonionem do konnej procesji przyłączyły się triumfalne powozy, na których zgromadzono flagi i proporce wojenne wroga, tarany

zniszczonych okrętów oraz tarcze i zbroje jego nieprzyjacielskich wodzów. W tak gęstej ciżbie trzeba by paru dobrych godzin, by dotrzeć z tym wszystkim do Górnego Miasta, gdzie trofea wojenne miały być ofiarowane bogini, toteż Alkibiades dał znak – jako że w ogólnej wrzawie nikt nie dosłyszałby jego głosu – aby zdjęto je z wozów i postawiono na ziemi. Nie stało się tak bynajmniej z rozmysłem, lecz przypadek sprawił, że ów łup wojenny zgromadzony został akurat przed wielkim marmurowym posągami Antiopy, której imię nosił jego okręt flagowy; na postumencie wyryte były te oto wersy o Tezeuszu:

I powracając z darami
Do tych samych przybył,
Których nienawiść sprawiła,
Iż wygnanym został z domu swego.

W Muzejonie, pod pomnikiem Zwycięstwa, przedstawiono mu synów jego i członków jego rodu, odzianych w białe szaty efebów z wierzbowymi witekami w rękach i z mirtowymi wiankami na głowach. Spodziewano się, że obraz ten z pewnością rozjaśni jego chmurne oblicze; stało się jednak wręcz przeciwnie. Albowiem widok tych, których dzieciństwu nie dane mu się było przypatrywać, jako że jego wygnanie trwało lat już osiem, jeszcze tylko

wzmógł chłód panujący w jego sercu, a także żalobę, jaką odczuwał po tych wszystkich, którzy zniknęli i przypadli. Z jego najbliższej rodziny od dawna już nikogo nie było na tym świecie: matka, ojciec, małżonka, maleńkie córeczki, brat i siostra – wszyscy padli ofiarą zarazy i wojny, a starszych pod jego nieobecność wyniszczył podeszły wiek. Wśród tych, których mu zaprezentowano – dalszych krewnych i kuzynów – były dla odmiany dzieci narodzone pod jego nieobecność, dziewczynki, które się przez ten czas przeobraziły w zameżne niewiasty, posiadające już własne dzieciątka, i gołowąsi chłopaczkowie, którzy stali się mężczyznami. Większości nie potrafił już ani skojarzyć z imionami, ani nawet rozpoznać, toteż gdy herold po kolei ich przedstawiał, zdawały się owe imiona boleśnie zaciskać jego serce, gdyż tych, których teraz miał przed sobą ani nie karmił, ani nie całował.

Polecono następnie wystąpić z szeregu córce Euryptolemosa, szesnastoletniej już i z niemowlęciem na rękach; przyozdobiono ją gałązkami cisu i jarzębiny, aby uosabiała Korę, a dziecię odziano w fiolet jako Atenę. Stanąwszy przed tak wielkim tłumem, dziewczyna speszyła się i nie mogła sobie przypomnieć strof wiersza powitalnego, a w końcu zachwiała się na nogach, zaczerwieniła i zaczęła

płakać. Alkibiades, który podtrzymał ją za ramię, sam doznał w owej chwili tak wielkiego wzruszenia, że nie zdołał pohamować łez.

Nagle puściły wszystkie tamy jego serca i duszy, bo gdy już pękła jedna, to i pozostałe po kolei nie wytrzymały naporu, zalewając całe jego jestestwo, a i serca wszystkich obecnych. Gdyż oto ludzie, którzy albo lękali się wybujałych ambicji Alkibadesa, albo ze zgrozą myśleli o pomście, jaką na nich weźmie – innymi słowy, obawy swoje odnosili jedynie do swych osobistej sytuacji – teraz ujrzeni na obliczu tego męża, który podtrzymywał szlochającą dziewczynę, całą żalność, jaka się w nim nagromadziła podczas wszystkich tych lat spędzonych z dala od bliskich. Zapomnieli mu całe zło, jakie im wyrządził, pamiętając już tylko dobro. A gdy pojęli, że chwila owa to kulminacja pojednania pomiędzy miastem a jego synem, która się wreszcie dokonała, prysło z ich serc wszystko, co ich samych dotyczyło, a na to miejsce przyszło współczucie dla wodza i radość ze wspólnego zdania się na niego; zgromadzenie przez aklamację mianowało Alkibiadesa strategiem autokratozem, najwyższym wodzem na morzu i lądzie, i nagrodiło złotym wieńcem.

Zaczął przemawiać, jeszcze płacząc:

– Jako chłopiec w domu Peryklesa w dniach zgromadzeń po kryjomu wspinałem się wraz z moimi towarzyszami na drzewa *peukos*, rosnące na tylnym zboczu Pnyksu, aby przez cały dzień przysłuchiwać się przemówieniom i debatom z tak nieposkromioną ciekawością, że nieczuły byłem nawet na błagania moich rówieśników, abym wreszcie tego zaniechał i poszedł z nimi na boisko; jako jedyny pozostawałem na swojej gałęzi, śledząc przebieg obrad. Już wtedy, choć nie potrafiłem tego ująć w słowa, odczuwałem moc miasta, jak gdyby było ono jakąś potężną lwicą lub legendarną niezwyciężoną bestią. Zachwycało mnie zaangażowanie okazywane przez tylu mężów, pomiędzy którymi tyle istniało różnic, a nawet sprzeczności w poglądach, oraz powodująca nimi siła napędowa: miasto, dzięki jakiejś subtelnej alchemii wiążące z sobą wszystkich i wszystko, co w rezultacie dawało całość, która przerastała swą wielkością zwykłą sumę poszczególnych rzeczy i której istotą nie było ani bogactwo, ani zbrojna potęga, ani architektoniczna czy artystyczna wspaniałość, choć wszystkim tym rozporządzała ona w wielkiej obfitości, lecz pewna nieuchwytna siła duchowa, której sedno stanowiły śmiałość, nieugiętość i przedsiębiorczość. Ateny, które mnie wyгнаły, to nie były te Ateny, które kochałem,

lecz inne: płochliwe, przestraszone obrazem swej wielkości i z przestachu tego samych siebie się wyrzekające, by potem z kolei wyrzec się mnie. Tych Aten nienawidziłem i wszystkie swe siły poświęciłem temu, aby je poniżyć. I otóż pomyliłem się. W istocie to temu samemu miastu, które kocham, wyrządziłem wielką krzywdę. Jest tu dzisiaj wśród was wielu takich, których synowie i bracia stracili życie na skutek działań przeze mnie inicjowanych i prowadzonych. Ponoszę za to winę. Nic nie mogę powiedzieć na swoją obronę, chyba to jedynie, że jakiś ponury los prześladował mnie i moją rodzinę i że ta gwiazda, z wyroku której rozstałem się z Atenami, a Ateny rozstały się ze mną, w rezultacie i mnie, i miasto przywiodła do upadku. Lecz teraz rozpalimy wspólne ognisko, którego płomień pochłona moje i wasze – nasze – przeciw sobie występkę, a dym rozproszy je po błękitnym oceanie nieba.

Tak wielką owacją przyjęte zostało to zdanie, takimi oklaskami i tupaniem, że zatrzęsł się cały plac, a nawet zdawało się, że wręcz zadrżały kolumny świątyni. Tłum wielkim krzykiem raz za razem skandował jego imię.

– Moi wrogowie od lat starali się posiać w waszych sercach, rodacy, ziarno lęku przede mną, rozgłaszając,

jakoby celem moim była władza nad wami. Żadna kalumnia nie mogła być od tej podlejsza. Nigdy nie starałem się o nic innego, przyjaciele, jak tylko o to, by zasłużyć sobie na waszą pochwałę i przysporzyć wam takich błogosławieństw, które by was natchnęły myślą o sprawieniu mi tej radości. Lecz nie, to sformułowanie nie było precyzyjne. W moim myśleniu miasto nigdy nie jawiło się jako bezwolny odbiorca tego, co ja, jego dobroczyńca, na nie zsyłam. Byłoby to myślenie nie tylko zuchwałe, ale wręcz haniebne. W istocie pragnąłem – na podobieństwo oficera, który prowadzi swój oddział do bitwy – służyć miastu jako przewodnik i zarazem natchnienie; siłą mojej w nie wiary pragnąłem przywieść je do odrodzenia. Zmuszony dostosowywać swe kroki do zmiennych nakazów Konieczności, przez cały czas starałem się jednak prowadzić miasto ku temu, co stanowi jego najistotniejszy atrybut: ku aureoli chwały, która otaczała i na nowo musi otaczać ten symbol wolności i rzutkości, przez świat cały oglądany z podziwem i zazdrością.

Ponowny ogłuszający wybuch entuzjazmu na parę długich chwil zmusił go do milczenia.

– Obywatele Aten, obsypaliście mnie takimi zaszczytami, jakich żaden człowiek w pojedynkę nie

udźwignie. Pozwólcie więc, że wezwę posiłki.

Tu gestem zachęcił do wystąpienia naprzód resztę dowódców, którzy dotychczas stali w milczeniu po obu jego bokach.

– Z dumą przedstawiam wam waszych synów, których bojowym czynom zawdzięczamy tę godzinę chwały. Pozwólcie mi wymienić ich imiona i niechaj oczy wasze sycą się widokiem mężnych zwycięzców. Trazybulos jest nieobecny, obecni są jednak: Teramenes, Trasyllós, Konon, Adajmantos, Erazynides, Tymochares, Leon, Diomedon i Perykles.

Każdy z wymienionych postępował o krok i pozdrawiał tłum wzniesieniem dłoni lub ukłonem i każdemu towarzyszyła nie kończąca się lista bojowych zasług.

– Stoją wszyscy ci mężowie przed wami nie tylko z racji swych czynów, ale także reprezentując tysiące tych, którzy wciąż trwają na swych oddalonych od kraju posterunkach. To oni wszyscy – powiedzmy w końcu tę prawdę – tworzą potęgę, dzięki której nieprzyjaciel wyparty został z naszych mórz.

Ryk uznania, jaki teraz się rozległ, przyćmił wszystkie poprzednie. Alkibiades poczekał, aż tumult się uspokoi.

– Ale nie przeceniajmy triumfu, jaki już

osiągnęliśmy, albowiem wciąż jeszcze nasi wrogowie okupują połowę naszego imperium. Ich napełniane przez Persów skarbce dziesięciokrotnie bogatsze są od naszych, a ich duch bojowy wcale jeszcze nie został doszczętnie zdławiony, lecz przeciwnie, dzięki naszym zwycięstwom odradza się i rozplómienia. Teraz jednak nareszcie, przyjaciele, Ateny posiadły tę wolę i tę zwartość, które pozwolą się im wszystkim przeciwstawić, a następnie wszystkich pokonać. Jeśli tylko będziemy sobą, nie przegramy.

Powitano to tak potężnym krzykiem, że aż dachówki zaczęły się osypywać na ulice. Ktoś zawrzasnął:

– Niech zobaczy swój dom!

W jednej chwili fala ludzi zalała podniesienie i porwała wszystkich z sobą w stronę Skambonidoju, ku dawnej posiadłości Alkibiadesa, postanowieniem zgromadzenia odnowionej i na nowo wyposażonej w oczekiwaniu jego powrotu. Fala ta była tak potężna, że bramy placu, które wystarczały nawet na tak wielkie procesje jak panatenajska, nie zdołały jej przełknąć i ku powszechnej wesołości zatkały się.

Radość osiągnęła szczyty, gdy nagle przepchnął się przez cizbę jakiś mniej więcej sześćdziesięcioletni mężczyzna i krzyknął do Alkibiadesa:

– A gdzie są ci spod Syrakuz, ty zdradziecki łotrze?!

Podniosły się gniewne głosy nakazujące mu milczenie.

– Nie ma tutaj ich duchów, żeby krzyczeć na twoją cześć, ty bezbożny renegacie!

Więcej już nie zdołał wykrzyczeć, gdyż natychmiast zagarnął go i uciszył tłum. Jedyne, co było widać, to wznoszące się i spadające pięści, a potem stopy, kopiące i deptające powalonego.

Obróciłem się ku Alkibiadesowi, by zobaczyć jego reakcję, lecz inni całkowicie mi go zasłonili; spostrzegłem za to wyraz twarzy znajdującego się w pobliżu mnie Euryptolemosa.

Była w jego rysach taka rozpacz, a we wzroku tak złowieszcze przeczucie, że zaćmić by mogły nawet słońce na bezchmurnym niebie".

35. POZA ZASIĘGIEM ZAWIŚCI

„Pięć dni później prytanowie zwołali zgromadzenie. Wiele spraw przygotowanych zostało przez Radę, jako to kwestia państwowego skarbcza, już niemal pustego; ponowne obliczenie należnych trybutów, które winny wpłynąć z krajów imperium; odnowienie *eisphory*, podatku wojennego; wpływy z opłat za korzystanie z cieśnin; nadto zaś sprawy floty i armii, odznaczeń za męstwo, sądów polowych oraz oskarżeń o zaniedbanie i sprzeniewierzenie, a wreszcie – dalsze prowadzenie wojny. Wszyscy się stawili, jednakże nikt nie chciał przemawiać. W zgromadzeniu huczało tylko niczym w ulu, dopóki nie pojawił się Alkibiades, a wówczas powitany został z takim namaszczeniem i uwielbieniem, że znowu nie można było przystąpić do obrad, gdyż ilekroć postawiony został projekt jakiejś ustawy lub zarządzenia, zaraz ktoś występował z wnioskiem o kolejny wyraz uznania dla wodza. Nie lepiej było następnego ani trzeciego dnia obrad, gdyż ilekroć *epistates*, prowadzący, przedstawiał jakiś projekt, nieodmiennie wszystkie głowy kierowały się ku Alkibiadesowi w oczekiwaniu jakiegoś komentarza z jego ust lub któregoś z jego towarzyszy. Nikt nie krzyknął »tak«, dopóki on nie

wyraził aprobaty, ani »nie«, dopóki on nie zmarszczył brwi z niechęcią.

Zgromadzenie znalazło się w stanie paraliżu; nie mogło wypełniać swego zasadniczego zadania, którym była dyskusja, z powodu przyćmiewającej wszystko świetności najznakomitszego członka. Co gorsza, ta niedorzeczność nie dotyczyła wyłącznie publicznej debaty. Tak znaczne osoby, jak Eurypoteles i Perykles, o których sądzono, że mają wpływ na Alkibiadesa, znalazły się w całkowitym obłężeniu; otaczali tych mężów bezustannie nie tylko pospolici petenci, ale także przyjaciele i współpracownicy, którzy nie dawali im spokoju gratulacjami i propozycjami wszelkiego rodzaju usług.

Okazało się, że zgromadzenie składa się z samych zwolenników Alkibiadesa. Nikt nie był wobec niego w opozycji. Nawet gdy on sam zaapelował do zebranych, by bez żadnej obawy wypowiedzieli swój sprzeciw, w dalszym ciągu jeśli ktokolwiek spoza jego koterii wstawał, by zabrać głos, to jedynie po to, aby poprzeć propozycję jego popleczników, albo – z góry spodziewając się, jaki w danej sprawie padnie z tamtej strony głos – uprzedzali go, występując z takim samym wnioskiem. Kiedy Alkibiades opuścił zgromadzenie, aby swoją nieobecnością zachęcić do prawdziwej

debaty, pozostali po prostu rozeszli się do domów; po cóż bowiem było tam siedzieć, skoro Alkibiades poszedł? Kiedy on udawał się na obiad, pozostali robili to samo. Nie mógł zgoła odejść na stronę, żeby ulżyć pęcherzowi, bez asysty całej gromady innych, którzy rywalizowali pomiędzy sobą o to, kto będzie szczał bliżej niego.

Potem nastąpił jego eleuzyński triumf. Święta procesja, z której lądowej części przez lata spartańskiego oblężenia rezygnowano, niesławnie ograniczając ją tylko do morskiego etapu, dzięki Alkibiadesowi odzyskała całą swą dawną wspaniałość, jako że stustadionowa trasa pochodu nowicjuszy i tych, którzy weszli w wiek inicjacji, osłaniana była przez konnicę i piechotę, przeto bezsilny nieprzyjaciół mógł tylko z daleka śledzić jego przebieg. Byłem tam i widziałem twarze niewiast, które cisnęły się wokół swego zbawcy, ocierając łzy, zaklinając dwie boginie, które niegdyś znieważył i dał w ten sposób przyczynę wszelkim nieszczęściom, aby teraz zechciały łaskawym wzrokiem spojrzeć na tego męża, którego silne ramię osłania je i oddaje im cześć. Wyglądało więc na to, iż Alkibiades zyskał wszelkie możliwe poparcie nie tylko ze strony ludzkiej, ale i boskiej.

Rozsądek podpowiadał, że w końcu musi opaść fala

tego szaleństwa, tak się jednakowoż nie działo. Gdziekolwiek się ruszył, podążały za nim tłumy, i to takie, że w porównaniu z nimi Samos i Olimpia zdawały się dzieciennym placem zabaw. Gdy pewnego razu Alkibiades w otoczeniu swej świty udał się na przechadzkę aleją zwaną Małym Torem, z której można było od tyłu wejść do Okrągłej Komnaty, otoczył ich taki tłum, że Diotymos i Adajmantos, w dodatku ze swymi połowicami, które akurat im towarzyszyły, tak przyparciu zostali do ogrodzenia alei, iż niewiasty zaczęły krzyczeć, że się duszą. Eskortujący całą grupę żołnierze zmuszeni byli w końcu sforsować zamknięte wejście do prywatnej rezydencji, w której przypadkiem znajdowali się wówczas dyplomaci z małżonkami; gdy z gorącymi przeprosinami wkroczyli do środka, ujrzeli tylko gromadkę służących, ponieważ reszta obecnych w popłochu uciekła tylnymi drzwiami. Służące z rozdziawionymi ustami wpatrywały się w Alkibiadesa, który siedział na ustawionej na dziedzińcu ławce z twarzą zakrytą rękoma, zupełnie rozstrojony histerią, z jaką się właśnie był zetknął.

Przepędzaliśmy natrętów z latryn, z dachów oraz z grobowców jego przodków. Zwariowani wielbiciele po nocach śpiewali mu pod oknami pieśni. Przez mury

jego domu przerzucano przeróżne pochwalne teksty tudzież poematy, przy czym dla pewności rzutu autorzy obciążali swe dzieła kamieniami i kawałkami drewna; ich grad stawał się niekiedy tak gęsty, że trzeba było wnosić do domu wszystko, co mogło zostać rozbite lub uszkodzone, a dzieci musiały się bawić wewnątrz, żeby nie trafił ich któryś z bałwochwalczych pocisków. Pojawili się sprzedawcy, u których można było nabyć podobiznę Alkibiadesa namalowaną na talerzach i kieliszkach do jajek, wrytą na medalionach, wyhaftowaną na przepaskach na głowę lub na ściereczkach do kurzu, na proporczykach i papierowych latawcach. Na każdym rogu ulicy można było nabyć jego portreciki zwane »chwytaczami szczęścia« oraz małe stateczki z masztem i żagielkiem, ozdobione literami *nu* oraz *alpha*, symbolizującymi zwycięstwo i Alkibiadesa. Za obola sprzedawano modele »Antiopy«. Proste i szczere serca skłoniły spólstwo do wyznawania nowego kultu; przez otwarte drzwi mieszkań można było dojrzeć półeczki z tandetnymi figurkami wodza, będące czymś w rodzaju ołtarzyków ku czci półboga.

Nachodziły go delegacje bractw i rad plemiennych, wyznawcy kultów herosów i przodków, przedstawiciele stowarzyszeń weteranów, cechów

rzemieślniczych i związków rezydentów zagranicznych, a ponadto stowarzyszeń kobiet, stowarzyszeń starców i stowarzyszeń młodzieńców; niektórzy z nich przybywali po to, by dochodzić swych krzywd, inni, by zaświadczyć o swym poparciu, jeszcze inni po to, by mu wręczyć coś, co dla jakiejś sekty miało być największą świętością, a okazywało się skrzynią zawierającą jakąś nedorzecznosc, którą żołnierze musieli odebrać w porcie i ciągnąć na wózku do adresata. Głównie jednak zdarzało się, że owe delegacje stawały przed nim bez żadnego w istocie powodu po to tylko, by go po prostu z bliska zobaczyć. Tak naprawdę złożenie Alkibiadesowi wizyty, która niczym nie była uzasadniona, stało się jak gdyby punktem honoru pewnych ludzi, mających jeszcze i tę cechę, że zjawiali się z nagła i bez uprzedniej zapowiedzi, uważając, iż zaplanowanie takiej wizyty pachnieć by mogło jakąś prywatą.

Zjawiali się zatem: o świcie stolarze, z otwarciem targu synowie Danaosa, potem nadzorcy stoczni floty, garncarze i tak dalej, i tym podobnie; a wszyscy z takim samym bagażem bombastycznych deklaracji, niczemności i samozadowolenia. Kritiasz, który sam miał pewnego dnia stać się tyranem, wyraził tego rodzaju postawę w wierszu.

To dzięki mnie ustawa się ta ukazała, Co cię z wygnania do dom zapraszała. Jam to publiczne poruszył sumienie I spowodował twoje zaproszenie.

Nie sposób było znaleźć nikogo, kto by swego czasu głosował przeciwko niemu lub zasiadał wśród sędziów, którzy go skazali; ci wszyscy musieli się chyba udać na Hiperboreje lub do piekła. Nie zdarzyło się nigdy, aby mówca jakiejś delegacji zdołał dokończyć swoje panegiryczne wystąpienie, gdyż zagłuszały go spontanicznie skandowane okrzyki jego współdelegatów: »Autokrator! Autokrator!«. Wszyscy od samego rana chcieli, by Alkibiades stał się panem państwa i rządził bez żadnych konstytucyjnych ograniczeń; ku wieczorowi wysłuchiwał głosów nieco trzeźwiej myślących grup, jako to rycerzy lub hoplitów, ludzi floty lub cechu kupców, którzy popierając tę propozycję, uzasadniali ją tym, że winien on postawić się w pozycji, w której nie mógłby już być obiektem czyjejsz zazdrości lub zawiści. Każda z tych koterii przestrzegała go przed niejednolitością i zmiennością *demosu*. Jacyś »oni« mieli się obrócić przeciw niemu, jakichś »ich« dla niego oddanie miało się okazać zawodne. Gdy nadejdzie godzina takiej zdrady, wywodzili zwolennicy systemu posłuszeństwa, Alkibiades musi mieć absolutny wpływ na rząd nad

miastem, gra szła bowiem o najwyższą stawkę: przetrwanie całego narodu.

Dwunastego wieczoru od rozpoczęcia obrad zgromadzenia w domu Kalliasza, syna Hipponikosa, zebrało się grono najenergiczniej działających i najbardziej wpływowych osób, których rzecznikiem był Kritiasz. Oświadczył on, że jeśli Alkibiades wyrazi zgodę, to on sam następnego ranka przedstawi projekt odpowiedniej ustawy. Przyjęta by ona została przez aklamację. Miasto nareszcie samo siebie zabezpieczyłoby przed skutkami swych rozhuśtanych namiętności. Można by kontynuować wojnę i doprowadzić ją do zwycięskiego końca.

Alkibiades nie wypowiedział się w tej sprawie. W jego imieniu przemówił Euryptolemos.

– Ależ, Kritiaszu – zauważył tonem, którego łagodność kontrastowała z powagą zastrzeżenia. – Propozycja taka byłaby sprzeczna z prawem.

– Z całym szacunkiem, mój przyjacielu – usłyszał w odpowiedzi – ale to *demos* stanowi prawo. Prawem staje się to, co on powiedział.

Alkibiades w dalszym ciągu milczał.

– Pozwól mi się upewnić, że dobrze cię rozumiem – kontynuował Euryptolemos. – Mielibyśmy się zgodzić, aby ten sam *demos*, który wbrew prawu

skazał i wygnał mego kuzyna, teraz, równie bezprawnie, uczynił go dyktatorem?

– Wtedy lud działał w przypiływie szaleństwa – oświadczył z pewnością siebie Kritiasz. – Dzisiaj kieruje się rozsądkiem".

36. ZNIEKSZTAŁCAJĄCE SZKIEŁKO

„Jak wiesz, Alkibiades odrzucił propozycję Kritiasza, cytując przy tym przyganę poety:

Tyrania to wspaniała grzęda, tyle że zstąpić z niej już nie ma dokąd.

Gdy wiadomość o tym geście samoograniczenia rozeszła się wśród ludności, jego popularność jeszcze wzrosła do niebotycznych już rozmiarów.

Jego nieprzyjaciołom nie trzeba jednak było wiele czasu, by to wykorzystać. Nader cierpka ironia losu wyzierała z faktu, że i tak już bardzo przedziwnie z sobą zjednoczeni mężowie, jak Kleofon, Anitos, Kefizofon i Myrtilos, orędownicy oligarchii, pobrali się z radykalnymi demokratami, nie tylko przemawiając jednym z nimi głosem, ale propagując wyłącznie takie posunięcia, które by mogły znaleźć uznanie w obozie Alkibiadesa; innymi słowy stali się jego najzagorzalszymi i najposłusznieszymi pochlebcami, realizując strategię, którą później z upodobaniem objaśniali satyryczni poeci, a którą można by określić jako »przealkibiadesowywanie« społeczeństwa, aby w końcu tak się przejadło swoim idolem, żeby go z obrzydzeniem wypluć.

Nikt lepiej nie zdawał sobie sprawy z tego

zagrożenia od samego Alkibiadesa. Ograniczył on swoje najbliższe otoczenie wyłącznie do towarzyszy młodości i wojny – Eurypolemosa, Adajmantosa, Arystokratesa, Diotimosa i Mantiteusza – co do których miał poczucie, że kochają go jako takiego, a nie tylko, jak to ujął poeta Agaton, patrzą nań poprzez zniekształcające szkiełko własnych nadziei i lęków. Ja sam również znalazłem się wówczas w tym kręgu zaufanych.

Alkibiades obarczał mnie najróżniejszymi oficjalnymi misjami. Posłał mnie, abym przemówił do ugrupowań osób osieroconych w wyniku kampanii sycylijskiej, a następnie działał w Komitecie, który miał określić miejsce, gdzie stanie pomnik ku czci poległych na Sycylii. Uczestniczyłem w obrzędach ofiarnych, przy różnych oficjalnych okazjach reprezentowałem piechotę morską jego floty, przyjmowałem potencjalnych sprzymierzeńców, a także próbowałem skłonić nieprzyjaciół do podporządkowania się mojemu dowódcy, a nawet ich w tym celu zastraszyć. Było to wszystko bardzo dla mnie męczące i po jakimś czasie poprosiłem go, żeby mnie od tego uwolnił. Chciał się najpierw dowiedzieć, jakiego rodzaju mam zastrzeżenia.

– Jestem przez tych ludzi traktowany nie jako ja,

lecz jakiś powstały w ich wyobraźni »Polemides«. To do niego się wszyscy zwracają, a nie do mnie.

Zaśmiał się na to.

– Zostałeś politykiem.

Do tego czasu udawało mi się trzymać z dala od politycznych układów. Teraz było to już niemożliwe. Życie samo stało się polityką. Spotykając się z kimś, nie można było traktować go po prostu jako towarzysza broni czy znajomego, lecz trzeba go było najpierw określić jako zwolennika lub adwersarza i wedle tego tylko kryterium odnosić się do niego: co może zrobić dla naszego stronnictwa, i to dziś, a nie później; świadomym będąc przy tym, że on ze swej strony czyni dokładnie to samo. Nie można już było z nikim po prostu rozmawiać; trzeba było negocjować. Nie mówiło się, lecz kogoś lub coś reprezentowało. Wszystko musiało być podporządkowane zamierzonemu celowi; oddychało się jedynie po to, by zawrzeć jakiś układ. Okazywało się to jednakowoż jedną wielką złudą; w tej materii wszystko było ulotne jak dym. Wielu bowiem mogło ci powiedzieć »nie«, lecz tylko jeden »tak«, a bez owego »tak« nic w istocie nie miałeś w rękach. Wartość poszczególnych ludzi wzrastała i spadała niczym cena baranów na bydłącym targu, tyle że mierzona była nie w pieniądzu, a we

wpływach. Nigdy przedtem ani potem tak często się do ludzi nie uśmiechałem, żadnej do tego nie przykładając wagi, ani też nie spotykałem tylu przyjaciół, dla których niejako ja nie znaczyłem. Czegokolwiek się człowiek tknął, traciło wartość, która utożsamiała się już tylko z użytecznością. Od nikogo nie można się było spodziewać odpowiedzialności bądź dotrzymania danego słowa ani samemu niczego nie wolno było przyrzekać czy też zobowiązywać się do najzwyczajszych nawet rzeczy, lecz należało każdą sprawę traktować jako otwartą aż do ostatniej chwili, kiedy już wszystko się rozstrzygało; wcześniej dałeś słowo swemu przyjacielowi, to teraz na polecenie innego przyjaciela musisz je cofnąć i jak najszybciej wskakiwać w główną koleinę, na której będziesz miał największe szanse powodzenia. O świcie stałem z wieńcem na czole, składając bogom ofiarę; wieczorem zawierałem układy z donosicielami i sprzedawczykami. Wszystko to nie było w moim stylu; budziło we mnie wstręt.

Mógłby ktoś na to powiedzieć, że bądź co bądź szło przecież w tej grze o nadzwyczajnej wagi rzeczy, i nawet w istocie tak było; nie tylko o to chodziło, jak nasze stronnictwo poradzi sobie z politycznym przeciwnikiem, lecz i o to, jak schrupawszy go, usunie

tę przeszkodę z naszej drogi. Mnie jednak dotkliwie brakowało nie tylko mej małżonki, ale również jej braci i ojca, i tej ich charakterystycznej dla ludzi uprawiających ziemię bezpośrednio, która – co uświadomiłem sobie, znalazłszy się w oddaleniu – uczyniła ich domostwo moim, a ich samych moją rodziną.

I oto przyszło mi się uwikłać w polityczne sieci.

Zamieszkałem wraz z moją ciotką w Melite. Zwierzyłem się jej z zamiaru wystąpienia ze służby i osiedlenia się z Aurorą i dzieckiem na Zakręcie Drogi, przywracając tę majątność do poprzedniego stanu. Było moim gorącym pragnieniem, aby i ciotka tam z nami zamieszkała. Zbudowałbym dla niej osobny domek; mogłaby tam rządzić po swojemu i wcielić się w rolę matki rodu. Odpowiedziała mi na to, że zawsze marzyła o wiejskim domku. Wtuliłem jej dłonie w swoje; zdawało mi się, że wystarczy ominąć jeszcze tylko jedną rafę, a wpłynę na wody szczęśliwości.

Udałem się do archiwum, aby zgłosić swój zamiar rozpoczęcia budowy na naszych ziemiach w Acharnie. Doznałem szoku, kiedy urzędnik poinformował mnie, że ktoś inny zgłosił swoje pretensje do tej posiadłości.

Cóż to znowu? Jakiś żart?

Pokazano mi wówczas dokumenty. Niejaki

Aksjomenes z Kolonosu, o którym nigdy nie słyszałem, powołując się na wojenną śmierć moją, mego brata i wcześniej zmarłego ojca, wystąpił o przejęcie praw do pozbawionego właściciela Zakrętu Drogi, a nawet wpłacił depozyt, *parakatabole*, w wysokości jednej dziesiątej wartości majątku.

Już o świcie następnego dnia stawiłem się w urzędzie archonta, aby ustalić z urzędnikiem termin *diamartyrii*, czyli przesłuchania, podczas którego znani sądowi świadkowie będą mogli zaświadczyć, że w samej rzeczy jestem synem i prawowitym spadkobiercą mego ojca. Sądziłem, że tym sposobem definitywnie uporam się z tym nonsensem. Kiedy jednak w południe udałem się konno na Zakręt Drogi, ujrzałem pracujących tam robotników. Przypadek sprawił, że właśnie w tym momencie pojawili się trzej synowie wzmiankowanego Aksjomenesa i zachowując się wobec mnie z nieznośną arogancją, pokazali mi będące w ich posiadaniu papiery, po czym zażądali, abym niezwłocznie opuścił ich ziemię. Tak się złożyło, że byłem w wojskowym stroju i miałem u boku galowy miecz. Być może podszeptał mi to jakiś złowrogi *daimon*, niemniej dłoń poleciała mi ku rękoności i choć w porę się opanowałem i nie wyciągnąłem broni z pochwy, to sam ten gest oraz towarzyszący mu wyraz

wściekłości na mej twarzy sprawiły, że moi przerażeni i oburzeni antagoniści rzucili się do ucieczki. Biegając, wyklinali mnie i odgrażali się, że zniszczą mnie w sądzie.

– I nie próbuj szukać pomocy u swojego protektora, Alkibiadesa – wrzasnął najstarszy – bo nawet on nie stoi ponad prawem!

Polityk z prawdziwego zdarzenia od razu domyśliłby się, jaki to przebiegły plan kryje się za całą tą machinacją. Ja tego nie przejrzałem. Byłem tak tym wszystkim ogłupiony, że poprosiłem o radę kilku przyjaciół, w tym i mojego dowódcę, Peryklesa; ten, będąc równie prostolinijnym jak ja człowiekiem, postanowił wraz ze mną złożyć wizytę w domu owego Aksjomenesa, by rzecz całą wyjaśnić w rozmowie. Kiedy nas człowiek ten przyjął, przeprosiłem go za swoje zachowanie, po czym opanowanym tonem przedstawiłem mu moje prawne położenie, które było niepodważalne: nie zostałem zabity na wojnie; posiadłość należała do mnie; połóżmy więc kres całemu temu nieporozumieniu, a za swój niefortunny wybuch gotów jestem dać jego synom odpowiednie zadośćuczynienie.

– I żebyś wiedział, że je dasz! – odparł na to ten łotr, który, jak się okazało, już złożył w Radzie

oskarżenie przeciwko mnie.

Oskarżenie o co?

– O zdradę.

Ten zbój dobrze przegrzebał moją przeszłość i między innymi odkrył szczególne okoliczności, w jakich zostałem uwolniony z syrakuzkańskiego kamieniołomu. Jak to ujęte było w *eisangelii*, byłem »agentem i narzędziem Sparty«. Oskarżenie powoływało się na moje szkolenie w Lacedemonie, na fakt, że tam właśnie zostałem przewieziony z Sycylii, na to, że służyłem w Azji pod Alkibiadesem »w przymierzu z wrogami Sparty«, a nawet na zniekształcenie mojego i mego ojca imienia, nie wspominając już o różnych innych występkach, jak krzywoprzysięstwo, kalumnie i fałszerstwa.

Sprawa przybrała więc poważny obrót; oskarżenie tej rangi groziło nie tylko wyrokiem śmierci, ale osoba oskarżona podlegała *apagoge*, czyli aresztowaniu przed procesem. Od tej chwili nie wolno mi będzie zamknąć oczu bez obawy, że moi wrogowie pod groźbą miecza porwą mnie z domu.

Postanowiłem uporać się z tą sprawą, nie zwracając nią głowy Alkibiadesowi. Sam jednak o niej usłyszał i zawezwał mnie do siebie, mianowicie do swej stadniny w Erchii, gdzie zwykł wczesnym

rankiem zażywać przejażdżek dla przewietrzenia umysłu.

– Sprawa ta – powiedział mi od razu – nie przeciw tobie jest skierowana, mój przyjacielu, lecz przeciwko mnie. I nie jest ona jedyną tego rodzaju.

Już około czterdziestu pozwów sądowych, poinformował mnie następnie, złożono w ciągu ostatnich jedenastu dni, a wszystkie skierowano przeciwko jego bliskim towarzyszom i wszystkie miały za podstawę ten sam zarzut: współdziałanie z wrogiem. Jego oponenti mieli nadzieję, że sumarycznym rezultatem tej akcji będzie odrodzenie się nieufności wobec Alkibiadesa i ukazanie go jako tajnego współpracownika Sparty. Moja sprawa to błahostka. Ten cały Aksjomenes, wyjaśniał mi dalej Alkibiades, był podstawionym człowiekiem Eutydemosa z Kidatenajosu, stryja Antyfona i przedstawiciela kultu Heraklesa w tamtym okręgu – ultraoligarchicznego klubu politycznego, który jednoczyła z innymi tego typu ugrupowaniami nienawiść do Alkibiadesa i stanowczy zamiar obalenia go.

– Przykro mi, że zostałeś wmieszany w moje sprawy, Pommo. Kto wie jednak, czy nasi wrogowie sami niechęć nie dali nam do rąk atutu w o wiele większej grze. Ufasz mi, stary druhu?

Otóż gdybym się zgodził, to posłuży się moja sprawą dla ogólnej korzyści.

On także złoży wniosek o prawa do Zakrętu Drogi, składając zarazem pozew o *dike pseudomartyria*, fałszywe świadectwo; następnie zgodzi się, by wyznaczono tymczasowego zarządcę majątku w osobie wskazanego przeze mnie członka rodu, który by zawiadywał posiadłością do czasu mego powrotu.

– Powrotu? Skąd?

– Na razie, Pommo, nie wolno ci odpierać oskarżenia o zdradę. Musisz postąpić tak, jak gdyby zarzut ten był prawdziwy. Musisz zbiec z Aten.

W owej chwili myślałem jedynie o mej małżonce i ciotce. Jakże mógłbym im to wytłumaczyć? Jak zadbać o przyszłość dziecka? Jeśli ucieknę, będąc oskarżonym, to Aurora i dziecko nie będą mogli przybyć do Aten. A ja, czy ucieczką nie potwierdzę swej winy, ryzykując dożywotnie wygnanie?

– Czy kiedykolwiek nie stanąłem w twojej obronie, Pommo?

Alkibiades zapewnił mnie, że jak długo będzie przy władzy, żaden człowiek ani żadne prawo nie uczyni krzywdy mnie ani mojej rodzinie, że przywróci wszystko do porządku i z nawiązką odplaci się naszym prześladowcom.

– Nasi wrogowie uważają cię za zwolennika Sparty. Dobrze więc. Utrzymamy ich w tym mniemaniu.

Chciał, żebym przeszedł na stronę nieprzyjaciela. Miałbym przedostać się do Efezu, spartańskiego bastionu w regionie egejskim, gdzie teraz rządził Lizander, świeżo wyniesiony do rangi naczelnego dowódcy floty. Fakt, że mnie znał, wsparty atutem w postaci sformułowanych przeciwko mnie oskarżeń, otworzy mi drzwi do jego kwatery. Oficjalnie winienem się przedstawiać jako całkiem prywatna osoba, kiedy mnie jednak Lizander wezwie na rozmowę, co było pewne, mam mu wyznać, że w rzeczywistości jestem wysłannikiem Alkibiadesa i przybywam, aby zaświadczyć o szczerości jego intencji w kwestii przymierza ze Spartanami i zaofiarować gotowość do służenia w charakterze łącznika, gdyby Lizander skłonny był taki sojusz zawrzeć.

Co się tyczy wyroku, jaki zapadnie wobec mnie w Atenach, Alkibiades zobowiązał się, że po prostu jako strateg autokrator, najwyższy wódz, wyda postanowienie o ułaskawieniu mnie.

– Zatem uczyn tak od razu – zażądałem.

Milczał przez chwilę, patrząc mi w oczy bez

gniewu, lecz nieustępliwie.

– Tu chodzi o wielkie sprawy, Pommo.

– Twoje wielkie sprawy.

– Które stawiają mnie w tak samo przymusowej sytuacji, jak i ciebie.

Co do mojej ucieczki, to miał dodatkowy pomysł. Mniej więcej dziesięć dni wcześniej przywieziono do Aten z Chalkidyki kilka kompanii jeńców wojennych. Znalazłem wśród nich mojego starego kamrata Telamona. Załatwiłem, że go uwolniono i skierowano do lazaretu, w którym obecnie kurował rany. Nie poinformowałem o tym Alkibiadesa ani żadnego z moich zwierzchników, sądząc, że w niczym się nie spostrzegą. On oczywiście wiedział o wszystkim.

– Wyciągnij swojego protegowanego z łap rzeźników i ucieknijcie we dwójkę. Zdobędziecie w ten sposób reputację zbirów do wynajęcia, co w oczach Lizandra dodatkowo umocni twoją wiarygodność. Kto wie nawet, czy nie zechce was wynająć do zamordowania mnie.

Cóż mi innego pozostało? Musiałem zbiec.

– Bynajmniej nie cieszy mnie to, że wykorzystuję twój zły los, Pommo. Ale w rozpaczliwym położeniu musimy się imać rozpaczliwych środków. Wiem, że nic cię nie obchodzą tego rodzaju argumenty, lecz jeśli

ta misja zakończy się powodzeniem, to zmieni ona losy nie tylko Grecji, ale i całego świata.

– Masz rację – odpowiedziałem. – To już mnie nic nie obchodzi.

Akurat w tym momencie wrócili z przejażdżki po wzgórzach Eurypoteles i Mantiteusz. Los mój został przypieczętowany, gdyż obaj byli tego samego zdania, co wódz. Eurypoteles nie miał najmniejszych wątpliwości co do tego, że powinienem uciekać przed wyrokiem; nie wolno mi dać się wpakować za kraty. Do procesu mogło jeszcze upłynąć kilka ładnych miesięcy; któż zdołałby przewidzieć, w jakim nastroju będzie *demos* w chwili jego rozpoczęcia? Szaleństwem byłoby kusić los, wystawiając się na wyrok ateńskich sędziów, tym bardziej że ci, którzy mieliby być moimi obrońcami, mogliby znowu, i to szybko, zostać wysłani na wojnę.

– Rozchmurz się, Pommo, to może tylko poprawić twój życiorys! – kuzyn Alkibiadesa roześmiał się i położył mi dłoń na ramieniu. – Czyżbyś jeszcze nie wiedział, że nikt nie może się uważać za prawdziwego syna Aten, kto nie został wygnany i skazany na śmierć?".

37. POLOWANIE NA PARNESIE

„Moja ucieczka była niejako ubocznym projektem wielkiego planu, który parę dni wcześniej zaczął wprowadzać w życie Alkibiades. Na ten właśnie plan jego wrogowie odpowiedzieli między innymi ową kampanią procesów sądowych. Z pewnością są wśród twoich krewnych i przyjaciół, Jazonie, tacy, którzy byli tam obecni owego interesującego mnie wieczoru; nie wątpię przeto, że wiesz, o co w tym wszystkim chodziło, jednakże pozwól, że zrelacjonuję to tak, jak moja pamięć mi podpowiada.

Otóż w kilka dni po powrocie do Aten, niedługo po swym eleuzyńskim triumfie, Alkibiades urządził polowanie na zboczach Parnesu, do udziału w nim zapraszając nie tylko przychylnych sobie mężów, ale i pewną liczbę osobistych i politycznych wrogów, takich jak Anitos i Kefizofon, późniejszy tyran Kritiasz, a także Lampon, Hagnon oraz twój stryj Myrtilos; ci trzej ostatni reprezentowali skrajne skrzydło Partii Dobra i Prawdy, w której skład wchodził najzawziętsi oskarżyciele Alkibiadesa w tak zwanej sprawie misteriów. Byli również zaproszeni Kleofon i Kleonimus, reprezentujący najzagorzalszy odłam radykalnych demokratów, a ponadto Charykles, który

wraz z Pajzandrem podjudzał w owych dniach lud przeciwko Alkibiadesowi, a w okresie terroru, do którego doprowadziła jego i innych zaciekłość, proponował między innymi zniesienie dekretu zakazującego torturowania obywateli. Owo polowanie na Parnesie miało być, jak to dawał do zrozumienia Alkibiades, samym czubkiem gałązki oliwnej, którą wyciągał ku swym byłym wrogom; chciał z niego uczynić okazję do zawarcia pokoju.

Samo polowanie było wcale niebagatelnym aktem odwagi ze strony jego gospodarza. W okolicy wciąż znajdowało się wielu Spartan, jako że fort dekelejski leżał o niecałych sześćdziesiąt stadionów od tego miejsca, toteż okazana przez Alkibiadesa śmiałość rozpała wyobraźnię miasta, gdyż nawet najbardziej zapaleni myśliwi od lat nie odważali się zapuszczać w tę okolicę. Bo też w samej rzeczy Spartanie tak bardzo czuli się jej panami, że ich zwiadowcy w pewnych okresach czynili sobie z tamtejszej rezydencji myśliwskiej swoją bazę i spiżarnię, a kiedy na skutek trzęsienia ziemi zawalił się komin, to go nawet sami odbudowali. Nie sposób więc było odmówić takiemu zaproszeniu, kiedy w mieście wrzało, a w dodatku ochotnicy z oddziałów jazdy udali się przodem, aby zapewnić myśliwym ochronę. Nie mówiąc już

oczywiście o tym, że wszyscy płonęli z ciekawości, czekając, jaką to kartę Alkibiades wyciągnie z rękawa.

Żywioty stanowczo nie sprzyjały temu przedsięwzięciu: w ciągu obu dni polowania lało. Same łowy okazały się jednak wielce udane, czego dowodem był fakt, że powróciwszy do myśliwskiego domu – tak przemoczeni, iż musieli się zupełnie rozdziać i, powiesiwszy odzienie przed kominkiem, żeby najpierw wyparowało, a potem wyschło, sami musieli wymoczyć umęczone mięśnie w wielkich kotłach z gorącą wodą, aby z kolei zażyć masażu, połączonego z nacieraniem ciał oliwą, a wreszcie pokrzepić się sławnym lokalnym czerwonym winem, któremu towarzyszyły gruszki, figi i ser – żaden z myśliwych się nie skarżył, główny posiłek zaś, przyrządzony z upolowanego ptactwa, dziczyzny i pieczonych gęsi, nikomu nie zdał się niesmaczny ani niedostatecznie obfity.

Nasyciwszy pragnienie i głód, uczestnicy polowania usadowili się na sofach w głównej komnacie, którą ogrzewało łącznie osiem palenisk, tworzących cztery obite miedzią kominki. Gdy już tropiciele, naganiacze, psiarze i służący zostali odprawieni, a pozostali wyłącznie osobiści adiutanci, na których dyskrecji można było polegać, grono

biesiadników liczyło około trzydziestu szlachetnych obywateli. Euryptolemos, Adajmantos, Mantiteusz, Arystokrates i młodszy Perykles uczestniczyli w tym spotkaniu niejako z ramienia gospodarza; Teramenes, Trazybulos, Prokles i Ariston oraz jego towarzysze stanowili umiarkowane centrum; pozostali, których już wcześniej wymieniłem, należeli do opozycji. Taki podział stanowisk wśród zaproszonych nader sprzyjał złagodzeniu atmosfery wzajemnej wrogości. Wszyscy zdawali się znajdować w pogodnym i łagodnym nastroju, gdy odziany w myśliwski płaszcz gospodarz wstał ze swego miejsca przy kominku i zaczął obrady.

Rezygnując ze zwykłych w takich sytuacjach wstępów, przeszedł od razu do sprawy; zaproponował zakończenie wojny i zawiązanie sojuszu ze Spartą. Zanim jeszcze jego goście ochłonęli ze zdumienia, przedstawił następną propozycję, czyli wspólną wojnę przeciwko Persji, przy czym jej obiektem miałoby być nie tylko wyzwolenie greckich miast Azji Mniejszej, ale – po dokonaniu tego – ofensywa w głąb lądu na Sardes, Suzę i Persepolis, a więc podbicie całego imperium, aż po Indie.

Zuchwałość takiego przedsięwzięcia dosłownie zaparła dech w piersiach słuchaczom, z których kilku, zaledwie odzyskawszy głos, natychmiast wybuchnęło

śmiechem, podczas gdy pozostali zaczęli pytać mówcę, czy jest pewny, że nie pożegnał się z rozumem.

Wówczas Alkibiades przystąpił do objaśniania korzyści, które przyniosłoby takie przedsięwzięcie; najpierw praktycznych, wśród których pierwszą i natychmiastową byłoby pozbycie się Spartan z Attyki, dzięki czemu wszyscy odzyskaliby swoje okupowane posiadłości. Już samo to dałoby nadzwyczajne rezultaty: ułagodzenie wrogości bogatych posiadaczy i w konsekwencji zaniechanie przez nich spisków i intryg przeciwko demokracji. Oddajmy im ich winnice i stadniny, a wówczas zaniechają myśli o obaleniu państwa. A przy tym zyski z takiego obrotu sprawy przypadłyby nie tylko samej arystokracji. *Demos* również miałby z tego korzyść; nie tylko obywatele Aten, nie będący posiadaczami, lecz także nie mające obywatelstwa rzesze cudzoziemskich rezydentów, obcokrajowców, a nawet niewolników, których główny trzon chętniej szy był do czynu niż Ateńczycy.

– Zapewnijmy im łupy i chwałę, tym razem walcząc nie pomiędzy sobą, ale przeciwko ociekającym złotem barbarzyńcom, a wówczas także i oni przestaną się burzyć. To jest coś, przyjaciele moi i goście, co nazywam »karmieniem Potwora«. Oznacza ono postawienie przed wszystkimi ścierającymi się

między sobą niespokojnymi warstwami i grupami społecznymi celu, który zaspokajałby ich aspiracje, a przy tym nie skłócał jednych z drugimi, lecz jednoczył ich we wspólnym przedsięwzięciu. Dziś cała Grecja stała się takim potworem, ta wojna bowiem zdarła skórę z grzbietu każdego Hellena. W tym sensie wszyscy oni stali się Ateńczykami, nawet Spartanie.

Następnie w nader przekonywający sposób przedstawił Alkibiades aktualny polityczny obraz Sparty. Stronnictwo ekspansjonistyczne, na którego czele stoi Endiusz, z wielką chęcią podjęłoby taki kurs, gdyby tylko upewniło się co do szczerości naszej inicjatywy; podobna byłaby reakcja Kallikratidesa i całej starej gwardii, którą barbarzyńca napawa odrazą, a przy tym z trudem zwalcza ona w sobie pokusę sięgnięcia po złoto, które on ofiarowuje. Sojuszowi sprzeciwiać się będzie stronnictwo Agisa i Lizandra, nie dlatego, iżby nie wierzyli w jego użyteczność (gdyby pewni byli, że posłużyłby on ich własnym interesom, to wręcz rywalizowaliby pomiędzy sobą o objęcie nad nim przywództwa), lecz po prostu dlatego, że ich ambicje nazbyt ściśle są uzależnione od skarbcza perskiego księcia Cyrusa.

Nieoficjalni wysłannicy, wyjawiał zebrany Alkibiades, dawno już wysondowali stanowiska obu

tych stronnictw, a następní sã w drodze do Sparty; to, czego nie dałoby się osiągnąć racjonalnymi argumentami, osiągnęlibyśmy za pomocą złota. Tym pewniej, że fama o niezwyciężalności Persów to jedynie mit. Ich armia, złożona z poborowych z podbitych państw, rozproszyłaby się pod naciskiem choćby nawet wojsk spartańskich drugiego rzutu, tak samo jak pierzchnęła przed nami podczas wojny hellesponckiej, a flota w konfrontacji z ateńską armadą okazałaby się papierowym tygrysem.

Z kolei Alkibiades odmalował perski system rządów, oparty na niezależnych satrapach, pomiędzy którymi król doprowadził do podziałów. Dariusz podupadł na zdrowiu; walka o sukcesję po nim podzieliła całą Azję. Gdyby jeszcze w tym momencie nasze armie zadały jej cios w podbrzusze, mogłoby się rozpaść całe imperium. W ujęciu Alkibiadesa wszystko to wyglądało tak prawdopodobnie, że mogło się wydać niemal nieuchronne, zwłaszcza gdyby doszło do sojuszy z Macedoniã i Tracjã, której ksiãżęta byli mu osobiście bardzo przychylni, a nadto z greckimi miastami Jonii, których celem zawsze była niepodległość, zatem jak jedno stanęłyby pod sztandarem zjednoczonej ojczystej ziemi.

Słuchacze tych wywodów byli wytrawnymi

politykami, którzy zdawali sobie sprawę z różnicy, jaka zachodzi pomiędzy postawieniem sobie celu a jego osiągnięciem, temu więc aspektowi swego planu poświęcił Alkibiades następną część wystąpienia.

– Rozważcie, szlachetni moi goście, położenie, w jakim stawia ta propozycja Spartan. Zgrupowali oni wokół siebie sojuszników pod hasłem »wolności«, co w istocie nic innego nie znaczyło, jak tylko uwolnienie się od nas. Lecz teraz to my przejmujemy z ich rąk tę wolnościową flagę, zmuszając ich tym samym do dokonania wyboru, który może ich państwem wstrząsnąć aż do samych fundamentów. Zastanówcie się z kolei nad ewentualną reakcją niepodległych państw greckich. Wszystkie one wzdragają się przed przymierzem z takimi potęgami, jak Sparta lub Ateny, a to z obawy przed pożarciem i utratą niepodległości, albo też z lęku przed tym, że sojusz tych dwóch nieprzyjaznych sobie greckich potęg zakończy się ich natychmiastową klęską. Jeśliby jednakowoż sojusz ten skierowany był przeciw nie-Grekom, ryzyko takie niepomiarne by zmalało. Gdyby się rozpadł, pozostałaby możliwość opowiedzenia się za jednym przeciw drugiemu; gdyby wojna została przegrana, to dla każdego z tych greckich państw oznaczałoby to nie utratę niepodległości, lecz tylko ludzi i okrętów,

jednakże w przypadku zwycięstwa – niewyobrażalne bogactwa oraz chwałę.

Zaczynając Alkibiades przeszedł do ostatniego punktu swej analizy:

– Popatrzmy wreszcie, w jakim położeniu stawia to Persów. Sparta jest teraz ich sojusznikiem. Nawet jeśli odrzuci naszą ofertę, to zważywszy na fakt, że każdy nowy dowódca perskiej floty jest Spartaninem, Persowie będą się musieli zastanawiać nad tym, jakie są osobiste przekonania tychże Spartan i na ile można im ufać. Z naszego punktu widzenia skutek będzie taki, że nawet jeśli dalej wojować będziemy ze Spartą, to zasiejemy wśród naszych wrogów ziarno wzajemnej nieufności, co nas w dodatku nic nie będzie kosztowało.

W tym miejscu Alkibiades powiedział coś, czego się nikt nie spodziewał:

– Kleofonie, Anitosie i Charyklesie, chciałbym, żebyście to wy wystąpili z tą propozycją. Nie ja. Albowiem tego rodzaju oferta musi być złożona przez moich wrogów. Wysłuchajcie mnie i przemyślcie sobie następujące rzeczy. Gdybym to ja lub ktokolwiek inny z mojego stronnictwa przedłożył ten plan ludowi, to zostałoby to odebrane jako nierozważna zuchwałość, którą podyktowała mi duma. Oskarżono by mnie o

działanie na korzyść Sparty, a to z racji mojego z nią przeszłego przymierza, albo – co gorsza – o to, że zostałem przez nią przekupiony; za którymi to oskarżeniami poszłyby zapewne następne: o zdradę, osobiste ambicje, własny interes i tak dalej. Wy sami bez wątpienia wystąpilibyście z takimi zarzutami. Z drugiej wszelako strony, jeśli to wasze stronnictwa, których stała wrogość wobec Spartan nie ulega dla nikogo wątpliwości, wystąpią z taką propozycją, to natychmiast stanie się ona wiarygodna, a co więcej, powitana zostanie jako wyraz śmiałej strategicznej wizji i zyskacie dodatkowy kredyt zaufania. Co do mnie zaś, to poprę was wszystkimi sposobami, jakimi rozporządzam.

Alkibiades przemawiał do ludzi, którym w żadnym razie nie można było zarzucić głupoty. Wszyscy oni natychmiast pojęli genialność tego planu oraz koncepcji, że miałby on zostać wysunięty przez nieprzyjaciół Alkibiadesa. Gdyby Anitos i Charykles z ramienia oligarchów lub Kleofon jako radykalny demokratą wystąpili z tą propozycją i we własnym imieniu ją forsowali, to Alkibiades albo osiągnąłby swój cel, jeśli rzeczywiście taki był jego zamiśl, albo też, co bardziej prawdopodobne, postawiłby swych nieprzyjaciół w położeniu, w którym łatwo mógłby ich

zdradzić: potępić projekt jako zdradę, a ich samych nazwać zdrajcami, zaprzeczając, jakoby kiedykolwiek o takim planie słyszał, i domagając się postawienia jego twórców przed najsurowszym sądem.

Załóżmy jednak, że usiłują oni zapobiec takiemu niebezpieczeństwu i uprzedzić atak, demaskując przed miastem zarówno ów plan, jak i Alkibiadesa jako jego autora, samym się od tego pomysłu odcinając; lecz cóż, jeśli okaże się, że *demos* się za tym projektem opowiada? Wtedy skutek będzie taki, jakby sami pod sobą podcięli gałąź, padając ofiarą własnej zjadłości i perfidii. Jakkolwiek więc potoczyłyby się sprawy, przeciwnicy Alkibiadesa byłiby zgubieni, on zaś albo objawiłby się jako bezinteresownie szczodry i dalekowzroczny mąż stanu, który oto dał swym wrogom szansę zabłyśnięcia, oni jednak okazawszy się krótkowzrocznymi, odrzucili ją, albo też ukazałby się ludowi jako nieskazitelny patriota, któremu wbili nóż w plecy ci sami ludzie, którzy raz już pozbawili miasto jego największego geniusza. Wrogowie Alkibiadesa wyszliby z tego cało tylko w przypadku, gdyby jego plan został odrzucony, lecz któż ośmieliłby się podjąć takie ryzyko w chwili, gdy jego gwiazda świeciła najjaśniejszym blaskiem?

Powstał Charykles, ów przyszyły zwolennik tortur.

– Dlaczego zadajesz sobie tyle trudu, żeby wymyślać wielce skomplikowane plany zniszczenia nas? Dlaczego nie posłużysz się po prostu mordem? My na twoim miejscu tak właśnie byśmy postąpili.

Alkibiades roześmiał się.

– To byłoby bez porównania mniej zabawne!

Ale zaraz ponownie przybrał kamienny wyraz twarzy, by z całym przekonaniem zapewnić ich, że jak najpoważniej obstaje przy swoim planie.

– Pieprzenie! – warknął Charykles. – Prędzej znajdziemy się obaj w piekle niż w Persepolis!

Co powiedziawszy, opuścił zgromadzenie.

Dyskusja przeciągnęła się do późna w nocy. Duży w niej udział mieli Kritiasz, Kleofon i Anitos, którzy obszernie przedstawiali swe opinie. Kritiasz zgodnie z oczekiwaniem opowiedział się za sojuszem ze Spartą, lecz wyraził obawę co do reakcji społeczeństwa, natomiast Anitos atakował ten pomysł jako »antyateński« i w istocie zdradziecki, zarzucając Alkibiadesowi, że traktuje miasto jako poręczny środek do osiągnięcia własnych celów, jednakże w rzeczywistości nic go ono nie obchodzi: jest dla niego jedynie »świecidełkiem, którym chce ozdobić swoją tiarę«. Trzeba Anitosowi oddać tę sprawiedliwość, że przemawiał do swego wroga wprost, niczego nie

owijając w bawełnę.

Kiedy minęła północ, ja i młody Perykles udaliśmy się na spoczynek do przydzielonej nam klitki. Jeszcze przez jakiś czas z głównej komnaty dobiegały nas głosy obradujących, wreszcie jednak cały dom myśliwski pograżył się w ciszy.

Przeżyte w ciągu ubiegłego dnia emocje nie pozwoliły nam spać głęboko i długo; obu nas obudził głód, toteż zakradliśmy się na palcach do spiżarni. Ku naszemu zdumieniu zastaliśmy w kuchni całkowicie rozbudzonego Alkibiadesa, który już dyktował swemu sekretarzowi listy.

– Pommo i Perykles! Cóż was tu sprowadza o takiej porze, moi drodzy? Ochota na późną kolację czy na wczesny obiad?

Niezwłocznie przerwał dyktowanie i podsunąwszy nam do wielkiego stołu ławę, zaoferował się jako kuchcik, proponując zimne mięso i chleb. Zabrał się do tego, nie mieszkając, posławszy spać zmęczonego sekretarza; przygotowując posiłek, wypytał, jak się nam układa i jak mają się nasze rodziny.

– Nie odważyłem się zadać ci tego pytania w obecności innych – odezwał się niepewnym tonem Perykles – ale czy to możliwe, kuzynie, żebyś poważnie myślał o całym tym planie?

– Ze śmiertelną powagą, przyjacielu.

– Ale chyba nie spodziewasz się, żeby ten nocny zjazd pozostał w tajemnicy, nieprawdaż? Ja nie byłbym zdziwiony, gdyby już teraz wieści o tym wszystkim były w drodze do Aten.

Alkibiades uśmiechnął się.

– Ta narada przeznaczona była dla wielu audytoriów, Peryklesie. W najmniejszej mierze dla tych, którzy w niej uczestniczyli.

Po chwili milczenia podjął innym już tonem, w którym wyraźnie pobrzmiewała szczerłość, a zarazem owe akcenty, które pojawiają się w głosie mistrzów przemawiających do swych uczniów lub kapłanów, którzy wtajemniczają słuchaczy w misteria kultu.

– Spróbujcie zrozumieć, co można by dzięki temu osiągnąć. Zwycięstwo nad Spartą to złuda. Czerpiąc z perskiego skarbcza, czy też nie, jej armia pozostanie niezwyciężona. Nikt zresztą nie chciałby jej upadku, nawet gdyby to było możliwe, gdyż w rezultacie takiej klęski, jak to ujął Kimon, Grecja by okulała, Atenom zaś nie miałby kto towarzyszyć w jarzmie zaprzęgu.

Co zatem jest możliwe? Z pewnością nie pokój; pokoju Grecy nigdy nie zaznali i nie zazną. Raczej nieco inna, szlachetniejsza wojna. Taka, która nie tylko powstrzymałaby Potwora przed pożarciem własnych

wnętrznosci, lecz przybrawszy bezprecedensową skalę i rozmach, pozwoliłaby najniżej urodzonym wybić się na świetność, a najświetniejszym – osiągnąć nieśmiertelną chwałę.

Podał nam chleb i mięso, my zaś zastanawialiśmy się nad śmiałością jego wizji i niezmierzonością jego ambicji.

– Można pojąć twój zamiar, Alkibiadesie. Ale, z całą szczerością, czy takie przedsięwzięcie w ogóle może się powieść?

– Musi, i powiedzie się.

Teraz on także usiadł przy stole i widząc na twarzy Peryklesa wyraz niedowierzania, przystąpił do wykładu, który był tak wspaniały i tak nadzwyczajnie ujawniał sposób funkcjonowania jego umysłu, że kiedyśmy już wrócili do naszych ateńskich kwater, mój dowódca zadał sobie niezwykle trud spisania tej jego przemowy najwierniej, jak obaj zdołaliśmy odtworzyć ją z pamięci.

– Większość ludzi sądzi – zaczął Alkibiades – że życiem jest tylko to, co zwiemy jawą, podczas gdy nasze sny to jedynie niematerialne zjawy, które nawiedzają nocami nasze odpoczywające ciała. Dzikie plemiona, które żyją za bityńską Tracją, twierdzą coś przeciwnego. Dla nich prawdziwą egzystencją jest to

właśnie, co przeżywamy w naszych snach, jawę zaś uważają za złudzenie. Potrafią wypatrzeć zwierzynę, to znaczy przepowiedzieć miejsce, w którym się pojawi, na podstawie snów, które – jak twierdzą – nawiedzają ich w noc poprzedzającą polowanie. Polowałem z nimi i wierzę, że to prawda. Potrafią wchodzić w sny i wychodzić z nich wedle własnej woli, twierdząc przy tym, że najbardziej się lękają śmierci podczas snu, a za nic mają tę, która ich spotka na jawie, jako że sen trwa, kiedy zamieszkiwane przezeń ciało jest już martwe.

– Cóż za nonsens! – zakrzyknął Perykles. – Skoro umarłeś we śnie, to nie budzisz się martwy. Za to jak cię załatwią w dzień, to więcej już nie zaśniesz!

Alkibiades skwitował to uśmiechem.

– A jednak wyczuwamy jakiś świat, który istnieje poza tym ziemskim. Nie jest to co prawda sen, ale jednak jakaś możliwość. Coś, czego wprawdzie nie ma, ale jest prawdopodobne. I co możemy przywołać. Jak chłopiec, który leżąc nad brzegiem strumyka, może włożyć rękę do wody i podjąć z dna kamyk. Tak właśnie wszyscy żyjemy, prawda? Zwierzę dostrzega jedynie materię, ale człowiek widzi sny. Co do mnie, to żywiłem się snami. Nie tylko po to, żeby się samemu nimi sycić, lecz także po to, by sprawiać z nich ucztę innym. Po tym właśnie rozpoznają się

wielcy mężowie, a wodzowie snami swymi porywają za sobą wolnych ludzi.

Zastanawiał się przez chwilę.

– Ale nie każdy sen ma taką moc sprawczą. Ma ją ten jeden, który, na podobieństwo owego kamyka na dnie strumienia, dawno już został wypatrzony. I ma on własne imię. Brzmi ono: Konieczność. Albowiem Konieczność to sen. Marzenie. To, co krzyczy do nas, abyśmy pomogli mu przyjść na świat, a ci, którzy potrafią tego dokonać, to wodzowie. Jako chłopiec często zauważałem tę właściwość w Peryklesie starszym: był on otóż zdolny – i to wyłącznie dzięki własnej, a nie jakiejś spływającej na niego sile – określić teraźniejszość i przyszłość nie tylko w odniesieniu do własnej osoby, ale i wobec innych ludzi. Potrafił im powiedzieć, co widzieli, a następnie ukazać im to w takim kształcie, w jakim on sam to widział i w jakim odtąd również oni będą to postrzegali. Dzięki tym właśnie zdolnościom panował nad miastem i światem. Podobnego rodzaju zdolnością dzielą się ze sobą kochankowie: starszy niejako uszlachetnia młodszego, przelewając weń swą wznioslejszą i dalekowzroczniejszą wizję. Albowiem wszyscy chłopcy, a także większość mężczyzn, są nader niedoskonali. Nie tylko w swym jestestwie, ale i

w swoich aspiracjach, które są przeciętne, nacechowane próżnością i samolubnością. Ja otrzymałem taki właśnie dar od Sokratesa, który uwznioślił moje aspiracje, pozwalając mi uświadomić sobie, że owa siła, z jaką mnie do siebie przyciągał, była zarówno największym darem, jaki mąż ofiarować może swoim współczesnym, jak i najpotężniejszym narzędziem ambicji. Cóż bowiem może przyczynić człowiekowi większego szacunku wśród rodaków niż to, że potrafi im podarować szczęście i dobrobyt?

Zapewne zastanawiał się przez chwilę nad swym mistrzem, bo gdy znowu przemówił, to do jego właśnie nawiązał osoby.

– Sokrates – powiedział – stawia politykę niżej od filozofii i pod tym względem jestem z nim zgodny. Bo w końcu jakież wykształcony człowiek mógłby się z tym nie zgodzić? Jednakowoż filozofia nie może istnieć bez polityki. I z tego punktu widzenia polityka jest najszlachetniejszym powołaniem człowieka, gdyż to ona umożliwia wszystko inne. A jakże inaczej zdefiniować politykę, jeśli nie jako ukazywanie ludziom wizji tego, co jest ich przeznaczeniem, które oni sami czują, jednak tylko niedoskonale i fragmentarycznie.

– To nie o polityku mówisz, Alkibiadesie, lecz o

proroku!

– Prorok postrzega prawdę, Peryklesie, politycy zaś wcielają ją w rzeczywistość dla dobra swych rodaków i częstokroć wbrew nim samym.

– A w przypadku Aten – wtrącił mój dowódca – zarówno wbrew jej obywatelom, jak i wrogom.

W tym miejscu ja także odczułem potrzebę zadania pytania.

– Przypuśćmy, Alkibiadesie, że Temida siedziałyby z nami przy tym stole i zatrzymałyby cię teraz w rozpędzie, mówiąc: »Przyjacielu, jest coś, co pomijasz w swoich wywodach. Mnie. Albowiem to, co ty zwiesz Koniecznością, inni określają jako niesprawiedliwość, ucisk czy nawet morderstwo«. Co byś na to odpowiedział bogini Temidzie?

– Przypomniałbym wówczas Temidzie, przyjacielu, że Konieczność jest od niej nie tylko starsza, ale istniała wcześniej jeszcze, niż powstała Ziemia. Sprawiedliwość, o czym sama doskonale wie, nie zdoła zapanować nawet w niebie. Czemuż by w takim razie miała rządzić wśród śmiertelnych?

– To nader surowa wobec ludzi filozofia, Alkibiadesie.

– To filozofia siły i tych, którzy ją mają. Filozofia imperium. I wszyscy ją wyznają, którzy sprawują

władzę nad innymi państwami, jak Spartanie, Persowie oraz, ma się rozumieć, Ateńczycy. Bo jeśli nie, to czemuż nie uwalniają ich spod swej władzy? Ponieważ oznaczałoby to ich upadek, a tym samym sprzeniewierzenie się swemu przeznaczeniu. To zaś byłoby w moim przekonaniu większą zbrodnią niż niesprawiedliwość, zwłaszcza gdy chodzi o tak łagodne charaktery, jakimi my się odznaczamy, dzięki czemu zapewniamy tym ludom większe bezpieczeństwo i większy dobrobyt, niż by się go mogły spodziewać od swoich państw, gdyby mogły one egzystować w oderwaniu od nas. Lecz o to właśnie chodzi, przyjaciele. Tak zwane podległe nam państwa nie są nam podległe w głębszym tego słowa znaczeniu, to znaczy, nie trzymamy ich przy sobie siłą; są one niejako zmuszone dorównywać nam w tym, co w nas największe i najwspanialsze, gdyż przyciąga je do nas nasza doskonałość. Bo jeśli tak nie jest, to czemu ich synowie zbiegają się do naszego miasta i do naszej floty, nawet w najcięższych dla niej chwilach? Otóż ich przeznaczenie nierozdzielnie łączy się z naszym, tak samo jak los wszystkich tych pogrążonych teraz w uśpieniu państw, które ockną się i z własnej woli, radośnie staną u naszego boku, kiedy będziemy ruszać na Azję.

– A zatem chodzi ci nie tylko o Ateny, Alkibiadesie, ale też o ich wasali i wrogów?

– I o świat cały! – dopełnił tej ironii Perykles.

Alkibiades odpowiedział na to również ironią, lecz subtelną jak wodny pył. Wskazał stojący przed nami półmisek i talerze.

– Ja po prostu zastawiłem stół i tylko przypatruję się moim towarzyszom, którzy się posilają.

Wracając do naszej sypialenki, mijaliśmy pokoje, w których ulokowani byli Anitos, Kritiasz i Charykles; za ich drzwiami wciąż jeszcze słychać było poruszenia i konspiracyjne poszeptywania. Wrogowie Alkibiadesa starali się wymyślić coś, co pozwoliłoby im go zniszczyć. Ani im przeszło przez głowy, że ten, który miał wyzuć ze wszystkiego i jego, i ich samych, w tej właśnie chwili wypływał z Kastolosu w Jonii pod ochroną Karanedionu, królewskiej jazdy perskiego księcia Cyrusa".

Księga ósma

PO TRZYKROĆ DZIEWIĘĆ LAT

38. WAGA ZŁOTA

„Czy widziałeś kiedy, Jazonie, furgon załadowany złotem?

To nawet nie wygląda na jakiś znaczny ciężar. Ot, dwie zawinięte w owcze futro sztaby, nie szersze niż pniaki do kominka, a jednak tak ciężkie, jak dowiedzieliśmy się z Telamonem od oficerów eskorty, którzy nam pozwolili w Efezie zerknąć na swój ładunek, że aby je umieścić na dennicy, trzeba się posłużyć blokiem i wciągać je po pochyłej rampie, zbitej z drewnianych kłoców. Każda sztaba musi zostać ułożona równo nad osią furgonu, bo inaczej deski dennicy mogłyby się złamać pod ich ciężarem. Ciągnąć je muszą woły; konie czy muły poradziłyby sobie z takim obciążeniem na płaskim, ale już nie pod górę.

Księżę Cyrus przywiózł do Kastolosu dziesięć takich furgonów z poleceniem od swego ojca, Dariusza, aby za to złoto zaopatrzyć Spartan we wszystko, czego im będzie potrzeba do zniszczenia ateńskiej floty. Oprócz tego, jak mówiono, księżę zaofiarował na ten cel swoją osobistą fortunę, a podobno ślubował nawet w razie potrzeby potrzaskać swój złoty tron. Wszystko to w sumie stanowiło

równowartość pięciu tysięcy talentów, czyli dziesięciokrotnie więcej, niż zawierał skarbiec Aten. Już wiesz, przyjacielu, co wygrało tę wojnę dla Lizandra?

Ateńscy żeglarze dostawali trzy obole żołdu; Lizander płacił cztery. Typowa ateńska załoga w trzech czwartych składała się wtedy z cudzoziemców; na niektórych okrętach służyło zaledwie dwudziestu naszych obywateli. Werbownicy Lizandra nie mieliby kłopotów z podkupieniem obcokrajowców. Tym bardziej że Spartanie płacili »na pachółku«, pełną miesięczną należność, a nie tylko jedną trzecią jak nasi płatniczowie, którzy całość wypłacali dopiero po powrocie do macierzystego portu...".

[ststsi Dokładnie w tej właśnie chwili – co wiem z całą pewnością, gdyż moje zapiski urwały się w pół zdania – Polemides przerwał swą opowieść, ponieważ na Żelaznym Dziedzińcu zrobiło się poruszenie. Pojawił się dozorca i zameldował, że jakaś niewiasta, podająca się za małżonkę więźnia, wdarła się do strażnicy i używając nadzwyczaj ordynarnego słownictwa, domaga się, żeby ją do niego zaprowadzono. Musiała to być Eunike.

„Co mam jej powiedzieć?”.

„Że jestem zajęty”.

Słyszeliśmy jej wyzwiska i przekleństwa, których nie powstydziliby się żaden bosman, kiedy odzwierny wyprowadzał ją z dziedzińca.

„Oto jedyny przywilej więźnia – zauważył Polemides. – Prawo do całkowitej prywatności”.

Incydent ten jednakowoż rozproszył jego skupienie, a że ja także miałem jeszcze inne obowiązki, skróciliśmy nasze spotkanie. Choć w tym akurat punkcie opowieści, drogi wnuku, mogłem uzupełnić relację Polemidesa kilkoma dokumentami, które znalazły się w moim posiadaniu.

Oto zapiski z kapitańskiego dziennika młodszego Peryklesa, który w owym czasie dowodził »Kaliopę«, wręczone mi przez niego po procesie strategów, osądzonych za Arginy. Dają one szkieletowy obraz pierwszego etapu kampanii przeciwko Lizandrowi.

8 hekatombajon, cieśnina Mykale. Oblegamy Pedagoga. (Takie przezwisko, na przemian z Nauczycielem i Profesorem, nadali Lizandrowi Ateńczycy). Nie chce stanąć do zabawy.

12 hek. Blokujemy Efez. Prof. ma 76, my 54, nie wytyka nosa. 27 hek. Najeżdżamy wioski na wschód od Elei. Wzięliśmy 60, większość niewiasty, wartość może 1 miny. 6 rannych, 4 ciężko. Żołd: 40 dni zaległości.

3 metagejtnion, Imbros. Pościg za 2 esk., 6 i 8 okr., cały dzień od Myriny. Schr. się na brz., nocą uciekły.

11 meta. Enos, Tracja. Płądrowanie. 4 rannych. Żołdu nie ma. 14 meta. Kolejne wsie. Żołdu nie ma.

2 bedromion, Samos. »Nieugięty« zatoń. Alkib. z 3 esk. ściga Liz. od Aspendos. Wciąż bez walki.

Takim to sposobem odpowiadali spartańscy nawarchowie na stan najwyższej gotowości bojowej floty nieprzyjaciela. Nie dawali się sprowokować do walki. Nie podejmowali jej.

Perykles pisze do swej małżonki Chione:

Inną jest dla dowódców rzeczą przejrzyć strategię Lizandra i uzbroić się w cierpliwość, nieodzowną, aby go pokonać, a całkiem inną – przekonać do tego ludzi. Załogi wyladowują swoją frustrację nie na Lizandrze, lecz na nas.

A tak instruuje swego syna Ksantypposa, już go przygotowując do roli dowódcy:

...przekleństwem oficera floty pozostają pieniądze. Nic, nawet stadnina koni nie zre tyle co okręt, a żaden okręt nie połyka gotówki tak chciwie jak trirema. Zwykła wymiana deski z jej czopowo-wpustową ciesiołką zmusza do przechylenia okrętu, wymontowania żebra, a niekiedy także wymiany i naprawy całej sekcji kadłuba, co jest robotą dla

wysoko wykwalifikowanych stoczniowych cieśli, nie mówiąc o tym, iż konieczne jest do tego właściwe drzewo, i to we właściwym wieku i o właściwych wymiarach; a gdzie to wszystko znaleźć akurat wtedy, kiedy jest niezbędnie potrzebne? Najwięksi jednak pożeracze pieniądza to ludzie, którzy ledwie go wezmą do ręki, to już wydadzą co do ostatniego drobniaka, co skądinąd trudno mieć im za złe, skoro zrywają sobie grzbiety bez względu na pogodę i w ciągłym zagrożeniu życia. Spróbuj im powiedzieć po dziesięciu dniach wiosłowania po osiemnaście godzin o suchym żarciu, bez snu i w dodatku na wrogim terytorium, że nie możesz zapłacić im nawet zaległości!

Trierarcha wyczerpuje cały kapitał swej wiarygodności za każdym razem, gdy sprawia tego rodzaju zawód swoim ludziom, i gorzko będzie tego żałował następnym razem, kiedy będą musieli walczyć; jeśli do tego jest bogaty, a musi przecież być (w każdym razie jego ludzie są o tym przekonani), bo inaczej miasto nie dałoby mu okrętu, to wściekli wiosłarze zapytają go, dlaczego teraz nie sięga do własnej kieszeni, żeby im zapłacić za ich trud, a potem odebrać sobie należność z państwowego skarbcza. I oczywiście wielu tak właśnie robi, doprowadzając się w rezultacie do ruiny. Bo jeśli kapitan raz zapłaci

swojej załodze z własnej kiesy, to nigdy już nie będzie jej mógł odmówić. Przestanie być dowódcą swoich ludzi, stając się ich niewolnikiem.

Największym talentem Alkibiadesa i tą jego umiejętnością, dzięki której potrafił tak długo utrzymywać w kupie bliską bankructwa flotę, jest mistrzostwo, z jakim wyciąga pieniądze z kasy miasta lub od władz okręgów wiejskich, pomimo wielkiego ich oporu. Albowiem wierz mi, że ci ziemscy posiadacze umieją chować swoje zasoby głębiej, niż Ty się zdołasz dokopać, i dopiero wrogowi dadzą, ile żąda, kiedy przypiecze im pięty. Jedyne Alkibiades potrafi z nich wydusić pieniądze bez stosowania tortur. Kontrybucje? On je wyczarowuje albo wyłudza, albo też wypisuje swoje słynne »gezety«, czyli »gwarancje zwrotu«. Tylko jego jedynego flota może wysyłać po pieniądze, bo nikt inny takim czarodziejem nie jest i nie poradzi sobie z tym zadaniem. Co w konsekwencji sprawia, że Alkibiades raz za razem musi zostawiać dowództwo tylko dlatego, iż trzeba zdobyć fundusze. Nadżera to morale floty jak kwas, lecz nie ma innego wyjścia. I Lizander o tym wie.

Przyciśnięci do muru przez brak gotówki nasi dowódcy muszą się zaznajomić z okropnym procederem, jakim jest grabież. To, co w niej

najstraszniejsze, to niebezpieczeństwo, na jakie wystawieni są wówczas ludzie. Żeglarze nie są ani fizycznie, ani mentalnie przygotowani do walki na lądzie; wytrąca ich ona z równowagi. Ci, którzy na morzu przodują, w trakcie marszu w głąb lądu przesuwiają się coraz bliżej końca kolumny, podczas gdy zbiry i łajdaki wysforowują się na czoło. Wioślarz nie bardzo sobie radzi z forsowaniem palisady, zaganianiem owiec czy spędzaniem dzieciaków i starych kobiet, które pośrednik sprzedaje potem w niewolę. Jeśli wioska stawia opór, ludzie najeżają się w sobie, ponurzeją i nie chcą iść do ataku. Lecz kiedy opór się załamuje, wpadają w szał. Popołniają okrucieństwa. Tego przede wszystkim lękają się oficerowie. Ponieważ każda zgwałcona dziewczyna to jeszcze jedna wioska, którą sami dajemy w prezencie nieprzyjacielowi, a w bliższej perspektywie budzimy żądzę zemsty w mężczyznach z rodu zgwałconej, którzy ścigają nas w powrotnej drodze, rażą tyły kolumny strzałami i kamieniami, a najbardziej zapalczywi atakują konno, obrzucając nas oszczepami; czego skutkiem musimy szybciej zmykać, więc żeby ulżyć nogom, pozbywamy się bezładnie części tego, po co się wyprawiliśmy, czyli łupów.

Taka wyprawa zawsze wraca z paroma

poszkodowanymi, co na okręcie powoduje piekielne kłopoty. Wystarczy jeden poważnie ranny, który jęczy z bólu, żeby skręcały się kiszki w brzuchach wszystkich pozostałych, a jeszcze gorzej jest, kiedy został oślepiiony lub poparzony. Największe nieszczęście to rana w genitalia; towarzysze rannego wpadają wtedy w straszliwą panikę i jedyne, co można wówczas zrobić, żeby uratować załogę przed straszliwymi skutkami działalności podburzaczy, którzy mogliby wywołać powszechny bunt, to natychmiast wydać rozkazy, które zmuszą ludzi do podjęcia wspólnej pracy. Bo można ludzi chłostać. Można ich przeciągać przez służę kotwiczną. Można nakazać żołnierzom piechoty morskiej wyselekcjonowanie któregoś z członków buntującej się załogi i takie jego ukaranie, żeby stanowiło nauczkę dla innych. Jednak okręt wojenny pływa nie tylko dzięki wylanemu potowi, lecz także dzięki sercom jego obsady. Wśród Twoich ludzi musi panować miłość, bo inaczej jesteś skończony jako dowódca.

39. GAWORZĄCE BOBASY

– Miałem tego dnia jeszcze trochę spraw do załatwienia – opowiadał dalej dziadek – w tym parę związanych z Sokratesem, którego już tylko cztery zachody słońca dzieliły od wykonania wydanego nań wyroku śmierci; kiedy wreszcie wróciłem do domu, było już dobrze po północy. Ku memu zdumieniu, na dziedzińcu czekała na mnie samotnie Eunikę, okryta od chłodu opończą. Okazało się, że przeczekała tak cały dzień, udawszy się do mnie wprost z więzienia, skąd usunęli ją strażnicy. Moja małżonka częstowała ją kolacją i oddawała do jej dyspozycji służącego, by jej towarzyszył w powrotnej drodze do domu, ona jednak postanowiła zostać i czekać. Musiała porozmawiać z Polemidesem. Sprawa była najwyższej wagi i pilności.

Byłem wyczerpany i niczego innego nie pragnąłem, jak tylko czary wina i ciepłego łóżka, wyczułem jednakże szansę, by wreszcie całą sprawę zgłębić do dna.

„Kto wystąpił z oskarżeniem Polemidesa o morderstwo? – spytałem ostrym tonem i bez żadnych wstępów. – Nie chodzi mi o nazwisko na dokumencie, bo je znam, ale o prawdziwego prześladowcę. Kto za tym stoi i co nim powoduje?”.

Eunike zerwała się z miejsca z wyrazem wzburzenia na obliczu, odmawiając jakichkolwiek informacji. Zaczęła się przechadzać niespokojnym krokiem, a potem mrużyć coś do siebie, co zaraz przeszło w stek ordynarnych przekleństw.

„W którym domu się zatrzymałaś?” – zapytałem, używając nie słowa *oikos*, lecz *oikema*, kojarzącego się z burdelem.

W domu Kolofona, odparła z gniewem, syna Hestiodorosa z Kollitos. Był to, jak wiedziałem, bratanek Anitosa, oskarżyciela Sokratesa, a w przeszłości najzaciętszego wroga Alkibiadesa. To brat Kolofona, Andron, przysiągł przed prokuratorem, że łączyło go z ofiarą rodowe pokrewieństwo, a także podał pod przysięgą inną datę dokonania zbrodni, aby można było wnieść oskarżenie, mimo iż upłynął okres przedawnienia.

„Czy także łóżko dzielisz z tym Kolofonem?”.

Obróciła się ku mnie z wyrazem wściekłości na twarzy.

„Czy to sąd? Od kiedy to jestem oskarżoną?”.

„Kto chce śmierci twojego męża, Eunike? Nie myślę o tej kanalii ani o jego bracie, im bowiem wystarczy, aby Polemides został wygnany, bo wtedy przejmą jego ziemię. Ktoś inny chce się go pozbyć raz

na (zawsze. Kto?"

Spojrzała mi prosto w oczy z takim w nich wyrazem, którego nigdy nie zapomnę. Poczuję się jak ktoś, kto stracił równowagę, gdyż, jak w wersji Hermipposa, czubkiem palucha dotknął prawdy.

To ona. Jakim sposobem? Zostając kochanką jakiegoś wpływowego człowieka? Czy może, nalegałem, odszukałaś tych, o których wiadomo ci było, że mają powody, by chcieć pozbyć się Polemidesa, a następnie naprowadziłaś ich na trop przestępstw, które umożliwiły jego aresztowanie?

Tak zapytana, rozplakała się.

„Nie masz pojęcia, panie, co to znaczy być niewiastą w świecie mężczyzn...”.

„I tym usprawiedliwiasz morderstwo?”.

„Dzieci są moje. Teraz już nie będzie mi ich mógł odebrać!”.

Bezsilnie usiadła i rozsłochała się, aż w końcu opowiedziała mi całą tę historię. Zaczęła się ona od jej syna, nazwanego imieniem ojca Polemidesa, Nikolaosa. Chłopak miał szesnaście lat i płonął właściwą temu wiekowi żądzą przygód. Wzrastając u boku licznych „wujków”, którzy dzielili posłanie matki, Nikolaos zaczął idealizować osobę ojca. Widywał go z rzadka i przez niedługi czas, a wiedząc,

że ociera się on o wielkie sprawy tego świata, tym skłonniejszy był do przydawania mu w wyobraźni blasku świetności. Owej glorii nie pomniejszył w jego oczach nawet fakt, że ojciec oskarżony został o morderstwo i uwięziony.

Nareszcie, wyznała mi teraz Eunikę, chłopiec uciekł z domu i dwukrotnie wstępował do wojska, posługując się fałszywymi nazwiskami i podrobionymi papierami. Zdemaskowany i aresztowany, znowu uciekł, tym razem do portowej dzielnicy Pireusu, gdzie jego ojciec dzielił wówczas życie z pewną wdową po jego towarzyszu z floty. Eunikę udało się odnaleźć syna, lecz nie zdołała go nakłonić do powrotu do domu. Bała się, że znalazłszy się w biedzie, prędzej czy później wstąpi do floty i z całą pewnością zginie. Tylko ojciec mógłby mu to wyperswadować. Muszę jej przeto pomóc. Muszę!

Jej szlochy i głośnie błagania zwróciły uwagę stróża, którym tej nocy był syn kucharza, bystry chłopak imieniem Hermon. Było późno i zimno.

„Musisz coś zjeść, niewiasto. Zapraszam cię do środka”.

Poleciłem chłopcu rozpalić pod kuchnią. Ustawiłem dla Eunikę krzesło przy ogniu i okryłem jej nogi owczym runem. Znane ci jest to miejsce, wnuku;

jest tam bardzo przytulnie i trochę węgla drzewnego w mig ją rozgrzało.

Nie zdołam zapewne w moim opowiadaniu w pełni oddać sprawiedliwości tej niewieście i wyrazić współczucia, jakie budziła we mnie jej osoba. Bo jakkolwiek posługiwała się ordynarnym językiem, to mówiła szczerze i wprost. Jeśli już nic innego, to sam fakt, że udawało się jej jakoś przeżyć, musiał budzić uznanie. Niebiosom tylko wiadomo, ile i jakich musiała doznać cierpień i trudów, tłukąc się wraz z dziećmi po barbarzyńskich krainach na końcu świata. Także i to, o co teraz zabiegała, mianowicie o uratowanie syna przed wojną, można było nazwać szlachetnym postępowaniem, jeśli się tylko odłożyło na bok sposób, w jaki to czyniła. Trzeba również przyznać, że nie była bynajmniej brzydka, a przy tym wygląd jej cechowała owa szczególna zmysłowość, jaka staje się udziałem niektórych niewiast po upływie czasu ich młodości, kiedy to ciężkie życie owocuje swego rodzaju wewnętrzną ugodą z samą sobą i własnym ciałem. Żeglarz powiedziałby pewnie, że była jeszcze całkiem do rzeczy. Co do mnie, to czułem dla niej przyjazne współczucie. Potrafiłem wyobrazić sobie jej wspólne życie z Polemidesem. Być może udałoby mi się nawet w tej sytuacji doprowadzić do

jakiegoś pojednania pomiędzy nimi. Wyznaję, że przyglądając się jej, kiedy tak siedziała przy ogniu, żałowałem przez chwilę, że nie znałem ich obojga w rozkwicie ich (i mojej) młodości, w otoczeniu pozostałych najemników i ich wojennych żon, i na tle portu.

Po jakimś czasie Eunikę przerwała milczenie.

„Do jakiego już doszedł miejsca?”.

Miała na myśli opowieść Polemidesa. Kiedy odpowiedziałem, że do Samos i do Efezu, chrząknęła sarkastycznie.

„Dużo bym dała, żeby usłyszeć ten stek bujd”.

Hermon podał chleb i gotowane jaja; zjadłszy to, Eunikę zdała się pokrzepiona, a jednocześnie wyraźnie mniej wroga i podejrziwa.

„A jakby mi się udało tak zrobić, żeby oskarżenie zostało wycofane? – zaproponowała. – Mogę się pieprzyć, z kim tylko zechcę, więc miałabym pieniądze na łapówki”.

Za późno. Ustalona już została data procesu.

„Polemides przez cały czas to wiedział, prawda? Że to ty kryłaś się za tymi oskarżeniami”.

Jej wzrok potwierdził prawdopodobieństwo tego przypuszczenia.

„On nie czuje wobec ciebie nienawiści, Eunikę.

Jestem tego pewny".

Obiecałem jej następnie zrobić wszystko, by Polemides pomógł jej w sprawie syna; sądziłem, że mi się to uda. Na jej obliczu wciąż jednak malował się smutek. Poruszony tym, nie wiedziałem, jak ją pocieszyć.

„Czy mogę ci zadać jedno pytanie?”.

„Przez cały czas prawie nic innego nie robisz, panie”.

Zacząłem ją wypytywać o jej życie z Polemidesem. Który jego okres był najlepszy? Kiedy czuli się z sobą najszcześliwsi?

Obrzuciła mnie wątpiącym spojrzeniem. Czy przypadkiem nie kpię sobie z niej?

„Najlepiej nam było wtedy, kiedy Atenom było najlepiej. Na Samos i w cieśninie. Kiedy Alkibiades zwyciężał”.

Nareszcie poczuła się swobodniej; okrywszy biodra owczą skórą tak, aby z jednej strony grzała ją wełna, a z drugiej ogień, pociągnęła łyk wina i zaczęła:

„Na Samos mieliśmy chatę. Pommo sprowadził nas z Aten, mnie i dzieci. To było ładne miejsce, nazywali je Tarasem. Cała uliczka siedziała na progach domów; wszyscy mężczyźni wypłynęli z flotą. To były przyjemne dni. Przyjemne towarzystwo. Miejsca pod

chaty wykute były w skale i zostawało trochę przestrzeni na mały ogródek. Dlatego nazywało się to Tarasem. Hodowaliśmy melony wielkie jak ludzkie głowy i sadziłyśmy kwiaty. Na szczytach kominów kręciły się żelazne *ptery*, metalowe skrzydełka, które pojękiwały przy silniejszym wietrze. Do dziś mam w uszach ten dźwięk i jego wspomnienie zaciska mi serce. Nigdy nie widziałam tylu naraz małych berbeci co tam. Wszystkie dziewczyny albo niedawno urodziły, albo były ciężarne; trzeba było uważać przy chodzeniu, bo wszędzie raczkowały gaworzące bobasy. Wszystkieśmy chciały dzieci, bo przecie żadna nie wiedziała, jak długo jeszcze będzie miała chłopca, nie? A to były chłopcy jeden w drugiego urodziwe. Nie tylko mój Pommo, chociaż on był wtedy w pełnym męskim rozkwicie, ale wszyscy. Tacy młodzi, tacy dzielni. I zawsze poranieni. Aż nawet jakby wstydem dla nich było nie mieć rany. Ale nie odchodzili od wiosła. Nawet tacy, co mieli złamaną nogę albo oślepli, albo dostali przez brzuch »rozwiazdą«. Wiesz, jak to jest, panie. Wszystko by ścierpieli, byle tylko nie zawieść towarzyszy. Jak który miał rozbity czerep, to mówili, że ma »ból głowy«. Do dziś pamiętam, jak jeden doktor poradził takiemu, co był w szoku, bo go cięło przez oczy: »Po prostu siedź na swoim miejscu«.

Przez chwilę uśmiechała się do tych wspomnień.

„Ustawiliśmy na naszej uliczce garnek. Wrzucało się do niego pieniądze; kto był w potrzebie, ten brał, a potem zwracał. Można było ten garnek zostawiać na noc, a nikt nic nie ukradł. Kiedy któryś z sąsiadów zginął, to jego pochówek płacony był z tych właśnie pieniędzy. Nie było żadnych band czy klik; wszyscy wszystkim byli przyjaciółmi. Nie trzeba nam było żadnych specjalnych rozrywek; wystarczyło się zebrać w gromadzie z takimi właśnie druhami. Nikt nie oszukiwał i nikt nic nikomu nie był winien. Mieliśmy wszystko, czego nam było trzeba – młodość i zwycięstwa. Mieliśmy okręty, mieliśmy załogi, mieliśmy Alkibiadesa. I to nam wystarczało. Bo zresztą komu by nie wystarczyło?”.

Opowiadając, Eunike obierała sobie jabłko; teraz wrzuciła do ognia skórkę, która zaskwierczała na ruszcie.

„Tylko Polemidesowi z Achamy to nie wystarczało. Znalazł sobie inną kobietę. Powiedział o tym? Nie jakąś tam byle jaką, ale damę. I ożenił się z nią, a mnie miał czelność nawet nie dopuścić na zaślubiny. Co ty na to, panie? Wydawało mu się, że skoro przeznaczył swój żołąd dla mnie, to już wszystko było w porządku. A chłopakowi i dziewczynie,

własnym dzieciom, nie powiedział nawet na pożegnanie »całujcie mnie gdzieś«. Bo on przecież zostanie dobrze urodzonym posiadaczem ziemskim, nie? Jak jego ojciec. Niezły kawał! Próbował ze mną uprawiać tę ziemię. Tylko że nie potrafił odróżnić świńskiego gówna od wieprzowej kiełbasy. Ale co tam! Dalej mi opowiadał, jak to spełniło się jego marzenie i jak mu się to w końcu opłaci. A ja, pomyśleć tylko, zabiłam dla niego człowieka. Toporem. Powiedział ci o tym, panie? To było w Eretrii. Rozplatałam nieszczęśnikowi łeb, bo był do nieprzytomności pijany i rzucił się na mojego mężczyznę. Dajcie mi teraz ten topór, to go wrzucę do zupy".

Zamilkła i przez długą chwilę siedziała nieruchomo, z niewidzącym wzrokiem, jedną ręką przykładając jabłko do policzka, a drugą obejmując się wpół jak dziecko.

„Ale po co mi teraz rozpamiętywać to, że mnie wczoraj opluto? Ona już gryzie ziemię, a i on niedługo pójdzie jej śladem. Załatwią go za Alkibiadesa. Tym razem już się nie wywinie".

Spytałem, czy kochała Polemidesa.

„Ja ich wszystkich kocham, panie. Nie stać mnie na to, żeby któregoś nie kochać".

Było już bardzo późno. Widać było po niej, że jest tak samo zmęczona jak ja. Zapewniłem ją, że porozmawiam z Polemidesem w sprawie syna i zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, żeby także jej umożliwić wstęp do więzienia. Przypomniałem jej pieniądze, których nie odebrała, i wręczyłem podwojoną sumę. Ale czy była pewna, że może o takiej godzinie zaryzykować wędrowkę po ulicach? Bez kłopotu mógłbym ją przenocować u siebie. Podziękowała mi, ale odmówiła, nie chcąc przyprawiać o niepokój tych, u których mieszkała. Kiedy już odprowadziłem ją do furtki i poleciłem słudze oświetlać jej drogę pochodnią, pod wpływem nagłego impulsu zadałem jeszcze jedno pytanie:

„Czy mogłabyś mi wyjaśnić, jak niewiasty patrzą na Alkibiadesa? Jakie wrażenie robi on na tobie, nie jako wódz, lecz jako mężczyzna?”.

Spojrzała na mnie z uśmiechem.

„Nasza kobieca rasa także pragnie chwały, panie. Tak samo jak męska. Ale gdzie możemy jej szukać? Nie w tych mężczyznach, których zwyciężamy, lecz w tych, których rodzimy”.

Powiedziałem jej wówczas, że staram się zrozumieć Timaeję, królową Sparty, która nie tylko dała się uwieść Alkibiadesowi, ale jeszcze chępiła się

swoją niewiernością.

Eunike nie dostrzegala w tym nic zagadkowego.

„Każda niewiasta na tym świecie, nie tylko królowa Sparty, ale i Helena sama, stanawszy przed tym mężczyzną, nie mogłaby nie poczuć w swoim łonie boskiego nakazu. Jakież dzieci mogłabym mieć z jego nasienia! Jakich synów!”.

Naciągnęła kaptur i już opuszczała woalkę, gdy raz jeszcze odwróciła się ku mnie.

„Czy naprawdę, panie, chciałbyś zrozumieć Pommo?”.

Zapewniłem ją o tym z całą szczerością.

„W młodości otworzył swoje serce tylko dla dwóch niewiast – powiedziała wówczas, patrząc już nie na mnie, lecz gdzieś w bok, wzrokiem sposepniałym. – Dla siostry i dla małżonki. Kiedy zaraza obie mu je zabrała, pogrzebał ich kości, ale nie pamięć o nich. A któraż kobieta z krwi i kości może rywalizować ze zjawami? Nie żyją, więc nawet nie można ich odpędzić przekleństwami”.

I dodała po chwili:

„Oto i cały Pommo, panie. I całe Ateny. Zaraza i wojna zabrały im nadzieję ich synów. I twoje też, jeśli dobrze czytam w twoich oczach”.

Wielkie na mnie uczyniła wrażenie prawda zawarta

w tych jej słowach.

„Jeśli czegoś ci będzie potrzeba, Eunike, nie wstydz się zwrócić do mnie. Co będę mógł, to dla ciebie zrobię”.

Opuściła woalkę i odwróciła się, gotowa do odejścia.

„Alkibiades dawał im nadzieję, panie. Sprawiał, że czuły w swych łonach kobiecość i nie przywiązywały wagi do wszystkich jego błędów i zbrodni. Alkibiades miał w sobie *eros*. On był *erosem*. I tylko ktoś taki jak on mógł wziąć sobie to miasto i tchnąć w nie nowego ducha”.

40. CZERWONA SZMATKA SPARTY

„Zanim udało się nam z Telamonem – kontynuował Polemides swoją relację – przez Aspendos, a następnie Nadbrzeżną Drogą przez Karię dotrzeć do Miletu, przyszła już jesień. Zresztą muszę wyznać, że upływ czasu mierzyłem wówczas nie według kalendarza, lecz w odniesieniu do Aurory, która miała urodzić za czterdzieści trzy dni, zaznaczone nacięciami na drzewcu mojej włóczni. Ostrzegłem mego kamrata, aby na mnie nie liczył, kiedy przyjdzie jej czas, gdyż będę wtedy na Samos, u jej boku.

– Nadzieja to występki popełniany przeciwko niebiosom – odparł na to Telamon.

Podążaliśmy traktem wystawionym na gwałtowne uderzenia szkwałów, przed południem niosąc tarczę na jednym ramieniu, po południu zaś na drugim. Dniem i nocą ciągnęły nim nieprzyjacielskie konwoje z wojennym zaopatrzeniem oraz oddziały to konnicy, to piechoty. Każdy przyczółek obsadzony był wojskiem, każda plaża została ufortyfikowana.

– Kiedyś byłeś wspaniały, Pommo, ponieważ gardziłeś swoim życiem. Teraz pełen jesteś nadziei, co czyni cię człowiekiem bezużytecznym. Powinienem cię rzucić i jeśli tego nie zrobiłem, to tylko przez

wzgląd na naszą wspólną przeszłość.

Wszystkie nadbrzeżne miasta Karii obsadzone były spartańskimi garnizonami i wszystkie bardzo się zmieniły, a najbardziej Milet. Za czasów Aten odbywało się tam Święto Flag. Niewiasty dekorowały ulice sztandarami i transparentami; rzemieślnicze cechy i bractwa zbierały się tłumnie na placach; miasto przez całe noce było roztańczone, odbywały się wyścigi z pochodniami i rozmaite zabawy. Teraz o niczym takim nie było mowy. Frontony domów były szare i nagie. Na nabrzeżach w basenie portowym mężczyźni zajmowali się swoją robotą i niczym więcej. Wszyscy musieli nosić na widoku coś czerwonego, jakąś szmatkę lub chustkę, na znak uległości wobec Spartan. Witano się nie tradycyjnym pozdrowieniem »Artemis!«, błogosławiąc boginię, lecz słowem »Wolność!«, które symbolizowało wyzwolenie spod tyranii Aten. I było to obowiązkowe.

Garnizon rządził wedle prawa wojennego; od zmierzchu do świtu obowiązywał zakaz poruszania się po mieście. Codziennym życiem zarządzały jednak Dziesiątki, czyli komitety polityczne złożone z co zamożniejszych obywateli, posiadaczy ziemskich i tym podobnych przedstawicieli mieszkańców. Odpowiedzialne były owe Dziesiątki nie przed

spartańskimi władzami, lecz osobiście przed Lizandrem. Za ateńskich czasów cywilne procesy odbywały się w Atenach, gdzie sądy niczym sępy obdzierały do szczętu skolonizowaną ludność; teraz wszakże tamte szwindle zdawały się ludziom igraszkami. Przed sądami Lizandra naruszenie cywilnego prawa traktowane było jako zbrodnia wojenna. Niedotrzymanie umowy uznawano za zaniedbanie obywatelskich obowiązków, opieszałość zaś w pracy za zdradę. Nawet gdy Dziesiątki chciały sprawiedliwie rozpatrzyć jakąś sprawę, na przykład błahy spór o granicę pomiędzy dzierżawcą a właścicielem ziemskim, to wydając łagodny wyrok, narażały się na oskarżenie o sprzyjanie demokracji i działanie na rzecz Aten. Obowiązywało prawo żelaznej pięści.

Cała Jonia stała się jednym wielkim obozem wojennym. Lizander uniemożliwił jakąkolwiek inną niż związaną z wojną działalność, a przy tym także na własnym podwórku nie tolerował żadnego naruszania obowiązującej dyscypliny. Szerzyło się stosowanie kar cielesnych; w porcie zaroilo się od dybów i pali do chłosty. Często słyszało się okrzyk bosmana: »Zbiórka na wykonanie kary!«; uliczki rozbrzmiewały świstem różeg i trzaskaniem biczów. Na nabrzeżach widziało

się przyłapanych na opieszałości w pracy robotników, którym nałożono żelazne obręcze albo przymocowano do nóg kule na łańcuchach. Winowajcy musieli stać przez cały dzień na baczność, dźwigając na ramionach żelazne kotwice.

Raz zdarzyło się nam zobaczyć samego Lizandra, który przegalopował obok nas Nadbrzeżnym Traktem na południe od Kladzomenaju. Towarzyszyło mu dwunastu ludzi, a poprzedzał go oddział perskiej jazdy księcia Cyrusa. Każdy, kogo mijał, miał obowiązek go pozdrowić, gdyż w przeciwnym razie mógł zostać brutalnie poturbowany przez jeźdźców.

Telamon podziwiał Lizandra za jego zawodowe umiejętności. Za to, że potrafił przeobrazić tę bandę cywilów w wojsko i nauczył ich bardziej się bać jego samego niż nieprzyjacielskiej armii. »Wolność!«, krzyčeliśmy na ulicy do naszych towarzyszy, tak samo jak oni mając na szyjach czerwone szmatki.

Lizander przeniósł swą bazę do Efezu. Wybrał sobie wspaniałą siedzibę. Telamon szukał swego dawnego dowódcy, Etymoklesa, pod którym zresztą z formalnego punktu widzenia w dalszym ciągu służył. Okazało się jednak, że zamorska służba Etymoklesa dobiegła końca i odesłano go do domu, na jego miejsce przysyłając Teleutiasa, który później miał z tak

wspaniałym skutkiem zaatakować Pireus.

– Jesteście szpiegami? – zapytał na wstępie Spartanin.

– Tylko on – odparł mój kamrat.

– Psiakrew! Miałem nadzieję załatwić was obu.

Teleutias miał inne sprawy na głowie, toteż posłał nas prosto do Lizandra. Wódz, jak się okazało, już wcześniej został poinformowany o naszej ucieczce i o moim oskarżeniu. Mógł mi nawet powiedzieć, że zostałem skazany, o czym ja sam nie wiedziałem. Kiedy mu to wyznałem, roześmiał się. Był nadzwyczaj przystojny; zdążyłem już zapomnieć jak bardzo. Jego pewność siebie, której miał w nadmiarze jeszcze przed objęciem naczelnego dowództwa, teraz dziesięciokroć się wzmogła.

– Przysłał was Alkibiades – stwierdził bez zagniewania. Z jakim poleceniem? Żebyście mnie zamordowali?

– Żebyśmy poświadczyli szczerą propozycję sojuszu przeciwko Persji oraz zaufanie, jakim ciebie darzy, panie.

– Tak – mruknął, przeglądając leżące przed nim dokumenty. – Znam już wszystkie szczegóły od Endiusza i od dwóch innych tajnych poselstw, które do mnie przysłał wasz pan.

Przy ostatnim słowie obrzucił mnie wymownym spojrzeniem, aby podkreślić obraźliwość tego określenia. Nie bez trudu, lecz jednak zapanowałem nad sobą. Co do Telamona, to żadne zniewagi, które nie wiązały się z utratą pieniędzy, nie mogły wyprowadzić go z równowagi.

Jak staliśmy z gotówką? Wypisał nam bon płatniczy, po czym polecił swemu perskiemu adiutantowi – po persku – aby zapewniono nam kwatery i utrzymanie szóstej kategorii, czyli na poziomie pułkowników.

– Igrzyska Artemidy rozpoczną się pojutrze; podczas uroczystości przemówię do żołnierzy. Koniecznie bądźcie obecni. Alkibiades da wówczas swoją odpowiedź.

Jak wiesz, Efez to jeden z największych portów Wschodu. Jego potężny falochron zwany Pteronem, Skrzydłem, jest jednym z cudów tego świata. W owym czasie miał on już długość czterech stadionów, a plan budowy przewidywał pięć i pół; tak zaś był szeroki, że mogły się na nim wyminąć dwa dwukonne wozy. Rusztowania zbudowano już do samego końca, przy czym w równych odstępach rozmieszczone zostały koferdamy do zatapiania fundamentów. Na sto pięćdziesiąt stóp po obu stronach budowy morze była

białe od pyłu z murarskiej zaprawy. To był widoczny rezultat narzuconego przez Lizandra reżymu: sakiemki były pełne, więc i morale wysokie. Pogodzili się z wprowadzoną przez Spartan dyscypliną także ci, którzy ponosili jej skutki, uznawszy ją za nieodzowną. Nikt też się od niej nie starał uchylić.

Każdego świtu zobaczyć można było w gimnazjone ćwiczącego do siódmych potów naczelnego wodza, który potem pracował równie długo w noc jak Alkibiades. Zachowywał się przy tym tak, jak gdyby już odniósł zwycięstwo, nie będąc tylko i po prostu wodzem, lecz zdobywcą. Gównu spływa w dół, mawiają żołnierze; ale tak samo płynie pewność siebie. Skutki tego procesu można było dostrzec nawet w zachowaniu najpodlejszego podoficera.

Nowy amfiteatr, usytuowany na zachód od *temenos* Artemidy i dający widok na morze, większy był niż amfiteatr Dionizosa w Atenach. Tam właśnie zebrało się piętnaście tysięcy widzów, by obejrzeć efeskie wydanie igrzysk; kolejnych dwadzieścia tysięcy rozlokowało się na zboczach, by za pośrednictwem heroldów wysłuchać inauguracyjnej przemowy wodza. W łoży dowódcy floty zasiadł książę Cyrus w otoczeniu szlachetnych członków swej osobistej gwardii. Z dwóch pozostałych wyniosłości amfiteatru,

tak zwanych uszu, można było dojrzeć dowodzone przez Alkibiadesa ateńskie eskadry, które trwały na swych posterunkach, kontynuując blokadę portu.

A oto treść oracji Lizandra:

»Spartanie, Peloponezyjczycy i sojusznicy. Widok waszej męskiej tężyzny raduje nie tylko miasta, o których wolność walczyacie, lecz także bogów samych, którzy ponad wszystko cenią sobie zapał i oddanie. Dostrzegam jednak u wielu spośród was pewną irytację, albowiem widzicie, jak wrogie okręty bezkarnie podpływają niemal do samego łańcucha, który zamyka tę zatokę, i palicie się do walki z nimi. Dlaczego musimy poprzestawać na bezustannych ćwiczeniach? – pytacie swoich dowódców. Co dzień więcej wyszkolonych wioślarzy nieprzyjaciela przechodzi na naszą stronę. Każdej nocy pęcznieją nasze szeregi, podczas gdy ich – topnieją. Wołacie tedy: atakujmy! Jak długo mamy beczynnie czekać? Odpowiem na to, przyjaciele, przypominając wam różnice, jakie dzielą naszą dorycką rasę od nieprzyjaciół, którzy mają jońskie korzenie.

Otóż my, Spartanie i Peloponezyjczycy, mamy w sobie odwagę.

Nasi wrogowie odznaczają się śmiałością.

Oni posiadają *thrasytes*, my – *andreię*.

Zauważcie, bracia: to głęboka i niezasypywalna przepaść. Te dwa punkty widzenia reprezentują dwie wrogie sobie i nieprzystawalne koncepcje stosunków łączących człowieka z bogami, i w tej właśnie różnicy zawiera się nieuchronność naszego zwycięstwa.

W domu mego ojca uczono mnie, że niebiosa rządzą, istotą zaś naszego istnienia jest lęk przed nimi i oddawanie im czci. Oto podejście do życia właściwe Spartanom, Dorom i Peloponezyjczykom. Nasza rasa nie przewiduje narzucania ludzkiego dyktatu bogom, lecz opiera się na odkrywaniu ich zamysłów i spełnianiu ich. Nasz ideał człowieka to mąż pobożny, skromny, trzymający się w cieniu; nasz ideał postępowania to harmonia, jednolitość, wspólnota. Naszym zdaniem cnoty, które największą przyjemność sprawiają bogom, to odwaga, wytrzymałość i pogarda dla śmierci. Czynią one naszą rasę niezrównaną w walce na lądzie, gdyż dla piechoty utrzymanie terenu oznacza wszystko. Nie jesteśmy indywidualistami, albowiem dla nas przykładanie wagi do siebie samego jest przejawem pychy. Pycha zaś budzi w nas wstręt, jako że sens człowieczeństwa widzimy w poddaniu się niebiosom, a nie w kontestowaniu ich zwierzchności.

Spartanie są odważni, lecz nie zuchwali; Ateńczycy – zuchwali, lecz nie odważni.

Opiszę wam, przyjaciele i sojusznicy, charakter naszego wroga. I przerwijcie mi, zakrzyczcie mnie, jeśli nie opiszę go prawdziwie. Jeśli jednakowoż prawdę o nim powiem, to macie nagrodzić moje przemówienie owacją. Jakkolwiek będzie, chcę usłyszeć wasze głosy!

Otóż Ateńczycy nie lękają się bogów; oni chcą sami zostać bogami. Wierzą, że niebiosa władają nie dzięki swej potędze, lecz dzięki swej chwale. Bogowie, powiadają oni, podporządkowują nas sobie, gdyż świetność ich tak nadzwyczajny budzi podziw w śmiertelnych, iż starają się im dorównać. Tak mniemając, Ateńczycy próbują przypodobać się niebiosom, samych siebie modelując niczym gliniane bożki. Odrzucają oni skromność i pozostawanie w cieniu jako postawę niegodną człowieka, który wszak uformowany został na boskie podobieństwo. Niebiosza faworyzują zuchwałych. Doświadczenie, ich zdaniem, potwierdziło to mniemanie. Śmiałość działania już dwakroć obroniła ich przed Persami oraz pozwoliła im stworzyć i utrzymać swoje imperium.

Nieźrównani są na morzu, tam bowiem trzeba być zuchwałym, aby zwyciężać; okręt wojenny niczego nie osiągnie, trzymając się w linii z innymi, lecz musi uderzyć na wroga. Owszem, przyjaciele, zuchwała

śmiałość Ateńczyków to potężna broń, jednakże jej zasięg jest ograniczony, fundament zaś, na którym się opierała, zaczął jej stawiać opór. Ten fundament to my«.

Po tych słowach musiał na jakiś czas przerwać swe przemówienie, zagłuszyła je bowiem gwałtowna owacja. Zrodziła się ona najpierw pośród tych, którzy znajdowali się wystarczająco blisko oratora, aby go słyszeć bezpośrednio, podjęta została przez drugą falę – tych, którym przekazywała jego słowa pierwsza linia heroldów – i potężniała za każdym kolejnym wybuchem entuzjazmu, aż sięgnął on najwyżej usytuowanych słuchaczy.

»Nasza odwaga, bracia, jest ową opoką, o którą musi się rozbić i przed którą cofnąć się musi ich śmiałość. *Thrasytes* ustępuje, *andreia* napiera. Wchłońcie w serca wasze tę prawdę i nigdy jej nie zapomnijcie.

Śmiałość jest niecierpliwa. Odwaga jest nieustępliwa i wytrzymała. Śmiałość jest nieodporna na trud i na zwłokę; jest żarłoczna i musi się żywić zwycięstwami, bo inaczej umrze. Żywiołem śmiałości jest ulotne powietrze; ona sama jest nieuchwytna niczym pajęczyna.

Odwaga zapiera się stopami o ziemię i czerpie siłę

z tego świętego oparcia, danego jej przez bogów. *Thrasytes* pragnie powodować niebem. Stara się wymusić na bogach swą wolę i zwie to cnotą. *Andreia* czci nieśmiertelnych, stosuje się do ich wskazówek i czyni jedynie to, co stanowi spełnienie woli bogów.

A oto, bracia, jak odmienne wzorce ludzkie stwarzają te sprzeczne z sobą wartości. Mąż śmiały jest dumny, zapalczywy i ambitny. Mąż odważny jest spokojny, pobożny i wytrwały. Śmiały dąży do podziałów; ubiegając się o swą nagrodę, odpycha od niej swego brata. Odważny dąży do jedności. Wspomaga swego bliźniego, wiedząc, że cokolwiek należy do wspólnoty, należy także do niego. Śmiałość jątrzy; włóczy po sądach, intryguje i przeciwstawia. Odwaga zadowolona jest ze swego losu; szanuje przyznaną sobie przez bogów część dóbr i dba o nią, zachowując się z pokorą należną tym, którzy służą niebiosom.

W czasach burzy człowiek zuchwały miota się na podobieństwo niespokojnej niewiasty, próbując wciągnąć we własne kłopoty również swych sąsiadów; nie starcza mu siły charakteru, by samemu stawić czoło temu, co go spotyka, więc chce, aby także inni dzielili jego zły los. Inaczej postępuje człowiek odważny: w godzinie ciężkiej próby zмага się z losem w milczeniu

i bez słowa skargi. Szanując zmienność boskich wyroków, czyni, co mu czynić wypadło, krzepiąc się przekonaniem, iż cierpliwość w znoszeniu krzywd jest oznaką pobożności i mądrości. Oto mąż śmiały i oto mąż odważny.

Z kolei spójrzmy na śmiałe miasto. Ceni ono sobie własną wielkość i chce jej sobie bezustannie przydawać. Nie potrafi pozostać we własnych granicach i kontentować się tym, co posiada, lecz musi te granice przekraczać, aby łupić cudze terytoria. Miasto śmiałe dąży do imperium. Gardząc prawem ustanowionym przez niebo, samo siebie ustanawia prawem. Jego ambicje ważniejsze są od sprawiedliwości i gotowe jest popełnić wszelką zbrodnię, byle utwierdzić się w swojej potędze. Nie musiałbym tu chyba nawet wymieniać nazwy owego miasta. To Ateny!«.

Amfiteatr wybuchnął rykiem, który przetoczył się przez całą zatokę i jak echo grzmotu dotarł nawet do stojących na swoich pozycjach ateńskich okrętów.

»Spójrzcie ku morzu, bracia, i popatrzcie na te eskadry nieprzyjaciela, który manifestuje swoją domniemaną przewagę zgoła u bram samych naszej cytadeli. Przekalkulował on sobie nasz brak doświadczenia na morzu i rozwagę, z jaką zwykliśmy

podejmować działanie, uznając je za nasze słabości, które pozwolą mu nas powalić. Nie wziął jednakowoż pod rozwagę własnej niecierpliwości i niespokojności, które są jego, i to fatalnymi, wadami. Nasze słabości można przezwyciężyć ćwiczeniem i samodyscyplinowaniem. Ich słabości są im przyrodzone, nie do wyplenienia i nie do uleczenia.

Alkibiadesowi wydaje się, że nas zablokował, tymczasem w istocie zablokował samego siebie. Myśli, że nas głodzi, podczas gdy to my jego głodzimy. Głodzimy go, nie dając mu zwycięstwa, które jest mu niezbędne do przetrwania; które niezbędne jest *demosowi* Aten, albowiem miast odwagi ma on tylko śmiałość. A gdybyście powątpiewali w prawdę tych słów, to wspomnijcie Syrakuzy. Świat zna wynik tamtej gry. Grzechem śmiertelnym naszych wrogów jest ich mniemanie o istocie stosunków pomiędzy człowiekiem a bogiem. Jest to mniemanie błędne, podczas gdy nasze jest właściwe. Bóg jest po naszej stronie, albowiem lękamy się go i oddajemy mu cześć, a nie po stronie tych, którzy próbują siłą wedrzeć się na Olimp i uczynić się bogami«.

Powtórzenia heroldów stały się teraz tak częste, iż Lizander zmuszony był niemal po każdym zdaniu czynić dłuższą pauzę i czekać, aż ucichnie ostatnia fala

wrzawy.

»Nasza rasa, bracia, od dawna studiuje istotę odwagi, toteż pojęliśmy jej źródło. Otóż odwaga rodzi się z posłuszeństwa. Jest owocem bezinteresowności, braterstwa i umiłowania wolności. Śmiałość – przeciwnie: bierze się ze sprzeciwu i lekceważenia; to bękart zniewagi i nieprawości. Śmiałość szanuje jedynie dwie rzeczy: nowość i powodzenie. Nimi się żywi, a pozbawiona ich – umiera. Otóż my zagłodzimy ich, nie dając im tych dwóch głównych pokarmów, które są dla nich niczym chleb i powietrze. Dlatego właśnie tyle ćwiczymy, bracia. Nie wylewamy z siebie potu w imię wysiłku jako takiego ani nie wiosłujemy dla samego wiosłowania, lecz po to, by ćwiczeniem osiągając sprawność działania, pozyskać z niego element *andrei* i napęlić nasze serca ufnością w siebie samych, w naszych towarzyszy, w naszych dowódców.

Powiadają niektórzy, jakobym się lękał Alkibiadesa; zarzucają mi brak męstwa. Tak, w rzeczy samej lękam się Alkibiadesa. Nie jest to wszakże tchórzostwo, lecz ostrożność. I nie byłoby starcie się z nim okręt w okręt odwagą, lecz nieroztropnością. Doceniam bowiem umiejętności wroga i widzę, że swoimi jeszcze mu nie dorównujemy. Mądry wódz szacuje potęgę nieprzyjaciela. Jego umiejętność nie na

tym polega, aby uderzyć w jego silny, ale w słaby punkt, i nie wtedy, kiedy oczekuje on ataku, a wtedy, kiedy najmniej się go spodziewa, i w miejsce, w którym nie jest na atak przygotowany. Otóż słabością tego wroga jest czas. *Thrasytes* to coś, co się z upływem czasu wyczerpuje. Jest ona jak owoc, który smakowity jest w chwili pełnej dojrzałości, lecz wstrętny, kiedy gnije.

Uzbróćcie zatem swoje serca w cierpliwość, bracia. Ja mówię wam: cieszę się, że nie jesteśmy jeszcze gotowi. A gdybyśmy nawet byli już gotowi, to szukałbym pretekstu, żeby odwlec bitwę. Albowiem każda godzina, w której nie daliśmy wrogowi zwycięstwa, to więcej czasu, który obraca się przeciwko niemu samemu. W swojej bezbożnej próżności Alkibiades pochlebia sobie, iż jest drugim Achillesem. Ja powiadam na to, że jeśli w istocie nim jest, to jego niechronioną piętą jest śmiałość. Na bogów, trafimy go w tę piętę i patrzeć będziemy, jak pada!«.

Kolejna długotrwała, ogłuszająca owacja.

»Na koniec, przyjaciele, pozwólcie, że opowiem wam o tym Alkibiadesie i opowiem, co o nim wiem. Nawet odważni mężowie drżą na dźwięk jego imienia, gdyż przysporzył swemu narodowi niezliczonej ilości

zwycięstw. Powiem wam wszakże, i życie swoje postawię w zakład, że mam słuszność, iż gwiazda jego zgaśnie albo z wyroku niebios, albo z wyroku jego własnych rodaków. Musi się tak stać; jego natura dopomina się tego od przeznaczenia. Czymże bowiem innym jest ten mąż, jeśli nie ucieleśnieniem ateńskiej *thrasytes!* Wszystkie jego zwycięstwa były rezultatem śmiałości; żadnego nie odniósł dzięki odwadze. Pozwólmy mu tylko natchnąć nas przerażeniem, a sami obdarzymy go triumfem. Ale stójmy bez drgnienia, nie dając się oszołomić i zastraszyć niczym, co przeciw nam rzuci, a rozsypie się w proch i wraz z nim rozsypie się cały jego naród.

Znam tego człowieka. Kiedy zbiegł do Lacedemonu, wygnany przez rodaków za znieważenie niebios, mieszkał pod moim dachem. Nienawidziłem go wtedy i pogardzam nim dzisiaj. Przysięgam tu dziś przed wszechpotężnym bogiem, że skoro przywiódł tego człowieka przed dziób mego okrętu, to rozbiję w proch jego dumę i uwolnię Grecję od jego bezbożności i od tyranii Aten, które pod jego przewodem pragną z nas wszystkich uczynić niewolników.

Całą swą ufność w was pokładam, bracia, w naszej broni i w naszej *andrei*. Nade wszystko jednak pokładam ją w bogu. Nie jest to bynajmniej pobożne

życzenie, lecz obiektywna interpretacja niebiańskich praw, zgodnie z którą tę oto prawdę uważam za równie pewną jak przyływy i odpływy morza, i równie niewzruszoną jak ruch gwiazd na niebie:

Śmiałość rodzi pychę. Pycha rzuca wyzwanie nemezis. A nemezis miażdży pychę na pył.

My jesteśmy jego nemezis, bracia. Uczyniły nas nią niebiosy, rozgniewane dumą tego niedoszęłego tyrana i arogancją jego miasta. Jesteśmy prawicą wszechmocnego i świętym wysłannikiem boga; nie ma pomiędzy morzem a niebem takiej siły, która by zdolna była nas pokonać".

41. OGIEŃ OD MORZA

„Alarm rozbrzmiał w środku trzeciej wachty. Spałem kamiennym snem w willi, w której zakwaterowani zostaliśmy z Telamonem wraz z tuzinem innych oficerów i ich niewiast. Zaspani, wybiegliśmy na zewnątrz.

– Czy to ćwiczenia? – ryknął ktoś z tarasu.

Port leżał o dwa stadiony poniżej nas; zobaczyliśmy statki zapalające, które przelewały się ponad łańcuchem, a w blasku płomieni ujrzeliśmy ateńskie triremy. Nadpływały szybko w dwóch kolumnach, a z ich pokładów leciały ku miastu szeroką wiązką płonące strzały i miotane z katapult pociski zapalające.

Uzbroiwszy się, popędziliśmy w dół. Znasz to miasto, Jazonie. Nad jego wyniosłością góruje Koressos, którego zbocza niczym ramiona obejmują rozsiane przedmieścia, zbiegające się ku portowi. Wielki falochron, Pteron, wcina się w gardło zatoki. Za jego podstawą usytuowane są handlowe nabrzeża, Emporion, a za nimi Rogatka, czyli wewnętrzne fortyfikacje, oraz bastion floty, Kaptur Łowczym. Rzeka Kajster wlewa się swym mulistym ujściem do zatoki pomiędzy świątynią Amazonek a wielkim

placem Artemizjonu, na którego południowym skraju rozpościerają się kanały irygacyjne i bagniska, tereny zajęte przez konnicę oraz osiedla, które powstały poza miejskimi murami. Wszystkie te osiedla leżały na wzgórzach i wszystkie stały w ogniu.

Dla każdego, kto rozumiał sposób myślenia Alkibiadesa, jasne było, że atak ten stanowił jego odpowiedź na przemowę Lizandra, będąc zarazem próbą skorzystania z wielkiej szansy, jaką stwarzała obecność księcia Cyrusa. Znając śmiałość jego strategii, można było przypuszczać, że rzucił na ląd wszystkie swoje pułki, a może nawet ściągnął Traków; oby bogowie mieli w swej opiece tych, których zaatakuje ta dzicz.

– Nie bardzo mi się do tego wszystkiego spieszy! – wrzasnąłem do Telamona, przekrzykując łoskot rozbijających się fal; nie paliłem się zbytnio do tego, żeby mi któraś z walczących stron wypisała nagrobne epitafium. – Znajdźmy jakąś szczyrzą norę i przeczekajmy to skurwysyństwo!

Wpadliśmy do składu, który przylegał do Alei Zbrojmistrzów. Rozgorzałe na dobre statki zapalające pokazywały już wszystko jak na dłoni; wylądowane smołą bezzałogowe galery paliły się iście piekielnym ogniem. Nigdy przedtem nie doświadczyłem ataku

Alkibiadesa, znajdując się po stronie, na którą napadał. Było to przerażające widowisko niczym nadnaturalna burza z piorunami, która pewnie sprawiła, że Peloponezyjczycy szczali po nogach. Dwunastowiosłowe łodzie z osłonami podniesionymi dla ochrony wioślarzy przed pociskami obrońców z wielką szybkością holowały ku brzegowi płonące statki. Co do obrony, to na razie głównie zwracała uwagę jej nieobecność. Ruszyła wprawdzie od brzegu jakaś sześciowiosłówka, aby zastąpić drogę holownikom ognia, jednakże natychmiast runęły na nią dwie napastnicze łodzie i rozłupały ją w momencie, gdy rozpędzony przez nie statek, zwolniony już z holu, wbił się w tuzin zakotwiczonych spartańskich trirem. Impet uderzenia sprawił, że pękły z trzaskiem barierki mocujące i na triremy spadł deszcz płonącej smoły i siarki.

W tej samej chwili rozplomieniła się druga linia statków zapalających. Zrobiło to straszliwe wrażenie na Peloponezyjczykach, którzy ich wcześniej nie wypatrzyli w ciemnościach i teraz doznali zgoła paraliżującego szoku.

– Nie dreptać w miejscu jak pieprzone stado baranów! – wrzeszczał, wbijając się pomiędzy nich, jakiś spartański pułkownik. – Na okręty i odbijając, do

kurwy maci!

W tej właśnie chwili w grzmocie kopyt przygalopował Lizander, otoczony gwardią przyboczną. Widzieliśmy, jak pułkownik podbiegł do niego, meldując o wydanych rozkazach. Lizander je unieważnił. Nadciągała już peloponeska piechota. Załogi ateńskich szalup desantowych w najlepsze atakowały nadbrzeżne baraki, obsypując je gradem rac zapalających.

– Czy mamy biec na Pteron? – krzyknął pułkownik do Lizandra, pomyślawszy, że trzeba by zapobiec wdarciu się nieprzyjacielskiego desantu na falochron.

Lizander i ten jego pomysł odrzucił. Trzeba było sukinsynowi oddać sprawiedliwość: każdy inny Spartanin bezmyślnie rzuciłby się w wir walki, szukając zwycięstwa lub chwalebnej śmierci, ten jednak był rozumniejszy. Wiedział, że jak on wabił Alkibiadesa, tak teraz Alkibiades wabi jego. Nie połknął haczyka. Pociągnął ku Artemizjonowi i wielkiemu polu wojskowych parad, które rozciągało się na wprost miasta.

– Wycofać się! Sformować szyki na placu!

To z jego rozkazu zbudowano mury, które teraz oddzielały mieszkalne dzielnice Antenorisu od stoczniowych doków; pomysł ten spotkał się z krytyką

nawet ze strony jego własnych oficerów, którzy uznali to za robotę głupiego i szaleństwo. Teraz dopiero okazało się, jakiej tym dowiódł przenikliwości. Fortyfikacje te zmuszały bowiem atakujących od morza napastników – tych zwłaszcza, którzy szli od falochronu, jak teraz Ateńczycy – do skierowania się ku Wyniosłej Drodze, nabrzeżu z jednej strony obramowanemu wodą, z drugiej zaś murem. To była zagroda dla bydła przeznaczonego na rzeź. Jedyne, co Lizander musiał teraz zrobić, to czekać.

Miejsce, gdzie skryliśmy się z Telamonem, stało się ziemią niczyją. Od morza nadbiegali Ateńczycy i ich alianci; za plecami mieliśmy formujących się Spartan i Peloponezyjczyków. Zetrą się na leżącej przed nami obramowanej kamiennym murem płaszczyźnie i nasze oddziały zostaną zmasakrowane.

Zawodne jednak bywają wszystkie wojenne kalkulacje. Plan Lizandra obrócił się w ruinę z powodu czegoś, co było ostatnią do przewidzenia rzeczą, a do tego jedyną, której Spartanin żadnym sposobem nie mógł zapobiec.

Tym nieprzewidzianym czynnikiem okazał się książę Cyrus, w którego piersi rozgorzała żądza chwały.

Usłyszeliśmy grzmot kopyt w Alei Zbrojmistrzów;

wypadł z niej na otwarty teren oddział perskiej jazdy, który następnie pogalopował na plac Artemizjonu, rozcinając na pół zgrupowane tam już oddziały Peloponezyjczyków. Księżę spał swego wierzchowca przed Lizandrem. Był to siedemnastoletni zaledwie chłopak, wiotki jak trzcina, lecz tak rozpalony gorącością królewskiej krwi i żądzą dorównania swym walecznym przodkom, że zdać by się mogło – buchał z niego płomień.

– Tam wtargnął nieprzyjaciół, Lizandrze! Na co czekasz?!

Księżę zawrócił konia i puścił go w galop, jego gwardia ruszyła w ślad za nim. Peloponezyjczyków i reszty nie sposób już było powstrzymać; całym tłumem wypadli na Wyniosłą Drogę. Po drodze musieli przebiec obok naszego składu. W pobliżu byli także ateńscy zwiadowcy, którzy teraz zakręcili się na pięcie i odbiegli, rozrzucając po drodze wszędzie, gdzie się dało, płonące żagwie.

Rozejrzeliśmy się z Telamonem po naszej kryjówce. Farba. Pełno smoły i enkaustyki. Ledwieśmy zdążyli stamtąd wyskoczyć, a wszystko to buchnęło ogniem. Zapłonęły też moje włosy i broda; oblała mnie płonąca terpentyna. Wytoczyłem się w aleję, próbując zdusić ogień płaszczem, ale i on także cały nasiąknął

tym diabelstwem i płonął. Telamon wcisnął mnie w zwaloną koło placu budowy stertę pumeksu, lecz po paru chwilach dotarł tam szarżujący tłum. Dopadł nas jakiś peloponeski sierżant i począł nas walić swoją pałką, zaganiając do szeregów. Cały lewy bok miałem nadpalony; nic nie widziałem, ale dotykając palcami twarzy, czułem zwęglone mięso. Telamon bronił mnie przed Peloponezyjczykiem.

– Na bogów, ten człowiek nie jest zdolny do walki!

Zamierzył się na sierżanta; chcąc mu oszczędzić aresztowania albo i czegoś jeszcze gorszego, odepchnąłem go z całej siły.

– Pędź!

Księżę Cyrus – w tłumie Peloponezyjczyków – wpadł ze swoją konnicą od Artemizjonu na Wyniosłą Drogę; było tego wojska w sumie jakieś trzydzieści tysięcy; jego śladem podążał ze swymi rycerzami rozwścieczony Lizander, żeby uchronić młodzieńca przed skutkami jego szaleńczego męstwa...".

TirPolemides przerwał swoją relację, mój wnuku, choć jeszcze do niej wrócimy. Ponieważ jednak dalsze jego poczynania nie miały związku z całością opowieści i w niczym by jej nie wzbogaciły, gdyż ograniczały się do ratowania własnego życia, trzeba nam w tym momencie zmienić narratora.

Dowodzenie atakującą falą okrętów, które, co opisał Polemides, przerwały się przez portowy łańcuch i zaatakowały zatokę portową, Alkibiades zlecił młodszemu Peryklesowi, zastępcy Antiochosa. Korzystałem już z jego kapitańskiego dziennika, który jego małżonka dała mi na przechowanie po wytoczonym mu w następstwie Arginuzów procesie. Wręczyła mi wówczas także kilka osobistych dzienników, które Perykles prowadził w czasie procesu z myślą o tym, by zapoznawszy się z nimi, dzieci jego nie uwierzyły kalumniom, jakimi obrzucili go jego oskarżyciele, a także – jak przypuszczam – po to, by nie utracić rozumu w tych dniach straszliwych przejść, które w swoim czasie ci zrelacjonuję. Tymczasem jednak wróćmy do Efezu i do zapisków Peryklesa:

Twórcą planu tego ataku był Alkibiades, pod którego kierunkiem trierarchowie i dowódcy eskadr sporządzili go w ciągu jednej nocy. Impuls do podjęcia tej decyzji dał mu otrzymany od szpiegów zapis przemowy Lizandra na otwarciu igrzysk. Oto była finalna i bezapelacyjna odpowiedź Spartanina na przedstawioną mu przez Alkibiadesa propozycję sojuszu.

Proroctwa Lizandra mogłyby się nawet sprawdzić do końca, gdyby – jak kąśliwie zauważył Alkibiades –

w mniejszym stopniu zdawał się on na bogów, a w większym na niecierpliwość ateńskiego *demosu*. Obaj rywale równie dobrze rozumieli tego potwora. Zwycięstwa na obrzeżach nieprzyjaciela, nawet zdobywanie potężnych miast, nie mogły już zaspokoić apetytu tej bestii; nie teraz, kiedy apetyt ów zaostrzyły do maksimum oczekiwania samego ich niezwycięzonego wodza. Alkibiades musi zaatakować, i to Lizander musi być obiektem tego ataku. Żaden pomniejszy wojenny zamysł już nie wystarczy. Jeśli potwór nie dostanie na pożarcie głowy Spartanina, to zażąda głowy tego, który mu jej nie zdołał dostarczyć.

Taki był strategiczny zamiar. Na poziomie taktycznym zarysowały się trzy cele: zniszczyć stocznię i doki naprawcze; zniszczyć lub uprowadzić tyle nieprzyjacielskich okrętów, ile się da, a przy tym uczynić to, jak się da najefektowniej; wreszcie zdobyć Pteron i doszczętnie zrujnować jego nawierzchnię. Atak pomyślany został jako wielki desant z udziałem dwunastu tysięcy czterystu żołnierzy, dziewięćdziesięciu siedmiu okrętów bojowych i stu dziesięciu jednostek pomocniczych. Trzeba było skoordynować jedenaście operacji desantowych na szerokości stu sześćdziesięciu stadionów. Wyznaczono czterdzieści sześć poszczególnych obiektów ataku.

Przygotowawcze ruchy floty zaczęły się na dwa dni przed wyznaczoną datą operacji. Eskadra dwudziestu czterech okrętów pod dowództwem Arystokratesa i druga, pod dowództwem Adajmantosa, złożona z dwudziestu ośmiu jednostek, wypłynęły z Samos, przy czym obsadzone zostały nie właściwymi załogami, lecz hoplitami, którzy zastąpili wioślarzy, oraz procarzami i oszczepnikami, ilu tylko mogło się pomieścić bez zdradzania ich liczebności; leżeli na pokładach pod ukryciem podniesionych osłon.

Eskadra Arystokratesa popłynęła na południowy wschód ku Andros, eskadra Adajmantosa na północ, w stronę Hellespontu. Nie próbowano tego ukryć przed oczyma czujek Lizandra, usadowionych na szczytach Koressosu i Likonu. Wypłynawszy poza zasięg wzroku, okręty zatrzymały się, by drugiej nocy ze zdwojoną prędkością powrócić i wysadzić na ląd zbrojne oddziały: te od Arystokratesa w krainie plantacji pomiędzy Priene a Efezem, a te od Adajmantosa – na północ od miejscowości wypoczynkowej zwanej Hakiem, która ze względu na wiejące o tej porze roku etezyjskie wiatry była niezamieszкана.

Nocą przyplłynęły z Samos i z Lade transportowce z końmi, które wysadzono na brzeg w bezludnej

zatoczce zwanej Półksiężycem. Jazdą dowodził sam Alkibiades. Aresztując po drodze wszystkich, którzy mogliby pobiec przodem i uprzedzić Spartan, jego oddziały posuwały się bocznymi, polnymi drogami, by połączyć się z wojskiem Adajmantosa, które wylądowało w Haku. Stamtąd wspólnie poszli na miasto, tak szybko zagarniając wszystkie pikiety obrońców, że Lizander dowiedział się o ich obecności dopiero wtedy, gdy już wtargnęli na przedmieścia.

Oddziały Arystokratesa, lądując na południu, nie tylko odcięły drogę na grobli, którą mogłyby nadejść z miasta posiłki, ale otworzyły śluzy, zalewając całą równinę. W forcie Kilon Ateńczycy przecięli łańcuch. Pływacy zajęli dwie bliźniacze wysepki, Żółtko i Białko, na których zainstalowane były dźwigary łańcucha. W tym momencie na przedmieściach rozgorzały pierwsze pożary. Piechota morska Erazynidesa rozbiła bramę na północ od Wyniosłej Drogi. Okręty Antiochosa przemknęły obok Kilonu do zatoki portowej. Moje dwadzieścia cztery okręty zatrzymały się przed łańcuchem. Gdyby Antiochos zostały odparty, moglibyśmy utworzyć ochronną linię, zostawiając przejście dla jego eskadr; jeśli zasygnalizuje, że posuwa się ku brzegowi, uderzymy w ślad za nim wszystkimi siłami.

Ognie na Kilonie i na Żółtku oświetliły cały kanał. Za całą opowieść o skali dokonanych przez nasze wojska spustoszeń niech wystarczy to, że łuna pożarów, wznieconych w stoczniach, na falochronie i w Emporionie widoczna była aż na Chios, czyli w odległości prawie pięciuset stadionów.

Równocześnie, o czym dopiero potem się dowiedzieliśmy, Alkibiades omal nie stracił życia, a to w następujących okolicznościach. Jego konnica, wyprzedziwszy piechotę Adajmantosa, przedarła się przez przedmieścia i zdążyła ku północnej bramie, aby tam połączyć się z kompaniami piechoty Antiochosa i Erazynidesa, które wylądowały na Pteronie. Alkibiades miał przewodnika, który poprowadził ich przez labirynt uliczek i alej, krzyżujących się w tej dzielnicy. Wyjechali na plac i zdumieli się, gdyż dalszy postęp uniemożliwiły im niewiasty. Cały ich tłum zajął i zabarykadował jedyny wąski wylot za pomocą ław i przewróconych furgonów, i nie zamierzały ustąpić. Nie były to żadne Amazonki, lecz po prostu tamtejsze obywatelki, które postanowiły bronić swoich domostw i dzieci.

Niewiasty zaatakowały jazdę Alkibiadesa z dachów domów, ciskając dachówkami, ceglami i kamieniami; wykazywały przy tym zdumiewającą odwagę. Nie

cofnęły się bynajmniej przed gradem pocisków, którymi odpowiedzieli im jezdni, a wrzeszczały i piszcząły tak przeraźliwie, że jak przyznali potem sami żołnierze, budziło to w wojsku większą grozę niż falanga Spartan albo horda wyjących dzikusów. Alkibiades trafiony został w bark cegłą i to tak mocno, że doznał pęknięcia obojczyka; wyszedł z walki żywy dzięki pomocy Mantiteusza, który jak zwykle go nie odstępował. Alkibiades swoim zwyczajem walczył bez hełmu, toteż gdyby dostał nie w ramię, lecz w głowę, cegła mogłaby mu roztrzaskać czaszkę.

Tymczasem w mieście bataliony wroga ciągnęły wzdłuż Wyniosłej Drogi. Doszło do bitwy o Pteron, na którym walczono pieszo i konno, a uczestniczyły w tym boju także okręty, przy czym walczono o każdy skrawek terenu. Po obu bokach falochronu wznosiły się sosnowe rusztowania, które wszystkie stanęły w ogniu. Czoło budowy pocięte było koferdamami, które pozatykane były bezładnie walącymi się szczątkami rusztowań, cegłami i belkami, taczkami z zaprawą pompami i rurami oraz żelaznymi okuciami, co razem tworzyło szereg śmiertelnych pułapek. Wpadły w nie niezliczone ilości koni i ludzi, stwarzając makabryczny widok.

Antiochos dał sygnał: „Naprzód!”. Ustawiłem

„Kaliopie” na lewym skrzydle, aby przejść jak najbliżej Pteronu i ocenić panującą na nim sytuację. Potwierdziliśmy odebranie sygnału i ruszyliśmy.

Bitwa na falochronie robiła doprawdy wstrząsające wrażenie. W tym momencie jeszcześmy tego nie widzieli, ale już przebijał się tam Alkibiades z konnicą i ciężką piechotą. Nacierał wzdłuż Wyniosłej Drogi; stały mu naprzeciw zmasowane siły nieprzyjaciela: sto tarcz na szerokość, a zdawało się, że chyba na osiem stadionów głęboko. Jakieś cztery lub pięć tysięcy obrońców, w tym i konnicy, dostało się na mur przed Alkibiadesem i Adajmantosem, próbując się ze wszystkich sił przebić do budynku kołowrotu. Ich zamiarem było dotarcie do łańcucha i ponowne zamknięcie zatoki portowej, skutkiem czego okręty, które już do niej wtargnęły, znalazłyby się w pułapce. Ostatnich sześciuset stóp dostępu broniła ateńska piechota, która przedtem zdobyła nabrzeże i zapanowała nad łańcuchem. Jej skrzydło osłaniały inżynierskie statki Erazynidesa, które ustawiły się wzdłuż muru i za pomocą kołowrotów oraz wyciągów starały się zniszczyć wbite w dno pale, równocześnie przejmując na swoje pokłady kolejne oddziały piechoty z transportowców, które przybiły do ich burt od strony morza. Przepływając z „Kaliopie” obok

czubka Pteronu, dostrzegłem w pierwszych szeregach nieprzyjaciela wojownika we wspaniałej zbroi i na wspaniałym wierzchowcu, otoczonego przez ciężkobrajnych jeźdźców.

Musiał to być sam Lizander.

Natychmiast postanowiłem skierować atak w jego stronę, potraktowawszy pozostałe cele jako w tym momencie drugorzędne. Zdecydowany byłem w owej chwili poświęcić życie swoje i załogi, gdyby się to okazało konieczne. Dałem sygnał najpierw mojemu zastępcy, Likomenesowi, by wraz ze swoją „Teamą” dalej prowadził atak, a potem nakazałem Damodesowi, który był trierarchą „Erato”: „Za mną” i „Wysadzaj piechotę”.

Damodes, którego zwaliśmy Niedźwiedziem, stał na rufie. On także spostrzegł Lizandra i z zapalem ruszył, aby go dopaść. Tymczasem „Tyche” Antiochosa, która już była w zatoce, doznała uszkodzenia dziobnicy i musiała się wycofać, płynąc tyłem, czego skutkiem zbliżyła się teraz do Pteronu od wewnętrznej strony. Przybić triemą w biały dzień do pełnej nieprzyjaciół sześciometrowej ściany to duża sztuka. Tymczasem nadpływa pod gradem pocisków moja „Kaliopie”, która wygląda już jak barka na śmieci prowadzona przez pijanego sternika. Antiochos

decyduje się po prostu wbić „Tyche” rufą pomiędzy dwie koferdamy, następnie każe wystrzelić wszystkie, jakie mu jeszcze zostały, „jak-się-maszki” i pod osłoną ognia wdziera się ze swoją załogą na falochron.

Bitwa na Pteronie weszła już w stadium takiego zagęszczenia, w którym nie daje się zastosować nawet najprostszych manewrów taktycznych, gdyż nie pozwala na nie straszliwy ścisk. Jest tam pięć tysięcy obrońców, zbitych tarcza w tarczę, a do tego jeszcze od strony brzegu napierają tysiące innych.

Nasza konnica postanawia walczyć pieszo, gdyż nieprzyjacieli i tak zwala konie pod jeźdźcami. Nieszczęsne stworzenia rżą w męce i wierzgają kopytami, raniąc z kolei inne wierzchowce, podczas gdy jeszcze większa liczba tych, które wpadły do wody, próbuje się ratować przed utonięciem. Ja poślizgnąłem się, wskakując na koferdamę, i rąbnąłem całym ciężarem, powiększonym o ciężar zbroi, uderzając hełmem o głaz. Nie dość, że zdrowo sobie przy tym podbiłem oczy, to jeszcze tak mocno zerwałem torebkę stawową kciuka, że do tej pory się nie zagoiła. Tak poturbowany, wydostałem się jednak na Pteron i rozglądam się za Spartaninem.

Nie był to wszelako Lizander, lecz książę Cyrus, który przysiągł był roztrzaskać swój złoty tron, byle

zniszczyć potęgę Aten. Cyrus!

Moi ludzie wykrzyknęli jego imię i rzucili się na chroniących go gwardzistów. Książęcy rycerze bili się z zadziwiającym męstwem, a większą od nich wojenną sprawnością odznaczały się tylko ich rumaki tak wyćwiczone, by utrzymywać ciasny szyk bok w bok i wspinając się na zadnie nogi, zadawać ciosy zarówno kopytami, jak i kolcami, w które uzbrojone były ich napierśniki. Do końca życia nie zapomnę wyrazu oczu tych zwierząt.

– Zabić go! – ryknął Antiochos z rufy „Tyche”.

Przez walczącą ciżbę przebijała się już jazda i ciężka piechota Alkibiadesa i Adajmantosa. Cisnęła zewsząd piechota morska, wrzeszcząc, że mamy w saku księcia Cyrusa. Usłyszawszy to, nasz wódz doznał w jednej chwili całkowitej i zdumiewającej przemiany. Choć, jak się potem dowiedzieliśmy, miał strzaskaną łopatkę, co tak obezwładniająco sprawia ból, że każdego innego wyeliminowałoby z walki, wyprostował się i wyżej podniósł tarczę trzymaną na rannym barku.

Rzucił się na księcia. Tak samo wszyscy inni. A jednocześnie byliśmy spychani ku krawędzi Pteronu przez napierającą falę ciał i zbroi spartańskich i peloponeskich posiłków, które nacierały od brzegu.

Nadjechał Lizander na czele swych batalionów. Krzyknął do Cyrusa, aby przebijał się ku niemu. Przedrzyj się, a ja cię ocalę! Pomiedzy nimi kłębił się tarcza w tarczę tłum ateńskiej piechoty morskiej, takich jak ja żeglarzy, którzy niezbyt pewnie się czuli na stałym gruncie, a dwaj nasi dowódcy, Alkibiades i Adajmantos, uwijali się na czele resztek naszej jazdy. Z płonących okrętów dobiegało wycie i trzaskanie ognia; nozdrza perskich wierzchowców bojowych zdawały się zionąć dymem; krzyki ludzi składały się na zgoła piekielny hałas.

– Widzicie, mężowie Grecji? – ryknął Alkibiades. – Oto Spartanie, którzy walczą ramię w ramię z barbarzyńcą!

– Żeby uwolnić się od ciebie, ty bezwstydnym zbrodniarzu! – odkrzyknął mu Lizander.

Zaczynając wbił kolana w boki swego wierzchowca i wtargnął w ciżbę tak gęstą, że drzewce jego oszczepu przeleciało zaledwie trzykrotną swoją długość i już jego ostrze z hukiem zderzyło się z tarczą wroga. Alkibiades musiał przyjąć impet tego uderzenia na zgruchotany bark. Grot oszczepu przebił brązową pokrywę i rozszczępił warstwę dębiny, zatrzymując się tuż przed ciałem.

– Alkibiades ranny!

Na ten krzyk wszyscy zdwoili wysiłki: Spartanie i Persowie rzucili się naprzód, aby go dobić; Ateńczycy jeszcze ciaśniej, jeśli to w ogóle było możliwe, zwarli się wokół swego wodza, z własnych ciał tworząc mur obronny. Któryś z najbliższych niego znajdujących się żołnierzy osłonił go własną tarczą, gdyż Alkibiades nie był już zdolny podźwignąć swojej. Strzały wbijały się w plecy tego bohatera.

Na Alkibiadesa natarli rycerze Lizandra. Bronił się, siekąc toporem spartańskie pióropusze i ostrza włóczy. Ja znalazłem się już tylko o stopę od Spartanina; tak blisko, że nawet widziałem jego brodę pomiędzy policzkami hełmu, gdy tarczą parował zadawane mu ciosy.

– Tam się przemknij! – ryknął Alkibiades, wskazując księcia Cyrusa. – Przemknij się i stań u boku twojego Leonidasa!

Miał oczywiście na myśli spartańskiego króla, który dwa pokolenia wcześniej tak mężnie stawał pod Termopilami, broniąc Grecji przed Persami.

Lizander zapienił się z wściekłości.

– Nawet w takiej chwili musisz zabawiać publiczność, ty komediantcie!

– Patrz na swojego Leonidasa! Oto naznaczył cię jako zdrajcę Grecji! Piechota morska przypuściła

decydujący atak na księcia. Leciwały w jego stronę pociski miotane i z okrętów, i z falochronu; Cyrus i jego gwardziści zaczęli się cofać.

– Zabić go! – przekrzykiwał wrzawę Antiochos.

Pod ateńskim naciskiem młodzieniec cofał się ku krawędzi Pteronu.

– Persowie! – krzyknął do swoich (co nam potem przetłumaczono). – Od was teraz zależy, czy książę wasz żyć będzie, czy zginie!

Bez chwili wahania rycerze Cyrusa rzucili swe wierzchowce i samych siebie na ostrza ateńskich włóczy, bohaterskim tym poświęceniem otwierając swemu panu wolną przestrzeń.

Książę spał konia. Przedarł się za osłonę tarcz spartańskich rycerzy.

Nastąpiło decydujące zwanie. Tłum przeciw tłumowi; przeciwnicy ze wszystkich sił próbowali zepchnąć się do morza. Zrobiła się cisza. Żołnierze już nie krzyczeli ani nawet nie wydawali z siebie jęków. Ustało rzenie koni; za to zaczął narastać ten dźwięk grozy znany każdemu, kto przeżył w walce moment, gdy jedna strona zaczyna przemagać drugą.

Wróg był nazbyt liczny; nas było za mało.

Wycofaliśmy się. Zabrały nas okręty. Atak się nie powiódł.

Alkibiades trafił na pokład „Tyche”. Ludzie, jak mi potem opowiedział Antiochos, cisnęli się wokół niego, pokazując mu szalejące pożary i okrzykując go zwycięzcą.

Niczego w owej godzinie nie postanowił ani nie przedsięwziął. Dopiero następnego ranka, kiedy już wróciliśmy na Samos, wykąpany i opatrzony przez chirurgów, zwołał sekretną naradę, zaprosiwszy na nią Adajmantosa, Arystokratesa, Antiochosa, Mantiteusza i mnie. Nakłaniał nas, abyśmy teraz myśleli o własnym ocaleniu, nim już się nie przejmując.

– Tej nocy – powiedział – moja gwiazda zgasła.

Doszła mych uszu pewna historyjka o Lizandrze. Miało jakoby być tak, że kiedy już jego wojska zebrały się z powrotem na Artemizjonie i złożono mu raport o stracie spalonych lub zniszczonych czterdziestu czterech spośród osiemdziesięciu siedmiu trirem, o ruinie stoczni, doków naprawczych i wszystkich rusztowań oraz elementów konstrukcyjnych Pteronu, Lizander stał się obiektem gwałtownej krytyki nie tylko ze strony księcia Cyrusa, który wściekle pytał, jak ma się rozliczyć przed ojcem ze zmarnotrawionego złota, ale i przedstawicieli spartańskiego eforatu, formalnie będących jego zwierzchnikami, którzy przypadkiem akurat znaleźli się na miejscu.

– Co masz do powiedzenia na temat tego wszystkiego? – zapytali go, wskazując na doszczętnie zniszczony port.

– To, co trzeba powiedzieć – miał na to odrzec Lizander. – Że odnieśliśmy zwycięstwo.

42. W ROLI ŁUPIEŻCY

– Miałem zaszczyt – kontynuował dziadek – przechowywać te dzienniki młodszego Peryklesa razem z banderą „Kaliopę”, która została poświęcona w bitwie pod Błękitnymi Skałami, oraz „Wytrwałego”, którym dowodził na Wyspach Arginuzyjskich. Było to jego ostatnie w życiu dowództwo. Dojdziemy do tego. Tymczasem wróćmy do Polemidesa, którego pozostawiliśmy rannym podczas ataku Alkibiadesa na port efeski.

Udało mu się uciec z Efezu dzięki, jak mi powiedział, ciemnościom oraz chaosowi, jaki zapanował na skutek napaści. Doznane oparzenia tudzież towarzyszący im szok dały jednak o sobie znać, kiedy już przedostał się na południe od miasta, toteż zmuszony był znaleźć sobie jakieś schronienie.

Tymczasem po odparciu Alkibiadesa Lizander nakazał podwojenie straży i patroli. Wyznaczono nagrody za schwytanie ateńskich maruderów, zatem miejscowi, w tym również chłopcy, a nawet niewiasty, przystąpili do polowania na Ateńczyków. Polemides przeżył, żywiąc się polnymi myszami i jaszczurkami, które nadziewał na ostrze włóczni, kiedy natrafił na jaką w rowach nawadniających (tam bowiem skrywał

się przed ludźmi), a także porami i rzodkwiemi, które pod osłoną nocy kradł z warzywników miejscowych obywaterek. Zdarzało mu się nocami wypatrzeć ateńskie okręty wysłane z misją zwiadowczą; dawał im znaki, a raz nawet próbował do nich dopłynąć, lecz nie starczyło mu sił. Chował się, wedle własnego określenia, niczym szczur.

Przyszedł i minął dzień, na który przewidziany był połóg jego ukochanej Aurory. Był, a przynajmniej tak przypuszczał, ojcem, lecz nie starczało mu odwagi, by za dnia poszukać jakiegoś okrętu, który by go zawiózł na Samos albo choć zabrał list. Swoim zwyczajem nie czynił mi żadnych zwierzeń o charakterze czysto osobistym, jednakże nie było mi trudno wyobrazić sobie, w jakim się wówczas znajdował stanie przygnębienia: zarazem rozpaczliwie starał się przetrwać z myślą o małżonce i dziecku, głęboko bolał nad niemożnością dotarcia do nich oraz współczuł Aurorze, która wszak nie wiedziała nawet, czy ojciec nowo narodzonego jeszcze żyje.

Co do mnie, to byłem wówczas w Atenach. Miasto było ponure i stłamszone, jak ktoś po ciężkim przepiciu, tyle że cierpiało nie wskutek nadmiaru wina, lecz uwielbienia dla Alkibiadesa. Ateny dochodziły z wolna do siebie i do przytomności, ratując się

zbiorową amnezją. Czyżbyśmy naprawdę to i to powiedzieli? To i to zrobili? To i to obiecali? Ci, którzy najbezwstydniej tańczyli tak, jak zagrał im nowy pan, przyszedłszy poniewczasie do opamiętania, ratowali twarz, w żywe oczy wszystkiego się wypierając. Im kto bardziej się upodlił, zabiegając o łaski Alkibiadesa lub wspomagając ze swojej kiesy jego sprawę, tym większą teraz okazywał wobec niego obojętność, przysięgając, że zawsze był ponad tego rodzaju płaszczenie się.

W miarę jak ludzie coraz jaskrawiej uświadamiali sobie, jak blisko byli utraty wolności, z coraz większą stanowczością zarzekali się, że nigdy już nie ulegną podobnemu szaleństwu. Oligarchowie zwarli szyki, obawiając się jakichś bezmyślnych reakcji tłumów, podczas gdy demokraci wyrzucali sobie wzajemnie swoją entuzjastyczną gotowość do zrezygnowania z wolności. Pospólstwo przyjęło zasadę równie zwięzłą, co i prostą: ktokolwiek wystawi głowę ponad innych, powinien ją natychmiast stracić. Nowi radykałowie, którym przewodził Kleofon, zapewniali, że nigdy nie pozwoliliby sobie na czołobitność wobec Alkibiadesa ani nie dopuściliby do uczynienia kogokolwiek wszechwładnym pomazańcem, który miałby rządzić suwerennym narodem.

Stało się teraz całkiem jasne, do jakiego stopnia rządy Alkibiadesa zależały od jego osobistej obecności. Większość jego współpracowników wypłynęła wraz z nim, ci zaś, którzy zostali – Euryptolemos. Diotimos, Pantitenes – nie mieli konkretnego programu, ani nawet fdozofń, którą chcieliby wcielić w życie. Alkibiades opuścił miasto, nie pozostawiając żadnych instrukcji prócz tej jednej, aby go darzyć uwielbieniem; gdy zabrakło jego wspaniałości, by coś wokół niej budować, powstała pustka. Pustkę tę zaczęli zapępniać jego wrogowie.

Szczegółowe doniesienia o przebiegu bitwy o Efez, uznanej oficjalnie za wielkie zwycięstwo, nie wywołały w mieście ekstazy radości. Dzień w dzień flota słała prośby o pieniądze. Byłem wówczas zatrudniony w Radzie Zaopatrzenia Morskiego. Było nas dziesięciu, po jednym z każdego plemienia, przy czym obowiązywała zasada, że *epistates*, przewodniczący obradom oficer, każdego dnia się zmienia w ustalonym porządku. Tylko ja i Patrokles, syn oficera o tym samym imieniu, który zginął na Sycylii, lojalnie głosowaliśmy na korzyść floty; nasi koledzy sprzeciwiali się jej finansowaniu, powołując się na względy ekonomiczne, w istocie jednak ulegając naciskom wrogów Alkibiadesa, którzy podpowiadali

im: pozbawcie go pieniędzy i obalcie.

Do tej pory Rada otrzymywała listy jedynie od kuratorów stoczni lub kolegium architektów, dziesięciu strategów bądź taxiarchów. Teraz przyjmowaliśmy co dzień po dwadzieścia listów od dowódców eskadr, a nawet od bosmanów i szeregowców, błagających o pieniądze. Tu list od kogoś, kto proponuje przyznanie obywatelstwa wszystkim obcokrajowcom, którzy zasiadali na wiosłarskich ławach; tu z kolei od kogoś innego, kto by chciał, aby właściciele niewolników, którzy zezwolili im na pracę przy wiosłach, rozszerzyli teraz swoją zgodę, zezwalając owym niewolnikom na otrzymywanie zapłaty, co by ich powstrzymało przed dezercją; tu wreszcie prośba o to, by niewolnikom tym w ogóle dać wolność.

Tymczasem zaczęły już odnosić zamierzony skutek setki pozwów sądowych, złożonych przez wrogów Alkibiadesa. Każdy jego poplecznik, jak Polemides, oskarżony o współdziałanie z wrogiem, to była kolejna szczerba na ostrzu brzytwy. Czemu to Alkibiadesowi nie udało się zdobyć Efezu? Czy przypadkiem nie była tego powodem jego przyjaźń z Endiuszem i niegdysiejsze związki z Lizandrem? Uznano, że nadeszła właściwa chwila, by ujawnić plan sprzymierzenia się z Lacedemonem przeciwko Persji.

Cóż to było, jak nie podstępny zamysł sprzedania miasta wrogowi?

Nawet w gronie mojej rodziny rozgorzała dyskusja na temat groźby, jaka zawisła nad narodem. Jakkolwiek obawiali się wszyscy nieumiarkowania radykalnych demokratów, to nieco mniej bali się ich ewentualnej władzy niż dalszych rządów Alkibiadesa. Postać tej co on miary, choćby najszlachetniejsza, groziła ubezwłasnowolnieniem wiecznotrwałej struktury państwa. Nawet ci, którzy go kochali lub, tak jak ja, cenili go jako wodza i człowieka zdolnego do tworzenia wizji, zaczęli się lękać jego powrotu, bez względu na to, czy wróci jako zwycięzca, czy jako pokonany.

Jednakże tym czynnikiem, który wyrządził mu największą szkodę, okazały się jego sławne „gezety”, czyli gwarancje wypłaty, które w imieniu Aten podpisywał przez cały czas trwania wojny hellesponckiej, a które w znaczny sposób przyczyniły się do ograniczenia grabieży, służących zaspokojeniu potrzeb floty. Teraz jednak...

Teraz nadszedł termin ich płatności. I oczywiście – wypłacić tych należności nie było można, ponieważ skarbiec był pusty. Tymczasem istnienie owych pokwitowań uwiarygodniało żale obywateli, którzy

wracali do domów z pustymi kiesami, wymachując papierkami z wypisaną na nich datą obowiązkowej płatności, co przeciwnicy Alkibiadesa wykorzystywali dla oskarżania jego rządów o nieudolność i korupcję. Gdy zaś w dodatku genialny wódz przestał odnosić zwycięstwa – nie udało mu się zniszczyć Andros, a jednocześnie dzięki poczynaniom Lizandra ożywiła się peloponeska flota i zaczęły się mnożyć dezercje naszych cudzoziemskich wioślarzy, których kusiło złoto Cyrusa – ludzie przestali pomiędzy sobą poszeptywać, a zaczęli najpierw mówić półgłosem, potem wręcz głośno krzyczeć.

Tej wiosny otrzymałem dowództwo nad siódmym już okrętem, triremą „Europa”, z którą wysłany zostałem na Samos, aby przyłączyć się do eskadry Peryklesa młodszego. Od razu zaczęły się kłopoty. Już w macierzystym porcie zdezerterowała z okrętu dwudziestka wioślarzy niewolników, a na Andros, gdzie zatrzymaliśmy się, by wziąć udział w oblężeniu, zbiegło dwa razy tyle, skutkiem czego na Samos dotarliśmy z obsadą tak zdziesiątkowaną, że ludzi starczyło tylko na dwa rzędy wiosel. Alkibiadesa nie było; na dwa miesiące udał się na Chersonesz, by zdobywać pieniądze.

Jedno musisz wiedzieć o żeglarzach, mój wnuku:

muszą się napić. Ten rodzaj psychicznego oczyszczenia po przeżytych na morzu chwilach euforii i otumanienia jest im bardziej nawet niezbędny niż kobiety. W moim odczuciu jest to nie tyle grzeszna wada, ile wymaganie samej ludzkiej natury. Żeglarz potrzebuje wina podczas działań wojennych, i jeszcze więcej go potrzebuje, kiedy wraca do portu. Wszyscy świadomi są trudów i cierpień, jakie są jego udziałem, natomiast nie w pełni zdają sobie sprawę z brzemienia dręczącego go lęku. Ludziom żyjącym na stałym lądzie wydaje się, że żeglarz kocha morze i czuje się na nim jak w domu. Nic podobnego. Większość jest w ciągłym strachu przed słoną wodą, nawet gdy jest ona spokojna jak jezioro; kiedy się wzburzy, na wiosłarskie ławy obsadę trzeba zapędzać biczem. Warto nadto wiedzieć, że inżynierowie nie zaprojektowali niczego, co by się gorzej zachowywało na morzu niż trirema. Pomędzy wolną burtą a otworami na wiosła są tylko niecałe trzy stopy; przy najmniejszej fali woda bezustannie zalewa okręt. Triery budowane są z myślą o szybkości, a nie o wytrzymałości. Pod ciosami morza gną się; deski się ruszają. Okręt wspina się na falę, po czym się zapada. W czasie wiatru jego taran zaczyna orać wodę; chwiejność kadłuba sprawia, że przy bocznych podmuchach piekielnie trudno triemą

sterować, a jej długi i wąski kształt powoduje, iż byle szkwał może ją przewrócić. Kiedy żeglarz przeżyje burzę na triemie, to bynajmniej nie nabiera odporności, lecz jeszcze bardziej boi się następnej. Dodaj lęk przed wrogiem do lęku przed śmiercią w bezkresie wody, a otrzymasz taką dawkę zgrozy, jaką mało kto potrafi wytrzymać nawet na krótką metę, a cóż dopiero mówić o znoszeniu jej rok po roku.

Krażyła po flocie plotka, że Alkibiades zagarnia dla siebie część łupów pochodzących z grabieży. Jego kochanka Timandra, zwana teraz przez żeglarzy „Sycylijką”, gdyż urodziła się w Hykkarze, miała jakoby ukryte ponad pięć talentów, za które zamierza nabyć w Tracji posiadłość, mogącą stanowić ewentualny azyl dla Alkibiadesa, gdyby sprawy tak się potoczyły, że byłby zmuszony uciekać. Ludzie zaczęli coraz głośniejszymi głosami wyrażać swoje niezadowolenie.

– Oto wino, któregośmy nie wypili, i dziwki, których sobie nie kupiliśmy! – warczeli, i bynajmniej nie bez racji.

Brak pieniędzy sprawił, że Alkibiades pozwalał sobie na lekkomyślne postęпки. Wraz z książętami Seutesem i Medokosem najechał głąb Tracji. Tubylcze plemiona wykazały się jednak taką wojowniczością, a przy tym taką miały wprawę w ukrywaniu swych dóbr,

że liczba ofiar dziesięciokrotnie przewyższała wartość łupów. Wojsko zaczęło odmawiać odejścia choćby na krok od okrętów. Alkibiades nie mógł już „pożyczać” w przyjaznych mu okręgach ani posługiwać się „gezetami”, nadto zaś Lizander tak uszczelnił fortyfikacje nadbrzeżnych miast, że ryzykowne stało się nawet lądowanie w celu nabrania świeżej wody lub przyrządzenia południowego posiłku.

Nasza eskadra wysłana została do Fokai, aby wzmocnić Alkibiadesa. W moim dzienniku pokładowym jest wzmianka o postoju w Terkali. Setki wieśniaków obiegiło tam plaże, na których chcieliśmy wylądować; najpierw obrzucili nasze okręty kamieniami i przekleństwami, a potem – kiedy udało się nam ich wreszcie przekonać, że nie mamy żadnych wrogich zamiarów, więc zgodzili się na lądowanie – otoczył nas tłum zapłakanych niewiast. Żaliły się nam one, że Alkibiades spustoszył cztery miasteczka, grabiąc pieniądze i bydło. Peryklesowi udało się im wmówić, że musiały być w błędzie, bo piratami mogli być jedynie ludzie Lizandra, którzy udawali Ateńczyków, żeby sprowokować ludność do buntu przeciw nam.

Popłynęliśmy dalej na północ. Na wzgórzach widzieliśmy dymy; rybacy opowiadali nam o

uciekinierach; podobno całe gromady pozbawionych domostw wieśniaków chroniły się w głębi łądu. Napotkaliśmy „Teamę” i „Panegirys”, triremy Alkibiadesa, które wracały na Samos z zakładnikami. Były to dzieci naszych sojuszników porwane dla okupu. Czyżbyśmy naprawdę znaleźli się w aż tak rozpaczliwym położeniu?

Dogoniliśmy flotyllę w Kyme. Znasz to miasto, mój wnuku. Wznosi się ono nad uroczą zatoką zwaną Spodkiem, ma typowo wschodni charakter i żyje się tam bardzo przyjemnie. Alkibiades zażądał od tego okręgu dziesięciu talentów. Kiedy mieszkańcy przekonywali go o swej biedzie i błagali o wyrozumiałość, powołując się na znaczne sumy, jakie dotychczas zapłacili, co pozbawiło ich środków do życia, Alkibiades odpowiedział, że potrzeby floty ważniejsze są niż wszystko inne. Nie mając czym płacić, mieszkańcy zamknęli przed nim bramy. Próbował zdobyć miasto siłą, ale bez skutku. Ateńskie oddziały burzyły się przeciw napadaniu na sojuszników; kilka nawet odmówiło wykonywania rozkazów. Jedyńm korpusem, który bez szemrania poszedł za Alkibiadesem, byli jego Dii, najdziksi spośród Traków. Kiedy już było po wszystkim, wyszły na jaw takie okropności i okrucieństwa, że nie sposób

ich było zatuszować; miasto zostało jednak wzięte, a pieniądze zabrane siłą.

Nasza eskadra przybyła tuż po tych wydarzeniach. Odbyły się właśnie sądy polowe; skazanych zostało czterech ateńskich oficerów i sześćdziesięciu jeden żołnierzy. Ponieważ oskarżeni byli o zbrodnie popełnione podczas służby we flocie, nie można ich było osądzić za zwykłą niesubordynację; ich czyny zakwalifikowane zostały jako bunt, za który karą była śmierć.

Alkibiades pod rozmaitymi pretekstami doprowadził do ułaskawienia części skazanych i postarał się nie widzieć, jak inni ratowali się ucieczką; jednakże dziewięciu wioślarzy, którym przewodził niejaki Orestides z Maratonu, odmówiło wzięcia na siebie winy. Twierdzili, że są niewinni i że to wydane im rozkazy były zbrodnicze.

Było popołudnie, skwarne i suche; wiał silny etezyjski wiatr. Oskarżonych zamknięto w warsztacie rymarza, tuż koło rynku zwanego Skwerem Prawdy. Alkibiades był pijany. Nie aż tak, żeby utracił rozsądek, ale wystarczająco, żeby znieczulił umysł na to, co się działo. Myślał tylko o tym, jak uratować tę dziewiątkę. Nie mógł wystawić na szwank swego autorytetu, osobiście negocjując z buntownikami;

zlecił tę misję Peryklesowi. Ja z własnej woli postanowiłem towarzyszyć przyjacielowi.

Rozmawialiśmy z Orestidesem i jego kamratami, podczas gdy żołnierze wyprowadzali ich na plac i przywiązywali do pali. Ten wiosłarz był w nie mniejszym stopniu człowiekiem honoru, niż którykolwiek z ludzi honoru, jakich znałem. Łzy płynęły nam z oczu, kiedy przedstawiał swoje i swoich towarzyszy racje, z takim to czynił przekonaniem i bez jakiegokolwiek fałszu. Nie była to bynajmniej z ich strony jakaś rozpaczliwa taktyczna zagrywka. To była szczerza manifestacja gniewu, jakim napawał ich stan floty; takiego gniewu, że – jak sam Orestides to określił – „wyrzekamy się życia, żeby nie wyrzec się tego, w co wierzymy”.

Alkibiades zarządził egzekucję. Żołnierze odmówili wykonania tego rozkazu. Nigdy nie byłem świadkiem równie tragicznej i pogmatwanej sytuacji. Alkibiades miał pod swymi rozkazami dwie kompanie Traków z plemienia Dii. Im właśnie z kolei nakazał przeprowadzić egzekucję.

Wykonali ten rozkaz.

Na wieść o tym, że wolni Ateńczycy zmasakrowani zostali przez dzikusów, takie oburzenie ogarnęło flotę, iż Alkibiades całą noc spędził na pokładzie

„Nieugiętego”, bojąc się o swoje życie. O świcie rozkazał, aby cały łup ze splądrowania Kyme, zebrany w misach dwóch tarcz, został wydany płatniczym. Ci rozstawili swoje stoły wzdłuż plaży. Wszyscy żołnierze i żeglarze przeszli koleją przed tymi stołami. Ani jeden nie chciał przyjąć zapłaty. Tej nocy dotarł meldunek o Notionie.

Dwa dni wcześniej odbyła się tam bitwa morska. Spartańska flotylla rozbiła nasze eskadry, którymi dowodził Antiochos, zabity następnie na rozkaz Lizandra. Piętnaście ateńskich okrętów zostało zatopionych lub przejętych przez wroga; liczba sama w sobie niewielka, lecz zgubna dla morale wojska.

Alkibiades spiesznie poprowadził swoje eskadry z powrotem do Efezu i sformował szyki przed wejściem do zatoki. Tymczasem jednak dobiegła końca budowa Pteronu, który na dobre zamknął dostęp do portu. Spartanie i Peloponezyjczycy szczelnie obsadzili całą szerokość wybrzeża.

Po szesnastu dniach z Aten nadszedł następujący raport: wybrano skład kolegium strategów na następny rok; Alkibiadesowi nie starczyło głosów.

O świcie trzeciego dnia po otrzymaniu tej wieści wygłosił pożegnalną mowę do floty.

Nie odważył się wrócić do domu w obawie przed

procesem; znalazł jakieś schronienie, być może w Tracji, jeśli pogłoski o nabytej tam przez Timandrę posiadłości były prawdziwe. Rozpuścił załogę „Nieugiętego”, pozwalając wszystkim poszukać sobie innego okrętu. Stu pięćdziesięciu czterech żeglarzy i żołnierzy piechoty morskiej zgłosiło się na ochotnika, by dzielić jego los; nie chcieli go opuścić.

Tego wieczoru moja „Europa” brała udział w ćwiczeniach za falochronem. Wprawialiśmy się w wymianie sygnałów z kilkoma korwetami i statkami kurierskimi z Samos. Wróciliśmy do bazy bardzo późnym wieczorem i manewr lądowania rufą musieliśmy przeprowadzić przy świetle kaganków. W trakcie tej operacji zauważyliśmy, że jakiś okręt wojenny odbija od plaży i wychodzi w morze przeciw fali przypyływu.

Przyjrzeliliśmy się dokładnie. Nie zapalili świateł pozycyjnych ani nawet lampy sygnałowej; wiosłowali w milczeniu, w takt podawany tylko postukiwaniem kamieni. To był „Nieugięty”.

Minęło co do dnia jedenaście miesięcy od wielkiego triumfu naszego stratega w Atenach, i oto w mętnym świetle księżycy wymykał się on na wygnanie.

Księga dziewiąta

FALE WOJNY

43. POMIĘDZY ZIEMIĄ A MORZEM

– Ustąpienie Alkibiadesa przyjęte zostało w Atenach – ciągnął mój dziadek – z ulgą, która graniczyła z ekstatyczną radością (tak w każdym razie donosiła mi moja małżonka w liście, który dotarł na Samos jesienią), aż tak bowiem wielka panowała wśród mieszkańców obawa nie tylko przed tyranią, której – jak im się zdawało – szczęśliwym zrzędzeniem losu udało się Atenom uniknąć, lecz także przed nieobliczalnością samodzielnie o wszystkim decydującego wodza, ostatnimi czasy prowadzącego wojnę w sposób w najlepszym razie zasługujący na miano maniackiego, a odznaczający się zwłaszcza przydawaniem władzy i znaczenia grupce zaufanych oraz własnej kochance, co w sumie zaczęło przypominać rządy królewskie. Zgromadzenie zastąpiło jego jednoosobowe dowództwo dziesięcioosobowym kolegium strategów, aby zapobiec jakimkolwiek próbom skoncentrowania władzy w jednym ręku, a także powołało dodatkowe ciało nadzorcze, złożone z dziesięciu taxiarchów, którzy jako kapitanowie okrętów mieli wykrywać wszelkie przejawy nadużywania władzy i łamania prawa. Jakby za mało było jeszcze tych zabezpieczeń,

zgrupowanie wzmocniło flotę pewną liczbą powołanych z rezerwy strategów, którym zlecono dowództwa pojedynczych okrętów; listę trierarchów wzbogaciło skutkiem tego wiele świetnych imion. Gdy „Europa” wyruszyła z konwojem do Metymny, o dwa miejsca w szyku przed nią płynęła „Alkiona”, dowodzona przez Teramenesa, podczas gdy na skrzydle towarzyszył jej „Nieustępliwy” pod wielkim Trazybulosem.

Decyzje te przyniosły zamierzony skutek. Dowodzenie rozłożone teraz było w poprzek całego politycznego spektrum; osłabła wzajemna rywalizacja; przywrócony został porządek. Niedostatki i trudy mniej ludziom doskwierały, kiedy dzieliły je z nimi tej miary postacie. Tak wielu cudzoziemskich żeglarzy zdezerterowało do nieprzyjaciela, że po raz pierwszy przyszło ateńskiej flocie iść do bitwy z wrogiem, który górował nad nią liczebnością swych załóg. To również przyczyniło się do uzdrowienia wewnętrznych stosunków: żeglarze chętniej ćwiczyli; dyscyplina utrzymywana była od wewnątrz pod naciskiem towarzyszy, a nie pod przymusem oficerów. Mogę stwierdzić, że ze wszystkich mych zamorskich misji właśnie to zgrupowanie okrętów i ludzi było jeśli nie najświetniejsze, to z pewnością najsprawniejsze.

Usunięcie się w cień naszego naczelnego wodza miało nader istotne konsekwencje dla Polemidesa, który dowiedział się o tym jeszcze w trakcie ukrywania się po bitwie efeskiej.

Skoro Alkibiades pozbawiony został władzy, to Polemides nie mógł wrócić do domu. Zakręt Drogi mógł być skutkiem tego, jeśli już nie był, na zawsze dla niego stracony, a wraz z nim przepadły środki utrzymania dla dzieci Lwa i dla jego własnego potomstwa. Skazujący wyrok za zdradę pozostawał w mocy; teraz już w oczach obu wojujących stron był przestępcą, którego należało uwięzić. Nawet zamysł przedostania się na Samos, by połączyć się z połowicą i dziecięciami, stał się bardzo ryzykowny. Polemides został, jak mówi poeta, schwytyany pomiędzy ziemią a niebem.

„Posiadłość mojego teścia, ojca Aurory – opowiadał dalej Polemides podczas mej kolejnej wizyty w więzieniu – leżała pośród wzgórz oddalonej od portu Samos krainy, która rozpościerała się na północy wyspy, nad Zatoką Piloną. Z miasta można było do niej dotrzeć Herejońską Drogą, ja jednakowoż wolałem wylądować w najbardziej oddalonym punkcie, z boku zatoki, na przyczółku zwanym Cyckiem Starej Niewiasty, a w dodatku uczyniłem to

w chwili, gdy było jeszcze ciemno. Przedostałem się następnie na małą wysepkę, Tragę, by dopiero stamtąd, w ponad miesiąc po przewidzianej dacie połogu mej małżonki, pokonać ostatni etap podróży. Przewiózł mnie na wyspę czternastoletni chłopak imieniem Sofron kutrem zaopatrzeniowym, który podkradł ojcu. Nie chciał za to żadnej zapłaty ani nawet nie był ciekaw mego imienia, gdyż, jak mi wyjaśnił, czynił to z czystej chęci przeżycia przygody.

Wylądowawszy, wspinałem się ku domowi od tyłu, stromą i kamienistą ścieżką, toteż mocno już byłem spocony, gdy weszło słońce i w tej samej chwili ukazały się nade mną dachówki domostwa. Wkrótce mogłem się przyjrzeć z oddali całemu siedlisku: dwa gospodarcze budyneczki z surowego kamienia, a pomiędzy nimi mały, przecięty ścieżką kopczyk, od którego szła pod górę obramowana drzewami kamforowymi aleja, prowadząca do głównej siedziby.

Przy owej alei usytuowany został rodzinny cmentarzyk, obok którego przechodząc, spostrzegłem zawieszane na nadprożu bramy dwa splecione z tamaryszka i wawrzynu wieńce, które na wyspach zwykło się ofiarowywać Demeter i Korze z prośbą o wstawiennictwo za zmarłymi. Czyżby oszedł ojciec? A może dziadkowie Aurory, którzy zamieszkiwali

chaty leżące u podnóża przeciwnego stoku?

Spiesznie podążyłem ku domowi, napominając się w duchu, aby nie dać się zbyt łatwo ponieść radości z tego nader spóźnionego powrotu do domu, gdyż kolidowałaby ona z czyjąś żałobą. O rzut kamieniem wypatrzyłem mego szwagra Antiklesa, który wyszedł z za rogu jednego z kamiennych budyneczków ze swym psem, Grotem. Na jego widok podnieśli się z ziemi dwaj czekający nań z narzędziami kamieniarze.

– Czyżby znowu zawaliło się ogrodzenie ogródka?
– zakrzyknąłem na powitanie.

Antikles odwrócił się i zobaczył mnie. Rysy jego twarzy uległy wówczas tak gwałtownej zmianie, jak gdyby zakrztusił się moim okrzykiem. W tej samej chwili z za pochyłości wyszedł jego starszy brat Teodoros. Zaledwie mnie spostrzegł, stanął jak wryty, po czym pochylił się i pochwyciwszy z ziemi dwa kamienie, ruszył w moją stronę.

– Ty!...

To było całe jego powitanie.

Do głębi wstrząśnięty, usłyszałem własny głos:

– Co się stało?

Kamienie przeleciały tuż koło mej głowy.

– Nie chcemy cię tutaj!

Wypuściłem z rąk mój podróżny worek i broń i

rozpościerając ręce z dłońmi zwróconymi w ich stronę, w imię bogów poprosiłem, by mnie oszczędzili.

– Oby cię piekło pochłonęło – wrzasnął Antikles – za całe zło, któreś wyrządził temu domowi!

Obaj bracia ruszyli ku mnie, a nawet i kamieniarze postąpili w moją stronę; z psiej gardzieli wydobyło się groźne warczenie.

– Gdzie Aurora? Co się stało?!

– Zmiataj stąd, ty łotrze!

Cięnięty przez Teodorosa kamień trafił mnie w biodro. Zacząłem ich błagać, aby powiedzieli mi, co się takiego wydarzyło.

– Pozwólcie mi mówić z Aurorą. To moja małżonka. Powiła moje dziecko.

– Tam możesz z nimi porozmawiać.

I Teodoros wskazał ręką w stronę grobów.

Ktokolwiek był żołnierzem, ten zna owe chwile, gdy umysł mężczyzny nie wytrzyma ogromu cierpienia ciała lub duszy. Przeniknęło mnie nagłe wrażenie, że przeżywam jakiś koszmarny sen. Jakże to możliwe, aby ci dwaj ludzie, którzy byli mi braćmi, następowali na mnie z taką nienawiścią? I jakże to możliwe, aby te dwa wieńce przeznaczone były dla dwojga najdroższych mi istot?

– Opuść tę krainę! – warknął Antikles, zamierzając

się na mnie trzymanym w ręku kijem. – Przysięgam na wszystkich bogów, że jeśli jeszcze raz staniesz na mojej drodze, to jeden z nas przyplaci to życiem!

Odszedłem. Na granicy posiadłości, skąd zaczyna się spadek ku zatoce, dwaj synowie sąsiadów oczyszczali grunt z chwastów i krzaków. Od nich dopiero dowiedziałem się, że przed dwoma miesiącami małżonka moja zmarła. Została otruta. Odeszła z tego świata wraz z nienarodzonym dzieckiem, które nosiła w swym łonie.

Kiedy wreszcie wróciły mi zmysły, było już popołudnie. Ponownie wspiąłem się na wzgórze. Gdy zbliżyłem się do ogrodzenia, opadły mnie psy. Przygalopował wówczas na koniu Antikles. Zwróciłem się doń z błaganem:

– Powiedz mi, bracie, co mogę uczynić, aby wziąć odpłatę za to nieszczęście?

Nic mi na to nie odpowiedział, a tylko obracając w miejscu swego wierzchowca, patrzył na stojącego przed nim nieszczęśnika z największym pożałowaniem, jakie człowiek zdolny jest odczuwać, lecz nie wobec innego przedstawiciela ludzkiej rasy, a jedynie pokutującego widma, pozbawionego życia, wszelako skazanego na wieczną tułaczkę, bez prawa do wiekuistego spoczynku.

– Ukradłeś słońce z naszego nieba, ty i ów, który cię nasłał. Oby twoje i jego dni na zawsze pozostały okryte takim samym mrokiem, jakim wy okryliście nasze".

44. ŚWIADEK ZABÓJSTWA

– W tym punkcie swej opowieści Polemides zamilkł, przez długą chwilę niezdolny mówić dalej. Gdy wreszcie opanował wzruszenie, oświadczył mi, że zmieniło się jego nastawienie do procesu. Nie chciał już oskarżenia; postanowił przyznać się do winy. Powiedział mi, że od pewnego już czasu zastanawiał się nad tym, ale dopiero teraz uświadomił sobie, iż jest to kwestia jego honoru. Żałował jedynie, że tyle mi zabrał swoimi sprawami czasu, który mu, jak z wdzięcznością stwierdził, tak szczerze i z taką troską poświęcałem. Prosił mnie usilnie, abym mu to wybaczył.

Ogarnęła mnie wściekłość na tę jego rejteradę i z furią na niego natarłem. Jak śmiał tak wykorzystywać moje serdeczne współczucie i zarazem bezcześcić pamięć swych umiłowanych towarzyszy, wplatając ich losy w swoją historię? Zdawało mu się może, że zająłem się jego sprawą ot tak sobie, niefrasobliwie? Czy może dlatego, że go podziwiałem lub sądziłem, że zasługuje na ocalenie? Otóż nie, musi wiedzieć, że pogardzałem i nim, i czynami, których się dopuścił, a obrony jego podjąłem się z tą tylko myślą, by przedstawienie jego samopohańbienia posłużyło

naszym rodakom jako wzorzec niesławy. Z chwilą gdy zwrócił się do mnie, szukając mego wsparcia, jego sprawa przestała być jego własną; jak śmie wycofywać się tuż przed jej finałem? Dobrze, umieraj więc, wykrzyknąłem w pewnej chwili, ani ja, ani ktokolwiek inny żałoby po tobie nosić nie będzie!

Zaczynam zerwać się z miejsca i począłem tłuc w drzwi, aby mnie wypuszczono.

Żadnej wszakże oprócz echa nie doczekałem się odpowiedzi na moje łomotanie. Przypomniałem sobie, że to pora kolacji dozorca, który zapewne udał się już do refektorium. Zza pleców dobiegł mnie śmiech mojego klienta.

„Wygląda na to, że i ty zostałeś uwięziony, przyjacielu!”.

„Jesteś nędznym kundlem, Polemidesie!”.

„Nigdy się za nic lepszego nie uważałem”.

Odwróciłem się ku niemu. Gniew mój zaczął już łagodnieć i nagle zdałem sobie sprawę, do jakiego stopnia bliski stał mi się ten łotr. Jego poranione i poorane wojennymi przejściami oblicze rozjaśnił uśmiech. Przyznał rację osądowi, jakiemu go przed chwilą poddałem, a nawet dodał, że nie był on dostatecznie surowy.

Następnie miast podjąć opowieść, wyciągnął ze

swego kufierka dwa listy; ze sposobu, w jaki się z nimi obchodził, wyczułem, że musiał je niedawno na nowo przeczytać i treścią ich poczuł się głęboko poruszony. Podał mi je.

„Siadaj, przyjacielu. Tak czy tak, na jakiś czas musisz tu ze mną zostać”.

Pierwszy z listów napisany był przez niego do ciotki Dafne, a datowany kilka miesięcy po ostatecznej klęsce ateńskiej floty pod Ajgospotamoj, która to katastrofa zapowiadała nieuchronną kapitulację miasta po dwudziestu siedmiu latach wojny toczonej ze Spartanami i ich perskimi i peloponeskimi sojusznikami.

Polemides wyjaśnił mi, że w owym czasie pozostawał w służbie Lizandra, podczas gdy w ojczystym kraju ciążył na nim wyrok śmierci za zdradę i morderstwo. Pisząc do przebywającej w Atenach ciotki, radzi jej, aby przygotowała się na rychłe oblężenie, a następnie upadek miasta:

...pewne frakcje naszych rodaków przyznają sobie prawo do zabiegania o coś, co nazwą pokojem. Państwo wyrzeknie się swej niepodległości; jego flota zostanie zniszczona, a Długie Mury zburzone. Atenom narzucony zostanie marionetkowy rząd, złożony ze sprzedawczyków. Zaczną się represje. Być może

powrót pozwoli mi nieco złagodzić, przynajmniej w odniesieniu do Ciebie i naszej rodziny, skutki bezprawia, które bez wątpienia wówczas zatriumfuje.

Musisz się przenieść, Ciociu, z miasta na wieś. Zabierz z sobą dzieci Lwa. Czy uda Ci się odnaleźć moje? Jeśli tak, to znajdź im bezpieczne schronienie. List ten nosić będzie pieczęć sztabu Lizandra. Posłuży Ci on za ochronę, wszelako okaż go tylko w przypadku, gdyby była to kwestia życia i śmierci, ponieważ znajdą się rodacy, którzy będą Ci się potem chcieli za to odpłacić.

Wreszcie, Droga Moja, nie bądź obecną w Pireusie, kiedy wpłyną tam eskadry Lizandra, albowiem musiałabyś wówczas zobaczyć coś, co każdej ateńskiej patriotce złamałoby serce: dziecko, które wychowałaś, okryte szkarłatem wroga. Ja sam znalazłem się już poza zasięgiem miłości ojczyzny i zarazem poza zasięgiem wstydu. Postępuję i będę postępował tak jak inni, z tą jedną tylko myślą by ocalić swoich.

Na co ciotka mu odpowiada:

Ty bezduszny bezwstydniku! Jak śmiesz powoływać się na swoją troskę o mnie, posługując się nią jedynie jako pretekstem dla swej perfidii? Żałuję, że nie zdechłeś w tym kamieniołomie lub w jakimś bezimiennym zakątku, dopóki jeszcze można Cię było

zwać synem Twego ojca, a nie uosobieniem hańby, jakim się tak jawnie okazałeś. Obym z woli boskiej nigdy już nie musiała oglądać Twojej twarzy. Wiedz, że dla mnie przestałeś istnieć. Nie mam już bratanka.

Zwróciłem listy Polemidesowi. Wyraz jego twarzy jasno dowodził, że w pełni podzielał on potępiający wyrok, który wydała nań ciotka, i to w takim stopniu, iż wykluczał jakiegokolwiek jego złagodzenie, a w każdym razie nie w tym momencie jego żywota. Doznałem uczucia, jak gdyby był przepływającym obok mnie ciałem, którego nie udało mi się zaczepić bosakiem i teraz oddalało się z prądem, aby nigdy już się nie pojawić.

Wrócił dozorca i wypuścił mnie. Udałem się przez Żelazny Dziedziniec do celi Sokratesa i spędziłem z nim oraz z gromadką jego przyjaciół resztę wieczoru. Nasz mistrz miał przed sobą tylko trzy dni życia. Tego ranka w pobliżu Sunionu dostrzeżono powracający z Delos święty statek; jego przybycie do Aten położy kres zawieszeniu, któremu ulegała dotychczas egzekucja filozofa. Oczekiwano go już tego wieczoru, jednakże z jakiegoś powodu nie przyplłynął. Sokrates wiedział o tym z przepowiedni, która dana mu została we śnie. Ukazała mu się, jak to nam opowiedział, jakaś baśniowa niewiasta w białych szatach, która

zwróciwszy się doń po imieniu, rzekła:

Do miłej ludzioro ftyjskiej ziemi Trzeciego z rzędu dnia przybędziesz.

Straszliwa rozpacz zdławiła me serce, przejęta po części od Polemidesa, którego napomknienie o godzinach upadku naszego kraju zbiegło się z czekającą mego mistrza śmiercią, która w moim odczuciu była drugim i w istocie jeszcze okropniejszym nieszczęściem, albowiem zdawało mi się, że zapowiada koniec nie tylko naszej niepodległości, ale i samej idei demokracji.

Opuściłem więzienie ostatni ze wszystkich odwiedzających. Postanowiłem sobie już nigdy więcej nie rozmawiać z Polemidesem ani nawet nie przekazywać jego życzeń władzom. Dokonał wyboru; niechże go teraz urzeczywistni.

Przy wyjściu było pusto i cicho, jeśli nie liczyć jakiegoś cieśli, który w więziennym warsztacie okuwał drzwi. Zerknąłem do środka i zaraz uświadomiłem sobie, że pomyliłem się, biorąc żelazne sztaby za okucia lub rodzaj zawiasów. Rozpoznałem rzecz, nad którą cieśla pracował.

To nie były drzwi.

Był to *tympanon*, na którym miał zostać stracony Polemides. Przywiążą go nagiego do deski, po czym

postawią ją pionowo. Nikomu nie będzie wolno zbliżyć się do skazańca ani przyjść mu z jakąkolwiek pomocą; pozostanie przy nim tylko kat, aby zadać mu śmierć w przepisany przez sąd sposób i następnie poświadczyć zgon.

Cieśla zaprosił mnie do środka i nie przerywając pracy, pogodnym tonem począł do mnie zagadywać. Zaczął od tego, że na każdą egzekucję musi wykonać nowe urządzenie.

„Nie uwierzyłybyś, panie, jakie to różności wypływają z człowieczych bebechów. Po śmierci skazaniec robi się leciutki niczym lalka”.

Pokazał mi, jak to działa. Cztery żelazne obręcze unieruchamiają członki ofiary, a zrobione z łańcucha jarzmo obejmuje i dociska szyję. Dokręcając sworznie, które mocują to jarzmo do krawędzi deski, kat pozbawia skazańca tchu, aż do uduszenia. Największą, zdaniem rzemieślnika, zaletą tego instrumentu było to, że pozwalał on na egzekucję całkowicie bezkrwawą.

Spytałem go, czy urządzenie, nad którym właśnie pracuje, posłuży do zadania śmierci Polemidesowi. Tego nie wiedział; nie miał w zwyczaju dopytywać się o takie rzeczy. Powiedział mi za to, że ktoś, kogo skazano za zdradę, nie może zostać oddany attyckiej ani „żadnej innej ziemi, na której panują Ateńczycy”.

Ciało zostanie rzucone na pożarcie psom i krukom.

W opinii cieśli *tympanon* był najbardziej ludzkim z ostatnich wynalazków w dziedzinie uśmiercania ludzi.

„To lepsze niż wtrącanie kogoś do Trupiej Dziury, jak to zrobili ze strategami po Arginizach. To było strasznie okropne, panie. Mój ojciec robił dla nich zapadnie. Nikt by za jednym zamachem nie zdążył zrobić sześciu sztuk, no to trzech musiało poczekać na swoją kolej. To było potworne, jak się usłyszało ten dźwięk, co się rozszedł, kiedy pierwszych trzech uderzyło o dno przepaści. Młodszy Perykles i Diomedon nie wydali głosu, a żaden z nich przedtem nie przemówił. Tylko Diomedon powiedział krótko: »Załatwmy to raz dwa«.

Jak rzecze Teognis, najlepsze ze wszystkiego to nigdy się nie narodzić ...lecz narodzony, pospiesz ile siły prosto do piekła i tam znowu zaśnij, tarczą solidną ziemi dobrze osłonięty.

Kilka dni wcześniej, po mojej drugiej rozmowie z Eunikę, przywołałem parę moich ogarów, Myrona i Lado, których – obiecując im premię – ponagliłem, aby zdwoili wysiłki i wywieźli się o szczegóły zabójstwa, o które oskarżony był Polemides. Nie ociągali się bynajmniej i trzeciego poranka od otrzymania tego zlecenia zapoznali mnie z rezultatami

swych poszukiwań. Znaleźli mianowicie pewnego człowieka, który w owym czasie był żeglarzem i naocznym świadkiem tego wydarzenia. Odmówił on zeznawania przed sądem, jako że winien był ludziom pieniądze i nie chciał, aby się dowiedziano, że jest w mieście; dał się jednakowoż przekonać do podyktowania swych zeznań, a następnie zaprzysiężenia ich prawdziwości.

Oto ów dokument. Świadek przedstawia się jako obywatel dystryktu Amfitropy i były podoficer floty:

...to było na Samos, w jednej z tych spelunek, które zwą „soda”. Na szyldzie było „Pod Liściem Mięty”. Schodzili się tam wioślarze z paru okrętów; to było ich stałe miejsce. Tego wieczoru była tam też Polemidesowa dziewczka, Eunikę, a oprócz niej jeszcze z tuzin takich samych jak ona; były też dzieci, bo takie tam właśnie panowały obyczajaje. Zaczęło padać, a sufit przeciekał, więc porozstawialiśmy na stołach garnki i różne takie rzeczy...

Aż tu wkracza Polemides. Nie patrzy ani na prawo, ani na lewo, tylko idzie prosto do tej Eunikę i gwałtem łapie ją za szyję, jakby chciał kobietę udusić. Skacze na niego dwóch czy trzech, żeby go odciągnąć, no i zaczynają się bić. Polemides strząsa ich z siebie, chwytając za żelazny kociołek, co służył do łapania

deszczu, no i z tym kociołkiem znowu rzuca się na swoją kobietę. Wtedy ten cały Filemon próbuje go zatrzymać, więc Polemides bierze zamach kociołkiem i jednym uderzeniem zwała go na podłogę. Człek był nieżywy, zanim jeszcze rymnął.

Polemides patrzy na niego, potem na Eunikę, a potem na swoje bękarty i dyszy przy tym z szeroko otwartą gębą, całkiem jakby stracił rozum. Aż go dopiero ten widok szczeniaków chyba oprzytomnił, bo się okręca na pięcie i wychodzi.

To się wszystko odbyło ze dwa razy szybciej niż moje o tym opowiadanie. Pomiedzy jego wejściem a wyjściem nikt nawet nie zdążył wypowiedzieć słowa.

Prawdziwy smród dopiero potem się zrobił przez jego dziewczkę. Ta cała Eunikę, jak się okazało, to był kawał wściekłej kocicy. Nafaszerowała belladona niewiastę ze szlachetnego rodu, co to ją Polemides pojął za żonę. Otruła ją. Załatwiła nie tylko samą niewiastę, ale i dziecko, które w sobie nosiła. Tak w każdym razie ludzie gadali.

Czyli że tak to się właśnie odbyło, panie. Polemides załatwił tego nieszczęsnego sukinsyna Filemona, ale nie z rozmysłu, tylko że ten mu nieopatrznie wszedł w drogę, kiedy on chciał zrobić porządek ze swoją kobietą. Taka jest prawda. Byłem przy tym i wszystko

widziałem.

45. OREĐOWNIK SPRAWIEDLIWOŚCI

– Jeszcze dwa świtania i Sokrates będzie musiał wypić cykutę. Nie sposób było spać; człowiek przez całą noc przewracał się z boku na bok, by wreszcie dopiero o pierwszym brzasku zapaść w płytką i pełną koszmarów drzemkę.

O tej właśnie godzinie zapukał mój sługa, komunikując, że przed furtką stoi jakiś młodzieniec. Odmówił on podania swego imienia, lecz w nader natarczywy sposób nalegał, aby go wpuszczono. Miał jakoby w swym posiadaniu, powtórzył mi sługa, znaczną sumę pieniędzy, którą chciał przekazać w moje posiadanie.

Ciekawość sprawiła, że wraz z dwoma moimi synami powitałem go w progu domostwa. Zdał się nam co najwyżej szesnastoletnim niedorostkiem, do tego chudym jak patyk. Zaprosiłem go do środka.

„Nie, panie, dziękuję. Przybyłem tu jedynie jako przedstawiciel grupy obywateli zatroskanych pewną sprawą. I to, nie powiem, całkiem znaczącej grupy”.

Przemawiał z takim przejęciem, że budziło to w człowieku śmiech, tym bardziej że jego oracja tchnęła swoistą uroczystą sztucznością, właściwą wszystkim z góry skomponowanym i wyuczonym na pamięć

przemowom.

„Pragnąłbym jedynie – kontynuował – złożyć w twoje ręce, kapitanie, fundusz zebrany na rzecz Polemidesa, syna Nikolaosa z Achamy, abyś go spożytkował dla jego obrony w sposób, jaki uznasz za właściwy. Jestem młody, panie, i nie mam żadnego doświadczenia w dziedzinie sądownictwa, wszelako oczywistą jest rzeczą, że każda sprawa pociąga za sobą pewne koszty, które...”.

Zaczym wręczył mi pieniądze, i to bynajmniej nie drobną sumę, gdyż było tego ponad sto drachm. Z miejsca uderzył mnie i moich synów fakt, że były to jedna w drugą świeżo wybite srebrne tetry, co budziło podejrzenie, iż pochodziły wszystkie z jednej i tej samej kradzieży.

„Jakim sposobem taka kruszyna jak ty weszła w posiadanie takiej kupy pieniędzy?” – spytał mój starszy. „Robi wrażenie, co?”.

Jego akcent do złudzenia przypominał ten, z jakim mówiła Eunike, nadto zaś miał identyczne jak ona czoło i oczy.

A zatem to on był owym nieletnim uciekinierem.

„W samej rzeczy, młodzieńcze – przytaknałem, ważąc w dłoni kabzę. – A w jakim miałbym celu użyć tych pieniędzy? Żeby może przekupić ławników?”.

„Mężowie, którzy mnie z nimi przysłali, panie, w pełni zdają się na twoją mądrość”.

„A owi zatroskani obywatele... Z jakichże to właściwie powodów zainteresowani są tą sprawą?”.

„Są oni orędownikami sprawiedliwości, panie”.

Zdażyłem już dokładniej się przyjrzeć temu młodzieńcowi. Jego płaszcz odznaczał się długością, która zyskała tego typu okryciu miano „zamiatacza ulic”, a choć oczyszczony został nie dawniej niż poprzedniego wieczoru, to plamy po kurzu, który wżarł się w jego oblamowanie, zdradzały kondycję właściciela. Nie ulegało wątpliwości, że zakryte jego połamami stopy nie były obute.

„Czy jadłeś już coś dzisiaj, młodzieńcze?”.

„Ależ tak, panie. Do pełnego syta!”.

Obaj moi synowie wybuchnęli śmiechem.

„Tylko uważaj, żeby ci to teraz brzucha nie rozsadziło!”.

Jeszcze raz zaprosiłem go do środka. Ponownie podziękowawszy, odpowiedział jednak odmownie. Wyciągnąłem więc ku niemu pieniądze.

„Czy nie lepiej, żebyś je po prostu zaniósł samemu Polemidesowi?”.

Tak go to zbiło z tropu, że zaczął się jąkać, aż w końcu na dobre zamilkł. Jasne się stało, że sprawa

potoczyła się torem, którego ani trochę nie przewidział, przygotowując swoje wystąpienie.

„Myślę, że tak właśnie powinieneś uczynić – nalegałem. – Zdesperowanego więźnia z pewnością bardzo by podniósł na duchu taki dowód posiadania przyjaciół przejętych jego losem”.

„Proszę po prostu wziąć to ode mnie, kapitanie”. „Powiem ci, chłopcze, co wezmę”. Na mój znak obaj synowie chwycili go pod ramiona. „Wezmę mianowicie ciebie i tę kabzę do urzędnika sądowego, który będzie wiedział, jak wyciągnąć z ciebie przyznanie się, skąd ją masz!”.

„Puśćcie mnie, gnoje!”.

Walczył jak dzika bestia: choć obaj moi chłopcy byli pierwszorzędnymi zapaśnikami, to chyba w pojedynkę żaden nie dałby mu rady.

„A teraz, mój młody przyjacielu – powiedziałem, kiedy go wreszcie unieruchomili – wolisz udać się ze mną do Polemidesa czy raczej mam cię zawlec do siedziby archonta?”.

Kiedyśmy się już zbliżali do więzienia, chłopiec stał się bardzo niespokojny.

„Czy zostanę przeszukany, panie?”.

Zaczynam wyciągnąć zza pazuchy sztylet, a z przymocowanej do uda pochwy spartański

zakrzywiony nóż, *xyle*.

W korytarzu prowadzącym do celi zatrzymałem się. Dziecięca twarzyczka chłopca przybrała barwę kredy.

„Nie wejdiesz tam ze mną, panie?”.

„Do tej pory wywiązywałeś się ze swej roli jak mężczyzna” – odparłem na to i położywszy mu dłoń na ramieniu, zachęciłem go lekkim popchnięciem.

Z miejsca, w którym stałem, wewnętrzne celi było niewidoczne, Polemidesa nie miałem więc w polu widzenia, a jedynie chłopca, który stanął z wahaniem w progu, gdy dozorca otworzył drzwi celi, i taki miał wyraz twarzy, jak gdyby wprowadzano go do klatki z dzikim zwierzem. Wyznaję, Jazonie, że kiedy to dziecko zebrało się na odwagę i weszło do środka, poczułem pieczenie w oczach i ucisk w krtani.

Ojciec i syn pozostali z sobą przez całe przedpołudnie, a w każdym razie dłużej niż przez tę godzinę, kiedy czekałem w refektarzu, który miał w swojej pieczy mój dawny towarzysz broni, łucznik piechoty morskiej zwany Siniakiem.

Zanim udaliśmy się do więzienia, moi synowie wręczyli chłopcu zawiniątko z odzieżą, zawierające między innymi sandały i nową tunikę, wyjaśniając, że to dla jego ojca; mieliśmy wszakże wszyscy trzech

nadzieję, iż kiedy już się rozstaniemy, przemoże on swą dumę i zachowa to odzienie dla własnego użytku.

Jednakowoż w południe następnego dnia znaleźliśmy to zawiniątko przed furtką naszego domostwa. Zawartość pozostała nietknięta, choć towarzyszyła jej notka ze słowem podziękowania; nic więcej.

46. PO DRUGIEJ STRONIE ŻELAZNEGO DZIEDZIŃCA

„Tego wieczoru grupa przyjaciół Sokratesa wyszedłszy z jego celi, przeszła przez Żelazny Dziedziniec do apartamentów Lizymachosa z Oa, sekretarza Jedenastki. Egzekucja mistrza wyznaczona była na następny dzień. Na jego życzenie cykuta miała mu zostać podana o zachodzie słońca. Sekretarz pokazał nam drewnianą czarę z pokrywką; zdaje się, że wystawiona na działanie powietrza, trucizna zmieniała swój skład. Trzeba ją było całą wypić od razu, najlepiej duszkiem.

Tak się złożyło, że kat, którego funkcję miał w tym przypadku pełnić pewien lekarz z Brauron, był akurat obecny w więzieniu w innej jakiejś sprawie; na tyle był uprzejmy, że poświęcił nam trochę czasu. Oprócz mnie obecni byli wówczas Kritobulos, Krito, Simmiasz z Teb, Kebes, Epigenes, Fajdo z Samos i jeszcze paru innych. Medyk, którego imienia nam nie wyjawiono i który nawet z widzenia nie był nam znany, miał na sobie tak samo jak my wszyscy zwyczajny biały chiton. Jutrzejszego wieczoru, jak nas objaśnił, przywdzieje swój urzędowy strój, o czym wolał nas z góry uprzedzić, mówiąc, że nie będąc przygotowanymi

na jego widok, moglibyśmy się przerazić.

Będzie nam wolno pozostać w celi z Sokratesem aż do końca, a po ogłoszeniu i oficjalnym zarejestrowaniu jego zgonu – zabrać ciało mistrza. Egzekucji nie poprzedzi „ostatnia wieczerza”, jako że skazaniec musi być na czczo, co do wina zaś, to wolno mu je będzie pić tylko do południa, jako że jego działanie zmniejsza skuteczność trucizny.

Krito zapytał, co moglibyśmy uczynić, aby jakoś złagodzić naszemu przyjacielowi cierpienie w ostatnich jego chwilach. Cykuta działa bezboleśnie, odparł lekarz. Jej zażycie skutkuje stopniową utratą czucia, poczynając od stóp, jednakże skazany aż do ostatniej chwili zachowuje pełną jasność umysłu. Kiedy trucizna dotrze do żołądka, możliwe będą mdłości; potem zacznie się już faza otępienia zmysłów, zakończona utratą przytomności, a wreszcie ustaniem pracy serca. Cykuta ma to do siebie, że działa powoli i cały proces umierania może potrwać nawet i dwie godziny. Najlepiej, jeśli skazaniec zachowuje spokój; wewnętrzne poruszenie może przytłumić skutki trucizny i bywa, że zachodzi potrzeba wypicia drugiej albo nawet i trzeciej dawki.

– Dozna uczucia chłodu. Dobrze by było, abyście przynieśli z sobą owcze runo lub wełniany płaszcz,

którym mógłby się okryć.

Opuściliśmy więzienie w zupełnym milczeniu. Co do mnie, to w ogóle zapomniałem o Polemidesie (który w owej chwili z pewnością pisał oświadczenie o przyznaniu się do winy) i bez wątpienia wyszedłbym, nawet o nim nie pomyślawszy, gdybym po przejściu przez dziedziniec nie został zatrzymany przez odźwiernego, który zapytał, kto upoważniony będzie do odebrania ciała zabójcy. Zrozumiałem z tego, że wyrok już został wykonany, i przeżyłem chwilę konsternacji i głębokiego żalu, jednakże odźwierny zaraz wyprowadził mnie z błędu: egzekucja Polemidesa odbędzie się jutro o zachodzie słońca, podobnie jak w przypadku Sokratesa.

Śmierć poniesie na *tympanonie* i nie wiadomo, jak długo potrwa egzekucja. Zabójca okazał się na tyle sprytny – zauważył z uznaniem odźwierny – że przyznał się nie do zdrady, a do „złoczyńienia”. Ponieważ w istocie ten właśnie mu pierwotnie postawiono zarzut, uniknął tym sposobem hańby, jaką jest dla zdrajców wywiezienie ciała poza granice Attyki i rzucenie go na ziemię bez pogrzebania; jego zwłoki zostaną złożone w kostnicy przy Północnym Murze, skąd będzie je mogła odebrać rodzina.

„Pokazał się tu pewien chłopiec, panie, który

oświadczył, że jest jego synem. Skoro nikt inny z bliskich się nie zgłosił, to czy urzędnicy będą mogli właśnie jemu wydać ciało?"

„Co powiedział w tej sprawie sam więzień?"

„Żeby ciebie o to zapytać, panie".

Zrobiło się już całkiem ciemno; byłem na nogach przez cały dzień i całą noc, i niemożliwością mi się zdawało, abym wytrzymał to samo, oczywiście jednak się stało, że w tej sytuacji nie mogę jeszcze udać się do domu. Przywołałem więc „skowronka" i wcisnąwszy mu w dłoń monetę, wysłałem go do mej małżonki z wiadomością, że powrót mój się opóźni.

Kiedy wszedłem do celi, Polemides coś pisał. Od razu wstał i w sposób, który świadczył, że jest w całkiem dobrym nastroju, powitał mnie uściśnieniem dłoni. Czy byłem u Sokratesa? Oczywiście: w więzieniu o niczym innym nie mówiono, tylko o egzekucji filozofa.

Sądziłem, że na jego widok znowu ogarnie mnie gniew z powodu zmarnowanego czasu i niepotrzebnych zabiegów na jego rzecz i że go na nim raz jeszcze wyładuję; tymczasem ku własnemu mojemu zdziwieniu stało się wręcz przeciwnie. Z chwilą gdy przekroczyłem próg celi, odniosłem wrażenie, że opada ze mnie cały ciężar przygnębienia.

Fakt, że zabójca z godnością zaakceptował swój los, podzielał na mnie krzepiąco, a zarazem niejako mnie zawstydził.

„Co piszesz?”. •

„Listy”.

„Do kogo?”.

„Jeden do syna, a drugi do ciebie”.

I oto nagle łzy popłynęły mi z oczu, a z krtani wyrwał się szloch. Musiałem zakryć twarz rękoma.

„Siadaj – zaprosił mnie więzień. – Syn przyniósł mi wino. Wypij trochę”.

Posłuchałem go.

„Pozwól, że dokończę pisanie. Zajmie mi to jeszcze tylko parę chwil”.

Pisząc, jednocześnie wypytywał mnie o Sokratesa. Uda mu się dać nogę? Prysnać na końskim grzbiecie? Zaczym roześmiał się i wyjaśnił mi, że w więziennych murach nie da się niczego utrzymać w tajemnicy; dotarły do niego wieści o wszystkich kolejnych planach zorganizowania ucieczki filozofa jak ten, który przewidywał, że Simmiasz i Kebes wynajmą konie i zbrojną eskortę; wiedział też, którzy z więziennych oficjeli przyjęli łapówki, a nawet w jakiej wysokości. Okazało się przy tej okazji, że paru donosicieli już szantażowało Kritona i Menekseusza, którzy im

zapłacili za trzymanie języka za zębami.

„Nie ucieknie – powiedziałem. – Jest tak samo uparty jak ty”.

„To dlatego, przyjacielu, że obaj jesteśmy filozofami”.

Wyjawiał mi następnie, że parę razy miał okazję uciąć sobie pogawędkę z Sokratesem, a to przy okazji spacerów, które czasami wyznaczano im o tej samej porze.

O czym rozmawiali?

„Najczęściej o Alkibiadesie. A trochę też o prawdopodobieństwie życia po śmierci – zaśmiał się. – Słyszałeś, że mają mnie załatwić na Kurwie?”.

Dowiedział się już więc, że będzie stracony na *tympanonie*.

Zapytał mnie, o czym gadaliśmy, spędzając cały dzień z Sokratesem. W innej sytuacji nikomu bym tego nie wyjawiał, ale teraz...

„Rozmawialiśmy o prawie i o jego przestrzeganiu w obliczu śmierci”.

Polemides zastanawiał się przez chwilę z poważnym wyrazem twarzy.

„Szkoda, że nie mogłem się temu przysłuchiwać”.

Przyglądałem się jego pisaniu. Rękę miał wprawna i pewną. Ilekroć przerywał, aby zastanowić się nad

jakimś słowem, uderzało mnie podobieństwo jego wyrazu twarzy i zachowania do tego, co zauważyłem u Alkibiadesa. Miał ten sam nawyk co jego wódz, który tym między innymi ujmował swoich słuchaczy, że kiedy w trakcie przemowy zabrakło mu jakiegoś słowa czy sformułowania, tak długą czynił pauzę, aż w końcu odszukał w pamięci to właściwe.

W świetle lampy Polemides wyglądał na młodszego niż w rzeczywistości. Szczupłość jego sylwetki, będąca skutkiem lat wojowania, pozwalała bez trudu wyobrazić go sobie jako chłopca, który w Lacedemonie, więcej już niż po trzykroć dziewięć lat temu, przepelniony był wielkimi nadziejami na przyszłość. Jakże gorzka ironia losu i jego nieuchronność sprawiła, że oto na końcu swej drogi znalazł się w tym samym zamknięciu co Sokrates!

Czy powinienem go teraz poprosić, by dokończył swą opowieść? I czy w istocie miało to jeszcze jakieś znaczenie? Z całą pewnością żadnego, jeśli myślałem o tym jako jego obrońca. A jednak nurtowała mnie chęć poznania historii jego życia aż do ostatniej kropki.

„Najpierw ty musisz mi coś powiedzieć – odrzekł na moją prośbę. – Coś za coś, prawda? W zamian za koniec mojej opowieści... To, co Sokrates powiedział dziś o prawie”.

Nie chciałem się na to zgodzić, gdyż wiele z tego, co powiedział mistrz, w pochlebny sposób odnosiło się do mnie samego.

„Ależ to oczywiste, Jazonie! Czyżbyś sobie wyobrażał, że zadałbym się z kimkolwiek, kto nie odznaczałby się najwspanialszą szlachetnością ducha?”.

Uległem więc jego naleganiu. Rzecz z grubsza tak się odbyła: Zebraliśmy się w naszym gronie w celi Sokratesa. Część spośród nas wciąż namawiała go do ucieczki. Ja również byłem za tym. Mając zbrojną eskortę, nasz mistrz niczego nie musiałby się obawiać na trakcie. Mógłby dotrzeć do każdego sanktuarium, które znaleźlibyśmy my lub jego przyjaciele w innych krajach.

Wykazałem się nierozsądkiem, spodziewając się odpowiedzi wprost. Filozof, rzecz jasna, takiej nam nie udzielił, natomiast zwrócił się do syna Kritosa, najmłodszego wśród nas, który siedział u jego stóp.

„Powiedz mi, Kritobulosie. Czy możliwe jest rozróżnienie pomiędzy sprawiedliwością a prawem?”.

Wyrwał mi się wówczas tak głośny jęk rozczarowania, że wszyscy, także Sokrates, wybuchnęli śmiechem. Ponownie wyłożyłem więc swoje racje. Nie ma już czasu na filozoficzne dysputy!

To kwestia życia i śmierci. Trzeba działać!

Nie Sokrates skrytykował moje stanowisko, lecz Krito, jego najstarszy i najbardziej mu oddany przyjaciel.

„Tymże więc jest dla ciebie filozofia, mój drogi Jazonie? Salonową rozrywką, którą się zabawiamy, kiedy los nam sprzyja, lecz której niechamy w chwili najwyższego zagrożenia?”.

Odparłem na to, że mogą znęcać się nade mną do woli, byle przychyłili się do tego, za czym się stanowczo opowiadam. Sokrates tylko popatrzył na mnie z wyrazem pewnego pobłażania, które mnie jeszcze bardziej wyprowadziło z równowagi.

„Czy pamiętasz, Krito – powiedział, wciąż nie zwracając się wprost do mnie – orację, którą nasz przyjaciel Jazon wygłosił do ludu podczas procesu strategów?”.

„Jak najbardziej. Było to doprawdy płomienne wystąpienie”. Zacząłem upraszać mego mistrza, aby nie naigrawał się ze mnie, albowiem sprawa, o której dziś mówimy, jasno dowodzi mojej racji. „A to jakim sposobem, mój przyjacielu?”.

Takim, że oto mamy do czynienia z wypaczeniem sprawiedliwości! Z szaleństwem, jakim jest skazywanie na śmierć wartościowych ludzi!

„Jemos będzie cię mógł z powrotem przywołać do Aten z Elidy bądź z Teb, ale nie z piekła!”.

„Oto ów płomień, który rozpoznaję, Jazonie! Ten sam, którym rozgorzałeś tamtego dnia: najjaśniejszy w całym twoim życiu. Tak byłem wówczas z ciebie dumny, jak z bardzo niewielu innych, zarówno przedtem, jak i potem”.

Speszyły mnie te słowa tak bardzo, że zamilkłem.

„Przemawiałeś po Euryptolemosie, który tak mężnie wygłosił wówczas mowę obrończą. Mówiłeś o prawie, przekonując lud, że nie wolno go psuć, i oskarżając go, jeśli pamięć mnie nie zawodzi, o przestępstwo, jakim jest zawiść, albowiem popycha ona ludzi znikomej miary do unicestwiania lepszych od siebie. Nie przeinaczam twojej tezy? Chciałbym bowiem, abyśmy raz jeszcze rzecz całą dokładnie przemyśleli, gdyż kto wie, czy nie doznamy wówczas jakiegoś olśnienia”.

Zapewniłem go, że trafnie oddał moją myśl, jednakże pragnieniem moim było, abyśmy wrócili do kwestii ucieczki.

„Sądzę, że tym, co cię gnębi – podjął swój wywód Sokrates jest poczucie, że ponownie mamy do czynienia z takim właśnie wypaczeniem sprawiedliwości. Twierdzisz, że wydano wobec mnie wyrok skazujący nie w wyniku osądzenia mojej

sprawy, lecz pod ciśnieniem nienawiści, jaką ludzie darzą tych, którzy się ponad nich wywyższają. Czy właściwie ująłem twoją myśl, Jazonie?"

„A czyż nie to właśnie się wydarzyło?"

„Powiedz mi: czy uważasz, że lud zdolny jest rządzić samym sobą?"

Z rozmyślnym naciskiem odparłem, że nie.

„W takim razie kto twoim zdaniem rządziłby najlepiej?"

„Ty. My. Ktokolwiek, byle nie oni".

„Pozwól zatem, że inaczej sformułuję moje pytanie. Czy wierzymy w to, że prawo, nawet niesprawiedliwe prawo, musi być przestrzegane? Czy może uważamy, że jednostka upoważniona jest do tego, by rozstrzygać, które prawo jest sprawiedliwe, a które niesprawiedliwe? Które godne jest poszanowania, a które nie?"

Na co odparłem, że to, co go spotkało, nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością, a zatem wolno mu to odrzucić.

„W takim razie powiedz nam, Jazonie: czy lepiej jest dla kogoś utracić życie na skutek niesprawiedliwości innych, czy też żyć, uczyniwszy owych innych ofiarami własnej niesprawiedliwości?"

Ta wypowiedź ostatecznie wyprowadziła mnie z

równowagi, zaczęli gwałtownie przeciw niej zaprotestować. Uciekając, Sokrates nikogo by niesprawiedliwie nie potraktował. Po prostu musi żyć! I, na bogów, każdy z nas gotów jest poruszyć niebo i ziemię, aby ocalić mu życie!

„Zapominasz o czymś, Jazonie, wobec czego zachowałbym się niezgodnie z poczuciem sprawiedliwości. O Prawie. Przypuśćmy, że oto zasiada Ono pomiędzy nami. Czyż nie miałyby podstaw, by teraz powiedzieć coś w rodzaju: »Sokratesie, służyłem ci przez całe twoje życie. To pod moją ochroną wyrosłeś na mężczyznę, ożeniłeś się i założyłeś rodzinę; to dzięki moim zarządzeniom zarabiałeś na życie i studiowałeś filozofię. Korzystałeś z moich darów i z bezpieczeństwa, które ci zapewniałem. Lecz oto teraz, kiedy mój wyrok stanął ci na przeszkodzie, chciałbyś się ode mnie uwolnić«. Co byśmy na to Prawu odpowiedzieli?».

„Że są mężowie, których trzeba sytuować ponad prawami". „Jak przechodzi przez usta coś takiego komuś, kto tamtego dnia z tak głębokim przekonaniem bronił przeciwnego poglądu?».

Ponownie ogarnęło mnie pomieszanie; chodzi o to, że po prostu nie mogłem pogodzić się z jego skazaniem.

„Pozwól, że odświeżę ci pamięć, Jazonie. Nie tylko twoją, ale i tych spośród naszych przyjaciół, którzy są tu dziś obecni, tym zaś, którzy za młodzi byli wówczas, aby cię móc wysłuchać, da to sposobność poznania przeszłych wydarzeń”.

Zaczym Sokrates wygłosił następującą długą przemowę, którą tu odtwarzam z pamięci:

„Kiedy po klęsce pod Notionem Alkibiades został wygnany, miasto wyznaczyło na jego miejsce Konona jako naczelnego wodza. Aby wszakże władza nie skupiła się w rękach jednego człowieka, Rada uczyniła go członkiem dziesięcioosobowego ciała, składającego się ze strategów, wśród których byli także dwaj nasi przyjaciele, Arystokrates i Perykles młodszy. Pod tym kolegialnym dowództwem flota wydała nieprzyjacielowi wielką bitwę na Arginuzach, niszcząc siedemdziesiąt jego okrętów, w tym dziesięć spartańskich, samej tracąc dwadzieścia pięć jednostek. Uczestniczyłeś w tym starciu, Jazonie, jeśli więc podałem niewłaściwe liczby, to mnie łaskawie popraw.

Zdawało się w chwili, gdy bitwa ta dobiegła końca, że teraz już wszystko przebiegać będzie po myśli Aten. Jednakowoż zaraz potem, co podobno o tej porze roku zdarza się na tych wodach nader często, z wielką szybkością zerwał się wichur i rozpętała się straszliwa

burza. Uniemożliwiła ona wyłowienie z wody załóg naszych okrętów, które zostały staranowane lub w inny sposób uszkodzone i zatopione. Trazybuloś i Teramenes, wielokroć sprawdzeni w bitwach wodzowie, którym kolegium strategów powierzyło dowództwo, bezradni byli wobec żywiołu. Wszyscy rozbitkowie utonęli, a zważywszy, że stanowili oni załogi dwudziestu pięciu okrętów, była to ogromna liczba pięciu tysięcy ludzi. Kiedy się o tym dowiedziało miasto, zapanowało wrzenie, przy czym reakcje ludzi były wręcz przeciwstawne: jedni zapłonęli gniewem i, przejęci grozą, żądali głów tych, którzy nie potrafili uratować tonących, podczas gdy drudzy starali się ów gniew uśmierzyć, przedstawiając tę katastrofę jako zrządzenie wojennego losu i podkreślając z jednej strony gwałtowność sztormu, którą potwierdzały wszystkie doniesienia, z drugiej zaś skalę odniesionego zwycięstwa.

Tak się jednakowoż złożyło, że – ci, którzy wówczas byli w Atenach, z pewnością to pamiętają – niedługo po bitwie przypadała data tradycyjnego Święta Apaturii. Zawsze był to radosny czas, kiedy gromadzą się wszelkiego rodzaju bractwa, by odnowić łączące ich członków więzi i przyjąć do swego grona młodzieńców, którzy weszli w odpowiedni wiek. I

otóż, powiadam, tak się nieszczęśliwie złożyło, że w szeregach owych bractw ujawniły się znaczne luki po żeglarzach i żołnierzach, którzy utonęli; ich rozmiary z całą jaskrawością uświadomiły ludziom ogrom strat, będących skutkiem tej bitwy morskiej. Przygnębiecie i rozpacz, jakie wówczas ogarnęły ludność, dodatkowo podsycane wystąpieniami pewnych osób – z których jedne powodowane były szczerymi uczuciami, inne jednakowoż zmierzały do zdjęcia z mówców wszelkiej odpowiedzialności i miały demagogiczny charakter – stały się przyczyną wybuchu. Miasto zażądało krwi. Sześciu strategów zostało aresztowanych (czterej, których w porę uprzedzono, zbiegli). *Demos* niezwłocznie postawił ich w stan oskarżenia, wszelako sądząc ich nie indywidualnie, jak nakazywało prawo, ale zbiorowo. Perykles, Arystokrates i pozostała czwórka doprowadzani byli przed sąd w kajdanach jak pospolicie zdrajcy. Prawdę mówię, Jazonie? Także wy, Krito i Kebesie, którzyście tam byli obecni, poprawiajcie mnie, jeśli coś przeinaczę".

Tu wtrącić muszę, że wszyscy byli zgodni co do tego, iż streszczenie wydarzeń, które nam przedstawił Sokrates, wiernie oddawało zarówno ich ducha, jak i fakty.

„Strategów sądzono na otwartym posiedzeniu

zgromadzenia. Moi ludzie kierowali jego pracami; wielu *epistates* okazało się moimi entuzjastami. Ja sam byłem przewodniczącym zgromadzenia. Jeden jedyny raz w życiu przytrafiło mi się takie wyniesienie, a i to, zgodnie z przepisami prawa, tylko na jeden dzień.

Najpierw występowali prokuratorzy; potem sami strategowie jeden po drugim wygłaszali swe mowy obrończe w przepisanych prawem odstępach, których przestrzegali wbrew naciskom niecierpliwego tłumu. Tylko dwóch ludzi wystąpiło w ich obronie. Najpierw Antiochos, a potem Euryptolemos, który wykazał się w owej chwili wielką odwagą, przyczyniając swemu rodowi więcej chwały niż którykolwiek jego przedstawiciel w dziejach Aten. Nie uginając się przed tłumem, orędownął on za poświęceniem każdemu ze strategów osobnego dnia procesu.

»Tym sposobem będziecie mogli mieć pewność, że w całej pełni stało się zadość wymogom sprawiedliwości, gdyż winni z całą surowością zostaną ukarani, unikniemy zaś zbrodni, jaką byłoby skazanie niewinnych«.

Lud słuchał, a nawet zatwierdził jego propozycję, wtedy jednak wystąpił Menekles z jakimś zastrzeżeniem proceduralnej natury i trzeba było ponowić głosowanie, w wyniku którego tym razem

wniosek Euryptolemosa odrzucono, co przypieczętowało los Peryklesa i pozostałych. Zanim wszelako można było do tego głosowania przystąpić, poprosiłeś o głos ty, Jazonie. Jako przewodniczący, przychyliłem się do twego żądania, choć wielu usiłowało cię zakrzyczeć, wytykając ci znaną wszystkim przyjaźń, jaką darzyłeś Peryklesa młodszego, a po cichu obawiając się otaczającego cię powszechnego szacunku, który sobie zdobyłeś mężną służbą we flocie.

Pozwolicie mi, przyjaciele, pokusić się o próbę przytoczenia jeśli nie tekstu, to charakteru przemowy naszego towarzysza, czy też raczej wolelibyście, bym na tym zakończył swój monolog?"

Wszyscy nader żywo zachęcili go do kontynuowania tej relacji. Ja oczywiście milczałem. Sokrates obrzucił mnie właściwym sobie kpiarskim spojrzeniem, po czym, na powrót spoważniawszy, mówił dalej:

„Otóż przemawiałeś, jak następuje, Jazonie:

»Spieszno wam, Ateńczycy, doprowadzić tę sprawę do końca. Pozwólcie mi zatem zaproponować wam pewien tryb postępowania. Skoro już wcześniej uznaliście tych oto mężów za winnych, to nierozsądną byłoby rzeczą powiększać koszta, jakie ponosi państwo

z tytułu tego procesu, czy też deliberacji, że tak pozwolę sobie nazwać te obrady. Zgódźmy się wszyscy, jak tu jesteśmy, co do tego, że mężowi ci pogwałcili boskie i ludzkie prawa, nie udzieliwszy pomocy znajdującym się w zagrożeniu życia towarzyszom. Zgadzaście się z tym? A zatem rzućmy się teraz wszyscy na nich i własnymi rękoma rozszarpmy ich na strzępy!

Ale czemuż to ryczycie na mnie z oburzeniem? Czemu nagle krzyczycie, że musimy to uczynić w zgodzie z prawem? Któreż to miałoby być prawo? To, które naginacie do własnego widzimisie, czy też to, które teraz właśnie ustanawiacie przeciwko sobie samym? Albowiem kiedy się jutro obudzicie splamieni krwią niewinnych, to żadnym prawem ani żadnym przepisem nie przesłonicie haniebnosci waszego postępk.

Powiecie na to, co już wcześniej powiedzieli występujący w waszym imieniu prokuratorzy, że przecież oskarżeni są mordercami! Odmalujecie jaskrawymi farbami, jak to już tu uczynili publicznie oskarżyciele, wstrząsający do głębi duszy obraz naszych synów, żeglarzy i żołnierzy z zatopionych statków, którzy wołają rozpaczliwie o pomoc, a pomoc ta nie nadchodzi, w następstwie czego utraciwszy

resztki sił, pochłonięci zostają przez słoną głębinę morza.

Otóż walczyłem na morzu. Wszyscyśmy tego doświadczyli. Wszyscy wiemy, że śmierć w morskiej toni to najżałośniejszy koniec, jaki może spotkać człowieka, gdyż ani jego kości, ani nawet strzępów odzieży nie można potem złożyć w jego ojczystej ziemi.

Tak, to prawda, że śmierć naszych synów krzyczy o zadośćuczynienie. Lecz jakimż sposobem mamy zaspokoić to żądanie? Gwałcąc to samo prawo, w którego obronie ofiarowali oni swe życie?

W mojej rodzinie mienimy się demokratami. W kasetce mego ojca spoczywają pochwały za męstwo, wypisane ręką Peryklesa starszego, ojca tego, który tu dzisiaj stoi przed wami jako oskarżony, a jest moim przyjacielem, co wszystkim wam wiadomo. Pod naszym dachem pamiątki te otoczone są czcią jako swoiste talizmany naszej demokracji.

Obraduję dzisiaj wraz z wami, Ateńczycy, w tym świętym zgromadzeniu, w którym wcześniej obradowali i moi, i wasi przodkowie. Czy jednak w samej rzeczy można o nas powiedzieć, że obradujemy? Że się zastanawiamy? Że rozważamy? Roztrząsamy? Ośmielilibyście się użyć któregoś z tych słów na

określenie tego, co się tu odbywa?

Serce moje postrzega tutaj posiew czegoś bardzo mrocznego. Spoglądam w wasze twarze i zadaję sobie pytanie: gdzież to już wcześniej widziałem ten szczególny wyraz, który się na nich maluje? Powiem wam raczej, gdzie go nie widziałem. Otóż nie widzia'em go na obliczach wojowników, którzy dzielnie stawali przeciwko wrogowi. W ich oczach malowało się coś całkiem innego, i wszyscy jesteście tego świadomi.

Jakiż haniebny impuls każe wam, Ateńczycy, wbrew wszelkiemu rozsądkowi i wbrew własnemu interesowi unicestwiać lepszych od siebie?

Temistokles ocalił państwo w godzinie najstraszliwszego zagrożenia; został przez was wygnany i skazany. Miltiades dał wam triumf pod Maratonem; zakuliście go w łańcuchy i jak dzikie bestie łaknęliście jego krwi. Kimon stworzył wam imperium; wpędziliście go do grobu. A Alkibiades? Na bogów, nawet nie pozwoliliście, by jego stopy rozgrzały piedestał, na któryście go sami wynieśli, a już obaliliście go na ziemię, żeby radośnie zatańczyć na potrzaskanych kamieniach! Kwas i żółć, oto co zamiast mleka wysysacie z piersi waszych matek. Wolelibyście widzieć wasz kraj rozbitym w pył przez

wroga niż uratowanym przez lepszych od was mężów, gdyż musielibyście wówczas jawnie przyznać im tę zasługę.

Najstraszliwszym nieszczęściem, jakie potraficie sobie wyobrazić, obywatele Aten, nie jest klęska poniesiona z rąk tych, których nienawidzicie, lecz uznanie wielkości tych, którzy czynami swymi starają się jedynie pozyskać waszą miłość.

Gdy byłem jeszcze chłopcem, ojciec zabrał mnie z sobą do stoczni w Telegonei, gdzie jeden z jego kuzynów, budowniczy okrętów, pracował nad kolejnym statkiem. Kadłub był już gotowy, więc urządziliśmy sobie biesiadę w jego misie, a posilając się, zarazem z przyjemnością myśleliśmy o chwili, kiedy zobaczymy ukończoną całość. W pewnym momencie kuzyn mego ojca wyjawiał nam ze smutkiem, że musi spędzać na budowanym przez siebie okręcie całe noce. Widząc moje zdumienie, położył mi dłoń na ramieniu i wyjaśnił: »To z obawy przed sabotażem«. Po czym oświecił mój niewinny umysł: »Ludzie są zawistni. Ze wszystkiego, co ich spotyka na tej ziemi, najtrudniej im się pogodzić z sukcesem przyjaciela«.

Obserwują nas, obywatele Aten, nasi wrogowie. Obserwuje nas Lizander. Gdyby udało mu się zabić w

walce dziesięciu naszych strategów, to czyż jego rodacy nie wyraziliby mu swego uznania i wdzięczności? My tymczasem chcemy go w tym dziele zastąpić!

Jakież szaleństwo was ogarnęło, rodacy? Wy, którzy mienicie się najzagorzalszymi ze wszystkich nacji wrogami tyranii, sami oto staliście się tyranami. Czymże jest bowiem tyrania, jeśli nie taką formą rządzenia, która lekce sobie waży sprawiedliwość, posługując się wyłącznie argumentem siły?

Wstąpiłem na tę mównicę pełen lęku przed wami. Drżąc, zwierzałem się ubiegłej nocy z tego lęku mej małżonce, szukając wsparcia w jej dzielnym sercu, poszukiwałem go też dziś w sercach mych towarzyszy; bez tego wsparcia nie odważyłbym się tu nawet stanąć, a cóż dopiero przemówić. Teraz jednak, słysząc wasze wściekle ryki, najmniejszego już nie odczuwam lęku o siebie, natomiast z przerażeniem myślę o tym, co może spotkać was i cały nasz naród.

Nie jesteście demokratami, Ateńczycy. Demokratów powinniście szukać we flocie. Lecz nie znajdziecie wśród nich ani jednego, który by potępił tych ludzi. Oni bowiem widzieli tę burzę, jak i ja ją widziałem. Zlitujcie się nad nimi, bogowie, lecz ci, którzy wówczas znajdowali się w wodzie, już byli

martwi.

Wy nie za to jednak w gruncie rzeczy sądzicie tych dowódców. Winni są oni czego innego. Tego, że są lepszymi od was ludźmi, a tej zbrodni wasze zawistne i krwiożercze serca nigdy im nie wybaczą.

Proszę bardzo, zakrzyczcie mnie, Ateńczycy. Tyle że prawdy o samych sobie nigdy się wam zakrzyczyć nie uda. Skończcie z hipokryzją. Jeśli zamierzacie obalić prawo, to – na kopyto Chirona! – uczynicie to, jak przystało mężczyznom. Ty tam, obywatelu, zerwij tablice z rozporządzeniami. A ty chwyć za młotek i dłuto i zetrzyj z kamieni nasze prawa. Powstańmy wszyscy i jak przystało na tłuszcze, którą jesteśmy – pomaszerujmy do grobu Solona, żeby wydobyć i rzucić do piekła jego święte szczątki! Ponieważ to w istocie uczynicie, wbrew wszelkiemu prawu wydając na tych ludzi wyrok, który nie ma precedensu w naszych dziejach«.

Oto słowa lub inne acz bardzo do nich podobne, które wypowiedziałeś tamtego dnia, mój drogi Jazonie. Słyszałeś ryczący przeciwko tobie tłum, który za parę chwil zaryczał również przeciwko mnie, kiedy jako przewodniczący zgromadzenia odmówiłem poddania pod głosowanie sprzecznego z prawem wniosku. Domagali się mojej głowy, a także wykrzykiwali

groźby pod adresem mej żony i dzieci. Nigdy przedtem nie słyszałem podobnego jazgotu, nawet podczas bitwy i nawet ze strony naj głódniej szego naszej krwi wroga. Wszelako złożyłem przysięgę prytana i nie mogłem pozwolić na jakiegokolwiek sprzeczne z prawem działanie. Nic tym, jak wiadomo, nie osiągnąłem. Lud po prostu przeczekał ten dzień, a kiedy dobiegło końca moje przewodnictwo, następca ugiął się przed jego wolą.

Chodzi jednakowoż o to, drogi Jazonie, że ani za wyrok na strategów, ani za skazanie mnie nie można winić prawa. Winę przypisać trzeba tym, którzy to prawo złamali. Dlatego też uważam, że rację miałeś wtedy, broniąc prawa, i rację mam ja dzisiaj, poddając się jego wyrokowi. Proszę was zatem, przyjaciele: dajmy wreszcie pokój sprawie mojej ucieczki i szukania dla mnie azylu".

Tak napomniany, ustąpiłem. Sokrates delikatnie położył dłoń na mym ramieniu, po czym zwrócił się do mnie, w istocie jednak przemawiając do wszystkich, w tych oto słowach:

„Czy *demos* zdolny jest do samodzielnego rządzenia? Może sprawi ci pewną ulgę, przyjacielu mój, przypomnienie, że ideały, ku którym dąży miłośnik mądrości – pierwszeństwo duszy przed

ciałem, poszukiwanie prawdy, panowanie nad cielesnymi namiętnościami – to dla pospólstwa poglądy nie tylko nie do przyjęcia, ale wręcz absurdalne. W masie swojej ludzie nie dążą do rozumnego gospodarowania swymi zachciankami, lecz do ich spełniania; sprawiedliwość to dla nich zawada na drodze, która prowadzi do zaspokojenia ich chciwości, bogowie zaś to puste w środku figuynki, które wystawiają na pokaz, gdy trzeba jakoś usprawiedliwić własne czyny, które wzięły się z przerażenia, pragnienia zysku lub samolubstwa. *Demos* nie jest wartością samą w sobie, a tylko sumą wartości poszczególnych jednostek. W końcu wszyscy jesteśmy panami wyłącznie samych siebie, a zatem i tłum pozostawmy samemu sobie.

Co mnie przygnębia w o wiele większym stopniu, Jazonie, to twoja rozpacz i jej rezultat, jakim jest odrzucenie filozofii. Jak gdybyś wszystko potrafił znieść w imię naszego powołania, lecz tego ciosu, utraty mnie, serce twoje znieść nie potrafi. Nic nie mogłoby mnie bardziej zasmucić i nic nie budzi we mnie większego lęku niż myśl, iż moje nauczanie, a w istocie życie moje, poszło na marne".

Rozpłakałem się, jednakże wciąż nie potrafiłem się zmusić do zaakceptowania takiej postawy.

„Czy pamiętasz, jak po zakończeniu procesu strategów udaliśmy się, wszyscy przyjaciele Peryklesa młodszego, na kraniec dzielnicy Baratron, do Trupiej Dziury, i zażądaliśmy od urzędników wydania nam jego ciała?

Krewni Peryklesa, Aryfron i Ksenokrates, znaleźli woźnicę, który podjął się przewiezienia nieboszczyka do domu. Jego małżonka, Chione, stanowczo się temu sprzeciwiła. Posłała swoich synów do portu po ręczny wózek. Znacie te urządzenia, przyjaciele. Stoją po dwa, po trzy na każdym nabrzeżu i służą powracającym z morza żeglarzom do przewożenia bagaży ku postojom wozów. Wszystkie opatrzone są napisem *Epimeletai ton Neorion* – Własność Dowództwa Floty.

Na takiej właśnie prymitywnej dwukółce powieźliśmy do domu ciało naszego przyjaciela. Było nas dwudziestu i kroczyliśmy zwartą grupą, gdyż obawialiśmy się, że zostaniemy zaatakowani przez tłuszcę. Nikt nam jednak nie stanął na drodze; żądza krwi ludu była już zaspokojona. Najdzielniejszy z nas wszystkich okazał się syn Peryklesa, Ksantyppos, wówczas zaledwie czternastoletni. Kroczył wyprostowany na czele tego konduktu i nie uronił ani jednej łzy. To on odział ciało ojca, zachodziła bowiem obawa, że Jedenastu może nakazać wywiezienie go

poza terytorium Attyki, i on ogolił głowę matce, a następnie zakrył ją żałobnym kapturem. Już wcześniej wydano zarządzenie o konfiskacie mienia Peryklesa. Pamiętacie? Udaliśmy się do jego domu, żeby wszystkich i wszystko, co się dało, zabrać do swych domostw. Tak się jednak w końcu stało, że nim minęły dwa dni, ludzie opamiętali się i uświadomili sobie własne szaleństwo. Miasto ogarnęła zbiorowa skrucha, albowiem wszyscy zdali sobie poniewczasie sprawę z tego, jakiej się dopuścili nieprawości, i jęli gorzko lamentować nad swoim niepohamowaniem i porywcznością.

I oto Chione stanowczo odmówiła zgodnego z obyczajem zamknięcia się w kobiecych komnatach, oświadczając: »Niech mnie spróbują powstrzymać«.

W żałobnej szacie, bez woalki i z gołą, ogoloną głową chodziła po mieście, zarówno dla poszczególnych ludzi, jak i dla całej społeczności stanowiąc widomy wyrzut sumienia. Do tych nielicznych, którzy zdobyli się na odwagę, by do niej podejść, nie odzywała się ani słowem, a jedynie pokazywała im swe obcięte włosy. I tak czyniła codziennie.

Rozumiesz, Jazonie? Chione była filozofem. Jej mądrość brała się wszakże nie z wykształcenia, lecz z

własnego dzielnego serca, które umiało sprostać tragizmowi chwili i obdarzyło ją odwagą działania. Ani Brazydas, ani Leonidas, ani nawet sam Achilles nie dali takich dowodów dzielności i szczerego umiłowania domowego ogniska i kraju, jakimi się wykazała ta niewiasta.

Jakże więc ja, przyjaciele, który umiłowanie mądrości zwę swoim powołaniem, mógłbym sobie teraz pozwolić na jakikolwiek uczynek, który by nie był godny tego, na co ona się zdobyła, oraz jej samej? Mogę, że tak to określe, uczynić krok w przepaść, jak to w milczeniu zrobił jej mąż, Perykles, wy zaś, ogoliwszy głowy, możecie kroczyć ulicami, jak to robiła jego połowica".

Skończyłem.

Polemides przez kilka długich chwil milczał, pograżony we własnych rozmyślaniach.

„Dziękuję” – powiedział wreszcie.

Po czym uśmiechnął się, wyjął ze swego kuferka jakiś dokument i wręczył mi go. „Co to?”.

„Sam zobacz”.

Zerknąłem na pierwszy akapit. Była to moja mowa w obronie Peryklesa młodszego; ta sama, którą przed chwilą przytoczyłem w wersji Sokratesa.

„Skąd to masz?”.

„Od Alkibiadesa. Dał mi ten tekst w Tracji. Bardzo go podziwiał, tak samo jak ja. Nie była to zresztą jedyna kopia, jaka krążyła w armii”.

Raz jeszcze poczułem skurcz w krtani na myśl o tych wszystkich tak bliskich nam, zarówno Polemidesowi, jak i mnie, ludziach, po których nic nam nie zostało z wyjątkiem wspomnień.

Był już bardzo późny wieczór; z dołu dobiegły nas kroki odźwiernego, który wracał do swej klitki. Będę się musiał teraz do niego dobijać, żeby opuścić więzienie. Nic to, pomyślałem. Małżonka nie będzie się martwić, przekonana, że zarywam noc z którymś z moich przyjaciół. Spojrzałem na Polemidesa, który także zdał sobie sprawę z mego położenia i patrzył na mnie z rozbawieniem.

„No cóż, Pommo, czas, żebyś dotrzymał swojej części naszej umowy i do końca opowiedział mi swoją historię. Chyba że zanadto jesteś zmęczony, aby się skupić”.

Na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz.

„Czemu się tak uśmiechasz?” – spytałem.

„Nigdy dotąd nie zwróciłeś się do mnie, używając zdrobnienia »Pommo«”.

»Doprawdy?«.

Zaczym zapewnił mnie, że chętnie dokończy swą

opowieść. Przyznał się nawet do obawy, że przestała mnie interesować, skoro nie zachodziła już konieczność przygotowania jego obrony.

„A zatem wprowadźmy okręt z powrotem do portu i za przyzwoleniem niebios bezpiecznie go przycumujmy”.

47. KU KOŃCOWEJ KROPCE

„Byłem w Teos, u boku spartańskiego pułkownika Filotelesa, gdy z Aten nadeszła wieść o egzekucji Peryklesa i pozostałych strategów. Spartanie nie mogli w to uwierzyć. Najpierw usunęli Alkibiadesa. a teraz skazali na śmierć swoich najlepszych dowódców! Czyżby Ateńczycy utracili rozum? Pojawił się wówczas następujący wierszyk:

Był czas, kiedy głośując, sowy wielkookie
Wybierały to, co mądre, odrzucając, co głupie. Dziś się
mylą z powodu kłopotów ze wzrokiem: Jedna tylko
została im źrenica. W dupie.

Niebiosa odebrały Atenom rozum, karząc je za ich
niegodne demokracji wybryki. Tak odpłaciła im Boska
Patronka, głosili uliczni wieszczce, za pychę i zadufanie
imperium.

Morale Spartan z dnia na dzień rosło, a
jednocześnie podwoiła się liczba dezercji z ateńskich
szeregów. Tamtej jesieni przechadzałem się portowymi
nabrzeżami Lizandra, rozpoznając mnogie twarze
zapamiętane z Samos, tak wielu przeszło na stronę
wroga wyspiarskich wioślarzy. Napotykałem nawet te
same okręty. »Kormoran«, dowodzony niegdyś przez
Lizjasza, przeistoczył się teraz w »Ortię«. »Czujny« i

»Morska Jaskółka«, odebrane Kocim Oczom pod Arginizami, stały się »Poliaszem« i »Andreią«. W tawernach słyszało się pogawędki krótkoterminowców; żeglarze i żołnierze piechoty morskiej straszili się wzajemnie widmem głupiej śmierci pomiędzy końcem wojny a zwolnieniem ze służby.

Jakoś udało się jeszcze Atenom sklecić ostatnią swoją armadę. Powołano do służby wszystkich, którzy nie robili ze starości pod siebie. Strategowie byli tak wystraszeni, że nie odważali się nawet na plądrowanie. Jedna jedyna porażka, a byliby skończeni, podczas gdy Spartanie, którzy rozporządzali perskim złotem, mogli bez końca ponosić straty; wystarczyło je uzupełnić i można było walczyć dalej.

Z Samos wróciłem do Efezu. Bo też dokąd się mogłem udać, skoro do wyroku za zdradę doszedł mi wyrok za zabójstwo? Choć, prawdę mówiąc, nikt nie próbował mnie odnaleźć w tłumie dezertarów, sprzedawczyków i odszczepieńców, którzy z czerwonymi szmatami na szyjach stali w kolejkach do punktów rekrutacyjnych. Ponownie odnalazłem Telamona. W Sparcie doszło do głosu nowe pokolenie oficerów, wśród których było wielu towarzyszy mej młodości. Stali się już pułkownikami albo przybywali na Wschód, aby dosłużyć się tej rangi.

Filoteles, pod którego komendą służyłem, to był ten sam chłopak z mojego plutonu w *agoge*, który przed dwudziestoma sześcioma laty z takim współczuciem poinformował mnie o spaleniu gospodarstwa mego ojca. Teraz, będąc dowódcą dywizji, poprzysiągł sobie zyskać dla mnie zadośćuczynienie za tamtą krzywdę sprzed lat.

– Kiedy zdobędziemy Ateny, Pommo, dam ci do ręki tytuł własności i zgnoję każdego, kto będzie przeciw temu pyskował.

A oto jak stałem się zabójcą. Szkoliliśmy z Telamonem żołnierzy piechoty morskiej, starając się trzymać z dala od kłopotów. Lizander, uprzednio odwołany do Sparty, gdyż skończyła się jego służba jako dowódcy floty, właśnie wrócił. Eforowie mianowali go zastępcą dowódcy floty; podlegał Arakosowi, jako że Spartanie przestrzegają zasady, iż nikt nie może dwa razy z rzędu sprawować naczelnego dowództwa. Naprawdę jednak to Lizander był wodzem. Jedną z ważniejszych decyzji, jakie podjął, był nakaz eliminowania opozycji wewnątrz miast. W tym dziele Spartanie są arcymistrzami, gdyż dawno się już tego nauczyli w trakcie podporządkowywania sobie własnych helotów, których teraz Lizander rekrutował do swych szeregów jako *neodamodeis*, czyli

wyzwolonych spartańskich niewolników, aby realizowali jego kampanię terroru.

W oddziałach, którymi dowodzili spartańscy oficerowie, wyzwolenicy ci prezentowali się jako całkiem niezły żołnierz, jednakże puszczeni samopas, stawali się rozwydrzoną bandą. Zaczęły wychodzić na jaw popełniane przez nich gwałty i okrucieństwa. Filoteles przywołał na pomoc Telamona i grupę innych, wśród których i ja się znalazłem, znanych z tego, że potrafili działać z umiarkowaniem.

Nazywano nas »zbieraczami«. Wręczano nam oficjalne nakazy. Znajdowały się na nich imiona urzędników, sędziów, oficerów floty i armii, inaczej mówiąc tych, którzy pod rządami Aten piastowali odpowiedzialne stanowiska i których podejrzewano o opozycję wobec spartańskiej »wolności«. W oczach Spartan byli oni po prostu zdrajcami, toteż owe nakazy oznaczały w istocie wyrok śmierci. Kto został aresztowany, tego niezwłocznie i na miejscu zabijano.

Staraliśmy się okazywać im wielkoduszność: każdy miał czas wyznać swoje grzechy lub spisać testament. Jeśli który uciekł w głąb lądu, to musieliśmy go schwytać i sprowadzić z powrotem jego ciało; w miarę możliwości unikaliśmy okaleczeń, gdyż trupy wydawane były rodzinom. Te sankcjonowane przez państwo

morderstwa to była osobna specjalność wymagająca szczególnej wiedzy. Na przykład najlepiej było dokonać aresztowania na ulicy lub na targu, wtedy bowiem poczucie godności powstrzymywało ofiarę przed awanturowaniem się. Aresztowań należało dokonywać w cywilizowany sposób. Nie wypadało używać broni ani nawet zastraszać jej widokiem. Sama ofiara, uświadomiwszy sobie swoje położenie, dokładała starań, by wszystko odbyło się godnie i przy zachowaniu dobrych manier. Najodważniejsi zdobywali się nawet na żartobliwe komentarze. Nie sposób było ich za to nie podziwiać.

Zapytasz może, jak czuli się ci, którzy wykonywali tę robotę. Czy wstydzili się tego, że będąc zawodowymi żołnierzami, sprowadzeni zostali do roli rzeźników?

Telamon nie odczuwał żadnego zawstydzenia, a wręcz pogardzał tymi, których dręczyło sumienie. Dla niego była to po prostu praca; jakkolwiek obrzydliwa, to przecież stanowiła część żołnierskiego rzemiosła, podobnie jak uczestnictwo w oblężeniu lub wznoszenie obronnej palisady. Ci, których zabijaliśmy, tak czy tak byli już martwi i jeśli nie my, to inni położyliby kres ich nieszczęsnej doli, czyniąc to w dodatku z dużo mniejszą wprawą.

Także i same Ateny już były skazane na zagładę. Z myślą o moich i mego brata dzieciach, o ciotce, o szwagierce i o Eunike, jeśli jej w ogóle jeszcze zależało na życiu, powinienem tam być w chwili upadku miasta, takie przy tym zajmując stanowisko, które by mi umożliwiło ich ocalenie. Zdawałem sobie sprawę z tego, że posługuję się tym argumentem jako wymówką uzasadniającą mój udział w szerzeniu terroru, ale było mi wszystko jedno.

Pewnego dnia, gdy nasz oddziałek z Telamonem na czele urządził sobie nad brzegiem morza popijawę z udziałem dziewczek, podpłynął ku nam okręt wojenny, z którego pokładu zasygnalizowano, że mamy przejąć grupę więźniów. Kiedy szalupa przybiła do brzegu, zwróciła moją uwagę ruda czupryna i piwne oczy dowodzącego nią podoficera.

Był to Nadgarstek, przyboczny Endiusza.

W jego brodzie pojawiła się siwizna, a na ramionach szkarłatny spartański płaszcz. Okazało się, że został najpierw wyzwolencem, a potem obywatelem. Pogratulowałem mu z całego serca.

– A cóż to wam każe o tej porze roku płynąć na północ?

– Endiusz. Jest teraz w Hellesponcie. Dogaduje się z Alkibiadesem".

48. W STRONĘ TRACJI

Powróciwszy z Telamonem do Teos, stwierdziliśmy, że nie cieszymy się już łaskami Spartan. Uznali oni, że trzeba od czasu do czasu oczyszczać szeregi z ludzi, którzy podjęli się wykonywania takich jak nasze zadań. Uchronił nas przed tą czystką Filoteles, który tuż przed końcem naszej służby polecił nam udać się na północ, do nowych posiadłości Alkibiadesa, i tam »dokonać oceny sytuacji«.

Alkibiades miał teraz trzy warownie w pobliżu cieśniny: w Ornoi, Bizantesie i Neontajchosie. Mówiono, że nabyła dla niego te fortece Timandra za pieniądze zagarnięte z łupów floty Samos. Wylądowaliśmy w Ajgospotamoj, na tej samej plaży, w którą niecałe dwanaście miesięcy później miała wsiąknąć ostatnia krew Aten.

Odryzyjscy Trakowie przestrzegali bez żadnych wyjątków zasady zatrzymywania każdego cudzoziemca, który pojawił się na ich ziemi. Zabierali ich rzeczy, a następnie zmuszali do upicia się. Ich trunek, *coroessa*, to coś w rodzaju bardzo mocnego syropu, który parzy przełyk niczym ogień, ma konsystencję żywicy i niczym nie jest przez nich

rozcieńczany. Nie wolno opierać się jego działaniu, lecz przeciwnie, należy mu się poddać i doprowadzić się do stanu kompletnego oszołomienia. Na podstawie tego, jak wtedy trzymasz się na nogach, gospodarze ocenią twój *aedor*, czyli »wiatr« lub »dech«, który jest dla nich najwyższym i zarazem fundamentalnym atrybutem męskości. Przeżyliśmy tę torturę wraz z pasażerami dwóch promów, które przybiły tam przed nami. Trzem spośród nich najwyraźniej zabrakło tchu. Odryzanie bez ceremonii odesłali ich następną łodzią; takich mięczaków po prostu do siebie nie wpuszczali.

Z głębi łądu przybył oddział wojowników, którzy mieli nas eskortować. Byli to wspaniałe jeźdźcy wierzchem młodzieńcy w butach z lisiej skóry, a ich konie miały uzdy wysadzane srebrem.

– Któremu księciu służycie? – zapytał Telamon, który przyglądał się im ze szczerym podziwem.

– Księciu Alkibiadesowi – odparł przydzielony nam przewodnik.

Zaczym z dumą poinformował nas, że majątek jego pana, zdobyty na plemionach żyjących na wschód od Żelaznych Gór, wynosił ponad czterysta talentów. Gdyby to była prawda, to Alkibiades miał w swoim posiadaniu więcej, niż zawierał skarbiec Aten, pozbawiony już teraz nawet ostatniej rezerwy,

obowiązkowo zachowywanej na wypadek nadzwyczajnych wydatków. Spartanie i Persowie umizgują się do niego, opowiadał nam chłopak, a i sam ksiązę Seutes bardzo się z nim liczy. Dopytywaliśmy się, jakim dowodzi wojskiem, przypuszczając, że miotaczami i dorywczó rekrutowanymi spośród tubylców konnymi, którzy z pierwszym śniegiem wracają do swych plemion; tymczasem młodzieniec odpowiedział po grecku:

– *Hippotoxotai*.

Konni łucznicy. Popatrzyliśmy po sobie z Telamonem, nie bardzo w to wierząc.

Po przejechaniu kilkudziesięciu stadionów nasz przewodnik zatrzymał swego wierzchowca na skraju zbocza, pod którym rozciągała się porośnięta wrzosem dolina. Na całej jej przestrzeni, która bez trudu pomieściłaby Ateny, widać było ścieżki wydeptane przez końskie kopyta oraz gęsto rozsiane pozostałości obozowisk, pośród których krzątały się w poszukiwaniu cennych rzeczy grupy niewiast i biegały sfory psów. Tu i ówdzie wznosiły się garby wielkich kurhanów, usypanych ku czci zmarłych; zobaczyliśmy również wzniesienia, przed którymi, jak się domyśliliśmy, defilowały podczas parad wojska, oraz sztuczne stawy, utworzone dzięki przegradzającym

strumienie tamom, a służące jako wodopoje dla koni, których były tam niezliczone tysiące.

– *Hippotoxotai* – powtórzył chłopiec.

Jechaliśmy przez cały dzień. Ta część Tracji zupełnie pozbawiona jest lasów. Ziemię porastają niskopienne krzewy, które kwitną, dobrze znosząc chłodny klimat; podobne do wrzosów, rodzą one bardzo dorodne czerwone jagody i tworzą miękki dywan, po którym swobodnie galopują konie i na którym pod okryciem baraniego kozucha sypia się beztroskim snem dziecka. U podnóży garbatych wzgórz wiją się torfiaste strumienie tak zimne, że gdy się z nich pije, czerpiąc wodę dłońmi, to cierpną człowiekowi zęby, a palce tracą czucie. Stanowią one granice pomiędzy terytoriami poszczególnych plemion. Pojenie koni na ziemi sąsiadów jest w Tracji równoznaczne z wypowiedzeniem wojny, i w samej rzeczy tak właśnie wojny są tam wypowiedane.

Tamtejszą plagą są pchły, nawet zimą. Wszędzie ich pełno, od brody poczynając, a na poślaniu kończąc; jedyny sposób, żeby się ich pozbyć, to kąpiel w lodowatej wodzie. Trackie konie są małe, ale twarde jak żelazo; potrafią przez cały dzień nieść ciężar równy ich własnemu, nadto zaś nic ich nie płoszy z wyjątkiem morskiej fali, która wytacza się na brzeg, choć może

być, że to nie ona sama doprowadza je do szaleństwa, lecz odór soli.

Co do mnie, to przybyłem do tej krainy w nastroju wyjątkowo ponurym. Zaraz się jednak okazało, że było się w niej czym cieszyć, jak nie przymierzając pośmiertną gością w piekle: świadomość, że nic gorszego już nie może cię spotkać, bardzo podnosi na duchu i krzepi. Zdaje się, że w taki sam sposób działała ta ziemia na Alkibiadesa.

Tamtejszy lud odznaczał się wielkim wigorem. Jego bogowie – dzikością i nieokrziesaniem, co miało zbawienny wpływ na duszę. A do tego te niewiasty. Łupieżcze nacje stosują zasadę, że każdy trzyma przy sobie to, czego wolałby nie stracić. Te zapchłone dzikusy otoczone były całym stadem sióstr, matek, córek i żon, a każda aż się paliła do grzechu. Można by sądzić, że człowiek, który miał za sobą takie przejścia jak ja, powinien już być stracić apetyt na płęć przeciwną. Taką ma jednak nieprzewidywalną naturę ten kapitan, który nam rozkazuje spomiędzy naszych ud, że nieodmiennie przywraca nas do życia, a przynajmniej do żywotności. Znowu byłem na wojnie i podobało mi się żołnierskie życie. Wystarczyło, żeby spojrzenie moje spoczęło na jakiejś trackiej piękności, która, dajmy na to, właśnie doiła swoją sukę (mają tam

bowiem w zwyczaju zalewać proso psim mlekiem i karmić tym niemowlęta), a już uświadamiałem sobie, że budzi się we mnie jakieś szczególnego rodzaju zainteresowanie. Największą zagadką naszej egzystencji jest to, że dobrze już ową rzecz poznawszy, w dalszym ciągu jej pożądamy, a życie samo, wbrew wszystkiemu, znajduje sposoby na to, by na nowo napełnić energią nasze spustoszone serca.

Trakowie określają wiatr i niebo tym samym słowem: *aedor*. Jest to boskie imię, ani męskiego, ani żeńskiego rodzaju, a tak starożytne, że w ich mniemaniu starsze niż samo pojęcie płci. Wierzą oni, że to nie ziemia jest podporą świata, lecz niebo, będące elementem fundamentalnym i wiecznym. Śpiewają taki oto hymn:

Przed ziemią i morzem było niebo,
I niebo przetrwa ziemię i morze.
W ciebie także, Człowieku,
aedor jako pierwszy wnika
I ostatni się z tobą rozstaje.

Wiatr odgrywa zasadniczą rolę w społeczności Traków. Nigdy nie trafisz na kogoś, kto nie byłby w każdej chwili świadom tego, jaki jest »dech« albo »nos« wiatru. Żaden wojownik nie poważy się zasłonić owego tchu znaczniejszemu od siebie. Kto wyżej

postawiony, ten bierze dech w płuca; kto niżej, ten ustawia się ku niemu twarzą.

Obozy rozbija się w zależności od wiatru i wedle niego grupuje się księżąca świta. Seutes miał ponad setkę dworzan, z których każdy miał ściśle wyznaczone miejsce w hierarchii niemal tak samo drobiazgowo ustalonej, jak na dworze perskim. Tylko jeden jedyny cudzoziemiec zdołał opanować wszystkie tajniki owego rycerskiego porządku. Chyba nie muszę ci podawać jego imienia.

Jadąc na spotkanie z Alkibiadesem, ominęliśmy jego warownię usytuowaną na wybrzeżu i podążyliśmy w głąb lądu, za Zimną Przeprawę, czyli drugie z kolei pasmo górskie, tam się on bowiem udał na *salydonis*, co oznaczało, jak nas objaśnił nasz przewodnik, połączenie polowania z obrzędkiem, w trakcie którego pośledniejszy wielmoża ślubuje wierność potężniejszemu od siebie. Towarzyszyli mu w tej wyprawie Spartanie; poselstwo pod przewodnictwem Endiusza, mające za zadanie ocenę siły wojsk, które Alkibiades i Seutes zaproponowali Sparcie jako sojuszniczą armię. Przez całe dwa dni nie napotkaliśmy żywej duszy, nawet pasterzy owiec, jako że w tym odległym regionie właściciele nie znaczą swoich stad, gdyż zasady gościnności pozwalają

każdemu wziąć sobie wszystko, czego mu w danej chwili potrzeba. Wreszcie wczesnym przedpołudniem na horyzoncie pojawił się jakieś półtora stadionu nad nami samotny jeździec. Jego dumnie wyprostowana sylwetka z oddalenia upodobniała go do posągu jakiegoś pięknego młodego boga. Zjeżdżał zakosami po stromym zboczu, podczas gdy my jechaliśmy mu naprzeciw pod górę.

Gdy jednakowoż ów boski jeździec znalazł się w naszej bliskości, uświadomiliśmy sobie, że to nie młodzieniec, lecz dziewczyna, tyle że odziana jak mężczyzna w kozłą skórę. Miała uderzająco długie i błyszczące, związane na czubku głowy włosy, których ogon omiatał na wietrze jej twarz.

– Zostańcie tutaj – polecił nam przewodnik. – I pamiętajcie, żeby się ustawić pod wiatr.

Pokłusował ku dziewczynie i powitał ją; nas tymczasem dogonili piesi tragarze.

– Kim jest ten wróbelek? – spytał Telamon, kiedy chłopak do nas wrócił.

– To Aleksandra.

Była ona otóż niewiastą Seutesa, wszelako nie zwykłą nałożnicą, a małżonką i księżniczką. Nie uczyniła nam zaszczytu, odnotowując nasze istnienie choćby tylko spojrzeniem, lecz pograżyła się w

rozmowie z chłopcem, odwoławszy go na bok. Spytałem tragarzy, czy wszystkie trackie niewiasty zwykły podróżować samotnie.

– Ten, kto by Aleksandrze nie okazał szacunku, panie, zrobiłby z siebie ucztę dla kruków.

Ostrzeżono nas wprawdzie, abyśmy się nigdy nie przyglądali żadnej niewieście, która należy do jakiegoś mężczyzny, jednakże w jej przypadku niemożliwością było zastosowanie się do tej przestrogi. Włosy jej miały połysk kuniej sierści, z którym cudownie współgrał kolor błyszczących niczym dwa klejnoty oczu. Tej samej tonacji była maść jej wierzchowca, jak gdyby go z tą właśnie myślą wybrała, tak jak mieszkanka miasta dobiera suknię, pragnąc, by zestroiła się z barwą jej oczu i z odcieniem skóry. Odnosiło się zgoła wrażenie, że i samo zwierzę wyczuwało tę zgodność, toteż razem tworzyli niejako spoistą i świadomą siebie całość.

Tego wieczoru dotarliśmy wreszcie do obozu Alkibiadesa. Był tam Endiusz z delegacją Równych, z których najniższy rangą miał stopień pułkownika. Seutes udał się był na łupieżczą wyprawę. Alkibiades dowodził pod jego nieobecność trzydziestoma tysiącami ludzi czterech narodowości; największą armią na zachód od Persepolis.

Następnego dnia pojechaliśmy przyrzeć się ćwiczeniom tego wojska. Konnicę tworzyli Odryzjanie i Peonianie w łącznej liczbie pięciu tysięcy, a towarzyszyło im dziesięć tysięcy scytyjskich łuczników i procarzy. Szkolący tę armię greccy oficerowie kazali zbudować namiastkę fortu w obronnym punkcie równiny pokrytej na głębokość łydki śniegiem, na której wyróżniały się niezliczonymi plamami sfory psów, zawsze postępujących w ślad za trackimi hordami, by wyžerać pozostawione przez nie odpadki.

Ćwiczenia polegały na tym, że dwa ugrupowania jazdy prowadziły atak od południa, pod górę, podczas gdy trzecie, wspierane przez piechotę, uderzyło od północy. W parę chwil przekształciło się to wszystko w niewiarygodne szaleństwo. Trakowie nie mogli pojąć, na czym polega ćwiczenie; zaczęli się zaciekle ostrzeliwać naprawdę i greccy oficerowie zmuszeni byli rozpaczliwie ich powstrzymywać i rozpędzać. Dzikusami powodowało jedno tylko pragnienie: zdobyć uznanie księcia osobistą odwagą i jeździeckimi umiejętnościami. Można było zobaczyć, jak wielu z nich w pełnym galopie stawało na grzbietach swoich wierzchowców, by z tej pozycji ciskać włócznie i topory; inni dla odmiany pędzili, przywierając

poziomo do boku konia i spod jego karku wypuszczając strzały. Cudem jakimś udało się dowódczemu nie dopuścić do masakry i ćwiczenia zostały przerwane, zaczyn wojownicy rzucili się na poszukiwanie ciśniętej podczas ataku broni. Powstał ogólny zamęt i zaczęły się bójki, które przekształcały się w prawdziwe tłumne bijatyki, gdyż poszczególni ich uczestnicy przywoływali na pomoc swoich bliskich oraz co bardziej zaprzyjaźnionych towarzyszy.

Hulanki i porubstwa, jakie nastąpiły po zapadnięciu zmroku, wręcz nie sposób opisać. Ogniska wytyczyły na całej równinie świetlne bulwary, na których tłumy ludzi oddawały się ekstatycznym tańcom przy wtórze bębnów i cymbałów. Doprawdy trudno byłoby nie zakochać się w tych dzikusach o niepokohowanej, gwałtownej naturze. Choć kiedy się szło przez obóz, przestępując ponad ciałami kotłującymi się w spazmach gwałtownych żądź, jasno jawiła się człowiekowi przyczyna, dla której ta najliczniejsza i najdzielniejsza na świecie armia wojowników nie doczekała się ani jednej literki na woskowych tabliczkach z zapisem dziejów ludzkości: ich psy bardziej od nich były zdyscyplinowane.

Wraz z Endiuszem i Telamonem wróciłem do Alkibiadesowego *podilionu*. Te okrągłe szałas,

wznoszone ze skór i torfu, są niskie, lecz w środku zdumiewająco przestronne. Trakowie wkopują je w ziemię, tak że wchodzi się do nich jak do borsuczej jamy. Dzięki bezustannie płonącemu pośrodku ognisku są ciepłe i przytulne nawet podczas mrozu i śnieżycy.

Alkibiades bynajmniej jeszcze nie spał, a nawet miał wielu gości. Byli wśród nich Mantiteusz i Diomedes, Kocie Oczy – Damon i Nestorides, odziani w tubylcze futra – a także z tuzin innych, w których rozpoznałem oficerów, i to całkiem dobrych, z floty Samos.

– Witajcie, zbrodniarze i piraci! – rzucił nam na powitanie gospodarz, po czym rozpoczęła się rozmowa o polityce, która ciągnęła się przez całą noc. Ja głównie drzemałem, ulokowawszy się pomiędzy dwoma olbrzymimi psami myśliwskimi. Kiedy wreszcie nad ranem towarzystwo się rozeszło, Alkibiades wyłonił się z dymu wypełniającego wnętrze szałasów i pociągnął mnie za sobą na powietrze.

Wiadomo mu już było o śmierci mojej połowicy i o wydanym na mnie nakazie aresztowania za morderstwo. Nie próbował tego komentować, a tylko w milczeniu kroczył u mego boku po zamarzniętej na kość ziemi. Nigdy nie zdarzyło mi się w jego towarzystwie zaznać lęku, czy to w walce, czy w

jakiejś innej niebezpiecznej sytuacji. Cokolwiek się działo, człowiek bał się tylko tego, żeby mu nie sprawić zawodu. Rozumiesz, Jazonie? Odznaczał się on tak nadzwyczajną siłą oddziaływania i tak przenikliwą inteligencją, że trzeba się było zebrać na odwagę, chcąc go po prostu o coś zapytać, żeby przypadkiem nie okazać się tępakiem.

Potoczył teraz ręką po uśpionych Trakach i spytał:

– Co o nich myślisz?

– Niby pod jakim względem?

Roześmiał się, wydechając obłoczek pary.

– Jako o wojownikach. Jako o armii.

– Zebrało ci się na żarty?

Wyłożył mi podczas spaceru istotę swych zamysłów. Zaczął od tego, że słabą stroną Aten, będącą wynikiem tego, iż zawsze stawiały one na flotę, był brak dobrej jazdy. Przerwałem mu wtrąceniem:

– Zapominasz o problemie pieniędzy.

– Konnica zarabia pieniądze – odparł na to. – Niech tylko zdobędę Sardes, to pieniędzy znajdzie się tyle, że pozwolą nam dotrzeć do Suzy i rozbić obóz pod samym Persepolis.

Tym razem to ja się zaśmiałem.

– A kto wyszkoli te twoje niezwyciężone pułki?

– Któż by inny, jak nie ty? – odparł, kładąc mi dłoń

na ramieniu. – Razem z twoim kamratem Telamonem i resztą greckich i macedońskich oficerów; tych, których już mam, i tych, którzy jeszcze do mnie dołączą.

Weszliśmy na wierzchołek wzgórza, z którego można było wypatrzeć pobliski morza odległego o ponad trzysta stadionów. Dwie potęgi liczyły się w regionie Morza Egejskiego, kontynuował swój wywód Alkibiades: po jednej stronie Ateny, po drugiej Sparta i Persja.

– Tutaj zaś jest trzecia potęga, i to taka, która przed nikim się nie ugnie. Któraż nacja przewyższy Traków liczebnością? Która okaże się bardziej wojownicza? Która ma więcej koni albo szybciej potrafi uderzyć na wroga? Tracja ma wszystkie potrzebne walory. Brakuje jej tylko...

– Ciebie.

Jeśli ta trzecia potęga sprzymierzy się z którąś z dwóch pozostałych, to ostatecznie przechyli szalę zwycięstwa, on zaś prowadzi właśnie tajne rokowania z Persem Tissafernesem, któremu książę Cyrus boleśnie przyciął skrzydła, więc teraz aż pali się, by wziąć na nim odwet.

– Tissafernes z jednej strony nienawidzi Lizandra, z drugiej zaś siał będzie ziarno niezgody w związku z kwestią dziedziczenia perskiego tronu, toteż z chwilą

śmierci króla Dariusza Cyrus zmuszony będzie przystąpić do ataku. Dlatego właśnie to młode książętko owinęło się w płaszcz Lizandra. Lecz jego plan się nie powiedzie. Spartanie mogą przyjmować perskie złoto, ale nigdy nie zgodzą się walczyć u ich boku; to jest ta łyżka dziegciu, do której przełknięcia nawet Lizander ich nie nakłoni. Naraził się Endiuszowi, porzucając go dla Agisa. Żaden z tych dwóch nie może wykonać decydującego ruchu bez Aten, Ateny zaś, odkąd się pozbyły mnie, nie mają nikogo, komu starczyłoby odwagi, żeby choć wypowiedzieć nazwę Lacedemonu. Obaj zmuszeni są więc, każdy z własnych powodów, rozglądać się za trzecią siłą albo zgoła taką stworzyć, jeśli żadnej już istniejącej nie znajdują.

Ale jak zamierza wciągnąć w to Ateny?

– Przecież dwakroć już paliłeś za sobą mosty, Alkibiadesie! *Demos* nigdy się nie zgodzi na jakikolwiek, choćby najsilniejszy lub najwięcej obiecujący rząd, któremu ty byś przewodził.

Nie od razu mi na to odpowiedział; najpierw objął spojrzeniem obóz, gdzie zmarznięci słudzy zaczęli właśnie wstawać i strząsać śnieg z namiotów swych panów, podczas gdy stojąc, zabijając ręce o okryte baraniami kozuchami piersi, zabierali się do zadawania

paszy koniom i jucznym zwierzętom, które też się przebudziwszy, rozbrzmiały ową szczególną kakofonią porykiwań i rzeń, będącą dla wojaka tym, czym dla rolnika jest pianie kogutów.

Każdy inny, kto by się znalazł na jego miejscu, patrząc na ten hiperborejski stadion, zadawałby sobie pytanie, jakież to fatum przywiodło go po dwudziestu sześciu latach wojny na to oddalone od świata i cywilizacji pustkowie; jemu jednakowoż podobny punkt widzenia był nie tylko obcy, ale zdawał się zgoła nie do pomyślenia. Wszak to właśnie tam, gdzie on stanął, znajdowała się i na zawsze pozostanie piasta koła wszechświata; to on stanowił oś, wokół której ów wszechświat się obraca.

– Można się obejść bez Aten. Wystarczy, że będę z nich wysysał to, co w nich najbardziej wartościowe: człowieka po człowieku, tak samo, jak postąpiłem z tobą. Popatrz na ten obóz. Już zgromadziłem w nim najlepszych na świecie żeglarzy, najsmielszych dowódców jazdy, najwytrawniej szych budowniczych okrętów. Za pieniądze dokupię majtków, a statki zbuduję z drewna Seutesa.

– Owszem, ale pod warunkiem, że potrafisz go utrzymać w ryzach.

– Seutes jest bystry, Pommo, choć zarazem dziki, i

darzy mnie wielkim podziwem. Gdziekolwiek dotychczas ustanowiłem swoją wojenną kwaterę, tam przenosiło się w ślad za mną główne ognisko wojny. Teraz przeniesie się do Tracji; zmuszę je do tego. Seutes bez mnie sobie z tym nie poradzi i jest tego świadom. Na razie zapewnia mi to wystarczający na niego wpływ. Owszem, to jego armia, ale zważ, od kogo spodziewa się rozkazów.

Wskazał ręką w stronę budzącego się obozu.

– Alkibiadesie! Wodzu!

Galopowała stamtąd ku niemu grupa oficerów, za którymi biegli piesi; spieszyli wszyscy, by odebrać rozkazy.

– Zajmiemy cieśninę – mówił dalej Alkibiades, mając na myśli Hellespont i Bizancjum, które wszak raz już zdobył, rozporządzając siłą dziesięciokrotnie mniejszą niż ta. – Ale nie odetniemy Aten od dostaw zboża ani nie będziemy za ich przepuszczanie pobierali opłat, zadowolając się tym, że będą zależały od naszej woli.

Wiedziałem, że jest do tego zdolny, a także wiedziałem już, że będę musiał trwać u jego boku. Ale kto zdoła zapanować nad tymi dzikusami, którzy modlą się do wiatru i robią, co się im żywnie podoba?

– Chyba nawet ty, Alkibiadesie, nie jesteś aż tak

próżny, żeby liczyć na to, że dla ciebie poddadzą się wojskowej dyscyplinie!

Spojrzał na mnie potępiająco.

– Sprawiasz mi zawód, stary druhu. Czyżbyś był równie jak ci Trakowie ślepy na to, co i tobie, i im patrzy prosto w twarz?

A cóż to by miało być takiego?

– Wielkość!

Której wizją zamierzał ich natchnąć.

– To nie moje, lecz ich własne przeznaczenie ich do tego popycha, Pommo. Albowiem ich naród niczym orzeł rozłożył skrzydła na szczycie wyniosłej skały i tylko jeszcze nie może się powazyć na wzlot pod samo niebo. Ja natchnę ich tą odwagą. A kiedy napełnią się nią ich serca, to na wszystkich bogów, czyny, jakich dokonają, odmienia oblicze tego świata!

Słyszałeś pewnie, Jazonie, opowieści o tym, jak tracił rozum, czy inaczej mówiąc – przeobrażał się w tubylca. Mówiono, że całe noce tańczył w takt cymbałów i tamburynów. Że do szczętu ogłupił go tamtejszy trunek. Ja sam widziałem w pewnym olchowym zagajniku jego konia spętanego obok wierzchowca Aleksandry. To prawda, że Seutes zaczął się do niego odnosić najpierw chłodno, a potem wręcz wrogo. Równocześnie Ateny poczęły bezwstydnie

zalecać się do księcia, kusząc go obietnicą obywatelstwa dla jego synów i śląc na jego dwór poetów, muzyków, a nawet układaczy wymyślnych fryzur. Co się zaś tyczy Alkibiadesa, doszło do tego, że w jego przemowach zaczęły się pojawiać takie dziwolągi, jak »alchemia oklasków«.

czy też »orędownicza równina«, pod którym to określeniem rozumiał podobno jakąś przestrzeń, na której zbierają się i mieszają pomiędzy sobą bogowie i śmiertelnicy. Dowodził, że rządzi »wydając rozkazy *mythos*«, i określał fdozofię jako »politykę *aretea*«.

Zaczął ponoć mówić o sobie samym w trzeciej osobie i odwoływał się do swego ducha, jak gdyby był to jakiś nowy bóg. Nie ruszał się nigdzie bez asysty czarowników i szamanów. Zapewniał, że zdolny jest zatrzymać słońce. Niektórzy opowiadali, że kaleczył sobie ciało, gdyż jego zdaniem stanowiło ono niepotrzebną zasłonę jego istoty, którą należało przeniknąć lub zedrzeć. Sam byłem świadkiem, jak przez całą noc, i to nie raz, składał ofiary Hekate i Konieczności. Powiadają, że to Timandra nakłaniała go do takich dewiacji, sama będąc demonem; nie zwykłą niewiastą, lecz jakimś stworem rodem prosto z piekła. Będąc jej bezgranicznie uległym, twierdzono, Alkibiades całkowicie odciął się od swego otoczenia,

oddając się już tylko sennym marom, przy czym wzywał do siebie różnych magów, aby mu te zjawy we śnie sprowadzali. Jednego razu oświadczył, że potrafi fruwać i że na skrzydłach z rtęci poleciał był na naradę z Nestorem i z Achillesem.

Wiosną posłał mnie do Macedonii po zakup masztów i pni na belki okrętowe. Spotkałem tam przypadkiem Berenike, obozową żonę Lwa, teraz szczęśliwym zrządzeniem niebios już osiadłą i mającą za męża jakiegoś woźnicę. Od czasu Syrakuz przeżyła pasmo niewyobrażalnych cierpień, zdołała jednak przechować kronikę swego wojennego kochanka. Wręczyła mi ją, zamkniętą w kuferku, w którym do dziś się znajduje, a który sporządzony został ręką jej nowego męża.

Spodobał mi się ten człowiek. Podobnie jak Lew, był jak szorstka, nieostrugana deska. Do Macedonii przybył »z południa«, gdzie trudnił się potajemnym wywozem dóbr poza granice Attyki. Wyjawiał mi, że nawet ateńscy strategowie wysyłali z kraju swoje ruchomości, tak bardzo byli pewni nadchodzącej klęski.

Przebywałem jeszcze w macedońskiej Pełli, kiedy nadeszły doniesienia o ostatecznej katastrofie pod Ajgospotamoj. W dniach, które poprzedzały tę bitwę,

kiedy to Lizander zdobył Lampsakos i zgromadził swoich dwieście dziesięć okrętów wojennych, które stanęły naprzeciw stu osiemdziesięciu jednostek Konona, Alkibiades opuścił mury swego zamku i udał się na plażę, na której osadzona była flota jego rodaków. Powiadają, że odziany był w futro z lisiej skóry, a skołtunione włosy spływały mu do połowy pleców. Otaczała go gwardia przyboczna, czterdziestu konnych Odryzjan, których wygląd jeszcze bardziej był dziki niż jego. Miał jakoby oświadczyć, że gotów jest wesprzeć Ateńczyków pięćdziesięcioma tysiącami jazdy i piechoty, które by zaatakowały Lizandra na lądzie, jeśli tylko ateńscy strategowie przerzucą je przez cieśninę. Odbiłby wówczas Lampsakos, niczego w zamian nie żądając. Nie chciano skorzystać z jego propozycji.

– Ty już tu nie dowodzisz, Alkibiadesie.

Tak odpowiedział mu Filokles, ten bandzior, w którego żołnierskim kodeksie mieściły się takie okrucieństwa, jak to haniebnie zatwierdzone przez zgromadzenie ateńskie, aby wszystkim wziętym w niewolę nieprzyjacielskim żeglarzom odcinać dłonie.

Tak oto Alkibiades po raz trzeci i ostatni odepchnięty został przez swych rodaków.

Szesnaście miesięcy później, gdy grupa jego

zabójców trafiła na ową plażę, na której odcisnął ślady swych stóp, Endiusz stwierdził ze smutkiem, że to właśnie umysłowa nierównowaga była zarazem przekleństwem Alkibiadesa i źródłem jego geniuszu i że przez całe życie działał pod jej wpływem.

– Naród to dla niego zbyt drobiazgowo pojęcie. Jego wizja samego siebie przerasta ramy państwowości; państwa to w jego oczach karły, niezdolne zagrozić wytyczonej mu drogi ponad przepaścią tego świata. I ma on oczywiście słuszość, lecz właśnie dlatego musimy się go pozbyć. Albowiem jego wizja odmalowuje przyszłość, w którą terażniejszości nie da się dzisiaj ani nigdy przeobrazić inaczej niż przemocą".

49. AJGOSPOTAMOJ

„I tak doszła ta opowieść do punktu – ciągnął Polemides – w którym omówić trzeba ową klęskę, która strzaskała kręgosłup naszego narodu.. Z pewnością korzystniejsze byłoby dla narratora przedstawić ją jako straszliwych rozmiarów i mocy zwanie, w którym szale zwycięstwa przechylają się to w jedną, to w drugą stronę, a końcowy rezultat aż do ostatniej chwili pozostaje niepewny. Cóż, skoro, jak wiesz, ta decydująca bitwa przegrana została już całe lata wcześniej.

Trzeba oddać sprawiedliwość Lizandrowi. Jakkolwiek triumf ten nie opromienił go blaskiem bohaterstwa, to przecież był owocem jego nadzwyczajnej przebiegłości i zarazem cierpliwości, dyscypliny i panowania nad sobą oraz takiej przenikliwości w ocenie słabych stron przeciwnika, że sama bitwa nie obfitowała w porywające, pełne napięcia i zaskakujących zwrotów epizody. Nikt nie odbierze temu Spartaninowi wielkiej zasługi, jaką było ofiarowanie jego krajowi i sojusznikom takiego zwycięstwa, na jakie przez trzykroć dziewięć lat wojny nie było stać nikogo innego.

Przez większą część zimy, która poprzedzała tę

bitwę, pozostawałem w Tracji. Doszły tam wieści o wzięciu przez Lizandra Miletu i wymordowaniu wszystkich jego demokratów, a także o zdobyciu Iasosu w Karii, będącej sojuszniczką Aten; jego ludzie wymordowali tam wszystkich mężczyzn w wieku poborowym, niewiasty i dzieci sprzedali w niewolę, a samo miasto zrównali z ziemią.

Tej zimy Alkibiadesowi przydarzył się poważny upadek z konia. Przez parę miesięcy nie mógł chodzić, a nawet powstanie z krzesła sprawiało mu dojmujący ból. Dzikie ludy nie odznaczają się wyrozumiałością i cierpliwością w stosunku do tych, którzy utracili fizyczną sprawność. Najpierw Medokos zabrał swoją armię i odszedł, potem Seutes. Ten wszakże, choć powinien był nienawidzić Alkibiadesa za to, czego się był dopuścił wobec Aleksandry, okazał się najpewniejszym jego oparciem: kazał go ponieść na noszach do Paktii, przysyłał mu swego sokolnika, zwierzęta na ofiarę, a nawet własnego doktora. Aby zaspokojone były jego potrzeby pod względem mięsa, wina i innych niezbędnych produktów, podarował mu pięć miasteczek. Zapytany przezeń, czego jeszcze byłoby trzeba, aby go podnieść na duchu, Alkibiades poprosił o trzy pułki, które następnie oddał pod komendę Mantiteusza, młodszego Druzesza i

Kanoklesa. Wyszkolił to wojsko jako nikomu dotychczas nieznaną elitarną formację desantową, która potrafiła zarówno wiosłować, jak i walczyć w charakterze ciężkiej piechoty, przy czym każdy żołnierz był samowystarczalny, bez pomocy giermków i intendentury radząc sobie z pakowaniem i transportem swego ekwipunku. Kiedy Medokos zaczął sobie z tej formacji pokpiwać, uważając, że jej skąpa liczebność pozbawia ją znaczenia, Alkibiades oświadczył, iż gotów jest w ciągu miesiąca potroić jej skład, nie wydając przy tym ani jednego obola. Zaczynając po prostu przybrał swą armię w wojenne barwy i nakazał jej przemarsz przez Żelazne Góry. Tak wielu zgłosiło się młodzieńców, zachwyconych prezencją tych oddziałów, że Alkibiades przyjął do służby dziesięć tysięcy re-. krutów, a jeszcze drugie tyle musiał odesłać.

Wiosną stan jego krzyża nareszcie się poprawił. Mógł już dosiadać konia. Trackie plemiona zgromadziły się na tradycyjnym święcie Arkturusa, któremu towarzyszą różnego rodzaju zawody sportowe. Alkibiades wziął udział w wyścigu konnym i zwyciężył, a przecież liczył sobie wówczas już czterdzieści sześć lat. Sądzę, że właśnie ten sukces pozwolił mu wrócić do psychicznej równowagi.

Lizander zdobył Lampsakos, które tak blisko leżało po drugiej stronie cieśniny, że jeśli tylko nie było mgły, widoczne było gołym okiem. Do brzegu, który rozciągał się u stóp fortecy Alkibiadesa, z wyroku jakże przewrotnego losu przybiła teraz ostatnia flota Aten, którą dowodzili Konon, Adajmantos, Menander, Filokles, Tydeusz i Kefizodotos".

Relacja Polemidesa z przebiegu tej bitwy, drogi wnuku, była z konieczności skrótowa, po pierwsze dlatego, że on sam w niej nie uczestniczył, przebywając w tym czasie w Macedonii z misją zdobywania budulca na okręty, po drugie zaś z tego względu, że miał przed sobą słuchacza, który sam posiadał już był obszerną na ten temat wiedzę. Żebyś jednakowoż i tyją teraz zyskał, mój wnuku, pozwolę sobie „przejąć pałeczkę" i przekazać ci pełniejszy obraz tego, co Polemides opowiedział mi tylko w streszczeniu.

Ajgospotamoj leży dokładnie na wprost Lampsakos, oddzielone od niego cieśniną Hellespontu. Nie jest to zatoka portowa, a tylko jaka taka przystań dla statków. Na brzegu znajdują się dwie wioski tak małe, że nawet nie ma tam targu. Od północnego zachodu wieje stały i silny wiatr; w bezpośredniej bliskości plaży przebiega silny prąd, który utrudnia

wypłynięcie, a w jeszcze większym stopniu lądowanie, do którego okręty muszą się obrócić rufą do brzegu. Sama plaża ciągnie się na szerokości ponad dziesięciu stadionów, co stanowiło przestrzeń w zupełności wystarczającą dla floty i obozowisk, które mieściły trzydzieści tysięcy ludzi. Żeby jednakowoż zapewnić sobie posiłek, musieli oni udawać się do Sestos, oddalonego o jakieś trzydzieści, czterdzieści stadionów. W Ajgospotamoj jest dostatek dobrej pitnej wody, z wyjątkiem pory przyływu, kiedy to strumienie stają się słone; po słodką wodę trzeba wówczas iść jakieś dwa stadiony w głąb łądu. Rozbicie obozu w tak niegościnnym miejscu zdać by się mogło szaleństwem, skoro tak niedaleko leżało sojusznicze Sestos. Wszelako cofnięcie się o tych kilkadziesiąt stadionów, za którym zresztą optował Alkibiades, oznaczałoby oddanie Lampsakos nieprzyjacielowi, na co strategowie się nie odważyli, mając w pamięci los, jaki spotkał ich poprzedników pod Arginizami.

Dowódcy bardzo chcieli sprowokować Lizandra do bitwy. Pomimo wszystkie niedogodności, jakie stwarzało Ajgospotamoj, tę miało ono ważną zaletę, że znajdowało się na wprost wroga. Lizander nie mógł się cichaczem wymknąć; prędzej czy później musiał stanąć do otwartego boju.

Oto wyimek z zapisu przebiegu dochodzenia, jakie przeprowadziła potem Rada; jest to zeznanie mojego starego kamrata Siniaka, który służył wówczas na pokładzie zakotwiczonej na tej plaży „Hippolity”:

Schodzi do nas ze swojego zamku. Obracamy się wszyscy i tłoczemy wokół niego. To w samej rzeczy Alkibiades, ale wygląda jak ostatni dzikus. Wszystkim wam wiadomo, szlachetni obywatele, jak zwykły był zawsze upodabniać się do tych, z którymi sypiał. Strategowie nie pozwolili mu przemówić do wojska, ale i tak każde wypowiedziane przez niego słowo lotem błyskawicy rozchodziło się po całym obozie. Niczego takiego nie powiedział, czego by już przedtem w kółko nie powtarzali nam inni: że to miejsce jest śmiertelną pułapką, więc żeby cofnąć się do Sestos. Wystawiacie się na szwank, powiedział, będąc zmuszonymi rozpraszać się na przestrzeni kilkudziesięciu stadionów, żeby zdobyć żywność. Co będzie, jeśli w takiej chwili Lizander uderzy?

Ale nie mogliśmy się wycofać z plaży, bo zaraz by ją zajął Lizander. Co by się wówczas zdarzyło, jak nie to, że przyplłynęłaby z Aten „Salaminia”, żeby zabrać strategów do domu i postawić ich przed sądem za oddanie terenu wrogowi? A wtedy wiadomo, czym by się to skończyło.

Alkibiades przybył z żywnością, ale strategowie nie pozwolili ludziom jej przyjąć. Przysięgał, że urządzi targowisko, albo nawet będzie nam za darmo sprowadzał zaopatrzenie z głębi lądu. Mam, powiada, dziesięć tysięcy Traków wyszkolonych do walki pieszej, konnej i morskiej. Nadciąga Seutes, a także Medokos. To następnych pięćdziesiąt tysięcy. I Alkibiades chce całą tę armię oddać pod ateńskie dowództwo, samemu w nim bynajmniej nie uczestnicząc.

Jeżeli nie chcą jego wojska, to niech mu przynajmniej dadzą jeden okręt. Będzie walczył pod komendą każdego, do kogo go przydzielą. Ale oni i na to się nie zgodzili. Dać mu mały kęs sera, to zaraz zagarnie cały krąg. Pobijemy Lizandra, to cała chwała spłynie na niego; przegramy, to głównie spłynie na nas, a nie na niego. Czyli że w żaden sposób nie mogli się strategowie zgodzić na jego propozycje, bo ledwie by potem postawili stopę na attyckiej ziemi, już znaleźliby się w rękach kata.

Więc poprosił z kolei, żeby mu dali walczyć nie jako dowódcy statku, ale jako zwykłemu żołnierzowi. Nic z tego; wyprosili go z obozu. Po prostu był dla nich za wielki, rozumiecie. Przy nim wszyscy oni karleli. Ale poza tym mieli rację. W oczach

dowództwa był najgroźniejszym wrogiem Aten. Bali się go bardziej niż Lizandra.

Przez cztery świtania z rzędu Lizander wyprowadzał swoją flotę w bojowym szyku na środek cieśniny. Przez cztery poranki ateńskie okręty szykowały się po swojej stronie do bitwy. Lecz gdy nadchodziło południe, Lizander nieodmiennie zwracał do Lampsakos, przeto ateńska flota czterokrotnie wycofywała się do Ajgospotamoj. W dodatku każdego dnia ludzie musieli się udawać na poszukiwanie żywności, podczas gdy wojsko Lizandra, za plecami mając miasto, dostawało gotowe posiłki na miejscu, przy okrętach.

Piątego dnia Spartanin powtórzył ten sam manewr: wypływamy, szykujemy się, wracamy; powtórzyła go więc także i flota ateńska. Tego jednakże południa, kiedy nasi rozbiegli się, żeby zdobyć pożywienie...

Nadciągnęli całą lawą i w trzech rzędach – dwieście dziesięć wojennych okrętów, czterdzieści dwa tysiące ludzi. Nie muszę wam uzmysławiać, jaką mieliśmy szansę. Jeden jest tylko sposób, żeby obsadzić triremy: kompaniami i w ustalonym porządku. Tylko że jak to zrobić, kiedy załogi i żołnierze rozproszeni są na kilkudziesięciu stadionach piasku, muszelek i kamyków? „Hippolita” odbiła od

brzegu z jednym tylko rzędem wiosł. „Pandia” i „Nieugięty”, któreśmy mieli za sąsiadów, nawet tego nie osiągnęły. Nikt już nie próbował uszykować okrętu do walki; po prostu ruszyliśmy im naprzeciw. Przedziurawili nas i od dziobu, i od rufy. Kto wpadł do wody, ten już był trupem. Resztę Spartanie zapędzili na plażę.

Lizander wyćwiczył ich do tego zadania; znając teren, odcięli nas od obu strumieni i zamknęli Wszystkie drogi wyjścia. Ich okręty obrzuciły nas żelazem, zabrały ciężką piechotę i odpłynęły od brzegu. Lizander był przemyślnym wodzem: nie ma mowy, żeby ciężkozbrojni tyłali się w piachu; zostawił samych miotaczy i oszczepników. Ale i ci bynajmniej nie rzucili się do dzikiego ataku, tylko porządnie sformowani w kompanie, podzielili pomiędzy siebie teren i wyławiali nas jak na polowaniu z nagonką. Gdziekolwiek spojrzaleś – purpurowe płaszcze.

Tak nas wyłapał Lizander dwadzieścia tysięcy. Wyspiarzy i niewolników sprzedał, zostawiając sobie tylko ateńskich obywateli.

Jeńcy przewiezieni zostali do Lampsakos, postawieni przed trybunałem i straceni jako ciemniźcyiele Grecji. W czasie, gdy Rada wdrożyła

dochodzenie, do Pireusu zaczęły wpływać galery załadowane ciałami ofiar tej rzezi. Lizander zwrócił Atenom ich synów, aby nikt nie mógł mu zarzucić bezbożności, lecz bardziej jeszcze z tą myślą, by serce miasta pogrążyć w ostatecznej rozpacz. Albowiem pomimo utraty floty i niemożności zbudowania i obsadzenia nowej, wielu obywateli przysięgało do końca stawiać opór wrogowi, choćby obrzucając go z Akropolu cegłami i kamieniami, i raczej skoczyć w przepaść, niż się poddać.

Ciała oddano nagie i odarte ze wszystkiego, co mogłoby ułatwić ich identyfikację. Miało to na celu zmuszenie dowództwa do wystawienia wszystkich zabitych na widok publiczny, aby mieszkańcy musieli się udać do tej szczególnego rodzaju nekropolii i krocząc uliczkami i alejami, które wytyczyły ciała poległych, wypatrywać swych synów i mężów. Taką torturą postanowił Lizander przegnać z ich umysłów wszelką myśl o oporze, a z serc – ducha walki.

Jego armia zagarnęła już całą Grecję, korzystając ze złota, którego Cyrus miał niewyczerpany zasób. Wojska Agisa oblegały miasto; flota Lizandra blokowała je od strony morza.

Szesnastego dnia mnychionu, w rocznicę zwycięstwa pod Salaminą, dzięki któremu Ateny wraz

ze swymi sojusznikami uratowały Grecję przed perską tyranią, armada Lizandra wpłynęła do portu w Pireusie, nie napotkawszy żadnego oporu. Delegacja, której przewodził Teramenes, poddała miasto. Dwa bataliony tebańskiej ciężkiej piechoty zajęły Areopag, kładąc kres wszelkiej działalności ateńskich władz. Pułk Koryntczyków zgromadził na agorze wszystką broń Ateńczyków; oddziały z Elidy, Olintosu, Potidei i Sikionu obaliły miejskie bramy i przystąpiły do burzenia fortyfikacji Pireusu, podczas gdy te z Eniady, Mityleny, Chios i z już wyzwolonych krajów imperium zabrały się przy akompaniamencie flecistek do rozbierania Długich Murów. Dwie brygady spartańskiej i peloponeskiej piechoty morskiej, wśród nich *brasidioi* oraz wyzwoleni heloci, *neodamodeis*, rozpoczęły pod dowództwem Pantoklesa okupację Akropolu. Żołnierze złożyli ofiarę ateńskiej Nike, po czym rozbili obóz na kamiennych płytach pomiędzy Erechtejonem a Partenonem. Pozostałe wojsko, złożone z lacedemońskiej piechoty morskiej oraz najemników z Macedonii, Etolii i Arkadii, zajęło Okrągłą Komnatę oraz siedzibę zgromadzenia na Pnyksie. Tam właśnie trafił Polemides ze szkarłatnym płaszczem na ramionach.

50. NA ZAKRĘCIE DROGI

„Moja ciotka – opowiadał dalej Polemides – mimo nienawiści, jaką budziło w niej moje postępowanie i osoba, nie zabroniła mi załadowania swoich rzeczy na platformę przewoźnika i pozwoliła się ulokować na koźle furmana. Pojechała wraz ze mną do Acharni, by osiąść na Zakręcie Drogi. W mieście władowała tyrania. Trzydziestka, jak zwano tę grupę, pod osłoną spartańskiego garnizonu utwierdzała swą władzę, wykorzystując do tego sądy i stosując terror. Wielokrotnie proponowałem ewakuację także byłej małżonce mego brata i ich dzieciom, jednakże Teoneja była urodzoną mieszczką i odmawiała wyjazdu na wieś. Przez dwa miesiące wzajemnie dotrzymywaliśmy sobie z ciotką towarzystwa, z nikim innym się nie widując; ja zajmowałem się ziemią, ona zaś gotowaniem, praniem, cerowaniem i wszystkimi innymi domowymi obowiązkami, żadną nie rozporządzając służbą, której za swych małżeńskich czasów miała mnogość.

Wreszcie także i moją szwagierkę bezprawie, jakie zapanowało w mieście, skłoniło do przenosin; przybyła do nas pierwszego dnia hekatombajonu, w rocznicę urodzin Lwa wraz ze swoją córką, a moją bratanicą,

oraz dwojgiem jej dzieciątek (jej młody małżonek zaginął, służąc we flocie). Syn Lwa, mój bratanek, zbiegł za granicę; miał dziewiętnaście lat i jako zagorzały patriota poprzysiągł nigdy się nie pojednać z okupantami jego kraju. Teoneja przywiozła też z sobą dziewięcioletniego chłopca i siedmioletnią dziewczynkę, których urodziła swemu drugiemu mężowi, żeglarzowi kupieckiej floty; on również zaginął w czasie działań wojennych.

Eunikę wytropiłem w pewnym czynszowym domu w Akte. Nie zgodziła się na przeprowadzkę ze względu na dzieci, bojąc się, zwłaszcza że styczność ze mną szkodliwie odbiłaby się na chłopcu.

W mieście zniesiono demokrację, obywateli pozbawiono ich praw i rozbrojono. Trwały prace nad nowymi prawami; tak w każdym razie zapewniała lud Trzydziestka. Mijały wszakże miesiące, a nie pojawił się żaden paragraf. Zamiast praw ustalano listy. Jeśli na którejś z nich umieszczono twoje nazwisko, to od tej pory nikt cię już nie zobaczył.

Kolegium strategów, wybierane w głosowaniu, przestało istnieć. Areopag nie miał prawa do zebrań. Sprowadzono zza granicy uchodźców, to znaczy tych, którzy zostali z kraju wygnani jako wrogowie demokracji. Włączano ich teraz do składu Trzydziestki

lub zatrudniano jako jej agentów. Sądom zakazano rozpatrywania spraw cywilnych, uznając to za naruszenie zasady powszechności, a kiedy zniesiono ten zakaz, procesy okazały się jedynie narzędziem prześladowań. Jak każda tyrania, tak i ta rozszerzyła uprawnienia prokuratorów, wyposażając ich w prawo do działań zapobiegawczych. Od tej pory można było skazać człowieka nie tylko za to, co zrobił, ale i za to, co by zrobić mógł. Działanie tego prawa nie ograniczało się bynajmniej do sfery politycznej. Trzydziestka wykorzystywała je w stosunku do każdego, kto miał pieniądze. Jego ofiarą padło półtora tysiąca ludzi, lecz przecież machina nie skończyła jeszcze wówczas pracy. Ci demokraci, którym udało się uniknąć kata, wysyłani byli do Lizandra, a ten wyznaczał im najniebezpieczniejsze stanowiska.

Któregoś dnia przyjechał na Zakręt Drogi Telamon, przywożąc z sobą wino i suszony jęczmień, co przyjęliśmy z największą wdzięcznością. Spytałem go, czym będzie się zajmował teraz, gdy już wojna się skończyła. Zaśmiał się na to.

Wojna nigdy się nie kończy.

Przybył, żeby mnie ponownie wciągnąć do służby. Nie dla jakiegoś stałego zleceniodawcy, lecz po staremu, na najjemniczym trakcie. Co do mnie, dobrze

wiedziałem, że moje bytowanie w tej posiadłości ma się ku końcowi. Prędzej czy później, choćby tylko z potrzeby posiadania sojuszników, Sparta będzie musiała uwolnić kark Aten spod swego buta. Odrodzi się demokracja. Takie ptaszki jak ja, które znalazły sobie grzędę pod dachem okupanta, znowu zostaną wyrzucone na deszcz i wicherę. Albo zostaniemy zarżnięci pośrodku ulicy przez własnych sąsiadów, albo straceni w wyniku formalnego procesu. Byłem w o tyle szczęśliwym położeniu, jak zauważył Telamon, że moja rodzina składała się wyłącznie z niewiast i dzieci; *demos* poprzestanie na wzięciu pomsty na mnie, bliskie mi osoby zostawiając w spokoju.

Przyglądałem się mojemu mentorowi, gdy przekonywał mnie do swego pomysłu. Jakżeż młodzieńczy miał wygląd! Zdałoby się, że w ciągu dwudziestu siedmiu lat wojny nie postarzał się ani o miesiąc.

– Zdradź mi sekret swojej nieśmiertelności!

Wiedziałem z góry, że zacznie mnie pouczać w kwestii grzechów. Trzech nienawdził w najwyższym stopniu, a mianowicie lęku, nadziei i miłości ojczyzny. Był jeszcze czwarty, który zaledwie był mu wstrętny: rozpamiętywanie przeszłości lub rozmyślanie o przyszłości. Jego zdaniem są to występki przeciw

naturze, albowiem rozbudzają w duszy człowieka takie czy inne aspiracje, których zaspokojenie nie od niego wszak zależy, lecz od działania nadprzyrodzonych sił, którym śmiertelnicy ani nie są zdolni się przeciwstawić, ani nawet nie potrafią ich pojąć. Ten właśnie grzech popełniał Alkibiades, stwierdził mój przyjaciel, dopuszczając się przy tym jeszcze innego, mianowicie pogwałcenia praw ustanowionych przez niebiosy.

Alkibiades pojmował wojnę jako środek do celu. Tymczasem wojna jest celem samym w sobie. Nasz wódz wyznawał tylko jedną boginię, Konieczność, podczas gdy Telamon służył boskości bardziej fundamentalnej.

– Na imię jej Eris. Walka. Wszystko musimy zdobywać w walce, mój druho. Już na świat przychodzimy, walcząc, żeby wydostać się z łona matki. Przyjrzyj się tym tam polującym jastrzębiom. One również służą tej właśnie bogini, podobnie jak trawa pod naszymi stopami, której korzenie walczą pod powierzchnią gruntu o każdy skrawek wilgotnej ziemi. Walka jest najstarszym i najświętszym fundamentem naszej egzystencji. Podśmiewasz się ze mnie, że ani trochę się nie postarzałem. Gdyby jednak w istocie tak było, zawdzięczałbym to wyłącznie

posłuszeństwu wobec owej bogini; pani zarazem starej jak ziemia sama i młodzieńczej jak jutrzejszy brzask.

Uśmiechnąłem się.

– Czy wiesz, ile już razy wysłuchiwałem tego kazania?

– A jednak wciąż jeszcze do ciebie nie dotarło.

Wojnę wydaje się dla korzyści, a prowadzi ona do ruiny. Mimo to nikt nie jest zdolny jej powstrzymać, gdyż wojna jest nieuchronna jak pory roku i wiekuista jak morskie pływy.

– Jaki spodziewasz się znaleźć świat, Pommo, który byłby »lepszy« niż ten? Czyżbyś podobnie jak Alkibiades wyobrażał sobie, że ty, albo Ateny, możecie siebie lub kogokolwiek wznieść ku jakimś wyższym niebieskim sferom? Ten świat jest jedynym, jaki istnieje, przyjacielu. Ucz się obowiązujących na nim praw i bądź im posłuszny. Oto cała filozofia.

Może dla niego. Ja nie byłem jeszcze gotów do przywdziania odwiecznego żołnierskiego okrycia i wstąpienia, wbrew wszelkiej nadziei, do batalionów bogini Walki.

Zostałem na Zakręcie Drogi.

Jakże pogardała mną moja ciotka! Kiedyśmy któregoś dnia pomagali koczującej się owcy, oboje boso i w fartuchach, powiedziała ni z tego, ni z owego:

– Nie przypisuj sobie przypadkiem zasługi uratowania nas. Bez twojej pomocy też byśmy się tu wszyscy znaleźli.

– Dzięki, droga ciociu.

To ona odgrywała podczas posiłków rolę głowy domu, korzystając ze stołu jak z nauczycielskiego pulpitu, aby nasycać niewinne duszyczki dzieciaków umiłowaniami wolności i nienawiścią wobec tyranii. W pełni pojąłem, jak wielką rozpacz wypełniała jej serce patriotki dopiero wtedy, gdy pewnego dnia w jej kazaniu pojawiło się imię Alkibiadesa.

– Na Święte Bliźnięta, nikt już się nie ostał prócz niego, kto by zdolny był przywołać do życia to państwo!

Podobne uczucia dały się zauważyć na wiejskich targach. Można było na przykład podsłuchać, jak plantator oliwek pyta kupca z miasta: czy Alkibiades jeszcze żyje? Czy wyparłszy się go, nie spowodowaliśmy, że raz na zawsze odciął się od Aten i ich losu?

W moim pojęciu było to szaleństwo. Alkibiades na dobre przeszedł na stronę Persów. Niebiosom tylko wiadomo, w jakie się teraz odziewa szaty i za pomocą jakich zmyśleń próbuje ocalić swoją skórę. Niechże Ateny i ich spustoszone i umęczone ziemie same

zaprowadzą u siebie porządek. Zapomnijcie o nim!
Zostawcie go w spokoju!

Pewnego dnia udałem się do portu w towarzystwie mego bratanka i właściciela pobliskiej winnicy. Pamiętałem z dawnych czasów, że kiedy się wspięło traktem do Butady, ukazywały się wspaniałe, potężne mury miasta. Potem skręcało się nad Akademią, w miejscu gdzie Droga Przewozowa zbiega się z Północnym Murem.

Nic z tego się nie ostało.

Kwartaly na zachód od Melite skurczyły się do niewielkiej przestrzeni; reszta została zrównana z ziemią. Przechodząc obok Maronei, dawnej kopalni srebra, którego pokłady już się wyczerpały, zobaczyliśmy, że tam właśnie zwalono gruzy zburzonych domostw. Wysypisko to rozciągało się na dużej powierzchni, a tak było głębokie, że można by tam było pogrzebać całą flotę, co się zresztą w pewnym głęboko prawdziwym sensie stało. Kiedyśmy przechodzili obok samych Nóg, czyli murów, które łączyły miasto z portem, absolutnie nic nie zasłaniało oczorp widoku, tak doszczętnie zostały zniszczone wszelkie fortyfikacje. Zdawało mi się, że na wszystko już zdołałem się uodpornić, a jednak ten obraz zmroził moje serce. Mój towarzysz, winiarz, wręcz się

rozplakał.

Ciotka Dafne zmarła dwudziestego trzeciego dnia boedromionu; był to ostatni dzień misteriów.

Zjawił się u mnie syn, który kolejny już raz uciekł od Eunikę. Należało go z powrotem do niej odprowadzić, jednakże na jakiś czas pozwoliłem mu zostać. Wspomagał mnie podczas pogrzebu wiekowej matrony. Wspólnie odśpiewaliśmy hymn dla poległych, pierwszy raz w historii naszego rodu honorując nim niewiastę. Lecz dobrze sobie na to zasłużyła.

Parę dni później na Zakręcie Drogi zjawiała się grupa zbrojnych. Wracalem właśnie z pola i zobaczyłem ich wcześniej, niż oni mnie spostrzegli. Uciekać? Ale co by to dało?

Zabrali mnie do miasta i umieścili w opuszczonym domostwie, dwie przecznice od Świętej Drogi. Okna domu zostały zamurowane, a nadto ogołoco go z całego umeblowania i wszelkich sprzętów. W miejscu gdzie był kominek, kamienna posadzka pociemniała od zaschniętej krwi.

Zaprowadzono mnie do tylnej komnaty. Byli tam jeszcze inni uzbrojeni mężczyźni, a za zbitym z surowych desek stołem siedziało jakichś dwóch nieznanym mi osobników, w których wszakże

domyśliłem się agentów Trzydziestki.

– Twoje imię umieszczone zostało na liście – oznajmił mi wyższy z tej pary.

– Na jakiej liście?

Wzruszył tylko ramionami.

Niższy podsunął mi przez stół dwa dokumenty, po czym zapytał, który z nich wskażę mu do podpisania. Pierwszy to było świadectwo mego zgonu, drugi zaś – wniosek o przyznanie ateńskiego obywatelstwa mojemu synowi i córce.

– Mamy dla ciebie robotę.

Nim ktokolwiek zdążył powiedzieć coś więcej, wiedziałem już, jaka miała to być robota.

– Mienię się jego przyjacielem – odparłem – i uważam go za jedynego człowieka, w którym nasz kraj może jeszcze pokładać nadzieję.

Skrzypnęły drzwi umieszczone w bocznej ścianie. Obróciłem się ku nim i ujrzałem w progu sięgającego głową nadproża Telamona w żołnierskim stroju i z bronią. Ponownie zwróciłem spojrzenie na tamtych dwóch.

– Właśnie dlatego musisz go zabić – rzekł ten wyższy".

51. ŚMIERĆ NA JELENIEJ GÓRZE

„Alkibiades zbiegł z Tracji przez morze do Fokai, kierując się na wschód, w głąb perskiego imperium. Jest to kraina nader rozległa, lecz dróg ma bardzo niewiele; jeśli już wpadnie się na czyjś trop, znaleźć go nietrudno. Podróż ze Smyrny do Sardes zabiera dwa dni; po trzech następnych jest się w lidyjskim mieście Kidrara, a następnego dociera się do Kolossei i Anaui we Frygii. Na końcu każdego traktu znajduje się gospoda, zwana przez miejscową ludność »pospólnią«. Co piąty dzień podróży trafia się na zajazd, gdzie przyjętym w całym tym kraju obyczajem pozostaje się dla odpoczynku przez dwie noce. Podczas owych postojów wędrujący tymi samymi szlakami co Akibiades żołnierze opowiadali sobie o tym, który gdzie spotkał wodza podróżującego ze swą kochanką Timandrą i z kilkuosobową grupką myzjańskich najemników, którzy służyli mu za eskortę.

Tymczasem byli tacy, którzy go szukali.

Tej wiosny zmarł Dariusz, król Persji, po którym tron objął jego syn Artakserkses. Alkibiades, świadom, że Trzydziestka wywiera nacisk na Lizandra, aby dostarczył do Aten głowę ich rodaka, zwrócił się do satrapy Farnabazosa, którego wielokrotnie pokonał na

wojnie, teraz wszakże zaoferował mu swoją przyjaźń. Pragnął z jego pomocą nawiązać kontakt z perskim dworem i zaproponować swoje usługi, zarazem dzieląc się z królem sekretną wiedzą na temat pewnych grożących mu niebezpieczeństw, zwłaszcza tego, że książę Cyrus, podjudzony przez Lizandra, nie będąc już niepokojonym przez Ateny, zmienił front i postanowił ubiegać się o perską koronę. Alkibiades mógł się okazać dla panującego króla wielce użyteczny, a przy okazji, co jasno dał do zrozumienia, wyrobić Farnabazosowi znaczenie lepszą niż obecna pozycję na dworze. Takie wywarł na satrapie wrażenie ten nowy przyjaciel, że dał mu eskortę i wyprawił w drogę w głąb imperium. Wtedy jednak przybyli wysłannicy Sparty. Uświadomili oni Persowi, że jeśli nie chce ściągnąć na siebie gniewu Lizandra, nie mówiąc już o otwartej wojnie, to powinien się zastanowić, czy słusznie uczynił, okazując tak daleko posuniętą gościnność i życzliwość człowiekowi, który jako jedyny z żyjących stanowił zagrożenie dla dominującej pozycji, jaką Sparta zdobyła w Grecji.

Farnabazosowi nie trzeba było nawet zagrać, żeby zatańczył, jak należy. Wysłał swoich ludzi z rozkazem doścignięcia i zabicia Alkibiadesa; ten jednak wymknął się im, kilku zabiwszy, po czym zaginał

wszelki ślad po nim i po jego Myzjanach.

W tej sytuacji w Daskilipnie sformowano drugi oddział pościgowy pod dowództwem Suzamitresa i Mageusza, zastępców i zarazem krewnych Farnabazosa. Do tego właśnie oddziału przypisano mnie i Telamona. Do spotkania doszło w Kallatebosie. Pościgowej kohorcie towarzyszył też Endiusz wraz z dwoma innymi spartańskimi Równymi; na polecenie Lizandra trójka ta miała poświadczyć, że Alkibiades rzeczywiście został zabity.

Doniesienia mówiły, że podąża on traktem do Kelenai. Pościg ruszył więc do Mukeru i Kamiennych Kopców, pod którymi wedle legendy Sfinks miał złożyć dwa swoje jaja; młode miały się z nich wykluć w chwili, gdy rasa ludzka oczyści swe serca z wojowniczości. Zatrudnieni przez Persów najemnicy szukali śladów Alkibiadesa. Za jego głowę wyznaczono nagrodę, która według jednych wynosiła dziesięć tysięcy darejków, według innych sto tysięcy. Pomiedzy Kanają a Utreszem nie ma ani jednego miasteczka, a tylko stanowisko postojowe, zwane Wysiewką. Spotkaliśmy tam pięciu braci, Odryzjan, którzy również ścigali Alkibiadesa. Mojemu wierzchowcowi doskwierał wzbierający ropień, który sprawiał mu dotkliwy ból; okazało się, że jeden z braci

bardzo sprawnie posługuje się lancetem i chętnie udzieli mi weterynaryjnej pomocy, nie chcąc za to żadnej zapłaty. Porozmawialiśmy sobie przy tej okazji na boku.

Dowiedziałem się, że Alkibiades zhańbił siostrę tych pięciu; dziewczyna odebrała sobie życie. Tak niegodny postępek nazywany jest w języku Traków *atame* i zapłacić zań trzeba krwią. Dowiedziałem się, że bracia przez dwanaście dni tropili Alkibiadesa na wschodzie; zaręczali, iż minęliśmy go i zostawili za sobą. Oni więc postanowili zawrócić, i zresztą najmłodszy tegoż wieczoru ruszył w tamtym kierunku.

Od naszych przewodników dowiedzieliśmy się, że żadnemu Odryzjaninowi nie wolno wziąć na kimś krwawej zemsty, *inatame*, bez zgody swego władcy, w tym przypadku księcia Seutesa. Wynikało więc z tego wszystkiego, że Alkibiades uciekał jednocześnie przed Spartanami, Ateńczykami, Persami i Trakami.

Nasza grupa podjęła pościg. Jak to się często zdarza, kiedy się odbywa długa konną podróż w czyimś towarzystwie, jakaś szczególna więź wytworzyła się pomiędzy mną i Endiuszem. Całe dni jechaliśmy bok w bok, nie rozmawiając ani nawet nie spoglądając na siebie, a jednak jakimś dziwnym sposobem dostrajaliśmy się wzajemnie nastrojem i'

myślami. Kiedy na noc rozbijaliśmy obóz, Endiusz trzymał się swych spartańskich towarzyszy, jednakże rano znowu znajdowałem go przy sobie.

– Naprawdę go zamordujesz, Polemidesie? – zapytał wreszcie podczas jednego z południowych postojów. Były to pierwsze słowa, jakie w ogóle tego dnia wypowiedział. – Odpowiedz.

– Dzięki łaskawym bogom nie takie jest moje zadanie – rzekłem.

Zdaje się, że tylko my dwaj z całego tego oddziału mieliśmy świadomość potworności tego, co nam zostało zlecone, gdyż innego dnia Endiusz przyparł swego konia do mojego i warknął:

– Jeśli wyrwiesz się do przodu albo jakimś sposobem prześlesz mu ostrzeżenie, zabiję cię.

Spytałem, czy wygłosił tę groźbę we własnym, czy też w Lacedemonu imieniu. Ku memu zdumieniu Endiusz rozplakał się.

– Na bogów, cóż to za katastrofa!

Po czym, wciąż płacząc, szarpnął wodze i pogalopował na czoło oddziału.

We frygijskim okręgu Melissa, w miejscu gdzie droga z Efezu do Metropolis zwraca się na wschód, ku centralnym prowincjom, jest wzniesienie zwane Elafofunosem, Jelenią Górą. Wspaniale wyposażyla je

natura, a ludzkie ręce mądrze zagospodarowały. Kiedy się na nie patrzy z wioski o nazwie Antara, pięknie położonej i otoczonej troskliwie uprawianymi polami, ma się przed oczyma jeden z najcudowniejszych widoków na świecie. Tam właśnie rozbiliśmy któregoś wieczoru obóz i tam doznałem swoistego olśnienia, uświadomiwszy sobie, co trzeba mi czynić.

Nie mogłem dopuścić się tego mordu. Ucieknę jeszcze tej nocy, nikogo o tym nie uprzedzając, nawet Telamona, żeby go uchronić przed oskarżeniem o współdziałanie. Zrobię następnie, co w mojej mocy, aby na nową drogę życia, które znowu zacznie być niestałe, zabrać z sobą dzieci. Powziąwszy to postanowienie, zacząłem już nawet przenosić swoje rzeczy ze wspólnych juków na grzbiet mego konia, kiedy nagle w dolinie powstało wielkie poruszenie.

W niedalekiej posiadłości wybuchł pożar. Mieszkańcy rzucili się do ucieczki i teraz nadbiegali do naszego obozowiska. Przygalopował najmłodszy z odryzyjskich braci i zeskoczywszy z konia, powiedział nam, z trudem łapiąc oddech, że znalazłszy na zachodzie trop Alkibiadesa, jak najszybciej ruszyli ponownie całą piątką na wschód, okrążając w ciemnościach nasz obóz, aby zyskać przewagę w pościgu.

– *Etoskit Alkibiad!* – zakrzyknął młodzieniec, wskazując ręką w stronę pożaru.

Alkibiades został schwytany.

W jednej chwili wszyscy wskoczyli na konie. Puściliśmy się w galop, narażając na niebezpieczeństwo i zwierzęta, i siebie samych, gdyż teren usiany był palikami wkopanymi z myślą o sadzonkach winorośli, a nadto sporo było rowów i zagłębień. Zobaczyliśmy płonącą chatę. Nietrudno się było domyślić, że bracia otoczyli ją pod osłoną ciemności i obłożywszy ściany chrustem, podpalili. Zbudziwszy się pośród płomieni, Alkibiades bez wątpienia wybiegł na zewnątrz, stając się łatwym celem dla bezpiecznie ukrytych w ciemnościach Odryzjan. Tłukłem piętami boki mego wierzchowca. Dotarliśmy całą grupą w bezpośrednie pobliże pożaru. Alkibiadesa nie dostrzegliśmy (zasłaniało go ogrodzenie podwórza); widoczni byli tylko rozjuszeni bracia. Dwaj na koniach ustawili się przy bramie, z najbliższej odległości strzelając do Alkibiadesa z łuków; pozostała trójka, wspierana przez sługi, zajęła pozycje na murze lub pod nim, wypuszczając strzały i ciskając oszczepy. Żar panował taki, że nawet w takim oddaleniu ich włosy, brody i ubrania zajmowały się ogniem i dymiły.

Wpadłem na dziedziniec pierwszy. Gorąc był iście piekielny. Mój wierzchowiec cofnął się i okręcił; zeskoczyłem na ziemię.

W tej samej chwili zobaczyłem Alkibiadesa. Był nagi; miał tylko tarczę i krótki spartański mieczyk *xiphos*. Cały grzbiet miał zwęglony. Zasłaniał się tarczą, która jeżyła się drzewcami oszczepów i strzałami. U jego stóp leżała płasko rozciągnięta na ziemi Timandra, przykryta dywanem czy jakąś inną grubą tkaniną, która chroniła ją przed ogniem.

Na widok nadciągającego oddziału bracia nie tylko nie wycofali się, ale jeszcze wzmogli swój atak, wrzeszcząc w swym dzikim narzeczu, że zdobycz należy do nich i zabiją każdego, kto spróbowałby ją wyrwać z ich rąk. W jednej chwili obiegli ich Spartanie i Persowie.

Endiusz, Telamon i ja popędziliśmy do bramy. Płomienie wyły głucho, z taką zachłannością wysysając powietrze, że trudno nam było oddychać. Spartanin wyprzedził nas i pierwszy dopadł Timandry; chwycił ją w ramiona i wyniósł z podwórca, choć opierała się temu, czepiając się nóg swego kochanka i coś niezrozumiale krzycząc. Zakryliśmy sobie z Telamonem głowy płaszczami i skoczyliśmy w ślad za Endiuszem. Alkibiades usłyszał nas i obrócił się, jak

gdyby gotując się do walki, lecz w pół tego poruszenia zwałił się na ziemię jak martwy, nie próbując złagodzić upadku rękoma, lecz padając bezwładnie na twarz. Runął na tarczę, w której uchwycie uwiecznione było jego przedramię; czaszka z głuchym stukiem rąbnęła o misę. Nigdy przedtem nie zdarzyło mi się widzieć nikogo, kogo przeszyłoby aż tyle grotów.

Wyciągnęliśmy go z tego piekła. Kiedyśmy się już wystarczająco oddalili od pożaru, posadziłem go, oparłszy o mur. Byłem pewny, że jest martwy. Z zamętu, jaki panował w mojej głowie, wyłaniała się tylko jedna myśl: nie dopuścić do tego, żeby ci tchórze zawładnęli jego ciałem.

On jednak był wciąż żywy i nawet próbował podźwignąć się na nogi.

Wykrzyknął imię Timandry z tak straszliwym niepokojem, jakiego nigdy nie słyszałem. Odpowiedziała mu z takim samym uczuciem w głosie, pozostając jeszcze w ramionach niosącego ją Endiusza. Słyszając, że żyje, Alkibiades odprężył się. Chwycił mnie kurczowo za włosy.

– Ktoś ty? – wrzasnął.

Oślepl. Płomienie zżarły mu pół twarzy. Wykrzyknąłem swoje imię. Nie dosłyszał. Powtórzyłem je, przykładając mu usta do ucha.

Przejęła mnie taka rozpacz, jakiej nie da się wyrazić słowami. Za nami Trakowie ryczeli niczym dzikie bestie, żądając, by go im wydano. Jedna za drugą waliły się poszczególne części płonącego budynku.

Raz jeszcze wykrzyczałem mu do ucha swoje imię. Tym razem usłyszał. Jego palce zacisnęły uchwyt jak szpony smoka.

– Kto jeszcze?

Endiusz i Persowie.

Z jego krtani wyrwał się straszliwy jęk. Odniosłem wrażenie, że tego się właśnie spodziewał i upewniwszy się, wiedział już, jaki go czeka los. Nie rozluźniając uścisku, wychrypiał:

– Timandra... Nie zostaw jej bezbronnej w tym kraju.

Przyrzekłem mu, że się nią zaopiekuję.

Jego wielka tarcza, z którą nie rozstał się przez wszystkie lata wojny, ta sama od pierwszej bitwy, jaką razem stoczyliśmy – tam, u stóp owych pamiętnych klifów, zwanych Kotłami – spoczywała na jego piersi i ramionach. Ułożyłem ją tak, żeby przysłoniła jego nagość. Poruszył się i natężając resztkę sił, uwolnił się od jej ciężaru, po czym odchylił głowę, by odsłonić szyję.

– Teraz, mój druhu – powiedział. – Teraz weź, po

co przybyłeś".

Polemides podniósł wzrok i nasze spojrzenia spotkały się. Przez chwilę sądziłem, że nic więcej już nie powie, a zresztą sam wcale nie byłem pewien, czy chciałem usłyszeć dalszy ciąg.

„Lizander powiedział niegdyś o Alkibiadesie, że w końcu padnie ofiarą owej Konieczności, w którą tak wierzył. Nawet jednak jeśli skazała go Konieczność, to śmiertelny cios zadała mu moja ręka. Nie zabiłem wszakże wodza ani męża stanu, jakim upamiętni go na swych kartach historia, lecz człowieka przez mnogich nienawidzonego, a przez jeszcze liczniejszych, wśród których ja nie znajdowałem się bynajmniej na ostatnim miejscu, kochanego. Odkładając na bok zarówno jego triumfy, jak i występki, za jedno będę czcił jego pamięć: za to mianowicie, iż poprowadził okręt swej duszy aż do miejsca, gdzie ziemia łączy się z niebem, i takim się tam wykazał męstwem, jak niewielu przed nim, do których zapewne można zaliczyć twój mistrz, a jego pierwszego nauczyciela. Któż inny zdoła jeszcze pożeglować tak daleko?

Oto więc ja, który tak wielkim obciążylem swą duszę brzemieniem samopotępienia za czyny popełnione podczas zarazy i potem tam, na Jeleniej Górze, ku swemu zdumieniu odkryłem, że nie

odczuwam ani smutku, ani wyrzutów sumienia. Albowiem nie popełniłem tego czynu sam z siebie, lecz tylko wcieliłem w czyn pewien zamiar. Rozumiesz, co mam na myśli, przyjacielu? Byłem ręką Alkibiadesa. Byłem nią przez cały czas od tamtej chwili na ogarniętej burzą plaży, gdy zadałem cios, spełniając jego wolę. Kto ponosi za to winę? I ja, i on, i Ateny, i Grecja cała, którzyśmy własnymi rękoma samym sobie zgotowali zgubę".

Polemides zamilkł. Nic więcej już opowiadać nie było trzeba.

Nieco później znalazłem w jego kufierku list napisany ręką Alkibiadesa. Nie miał nagłówka i usiany był błędami, co dowodziło, że był to tylko brudnopis; do kogo pisał, tego można się jedynie domyślać. Z daty, którą był opatrzony – dziesiątego dnia hekatombajonu – można wnosić, że był to ostatni jego list w życiu.

...to zabójstwo, choć dokonają go obcy, zlecone będzie i opłacone przez moich rodaków. Jestem dla nich tym, co najbardziej cenią i co zarazem najtrudniej im znieść: ich własną, powiększoną podobizną. Moje cnoty – ambicja, śmiałość i chęć, by dorównać niebiosom, zamiast padać przed nimi na twarz – są ich cnotami, tyle że spotęgowanymi. Moje słabości są

również ich słabościami. Tym, czego w moim charakterze nie dostawało – skromności, cierpliwości i umiejętności trzymania się w cieniu – oni także w głębi duszy gardzą wszelako moja wewnętrzna natura nie została skażona słabościami, podczas gdy oni dali się im skrepować. Lękają się i zarazem uwielbiają tę wspaniałość, ku której popychał ich mój przykład, brak im jednak wielkości ducha niezbędnej, aby mnie naśladować. Stanąwszy w obliczu kogoś takiego jak ja, Ateny mają tylko dwa wyjścia: dorównać mi albo się mnie pozbyć. Kiedy mnie już nie będzie, zaczną za mną płakać. Ja jednak nigdy już nie wrócę. I nikogo już nie będą miały, kto by zdołał im mnie zastąpić. Nie wydadzą ze swego łona żadnego człowieka, który by mi dorównał, choć wielu będzie wymachiwało moją flagą i proporcem.

52. SĘDZIA MIŁOSIERDZIA

– Ostatni dzień życia Sokratesa – ciągnął swą opowieść dziadek – spędziłem wraz z innymi w jego celi. Byłem tak zmęczony, że często zapadałem w drzemkę. Przyśnił mi się w pewnej chwili następujący sen:

Zmęczony przebiegałem więzienie w poszukiwaniu jakiegoś zakątka, w którym mógłbym się przespać, ponieważ pragnąłem stanąć przed moim mistrzem z jasnym umysłem, na co wszak zasługiwał. Trafiłem do warsztatu cieśli. Ujrzałem tam rozciągniętego w poziomej pozycji na *tympanonie* Polemidesa, którego gotowano na śmierć.

„Wejdz, panie – zaprosił mnie cieśla. – Zdrzemnij się ociupinkę”.

Położyłem się i natychmiast zapadłem w błogi sen. Nagle się jednak przebudziwszy, ujrzałem, że strażnicy więzienni przymocowują moje ciało do katowskiego narzędzia. Moje ręce i nogi unieruchomiono, zaciskając wokół nich żelazne obejmy; szyję krępował mi łańcuch.

„To nie ja jestem skazańcem! – krzyknąłem. – Schwytaliście nie tego, kogo trzeba! To nie ja!”.

Zaczym ocknąłem się z powrotem w celi Sokratesa.

Zakłóciłem mu spokój swoimi krzykami. Powiedziano mi, że już wypił cykutę; czekając, aż zacznie działać, ułożył się na plecionce, otoczony przez tych, którzy go kochali; twarz miał zakrytą. Przeprosiłem wszystkich za swoje zachowanie, świadom, że tego rodzaju poruszenie było ostatnią rzeczą, jakiej trzeba było teraz mistrzowi. W pomieszaniu wybąkałem jakieś usprawiedliwienie i wybiegłem z celi.

Było już późne popołudnie. Kiedy wyszedłem na Żelazny Dziedziniec, ujrzałem jakąś niewiastę; towarzyszący jej chłopiec właśnie zawrócił w stronę poczekalni.

Eunike.

Dziwne to, skoro Polemides stanowczo odmawiał widzenia się z nią. Czyżby coś się wydarzyło?

Nagle znowu pojawił się ten chłopiec. Był to Nikolaos, syn Polemidesa. Nie odszedł; czekał na matkę, żeby jej towarzyszyć w drodze powrotnej. Podszedł do mnie i ujął moją dłoń, po czym wyraził mi swą wdzięczność za wysiłki, jakie poczyniłem, by uratować jego ojca.

W młodzieńcu zaszła gruntowna zmiana. Wprawdzie wciąż był tak samo szczupły i wiotki, lecz najwyraźniej wszedł już w wiek męski. Pozdrowił mnie jak dorosły dorosłego, i to z taką pewnością

siebie, że mnie to wręcz speszyło; widząc, w jak głębokiej jest rozterce, którą poczytałem za objaw rozpaczony, przemówiłem do niego w takim mniej więcej sensie: choć to Eunikę jest przyczyną nieszczęścia, które dotknęło twego ojca, nie wolno ci zapominać, że postępek jej podyktowany był troską o twoje dobro, to znaczy o oszczędzenie ci krzywd, jakie wyrządza wojna.

Chłopiec obrzucił mnie zdziwionym spojrzeniem.

„To wszystko odbyło się całkiem inaczej, panie! Czyżby ojciec ci nie powiedział?”

Po czym zaczął mnie przekonywać, że jego matka niczemu nie jest winna i to nie z jej poduszczenia wszystko to się stało. Że nie była ona bynajmniej instygatorką tego procesu, lecz pionkiem, którym posłużyli się oskarżyciele. Że również ten krzywoprzysięzca Kolofon, który wniósł sprawę przeciw jego ojcu, działał tylko jako narzędzie w rękach tych, którzy podczas rządów Trzydziestki wynajęli Polemidesa, zlecając mu zabójstwo.

„Te łotry, dowiedziawszy się, że ojciec wrócił do miasta, przelekły się, iż ujawni on ich zbrodnię. Wywarły więc nacisk na matkę, wykorzystując to, że nie miała obywatelstwa, i zmusiły ją do podania szczegółów tamtego nieumyślnego zabójstwa, którego

jej mąż dopuścił się przed laty na Samos; dzięki temu ta banda doprowadziła do wyroku śmierci".

Następnie chłopiec wyjaśnił mi, że Polemides potwierdził oskarżenie w zamian za przyznanie obywatelstwa Eunikę i dzieciom, zaproponowane mu w sekrecie przez jego prześladowców, którzy najwidoczniej mieli za sobą wystarczająco mocnych protektorów. Jeśli zaś nie wyznał prawdy mnie, swojemu obrońcy, to z obawy, abym w przypływie wzburzenia nie ujawnił tego spisku publicznie, czego on sam poniósłby dodatkowe konsekwencje.

Obok schodów, którymi wychodzi się z Żelaznego Dziedzińca, stała ławka. Nagle przytłoczony ciężarem zmęczenia, zmuszony byłem na niej przysiąść. Chłopiec siadł obok mnie. Zmierzchało. Służba więzienna zaczęła zapalać kaganki.

Po jakiejś chwili przyszedłem do siebie, usłyszawszy podniesione głosy, które rozbrzmiały na dziedzińcu. To dozorca więzienny klócił się zawzięcie z ukochanym przyjacielem Sokratesa, Simmiaszem z Teb, którego zapewne właśnie wywołał był z celi filozofa. Czyżby mistrz już zmarł?

Podbiegliśmy do nich z chłopcem. Przyłączył się do nas także odźwierny. Ku memu zdumieniu okazało się, że przyczyną całej tej awantury są konie.

„To ty je wynająłeś, panie – krzyczał dozorca, wspomagany przez odźwiernego – a my zapłacimy głową, jeśli je wykryją!”.

Skonsternowany Simmiasz odciągnął mnie na stronę.

„Na bogów, Jazonie, wszystko spieprzyłem!”.

Po czym wyjaśnił, że kilka dni wcześniej, pewien zgody Sokratesa na plan ucieczki, zatrudnił paru osobników o podejrzanej reputacji, zlecając im wypożyczenie koni, a równocześnie kupił milczenie dozorców i donosicieli. Rzecz zaczęła się toczyć ustaloną koleją, tłumaczył się Simmiasz, kiedy nagle Sokrates bezapelacyjnie odrzucił cały ten pomysł.

„Wierzysz mi, Jazonie? W popłochu, jaki mnie ogarnął, kiedy mistrz postanowił o swojej śmierci, całe to przedsięwzięcie zupełnie wyleciało mi z głowy!”.

„Nic z tego nie rozumiem, przyjacielu”.

„Konie i eskorta właśnie się tu zjawily! Co mam zrobić w tej sytuacji?!”.

Simmiasz był kompletnie roztrzęsiony: domyśliłem się, że zaledwie chwilę temu wywołano go z celi Sokratesa i teraz obaj ci wystraszeni ludzie domagali się od niego, żeby coś z tym wszystkim zrobił, on tymczasem nie mógł pozbierać myśli. Chciał jedynie z powrotem znaleźć się u boku mistrza i być obecnym w

momencie jego śmierci.

„Zostaw to mnie, Simmiaszu. Jakoś to załatwię”.

„Na bogów, Jazonie! Zrobisz to dla mnie?!”.

Bywa, stwierdził któregoś razu Polemides, że człowiek przekracza jakąś granicą, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Nie była to wszakże jedna z tego rodzaju sytuacji. Zarówno Polemidesowi, jak i naszemu nauczycielowi, *demos* odmówił prawa łaski. Szczęśliwym jednakowoż zrządzeniem losu mianowano nowego sędziego, którym był nie kto inny, lecz ja sam. Któż miał prawo odroczyć wykonanie wyroku, jeśli nie ja? Kto inny jeszcze mógł mu odpuścić przewinę, kiedy nawet on już wrzucił do urny swego przeznaczenia czarny kamyk?

I jeśli to nieba same dały mi w jego osobie sposobność obdarzenia wszystkich, także i mnie samego, błogosławieństwem wybaczenia?

Obróciłem się ku chłopcu.

„Twój ojciec zapewnia mnie, że w zupełności pogodził się ze swoim losem”. „Tak, panie”.

„Potrafiłbyś nakłonić go do zmiany stanowiska?”.

Młodzieniec zgarnął w uścisku obie moje dłonie.

„Ale co wówczas stanie się z tobą, panie?”.

Bał się, że donosiciele, wywęszywszy mój udział w całej tej sprawie, doprowadzą do mej zguby.

„Czyje milczenie trzeba było kupić, ten został już opłacony”.

Dozorca, który podsłuchiwał naszą rozmowę, przytaknął teraz moim słowom. Uwolniłem dłonie z uścisku. Chłopiec odbiegł, by znaleźć się u boku swego ojca.

Czy i ja powinienem tam się udać, aby pożegnać na zawsze Polemidesa? Czy raczej należało pójść za Simmiaszem do celi Sokratesa?

Popatrzyłem na odźwiernego. Ten zdążył się tymczasem wykazać przytomnością umysłu, wysyłając z wiadomością o zmianie planów jednego ze swych podręcznych do jeźdźców czekających – jak się bez wątpienia domyślał – w cieniu więziennych murów. Spytałem go, czy nie będzie miał z powodu całej tej sprawy kłopotów.

„Konie to konie – odparł na to. – A kto tam na nich siedzi, to już nie moja sprawa”.

Za to widoczny niepokój ogarnął strażnika i tych obecnych przedstawicieli służby więziennej, którzy dowiedzieli się o przestępczym zamiarze.

„Lepiej, żebyś już sobie poszedł, kapitanie”.

Zaczym wyprowadzili mnie na zewnątrz.

53. KWIAT SKALNEGO DĘBU

– Ciało filozofa wydano jego przyjaciołom następnego dnia; pogrzebaliśmy je w grobowcu jego rodu w Alopece. Nie byłoby prawdą, gdybym stwierdził, że tego właśnie dnia ostatecznie rozczarowałem się do polityki; każdy rozumny człowiek od lat już powątpiewał w pogląd, iżby demokracja w swej czystej postaci zdolna była sprawować władzę. Nie minął rok, a opuściłem miasto wraz z małżonką i dziećmi, by osiedlić się na wsi, na Wzgórzu Skalnego Dębu. I tam już pozostałem.

Przez trzydzieści jeden lat od mych dwudziestych urodzin oddawałem w ofierze krajowi swoje ciało i wszelki mój dobytek. Poświęciłem swą młodość i wiek męski, a także zrujnowałem sobie zdrowie w służbie dla Aten. Trzech moich synów poległo w szeregach armii, dwóch innych przepadło podczas wewnętrznych zamieszek. Zaraza i nędza ograbiły dwie moje żony z najlepszych lat niewieściego żywota.

Jako oficer floty dowodziłem siedmioma okrętami. Pełniłem funkcje radnego, sędziego i członka władz ateńskich. Reprezentowałem moją ojczyznę jako zagraniczny poseł i służyłem jej wiernie zarówno w wojnie, jak i pokoju. Spadł na mnie kiedyś obowiązek

podliczenia kontrybucji, jakie wpłacił mój ród na rzecz państwowego skarbcza. Suma wyniosła blisko jedenaście talentów, czyli z grubsza równowartość całego dochodu, jaki w ciągu dwudziestu lat przyniosły nam nasze dobra. Nie żałuję tego wszystkiego, a gotów byłbym bez sprzeciwu raz jeszcze przez to przejść dla dobra kraju. Wciąż mienię się demokratą, choć – jak by to zapewne określiła moja małżonka, a twoja babka – moje serce demokraty jest mocno obolałe.

Przez ponad trzy lata Polemides nie dawał znaku życia. Aż tu pewnego ranka przybiega jeden z moich chłopców służących i melduje, że u bramy czeka jakiś nieznajomy. Zszedłem spieszenie na dziedziniec i ujrzałem mężczyznę w podniszczonym skórzanym odzieniu i z tobołkiem, w jakim zwykli przechowywać swój dobytek najemnicy. Nigdy nie miałem okazji poznać Arkadyjczyka Telamona, lecz od razu domyśliłem się, że to właśnie on. Podziękował za zaproszenie do środka, ale zamiarem jego było wyłącznie doręczenie do własnych moich rąk dwóch listów, które przez dwa lata niósł z Azji.

Powiedział mi, że Polemides nie żyje. Wyzionął ducha nie na wojnie, lecz wskutek nieszczęśliwego wypadku: nastąpił na żelazny pręt i padł ofiarą tężca.

Upraszałem go, żeby się u mnie zatrzymał.

„Przeszedłeś kawał drogi, żeby doręczyć mi tę przesyłkę. Zechciej choć spożyć z nami posiłek, jeśli już nie z własnej chęci, to dla naszego zadowolenia, a przynajmniej wstąp do środka i obmyj się z kurzu”.

W końcu zgodził się wejść, ale nie dalej niż do gaiku, w którego cieniu tryska źródółko. Stoi tam, jak wiesz, wygodna ławeczka. Zasiadł na niej, a wówczas dziewczęta przyniosły mu wina i chleba zwanego *alphitą*, a do tego smakowitą *opsonę*, czyli soloną rybę z cebulką. Pożywiał się, podczas gdy ja przeglądałem listy.

Pierwszy nosił datę sprzed dwóch lat i napisany był przez Polemidesa. Ów miał się dobrze i wyrażał nadzieję, że również u mnie wszystko jest w najlepszym porządku. Wspomniawszy, jak to w ostatniej chwili uniknął *tympanonu*, pokpiwał sobie ze mnie, pisząc, że dołączyłem do „grona łotrów”.

...tuszę, przyjacielu, że nie czynisz sobie żadnych złudzeń względem mojego nawrócenia. Wciąż tańczę, jak mi zagrają okoliczności. Jak wszystkim, którzy budzą zgrozę niebios, nadal dopisuje mi niezawodne szczęście. Nic nie zdoła mnie zabić, a dziewczęta wydrapują sobie oczy, na wyprzódki wciskając się na moje posłanie.

Autorem drugiego listu był jego syn, który, o czym

poinformował mnie Polemides, służył razem z nim pod komendą spartańskiego pułkownika Filotelesa w dowodzonej przez Agesilaosa brygadzie, która walczyła w wojnie przeciw królowi Persji. Nikolaos donosił mi o śmierci ojca. Zdarzyło się to na terytorium Frygii, w dolinie Meandra, niecałe sześćdziesiąt stadionów od Jeleniej Góry.

...co się tyczy zawartości żeglarskiego kufereka mego ojca, panie, to niewątpliwie poczytałby on sobie za zaszczyt, gdybyś zachował ją na własność. Nie potrafię sobie wyobrazić lepszego z niej pożytku. Ja sam nie umiem dbać o pamiątki.

Kuferek dostarczył do mych drzwi w miesiąc po ucieczce Polemidesa jego dawny kamrat Siniak, który, jak może pamiętasz, zarządzał jadalnią przy uliczce przebiegającej przed bramą więzienia. Przy okazji opowiedział mi zdarzenia tego ostatniego wieczoru.

To on właśnie najał konie do ucieczki i po moim wyjściu z więzienia powiódł je do alei, która przylegała do więziennego dziedzińca. Tymczasem strażnik wypuścił z celi Polemidesa, a następnie wraz z jego synem przekradł się do tego miejsca. Kiedy we trójkę wychynęli na ulicę, na której czekał Siniak z końmi, zza rogu wyszło trzech innych mężczyzn – sekretarz Jedenastki, Lizymachos, oraz dwóch sędziów

– którzy przybyli, aby sprawdzić stan gotowości do egzekucji Sokratesa.

Ze swego miejsca bez wątpienia dostrzegli spiskowców i nic nie stało na przeszkodzie, żeby skrzyknęli ludzi, którzy by ich ujęli. Siniak, jak sam mi wyjawiał, już nawet zeszczął się ze strachu. Tymczasem zaszło coś dziwnego w umysłach tych trzech urzędników, obdarzonych przez swych ziomków misją dopilnowania, by najszlachetniejszy ich rodak padł ofiarą kata. Czyżby, ludźmi będąc i pobratymcami skazańca, pojęli potworność tego aktu? Może też być, że tego szlachetnie urodzonego Ateńczyka, który przeobraził się w złoczyńcę, Polemidesa, potraktowali jako swoisty surogat, jeśli nie Sokratesa, to siebie samych; winny był on wszak, tak samo jak oni, nie tylko czynów, o które go oskarżono, ale i tysiąca innych, niepostrzeżonych i niezaświadczonych przestępstw, które zostały popełnione podczas po trzykroć dziewięć lat trwającej wojny. Lub może ich pobłażanie wzięło się z tego samego co moje przekonania: niech dla naszego własnego dobra pozostanie przy życiu. Niech nam będzie wolno choć raz zasmakować roli samego Zeusa i za pośrednictwem tego łotra – puszczając w niepamięć wszystkie zbrodnie, do których przecież my sami go

popchnęliśmy – obdarzyć łaską wybaczenia cały naród.

Cokolwiek nimi powodowało, trzej urzędnicy usunęli się uciekinierom z drogi. W jednej chwili Polemides i chłopiec galopem odjechali. Skazaniec zdążył jeszcze poprosić strażnika, żeby dopilnował, by jego kuferek znalazł się w moim posiadaniu, kiedy tylko uda się przekazać mi go dyskretnie, nie narażając mnie z tego powodu na kłopoty.

Pozwól mi teraz, drogi wnuku, włączyć do tej opowieści ostatni z wybranych przeze mnie dokumentów. Odkryłem go w kuferku Polemidesa zaledwie parę dni temu i przypadkiem, jako że szukałem wówczas innego papieru, który chciałem ci pokazać.

Jest to otóż zapis przemowy, którą wygłosił Alkibiades, po raz drugi żegnając się z flotą Samos; rozstawał się z nią po Notionie, tym razem na zawsze.

...to, co mówię, przyjaciele, kieruję do waszych strategów i oficerów, którzy, niechaj bogowie mają ich w swojej pieczy, zmuszeni są dowodzić tak niesforną bandą łajdaków, jaką wy stanowicie. Chcecie wiedzieć, gdzie nauczyłem się dowodzić takimi jak wy? Otóż w stajni mego ojca. Przekazały mi tę wiedzę jego konie. I wzywam niniejszym naszego przyjaciela Trazybulosa, aby to potwierdził, albowiem jako chłopcy razem

zachwycaliśmy się tymi rumakami w dniach wyścigów. Nikt nie musiał ich uczyć, jak trzeba biegać. Kupując konia, najpierw uczyliśmy się oceniać jego chód i postawę, a potem dopiero zwracać uwagę na długość jego kości czy zwartość mięśni ud. Czy zgodzicie się z moim przekonaniem, że rumak wyścigowy może mieć w sobie szlachetność? A zatem czym jest szlachectwo, skoro w tej samej mierze może się nim odznaczać zarówno koń, jak i człowiek? Czy nie ową potęgą ducha, która powoduje, że ktoś poświęca się sprawie znacznie przerastającej krąg jego osobistego zainteresowania?

Jak przewodzić ludziom wolnym? Tylko jednym sposobem: budząc w nich pragnienie sprostania własnemu duchowemu szlachectwu.

Gdy jeszcze byłem małym chłopcem, mój wychowawca zabrał mnie z sobą do Pireusu na regaty łodzi, które ścigały się pomiędzy Akte i Cichą Zatoką. Moim dziecięcym oczom zdawało się wówczas, że każdą z tych łupinek steruje jedno stworzenie: jakiś wspaniały, wieloreki stwór. Kiedy jednak podплыnęły bliżej, zobaczyłem, że manewrowali nimi ludzie. Uwierzycie, przyjaciele, że wyrwałem się mojemu pedagogowi i pobiegłem, żeby sprawdzić, czy to naprawdę ludzkie istoty. No bo jakim sposobem mogło

sześciu wiosłować jak jeden?

„Ależ, drogi mój malcze! Popatrz tam! Zobacz, jak to samo robi stu siedemdziesięciu czterech naraz!”.

Trirema, płynąca na skrzydłach wioseł: na bogów, cóż to za wspaniały widok! Jeszcze piękniejszy i większą tchnący szlachetnością jest obraz nacierającej ławy okrętów, najpiękniejszy jednak i najszlachetniejszy ze wszystkiego – ten, który przedstawia sobą flota. To istna symfonia. Wy zaś, przyjaciele moi, najwspanialszymi jesteście muzykami ze wszystkich, którzy tworzą grające ją orkiestry.

Cóż za ponura epoka zacisnęła nas w swej pięści? Co nam zostanie? Ojcowie i matki, żony i kochanki, a nawet własne nasze dzieci – wszyscy oni, jestem o tym przekonany, rozplyną się w zapomnieniu; pozostaną jednak z nami na zawsze nasi towarzysze, u których boku tylekroć zaglądaliśmy śmierci w oczy. To nam wystarczy, druhowie moi. Tylko nielicznym aż tak wiele się dostało.

Nie jestem wam niezbędny, bracia. Żadna ziemską siłą nie jest zdolna się wam oprzeć. Oby bogowie prowadzili was od zwycięstwa do zwycięstwa. Ostatnim obrazem, jaki zachowam pod powiekami, spadając do piekła, będzie widok waszych twarzy. Dzięki wam składam za honor, jakiście mi uczynili,

przyjmując mnie do swego grona. A teraz już – zegnajcie, przyjaciele! Wszystkiego najlepszego!

Przyglądałem się twarzy Telamona, który kończył swój posiłek. Choć z rachunków wynikało, że powinien mieć w tej chwili dobrze po pięćdziesiątce, to ciało jego zachowało taką jędrność i sprężystość, jak gdyby miał trzydzieści pięć albo i mniej jeszcze lat. Bardzo chciałem go wypytać o ostatnie wojenne lata Polemidesa, które z pewnością z nim dzielił, z jego oczu czytałem jednak wyraźnie, że nie potrafiłby się zdobyć na taki wysiłek. Spytałem więc tylko, dokąd się udaje.

Do portu, odparł, żeby się znowu zaciągnąć do floty.

Przechowałem w stodole parę butów i wełnianą opończę, które były w nieporównanie lepszym stanie niż to, co miał na sobie Telamón. Nie chciał ich jednak przyjąć. Powstał z ławy i zarzucił sobie na ramię swój żołnierski tobołek.

Po czym położył na ławie monetę.

Oburzyłem się na to, mówiąc, że urąga tym sposobem mojej gościnności.

Uśmiechnął się na te słowa.

„To Pommo za moim pośrednictwem ci to ofiarowuje, kapitanie. Sądził, że ten drobiazg wyda ci

się cenny".

Ująłem monetę w palce. Był to złoty frygijski darejk, równowartość miesięcznego żołdu piechociarza. Na rewersie wybita była podobizna triremy, a nad nią uskrzydłona Nike; awers przedstawiał Atenę Triumfatorkę, z sową u jednego i gałązką oliwną u drugiego boku.

To „alkibiadik”, wyjaśnił Telamon. Najwyżej w całej Azji ceniona i najchętniej przyjmowana moneta.

Główny podwórzec mojej posiadłości przecina dróżka, która łączy, jak pewnie pamiętasz, usytuowane po zachodniej stronie kuchni i pomieszczenia dla służby z grupką chat i baraków dla robotników sezonowych. Po przeciwnej stronie, na równomiernie wznoszącym się zboczach, które zwiemy Fałdą, znajdują się składy narzędzi i małe gospodarstwo, a za nim jeszcze kurniki i chlewy. Kroczącemu do wyjścia Telamonowi przypatrywała się gromada wieśniaków, zafascynowanych wyglądem i ubiorem najemnika. Publiczność ta składała się nie tylko z chłopców, ale i z dojrzałych dziewcząt, a nawet poważnych małżeńskich par, którzy wszyscy z ciekawości oderwali się od swoich zajęć. W chwili gdy najemnik zbliżył się do furty, dwaj chłopcy wyskoczyli z gromady i szczerząc mu kłopotów z zatraskiem, otwarli przed nim wyjście,

po czym podążyli za nim drogą.

I pewnie długo by szli jego śladem, kto wie, czy nie aż do samego morza, gdyby ich nie przywołali z powrotem ojcowie.

Także i ja nie mogłem oderwać wzroku od tej oddalającej się sylwetki; odwróciłem się dopiero w momencie, gdy Telamon wtopił się w aleję obrzeżoną skalnymi dębami.

To właśnie z ich kwiecia uzyskuje się ową szkarłatną farbę, która barwi płaszczy każdego wojownika.

GLOSARIUSZ

AGORA Polityczne i społeczne centrum Aten oraz innych greckich miast; odpowiednik rynku, z targowiskiem, siedzibami urzędów, świątyniami itp.; także zgromadzenie obywateli w greckich miastach-państwach.

AJGOSPOTAMOI Miejsce w Hellesponcie, gdzie (405 r. p.n.e.) spartańska armada pod wodzą Lizandra pokonała flotę Aten, przypieczętowując tym zwycięstwem swój triumf w wojnie peloponeskiej.

AKATION Mniejszy żagiel triremy.

ALPHITA Chleb jęczmienny.

ANASTROFA Kontrmarsz.

ANDREIA Odwaga; główna męska cnota.

APAGOGE Areszt doraźny.

APATURIA Święto ateńskich bractw, rodowych stowarzyszeń obywatelskich. **APELLA** Zgromadzenie spartańskie.

APOSTOLEIS Wysocy urzędnicy zarządzający ateńską flotą.

ARCHONT Jeden z dziewięciu najwyższych urzędników Aten; wybierany na roczną kadencję; sprawowali m.in. funkcje sędownicze. **AREOPAG**

Rada złożona z byłych archontów; także nazwa wzgórza, na którym obradowała (Wzgórze Aresa). ARETE Doskonałość; wzorzec cnót. ARGIWOWIE Mieszkańcy Argos. ARISTOI Arystokracja ateńska; „najlepsi”.

ARKADIA Kraina na Peloponezie słynąca ze znakomitych wojowników, którzy często stawali się najemnymi żołnierzami.

ARTEMIDA ORTYJSKA Świątynia Artemidy Stojącej (Wyprostowanej) w Sparcie.

ASPIS Tarcza ciężkiej piechoty (w 1. mn. *áspides*).

„BARBARZYŃCA” Dla Greków – każdy, kto nie był Grekiem; tak zwykle określano Persów.

BAZYLEUS Jeden z dziewięciu archontów; sprawował głównie funkcje ceremonialne; uświetniał swoją obecnością uroczystości religijne.

BRASIDIOI Oddziały złożone z byłych helotów, którzy zyskali wolność, walcząc pod dowództwem spartańskiego polemarcha Brazydasa.

CHOMA Nabrzeże portu w Pireusie, od którego tradycyjnie odbijała flota, wyruszając na wojnę,

DAIMON Duch człowieczy, dziedziczony po przodkach (łac. *genius*). *Daimon* Sokratesa zawsze przestrzegał go przed tym, czego nie powinien był uczynić, nigdy jednak nie podpowiadał mu, co uczynić

powinien.

DAREJK Złota moneta perska; nazwę swą wzięła od imienia króla Dariusza.

DEKELIA Fort obronny w Attyce; Spartanie wznieśli te umocnienia w końcowej (dekelińskiej) fazie wojny.

„DELFIN” Ciężar, który mocowano na rei lub bomie i podczas bitwy zrzucano na pokład nieprzyjacielskiego okrętu, aby go przedziurawić.

DEME Dzielnica lub okręg administracyjny miasta Aten.

DEMOS Lud, zbiorowość obywatelska, która podejmowała decyzje w drodze demokratycznego głosowania.

DEMOSTENES Ateński strateg (nie mylić ze słynnym mówcą z IV w. p.n.e); pokonał Spartan pod Pylos i dowodził wyprawą, która popłynęła na odsiecz ateńskiej flocie wysłanej na podbój Sycylii.

DIKE Cywilny pozew sądowy.

DIKE PHONOU Wyrok skazujący za zabójstwo.

DŁUGIE MURY Fortyfikacje, które łączyły Ateny z portem w Pireusie.

DORYDA Terytorium Azji Mniejszej.

DRACHMA Moneta, „garść”; mniej więcej równowartość dziennego żołdu żołnierza ciężkiej

piechoty.

EFEB Młody Ateńczyk w trakcie szkolenia wojskowego, mający osiemnaście do dwudziestu lat.

EFOR Najwyższy urzędnik Sparty. Corocznie wybierano pięciu eforów; sprawowali oni swój urząd przez rok, mając faktyczną władzę większą nawet niż królewska.

EIRENOS (1. mn. EIRENE) Dowódca – wychowanek w spartańskiej agoge; osiągnąwszy wiek dwudziestu lat, dostawał pod komendę chłopięcy oddział (*boua*, czyli „stadko”).

EISANGELIA Przewidziana przez ateńskie prawo procedura formułowania oskarżeń o najpoważniejsze przestępstwa, często o zdradę, wnoszonych do Rady Pięciuset lub zgromadzenia.

EKKLESIA Zgromadzenie obywatelskie.

ENDEIXIS Rodzaj formalnego oskarżenia lub denuncjacji.

ENDEIXIS KAKOURGIAS Wyrok sądu w sprawie o „złoczyństwo”; określenie to właściwie obejmowało wszystkie rodzaje przestępstw, od drobnej kradzieży po morderstwo. *Kakourgoi* = przestępcy.

EPIBATAI Żołnierze piechoty morskiej; pancerne wojsko, które walczyło z pokładów okrętów wojennych.

EPIMELETAI TON NEORION Zarząd portu i floty.

EPINIKION Oda na cześć zwycięstwa.

EPIPOLAJ Wzniesienia w sąsiedztwie Syrakuz.

EPISTATES Przewodniczący prezydium Rady Aten, wybierany drogą losowania na okres jednego dnia, EPITEICHISMOS Taktyka wojskowa polegająca na zbudowaniu na terytorium nieprzyjaciela fortu, z którego następnie wysyła się oddziały łupieżcze; mogą się tam chronić dezercerzy i niewolnicy, którzy zbiegli z nieprzyjacielskich szeregów.

EUROTAS Rzeka w Sparcie.

FALANGA Zwarty, złożony z wielu szeregów sztyk bojowy ciężkiej piechoty (hoplitów).

FARMAKON Środek przeciwbólowy; w 1. mn. *pharmaka*. FARNABAZOS Perski satrapa, czyli gubernator, Frygii i Hellespontu. Swoją stolicę ustanowił w Daskilionie. GILIPPOS Spartański dowódca, który pokonał Ateńczyków pod Syrakuzami. GRAPHE Oskarżenie publiczne lub postawienie zarzutów. HELLADA Grecja. HELLENI Grecy.

HELOTA W Sparcie – odpowiednik polskiego chłopca pańszczyźnianego.

HERMY Kamienne statuetki Hermesa – posłańca bogów i patrona podróżnych – które stawiano zarówno

przed prywatnymi domami, jak i przed budynkami publicznymi. Zwykle przedstawiały one Hermesa z członkiem w stanie erekcji i zgodnie z tradycją miały przynosić szczęście.

HETERY Kurtyzany.

HOMOIOI Klasa spartańskich oficerów, Równych, którzy posiadali pełne prawa obywatelskie.

HOPLITA Żołnierz ciężkiej piechoty (zwany tak od *hoplonu*, czyli tarczy); walczył w szyku zw. falangą. Uzbrojenie hoplity – hełm, tarcza, napierśnik, włócznia, krótki miecz – ważyło ponad 30 kg, dlatego zabierał on z sobą jednego lub dwóch giermków.

HYBRIS Duma. Także jednak „nadmiar pychy”; spowodowane taką postawą przestępstwa – rozmyślne i szczególnie odrażające czyny, które przyczyniły komuś wielkiego upokorzenia lub nieodwracalnej szkody – w Atenach karano śmiercią.

„JEŻ” Zatopione pale, stanowiące element morskiej palisady; rozdzierają one dna nieprzyjacielskich okrętów.

KAMIEŃ PIĘŚCIARZA Na olimpiadach pugiliści (bokserzy) walczyli, mając jedną z nóg przymocowaną do ciężkiego głazu, który uniemożliwiał im umykanie przeciwnikowi.

KANTAROS Kielich, główna zatoka portowa

Pireusu.

KATALOGOS Spis obywateli Aten, na podstawie którego mężczyźni powoływani byli do służby wojskowej.

KIMON Strateg ateński, syn Miltiadesa; dzięki jego zwycięstwom w połowie V w. p.n.e. Persowie zostali wyparci z regionu Morza Egejskiego, nad którym całkowicie zapanowały Ateny.

KLEROS Posiadłość ziemską Równego. Starożytny prawodawca Likurg podzielił terytorium Sparty na dziewięć tysięcy takich posiadłości (wszystkie o takiej samej powierzchni), z których korzystali wojownicy oraz ich rodziny.

KOPPA Starożytna litera Q.

KYRIOS Prawny opiekun. Ateńczyk reprezentował interesy kobiet, dzieci i niewolników żyjących na terenie jego domostwa i posiadłości, gdyż nie posiadali oni praw politycznych.

LACEDEMON Region Grecji, którego głównym miastem jest Sparta; Lakonia.

LAMBDA Grecka litera L. Widniała ona na tarczach spartańskich wojowników piechoty.

LENAJE Doroczny festiwal ateński.

LEONIDAS Król Sparty i dowódca Trzystu, którzy w 480 r. p.n.e. poświęcili swe życie w obronie

Wąwozu Termopilskiego przed Persami.

LIKURG Starożytny prawodawca Sparty.

LOCHOS Pułk spartańskiej piechoty; w 1. mn. *lochoi*.

MEDESI Powszechnie określano tym mianem wszystkich Persów; w istocie był to nader wojowniczy naród królestwa Medii, które podbił i wcielił do swego imperium król Persji Cyrus Wielki.

METOJKOWIE Spartańska klasa „przyrodniczych braci”, często synów Równych, zrodzonych z nieprawego łoża, którzy dostali zgodę na szkolenie w agoge, opłacane przez pojedynczych obywateli Sparty.

MIESIĄCE ATEŃSKIE Rok ateński zaczynał się w połowie lata; kolejno następowały: hekatombajon, metagejtnion, boedromion, pyanopsion, majmakterion, posejdeon, gamelion, antesterion, elafebolion, munychion, targelion i skiroforion.

MILTIADES Ateński strateg, który w 490 r. p.n.e. pokonał Persów pod Maratonem.

MINA Sto drachm.

MISTERIA ELEUZYŃSKIE Dziewięciodniowe ateńskie święta ku czci Demeter i Kory. Każdego roku podczas miesiąca boedromionu (września) neofici i nowicjusze tego kultu odbywali pielgrzymkę do Eleusis. W czasie wojny, gdy cała Attyka znajdowała

się pod okupacją Sparty, Ateńczycy zmuszeni byli przeżywać upokorzenie, jakim była żegluga zamiast pieszej pielgrzymki, którą przywrócił dopiero Alkibiades.

NAUTAI Żeglarze; wioślarze.

NAWARCHA Spartański dowódca floty.

NEMEZIS Bogini, która symbolizowała karę niebios, zwykle za popełniony przez ludzi grzech pychy, hybris.

NEODAMODEIS „Nowi obywatele”; spartańscy heloci, którzy zyskiwali status wolnych ludzi w nagrodę za służbę w wojsku.

NEORION Zarząd portu lub bazy floty.

NIEPOBOŻNOŚĆ (bezbożność) Przepięstwo karane śmiercią; właśnie za nie skazany został Sokrates. NIKE Bogini zwycięstwa.

OBOL Jedna szóstka drachmy.

OIKOS Domostwo.

OKRĄGŁA KOMNATA Pomieszczenie, w którym zbierali się prythanowie.

OLIGOI Arystokraci, „nieliczni”.

OPSON „Smak”; zestaw przypraw zmieszanych w miseczkę; podczas posiłku maczało się w nim chleb.

OTHISMOS W bitwach starożytności – bezpośrednie starcie wrogich oddziałów, które

uderżyły na siebie w zwartym szyku falangi.

PALAMEDES Grecki wojownik z epoki wojny trojańskiej, niesłusznie oskarżony przez Odyseusza; synonim człowieka fałszywie posądzonego.

PANATENAJE Wielkie święto ku czci bogini Ateny.

PANOPLIA Pełna zbroja żołnierza ciężkiej piechoty wykonana z brązu: hełm, napierśnik, tarcza i nagołenniki. Trzeba było być dość zamożnym człowiekiem, aby wejść w jej posiadanie.

PARAKOTABOLE Depozyt wpłacany przy wnoszeniu powództwa w sporze o spadek, stanowiący jedną dziesiątą wartości spornego majątku.

PEAN Hymn śpiewany przez dorycką piechotę – spartańską, syrakuzzańską i argiwską – podczas wkraczania do bitwy. Ateny leżały na terytorium Jonii, toteż ich wojska peanu nie śpiewały.

PELOPONEZ Półwysep w południowej Grecji; dosłownie „Wyspa Pelopsa” (starożytnego bohatera).

PERJOJKOWIE „Sąsiedzi” lub „okoliczni”; mieszkańcy miast na obrzeżach Sparty. Miały one autonomię, ale nie przysługiwał im status miast obywatelskich i zobowiązane były iść za Spartanami „gdziekolwiek ich oni poprowadzą”.

PERYKLES Ateński mąż stanu i wódz z połowy V

w. p.n.e., zwany „Olimpijczykiem”; sprawował władzę w Złotym Wieku ateńskiej demokracji. Krewny i opiekun Alkibiadesa.

PHOINIKIS Szkarłatny płaszcz Spartan.

PHRATRIA1 Rodowe bractwa Ateńczyków.

PHTHIA Ojczysty region Achillesa w Tesalii.

PILOS Filcowa czapeczka, która m.in. służyła jako podkładka pod bojowy hełm. PNYKS Wzgórze na południowy zachód od Akropolu, na którym zbierało się zgromadzenie ateńskie; obrady toczyły się na otwartym powietrzu.

POLEMARCH Wódz wojenny.

POLIS Miasto-państwo; w 1. mn. *poleis*.

PORNE Dziewka, ladacznica; pl. *pornai*.

PROSTATES Oficer dziobowy triremy; „ten, który stoi na przodzie”.

PRYTANOWIE Członkowie dziesiątej części Rady Pięciuset. Każda ich grupa przez dziesiątą część roku, czyli prytanę, pełniła funkcję prezydium Rady i zgromadzenia.

„PRZEBICIE” Manewr stosowany podczas bitwy morskiej (*diekplous*): atakujący okręt przedziera się przez ławę okrętów przeciwnika, po czym zatacza łuk i naciera od flanki.

PSEUDOS Kłamstwo.

PYTHIOI Spartańscy kapłani kultu Apollina; będąc zarazem wojownikami, pełnili funkcje „kapelanów” wojskowych.

RADA PIĘCIUSET Rada zajmująca się ustalaniem porządku obrad zgromadzenia ateńskiego i załatwianiem bieżących spraw publicznych.

SAMOS Wyspa na Morzu Egejskim; lojalny sojusznik Aten i ich zamorski bastion podczas wojny na Wschodzie.

SKIRYCI Spartańskie oddziały zwiadowczo-desantowe, złożone z mieszkańców okręgu Skiritis.

SKYTALAI Pałeczki do przesyłania informacji. Spartanie mieli szczególny sposób szyfrowania wiadomości: służyły do tego kołki o grubości dostosowanej do pałeczki znajdującej się w posiadaniu dowódcy, dla którego przeznaczona była dana wiadomość. Każda *skytale* miała swój duplikat w Sparcie. Owijano wokół niej płat skóry, na której zapisywano tekst, po czym skórę zdejmowano i wysyłało ją do adresata. Aby odczytać wiadomość, trzeba było owinąć skórę wokół identycznej pałeczki; bez niej była nie do rozszyfrowania.

SOLON Mędrzec i mąż stanu z VI w. p.n.e.; spisał on prawa, które stały się podstawą demokratycznego

ustroju Aten.

SPARTIACI Spartanie z klasy oficerów; Równi.

STADION Jednostka długości w starożytnej Grecji, wzięta od długości prostego odcinka bieżni sportowej. Wynosiła około 200 współczesnych metrów i równała się 600 ówczesnym stopom (0,29-0,35 m). **STRATEG** Naczelnny wódz armii lub floty w Starożytnej Grecji. W Atenach także członek corocznie wybieranego kolegium strategów.

SYKOPHANTAI Donosiciele i szantażyści, którzy czyhali na ludzi procesujących się przed sądem.

SYKULOWIE Nie-Grecy zamieszkali na Sycylii.

ŚWIĘTE BLIŻNIĘTA W Atenach – bogini Demeter i jej córka Persefona, czyli Kora. W Sparcie – Diskouri, czyli „bliźniaki”: Kastor i Polidukes (Polluks).

TALENT Ciężar srebra, które stanowiło równowartość sześciu tysięcy drachm. Utrzymanie okrętu wojennego na morzu kosztowało mniej więcej jeden talent miesięcznie.

TARTAR Ciemna otchłań pod Hadesem, w której Zeus uwięził Tytanów. Zrzucone z Olimpu kowadło spadałoby dziewięć dni, by dotrzeć do Ziemi, a następnych dziewięć pod jej powierzchnią, i dopiero wtedy doleciałoby do Tartaru.

TAXIARCHA Każde z dziesięciu ateńskich plemion zobowiązane było wystawić pułk piechoty, *taxis*, i oddać go do dyspozycji państwa. Dowódcę takiego właśnie pułku zwano taxiarcha.

TECHNITAI Rzemieślnicy.

TÉMENOS Święty obszar otaczający sanktuarium lub świątynię. **TEMISTOKLES** Ateński mąż stanu i wódz, który pokonał Persów w bitwie pod Salaminą (480 r. p.n.e.), a także ufortyfikował Pireus i rozpoczął budowę Długich Murów; za jego rządów Ateny zaczęły się stawać potęgą morską i tworzyć imperium.

TERMOPILE Wąwóz w środkowej Grecji; trzystu Spartan wraz z sojusznikami przez sześć dni stawiało w nim opór perskim miriadom króla Kserksesa (480 r. p.n.e.).

TETRAS Czwórka.

THALAMITAI Wioślarze z najniższego rzędu triremy.

THRANITAI Wioślarze z najwyższego rzędu triremy.

THRASYTES Śmiałość.

TISSAFERNES Perski satrapa Lidii i Karii. Stolicę miał w Sardes.

TOXOTES Łucznik piechoty morskiej; w 1. mn. *toxotai*.

TRIERA Trirema.

TRIERARCHA Kapitan triremy. Bogaci Ateńczycy byli powoływani do służby dowódczej i przez okres jednego roku, jako trierarchowie, ponosili koszt utrzymania okrętu wojennego.

TRIREMA Podstawowy okręt wojenny, poruszany przez trzy rzędy wiosł; załoga triremy liczyła około dwustu ludzi.

TRUPIA DZIURA Przepaść, w którą strącani byli ateńscy zbrodniarze. Uczeni do dziś nie są zgodni co do tego, czy skazańców zrzucano żywych, by zginęli na skutek upadku, czy też po uśmierceniu ich w innym miejscu strącano w przepaść ich ciała.

TRZYDZIESTKA Marionetkowy rząd Aten, ustanowiony przez Spartan pod przewodnictwem Kritiasza (404 r. p.n.e.), który zaprowadził tyranie i dokonał masowej represji.

XENOS Obcokrajowiec; także „gość-przyjaciel”, który to termin określa bliskie związki pomiędzy dwoma rodzinami, żyjącymi w dwóch różnych państwach. XIPHOS Krótki spartański miecz.

XYELE Broń w kształcie sierpa, którą nosili spartańscy młodzieńcy. ZGROMADZENIE Ateński parlament, w którym mieli prawo zasiadać wszyscy mężczyźni, posiadający obywatelstwo miasta.

ZYGITAI Wioślarze ze środkowego rzędu triremy,
pomiędzy *thalamitai* a *thranitai*.

PODZIĘKOWANIA

Praca nad każdym utworem osadzonym w okresie wojen peloponeskich zaczyna się od Tukidydesa i na Tukidydesie się kończy. A przecież należałoby wspomnieć także Platona, Ksenofonta, Plutarcha, Arystofanesa, Diodora, Andokidesa, Antyfona, Lizjasza, Eliana oraz Korneliusza Neposza. Podziękowania należą się więc istnemu gwiazdozbiorowi.

Spośród współczesnych badaczy wymienić muszę Irvinga Barkana, Jacoba Burckhardta, – Waltera Ellisa, Stevena Forde'a i jego *Ambicję rządzenia*, Petera Greena i *Armadę z Aten*, Donalda Kagana, D.M. MacDowella, J.H. Morrisona i J.E Coatesa, autorów *Ateńskiej triemy*, Barry'ego Straussa, a także Jeana Hatzfelda i jego *Alkibiada*, osobno dziękując dr Christine Henspetter, która tę książkę przełożyła dla mnie z francuskiego (i to w całości!).

Kolej na przyjaciół i kolegów. Doktorzy Ralph Gallucci i Walter Ellis wspaniale posłużyli się naukową kielnią i zaprawą, aby wygładzić chropowacizny manuskryptu. Doktor Ippokratis Kantzios wykroczył daleko poza swe obowiązki, od

początku będąc moim stałym doradcą, a przy tym wspaniałym i szczerym przyjacielem. Dziękuję też baronesie von Snow, która towarzyszyła mi w wyprawie do starożytnych miejsc, pełniąc funkcję mego kartografa.

Głęboką wdzięczność winien jestem redaktorkom wydawnictwa Doubleday and Bantam, Nicie Taublib, Kate Burkę Miciak i Shawn Coyne; zwłaszcza Shawn, która wzorem niegdysiejszych wydawców zakasała rękawy i zabrała się do przykrawania olbrzymiego monstrum, jakim był mój rękopis, do kształtu, który – oboje mamy tę nadzieję – zdatny jest do czytelniczego spożycia.

Fale wojny to literacka fikcja, nie dzieło historyczne. Pozwalałem sobie na pewną swobodę w posługiwaniu się wydarzeniami i chronologią oraz w odmalowywaniu postaci historycznych, pewne ich cechy zmieniając ze szlchetnych, jak mi się zdaje, pobudek. Za wszystkie błędy i niedostatki tej książki ponoszę pełną i wyłączną odpowiedzialność.

WYRAZY WDZIĘCZNOŚCI

Za łaskawą zgodę na posługiwanie się przekładami podziękowania niech niniejszym przyjmą: Rex Warner i Penguin Classics; z wydanej przez nich *Historii wojny peloponeskiej* Tukidydesa zacytowałem przemowę Alkibiadesa. Pod tym samym adresem także podziękowanie za spartańską depezę, wyjętą z *Historii Grecji* Ksenofonta. Nieżyjący już John Dryden przełożył strofy Kritiasza, przytoczone przez Plutarcha w *Żywotach szlachetnych Greków* (Alkibiades). Pozostałe cytaty są albo zmyślane, albo przetłumaczone przez autora.